

# Sanktuarium

Nora Roberts



calibre 0.9.43



# SANKTUARIUM

## CZEŚĆ PIERWSZA

*Kiedy sponiewierany przez burze wracam do domu...*

*Moje ciało workiem połamanych kości...*

John Donne

## ROZDZIAŁ 1

Śniło jej się Sanktuarium. Ogromny, stojący na wzniesieniu dom górował

majestatycznie nad wydmami na wschodzie i moczarami w zachodniej części wyspy.

Białe, drewniane ściany srebrzyście połyskiwały w świetle księżyca. Budynek od ponad stu lat wyglądał niemal tak samo i stanowił niezbitą dowód ludzkiej próżności.

W pobliżu rósł pogrążony w mroku, pełen cieni i tajemnic dębowy las, przez który cicho i spokojnie płynęła rzeka. Wśród drzew migotały złociste roje robaczek świętojańskich, a nocne zwierzęta powoli opuszczały dotychczasowe kryjówki, gdzie zbierały siły do polowania lub ucieczki. W ciemności kipiało życie - tajemnicze i okrutne.

Wąskie, wysokie okna Sanktuarium były zupełnie ciemne. Żadne światła nie zapraszały na piękne werandy, nie zachęcały do otworzenia okazałych drzwi. Była głęboka noc, a w powietrzu unosił się jedynie wilgotny oddech morza. Wiatr szeleścił

wśród gałęzi ogromnych dębów i potrząsał liśćmi palm, które wydawały suche, trzaskające dźwięki. Białe kolumny, jak stojący na warcie żołnierze, w milczeniu pilnowały szerokiej werandy, ale nikt nie otworzył ogromnych, frontowych drzwi i nie wybiegł na powitanie.

Była coraz bliżej. Słyszała, jak pod jej stopami skrzypią muszelki i piasek.

Poruszone przez wiatr dzwoneczki pobrzękiwały delikatnie, wygrywając jakąś cichą melodię. Zawieszona na werandzie huśtawka skrzypiała łańcuchami, ale nikt na niej nie siedział i nie podziwiał srebrzystego księżyca ani spokojnej nocy. W powietrzu unosił się zapach jaśminu i róż pismowych, mieszając się ze słoną, morską bryzą.

Rozlewająca się po piasku woda szumiała cicho i jednostajnie, przypominając niezmiennie mieszkańcom Lost Desire, że ocean, jeśli tylko przyjdzie mu na to ochota, bez trudu zdoła pochłonąć ten niewielki skrawek lądu, i wszystko, co się na nim znajduje.

Szum morza, tak nieodłącznie związany z jej dzieciństwem sprawił, że poczuła się znacznie lepiej. Wiele lat temu biegła tutaj po lesie swobodna jak sarna, bez lęku przemierzała moczary, a na piaszczystych plażach ścigała się z falami. Robiła to wszystko z beztróską, na którą może sobie

pozwoić jedynie dziecko. Teraz, będąc dorosłą kobietą, ponownie znalazła , się w domu. Szybko pokonała schody, przeszła przez werandę i położyła dłoń na ogromnej, mosiężnej gałce, która w świetle księżyca połyskiwała jak zagubiony skarb. Zamknięte.

Przekręciła gałkę w prawo, potem w lewo, w końcu zniecierpliwiona szarpnęła ogromne, mahoniowe drzwi. Wpuście mnie, pomyślała, a serce zaczęło walić jej w piersiach jak oszalałe. Przyszłam do domu. Wróciłam.

A jednak główne wejście było zamknięte na klucz. Kiedy przycisnęła twarz do szyby wysokiego okna tuż obok, zobaczyła jedynie panującą wewnątrz nieprzeniknioną ciemność.

Zaczęła się bać.

Teraz już biegła. Chcąc okrążyć dom, ruszyła szybko przez taras, na którym kwiaty tłoczyły się w glinianych doniczkach. Równe, jasne rzędy lilii w ogrodzie tańczyły niespokojnie na wietrze. Melodia poruszanych przezeń dzwoneczków brzmiała ostro i nieczysto, a szelest liści zmienił się w ostrzegawczy syk. Usiłowała pokonać następne drzwi z płaczem waląc w nie pięściami.

Proszę, błagam, nie zamykajcie się przede mną. Wpuście mnie do środka.

Szlochając i połykając się co krok, szła prowadzącą przez ogród ścieżką.

Spróbuj jeszcze od tyłu, przez ganek. Nikt nigdy nie zamykał tego wejścia - mama uważała, że kuchenne drzwi zawsze powinny być otwarte. Ale nie mogła tam dotrzeć.

Nagle wszędzie dookoła powyrastały drzewa. Były grube i rosły niezwykle gęsto, a ich gałęzie i zwisający z nich mech zagradzały jej drogę.

Zabłądziła. Co chwila połykała się o wystające korzenie, a kiedy gęste liście przesłoniły księżyc, otoczyła ją całkowita ciemność, którą bezskutecznie starała się przebić wzrokiem. Wiatr wzmógł się - jęczał, zawodził i smagał ją dotkliwie. Sterczące liście palm karłowatych uderzały niczym miecze. Odwróciła się, ale tam, gdzie jeszcze przed chwilą była ścieżka, teraz płynęła rzeka, odcinając jej drogę powrotną do Sanktuarium. Wysokie, rosnące na jej brzegach trawy kołysały się jak szalone.

Nagle zobaczyła samą siebie stojącą samotnie i popłakującą na drugim brzegu.

W tym momencie zdała sobie sprawę, że nie żyje.

Jo próbowała się wyrwać ze snu. Z całych sił walczyła z jego ostatnim, obrazami i przez dobrą chwilę nie mogła wrócić do rzeczywistości. Gdy się ocknęła, nie mogła złapać tchu, a jej twarz była wilgotna od potu i łez. Po omacku zaczęła szukać nocnej lampki, strącając przy tym na podłogę książkę przepełnioną niedopałkami popielniczkę. Chciała jak najszybciej rozjaśnić ta czającą ciemność.

Kiedy w końcu zabłysło światło, podciągnęła do góry kolana, objęła je rękami i zaczęła się delikatnie kołysać, pragnąc odzyskać spokój. To był tylko sen, powiedziała sobie. Po prostu zły sen.

Jest u siebie, we własnym łóżku, we własnym mieszkaniu - setki kilometrów od wyspy, na której znajduje się Sanktuarium. Dorosła dwudziestosiedmioletnia kobieta nie powinna przejmować się głupimi snami.

Mimo to, kiedy sięgała po papierosa, wciąż drżała tak, że dopiero za trzecim razem udało jej się zapalić zapalną.

Zegarek, stojący na stoliku obok łóżka, wskazywał piętnaście po trzeciej.

Ostatnio coraz częściej budziła się o tej porze. Nie ma nic gorszego, niż zdenerwowanie o trzeciej nad ranem. Spuściła nogi z łóżka i pochyliła się, by podnieść przewróconą popielniczkę, zrezygnowała jednak; postanowiła posprzątać cały bałagan rano. Usiadła, a jej zbyt duży podkoszulek sfałdował się na udach. Z całych sił

próbowała się opanować.

Nie wiedziała, dlaczego od jakiegoś czasu w snach niezmiennie powraca na Lost Desire, do domu, z którego uciekła, mając osiemnaście lat. Podejrzewała jednak, że każdy student pierwszego roku psychologii bez trudu zdołałby jej wytłumaczyć symbolikę tych snów. Dom był zamknięty, ponieważ szczerze wątpiła, czy, gdyby chciała do niego wrócić, ktokolwiek przywitałby ją z otwartymi ramionami. Ostatnio trochę się nad tym zastanawiała i zaczynała się obawiać, że jest już za późno na powrót.

Poza tym nieuchronnie zbliżała się do trzydziestki, a to właśnie będąc w tym wieku jej matka opuściła wyspę. Zniknęła, zostawiając męża i trójkę dzieci.

Czy Annabelle kiedykolwiek śni się, że próbuje wrócić do domu? Czy w jej snach drzwi również są zamknięte?

Nie chciała o tym myśleć. Z całych sił pragnęła zapomnieć o kobiecie, która dwadzieścia lat temu złamała jej serce. Zresztą wszelkie tego typu rozważania od dawna nie miały już sensu. Od wielu lat żyła bez matki, bez rodziny, z dala od Sanktuarium. Zdołała nawet przez ten czas odnieść sukces - przynajmniej zawodowy.

Bezwiednie strząsając popiół z papierosa, Jo rozejrzała się po sypialni.

Urządziła to pomieszczenie z ogromną prostotą. Chociaż bardzo dużo podróżowała po świecie, trudno byłoby znaleźć tu jakieś pamiątki poza fotografiami. Oprawiała czarno

- białe odbitki, wybierając najbardziej spokojne ze swoich prac, i dekorowała nimi ściany pokoju, który miał jej dawać wytchnienie.

Na jednym ze zdjęć widać było pustą żelazną ławkę w parku. Na innym samotna wierzba pochyliła swe delikatne gałęzie nad maleńką, lśniącą jak lustro sadzawką. Oświetlony blaskiem księżyca ogród stanowił wspaniałe studium cieni, faktur i kontrastujących ze sobą kształtów. Wyludniona plaża w chwilę po zniknięciu słońca za linią horyzontu kusila obserwatora, by zdjął buty, wszedł w ramki i poczuł

pod stopami szorstki, wilgotny piasek.

Ten nadmorski pejzaż powiesiła zaledwie tydzień temu, po powrocie z wyprawy na wybrzeże Północnej Karoliny. Jo zdawała sobie sprawę, że prawdopodobnie właśnie przez tę podróż nieustannie powraca myślami do domu.

Była bardzo blisko niego. Gdyby pojechała jeszcze trochę dalej na południe i dotarła do Georgii, wówczas bez trudu mogłaby przepłynąć się promem ze stałego lądu na wyspę. Żadne drogi nie prowadziły na Desire, żadne mosty nie łączyły brzegów cieśniny.

Mimo to nie pojechała tam. Zrobiła, co miała do zrobienia i wróciła do Charlotte, by pogрузić się w pracy.

I w nocnych koszmarach.

Zgasiła papierosa i wstała. Doskonale wiedziała, że już nie zaśnie, dlatego włożyła spodnie od dresu. Najlepiej będzie, jeśli popracuje w ciemni i przestanie o tym wszystkim myśleć.

Wychodząc z sypialni pomyślała, że może denerwuje się tak bardzo z powodu albumu. Był to ogromny postęp w jej karierze. Chociaż zdawała sobie sprawę, że jej prace są bardzo dobre, mimo to była serdecznie zaskoczona i zadowolona, gdy jedno z liczących się wydawnictw zaproponowało wydanie książki z jej fotografiami.

Studium natury, czyli świat widziany oczami Jo Ellen Hathaway, pomyślała, idąc w stronę niewielkiej, przypominającej kambuz kuchni, by zrobić sobie kawę. Nie, to brzmi jak rozprawa naukowa. Okruchy życia. Zbyt pompatyczne.

Uśmiechając się lekko odgarnęła z czoła pachnące papierosowym dymem, rudawe włosy, po czym szeroko ziewnęła. Najlepiej będzie, jeśli po prostu zrobi zdjęcia, a wymyślenie tytułu zostawi ekspertom.

Zawsze doskonale wiedziała, kiedy należy się wycofać, a kiedy zająć jakieś konkretne stanowisko. Przecież przez całe życie robiła jedno albo drugie. Może nawet wysłać egzemplarz książki do domu. Ciekawe, co powie na to jej rodzina? Czy położą ten album na jednej z ław, by przyjeżdżający na jeden dzień goście mogli go kartkować i zastanawiać się, czyjego autorka, Jo Ellen Hathaway, jest w jakiś sposób spokrewniona z Hathawayami prowadzącymi gospodę w Sanktuarium?

Czy ojciec w ogóle go otworzy, by zobaczyć, czego Jo nauczyła się ciągu tych lat? Czy po prostu wzruszy ramionami, zostawi książkę nie tkniętą i pójdzie spacerować po wyspie? Wyspie Annabelle.

Prawdopodobnie teraz już go w ogóle nie interesuje, czym zajmuje się jego starsza córka. Dlatego ona sama nie powinna zadawać sobie takich pytań.

Jo odpędziła od siebie tę myśl i zdjęła z haczyka niebieski kubek. Czekając, aż zaparzy się kawa, oparła ręce o blat i wyrzała przez niewielkie okienko.

W tym momencie doszła do wniosku, że czasem dobrze jest być na nogach o trzeciej nad ranem. Nie zadzwoni telefon. Na pewno nikt nie będzie chciał z nią porozmawiać, nie prześle wiadomości faksem ani nie będzie się spodziewał

wiadomości od niej. Przez kilka najbliższych godzin nie musi odgrywać żadnej roli, może w ogóle nic nie robić. Jeśli ma mdłości albo boli ją głowa, nikt nie musi o tym wiedzieć, oprócz niej samej.

Za oknem widać było ciemne i puste ulice, wciąż jeszcze lśniące po zimowym deszczu. Latarnia uliczna rzucała niewielki krąg światła. Ta jasna plama jest w jakiś sposób niezwykle samotna - nikt z niej nie korzysta, właściwie nikt jej nie potrzebuje, pomyślała Jo. Samotność to niezwykle tajemnicze zjawisko - kryje w sobie nieskończoną ilość możliwości.

Jak zwykle w takich sytuacjach, widok ją urzekł. Zostawiła więc parzącą się kawę, złapała Nikona i na bosaka ruszyła do drzwi, by sfotografować wyludnioną ulicę.

To pozwoliło jej całkowicie się uspokoić. Z aparatem fotograficznym w dłoni i pomysłem, który chciała zrealizować, była w stanie zapomnieć o całym otaczającym ją świecie. Nie inaczej było i teraz. Eksperymentując z ostrością nie zwracała w ogóle uwagi, że bosymi stopami brodzi po kałużach - niemal nie zdawała sobie z tego sprawy. Poirytowana, odgarnęła do tyłu włosy. Nie spadałyby jej na twarz, gdyby zdecydowała się je podciąć. Nigdy jednak nie miała na to czasu. Teraz zaczęła żałować, że nie wzięła ze sobą gumki.

Dopiero po wykonaniu kilkunastu zdjęć poczuła, że jest usatysfakcjonowana.

Kiedy się odwróciła, mimo woli spojrzała w górę. Zauważyła, że zostawiła włączone niemal wszystkie światła. Nawet nie zdawała sobie sprawy, że przechodząc z sypialni do kuchni zapaliła ich tak dużo.

Zacisnęła mocno wargi, przeszła na drugą stronę ulicy i ponownie ustawiła ostrość. Spojrzała w wizjer, przykucnęła i zrobiła zdjęcie, z żabiej perspektywy ujmując oświetlone okna ciemnego budynku. Zdecydowała, że ta fotografia będzie nosiła tytuł: *Legowisko osoby cierpiącej na bezsenność*. Jej cichy śmiech rozniósł się po opustoszałej ulicy i powrócił do niej niesamowitym echem, które sprawiło, że zadrżała. Ponownie opuściła aparat.

Boże, chyba kompletnie zwariowałam. Czy jakkolwiek będąca przy zdrowych zmysłach kobieta wyszłaby z domu o trzeciej nad ranem prawie naga i, drżąc z zimna, robiła zdjęcia własnych okien?

Przetarła oczy i zaczęła marzyć o jedynej rzeczy, która zawsze wymykała jej się z rąk. O normalności.

Żeby być normalnym, trzeba regularnie sypiać, pomyślała. Przypomniała sobie, że od ponad miesiąca ani razu nie zdarzyło jej się przespać spokojnie całej nocy.

Trzeba normalnie jeść, tymczasem w ciągu ostatnich kilku tygodni straciła prawie pięć kilo i obserwowała, jak jej smukła sylwetka staje się coraz bardziej koścista.

Potrzebowała spokoju ducha. Nie mogła sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek w życiu była



naprawdę spokojna. Przyjaciele? Oczywiście, ma przyjaciół, ale żaden z nich nie jest aż tak bliski, by mogła do niego zadzwonić w środku nocy i liczyć na jego pomoc.

Rodzina. No cóż, właściwie ma rodzinę. Brata i siostrę, z którymi już od bardzo dawna nie potrafi znaleźć wspólnego języka. Ojca, który stał się niemal obcym człowiekiem. Matkę, po której dwadzieścia lat temu zagał wszelki ślad i do tej chwili nic o niej nie wiadomo.

To przecież nie moja wina, pomyślała Jo, i ruszyła z powrotem na drugą stronę ulicy. To wina Annabelle. Wszystko się zmieniło w chwili, gdy Annabelle opuściła Sanktuarium, wyrządzając tym całej rodzinie ogromną krzywdę. Zdaniem Jo problem polegał na tym, że oprócz niej nikt nie zdołał się po tym wszystkim otrząsnąć. Jo nie została na wyspie, by pilnować każdego ziarenka piasku, tak, jak robił to jej ojciec. Nie zajęła się prowadzeniem pensjonatu i dbaniem o Sanktuarium, jak jej brat Brian. Nie oddała się również nierealnym marzeniom, jak jej siostra Lex. Zamiast tego ukończyła studia, ciężko pracowała i ułożyła sobie życie. Nawet jeśli obecnie ma nieco nadszarpnięte nerwy i jest trochę roztrzęsiona, to tylko dlatego, że znacznie przeceniła swoje siły. Za dużo pracy. Jest wyczerpana, to wszystko. Dorzuci do jadłospisu trochę witamin i szybko wróci do formy.

Wyjmując klucze z kieszeni, Jo wpadła na pomysł, że powinna wziąć urlop. Od trzech - nie, właściwie od czterech lat - wybierała się w podróż tylko wówczas, gdy miała do wykonania jakieś konkretne zadanie. Mogłaby wyjechać do Meksyku albo Indii Zachodnich, gdzieś, gdzie nikomu się nie spieszy, a na niebie ciągle świeci słońce. Pobyt w takim miejscu pozwoliłby jej zwolnić nieco tempo życia i uporządkować myśli. Doskonały sposób na pokonanie drobnych problemów.

Wchodząc do mieszkania przez nieuwagę kopnęła małą, kwadratową, szarą kopertę, która leżała na podłodze. Patrząc na nią, Jo na moment zamarła w bezruchu

- w jednej ręce trzymała aparat, a druga wciąż jeszcze spoczywała na klamce. Czy, gdy wychodziła z domu, ta koperta już tu była? A przede wszystkim, dlaczego leży właśnie tutaj? Miesiąc temu pierwsza taka przesyłka czekała na Jo razem z całą korespondencją. Na szarym papierze ktoś starannie napisał jedynie jej imię i nazwisko.

Kiedy zmusiła się, by zamknąć drzwi i przekręcić klucz w zamku, zauważyła, że ponownie drżą jej ręce. Z trudem łapała powietrze, a mimo to pochyliła się i podniosła kopertę. Nim ją otworzyła, ostrożnie odłożyła aparat.

Gdy Jo zobaczyła znajdujące się w środku zdjęcie, głośno jęknęła. Wykonane zostało z niezwykłą dbałością - wyraźnie znać było rękę profesjonalisty. Tak samo jak poprzednie trzy, było świetnie wykadrowane. Przedstawiało duże, wyraziste oczy w kształcie migdałów, przykryte ciężkimi powiekami, ocienione gęstymi rzęsami i umieszczone przed delikatnymi łukami pięknie wygiętych brwi. Jo wiedziała, że te oczy są ciemnoniebieskie - patrzyła na nie, ilekroć przeglądała się w lustrze. Ale tym razem widać w nich było śmiertelne przerażenie.

Kiedy to zdjęcie zostało wykonane? W jaki sposób? Dlaczego? Spoglądając na odbitkę, zakryła dłonią usta, zdając sobie sprawę, że w tej chwili jej oczy wyglądają dokładnie tak samo, jak na fotografii. Paniczny strach kazał jej przebiec całe mieszkanie aż do maleńkiej sypialni, w której urządziła sobie ciemnię. Jak szalona, gwałtownym szarpnięciem otworzyła szufladę i po omacku



zaczęła przeszukiwać jej zawartość. Po chwili znalazła koperty, które wcześniej ukryła na samym dnie. W

każdej z nich znajdowała się inna, również czarno - biała odbitka o rozmiarach pięć na piętnaście centymetrów.

Z biciem serca ułożyła wszystkie zdjęcia w szeregu. Na pierwszym z nich miała zamknięte oczy, zupełnie jakby ktoś sfotografował ją podczas snu. Na następnym najwyraźniej zaczynała się budzić. Ciężkie, ledwo uniesione powieki pokazywały jedynie mały fragment tęczówki. Na trzecim miała już co prawda otwarte oczy, były one jednak jeszcze zamglone i nieprzytomne.

Kiedy znalazła te odbitki w swojej poczcie, była, oczywiście, zaniepokojona i zaskoczona, jednak nie widziała w nich powodu do strachu.

Ostatnie ujęcie całkowicie skoncentrowało się na jej oczach - widać było, że się już obudziła i jest śmiertelnie przerażona.

Jo cofnęła się o krok drżąc jak osika. Z całych sił starała się zachować spokój.

Zaczęła się zastanawiać, dlaczego na odbitkach widać tylko oczy. Jakim cudem ktoś zdołał podejść tak blisko i wykonać te zdjęcia bez jej wiedzy? Niezależnie od tego, kto to był, niedawno musiał stać po drugiej stronie frontowych drzwi.

Przerażona tą myślą przebiegła przez salon i gorączkowo zaczęła sprawdzać zamki. Kiedy oparła się plecami o drzwi, czuła, że serce wali jej w piersiach jak oszałałe. Po chwili jednak ogarnęła ją złość. A to drań. Próbuje ją zastraszyć. Chce, żeby ukryła się we własnym mieszkaniu, drżała na widok każdego cienia i bała się wyjść na zewnątrz, podejrzewając, że ktoś może ją obserwować. Nigdy dotychczas nie знаła strachu, dlatego więc teraz miałaby ulec jakiemuś szaleńcowi.

Przypomniała sobie, jak bez cienia obawy przemierzała samotnie obce miasta, wędrowała pustymi i niebezpiecznymi ulicami, wspinała się na szczyty gór i przedzierała się przez dżungle. Traktowała aparat fotograficzny jak tarczę i ani razu nie pomyślała, że powinna się czegoś bać. A teraz, z powodu kilku zdjęć, ugięły się pod nią nogi.

Przyznała w końcu sama przed sobą, że ten strach od jakiegoś czasu stopniowo narastał. Od kilku tygodni otaczał ją coraz ciaśniejszym kręgiem i powoli przeradzał

się w panikę. Sprawiał, że czuła się bezsilna, całkowicie bezradna i potwornie samotna.

Po chwili zmusiła się, by odejść od drzwi. Nie potrafi i nie będzie żyć w taki sposób. Zlekceważy ten strach, przestanie zwracać na niego uwagę. Zakopie go gdzieś głęboko, tam, gdzie nikt nigdy go nie odnajdzie. Na Boga, zawsze umiała całkowicie zapomnieć o wszelkich bolesnych przeżyciach, zarówno małych, jak i wielkich. A to po prostu jest jedno z nich.

Najlepiej zrobi, jeśli wypije kawę i zabierze się do roboty.

Do ósmej zdołała sporo zrobić. Gdy pokonała początkowe znużenie, ogarnęła ją niespokojna,

twórcza energia. Potem na dłuższą chwilę zwolniła tempo, a po jakimś czasie poczuła, że jest potwornie zmęczona.

Nigdy nie była w stanie pracować mechanicznie, nie potrafiła bezmyślnie wykonywać nawet najbardziej podstawowych czynności, które zazwyczaj robi się w ciemni. Dlatego i teraz każdemu etapowi starała się poświęcić maksimum uwagi. By móc sobie na to pozwolić, musiała się wcześniej uspokoić - odłożyć na bok zarówno złość, jak i strach. Przy pierwszej filiżance kawy zdołała sobie wytłumaczyć, skąd wzięły się te zdjęcia. Ktoś podziwia jej pracę i tym sposobem usiłuje zwrócić na siebie jej uwagę.

To wcale nie było wykluczone.

Od czasu do czasu wygłaszała odczyty i prowadziła warsztaty dla młodych adeptów fotografii. Na dodatek w ciągu ostatnich trzech lat trzykrotnie wystawiała swoje prace. W związku z tym przy jakiejś okazji ktoś mógł zrobić jej zdjęcie - a nawet kilka - prawdopodobnie zresztą udało mu się to bez trudu.

Takie rozumowanie nie było pozbawione sensu.

Niezależnie od tego, kto to był, z pewnością należało go uznać za człowieka obdarzonego twórczą inwencją. Powiększył same oczy, doskonale je wykadrował i wysłał jej w swego rodzaju serii. Chociaż przypuszczała, że odbitki wykonane zostały niedawno, trudno było zorientować się, gdzie i kiedy zrobiono same zdjęcia. Negatyw mógł mieć rok, ale równie dobrze pięć lat.

Bez wątpienia temu komuś udało się zwrócić na siebie jej uwagę, natomiast ona najwyraźniej za bardzo wzięła sobie całą sprawę do serca i zbyt się tym wszystkim przejęła.

W ciągu kilku ostatnich lat często otrzymywała korespondencję od wielbicieli.

Przysyłali zdjęcia, do których zazwyczaj dołączali list. Wychwalali jej pracę, a potem prosili o radę lub pomoc, czasami nawet proponowali współpracę przy jakimś konkretnym przedsięwzięciu.

Chociaż w życiu zawodowym odniosła ogromny sukces, wciąż nie zdołała się z nim należycie oswoić. Nie przyzwyczała się do towarzyszącego mu napięcia ani do ogromnych oczekiwań, które czasami wydawały jej się zbyt uciążliwe. Jo popijała kompletnie zimną kawę, nie zwracając uwagi na gwałtowną reakcję żołądka.

Pomyślała, że nie radzi sobie z tym sukcesem tak dobrze, jak powinna. Przyszłoby jej to znacznie łatwiej, gdyby wszyscy dali jej święty spokój i pozwolili robić to, w czym jest najlepsza.

Ukończone odbitki wisiały poprzypinane na żyłce. Ponieważ wywołała już ostatnią partię negatywów, usiadła na taborecie przy stole roboczym, wsunęła stykówkę pod lampkę i zaczęła przyglądać się jej uważnie przez lupę, klatka po klatce.

Nagle ogarnęła ją prawdziwa rozpacz. Każde ujęcie było rozmazane, nieostre.

Cholera jasna, jak to się mogło stać? Czy tak wygląda cała rolka? Poderwała się z taboretu,

zamrugnęła oczami i w tym momencie całkiem wyraźnie zobaczyła łagodny zarys wydm porośniętych wysoką trawą.

Ze śmiechem usiadła z powrotem i rozprostowała obolałe plecy. - To nie odbitki są do niczego, idiotko - mruknęła pod nosem - lecz ty. Odłożyła lupę i zamknęła oczy, by dać im trochę odpocząć. Nie miała siły, by wstać i zrobić sobie następny kubek kawy. Wiedziała, że musi coś zjeść, by dostarczyć organizmowi nowy zapas kalorii. Zdawała sobie również sprawę, że powinna się przespać - wyciągnąć wygodnie w łóżku i zapomnieć o całym świecie. Tego jednak bardzo się bała. We śnie straciłaby do reszty kontrolę nad swoimi myślami i napiętymi nerwami.

Doszła do wniosku, że chyba powinna wybrać się do lekarza i poprosić o jakiś środek uspokajający, który pozwoliłby jej przetrwać najgorszy okres i nie załamać się.

Przypuszczała jednak, że w obecnym stanie musiałaby się zwrócić o pomoc do psychiatry. Gdyby do tego doszło, niewątpliwie nie obyłoby się bez grzebania w przeszłości Jo i wydobywania na wierzch dawno przebrzmiałych spraw, o których bardzo chciała zapomnieć.

Poradzi sobie z tym. Zawsze doskonale dawała sobie radę z przeciwnościami losu. Albo, jak mawiał Brian, skutecznie spychała wszystkich z drogi, by osobiście móc się zająć własnymi problemami i nie być zmuszoną do przyjmowania pomocy od kogokolwiek.

Tylko, właściwie, czy miała jakiś inny wybór - czy którekolwiek z nich mogło zrobić coś innego, gdy zostali sami i miotali się na tym przeklętym, niewielkim skrawku lądu, z dala od całego świata?

Pod wpływem tego wspomnienia ogarnęła ją rozpaczliwa wściekłość. Zadrżała, zacisnęła pięści i z trudem powstrzymała cisnące się jej na usta niemile słowa, które miała ochotę wykrzyknąć nieobecnemu bratu.

Jestem najwyraźniej przemęczona, powiedziała sobie. Po prostu przemęczona, to wszystko. Powinna odłożyć na bok pracę, wziąć jedną z kupionych wcześniej bez recepty pigułek nasennych, wyłączyć telefon i przespać się. Gdyby jej się to udało, byłaby znacznie spokojniejsza i silniejsza.

Kiedy poczuła na ramieniu czyjaś dłoń, krzyknęła przerażona i wypuściła z ręki kubek z kawą.

- Jezu Chryste, Jo! - Bobby Banes odskoczył do tyłu, przy okazji rozrzucając po podłodze korespondencję, którą przyniósł ze sobą.

- Co ty tu robisz? Co ty tu, do diabła, robisz? - Odepchnęła gwałtownie taboret, który zachwiał się i z łoskotem upadł na podłogę. Jej współpracownik patrzył na nią kompletnie zaskoczony.

- Ja... chciałaś... żebyśmy zaczęli o ósmej. Spóźniłem się zaledwie kilka minut.

Jo ciągle nie mogła złapać tchu i przez cały czas mocno zaciskała dłonie na krawędzi stołu, żeby nie upaść.

- O ósmej?

Bobby przytaknął ostrożnie. Stojąc o kilka kroków od niej przełykał głośno ślinę. Jego zdaniem Jo wciąż wyglądała tak, jakby miała ochotę się na niego rzucić.

Współpracował z nią już drugi semestr i od jakiegoś czasu wydawało mu się, że bez trudu potrafi uprzedzać jej polecenia, bezbłędnie oceniać nastroje i unikać złych humorów. Nie miał jednak bladego pojęcia, jak zareagować na widoczny w oczach dziewczyny paniczny strach.

- Dlaczego, do jasnej cholery, nie zapukałeś? - warknęła.

- Pukałem. Kiedy jednak przez dobrą chwilę nikt nie otwierał drzwi, pomyślałem, że pewnie siedzisz w ciemni, w związku z tym skorzystałem z klucza, który mi dałaś, gdy wyjeżdżałaś wykonać ostatnie zlecenie.

- Oddaj mi go! Natychmiast!

- Jasne. Nie ma sprawy, Jo. - Patrząc jej prosto w oczy, zaczął grzebać w przedniej kieszeni wyblakłych džinsów. - Nie chciałem cię przestraszyć.

Jo opanowała się i wzięła od niego klucz. W tym momencie zdała sobie sprawę, że jest nie tylko przerażona, lecz również zawstydzona. By zyskać na czasie, schyliła się i podniosła taboret.

- Przepraszam, Bobby. Okropnie mnie przestraszyłeś. Nie słyszałam twoje go pukania.

- Nie ma sprawy. Jeśli chcesz, mogę ci przynieść następną filiżankę kawy.

Potrząsnęła głową. Ponieważ nadal ugiwały się pod nią nogi, usiadła na taborecie i uśmiechnęła się do Bobby'ego. To dobry student, pomyślała - może na razie nie grzeszy przesadną skromnością, jeśli chodzi o ocenę własnych prac, ale w końcu ma zaledwie dwadzieścia jeden lat.

Doskonale zdawała sobie sprawę, że Bobby bardzo stara się wyglądać na studenta szkoły artystycznej. Dlatego zbiera gumką sięgające pleców, ciemnoblonde włosy, a w jednym uchu nosi złoty kolczyk, który świetnie wygląda przy jego pociągłej twarzy. Z pewną zazdrością spojrzała na idealnie równe zęby chłopaka. Najwyraźniej jego rodzice wierzyli w aparaty ortodontyczne, pomyślała, przesuwając językiem po własnym, niezbyt idealnym zgryzie. Jej zdaniem Bobby miał dobre oko i ogromne możliwości. To przede wszystkim dlatego z nią pracował. Tym sposobem Jo spłacała dług wobec tych, którzy wiele lat temu jej samej umożliwili zdobycie wykształcenia.

W jego dużych, brązowych oczach wciąż widać było nieufność, więc z ogromnym wysiłkiem znowu się do niego uśmiechnęła.

- Miałam koszmarną noc.

- To widać. - Zauważywszy, że zdziwiona unosi brwi, uśmiechnął się. - Fotograf musi dostrzegać wszystko, prawda? A ty po prostu fatalnie wyglądasz. Pewnie nie mogłaś spać?

Jo nigdy nie była kobietą próżną, wzruszyła więc jedynie ramionami i przetarła zmęczone oczy.

- Na to wygląda.

- Powinnaś wypróbować melatoninę. Moja matka ręczy głową za jej skuteczność. - Kucnął, by pozbierać skorupki rozbitego kubka. - Poza tym może udałoby ci się ograniczyć nieco kawę.

Uniósł głowę i zobaczył, że Jo wcale go nie słucha. Ponownie zaprzątnięta była jakimiś myślami. Ostatnio zdarzało jej się to bardzo często. Właściwie od pewnego czasu zrezygnował z wszelkich prób namawiania jej, żeby zaczęła prowadzić nieco zdrowszy tryb życia. Tym razem postanowił jednak zaryzykować.

- Znowu żyjesz wyłącznie kawą i papierosami. - Tak.

- Sama się wpędzasz do grobu. Przydałyby ci się jakieś ćwiczenia. W ciągu ostatnich kilku tygodni straciłaś prawie pięć kilo. Przy twoim wzroście powinnaś ważyć więcej. Poza tym masz bardzo drobne kości, więc postępując w ten sposób znacznie zwiększasz swoje szanse na osteoporozę. Nie byłoby głupio, gdy byś wzmocniła kości i mięśnie.

- Wiem.

- Powinnaś wybrać się do lekarza. Moim zdaniem masz anemię. Jesteś bardzo blada, a do worków pod oczami mogłabyś bez trudu zapakować połowę swojego ekwipunku.

- Bardzo miło z twojej strony, że to zauważyłaś.

Pozbierał największe skorupy i wrzucił je do kosza na śmieci. Trudno było tego nie zauważyć. Twarz Jo zawsze przykuwała uwagę, nawet pomimo podejmowanych przez nią usilnych starań, by zniszczyć własną urodę. Nigdy nie widział na jej twarzy ani śladu makijażu. Włosy niezmiennie ściągała z tyłu gumką, tymczasem dla każdego, kto na nią patrzył było oczywiste, że powinny one stanowić oprawę jej owalnej twarzy o niezwykle subtelnym rysach, egzotycznych oczach i seksownych ustach.

Bobby poczuł, że się rumieni. Na pewno Jo serdecznie by się uśmieła, gdyby wiedziała, że odkąd zaczął u niej pracować, trochę się w niej durzył. Według niego był

to zarówno podziw dla jej dokonań w dziedzinie fotografii, jak i pociąg fizyczny, choć z tym drugim już prawie udało mu się poradzić.

To jednak wcale nie zmieniało faktu, że gdyby się choć trochę postarała i podkreśliła swoją alabastrową cerę, pociągnęła szminką te cudowne usta i delikatnie podmalowała oczy, wyglądałaby wystrzałowo.

- Mogę ci zrobić śniadanie - zaczął. - Oczywiście, jeśli masz w domu coś oprócz batonów i spleśniałego chleba.

Jo wzięła głęboki oddech i odwróciła się.

- Nie, dziękuję. Może potem wstąpimy gdzieś, by coś przekąsić. Na razie jestem spóźniona.

Odsunęła taboret i kucnęła, by podnieść korespondencję.

- Wiesz, Jo, na pewno nic by się nie stało, gdybyś wzięła kilka dni wolnego i zajęła się sobą. Moja mama na przykład jeździ do Miami.

W tym momencie w ogóle przestała go słuchać. Podniosła szarą kopertę, na której ktoś dużymi, drukowanymi literami napisał starannie jej imię i nazwisko.

Otarła pot z czoła. Początkowy strach przerodził się w przerażenie i poczuła, że żołądek podchodzi jej do gardła.

Tym razem koperta była znacznie grubsza i cięższa niż poprzednie. Wyrzucił ją, podpowiadał jej jakiś wewnętrzny głos. Nie otwieraj. Nie zagłądaj do środka.

Mimo to bezwiednie rozerwała kopertę. Kiedy próbowała usunąć niewielki, metalowy spinacz, mimo woli z jej piersi wyrwał się cichy jęk. Na podłogę posypała się lawina zdjęć. Jo złapała w powietrzu jedno z nich. Była to dobra jakościowo czarno -

biała odbitka o rozmiarach trzynaście na osiemnaście centymetrów. Tym razem jednak nie przedstawiała jedynie jej oczu, lecz całą postać. Rozpoznała tło, park w pobliżu jej domu, gdzie często chodziła na spacer. Następne zdjęcie wykonane zostało w centrum Charlotte: stała na krawężniku z przerzuconą przez ramię torbą, w której nosiła aparat fotograficzny.

- Hej, ktoś zrobił ci niezłe zdjęcie.

Kiedy Bobby schylił się, żeby wziąć jedną z odbitek, uderzyła go w rękę i warknęła na niego.

- Do jasnej cholery, nie zbliżaj się. - Przykucnęła oddychając ciężko i zaczęła gorączkowo oglądać poszczególne odbitki. Na wszystkich zdjęciach uchwycona została podczas zwyczajnych, codziennych zajęć. Ktoś sfotografował ją wracającą z zakupów z torbą pełną artykułów spożywczych, wysiadającą z samochodu.

On jest wszędzie i bacznie mnie obserwuje. Niezależnie od tego, gdzie idę i co robię, on tam jest. Poluje na mnie, pomyślała, czując, że zaczyna szczekać zębami.

Poluje na mnie, a ja nic nie mogę na to poradzić. Nie jestem w stanie nic zrobić, dopóki...

Nagle zamarła w całkowitym bezruchu i tylko odbitka, którą właśnie miała w dłoni drżała, jakby w mieszkaniu panował silny przeciąg. Jo nie była w stanie nawet krzyknąć, dusiła się.

Zdrętwiała z przerażenia.

Trzymane przez nią zdjęcie wykonane zostało znakomicie - ktoś naprawdę po mistrzowsku dobrał oświetlenie, kontrast oraz fakturę. Była naga, a jej skóra lśniła jakimś niezwykłym blaskiem. Leżała w bardzo spokojnej pozycji, z delikatnie pochyloną głową i przekrzywionym na bok podbródkiem. Jedną rękę położyła na brzuchu, a drugą odrzuciła nad głowę, zupełnie jakby spała.

Miała jednak otwarte, pozbawione wyrazu oczy. Były to oczy lalki. Martwe oczy.

W tym momencie ze zdwojoną siłą wrócił koszmarny sen. Ponownie spoglądała na samą siebie i nie była w stanie wyrwać się z otaczającej ją ciemności.

Jednak, mimo przerażenia, zdołała zauważyć pewne różnice. Kobieta na zdjęciu miała wspaniałą masę falujących włosów, które rozczesane zostały wokół jej głowy, tworząc coś w rodzaju wachlarza. Poza tym rysy twarzy były trochę subtelniejsze, a ciało - nieco dojrzałe.

- Mama? - szepnęła i zacisnęła dłonie na zdjęciu. - Mama?

- Co jest, Jo? - Roztrzęsiony widokiem jej szklistych oczu, Bobby poczuł, że i jemu udzielił się strach. To tłumaczyło, dlaczego jego głos brzmiał tak nienaturalnie. -

Co jest, do jasnej cholery?

- Gdzie jest jej ubranie? - Jo odchyliła nieco głowę i zaczęła kołysać się na piętach. Tępe dudnienie w uszach sprawiło, że w ogóle nie była w stanie myśleć. -

Gdzie ono jest?

- Spokojnie. - Bobby zrobił krok do przodu i pochylił się, żeby wyjąć jej z ręki zdjęcie.

Gwałtownie uniosła głowę.

- Nie zbliżaj się do mnie! - Na policzkach Jo pojawiły się rumieńce, które z każdą chwilą stawały się coraz ciemniejsze. W jej oczach widać było przebłyски szaleństwa. - Nie dotykaj mnie! Nie dotykaj jej!

Przestraszony i zdumiony, wyprostował się i uniosł obie ręce do góry.

- W porządku. Jak chcesz, Jo.

- Nie chcę, żebyś ją dotykał. - Czuła lodowate zimno. Ponownie spojrzała na zdjęcie. To na pewno była Annabelle. Młoda, nieprawdopodobnie piękna i... martwa. -

Jak mogła nas zostawić? Jak mogła od nas odejść? Dlaczego to zrobiła?

- Może musiała - powiedział Bobby cicho.

- Nie, przecież była nam tak bardzo potrzebna. Ale ona nas nie chciała.

Była taka śliczna. - Po policzkach Jo płynęły łzy, a trzymane w rękach zdjęcie ani na chwilę nie przestawało drżeć. - Była taka piękna. Jak królewna z bajki.

Zawsze sądziłam, że jest królewną. Zostawiła nas. Zostawiła nas i odeszła. A te raz nie żyje.



Cały świat wokół niej zaczął wirować w szalonym tempie. Przyciskając zdjęcie do piersi, skuliła się i rozplakała.

- Już dobrze, Jo, już dobrze. - Bobby pochylił się nad nią delikatnie. - Już wszystko w porządku. Chodź, poszukamy pomocy.

- Jestem taka zmęczona - wyszeptała i pozwoliła się podnieść, zupełnie jakby była dzieckiem. - Chcę do domu.

- W porządku. Zamknij oczy.

Zdjęcie wyslizgnęło się jej z rąk i upadło na podłogę, na stos pozostałych odbitek. Zdążyła jeszcze zobaczyć umieszczony na odwrocie napis. Ogromne, drukowane litery.

## ŚMIERĆ ANIOŁA

Gdy pogrążała się w ciemności, pomyślała o Sanktuarium.

## ROZDZIAŁ 2

O brzasku powietrze było przejrzyste jak marzenie, które lada chwila może się rozwiać. Pierwsze promienie słońca przebijały się przez gęstą zasłonę gałęzi dębów i połyskiwały w kroplach rosy. Gajówki i trznadłe, które gnieździły się w płataninie mchu, zdążyły się już obudzić i teraz radosnym śpiewem witały wstający dzień.

Przypominający czerwoną kulę kardynał bezszelestnie śmigał między drzewami.

Świt był jego ulubioną porą dnia. Miał wówczas trochę czasu dla siebie, nie wzywały go jeszcze codzienne obowiązki, mógł być sam i nic nie przerywało mu rozmyślań.

Brian Hathaway od urodzenia mieszkał na Desire. Nigdy nie miał zamiaru stąd wyjeżdżać. Zobaczył kawałek Stanów i zwiedził kilka dużych miast. Pewnego razu, działając pod wpływem impulsu, wybrał się nawet na urlop do Meksyku, tak więc mógł spokojnie powiedzieć, że był za granicą.

Ale najlepiej czuł się na wyspie, doskonale znając wszystkie jej zalety i wady.

Tutaj przyszedł na świat. Wydarzenie to miało miejsce w pewną wrześniejącą, huraganową noc trzydzieści lat temu. Urodził się w ogromnym, dębowym łożu z baldachimem, a odebrał go jego własny ojciec i Miss Effie - stara Murzynka, która uwielbiała palić fajkę z kaczanów kukurydzy. Jej rodzice byli niewolnikami pracującymi kiedyś tutaj na plantacji bawełny.

Kiedy Brian był bardzo młody, Miss Effie często opowiadała mu historię jego narodzin. Wiatr zawodził za oknami, na morzu był sztorm, a w domu, w ogromnym łożu, jego matka urodziła go, zupełnie jakby była żoną wojownika - ze śmiechem wyrzuciła dziecko z siebie prosto w ręce czekającego na nie ojca.

To była doskonała opowieść. Swego czasu Brian często próbował sobie wyobrazić śmiejącą się

matkę i czekającego niecierpliwie, pragnącego wziąć go w ramiona ojca.

Matka odeszła wiele lat temu, a stara Miss Effie umarła. Dużo, bardzo dużo czasu upłynęło również od chwili, kiedy ojciec pragnął wziąć go w ramiona.

Brian wędrował wśród rzednącej mgiełki, mijając ogromne drzewa o pniach poznaczonych jaskraworóżowymi i czerwonymi porostami. Uwielbiał tę tajemniczą, pełną cieni krainę, gdzie tak wspaniale rozrastały się paprocie i krzaczaste palmy karłowate. Był wysokim, niezwykle chudym mężczyzną o sylwetce bardzo podobnej do sylwetki ojca. Miał ciemne, bardzo gęste włosy, śniadą cerę i chłodne, niebieskie oczy. Jego pociągła, melancholijna twarz zawsze bardzo podobała się kobietom.

Kusiły je również wydatne usta, na których bardzo rzadko pojawiał się uśmiech.

Niewielka zmiana natężenia światła zasygnalizowała mu, że pora wracać do Sanktuarium. Trzeba przygotować śniadanie dla gości.

Kuchnia była drugą po lesie miłością Briana. Jego ojciec uważał to za swego rodzaju dziwactwo. Brian z pewnym rozbawieniem zdawał sobie sprawę, że Sam Hathaway czasami zastanawia się, czyjego syn nie jest gejem. Przecież, skoro facet zawodowo zajmuje się gotowaniem, musi być z nim coś nie w porządku.

Gdyby potrafili otwarcie rozmawiać ze sobą na takie tematy, Brian powiedziałby ojcu, że chociaż z ogromną przyjemnością przyrządza w kuchni doskonałe bezy, jednak do łóżka zawsze będzie wolał pójść z kobietą. Problem polegał

tylko na tym, że nie był człowiekiem skłonny do zwierzeń.

Ale czyż zachowywanie dystansu w stosunku do innych ludzi nie było jedną z cech rodzinnych Hathawayów?

Brian szedł przez las tak cicho jak jeleń. Chcąc sobie sprawić przyjemność, wybrał długą, okrężną ścieżkę, która przecinała potok Half Moon. Nad samą wodą unosiła się biała jak mleko mgła, a w idealnej, niczym niezmaconej ciszy trzy łanie spokojnie gasiły pragnienie.

Mam jeszcze trochę czasu, pomyślał Brian. Na Desire nigdy nikomu się nie spieszy. Usiadł na powalonej kłodzie i czekał, aż wszędzie słońce.

Wyspa w swoim najszerszym miejscu miała niewiele ponad trzy kilometry, a od jednego do drugiego cypla niecałe dwadzieścia. Brian znał każdy centymetr kwadratowy jej powierzchni. Setki razy przemierzał wybielony przez słońce piasek plaż i chłodne, cieniste moczary z czającymi się w nich sędziwymi, cierpliwymi aligatorami. Kochał wydmy i cudowne, wilgotne, falujące łąki, otoczone przez młode sosny i majestatyczne dęby.

Ale jego ulubionym miejscem był las pełen cienistych miejsc i związanych z nimi tajemnic.

Znał historię należącego do jego rodziny domu, który powstał dzięki plantacjom bawełny i indygo

oraz ciężkiej pracy niewolników. Jego przodkowie dorobili się ogromnych fortun. Ludzie bogaci przyjeżdżali na wyspę, by trochę odpocząć i rozerwać się w tym odizolowanym od reszty świata, maleńkim raju. W

lesie polowali na dzikie świny i zwierzyinę płową, na plażach zbierali muszle, a kiedy mieli ochotę wybrać się na ryby, łowili je w rzece lub morskich falach.

Wieczorami, przy blasku świec płonących w kryształowych kandelabrach, tańczyli w sali balowej lub w specjalnie przeznaczonym do tego celu pokoju beztriosko grali w karty, równocześnie popijając burbona i paląc grube, kubańskie cygara. W

upalne, słoneczne popołudnia wylegiwali się na werandzie, a niewolnicy przynosili im szklanki z zimną lemoniadą.

Sanktuarium stanowiło enklawę ludzi uprzywilejowanych, było niemym świadkiem sposobu życia, który już dawno temu został skazany na niepowodzenie.

Potentaci, którzy zamienili Sanktuarium w prywatne ustronie, przez wiele lat dorabiali się fortun i tracili je, zajmując się wydobywaniem rudy, wytapianiem stali oraz transportem morskim.

Chociaż zdobyte przez nich pieniądze od dawna były już jedynie legendą, Sanktuarium wciąż stało, a sama wyspa nadal należała do potomków owych królów bawełny i stali. Porozrzucane na Desire domki wybudowane za wzniesieniami wydm, ukryte w cieniu drzew, zwrócone w stronę szerokiej, falującej cieśniny Pelikana, przez wiele pokoleń pozostawały w rękach tych samych, nielicznych rodzin, dla których ten maleńki skrawek lądu był prawdziwym domem.

Tak powinno pozostać.

Jego ojciec z jednakowym zapałem przeciwstawiał się zarówno inwestorom budowlanym, jak i działaczom ochrony środowiska. Nie będzie na Desire miejscowości wypoczynkowych, ale też żadne zabiegi rządu nie przekonają Sama Hathawaya, by zgodził się na przeobrażenie jego wyspy w park narodowy. Zdaniem Briana, był to pomnik wystawiony przez jego ojca niewiernej żonie. Jego błogosławieństwo i przekleństwo.

Chociaż wyspa była właściwie odcięta od świata, a może właśnie przede wszystkim dlatego, wciąż pojawiali się na niej goście. Aby utrzymać dom i wyspę Hathawayowie przekształcili część Sanktuarium w pensjonat.

Brian doskonale zdawał sobie sprawę, że Sam tego nienawidzi - najchętniej nie wpuszczałby tu nikogo i nie pozwolił postawić stopy na należącej do niego ziemi. Była to jedyna rzecz, o którą kiedykolwiek kłócił się ze swoją żoną. Annabelle chciała ściągnąć na wyspę większą ilość turystów, chciała przyciągnąć tu ludzi i prowadzić swego rodzaju życie towarzyskie, którym niegdyś tak bardzo cieszyli się jej przodkowie. Sam, jak sknera wydzielający każdego centa, upierał się, by niczego nie ruszać, nie wprowadzać żadnych zmian i kontrolować ilość gości, zwłaszcza tych, którzy pojawiali się na wyspie na jedną noc. Brian był przekonany, że ostatecznym powodem ucieczki matki była jej tęsknota za ludźmi, za ich twarzami i głosami.

Jednak, niezależnie od podejmowanych wysiłków, ojciec nie był w stanie powstrzymać postępujących zmian, tak samo jak wyspa nie mogła powstrzymać morza.

Świat idzie naprzód, pomyślał Brian, kiedy sarny jak na komendę odwróciły się i wskoczyły między drzewa. Dla niego samego udogodnienia nie miały większego znaczenia, ale korzystanie z dobrodziejstw postępu technicznego okazało się absolutną koniecznością w przypadku pensjonatu; bez nich trudno byłoby myśleć o należytej obsłudze gości. Prawdę mówiąc, ogromną przyjemność sprawiało mu zarządzanie całym tym przedsięwzięciem, planowanie stopniowych zmian i wprowadzanie ich w życie. Lubił gości, uwielbiał czuć obecność obcych ludzi, chętnie obserwował ich przyzwyczajenia i oczekiwania, słuchał przypadkowych opowieści o ich świecie.

Nie miał nic przeciwko osobom, które pojawiały się w jego życiu - przynajmniej dopóty, dopóki nie zamierzały osiedlić się na stałe na wyspie. Absolutnie nie wierzył, że ktokolwiek może chcieć zostać tu na dłuższą metę.

Annabelle nie została.

Brian wstał trochę zdenerwowany faktem, że nagle zaboląła go rana sprzed ponad dwudziestu lat. Odwrócił się i ruszył krętą, wznoszącą się łagodnie ścieżką, która prowadziła w stronę Sanktuarium.

Kiedy wyszedł spośród drzew, oślepiły go promienie słońca. Oświetlały one delikatną mgiełkę, która unosiła się nad fontanną, i zamieniały każdą pojedynczą kropelkę wody w miniaturową tęczę. Spojrzał na przeciwległy kraniec ogrodu.

Tulipany mieniły się kolorami, różowe goździki wyglądały, jakby czekały, aż ktoś uczesze ich rozczochrane główki, a... tam widać jakiś fioletowy kwiatek. Za nic w świecie nie mógł sobie przypomnieć jego nazwy. Brian był kiepskim ogrodnikiem, wciąż usiłował opanować podstawową wiedzę w tym zakresie. Przyjeżdżający na Desire goście, oprócz lśniących antyków i doskonałych posiłków, spodziewali się również pięknego ogrodu.

Aby ich tu zwabić, trzeba było bardzo dbać o Sanktuarium, a z tym wiązało się mnóstwo pracy i nieprawdopodobna ilość godzin, które należało poświęcić, by utrzymać wszystko w idealnym stanie. Jednak, gdyby nie odwiedzający wyspę goście, zabrakłoby środków na utrzymanie Sanktuarium. W związku z tym, pomyślał Brian, z naburmuszona miną przyglądając się kwiatom, było to błędne koło, wąż połykający własny ogon. Pułapka bez wyjścia.

- Ageratum.

Brian gwałtownie uniósł głowę. Musiał przymrużyć oczy, ponieważ kobieta, która się odezwała, stała pod słońce. Mimo to bez trudu poznał jej głos. Był zły, że zdołała bezszelestnie podejść go od tyłu, jednak to nie doktor Kirby Fitzsimmons stanowiła największy powód do zmartwień.

- To ageratum - powtórzyła i uśmiechnęła się. Doskonale wiedziała, że go rozzłościła, i uznała ten fakt za pewien postęp. Od roku bez przerwy wchodziła mu w drogę, ale dopiero dzisiaj po raz pierwszy zareagował na nią w taki sposób. - Mówię o kwiatku, na który patrzysz. Twój ogród, Brian, wygląda na nieco zaniedbany.

- Muszę się nim zająć - powiedział, po czym sięgnął po swą najlepszą broń: milczenie.

Nigdy nie czuł się całkiem swobodnie w towarzystwie Kirby. Nie chodziło wcale o jej wygląd, chociaż była niezwykle atrakcyjną, subtelną blondynką. Brian podejrzewał, że jego skrepowanie spowodowane jest raczej jej sposobem bycia, będącym całkowitym zaprzeczeniem subtelności. Była sprytna, inteligentna i wydawało się, że wie wszystko o wszystkim i o wszystkich.

Mówiła z dziwnym akcentem, który kojarzył mu się z wyższymi sferami Nowej Anglii. Albo, gdy chciał być bardziej złośliwy, z cholernymi Jankeami. Miała również typowe dla Jankeów kości policzkowe, które podkreślały zielone jak morze oczy i delikatnie zadarty nos. Zaś pełne usta - nie za duże, nie za małe - były jeszcze jednym wkurzająco doskonałym szczegółem, którym mogła się poszczycić.

Brian od dawna spodziewał się wieści, że pani doktor zamknęła niewielki domek, który odziedziczyła po swej babce, zrezygnowała z prowadzenia w nim prywatnej praktyki i wróciła na stały ląd. Tymczasem jednak mijał miesiąc za miesiącem, a ona nadal tu była i powoli zapuszczała korzenie.

Poza tym bez przerwy zachodziła mu za skórę.

Przez cały czas miała na ustach kpiarski uśmieszek i co chwilę odgarniała do tyłu delikatne fale jasnych jak pszenica włosów, które łagodnie opadały jej na ramiona.

- Piękny mamy ranek.

- Jest bardzo wcześnie. - Wsunął ręce do kieszeni. Zawsze bardzo mu zawadzały i nie miał pojęcia, co z nimi robić, kiedy w pobliżu znajdowała się Kirby.

- Dla ciebie chyba nie jest za wcześnie. - Przechyliła głowę. Bardzo lubiła na niego patrzeć. Od kilku miesięcy miała nadzieję, że nie będzie musiała na tym poprzestać, ale Brian Hathaway był jednym z rodowitych mieszkańców tego maleńkiego skrawka lądu nadal skutecznie opierających się jej urokowi. -

Podejrzewam, że śniadanie nie jest jeszcze gotowe.

- Nie podajemy przed ósmą. - Był święcie przekonany, że ona doskonale o tym wie. Przecież kręci się tutaj wystarczająco często.

- Mogę zaczekać. Co będzie specjalnością tego ranka?

- Jeszcze się nad tym nie zastanawiałem. - Ponieważ nie miał pojęcia, w jaki sposób się jej pozbyć, nawet nie próbował protestować, gdy ruszyła razem z nim.

- Głosuję za goframi cynamonowymi. Mogłabym zjeść przynajmniej dziesięć. -

Przeciągnęła się, splatając palce i unosząc ramiona nad głowę.

Robił wszystko, żeby nie patrzeć, jak cienka, bawełniana bluzeczka opina się na jej drobnych, jędrnych piersiach. W ciągu ostatniego roku niezauważanie Kirby Fitzsimmons stało się jego prawdziwym hobby. Skręcił w wysypaną pokruszonymi muszelkami ścieżkę i ruszył dookoła domu, nie zwracając uwagi na mijane wiosenne kwiaty.

- Możesz chwilę poczekać w salonie albo w jadalni.

- Wolę usiąść w kuchni. Bardzo lubię patrzeć, jak gotujesz. - Zanim zdołał

wymyślić, w jaki sposób wybić jej ten pomysł z głowy, przeszła przez tylny ganek i znalazła się w jego królestwie.

Jak zwykle było tutaj bardzo czysto. Kirby wysoko ceniła u mężczyzn schludność, tak samo jak dobrze rozwinięte mięśnie i błyskotliwy umysł. Brian miał

wszystkie trzy przymioty i dlatego niezmiernie ją interesowało, jakim byłby kochankiem.

Miała nadzieję, że w końcu zdoła się tego dowiedzieć. Kirby zawsze wiedziała, w jaki sposób dążyć do celu. Teraz musiała jedynie bez przerwy nadkruszać pancerz, za którym ukrywał się Brian.

Trzeba przyznać, że było to dość ciekawe zajęcie. Od czasu do czasu, kiedy słabiej się pilnował, widziała, że bacznie ją obserwuje. Zdaniem pani doktor nie ulegał

jej jedynie dlatego, że był nieprawdopodobnie uparty. To również doceniała. Bawiły ją istniejące w nim przeciwieństwa.

Siadając na taborecie przy kontuarze wiedziała, że on sam z siebie niewiele powie, w związku z tym jeśli chce, żeby w ogóle się odezwał, musi go do tego przez cały czas zachęcać. Milczenie pozwalało mu utrzymywać dystans między sobą a innymi ludźmi. Była jednak pewna, że należy jej filiżankę naprawdę fantastycznej kawy nie zapominając, że powinna być bardzo słaba. Na tym właśnie polegała jego wrodzona gościnność.

Kirby pozwoliła mu przez chwilę zachować milczenie i popijała parujący napój, który, zgodnie z przewidywaniami, przed nią postawił. Wcale się z nim nie drażniła mówiąc, że lubi obserwować go przy gotowaniu.

Być może kuchnia tradycyjnie jest domeną kobiet, ale pomieszczenie, w którym przyrządzano posiłki w Sanktuarium było bardzo męskie. Tak samo jak pracujący w nim człowiek, pomyślała Kirby, przyglądając się dużym dłoniom Briana, jego gęstym włosom i inteligentnej twarzy.

Ponieważ na wyspie właściwie niewiele rzeczy mogło przez dłuższy czas pozostać tajemnicą, Kirby wiedziała, że osiem lat temu Brian całkowicie przerobił

kuchnię. Osobiście ją zaprojektował, wybrał kolory i materiały. Zamienił ją w miejsce pracy mężczyzny. Zdecydował się na długie blaty w kolorze granitu i mnóstwo wykończeń z nierdzewnej stali.

Odpowiednie oświetlenie zapewniały trzy wysokie, pozbawione zasłon okna o drewnianych framugach. Poniżej znajdował się szary kontuar zamontowany tam z myślą o rodzinnych posiłkach, chociaż z tego, co wiedziała, Hathawayowie niezwykle rzadko wspólnie zasiadali do stołu. Podłoga wyłożona była gładkimi, kremowymi kafelkami, a ściany białymi. Brian nie lubił zdobień.

Sympatycznymi swojskimi dodatkami były lśniące, miedziane dzbanki zawieszane na haczykach oraz wianuszki suchego pieprzu i czosnku. Całości dopełniała półka, na której Brian poustawiał staroświeckie naczynia kuchenne.

Prawdopodobnie traktował je jako przedmioty użytkowe, a nie swego rodzaju ozdobę, ale to właśnie one dodawały całemu pomieszczeniu ciepła.

Zostawił również stare, ceglane palenisko, które pamiętało jeszcze czasy, kiedy kuchnia była sercem tego domu, miejscem, w którym chętnie się spotykano i przesiadywano godzinami. Najbardziej lubiła to palenisko w zimie, kiedy zapalano w nim ogień, a zapach płonącego drewna sympatycznie mieszał się z wonią dobrze przyprawionego gulaszu albo gotujących się właśnie zup.

Olbrzymi, nowoczesny kuchenny piec wydawał się Kirby niezwykle skomplikowanym urządzeniem, wymagającym od obsługującej go osoby ukończenia co najmniej uczelni technicznej. Z drugiej jednak strony jej umiejętności kulinarne były niezwykle ograniczone, potrafiła jedynie wyjąć paczuszkę z zamrażarki i wrzucić ją do kuchenki mikrofalowej.

- Uwielbiam to pomieszczenie - powiedziała. Był zajęty mieszaniem czegoś w ogromnej, niebieskiej misce, dlatego jedynie niewyraźnie burknął coś pod nosem.

Traktując to jako odpowiedź, Kirby zsunęła się z taboretu i nalała sobie drugi kubek kawy. Pochyliła się nad masą znajdująca się w misce, przy okazji lekko ocierając się o ramię Briana.

- Gofry?

Odsunął się delikatnie. Poczul jej zapach.

- Przecież na to właśnie miałaś ochotę, prawda?

- Tak. - Podniosła kubek i uśmiechnęła się znad jego brzegu. - Miło jest dostawać to, na co ma się ochotę, nie sądzisz?

Przyszło mu na myśl, że Kirby ma najbardziej niesamowite oczy pod słońcem.

Jako dziecko wierzył w istnienie syren i teraz już wiedział, że musiały mieć właśnie takie oczy, jak Kirby.

- Nic trudnego, jeśli chodzi jedynie o gofry.

Cofnął się o krok, obszedł ją i z dolnej szafki wyjął gofrownicę. Kiedy ją włączył, odwrócił się i wpadł na Kirby. Automatycznie chwycił ją za ramię, by nie upadła, i...



nie cofnął ręki.

- Płaczesz mi się pod nogami.

Przysunęła się odrobineczkę, z przyjemnością wsłuchując w szybszy rytm własnego serca.

- Myślałam, że mogę pomóc.

- W czym?

Z uśmiechem przesunęła wzrok na jego usta, a potem z powrotem popatrzyła mu w oczy.

- W czymkolwiek. - A niech to jasna cholera, pomyślała, i spokojnie położyła dłoń na jego klatce piersiowej. - Może mogłabym ci się do czegoś przydać?

Brian poczuł, że krew coraz szybciej krąży mu w żyłach. Zanim zdołał się zastanowić, zacisnął mocniej palce na jej ramieniu. Myślał o tym, naprawdę o tym myślał. Co by było, gdyby po prostu przycisnął ją do lady i wziął to, co bez przerwy z maniackim uporem podsuwa mu pod nos?

Wówczas na pewno przestałaby się tak wyniośle uśmiechać.

- Włazisz mi w drogę, Kirby.

Tym razem zdołała postawić na swoim. To zdecydowany postęp, pomyślała, czując pod dłonią przyspieszone bicie jego serca.

- Już prawie od roku włożę ci w drogę, Brian. Kiedy masz zamiar w końcu coś z tym zrobić?

Zauważyła w jego oczach niebezpieczny błysk. Czekać na to, co się za chwilę wydarzy, zaczęła niespokojnie oddychać. Nareszcie, pomyślała i delikatnie wychyliła się w jego stronę.

Puścił jej ramię i odsunął się do tyłu. Ten ruch był tak niespodziewany i gwałtowny, że niewiele brakowało, a byłaby upadła.

- Pij kawę - powiedział. - Jestem zajęty.

Z zadowoleniem zauważył, że tym razem, dla odmiany, to on ją zaskoczył.

Uśmiech wyższości zniknął z jej twarzy. Zmarszczyła swe delikatne brwi, a w jej oczach pojawiła się złość i żar.

- Cholera jasna, Brian. O co ci chodzi?

Zręcznie nalał chochlą ciasto do rozgrzanej gofrownicy.

- O nic. - Kiedy zamknęła oczy, przyjrzał się jej z ukosa. Była zarumieniona i ze złości mocno zacisnęła wargi. Na pewno w głębi duszy potwornie mnie przeklina, pomyślał. To dobrze.

- W jaki sposób mogę zwrócić na siebie twoją uwagę? - Z trzaskiem odstawiła kubek kawy, rozlewając przy okazji gorący płyn na nieskazitelnie czystą ladę. - Mam się tu przespacerować nago?

W kącikach jego ust pojawił się delikatny uśmiezek.

- Wiesz co, może to jest myśl? Dzięki temu mógłbym podnieść nieco ceny. -

Uniósł głowę. - Ale tylko wtedy, gdyby się okazało, że na golasa dobrze się prezentujesz.

- Fantastycznie się prezentuję, gdy nic na sobie nie mam, i dawałam ci mnóstwo okazji, żebyś spróbował się o tym przekonać.

- Wolałbym sam wypracować sobie odpowiednią okazję. - Otworzył lodówkę. -

Chcesz jajka do gofrów?

Kirby zacisnęła pięści, w tym momencie jednak przypomniała sobie składaną nie tak dawno przysięgę, że będzie leczyć, a nie szkodzić, dlatego szybko odwróciła się na pięcie.

- Wypchaj się swoimi goframi - mruknęła pod nosem i ruszyła w stronę ganku.

Brian odczekał, aż usłyszy trzaśnięcie drzwiami, a potem uśmiechnął się od ucha do ucha. Uznał, że w tej niewielkiej potyczce dwóch nieugiętych charakterów odniósł

zwycięstwo. By to uczcić, postanowił zjeść jej gofry. Właśnie zrzucał je na talerz, gdy w drzwiach pojawiła się Lexy.

Zamarła na moment w określonej pozie. Zarówno ona jak i Brian doskonale wiedzieli, że robi to raczej z przyzwyczajenia, niż z chęci wywarcia jakiegokolwiek wrażenia na bracie. Miała niezwykle gęste, kręcone włosy, które wspaniałą kaskadą spływały w artystycznym nieładzie na ramiona i połyskiwały jej ulubionym obecnie odcieniem, noszącym szumną nazwę „renesansowej czerwieni”.

Lexy bardzo ceniła sobie wpływ Tycjana i uważała, że ta farba do włosów jest znacznie lepsza od używanej przez nią dotychczas bardzo niepraktycznej „bombowej blondynki”.

Stosowany przez nią w tej chwili kolor był jedynie odrobinę jaśniejszy i żywszy od tego, którym obdarzył ją Bóg, i doskonale pasował do jej mlecznobiałej cery. Lexy po ojcu odziedziczyła piwne oczy, które czasami potrafiły zmieniać barwę. Tego ranka były ciemne, miały kolor pochmurnego morza podkreślony starannie naniesioną warstwą tuszu do rzęs i odpowiednim cieniem.

- Gofry - powiedziała, a jej głos przypominał koci pomruk. Efekt ten ćwiczyła bardzo długo z ogromnym nabożeństwem i, prawdę mówiąc, teraz nie po trafiła już mówić inaczej. - Mniam.

Obojętny na jej zakusy Brian odciął pierwszy kawałek i uniósł go do ust.

- To moje.

Lexy odrzuciła do tyłu swą cygańską masę włosów, podeszła do kontuaru i uroczo wydeła wargi. Kiedy Brian postawił przed nią talerz, zatrzepotała rzęsami i uśmiechnęła się.

- Dziękuję, kochanie. - Położyła dłoń na jego policzku i pocałowała go w drugi.

Lexy miała bardzo nie hathawayowski zwyczaj głaskania, całowania i obejmowania wszystkich. Brian pamiętał, że kiedy opuściła ich matka, Lexy, jak maleńki piesek, bez przerwy wskakiwała komuś w ramiona, domagając się uścisków oraz pocałunków. Do diabła, pomyślał, miała wówczas zaledwie cztery lata. Szarpnął

ją za włosy i podał jej syrop.

- Czy ktoś już wstał?

- Mmmm. Małżeństwo z błękitnego pokoju powoli zaczyna się ruszać, a kuzynka Kate właśnie bierze prysznic.

- Myślałem, że to ty tego ranka masz podawać gościom śniadanie.

- Tak - powiedziała z pełnymi ustami.

Uniósł brwi i przyjrzał się uważnie jej krótkiej, dopasowanej sukience w duże, krzykliwe wzory.

- Czy od dzisiaj w Sanktuarium taki właśnie strój obowiązuje kelnerki?

Skrzyżowała długie nogi i wepchnęła do ust następny kawałek gofra.

- Podoba ci się?

- Dzięki napiwkom szybko zapracujesz sobie na emeryturę.

- Wiem. - Delikatnie się roześmiała i wbiła widelec w gofra. - O tym właśnie marzę przez całe życie - by móc podawać posiłki obcym ludziom, sprzątać po nich brudne talerze i oszczędzać drobne, które wsuwają mi do kieszeni, żeby potem, na emeryturze, móc otoczyć się prawdziwym zbytkiem.

- Wszyscy mamy swoje marzenia - powiedział Brian bez troski i postawił przed nią filiżankę kawy, do której dodał ogromną ilość śmietanki i cukru. Rozumiał jej rozgoryczenie i uczucie zawodu, chociaż się z tym nie zgadzał. Ponieważ ją kochał, uniósł głowę i zapytał: - Chcesz usłyszeć moje?

- Pewnie ma ono coś wspólnego z wygraniem konkursu Berty Crocker na najlepszy przepis.

- Nie można tego do końca wykluczyć.

- Bri, ja chcę zostać kimś.

- Przecież jesteś kimś. Jesteś Alexą Hathaway, Księżniczką Wyspy. Uniosła wzrok do nieba, po czym wzięła do ręki filiżankę kawy.

- Nie wytrzymałam w Nowym Jorku nawet roku. Cholernego roku.

- Kto chciałby zostać tam na dłużej? - Ten pomysł przyprawił go o gęsią skórę.

Zatłoczone ulice, przykre zapachy, zanieczyszczone powietrze.

- Trudno być aktorką na Desire.

- Skarbie, jeśli o to chodzi, moim zdaniem odwalasz tu kawał niezłej roboty.

Natomiast jeżeli masz zamiar się boczyć, to lepiej idź zjeść do swego pokoju. Psujesz mi humor.

- Tobie jest dużo łatwiej. - Energicznie odsunęła od siebie gofry. Brian złapał

talerz, który niebezpiecznie zbliżył się do krawędzi lady. - Masz to, o czym zawsze marzyłeś. Odpowiada ci życie tutaj i robienie bez przerwy tych samych rzeczy. Ojciec praktycznie zdał na ciebie cały dom, ponieważ tylko dzięki temu może całymi dniami chodzić po wyspie i sprawdzać, czy ktoś przypadkiem nie przesunął o kilka centymetrów jakiegoś ziarnka jego niezwykle cennego piasku.

Poderwała się z taboretu i rozłożyła ręce.

- Jo też osiągnęła to, co chciała. Jest cholernie sławnym fotografem, podróżuje po całym świecie i robi zdjęcia. A co ja mam? No powiedz, co ja mam?

Żaloszny życiorys z kilkoma reklamami, niewiele większą ilość zagranych epizodów i jedną główną rolę w trzyaktowej sztuce, której żywot skończył się na premierze w Pittsburgu. Teraz ponownie tkwię tutaj, podając gościom posiłki i zmieniając w pokojach prześcieradła. Nienawidzę tego. Odczekał chwilę, a potem zaczął bić brawo.

- To była doskonała mowa. Jestem pod wrażeniem, Lex. Muszę przyznać, że fantastycznie potrafisz dobierać słowa, chociaż sędzę, że powinnaś popracować trochę nad całością przedstawienia. Twoja gestykulacja sprawia wrażenie zbyt pretensjonalnej.

Przez moment drżały jej wargi, po chwili jednak mocno je zacisnęła.

- Daj mi święty spokój, Bri. - Gwałtownym ruchem uniosła głowę i wyszła.

Brian wziął do ręki jej widelec. Pomyślał, że tym sposobem odniósł już drugie zwycięstwo tego ranka, więc może spokojnie dokończyć jej śniadanie.

Przez następną godzinę Lexy bez przerwy się uśmiechała i była prawdziwym uosobieniem sławnej gościnności południowców. Doskonale dawała sobie radę jako kelnerka, zresztą podczas pobytu w Nowym Jorku właśnie ta umiejętność ratowała ją przed całkowitą biedą. Z ogromnym wdziękiem obsługiwała stoły, przez cały czas doskonale udając, że robi to z prawdziwą przyjemnością. Miała na sobie obcisłą spódnicę, na tyle krótką, by zdenerwować Briana, co zresztą było zgodne z jej zamierzeniem, i sweterek, który świetnie uwydatniał jej figurę. Trzeba przyznać, że była bardzo

zgrabna i ciężko pracowała, by utrzymać taki stan.

Uważała, że idealna sylwetka jest jej narzędziem, niezależnie od tego, czy pracuje jako aktorka, czy kelnerka. Tak samo jak promienny uśmiech.

- Może podgrzać panu kawę, panie Benson? Jak smakował omlet? Brian fantastycznie spisuje się w kuchni, prawda?

Ponieważ pan Benson najwyraźniej był zachwycony jej piersiami, pochyliła się jeszcze bardziej, by należycie wyrazić wdzięczność za otrzymanego dolara, po czym powędrowała do następnego stolika.

- Państwo nas dzisiaj opuszczają, prawda? - Uśmiechnęła się do nowożeńców, którzy tulili się przy stojącym w kącie stoliku. - Mam nadzieję, że kiedyś powrócicie na Desire.

Żeglowała po całej jadalni, bezbłędnie oceniając, czy klient ma ochotę na krótką pogawędkę, czy woli zostać sam. Jak zwykle w dzień powszedni wszystko szło sprawnie i nie brakowało okazji do popisywania się własnymi umiejętnościami aktorskimi. Lexy marzyła jednak, by móc zaprezentować je nie w tym skromnym pomieszczeniu, ale w wypełnionych po brzegi olbrzymich, nowojorskich teatrach.

Tymczasem, pomyślała, ani na moment nie przestając się promiennie uśmiechać, została obsadzona w roli kelnerki w domu, w którym od lat wszystko wygląda tak samo, na wyspie, na której od dawna nic się nie zmienia.

Tak, nic się tu nie zmieniło od stuleci. Lexy nigdy nie darzyła historii zbyt dużym szacunkiem, jej zdaniem przeszłość była tak samo nudna jak Desire i kilka mieszkających na niej rodzin. Pendletonowie zawierali małżeństwa z Fitzsimmonsami, Brodimi albo Verdonami. Była to Wielka Czwórka tej wyspy. Od czasu do czasu ktoś zbaczał nieco z głównej trasy i poślubiał jakiegoś mieszkańca stałego lądu. Niektórzy nawet się stąd wyprowadzali, większość jednak zostawała na wyspie, przez wiele pokoleń mieszkała w tych samych domach i jedynie od czasu do czasu dodawała jakieś nowe nazwisko do dotychczasowych.

To wszystko jest takie... łatwe do przewidzenia, pomyślała Lexy, kiedy energicznie odwracała kartkę notesu, w którym notowała zamówienia, i z uśmiechem podchodziła do następnego stolika.

Jej matka wyszła za mąż za mieszkańca stałego lądu i obecnie Sanktuarium należało do Hathawayów. To właśnie oni od ponad trzydziestu lat mieszkali tu, pracowali, nie szczędzili krwi ani potu, zajmując się domem i całą wyspą.

Mimo to stojące na szczycie wzniesienia Sanktuarium nadal jest i zawsze będzie domem Pendletonów - wszystko wskazywało na to, że nie było od tego ucieczki.

Wepchnęła napiwki do kieszeni i zabrała brudne talerze. W momencie, kiedy weszła do kuchni, w jej oczach pojawił się chłód. Cały swój urok pozostawiła za drzwiami, a zrobiła to z taką łatwością, jakby była wężem zrzucającym skórę.

Rozzłościło ją, że Brian w ogóle nie reaguje na manifestowaną przez nią oziębłość.

Odstawiła naczynia, wypila filiżankę świeżej kawy, po czym wróciła do jadalni.

Przez dwie godziny podawała posiłki, sprzątała brudne talerze i od nowa nakrywała do stołu - ani na minutę nie przestawała jednak marzyć o miejscu, w którym chciałyby się znaleźć.

Broadway. Była pewna, że stać ją na to, by tam trafić. Wszyscy powtarzali jej, że ma wrodzony talent, oczywiście zanim jeszcze wyjechała do Nowego Jorku i znalazła się wśród setek innych dziewcząt, którym mówiono dokładnie to samo.

Chciała być poważną aktorką, a nie jakąś bujającą w obłokach idiotką, która reklamuje bieliznę i we wszystkich formularzach podaje, że jest aktorką - modelką. Spodziewała się, że od razu podbije świat. Przecież jest inteligentna, bardzo ładna i ma prawdziwy talent.

Pierwszy rzut oka na Manhattan sprawił, że poczuła przypływ energii i doskonale wiedziała, do czego zmierza. Wypisując rachunek dla stolika numer sześć, przypomniała sobie, że miała wówczas wrażenie, jakby Nowy Jork właśnie na nią czekał. Tłumy ludzi, gwar wielkiego miasta i nieprawdopodobna ilość energii. A na dodatek wszystkie te sklepy ze wspaniałymi ciuchami, wytworne restauracje i niesamowite wrażenie, że wszyscy mają coś ważnego do zrobienia i gdzieś się spieszą.

Ona również miała coś ważnego do zrobienia i gdzieś jej się spieszyło.

Wynajęła apartament, którego opłacanie znacznie przekraczało jej możliwości finansowe. Nie miała jednak zamiaru mieszkać w jakimś ciasnym, ponurym pokoiku.

U Bendela sprawiła sobie nowe ciuchy i na cały dzień wybrała się do Elizabeth Arden, co pochłonęło lwią część jej budżetu, ale uznała to za inwestycję. Chciała doskonale się prezentować, gdy pójdzie na przesłuchania.

Pierwszy miesiąc w Nowym Jorku był serią gwałtownych przebudzeń. Nigdy nie przypuszczała, że jest aż tak ogromna konkurencja. Nie sądziła również, że kiedykolwiek zobaczy taką desperację na twarzach dziewcząt, które stawały razem z nią w kolejce na przesłuchania, marząc o dostaniu jakiegokolwiek niewielkiej roli.

Owszem, otrzymała kilka propozycji, ale większość z nich wymagała ponownego przesłuchania - tym razem w łóżku. Miała jednak zbyt dużo dumy i pewności siebie, by skorzystać z takich okazji.

Niestety, ta duma, pewność siebie, a na dodatek - po raz pierwszy musiała się do tego przyznać - naiwność, sprawiły, że po jakimś czasie znalazła się w punkcie wyjścia.

To jednak tylko stan przejściowy, powiedziała sobie Lexy. Za niecały rok skończy dwadzieścia pięć lat, a wówczas nikt nie zabroni jej objąć spadku. W całości.

Gdy dostanie już te pieniądze, wróci do Nowego Jorku, ale tym razem będzie znacznie sprytniejsza, ostrożniejsza i mądrzejsza.

Doszła w końcu do wniosku, że wcale nie została pokonana, wzięła jedynie długi urlop. Pewnego dnia stanie na scenie, a publiczność będzie ją kochać i podziwiać. Wówczas będzie kimś.

Kimś innym niż młodszą córką Annabelle.

Wniosła ostatnie talerze do kuchni. Brian zdążył już posprzątać całe pomieszczenie. W zlewie nie było brudnych garnków ani rondli, a wszystkie blaty zostały starannie wymyte i starte do sucha. Doskonale zdając sobie sprawę, że robi to z czystej złośliwości, Lexy delikatnie przekrzywiła nadgarstek. Znajdująca się na stosie brudnych talerzy filiżanka przechyliła się niebezpiecznie, po czym rozprysnęła na umytych przed chwilą kafelkach, rozchylając dookoła fusy z kawy.

- Ups - powiedziała dziewczyna i widząc, że Brian odwrócił głowę, uśmiechnęła się szelmowsko.

- Uwielbiasz robić z siebie idiotkę, Lexy - powiedział oschle. - Jesteś w tym świetna.

- Naprawdę? - Zanim zdołała się powstrzymać, upuściła na podłogę resztę naczyń. Wylądowały z trzaskiem, rozrzucając dookoła resztki jedzenia i skorupy. - Co ty na to?

- Niech cię diabli wezmą! Co próbujesz mi udowodnić? Że tak jak zawsze potrafisz jedynie niszczyć? Że przez całe życie ktoś będzie musiał za tobą chodzić i sprzątać zrobiony przez ciebie bałagan? - Sięgnął do szafy, wyciągnął miotłę i wręczył

ją Lexy. - Chociaż raz zrób to sama.

- Nie. - Chociaż teraz serdecznie żałowała tego, co zrobiła pod wpływem impulsu, odepchnęła od siebie kij. Leżące u ich stóp wielobarwne skorupy przypominały wesołe miasteczko, nad którym przeszedł huragan. - To twoje naczynia.

Posprzątaj je sobie sam.

- Posprzątasz, bo jak nie, to, słowo daję, stłukę cię na kwaśne jabłko.

- Tylko spróbuj, Bri. - Nie ustępowała mu ani na krok. Świadomość, że postąpiła źle, dopingowała ją jedynie do tego, by się nie poddać. - Tylko spróbuj, a wydrapię ci te twoje cholerne oczy. Mam po dziurki w nosie nieustannych nauk, jak mam po stępować i co robić. Ten dom w takim samym stopniu należy do mnie, jak i do ciebie.

- No proszę, wygląda na to, że nic się tu nie zmieniło.

Poczerwieniałe ze złości twarze Briana i Lexy odwróciły się jak na komendę -

oboje kompletnie zaniemówili. W tylnych drzwiach, z dwiema walizkami u stóp, stała Jo. Wyglądała na bardzo wyczerpaną.

- Kiedy po łoskocie rozbitych naczyń usłyszałam radosne i szczęśliwe głosy, wiedziałam, że jestem w domu.



Nastrój Lexy uległ gwałtownej zmianie. Ujęła Briana pod pachę.

- Spójrz tylko, Brian, wróciła następna córka marnotrawna. Mam nadzieję, że zostało nam jeszcze coś z tuczonego cielaka.

- Nastawię wodę na kawę - powiedziała Jo i zamknęła za sobą drzwi.

### ROZDZIAŁ 3

Jo stała w oknie swej sypialni. Roztaczający się za szybą widok nie zmienił się od czasów jej dzieciństwa. Piękny ogród cierpliwie czekał, by ktoś go wyplewił i podlał. Żłociste kępki alyssum przyglądały się kołysanym przez wiatr dzwonkom.

Bratki wystawiały do słońca swoje bezczelne małe twarzyczki, nie zwracając uwagi na pilnujące je wysokie włócznie fioletowych irysów i żółtych tulipanów. Wszędzie kwitły niecierpki i goździki.

Za ogrodem widać było palmy i cieniste dęby, pod którymi rosły koronkowe paprocie i mnóstwo leśnych kwiatów.

Wszystko zalane było złocistym światłem, które momentami stawało się niemal perłowe, szczególnie wtedy, gdy dryfujące po niebie obłoki rzucały na ziemię swe delikatne cienie. Roztaczający się za oknem świat pełen był spokoju, ciszy i doskonałości. Jo pomyślała, że gdyby była w stanie wykrzesać z siebie choć odrobinę energii, wyszłaby na zewnątrz i zrobiła kilka zdjęć, a wtedy ten bajkowy świat już na zawsze stałby się jej własnością.

Tęskniła za nim. Jakie to dziwne, pomyślała, dopiero teraz zdając sobie sprawę, jak bardzo brakowało jej widoku z okna pokoju, w którym spędziła niemal wszystkie noce swych pierwszych osiemnastu lat życia.

Będąc dzieckiem, bardzo często godzinami pomagała matce w ogrodzie. Uczyła się nazw kwiatów, starała się zapamiętać wymagania i zwyczaje poszczególnych roślin, z radością dotykała palcami ziemi i pozwalała, by słońce grzało jej plecy. Ptaki, motyle, dźwięki poruszanych przez wiatr dzwoneczków i kłębiaste chmury żeglujące po pogodnym, błękitnym niebie stanowiły najcudowniejsze wspomnienia z wczesnego dzieciństwa.

Odwracając się ze znużeniem od okna, Jo zdała sobie sprawę, że wszystkie te obrazy ukryła zbyt głęboko w pamięci. Pozbyła się ich tak samo, jak wszystkich zdjęć z tamtego okresu.

Również w jej pokoju niewiele się zmieniło. W zamieszkanym przez rodzinę skrzydle Sanktuarium wciąż wyraźnie widać było styl i gust Annabelle. Dla swej starszej córki wybrała staroświeckie łoże z koronkowym baldachimem, ozdobione mnóstwem pięknie rzeźbionych gzysów i lśniących gałek. Leżała na nim narzuta ze starodawnej, irlandzkiej koronki, która od bardzo dawna należała do rodziny Pendletonów. Jo zawsze ją uwielbiała ze względu na wzór i fakturę, a również dlatego, że sprawiała wrażenie niezwykle mocnej i niezniszczalnej.

Na pokrywającej ścianę tapecie, na jasnokremowym tle kwitła ogromna ilość dzwonków, a

wszystkie wykończenia miały ciepły kolor miodu.

Annabelle osobiście dobrała antyki - kuliste lampy, klonowe stoły, filigranowe krzesła i wazon, w których zawsze było mnóstwo kwiatów. Pragnęła, by jej dzieci od najmłodszych lat uczyły się żyć wśród cennych przedmiotów i umiały o nie dbać. Na gzymsie nad niewielkim, marmurowym kominkiem poustawiane były ozdobne świece i muszle. Na półkach na przeciwległej ścianie znajdowały się książki, natomiast nigdy nie było tam lalek.

Nawet jako dziecko Jo bardzo rzadko bawiła się lalkami.

Annabelle nie żyje. Nie ma najmniejszego znaczenia, ile śladów zostawiła po sobie w tym pokoju, w tym domu, na tej wyspie. To wszystko nie było w stanie zmienić faktu, że teraz Annabelle już nie żyje. W którymś momencie w ciągu minionych dwudziestu lat zmarła i tym samym jej ucieczka stała się ostateczna i nieodwołalna.

Dobry Boże, dlaczego ktoś uwiecznił na kliszy jej śmierć, zastanawiała się Jo, ukrywając w dłoniach twarz. I dlaczego wysłał odbitkę właśnie mnie?

**ŚMIERĆ ANIOŁA** Te słowa znajdowały się na odwrocie fotografii i głęboko wryły się Jo w pamięć. Na samo wspomnienie serce zaczęło walić jej w piersiach jak oszalałe, dlatego, by je uspokoić, mocno potarła dłonią mostek. Czy człowiek, który wykonał to zdjęcie, jest chory, zastanawiała się. Czy jest niebezpieczny? A jeśli tak, czy grozi jej coś z jego strony?

Chociaż nie była w stanie tego wytłumaczyć, czuła, że istnieje całkiem realne zagrożenie. Nieważne, że gdy wyszła ze szpitala i wróciła do swego apartamentu, zdjęcie gdzieś przepadło - nie mogła dopuścić do tego, żeby ten fakt miał jakiegokolwiek znaczenie. Gdyby uznała, że wyobraziła sobie fotografię, że była to jedynie halucynacja, automatycznie musiałaby się przyznać, że postradała zmysły.

W jaki sposób ma stawić temu czoło?

Kiedy wróciła, tego jednego zdjęcia nie udało jej się znaleźć. Wszystkie pozostałe odbitki, ukazujące ją przy codziennych zajęciach, wciąż leżały porozrzucane po podłodze w ciemni, dokładnie tam, gdzie je upuściła z przerażenia. Lecz chociaż przez wiele godzin przeszukiwała całe mieszkanie, przy okazji przewracając w nim wszystko do góry nogami, nie znalazła zdjęcia, które stało się bezpośrednią przyczyną jej załamania.

A jeśli nigdy go nie było... Zamknęła oczy i oparła czoło o szybę. Jeśli je sobie wymyśliła, jeżeli gdzieś w głębi duszy chciała, żeby tak właśnie wyglądała rzeczywistość, żeby jej matka była naga i martwa - co wówczas powinna sądzić o samej sobie?

Co była w stanie zaakceptować? Swój brak równowagi psychicznej czy śmierć matki?

*Nie myśl teraz o tym. Nie mogąc złapać tchu, zbliżyła dłoń do ust. Zostaw to, tak samo jak zostawiłaś zdjęcia. Wsuń głęboko do szuflady, zamknij na klucz i zaczekaj, aż nabierzesz sił. Nie możesz się znowu załamać, Jo Ellen, nakazała samej sobie, bo ponownie wylądujesz w szpitalu, a*

wtedy lekarze tak jak poprzednio będą usiłowali zajrzeć ci w każdy zakamarek ciała i duszy.

Zostaw to. Oddychała głęboko, starając się uspokoić. Zostaw to do czasu, kiedy będziesz w stanie zadać wszystkie pytania, które już dawno temu należało postawić i zdołasz przyjąć do wiadomości wszystkie odpowiedzi, które powinnaś poznać.

Doszła do wniosku, że lepiej zrobi, jeśli zajmie się czymś konkretnym, czymś zwyczajnym - na przykład udawaniem, że przyjechała do domu, by odwiedzić rodzinę.

Jo spojrzała w stronę biurka, na którym położyła wcześniej jeden ze swoich aparatów, i zdała sobie sprawę, że nie ma siły na dalsze rozpakowywanie. Przyjrzała się walizkom, które leżały na łóżku przykrytym piękną, koronkową narzutą. Nie mogła nawet myśleć o otwieraniu ich, wyjmowaniu ubrań, rozwieszaniu ich w szafie i układaniu w szufladach. W związku z tym usiadła na krześle i zamknęła oczy.

Musi się zastanowić i ułożyć szczegółowy plan. Zawsze znacznie lepiej jej się pracowało, gdy miała gotową listę celów i zadań, uporządkowanych w odpowiedniej, logicznej kolejności. Powrót do domu był jedynym rozwiązaniem, dlatego należało go uznać za odpowiednie i logiczne posunięcie. Wiedziała jednak, że jest to tylko pierwszy krok. Teraz musi uporządkować myśli, tak, jakimś cudem uporządkować je, a potem zrobić krok następny.

Tymczasem wciąż bujała gdzieś w obłokach, zupełnie jakby śniła.

Straciła rachubę czasu. Kiedy ktoś nagle zapukał do drzwi, miała wrażenie, że minęło zaledwie kilka sekund. Drgnęła zupełnie rozbudzona, lecz równocześnie całkiem dezorientowana. Poderwała się na równe nogi i z zażenowaniem stwierdziła, że niemal została przyłapana na drzemce w środku dnia. Zanim zdołała dotknąć klamki, drzwi otworzyły się same i pojawiła się w nich głowa kuzynki Kate.

- Ach, więc tu jesteś. Mój ty Boże, wyglądasz jak trzy ćwierci do śmierci.

Usiądź, napij się herbaty i powiedz mi, co się z tobą dzieje.

Takie właśnie bezpośrednie, rozsądne, a równocześnie trochę despotyczne podejście zawsze było typowe dla Kate, przypominała sobie Jo. Uśmiechnęła się na widok kuzynki, która bez zastanowienia wmaszerowała do pokoju, trzymając przed sobą tacę z herbatą.

- Wyglądasz wspaniale.

- Dbam o siebie. - Kate postawiła tacę na ławie i wskazała dłonią krzesło. -

Czego, sądząc po twoim wyglądzie, wcale nie można powiedzieć o tobie. Jesteś chuda jak patyk, blada jak ściana, a twoje włosy od stu tysięcy lat nie widziały fryzjera. No cóż, będziemy musiały się tym zająć.

Energicznie nalała do filiżanek herbatę z porcelanowego, ozdobionego gałązkami bluszczu dzbanka.

- No więc? - Usiadła wygodnie, wzięła łyk herbaty i przechyliła na bok głowę.

- Postanowiłam trochę odpocząć - zaczęła Jo. Przez całą drogę z Charlotte zastanawiała się, w jaki sposób uzasadni swój nie zapowiedziany przyjazd do domu. -

Zrobiłam sobie kilkutygodniowy urlop.

- Jo Ellen, nie uda ci się zamknąć mi oczu.

Nigdy się nie udawało, przypomniawszy sobie Jo, żadnemu z nich, od momentu, kiedy Kate po raz pierwszy postawiła nogę w Sanktuarium. Przyjechała kilka dni po zniknięciu Annabelle, mając zamiar spędzić tu tydzień, lecz chociaż od tamtej chwili minęło dwadzieścia lat, nadal nie opuszczała Desire.

Bogiem a prawdą przez cały ten czas bardzo jej potrzebowali, pomyślała Jo, zastanawiając się, ile zdoła ukryć przed Katherine Pendleton. Sączyła powoli herbatę, grając na zwłokę.

Kate była kuzynką Annabelle, rodzinne podobieństwo bez trudu dawało się zauważyć w sylwetce, karnacji i kolorze oczu. Jednak Jo zapamiętała Annabelle jako istotę niezwykle subtelną i kobiecą, tymczasem Kate była raczej szorstka w obejściu i bardzo zdecydowana. Trzeba jej natomiast przyznać, że rzeczywiście zawsze potrafiła o siebie dbać. Kate miała krótkie, starannie przycięte, rudawe włosy, jednak ta niemal chłopięca, niezwykle praktyczna fryzurka doskonale pasowała do jej lisiej, drobnej twarzyczki. Ubierała się bardzo swobodnie, ale nigdy nie można było jej zarzucić niechlujności. Zawsze miała na sobie wyprasowane džinsy i świeżą, bawełnianą bluzeczkę. Bardzo dbała o paznokcie - przycinała je krótko i pokrywała trzema warstwami bezbarwnego lakieru. Mimo pięćdziesiątki, wciąż miała szczupłą sylwetkę i od tyłu bez trudu można ją było pomylić z kilkunastoletnim chłopcem.

Pojawiła się w ich życiu, gdy przeżywali potworną katastrofę, zdecydowanie stanęła u ich boku i nigdy ich nie zawiodła. Po prostu przy nich była. Zajmowała się detalami, popychała każde z nich, by zrobiło to, co należy, a także, w swój rozsądny sposób, tyranizowała ich i kochała, tworząc przynajmniej iluzję normalnego życia.

- Tęskniłam za tobą, Kate - szepnęła Jo. - Naprawdę.

Kate przyglądała się jej przez moment. Po chwili jakiś ciepły grymas przemknął przez jej twarz.

- Nie zagaduj mnie, Jo Ellen. Masz jakieś poważne problemy i w związku z tym możesz zadecydować: albo sama mi powiesz, o co chodzi, albo zmusisz mnie, żebym to z ciebie wyciągnęła. Czy tak czy siak, będę to wiedziała.

- Potrzebuję trochę odpoczynku.

Tak, pomyślała Kate, w tym momencie bez wątplenia nie kłamie, to widać na pierwszy rzut oka. Znając Jo, Kate szczerze wątpiła, by chodziło o jakiegokolwiek mężczyznę. Żaden z nich nie zdołałby doprowadzić jej do tego, by wyglądała jak przerażone zwierzątko. W takim razie pozostawała jedynie praca. Praca, dzięki której Jo przemierzała wzdłuż i wszerz cały świat i często znajdowała

się w dziwnych i odległych miejscach, pomyślała Kate. Nierzadko były to bardzo niebezpieczne zakątki naszego globu, obszary objęte wojnami lub nawiedzone przez klęski żywiołowe. Taką właśnie pracę jej młodsza kuzynka celowo postawiła na pierwszym miejscu, odsuwając na bok życie osobiste i rodzinę.

Kochanie, pomyślała Kate, biedactwo, moja cudowna, mała dziewczynko. Jak mogłaś doprowadzić się do takiego stanu?

Zacisnęła mocno palce na uszku filiżanki, by nie było widać, jak bardzo drżące ręce.

- Czy ktoś cię skrzywdził?

- Nie. Nie - powtórzyła Jo i odstawiła herbatę, by przetrzeć palcami piekące oczy. - Po prostu jestem przepracowana i zestresowana. Podejrzewam, że w ciągu ostatnich kilku miesięcy przeceniłam nieco własne siły. To jedynie przeciążenie, nic więcej.

*Zdjęcia. Mama.*

Kate ściągnęła brwi. Linia, która pojawiła się między nimi, niezbyt czule nazywana była Usterką Pendletonów.

- Jakiż to rodzaj przeciążenia sprawił, Jo Ellen, że drżą ci ręce i straciłaś przynajmniej kilka kilogramów?

Jo mocno zacisnęła rozdygotane dłonie i położyła je na kolanach.

- Chyba nie dbałam o siebie, jak należy. - Jo uśmiechnęła się łagodnie. -

Spróbuję się poprawić.

Stukając palcami po poręczy jednego z krzeseł, Kate uważnie wpatrywała się w twarz dziewczyny. Problem wyglądał zbyt poważnie, by mogło chodzić jedynie o pracę.

- Masz jakieś kłopoty ze zdrowiem?

- Nie. - Kłamstwo padło z jej ust niemal tak gładko, jak planowała. Celowo wyrzuciła z pamięci wszystkie wspomnienia związane z pobytem w szpitalu, ponieważ była niemal pewna, że Kate będzie w stanie czytać w jej myślach. - Jestem jedynie trochę wyczerpana. Ostatnio nie najlepiej sypiałam. - Poirytowana badawczym spojrzeniem Kate, Jo wstała, żeby wyjąć papierosy z kieszeni kurtki, wiszącej na oparciu krzesła. - Mam teraz na głowie ten album - pisałam ci o nim. To dla mnie spore obciążenie psychiczne, chyba dlatego tak bardzo się denerwuję. - Błysnęła zapalniczką. - Nigdy wcześniej nie robiłam czegoś takiego.

- Powinnaś być z siebie dumna, a nie wpędzać się z tego powodu w chorobę.

- Masz rację. Absolutnie się z tobą zgadzam. - Jo wypuściła dym i z całych sił

starala się nie myśleć o Annabelle i zdjęciach. - Dlatego chcę trochę odpocząć.

To nie jest jeszcze cała prawda, oceniła Kate, ale na razie musi wystarczyć.

- Cieszę się, że przyjechałaś do domu. Kilka tygodni na wikcie Briana pozwoli ci nabrać trochę wagi. Poza tym, Bóg mi świadkiem, przyda nam się dodatkowa para rąk. Sądząc po rezerwacjach zapowiada się, że przez całe lato niemal wszystkie pokoje i domki będą zajęte.

- To znaczy, że interes kwitnie? - zapytała Jo bez specjalnego zainteresowania.

- Ludzie potrzebują odskoczni od codziennej harówki i wykonywania roboty za innych. Większość przyjeżdżających tu gości szuka ciszy i spokoju, w przeciwnym razie wybraliby Hilton Head albo Jekyll. To jednak nie zmienia faktu, że chcą mieć czystą pościel i świeże ręczniki.

Kate stuknęła palcami o stół, przez moment myśląc o pracy, która czekała na nią jeszcze tego popołudnia.

- Lexy bardzo nam pomaga - ciągnęła - ale, jeśli o nią chodzi, nic się nie zmieniło i nadal trudno na niej polegać. Potrafi bez zarzutu wykonywać swoje codzienne obowiązki, ale nigdy nie można wykluczyć, że nagle gdzieś wyjedzie na cały dzień. Zresztą przez cały czas boryka się z własnymi problemami i wątpliwościami dorastania.

- Lexy ma dwadzieścia cztery lata, Kate. Dawno powinna być już dorosła.

- Są ludzie, u których ten proces trwa nieco dłużej. To nie jej wina, tak po prostu wygląda rzeczywistość. - Kate wstała, zawsze gotowa bronić jednego ze swych kurcząt, nawet przed dziobnięciami drugiego.

- Niektórzy ludzie nigdy nie potrafią uporać się z rzeczywistością - dodała Jo. -

W związku z tym przez całe życie obwiniają innych za poniesione własne porażki i niepowodzenia.

- Alexa nie poniosła porażki. Zawsze w stosunku do niej brakowało ci cierpliwości - tak samo z resztą jak jej w stosunku do ciebie. To również jest rzeczywistość.

- Nigdy nie prosiłam jej o cierpliwość. - W tym momencie wypłynęły zadawnione urazy. - Nigdy o nic nie prosiłam ani jej, ani Briana.

- Zgadza się, rzeczywiście nigdy o nic ich nie prosiłaś, Jo - powiedziała Kate spokojnie. - Gdybyś prosiła, być może sama musiałabyś dać im coś w zamian. Gdybyś dopuściła do tego, żeby oni ciebie potrzebowali, może wówczas musiałabyś przyznać, że ty również ich potrzebujesz. No cóż, chyba już najwyższy czas, żebyście w końcu wszyscy przyznali się do pewnych rzeczy. Dwa lata minęły od momentu, kiedy po raz ostatni wszyscy troje równocześnie byliście w tym domu.

- Wiem, ile czasu minęło - powiedziała Jo z goryczą - lecz ani Lexy, ani Brian nie przywitani mnie serdeczniej, niż się tego spodziewałam.

- Być może, gdybyś spodziewała się od nich więcej, automatycznie otrzymałabyś więcej. - Kate zacisnęła zęby. - Nie pytasz w ogóle o ojca.

Poirytowana Jo zgasiła papierosa.

- A o co mam cię zapytać?

- Nie próbuj rozmawiać ze mną takim opryskliwym tonem, moja panno.

Jeśli masz zamiar zatrzymać się na chwilę pod tym dachem, naucz się okazywać odrobinę szacunku ludziom, którzy zapewniają ci taką możliwość. I nie licz na to, że podczas pobytu tutaj zdołasz się wymigać od wykonywania pewnych obowiązków. W ciągu ostatnich kilku lat zbyt wiele obowiązków spoczywało na barkach twego brata. Najwyższy czas, żeby rodzina choć trochę zaczęła mu pomagać.

Najwyższy czas, żebyście zdali sobie sprawę, że jesteście rodziną.

- Nie jestem właścicielką pensjonatu, Kate, i sędzę, że Brian wcale nie byłby zadowolony, gdybym zaczęła wsadzać nos w jego sprawy.

- Wcale nie musisz być właścicielką, żeby robić pranie, odkurzać meble albo zmiatać piasek z werandy.

Słyszac lodowały ton Kate, Jo próbowała załagodzić sprawę, mimo to w jej słowach wyraźnie słychać było bunt.

- Przecież nie powiedziałam, że nie zrobię tego, co do mnie należy, myślałam tylko...

- Doskonale wiem, co myślałaś, i mogę ci powiedzieć, moja panno, że jestem śmiertelnie zmęczona takim właśnie podejściem do sprawy. Każde z was wolałoby zapaść się po szyję w pobliskim bagnie, niż poprosić któreś z rodzeństwa o pomoc.

Nim zaczniesz rozmawiać z ojcem, postaraj się powściągnąć swój język. Poza tym, niezależnie od tego, czy ty i Lex rywalizujecie ze sobą, czy tylko jesteście cholernie uparte, chcę, żebyście, będąc tutaj, odłożyły wasze niesnaski na bok. Na Boga, czas najwyższy byście poczuły, że to jest wasz dom.

- Kate... - zaczęła Jo, ale Kate ruszyła już w stronę drzwi. - Nie, teraz jestem zbyt wściekła, żeby z tobą rozmawiać.

- Ja tylko... - Drzwi zamknęły się z trzaskiem, a Jo ciężko westchnęła. Bolała ją głowa, żołądek podchodził do gardła, a przytłaczające poczucie winy sprawiało, że nie mogła złapać tchu.

Kate bardzo się myliła. Jo doskonale czuła, że to jest jej dom.

Stojąc na skraju moczarów, Sam Hathaway obserwował jastrzębia, który bezszelestnie krążył nad swym rewirem. Tego ranka Sam wyszedł z domu przed świtem i przemierzył środkową część wyspy. Wiedział, że Brian wybrał się na przechadzkę niemal tak samo wcześniej, jednak nie zamienili ze



sobą ani słowa. Każdy z nich chadzał własnymi ścieżkami i każdy miał co innego do roboty.

Czasami Sam siadał za kierownicą swojego jeepa, częściej jednak wędrował po wyspie na piechotę. Były dni, kiedy kierował się na wydmy i obserwował słońce, które wschodziło tuż nad wodą, początkowo nadając falom kolor czerwony, potem złocisty, a w końcu niebieski. Gdy plaża była jedynie ogromną, świetlistą przestrzenią, mógł

wędrować nią kilometrami, równocześnie bacznie wypatrując wszelkich oznak erozji i miejsc, gdzie zaczynały się tworzyć wydmy.

Wszystkie muszle zostawiał tam, gdzie wyrzuciła je woda.

Rzadko zapuszczał się na porośnięte trawą wydmy. Wiedział, że są niezwykle delikatne i każde stąpienie powoduje nieodwracalne zmiany. Tymczasem Sam nie chciał by cokolwiek się zmieniło.

Czasami wolał wędrować brzegiem lasu, na tyłach wydm, wśród jezior i trzęsawisk pełnych życia i różnorodnych dźwięków. Najczęściej były to ranki, kiedy pragnął spokoju i przyćmionego światła, kiedy drażnił go huk fal i blask wschodzącego słońca. W takie dni przez wiele minut mógł stać w całkowitym bezruchu, jak cierpliwa czapla czekająca na nieostrożną rybę.

Zdarzało się, że przebywając wśród zarośniętych grubą warstwą rzęsy stawów i rosnących nad nimi wierzb, był w stanie zapomnieć, iż istnieje jakiś inny świat.

Wówczas liczyło się tylko to, co go otaczało. Bardziej realny od znajdujących się gdzieś daleko ludzi był ukryty w trzcinie aligator trawiący swój ostatni posiłek oraz zażywający kąpieli słonecznej żółw, który miał ogromne szanse na to, żeby stać się następnym kąskiem aligatora.

Natomiast niezwykle rzadko zdarzało się, by Sam poszedł dalej i zagłębił się w cienistym lesie. Może dlatego, że Annabelle najbardziej lubiła właśnie las.

Najczęściej ciągnęło go na moczary, których świat krył niezliczoną ilość tajemnic. Tutaj przez cały czas powtarzał się pewien cykl, dobrze zrozumiały dla Sama

- rozmnażanie i rozkład, życie i śmierć. Tutaj rządziły prawa natury i bez trudu był w stanie to zaakceptować. Następujących tu zmian nie powodował człowiek, nikt nie był

również w stanie w niczym przeszkodzić, przynajmniej tak długo jak Sam wszystkiego pilnował.

Na błotnistych brzegach jezior obserwował pędzące przed siebie kraby. Były bardzo zajęte własnymi sprawami i przez cały czas wydawały ciche dźwięki, które przypominały pękanie baniek mydlanych. Sam wiedział, że gdy tylko stąd odejdzie, podkradną się do nich szopy oraz inne drapieżniki i urządzią sobie ucztę.

Były to jednak tylko etapy trwającego tu cyklu.

Obecnie wokół panowała już wiosna, kołyszące się na wietrze trawy zamieniały swą zimową, rdzawo złocistą barwę na soczystą zieleń, a darń zdążyła nabrać koloru kwitnącej wśród niej

lawendy. Sam przeżył już na Desire ponad trzydzieści wiosen, ale zawsze z ogromną niecierpliwością czekał na następną.

Ta wyspa od wielu pokoleń należała do jego żony i jej rodziny. Jednak w momencie, kiedy po raz pierwszy postawił na niej nogę, stała się jego własnością. Tak samo jak w chwili, gdy zobaczył Annabelle, wiedział, że zostanie jego żoną.

Nie zdołał jej utrzymać u swego boku, ale jej ucieczka sprawiła, że udało mu się zatrzymać tę wyspę. Sam był fatalistą - a może po prostu się nim stał. W związku z tym uważał, że nikt nie jest w stanie uniknąć przeznaczenia. Jego zdaniem, Annabelle zostawiła mu tę ziemię, dlatego pilnie jej doglądał, ochraniał z ogromną determinacją i nigdy jej nie opuszczał.

Chociaż od wielu lat obracał się w nocy w łóżku i bezskutecznie szukał w nim żony, bez trudu był w stanie znaleźć ją na Desire wszędzie, gdziekolwiek spojrział.

To sprawiało mu potworny ból, równocześnie jednak stanowiło ogromne pocieszenie.

Na skraju mokradeł, tam, gdzie podmywała je rzeka, Sam widział odsłonięte korzenie drzew. Niektórzy mówili, że należałoby podjąć pewne kroki, by zabezpieczyć trzęsawisko. Sam jednak zawsze wierzył, że natura doskonale wie, co robi. Gdyby człowiek, niezależnie od tego, czy w dobrej czy w złej wierze, próbował zmienić bieg rzeki, na pewno wywołałoby to poważne zmiany w innych miejscach wyspy.

Nie, jego zdaniem należy zostawić wszystko własnemu losowi, trzeba pozwolić ziemi, morzu, wiatrom i deszczom rozstrzygnąć tę sprawę między sobą.

Z odległości kilku metrów Kate przyglądała się uważnie Samowi. Był wysokim, żylastym mężczyzną o opalanej na brąz skórce i ciemno rudych, mocno już posiwiałych włosach. Na jego ustach niezwykle rzadko pojawiał się uśmiech, a jeszcze trudniej było dostrzec wesołość w jego zmiennych, piwnych oczach, otoczonych przez głębokie zmarszczki. To dziwne, ale te wyraźne linie wcale go nie postarzały, a wręcz jakimś cudem dodawały uroku jego twarzy.

Miał, tak samo jak syn, duże dłonie i stopy. Mimo to Kate doskonale wiedziała, że Sam potrafi poruszać się bezszelestnie, z tym osobliwym wdziękiem, którego nie jest w stanie opanować żaden mieszkaniec miasta.

W ciągu dwudziestu lat nigdy nie zgotował jej radosnego powitania, ale też nigdy nie namawiał jej do wyjazdu. Najwyraźniej uznał, że skoro już przyjechała, to równie dobrze może zostać i robić, co do niej należy. Czasami, będąc w gorszym nastroju, Kate zastanawiała się, co by pomyślał, zrobił lub powiedział, gdyby po prostu spakowała walizki i wyjechała.

Mimo to nie wyjeżdżała i poważnie wątpiła, czy kiedykolwiek zdobyłaby się na takie posunięcie.

Kochała Sama Hathawaya niemal od pierwszych chwil swego dwudziestoletniego pobytu na Desire.

Wyprostowała plecy i uniosła do góry głowę. Chociaż podejrzewała, że on już wie o jej obecności, wiedziała też, że Sam nie odezwie się pierwszy.

- Jo Ellen przyjechała porannym promem.

Sam ani na moment nie przestawał obserwować szybującego po niebie jastrzębia. Tak, już wcześniej wyczuł, że Kate jest tutaj, wiedział również, że na pewno ma jakiś, ważny jej zdaniem, powód, który kazał jej zapuścić się na moczary. Kate wcale nie należała do osób uwielbiających błoto i aligatory.

- Dlaczego? - zapytał. Jego mało entuzjastyczna reakcja sprawiła, że Kate westchnęła.

- Przecież to jest jej dom, prawda?

- Moim zdaniem ona wcale nie myśli w ten sposób o Sanktuarium. I to już od bardzo dawna - powiedział bardzo powoli i z wyraźnym ociąganiem.

- Niezależnie od tego, co ona o tym sądzi, to jest jej dom, a ty jesteś jej ojcem i, skoro już wróciła, powinieneś ją serdecznie powitać.

W tym momencie przypomniał sobie wygląd starszej córki. Przed oczami stanęła mu własna żona, a to wywołało w nim równocześnie rozpacz i złość. Mimo to jego głos pozostał całkowicie obojętny.

- Zobaczę się z nią później, po powrocie do domu.

- Ostatni raz była na Desire prawie dwa lata temu, Sam. Na litość boską, chodź przywitać się z córką.

Poruszył się niespokojnie. Kate zawsze potrafiła wyprowadzić go z równowagi.

- Przecież nie pali się, chyba że ma zamiar wracać popołudniowym promem. Z

tego, co pamiętam, nigdy nie potrafiła długo usiedzieć w jednym miejscu. Jako młoda dziewczyna nie mogła się wprost doczekać, kiedy zdoła uciec z Desire.

- Studiowanie, robienie kariery i układanie sobie życia nie jest ucieczką.

Chociaż nie wykonał najłżejszego ruchu, ani się nie odezwał, Kate doskonale wiedziała, że jej strzała trafiła do celu. Mimo to było jej niezmiernie przykro, że musiała ją wypuścić.

## **ROZDZIAŁ 4**

- Teraz wróciła, Sam. Wydaje mi się, że w najbliższym czasie nie ma zamiaru nigdzie stąd wyjeżdżać, w związku z tym nie będziemy dyskutować na ten temat.

Kate podeszła, stanowczo ujęła go za ramię i odwróciła twarzą do siebie. Często musiała zwracać uwagę Sama na pewne całkiem oczywiste sprawy. Czowała, że to samo należy zrobić i teraz.

- Ma jakieś problemy. Fatalnie wygląda, Sam. Potwornie schudła i jest blada jak ściana. Mówi, że

nie chorowała, ale moim zdaniem kłamie. Wygląda, jak by każdy trochę mocniejszy podmuch wiatru był w stanie przewrócić ją na ziemię.

Po raz pierwszy na jego twarzy pojawiło się zatroskanie.

- Czy to ma coś wspólnego z jej pracą?

W końcu, pomyślała Kate, zrobiła jednak wszystko, by nie zauważył jej zadowolenia.

- To nie ten rodzaj problemów - powiedziała nieco łagodniej. - Coś ją gryzie.

Nie jestem w stanie powiedzieć, co, ale to naprawdę istnieje. I wszystko wskazuje na to, że potrzebuje domu i rodziny. Potrzebuje ojca.

- Jeśli Jo ma jakiś problem, na pewno sobie z nim poradzi. Zawsze doskonale dawała sobie radę.

- Chcesz chyba powiedzieć, że zawsze musiała - rzuciła Kate. Miała ochotę potrząsnąć nim, żeby rozbić ten potężny mur, który wznosił wokół siebie. - Cholera jasna, Sam, chociaż raz bądź dla niej ojcem.

Spojrzał na Kate, a potem przeniósł wzrok na bagna.

- Już dawno temu wyrosła z okresu, kiedy trzeba było opatrywać jej guzy i zadrapania.

- Nie, nie wyrosła. - Kate opuściła rękę, którą trzymała go za ramię. - Wciąż jest twoją córką i zawsze nią będzie. Czas najwyższy, Sam, żebyś zdał sobie sprawę, że nie tylko Belle opuściła te dzieci. - Mówiąc te słowa, bacznie obserwowała jego twarz i energicznie potrząsała głową. - Brian, Jo i Lexy stracili matkę, ale wcale nie musieli tracić ciebie.

Poczuł potworny ból w klatce piersiowej i odwrócił się, aby spojrzeć na mokradła. Wiedział, że to minie, ale dopiero wówczas, gdy zostanie sam.

- Już ci powiedziałem, że później przyjdę do domu. Jeśli Jo Ellen ma mi coś do powiedzenia, mogę wysłuchać tego po powrocie.

- Pewnego dnia zrozumiesz, że to ty masz coś do powiedzenia, i nie tylko jej, lecz wszystkim swoim dzieciom.

Zostawiła go samego, mając nadzieję, że ta chwila nastąpi bardzo szybko.

Brian stał w drzwiach prowadzących na zachodni taras i bez słowa przyglądał

się siostrze. Zauważył, że Jo wygląda bardzo mizernie. W jasnych promieniach słońca sprawiała wrażenie niespokojnej, dziwnie zagubionej i całkowicie bezbronnej. Po przyjeździe nie zmieniła ubrania i wciąż miała na sobie luźne spodnie oraz zbyt duży, lekki sweter, dodała jedynie okulary przeciwsłoneczne w okrągłych, drucianych oprawkach. Brian przypuszczał, że Jo ubiera się w ten sposób, gdy wyrusza w świat robić zdjęcia, teraz jednak taki właśnie niedbały strój sprawiał, że

wyglądała na osobę obłożnie chorą.

Tymczasem z tego, co pamiętał, zawsze była niezwykle twarda. Nawet jako dziecko wszystko chciała zrobić sama: sama szukała odpowiedzi na dręczące ją pytania, sama rozwiązywała zagadki i rozstrzygała drobne nieporozumienia.

Nigdy nie znała strachu - z całej trójki najwyżej wspinała się na każde drzewo, najdalej wypływała w morze, najszybciej przebiegała przez las. Zdaniem Briana robiła to po prostu po to, by udowodnić, na co ją stać. Jo Ellen zawsze chciała coś komuś udowodnić.

Po zniknięciu ich matki nic się pod tym względem nie zmieniło. Jo za wszelką cenę próbowała pokazać, że nie potrzebuje nikogo ani niczego.

No cóż, zdecydował Brian, tym razem wygląda na to, że czegoś jednak potrzebuje. Podszedł do niej, ale nie odezwał się ani słowem nawet wtedy, gdy odwróciła głowę i spojrzała na niego zza przyciemnionych szkieł. Usiadł obok niej na długiej huśtawce i położył na jej kolanach talerz, który przyniósł ze sobą.

- Jedz - powiedział.

Jo spojrzała na smażonego kurczaka, świeżą surówkę i złocistą grzanekę.

- Czy to specjalność zakładu polecana na dzisiejszy lunch?

- Większość gości zabrała rano suchy prowiant. Jest za ładnie, żeby jeść w gospodzie.

- Kuzynka Kate mówiła mi, że masz mnóstwo roboty.

- Owszem, nie narzekam. - Z przyzwyczajenia wysunął jedną nogę i wprawił

huśtawkę w ruch. — Co się stało, że przyjechałaś, Jo?

- Wygląda na to, że tym razem stęskniłam się za domem. - Uniosła kawałek kurczaka do ust. Odwyczajony od regularnych posiłków żołądek zareagował

gwałtownie. Jo, starając się nie zwracać na to uwagi, przełknęła kęs, który miała w ustach. - Ale nie musisz się martwić, będę robić, co do mnie należy, i postaram się nie wchodzić ci w drogę.

Brian przez moment słuchał monotonnego skrzypienia huśtawki. Przyszło mu na myśl, że należałoby naoliwić zawiasy.

- O ile pamiętam, nie powiedziałem, że mi zawadzasz - rzekł łagodnie.

- W takim razie nie będę wchodzić w drogę Lexy. - Jo ponownie ugryzła kurczaka i uśmiechnęła się, patrząc na jasnoróżowy bluszcz, który przelewał się poza brzegi betonowego wazonu ozdobionego puciołowatymi cherubinami. - Możesz ją zapewnić, że nie przyjechałam tu po to, by przeszkadzać jej w dopracowywaniu własnego, niepowtarzalnego stylu.

- Powiedz jej to sama. - Brian otworzył termos, który przyniósł ze sobą, i nalał

do kubka świeżą, zimną lemoniadę. - Nie mam zamiaru wchodzić między was, bo wówczas miałbym spore szanse oberwać z obu stron.

- Dobrze, w takim razie trzymaj się z daleka. - Zaczynała ją boleć głowa, mimo to wzięła kubek i zaczęła pić. - Do diabła, zupełnie nie rozumiem, dlaczego ona tak serdecznie mnie nienawidzi.

- Ja także nie mam pojęcia. - Brian powiedział te słowa z wyraźnie przesadzonym, południowym akcentem, a potem uniósł termos i spokojnie zaczął z niego pić. - Odniosłaś ogromny sukces, zdobyłaś sławę i niezależność finansową, jesteś wschodzącą gwiazdą amerykańskiej fotografii. Masz zatem wszystko to, czego ona pragnie. - Podniósł grzanekę, przełamał ją na pół i jedną parującą część wręczył Jo.

- Doprawdy, trudno mi zrozumieć, dlaczego to tak bardzo nie podoba się Lexy.

- Do wszystkiego doszłam własną ciężką pracą. Ale nie po to urabiałam sobie ręce po łokcie, żeby teraz się tym przed nią chwalić. - Bez zastanowienia włożyła grzanekę do ust. - Nie moja wina, że Lexy bez przerwy snuje jakieś nierealne, dziecinne marzenia i pragnie widzieć swoje nazwisko na pierwszych stronach wszystkich gazet.

Nic nie poradzę na to, że śnią jej się tłumy wielbicieli rzucających róże do jej stóp.

- Choćbyś nie wiem jak często powtarzała, że jej marzenia są dziecinne, nie uda ci się sprawić, by Lexy przestała dążyć za wszelką cenę do ich realizacji. - Uniósł dłoń, zanim Jo zdążyła się odezwać. - Nie mam zamiaru jej bronić ani stawać między wami.

Jeśli macie na to ochotę, możecie nawzajem powydrapywać sobie oczy. Podejrzewam jednak, że obecnie bez trudu byłaby w stanie rozłożyć cię na łopatki i nawet by się przy tej okazji nie zasapała.

- Nie chcę z nią walczyć - powiedziała Jo ze znużeniem. Czowała zapach wistarii pnącej się nieopodal po żelaznym treliazu - jeszcze jedno niezwykle wyraziste wspomnienie z dzieciństwa. - Nie przyjechałam tu, by z kimkolwiek walczyć.

- To coś nowego. Uśmiechnęła się niewyraźnie.

- Może nieco złagodniałam.

- No cóż, podobno cuda się zdarzają. Jedz surówkę.

- O ile pamiętam, nigdy nie byłeś taki despotyczny.

- Może powoli tracę swą łagodność.

Starając się uśmiechać do brata, Jo zaczęła grzebać widelcem w surówce.

- Powiedz mi, Bri, co się tu zmieniło, a co pozostało takie samo jak dawniej. -

Spraw, żebym poczuła się jak w domu, pomyślała, nie była jednak w stanie powiedzieć tego na głos.

- Hm, pozwól, że się chwilę zastanowię. Giff dobudował następny pokój do domku Verdonów.

- Zaczekaj. - Jo zmarszczyła brwi. - Giff. Czy to nie ten kościsty chłopiec, który bez przerwy łąził za Lexy i któremu zawsze sterczał taki śmieszny kosmyk włosów?

- Tak, to on. Teraz trochę się zaokrąglił, poza tym doskonale radzi sobie z młotkiem i piłą. To on wykonuje dla nas wszystkie niezbędne naprawy. Nadal bez przerwy łązi za Lexy, ale śmiem twierdzić, że obecnie doskonale wie, czego chce.

Jo prychnęła i odruchowo wzięła do ust następną porcję surówki.

- Przecież ona zje go żywcem. Brian wzruszył ramionami.

- Być może, sądzę jednak, że ma szansę połamać sobie na nim zęby. Córka Sandersów, Rachel, zaręczyła się z kolegą ze studiów. We wrześniu ma zamiar przeprowadzić się do niego do Atlanty.

- Rachel Sanders. - Jo próbowała przypomnieć sobie jej wygląd. - Czy to ta, która sepleni, czy ta, która bez przerwy się śmieje?

- To ta, która śmieje się tak, że pękają w uszach bębenki. - Brian zadowolony, że Jo zabrała się do jedzenia, położył rękę na oparciu huśtawki i rozluźnił się. - Starsza pani Fitzsimmons zmarła niewiele ponad rok temu.

- Pani Fitzsimmons - wyszeptała Jo. - Bardzo często siadywała na werandzie i łuskała ostrygi, a u jej stóp, tuż obok bujanego fotela, zawsze spał ogar, potwornie leniwe psisko.

- Ogar zdechł wkrótce po jej śmierci. Sądzę, że gdy jej zabrakło, zbrzydło mu życie.

- Kiedy byłam dzieckiem i dopiero uczyłam się robić zdjęcia, pozwalała mi się fotografować - przypomniawszy sobie Jo. - Wciąż mam te odbitki. Kilka z nich można było nawet uznać za udane. Potem pan David pomógł mi je wywołać. Musiałam być okropnym utrapieniem, ale ona z anielską cierpliwością godzinami siedziała w tym swoim bujanym fotelu i pozwalała na sobie ćwiczyć.

Jo oparła się i poddała rytmowi huśtawki, tak spokojnemu i monotonnemu, jak życie na wyspie.

- Mam nadzieję, że nie cierpiała.

- Zmarła w czasie snu, mając dziewięćdziesiąt sześć lat. Trudno sobie wyobrazić bardziej sędziwy wiek i lepszą śmierć.

- Rzeczywiście. - Jo przymknęła oczy i zupełnie zapomniała o jedzeniu. - Co się stało z jej domkiem?

- Przeszedł w ręce spadkobierców. Pendletonowie jeszcze w 1923 roku wykupili większość ziemi należącej do Fitzsimmonsów, mimo to starsza pani była właścicielką samego domu i niewielkiego skrawka ziemi, na którym stał. Teraz to wszystko należy do jej wnuczki. - Brian ponownie podniósł

termos i upił z niego spory łyk. - Jest lekarką. Prowadzi na wyspie prywatną praktykę.

- Mamy na Desire lekarza? - Jo otworzyła oczy i uniosła brwi. - Proszę, proszę.

To niesamowite. Czy ludzie naprawdę do niej chodzą?

- Wygląda na to, że tak, przynajmniej od czasu do czasu. Jest nieprawdopodobnie uparta i naprawdę robi wszystko, by tu zostać.

- To znaczy, że jest pierwszym od dziesięciu lat przybyszem, który na stałe osiedlił się na wyspie? Rzeczywiście od dziesięciu?

- Coś koło tego.

- Nie rozumiem, dlaczego... - Jo urwała w momencie, kiedy w głowie zaświtała jej pewna myśl. - Czy to nie Kirby? Kirby Fitzsimmons? Pamiętam, że gdy byliśmy jeszcze dziećmi, przez kilka kolejnych lat spędzała tutaj wakacje.

- Prawdopodobnie musiało jej się tu spodobać i postanowiła wrócić.

- Do licha! Kirby Fitzsimmons została lekarzem. - Na samą myśl o tym Jo poczuła ogromną radość, chociaż o istnieniu tego uczucia zdążyła niemal całko wicie zapomnieć już dawno temu. - Swego czasu przyjaźniłyśmy się. Była tu również tego lata, kiedy pan David z całą rodziną przyjechał robić zdjęcia wyspy.

W tym momencie odżyły dawne, miłe wspomnienia. Jo przypomniła sobie uroczą przyjaciółkę mówiącą z charakterystycznym, jankeskim akcentem i zwariowane przygody, które wspólnie wymyślały i przeżywały.

- Pamiętam, że bez przerwy znikaleś gdzieś z jego chłopcami i tyle was widzieli

- ciągnęła Jo. - Jeśli tylko nie zadreślałam pana Davida, aby pozwolił mi porobić zdjęcia swoim aparatem, snułam się z Kirby po wyspie i obie szukałyśmy guza.

Chryste, minęło dwadzieścia lat, a ja mam wrażenie, jakby wszystko działo się wczoraj. To było to lato...

Brian przytaknął, a potem dokończył jej myśl.

- To lato, kiedy mama nas zostawiła.

- I dlatego wszystkie wspomnienia były potem tak zamazane - powiedziała cicho Jo i radość, którą jeszcze przed chwilą wyraźnie słychać było w jej głosie, zniknęła bez śladu. - Gorące lato, długie dni, parne noce pełne dziwnych dźwięków.

Mnóstwo nowych twarzy. - Zsunęła trochę okulary, żeby przetrzeć piekące oczy. -



Wstawiałam o wschodzie słońca i ani na krok nie odstępowałam pana Davida. W

pośpiechu przelykałam kanapki z szynką, a gdy było mi gorąco, ochładzałam się w rzece. Mama skądś wygrzebała dla mnie aparat fotograficzny - o ile dobrze pamiętam, był to stary jak świat skrzynkowy Brownie - więc, gdy tylko mogłam, biegłam do domku Fitzsimmonsów i robiłam zdjęcia, dopóki babcia Kirby nie kazała nam zmykać, gdzie pieprz rośnie. Tyle czasu miałyśmy wówczas do dyspozycji, tyle godzin mijało, zanim w końcu mama wołała nas do domu na kolację.

Zamknęła oczy i zacisnęła mocno powieki.

- Tyle wspomnień, a mimo to żadne z nich nie jest całkiem wyraźne. Potem nagle mama od nas odeszła. Pewnego ranka obudziłam się, gotowa z radością rozpocząć następny letni dzień, ale jej już nie było. Wtedy okazało się, że nie wiadomo, co robić.

- W tym momencie skończyło się lato - powiedział Brian cicho. - Dla nas wszystkich.

- Tak. - Ponownie zaczęły jej drżeć ręce, więc sięgnęła do kieszeni po papierosy.

- Czy kiedykolwiek o niej myślisz?

- Po co?

- Nigdy nie zastanawiasz się, dokąd poszła? Jak to zrobiła? - Jo zaciągnęła się niespokojnie. Przypomniała sobie zdjęcie i piękne, pozbawione życia oczy. - Albo dlaczego?

- Uważam, że to nie moja sprawa. - Brian wstał i wziął talerz. - Ani twoja.

Żadnego z nas. Od tamtego czasu minęło dwadzieścia lat, Jo Ellen, i z pewnością teraz jest już za późno, żeby się tym martwić.

Miała zamiar coś powiedzieć, ale zrezygnowała, widząc, że Brian odwrócił się i ruszył w stronę domu. Pomyślała, że mimo upływu czasu ta sprawa ją martwi. Wręcz przeraża.

Kiedy Lexy przechodziła między wydmiami kierując się w stronę plaży, czuła, że nadal kipi w niej złość. Była święcie przekonana, że Jo wróciła po to, by afiszować się swym wspaniałym sukcesem i interesującym życiem. Na pewno też starannie wybrała odpowiedni moment i dlatego przyjechała do Sanktuarium tuż po klęsce poniesionej przez Lexy.

Jo będzie chciała zadzierać nosa i opowiadać wszystkim o własnych tryumfach, choćby tylko po to, by upokorzyć młodszą siostrę. Ta myśl jeszcze bardziej zdenerwowała Lexy, dlatego zaczęła biec w dół wydmy, wzbijając za sobą chmurę piachu.

Na szerokiej, półkolistej plaży gdzieś widać było niewielkie grupki ludzi.

Porozkładali na piasku ręczniki i pozostawiali się kolorowymi parawanami. Niektórzy z nich mieli charakterystyczne pudełka w jasne paski - najwidoczniej stołowali się w Sanktuarium i na ten dzień zabrali ze sobą suchy prowiant.

Poczuła w nozdrzach zapach morza, olejków do opalania i smażonego kurczaka. Kilkuletni szkrab wsypywał łopatką piasek do czerwonego wiaderka, a jego matka w cieniu płóciennego daszku czytała broszurowe wydanie jakiejś powieści.

Nieopodal mężczyzna w średnim wieku powoli przypiekał się na czerwono w bezlitosnych promieniach słońca. Dwa małżeństwa, które obsługiwała tego ranka, urządziły sobie piknik, a ich śmiech momentami zagłuszał wspaniały głos Annie Lennox płynący z przenośnego magnetofonu stereofonicznego.

Lexy nie chciała tutaj tych ludzi. To był jej teren. Nie powinni na nim przebywać, zwłaszcza teraz, w chwili gdy miała tak poważne problemy. Starając się całkowicie zlekceważyć intruzów, odwróciła się do nich plecami i ruszyła wzdłuż plaży.

Nieco dalej zauważyła w wodzie opalone, muskularne ramiona i wypłowiałe od słońca włosy. Stwierdziła, że Giff od dawna nie zmienia swoich przyzwyczajzeń i robi dokładnie to, do czego zawsze namawia pani doktor. Niezmiennie podczas popołudniowej przerwy przychodzi popływać w morzu. Lexy była święcie przekonana, że w tej chwili Giff uważnie się jej przygląda.

Na dodatek wcale się z tym nie kryje, pomyślała. Na szczęście nigdy nie oburzała się, gdy jakiś atrakcyjny mężczyzna zwrócił na nią uwagę. Zwłaszcza gdy potrzebowała podbudować nieco własne ego. Przyszło jej na myśl, że właściwie mogłaby z nim trochę popoflirtować. Nie wykluczone, że odrobina dobrego seksu pomogłaby jej odzyskać humor.

Ludzie mówili, że jej matka uwielbiała flirtować z mężczyznami. Lexy była za mała, by pamiętać cokolwiek z tamtych czasów, a jej wspomnienia dotyczące Annabelle ograniczały się do mglistych obrazów i delikatnych zapachów, wierzyła jednak, że posiada wrodzony talent do flirtowania. Jej matka podobno zawsze bardzo dbała o swój wygląd i uwielbiała uśmiechać się do mężczyzn. Jeśli teoria o tajemniczym kochanku nie była jedynie wymysłem, najprawdopodobniej Annabelle przynajmniej jednemu z nich ofiarowała coś więcej niż uśmiech.

W każdym razie do takiego wniosku doszła policja po wielomiesięcznym dochodzeniu.

Lexy wiedziała, że jest dobra w łóżku. Powtarzano jej to na tyle często, że zaczęła widzieć w tym swój niezwykle cenny przymiot. Jej zdaniem seks był

najlepszym sposobem, by pozbyć się wszelkich zmartwień i szybko znaleźć się w centrum czyjejś uwagi.

Poza tym uwielbiała to cudowne, wszechogarniające, pozwalające zapomnieć o całym świecie uczucie. Właściwie było jej zupełnie obojętne, że większość z przewijających się przez jej łóżko mężczyzn nie miała pojęcia, czy, kochając się z nimi, Lexy myśli o nich czy też o najnowszym bożyszczu Hollywood. Wszystko było w porządku, dopóki dobrze odgrywała swą rolę i wypowiadała odpowiednie kwestie.

Lexy sądziła, że została stworzona do odgrywania różnych ról.

Doszła do wniosku, że nadszedł czas, by unieść aksamitną kurtynę i pokazać Giffowi Verdonowi, co się za nią kryje.

Rozłożyła na piasku ręcznik, który przyniosła ze sobą. Nie miała wątpliwości, że przez cały czas jest bacznie obserwowana. Mężczyźni zawsze uważnie przyglądają się kobietom. Lexy poczuła się tak, jakby była na scenie, dlatego dołożyła wszelkich starań, by dać jak najlepsze przedstawienie. Stała blisko wody, wystudiowanym gestem zdjęła okulary przeciwsłoneczne, a potem niedbale rzuciła je na ręcznik.

Powoli, z ociąganiem wysunęła stopy z sandałów, po czym ujęła rąbek krótkiej, letniej sukienki, którą miała na sobie, i zaczęła ją zdejmować ruchami, które przypominały niezwykle wolny striptiz. Strój bikini, który miała pod spodem, ukrywał niewiele.

Lexy opuściła na piasek bawełnianą sukienkę, potrząsnęła głową, obydwoma rękami odrzuciła do tyłu włosy, po czym, kusząco kołysząc biodrami, weszła do wody.

Giff pozwolił, by nad głową przewaliła mu się następna fala. Doskonale wiedział, że Lexy każdy ruch i każdy gest wykonuje celowo. Wcale mu to nie przeszkadzało. Za nic w świecie nie mógł oderwać od niej wzroku, nie był w stanie również zapobiec coraz większemu pożądaniu spowodowanemu widokiem tych cudownych kształtów, jasnozłocistej skóry i długich, kręconych włosów, opadających na jej plecy jak mieniące się w słońcu płomienie.

Kiedy weszła do wody, a fala łagodnie uniosła jej ciało, zaczął marzyć o tym, by kiedyś, może już wkrótce, móc w rytmie fal unosić się i opadać wraz z Lexy. Zauważył, że ona również go obserwuje, a w jej oczach cudownie odbija się zieleń morza.

Zanurzyła się, a po chwili ponownie stanęła. Miała mokre, lśniące włosy, a po jej skórze spływały strużki wody. Śmiała się na głos.

- Woda jest dzisiaj okropnie zimna - zawołała. - Na dodatek taka wzburzona.

- Zazwyczaj dopiero w czerwcu zaczynasz się kąpać w morzu.

- Może dzisiaj chcę, żeby była zimna. - Pozwoliła, żeby fala zniosła ją w jego pobliże. - I wzburzona.

- Jutro morze będzie znacznie chłodniejsze i jeszcze bardziej niespokojne -

powiedział. - Zbliża się deszcz.

- Mmm. - Przez moment unosiła się na plecach, uważnie obserwując błękitne niebo. - Może w takim razie również przyjdę. - Stała, a po chwili zaczęła posuwać się do przodu, dotykając stopami dna, przez cały czas ani na moment nie spuszczać wzroku z Giffa.

Przywykła do tego, że najpierw jako dziecko, a potem jako nastolatek nie odrywał od niej swych brązowych oczu. Byli rówieśnikami, razem dorastali, zauważyła jednak, że podczas tego roku, który spędziła w Nowym Jorku, Giff się zmienił.

Jego twarz wyraźnie wyładniała, a usta stały się bardziej stanowcze. Długie rzęsy, które w dzieciństwie były powodem bezlitosnych szyderstw, wcale nie wyglądały już na dziewczęce. Jasnobrązowe, proste jak drut włosy poprzecinane były jasnymi, wyblakłymi od słońca pasemkami. Gdy się do niej uśmiechnął, na jego twarzy pojawiły się sympatyczne dołeczki, które kiedyś również były jego przekleństwem.

- Widzisz coś ciekawego? - zapytał ją.

- Być może. - Zauważyła, że jego głos idealnie pasuje do twarzy. Był bardzo męski. Poczowała niespodziewaną, ale wyraźną i przyjemną falę pożądania. - To wcale nie jest takie wykluczone.

- Sądzę, że musisz mieć jakiś powód, który wyjaśnia twoje przyplnięcie tutaj niemal na golasa. To wcale nie znaczy, że nie podoba mi się ten widok, mam jednak nadzieję, że powiesz mi, o co chodzi? A może wolisz, żebym zgadywał?

Roześmiała się i podpłynęła kawałek pod prąd, by utrzymać dzielącą ich niewielką, lecz bardzo drażniącą odległość.

- Może po prostu miałam ochotę się ochłodzić.

- Tak właśnie przypuszczałem. - Uśmiechem odpowiedział na jej uśmiech, zadowolony, że rozumie Lexy znacznie lepiej, niż sama przypuszcza. - Słyszałem, że Jo przyplnęła na wyspę porannym promem.

Uśmiech błyskawicznie zniknął z twarzy Lexy. Teraz patrzyła na niego chłodnym wzrokiem.

- No i co z tego?

- To znaczy, że chcesz wypuścić trochę pary, prawda? A ja mam być twoim zaworem bezpieczeństwa? - Kiedy na niego syknęła i energicznie zaczęła płynąć w stronę brzegu, jednym szybkim ruchem złapał ją w pasie. - Mogę wyświadczyć ci tę przysługę - powiedział, kiedy próbowała się wyrwać z żelaznego uchwytu. - W każdym razie od dawna mam na to ochotę.

- Trzymaj łapska... - Zakończenie tego zdania zamieniło się w pełne zaskoczenia, przytłumione burknięcie. Nigdy nie przypuszczałyby, że zawsze niezwykle spokojny Giff Verdon potrafi poruszać się tak szybko i zdecydowanie.

Nie zdawała sobie również sprawy, że jego ręce są tak duże, tak silne, a jego usta tak... seksowne. Przekonała się o tym w momencie, gdy mocno i zdecydowanie zaczął ją całować. Poczwała na jego wargach chłodny, słony posmak morza. Co prawda dla zachowania formy udawała, że się broni, ale wszystko zepsuła, gdy z gardła wyrwał jej się przy duszony jęk, a równocześnie rozchyliła delikatnie usta, jakby prosiła o więcej.

Była dokładnie taka, jak się spodziewał; gorąca i namiętna, a jej niezwykle zmysłowe wargi same układały się do pocałunku. Marzenia, które snuł od ponad dziesięciu lat, mogły się teraz stać rzeczywistością i nabrać nowych, świeżych, niezwykle radosnych barw podsycanych przez beznadziejną miłość i rozpaczliwe pożądanie.

Kiedy mocno oplotła nogi wokół jego pasa i przywarła do niego całym ciałem, przepadł z kretesem.

- Pragnę cię. - Oderwał usta od jej warg i zaczął obsypywać pocałunkami jej szyję, a w tym czasie fale kołysały ich splecione ciała. - Niech cię wszyscy diabli, Lex, doskonale wiesz, że zawsze cię pragnąłem.

Grzbiet morskiej fali z potwornym rykiem przetoczył się nad ich głowami. Na moment woda ogarnęła Lex ze wszystkich stron i przyprawiła o cudowny zawrót głowy. Po chwili dziewczyna ponownie znalazła się w oślepiającym blasku słońca, a ich usta ani na moment nie oderwały się od siebie.

- Weź mnie. Natychmiast — wyszeptała, zdumiona siłą ogarniającej ją fali pożądania. - Tutaj.

Jak długo sięgał pamięcią, zawsze marzył o tym, żeby móc kochać się z nią właśnie w taki sposób. Chciał widzieć, że jest podniecona i bardzo go pragnie. Jego ciało pulsowało pod wpływem bolesnego pragnienia, by znaleźć się w niej. Wiedział

jednak, że jeśli dopuści do tego, by to pożądanie wzięło górę nad rozsądkiem, weźmie ją i straci w tym samym momencie.

W związku z tym, zamiast posłusznie wykonać jej prośbę, przesunął dłonie w dół, na jej pośladki i zaczął je masować kciukami, równocześnie obserwując, jak jej oczy powoli zachodzą mgłą.

- Bardzo długo na to czekałem, Lex. - Puścił ją. - Sadzę więc, że ty również możesz trochę poczekać.

Z trudem próbowała utrzymać się na nogach i nie ulec potężnym falom.

Prychnęła wodą i spojrzała na niego z osłupieniem.

- O czym ty, do diabła, mówisz?

- Nie mam zamiaru drapać cię po plecach w chwili, kiedy coś cię swędzi, a potem obserwować, jak odchodzisz, mruczając z zadowolenia. - Zaczesał dłonią do tyłu ociekające wodą włosy. - Kiedy będziesz gotowa na coś więcej niż szybki numer, doskonale wiesz, gdzie mnie szukać.

- Ty sukinsynu!

- Spróbuj jakoś inaczej wyładować swoją złość, kochanie. Porozmawiamy, gdy znajdziesz czas, żeby to wszystko spokojnie przemyśleć. - Jednym błyskawicznym ruchem złapał ją za ramię. - Kiedy się będę z tobą kochać, zrobię to tak, żebyśmy skorzystali na tym oboje. Nad tym również możesz się zastanowić.

Szarpnęła rękę i uwolniła się z jego uchwytu.

- Nie waż się nigdy więcej mnie dotykać, Giff.

- Obiecuję ci, że nie poprzestanę na dotykaniu - powiedział w chwili, gdy zanurkowała i zaczęła

płynąć w stronę brzegu. - Mam zamiar się z tobą ożenić - dodał

półgłosem, który tylko on sam był w stanie usłyszeć. Westchnął ciężko i obserwował, jak Lexy wychodzi z wody. - Chyba że wcześniej wpędzę się do grobu.

By nie myśleć o przeszywającym ciałem rwącym bólu dał nura pod wodę. Gdy jednak ani na moment nie przestawał czuć na wargach smaku jej ust, doszedł do wniosku, że jest albo najmądrzejszym, albo najgłupszym mężczyzną na Desire.

Jo zdołała wykrzesać z siebie tyle energii, by wybrać się na krótki spacer.

Dotarła właśnie w odległy kraniec ogrodu, kiedy na ścieżce pojawiła się Lexy.

Najwyraźniej nie zawracała sobie nawet głowy, żeby wytrzeć się po wyjściu z wody, dlatego dopasowana bawełniana sukienka przywarła do jej ciała jak druga skóra. Jo wyprostowała się i uniosła brwi.

- Jaka jest dzisiaj woda?

- Idź do diabła! - Lexy wciąż z ogromnym trudem łapała powietrze nie mogąc pogodzić się z upokorzeniem, które ją przed chwilą spotkało. - Po prostu idź do diabła.

- Mam wrażenie, że już wylądowałam w piekle. Z przykrością stwierdzam, że zgotowano mi tu tak serdeczne powitanie, jakiego w ogóle się nie spodziewałam.

- A niby dlaczego miałabyś się spodziewać czegoś więcej? Przecież to miejsce nic dla ciebie nie znaczy, my zresztą również.

- Skąd wiesz, Lexy?

- Jakoś trudno mi sobie wyobrazić, że zmieniasz prześcieradła albo sprzątasz ze stołów. Kiedy po raz ostatni szorowałaś ubikację albo myłaś cholerną podłogę?

- Czy którąś z tych rzeczy robiłaś właśnie przed chwilą? - Jo zmierzyła Lexy wzrokiem, poczynając od jej mokrych, oblepionych piaskiem stóp, a na ociekających wodą włosach kończąc. - To musiała chyba być jakaś ubikacja.

- Nie muszę ci się z niczego tłumaczyć.

- Ja tak samo, Lex. - Kiedy Jo ruszyła, by przejść obok, Lexy gwałtownie złapała ją za ramię i mocno szarpnęła.

- Dlaczego tu wróciłaś?

Jo poczuła nagle, że ogarnia ją potworne znużenie, a do oczu napływają łzy.

- Nie wiem. Ale na pewno nie po to, żeby sprawić ci przykrość. Nie po to, by dokuczyć

któremukolwiek z was. Jestem zbyt zmęczona, żeby z tobą walczyć.

Lexy poważnie zakłopotana popatrzyła na siostrę. Jo, którą znała z dzieciństwa, natychmiast wdałaby się w kłótnię i zrobiła wszystko, by dotknąć ją do żywego. Nigdy wcześniej nie zauważyła, żeby Jo drżała lub wycofywała się z pola walki.

- Co ci się stało?

- Powiem ci, kiedy sama będę wiedziała. - Jo strąciła z ramienia przytrzymującą ją dłoń. - Zostaw mnie w spokoju, a przyrzekam, że ja również nie będę się ciebie czepiać.

Ruszyła szybko ścieżką i po kilku krokach skierowała się w stronę morza. Nie przyglądała się wydmom i rosnącej na nich lśniącej trawie, nie uniosła również głowy, żeby obserwować lot mewy, której przenikliwe nawoływanie roznosiło się w powietrzu.

Wiedziała, że musi pomyśleć. Potrzebuje godziny lub dwóch na zastanowienie.

Wówczas na pewno znajdzie odpowiedź na pytanie, co robić i w jaki sposób powiedzieć o wszystkim rodzinie. Chyba że dojdzie do wniosku, iż w ogóle nie należy nic nikomu mówić.

Czy może im się przyznać, że nie tak dawno kompletnie się załamała, że spędziła dwa tygodnie w szpitalu, ponieważ w którymś momencie zawiodły ją nerwy i coś pomieszało jej się w głowie? Czy, gdy to usłyszą, okażą jej współczucie czy złość? A może i jedno, i drugie?

Tylko czy ich reakcja ma jakiegokolwiek znaczenie?

W jaki sposób ma im powiedzieć o zdjęciu? Chociaż bardzo często ścinała się z nimi naprawdę ostro, to przecież ani na moment nie przestawali być jej rodziną. Czy w związku z tym ma prawo ponownie otworzyć dawne rany, odgrzebywać przeszłość i znowu kazać im przejść przez piekło? Poza tym w żaden sposób nie byłaby w stanie udowodnić własnych słów, ponieważ odbitka gdzieś przepadła.

Tak samo jak Annabelle.

A może fotografia nigdy nie istniała.

Pewnie uznaliby, że oszalała. Biedna Jo Ellen, zupełnie zwariowała.

Czy zdołałaby się przyznać, że po wyjściu ze szpitala przez wiele dni siedziała w mieszkaniu zamknięta na klucz, drżąc ze strachu? Że co chwilę łapała się na bezmyślnym, gorączkowym poszukiwaniu zdjęcia, które stanowiło jedyny dowód, iż nadal jest przy zdrowych zmysłach?

I że wróciła na wyspę, ponieważ w końcu musiała pogodzić się z faktem, że jest chora. Że gdyby jeszcze przez jeden dzień została sama zamknięta na cztery spusty we własnym apartamencie, być może już nigdy nie zdobyłaby się na odwagę, by go opuścić.

Mimo to doskonale pamiętała każdy szczegół tego zdjęcia. Jego fakturę, koloryt, kompozycję. Była na

nim jej matka, piękna i młoda, dokładnie taka, jak we wszystkich wspomnieniach. Miała te same długie, falujące włosy i niezwykle delikatną skórę. Jo doskonale zdawała sobie sprawę, że gdyby kiedykolwiek w jej snach pojawiła się Annabelle, z pewnością wyglądałaby właśnie tak, jak na tym zdjęciu.

Annabelle była wówczas niemal w tym samym wieku co ja, pomyślała Jo. To w pewnym stopniu mogło wyjaśniać wszystkie sny, lęki i podświadome zdenerwowanie.

Czy tuż przed zniknięciem matka była tak samo niespokojna? Czy rzeczywiście miała jakiegoś kochanka? Dużo szeptano wówczas na ten temat i niektóre pogłoski docierały nawet do uszu dzieci. Mimo to nie było żadnej wskazówki, która jednoznacznie sugerowałaby, kto to był, nikt również nie podejrzewał Annabelle o niewierność, dopóki nie zniknęła. Jednak później krążyły takie pogłoski, a ludzie ani na moment nie przestawali snuć różnych domysłów.

Jeśli była to prawda, trzeba przyznać, że Annabelle postępowała niezwykle dyskretnie i mądrze. Nic nie wskazywało na to, że ma zamiar ich zostawić, a przecież to zrobiła.

Jo zastanawiała się, czy ojciec wcześniej coś przeczuwał. Przecież mężczyzna musi zdawać sobie sprawę, że jego żona jest niespokojna, niezadowolona i nieszczęśliwa. Jo doskonale wiedziała, że czasami kłócili się o wyspę. Czy to wystarczyło, by Annabelle odwróciła się plecami do swojego domu, męża i dzieci? A może Sam w ogóle nie dostrzegał jej rozpaczy, może już wówczas nie uświadamiał

sobie, co czują otaczający go ludzie?

Teraz Jo nie mogła sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek w Sanktuarium było pod tym względem inaczej, choć pamiętała czas, kiedy po domu roznosił się śmiech.

Do dzisiaj nie zapomniała jego brzmienia. Poza tym w starych albumach tkwią jeszcze zrobione na gorąco fotki, na których widać obejmujących się w kuchni rodziców, matkę trzymającą ojca za rękę i spacerującą z nim po plaży.

Były to kiepskie zdjęcia, które ze starości i wskutek nieodpowiedniego utrwalenia dawno temu zdążyły już wyblaknąć. Mimo to istniały. Na dodatek przedstawiały istniejącą wówczas rzeczywistość. Jo podejrzewała, że jeśli niegdyś całkiem skutecznie wyrzuciła z pamięci niemal wszystkie wspomnienia o matce, teraz mimo wszystko na pewno zdoła je odtworzyć. A wówczas być może zacznie wszystko rozumieć.

Gdy zrozumie, będzie mogła zdecydować, co robić dalej.

Odgłos czyichś kroków sprawił, że gwałtownie uniosła głowę. Patrzyła pod słońce, dlatego nie widziała ukrytej w cieniu twarzy, którą dodatkowo osłaniał daszek czapki. Mimo to poznała pełen gracji, miękki chód.

Przed oczami stanął jej następny, dawno zapomniany obraz. Była małą dziewczynką z fruującymi na wszystkie strony włosami. Biegła ścieżką, ani na moment nie przestając wesoło pokrzykiwać. Gdy



dotarła do celu, radośnie podskoczyła w górę, a wówczas on wysunął przed siebie ramiona, złapał ją, podrzucił

wysoko i po chwili mocno przytulił do siebie.

Jo zamrugała szybko powiekami, próbując pozbyć się łez, które pod wpływem wspomnienia tamtych cudownych chwil same napłynęły jej do oczu. Nie uśmiechnął

się do niej, dlatego doskonale wiedziała, że zobaczył w niej odbicie Annabelle. Jo od dawna bezskutecznie robiła wszystko, by temu zapobiec, najwyraźniej jednak było to zadanie przekraczające jej możliwości.

Uniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy.

- Cześć, tato.

- Witaj, Jo Ellen. - Zatrzymał się o trzydzieści centymetrów od niej i uważnie jej się przyjrzał. Bez trudu zauważył, że Kate miała rację. Jego starsza córka wyglądała na ciężko chorą, była bardzo blada i spięta. Ponieważ nie wiedział, czy może ją do siebie przytulić, ani jak to zrobić - przypuszczał zresztą, że Jo nie byłaby zadowolona z takiego gestu - w związku z tym wsadził ręce do kieszeni. - Kate powiedziała mi, że jesteś.

- Przyjechałam porannym promem - wyjaśniła, chociaż zdawała sobie sprawę, że jest to zupełnie zbędna informacja.

Przez chwilę oboje stali bez słowa i czuli się jeszcze bardziej niezręcznie, niż gdyby byli zupełnie obcymi sobie ludźmi. W końcu Sam Zaszurał nogami.

- Masz jakieś kłopoty?

- Nie, po prostu przyjechałam trochę odpocząć.

- Mizernie wyglądasz.

- Trochę się ostatnio przepracowałam. Zmarszczył brwi i spojrzał na jej aparat fotograficzny.

- Nie wygląda na to, żebyś miała zamiar naprawdę odpoczywać. Mimowolnym ruchem położyła dłoń na aparacie.

- Trudno rzucić stare przyzwyczajenia.

- Masz rację - westchnął. - Przy dzisiejszym świetle woda wygląda niezwykle pięknie, poza tym bardzo wyraźnie widać wysokie fale. Może warto to sfotografować.

- Sprawdź. Dziękuję.

- Następnym razem włóż kapelusz. Nie zapominaj, że tutaj łatwo się poparzyć.

- Tak, masz rację. Na pewno będę o tym pamiętać.

Ponieważ nic więcej nie był w stanie wymyślić, kiwnął głową i ruszył przed siebie. Mijając ją przypomniał:

- Strzeż się słońca.

- Dobrze. - Odwróciła się energicznie i pobiegła na oślep, nie chcąc pokazać po sobie, jak bardzo wzruszył ją nieodłącznie związany z ojcem zapach wyspy.

Wiele kilometrów stamtąd, w wypełniającym ciemnię czerwonym świetle, wsunął naświetlony papier do kuwety z wywoływaczem. Ogromną przyjemność sprawiało mu wielokrotne odtwarzanie momentu sprzed wielu lat, obserwowanie, jak stopniowo wszystkie linie i cienie pojawiają się na papierze.

Już niemal zakończył tę fazę, ociągał się jednak, by przed przejściem do następnego etapu odczuć całą związaną z tym przyjemność.

Zmusił ją, żeby wróciła do Sanktuarium. Ta myśl sprawiła, że zaczął się cicho śmiać i dumnie wypiął pierś. Nie mogło być lepiej. Bardzo chciał, żeby właśnie tam się znalazła. Gdyby nie to, już wcześniej mógł ją mieć, i to kilkakrotnie.

Chciał jednak, by wszystko było doskonałe. Znał radość płynącą z osiągnięcia doskonałości, wiedział również, ile zadowolenia daje ciężka praca zmierzająca do stworzenia idealnych warunków.

Tym razem nie będzie to Annabelle, lecz jej córka. Tym oto sposobem koło się zamknie. Ona stanie się jego sukcesem, jego arcydziełem.

Uprowadzi ją, zgwałci, a potem zabije.

Każdy etap zostanie uwieczniony na kliszy. Och, Jo z pewnością będzie mu za to niezmiernie wdzięczna. Nie mógł się już doczekać chwili, kiedy zacznie jej wszystko wyjaśniać. Jego zdaniem była jedyną osobą, będącą w stanie docenić jego ambicję i sztukę.

Dawno temu zwrócił uwagę na jej prace, a ponieważ świetnie je rozumiał, miał

wrażenie, że doskonale zna również Jo. A poznają się jeszcze lepiej.

Uśmiechając się do własnych myśli, przełożył odbitkę z wywoływacza do przerywacza, a potem z szelestem umieścił ją w kuwecie z utrwalaczem. Starannie sprawdził temperaturę kąpieli i czekał cierpliwie, aż dzwonienie czasomierza oznajmi mu, że może już zapalić białe światło i sprawdzić zdjęcie.

Było piękne, po prostu piękne. Idealna kompozycja. Pełne dramatyzmu oświetlenie tworzące wokół jej włosów niezmierną aureolę, cudownie obrysowujące cieniami jej ciało i uwydatniające barwę skóry. Do tego wszystkiego tak wspaniały obiekt. Trudno wyobrazić sobie coś doskonalszego.

Kiedy odbitka została utrwalona, wyjął ją z kuwety i włożył pod bieżącą wodę, żeby się wypłukała. Teraz mógł już sobie pozwolić na snucie marzeń o tym, co nastąpi.

Znajdował się bliżej niej niż kiedykolwiek. Miał mnóstwo zdjęć, które ukazywały niemal każdy krok Jo na wyspie. Nie mógł się wprost doczekać, kiedy zdoła wysłać jej następną partię. Wiedział jednak, że musi niezwykle starannie wybrać odpowiedni moment.

Na stole, na którym zazwyczaj pracował, tuż obok jego łokcia leżał zniszczony pamiętnik, a wyraźne niegdyś litery z czasem wyblakły i zatarły się.

*Ostatecznym celem mojej pracy jest uchwycenie decydującego momentu.*

*Utrwalenie na kliszy tej niezwykle krótkiej, ulotnej chwili, podczas której wszystkie składające się na nią elementy osiągają swoje apogeum. Jakiż może być bardziej decydujący moment niż śmierć? Czy fotograf może mieć większą władzę nad otaczającą go rzeczywistością, niż sprowokowanie decydującego momentu i uwiecznienie go na filmie, niż staranne zaplanowanie, zaaranżowanie i spowodowanie śmierci! Tylko ten akt jest w stanie połączyć temat i artystę, sprawić, że twórca staje się częścią własnego dzieła i sam kreuje rzeczywistość.*

*Ponieważ chcę zabić tylko jedną kobietę i pragnę wykreować tylko jeden decydujący moment, musiałem dokonać niezwykle starannego wyboru.*

*Wybrana przeze mnie kobieta ma na imię Annabelle.*

Z cichym westchnieniem powiesił odbitkę, żeby wyschła, i zapalił białe światło, by lepiej się jej przyjrzeć.

- Annabelle - mruknął pod nosem. - Byłaś taka piękna. A Jo jest twoim żywym odbiciem.

Zostawił Annabelle nieruchomo wpatrującą się w jakiś punkt i wyszedł, by uzupełnić swoje wyposażenie, które będzie mu potrzebne podczas pobytu na Desire.

## **ROZDZIAŁ 5**

Prom pruć fale Cieśniny Pelikana, kierując się prosto na Lost Desire. Nathan Delaney, tak samo jak wówczas, gdy był dziesięcioletnim chłopcem, stał przy poręczy sterburty. Teraz nie był to już ten sam prom, a Nathan od dawna nie był chłopcem, chciał jednak jak najdokładniej przypomnieć sobie tamtą chwilę sprzed lat.

Czuł na twarzy chłodną morską bryzę i z radością wciągał w nozdrza jej dziwny, tajemniczy zapach. Gdy przepływał tę cieśninę poprzednim razem, było znacznie cieplej, ale wówczas kończył się już maj, a obecnie była dopiero połowa kwietnia.

To niewielka różnica, pomyślał, przypominając sobie moment, kiedy on, jego rodzice i młodszy brat tłoczyli się przy poręczy sterburty starego promu, niecierpliwie oczekując chwili, kiedy po raz pierwszy zobaczą Desire i rozpoczną wakacje na tej wyspie.

Na pierwszy rzut oka od tamtego czasu niewiele się zmieniło. Tak samo jak przed laty wznosiły się ku niebu majestatyczne dęby obwieszane koronkowymi zasłonami mchów, a wśród nich widać było palmy karłowate i mające zamiar lada chwila zakwitnąć drzewa magnoliowe o połyskujących w słońcu liściach.

Czy wówczas jeszcze kwitły? Był wtedy chłopcem, który niecierpliwie oczekiwał rozpoczęcia wakacyjnej przygody, dlatego nie przywiązywał zbytnej wagi do kwiatów.

Uniósł lornetkę, którą wcześniej zawiesił na szyi. Owego ranka, wiele lat temu, ojciec pomógł mu skierować ją w odpowiednią stronę i ustawić ostrość, dzięki temu zobaczył przelatującego wśród drzew dzięcioła. W chwilę później zaczęła się bójka, której od początku należało się spodziewać, ponieważ Kyle zażądał lornetki, a Nathan za nic w świecie nie chciał mu jej dać.

Pamiętał, że matka zaczęła się z nich śmiać, a ojciec pochylił się i połaskotał

Kyle'a, aby odwrócić jego uwagę. Nathan pomyślał, że musieli wówczas uroczo wyglądać. Ładna kobieta z rozwianymi włosami oraz błyszczącymi z radości i podniecenia oczami, dwóch sprzeczącących się zawzięcie muskularnych chłopców o czuprynach przyciętych na jeża i smukły, wysoki, długonogi mężczyzna o śniadej karnacji.

Teraz, pomyślał Nathan, z całej czwórki zostałem tylko ja. Jakimś cudem z tego krępego chłopca, którym wówczas był, zamienił się w mężczyznę niezwykle podobnego do ojca. Miał tak samo jak on długie nogi, wąskie biodra, szczupłą twarz i ciemnoszare oczy. Po matce odziedziczył jednak pełne usta i ciemnobrązowe włosy, w których miejscami połyskiwały złociste i rudawe pasemka. Ojciec zawsze mawiał, że mają wygląd starzejącego się mahoni.

Nathan dochodził do wniosku, że dzieci zawsze w jakimś sensie stanowią połączenie określonych cech swoich rodziców. Ta myśl sprawiła, że mimo woli zadrżał.

Opuścił lornetkę i uważnie obserwował, jak wyspa powoli nabiera kształtu.

Widział delikatne, różowe i fioletowe plamy odcinające się od ciemnozielonego tła - przypomniał sobie, że tak właśnie wygląda z daleka łubin i leśny szczaw.

Gdzeniedzie udawało mu się dostrzec któryś z porozrzucanych po wyspie domków, fragment drogi lub błysk wody w strumieniu, który dwa kroki dalej znikał wśród drzew. Nastrój tajemniczości potęgowały ponure cienie lasu, w którym niegdyś żyły dzikie świnie i konie, widać było również zaskakujące migotanie promieni słonecznych odbijających się od powierzchni wody wśród moczarów i niezwykle delikatne źdźbła kołyszących się na wietrze zielonych traw mieniących się baśniowymi, złocistymi odcieniami.

Ten nieostry z powodu odległości widok przypominał sen.

Potem na niewielkim wzniesieniu dostrzegł białą plamę i kilka oślepiających mrugnięć, będących efektem odbicia promieni słonecznych od szyb. To Sanktuarium, pomyślał, i przez dłuższą chwilę nie

odrywał od niego wzroku. Kiedy jednak prom skręcił w stronę portu, budynek zniknął z pola widzenia.

Nathan odwrócił się od poręczy i podszedł do swojego jeepa. Kiedy usiadł za kierownicą, a do jego uszu docierało jedynie monotonne mruczenie silnika promu, zaczął się zastanawiać, czy przyjazd tutaj nie jest czystym szaleństwem, czy rzeczywiście dobrze robi, starając się wrócić do przeszłości i próbując ponownie przeżyć tamto lato.

Zostawił za sobą Nowy Jork. Bez trudu spakował do samochodu wszystko, co miało dla niego jakieś znaczenie, a było tego zaskakująco mało. Nic dziwnego, nigdy nie był zwolennikiem gromadzenia przedmiotów. Ta cecha dwa lata temu znacznie ułatwiła mu przebrnięcie przez rozwód. Maureen była klasycznym przykładem kolekcjonerki, dlatego zaproponował jej, żeby wzięła sobie wszystko, co zechce. To oszczędziło im obydwójgu czasu i zbędnych awantur.

Fakt faktem, że skrupulatnie skorzystała z jego propozycji i niemal całkowicie ogołociła ich mieszkanie na West Side, zostawiając mu jedynie jego ubrania i materace.

Na szczęście ten rozdział życia miał już za sobą i od dwóch lat bez przeszkód mógł się poświęcić swojej pracy. Projektowanie budynków było zarówno jego pasją jak i sposobem zarabiania na życie. W Nowym Jorku miał swoją główną siedzibę, większość czasu spędzał jednak podróżując po świecie i pracując wszędzie, gdzie tylko był w stanie rozstawić stół kreślarski i rozłożyć komputer. W wolnym czasie poznawał

najstynniejsze budowle świata, zgłębiał ich piękno i harmonię, poczynając od wspaniałych gotyckich katedr we Włoszech i Francji, na domach wzniesionych na pustyni południowo - wschodnich krańców Stanów Zjednoczonych kończąc.

Był człowiekiem wolnym, swój czas i serce bez reszty poświęcał pracy.

Potem nagle stracił rodziców. Ich niespodziewana śmierć wstrząsnęła całym jego światem i do tej pory nie zdołał się po tym potwornym wstrząsie pozbierać. Nie wiedział, dlaczego wydawało mu się, że pobyt na Desire pozwoli mu odzyskać spokój ducha.

Nathan postanowił zostać na wyspie przez przynajmniej sześć miesięcy. Jako dobry znak potraktował to, że udało mu się zarezerwować ten sam domek, w którym mieszkali owego pamiętnego lata. Miał zamiar wsłuchać się w echa tamtych głosów, zdawał sobie jednak sprawę, że teraz jest już dorosłym mężczyzną, więc na pewno inaczej będzie podchodził do wszystkiego, co się wówczas wydarzyło.

Kierując się męskim poczuciem obowiązku, miał również zamiar wrócić do Sanktuarium.

Czy dzieci Annabelle będą go jeszcze pamiętały?

Kiedy prom zawinął do portu, wiedział już, że wkrótce wszystkiego się dowie.

Spokojnie czekał na swoją kolejkę, przy okazji obserwując, jak obsługa promu zdejmuje blokady z kół stojącego przed nim pikapa. Sądząc po sprzęcie, podróżująca tym samochodem pięcioosobowa rodzina miała zamiar rozbić namiot na znajdującym się na wyspie kempingu. Nathan potrząsnął

głową, zastanawiając się, jak można spanie na ziemi pod niewielkim skrawkiem materiału uznawać za wakacje.

W tym momencie jakiś obłok przysłonił słońce i natychmiast zrobiło się dużo ciemniej. Nathan spostrzegł, że od wschodu z niezwykłą szybkością nadciąga sporo groźnie wyglądających chmur. Zmarszczył brwi. Wiedział doskonale, że na takich wyspach jak Desire deszcz nadchodzi niezwykle szybko. Pamiętał, że kiedy był tu poprzednim razem, deszcz padał strumieniami przez trzy ciągnące się bez końca dni.

Pod wieczór pierwszego z nich on i Kyle jak młode wilki zaczęli skakać sobie do gardeł.

Uśmiechnął się na to wspomnienie, chociaż nie mógł zrozumieć, jak, na litość boską, ich matka była w stanie to tolerować.

Powoli zjechał z promu, a potem ruszył przed siebie wyboistą, zniszczoną drogą, która prowadziła z portu w głąb wyspy. Otworzył okna i słuchał wesołego, głośnego rock'n'rolla, który płynął z radia jadącego przed nim samochodu ciężarowego. Pomyślał, że Biwakowa Rodzinka na pewno doskonale się bawi zastanawiając się, czy deszcz lunie za chwilę, czy nieco później. Nathan postanowił iść za jej przykładem i zacząć się cieszyć pięknym porankiem.

Oczywiście, będzie musiał odwiedzić Sanktuarium, spróbuje jednak spojrzeć na nie okiem architekta. Pamiętał, że sam budynek jest wspaniałym przykładem stylu kolonialnego - ma wysokie, wąskie okna, majestatyczne kolumny, a dookoła ciągną się szerokie werandy. Chociaż Nathan był wówczas tylko dzieckiem, zwrócił uwagę na pewne szczegóły.

Przypomniał sobie wyloty rynien zakończone pięknymi rzygaczami, które wspaniale uwydatniały majestatyczny styl budynku. Zapewniał wówczas Kyle'a, że owe gargulce ożywają w nocy i bezszelestnie grasują po domu, czym udało mu się napędzić bratu niezłego stracha.

Pamiętał, że w jednej części domu znajduje się wieżyczka, którą można obejść dookoła wąskim balkonikiem. Kominy wzniesione zostały z jasnego kamienia, który przywieziono ze stałego lądu, natomiast samą bryłę zbudowano z drewna rosnących na wyspie cyprysów i dębów. Sterczące wszędzie balkony i balkoniki otoczone były ozdobnymi balustradami z kamienia lub żelaza.

Nieopodal znajdowała się wciąż jeszcze używana wędzarnia i popadający w ruinę budynek, w którym dawno temu mieszkali niewolnicy. To tam właśnie Brian i Kyle znaleźli zwiniętego w kłębek w ciemnym kącie grzechotnika.

Wśród leśnych zarośli cicho przemykały sarny i jelenie, a na moczarach wylegiwały się wiekowe aligatory. Z ust do ust przekazywano sobie mrozące krew w żyłach opowieści o piratach i duchach. Czyż chłopcy mogli wymarzyć sobie wspanialsze miejsce na długie wakacje? Na tej wyspie na każdym kroku czekało mnóstwo prawdziwych przygód. Z łatwością można było również ukryć tutaj nawet najbardziej ponury sekret.

Nathan minął ciągnące się w zachodniej części Desire tętniące życiem moczary z wystającymi gdzieś tam niewielkimi kępami drzew. Wiatr wzmagał się coraz bardziej i niespokojnie

przyginał trawę do ziemi. Dwie wspaniałe czaple patrolowały brzeg, brodząc w płytkiej wodzie, a ich długie, patykowate nogi wyglądały jak szczudła.

Dalej miejsce ciągnących się wzdłuż drogi moczarów zajął bujny, egzotyczny las. Nathan zwolnił, pragnąc, by jadąca przed nim ciężarówka zniknęła mu z pola widzenia. To tutaj, niemal w absolutnej ciszy, kryły się ponure sekrety. Poczul

przyspieszone bicie serca i mimo woli mocniej zacisnął palce na kierownicy. Po to właśnie tu przyjechał, nad tym pragnął pomyśleć i wierzył, że w końcu zdoła wszystko zrozumieć.

Nieprzenikniony mrok nie pozwalał zajrzeć w głąb lasu, a mech opadał z drzew jak gęsta pajęczyna rozsuta przez jakieś monstrualne pająki. By sprawdzić samego siebie, Nathan wyłączył silnik. Nie słyszał nic, oprócz bicia własnego serca i coraz głośniejszego zawodzenia wiatru.

To tutaj właśnie mieszkają wszystkie duchy i cienie, pomyślał. Być może będzie musiał ich poszukać. Co zrobi, gdy je znajdzie? Czy zostawi je ich własnemu losowi, żeby noc po nocy tułały się po ciemnym lesie, czy pozwoli, by nadal go nawiedzały i przemawiały do niego podczas snu?

Czyją twarz zobaczy wcześniej: swojej matki czy Annabelle? Która z tych dwóch kobiet będzie głośniej zawodzić?

Westchnął ciężko i złapał się na tym, że próbuje sięgnąć po papierosy, choć palenie rzucił już rok temu. Poirytowany przekreślił kluczyk w stacyjce, jednak w odpowiedzi usłyszał jedynie ponure dudnienie. Kilkakrotnie wcisnął pedał gazu i ponownie spróbował zapuścić silnik, z identycznym rezultatem.

- O cholera! - mruknął pod nosem. - Tylko tego mi brakowało.

Oparł się o siedzenie i niespokojnie zaczął bębnić palcami po kierownicy. No cóż, zdawał sobie sprawę, że powinien teraz wysiąść i zajrzeć pod maskę. Wiedział

nawet, co tam zobaczy. Silnik. Jakieś przewody, tajemnicze rury i dziwne pasy.

Nathan tyle samo wiedział o silnikach, przewodach i rurach, co o operacji mózgu.

Przyszło mu jednak na myśl, że dając się namówić na odkupienie od przyjaciela starego, używanego jeepa, całkowicie zasłużył sobie na to, by auto odmówiło mu posłuszeństwa na opustoszałej drodze.

Zrezygnowany wysiadł i otworzył maskę. Tak jak podejrzewał, zobaczył pod nią silnik. Pochylił się, szturchnął go i w tym momencie poczuł na plecach pierwszą kroplę deszczu.

- Lepiej być nie mogło. - Wsunął ręce do kieszeni dzinsów i patrzył ponuro na plątaninę rur oraz przewodów, starając się nie zważać na to, że ma coraz bar dziej mokrą głowę.

Powinien zacząć coś podejrzewać, gdy podczas kupna samochodu przyjaciel beztrósco wrzucił mu do jeepa skrzynię z narzędziami. Nathan zaczął się zastanawiać, czyje teraz nie wyjąć i nie spróbować postukać w silnik kluczem francuskim.

Najprawdopodobniej nic by to nie pomogło, ale przynajmniej mógłby wyładować złość.

Cofnął się o kilka kroków i zamarł w całkowitym bezruchu na widok ducha, który wyszedł z ciemnego lasu i zaczął mu się uważnie przyglądać.

Annabelle.

To imię sprawiło, że Nathan zdrętwiał ze strachu. Zjawa stała nieruchomo w strugach deszczu. Miała ciemno rude, mokre, poplątane włosy i spokojnie patrzyła na niego ogromnymi, niebieskimi, niezwykle smutnymi oczami. Ugięły się pod nim kolana, więc, by nie upaść, oparł się jedną ręką o błotnik.

Ona widząc to, drgnęła, odrzuciła do tyłu mokre włosy i ruszyła w jego stronę.

W tym momencie zdał sobie sprawę, że to nie duch, lecz kobieta z krwi i kości. Nie Annabelle, dałby jednak głowę, że któraś z jej córek.

Westchnął z ogromną ulgą i czekał, aż serce przestanie mu walić jak oszalałe.

- Ma pan jakieś problemy z samochodem? - Jo starała się, by jej słowa brzmiały wesoło i bez troski. Widząc dziwne spojrzenie stojącego przy jeepie mężczyzny, zaczęła żałować, że nie została między drzewami. Wcale nie musiała przejmować się jego kłopotami. - Zakładam, że nie zatrzymał się pan tutaj, by w strugach deszczu podziwiać widoki.

- Nie. - Był zadowolony, że mimo niecodzienności sytuacji jego głos brzmi całkiem naturalnie. - Nie mogę uruchomić silnika.

- To znaczy, że rzeczywiście ma pan problem. - Wydawało jej się, że skądś zna tego człowieka. Przez moment podziwiała jego miłą, wyrazistą, męską twarz i interesujące, szare, niezwykle szczere oczy. Gdyby zajmowała się fotografią portretową, z pewnością chciałaby mu zrobić kilka zdjęć. - Wie pan już, co się popsuło?

Mówiła z cudownym południowym akcentem. Dzięki temu zdołał się całkowicie uspokoić.

- Na razie udało mi się znaleźć silnik - powiedział i uśmiechnął się bezradnie. -

Jest dokładnie tam, gdzie moim zdaniem powinien być.

- Aha. I co teraz?

- Właśnie zastanawiam się, jak długo jeszcze powinienem patrzeć pod maskę i udawać, że wiem, do czego to wszystko służy, zanim wsiądę z powrotem do samochodu, żeby ukryć się przed deszczem.

- Nie potrafi pan naprawić samochodu? - zapytała z tak wyraźnym zaskoczeniem, że aż poczuł się dotknięty.

- Nie, nie potrafię. Mam również buty, ale nie mam pojęcia, w jaki sposób garbuje się skórę. -



Wyciągnął rękę, by zamknąć maskę, ale go powstrzymała.

- Pozwoli pan, że spojrzę?

- Jest pani mechanikiem?

- Nie, ale trochę znam się na samochodach. - Odsunęła go na bok i najpierw sprawdziła złącza akumulatora. - Wyglądają całkiem nieźle, ale jeśli ma pan zamiar spędzić jakiś czas na Desire, powinien pan mieć je na oku ze względu na korozję.

- Chcę się tu zatrzymać na mniej więcej sześć miesięcy. - Pochylił się nad silnikiem razem z nią. - Proszę mi pokazać, co mam mieć na oku.

- To. Te mechanizmy fatalnie znoszą panującą na wyspie wilgoć. Proszę się na mnie nie pchać.

- Przepraszam. - Odsunął się. Najwyraźniej go nie pamiętała, w związku z tym postanowił udawać, że on również jej nie zna. - Mieszka pani na tej wyspie?

- Już nie. - Jo przesunęła na plecy aparat fotograficzny, by nie uderzyć nim o jeepa.

Nate spojrział na wysokiej klasy Nikona i poczuł przeszywający ból w piersiach.

Ten niewielkich rozmiarów, znacznie cichszy i trwalszy od innych model, bardzo często używany był przez profesjonalistów. Chętnie posługiwał się nim ojciec Nathana. On sam również miał identyczny aparat.

- Robiła pani zdjęcia przy takim deszczu?

- Kiedy wychodziłam, było pięknie - odparła odruchowo. - Niedługo będzie pan musiał wymienić pasek klinowy, ale to nie on jest przyczyną pańskich kłopotów. -

Wyprostowała się i chociaż lało jak z cebra, wydawało się, że strugi deszczu w ogóle jej nie przeszkadzają. - Proszę przekręcić kluczyk w stacyjce, a ja spróbuję posłuchać.

- Tak jest, szefie.

Kiedy oddalił się i wsiadł do samochodu, delikatnie się uśmiechnęła. Nie miała wątpliwości, że ta sytuacja znacznie nadwątlila jego męskie ego. Kiedy silnik jęknął, na moment podniosła głowę. Po chwili zacisnęła mocno wargi i z powrotem wsunęła głowę pod maskę.

- Jeszcze raz! - zawołała, mruczając pod nosem: - To na pewno gaźnik.

- Co takiego?

- Gaźnik - powtórzyła głośniejszym głosem i przez chwilę grzebała między przewodami. -

Proszę zapalić jeszcze raz.

Tym razem silnik ożył. Z zadowoleniem kiwnęła głową, zamknęła maskę i podeszła do okienka po stronie kierowcy.

- Zatkaly się dysze, to wszystko. Dobrze byłoby, gdyby wybrał się pan z tym do mechanika. Na moje ucho pański gaźnik wymaga regulacji. Kiedy robiono to panu po raz ostatni?

- Mam tego jeepa dopiero od kilku tygodni. Kupiłem go od przyjaciela.

- Zdaje się, że popełnił pan poważny błąd. No cóż, teraz powinien już pan dojechać do celu.

Kiedy Jo chciała zrobić krok do tyłu, złapał ją za rękę. Zauważył, że ta sprawna dłoń jest wąska i niezwykle elegancka.

- Proszę pozwolić się odwieźć. Leje jak z cebra, a jest to jedyna rzecz, którą mogę dla pani zrobić.

- Nie ma takiej potrzeby. Pójdę...

- A co będzie, jeśli ponownie wsiądzie mi samochód? - Uśmiechnął się do niej czarująco. - Kto wówczas naprawi mi gaźnik?

Wiedziała, że lepiej zrobi, jeśli skorzysta z jego propozycji. Choćby tylko po to, żeby w końcu puścił jej dłoń. Wzruszyła ramionami.

- W takim razie zgoda. - Oswobodziła rękę z jego uchwytu i poczuła ogromną ulgę. Obiegła jeepa i, ociekając wodą, usiadła na miejscu dla pasażera.

- No cóż, od środka prezentuje się całkiem nieźle.

- Wygląda na to, że mój przyjaciel doskonale wiedział, na co będę zwracać uwagę. - Nathan włączył wycieraczki i spojrzał na Jo. - Dokąd?

- Na razie prosto, a na pierwszym rozwidleniu trzeba będzie skrócić w prawo.

Sanktuarium nie jest daleko stąd... jak zresztą wszystko na Desire.

- To doskonale, ponieważ ja również jadę do Sanktuarium.

- Tak? - Powietrze w kabinie było niezwykle parne i ciężkie. Zacinający mocno deszcz odciął ich od całego świata, drzewa okrył gęstą mgłą i tłumiał wszystkie rozchodzące się wokół dźwięki. Choć miała dosyć powodów, by odczuwać skrępowanie, postanowiła nie przejmować się zbyt całą sytuacją, dlatego odwróciła głowę i spojrzała mu prosto w oczy. - Będzie pan mieszkał w którymś z pokojów?

- Nie, muszę jedynie odebrać klucze do domku, który wynająłem.

- Przyjechał pan na sześć miesięcy? - Kiedy samochód ruszył, poczuła ogromną ulgę, ponieważ siedzący obok niej mężczyzna oderwał swe poważne, szare oczy od jej twarzy i skupił się na drodze.

- To bardzo długi urlop.

- Zabrałem ze sobą pracę. Poza tym chciałem na jakiś czas zmienić otoczenie.

- Desire leży bardzo daleko od pana domu - powiedziała, a potem uśmiechnęła się widząc, że spojrzał na nią zaskoczony. - Każdy mieszkaniec Georgii bez trudu rozpozna Jankesa. Nie tylko po akcencie, ale również po sposobie poruszania się. - Jo odgarnęła do tyłu włosy. Gdybym poszła na piechotę, pomyślała Jo, nie musiałabym prowadzić konwersacji. Mimo to rozmowa i tak była lepszym wyjściem niż cisza przerywana jedynie szumem deszczu. - Wynajął pan Małe Pragnienie, ten uroczy domek nad rzeką, prawda?

- Skąd pani wie?

- Tutaj wszyscy wszystko wiedzą. Ale tak się składa, że moja rodzina wynajmuje domki, a także prowadzi gospodę i restaurację. Wczoraj miałam za zadanie zaopatrzyć Małe Pragnienie w czystą pościel i przygotować wszystko na przyjazd Jankesa, który zarezerwował ten domek na sześć miesięcy.

- A więc jest pani mechanikiem, gospodynią i właścicielką. Mam nieprawdopodobne szczęście. Kogo w takim razie mam wezwać, gdy zatka mi się zlew?

- Otworzy pan szafkę i wyjmie z niej przepychacz. Mogę panu napisać instrukcję obsługi. A oto i rozwidlenie.

Nathan skręcił w prawo i ruszył drogą, która prowadziła pod górę.

- No cóż, spróbujmy jeszcze raz. Jeśli chciałbym upiec na ruszcie kilka steków, otworzyć butelkę wina i zaprosić panią na kolację, do kogo mam kierować zaproszenie?

Jo odwróciła się i spojrzała na niego chłodno.

- Na pewno znacznie łatwiej pójdzie panu z moją siostrą, Alexą.

- Czy ona również potrafi zreperować gaźnik? Niemal ze śmiechem potrząsnęła przecząco głową.

- Nie, ale jest niezwykle piękną kobietą i bardzo lubi być zapraszana przez mężczyzn.

- A pani nie?

- Powiedzmy raczej, że mam znacznie wyższe wymagania niż Lexy.

- No proszę. - Nathan gwizdnął przeciągle i potarł dłonią mostek. - To był cios prosto w serce.

- Próbuję jedynie oszczędzić panu i sobie nieco czasu. Jesteśmy na miejscu -

powiedziała półgłosem.

Obserwował, jak Sanktuarium wylania się zza gęstej zasłony deszczu i niczym statek wypływa z rzadkiej mgiełki unoszącej się tuż nad ziemią. Był to bardzo stary, okazały budynek. Przypominał południową piękność wybierającą się na przyjęcie. Jest zdecydowanie kobiecy, pomyślał Nate, a to wrażenie potęgują miękkie linie i dziewicza biel ścian. Wysokie okna wieńczyły eleganckie łuki, a kuta w żelazie balustrada zdobiła balkony, na których w glinianych doniczkach rosło mnóstwo wspaniałych roślin.

Ogród lśnił i mienił się różnymi barwami, a rosące w nim kwiaty pochylały ciężkie od deszczu główki, jakby składały ukłon u stóp wróżki.

- Oszalamiające - powiedział Nathan półgłosem. - Współczesne dodatki doskonale stapiają się z oryginalną strukturą. Raczej ją podkreślają, a nie unowocześniają. Trzeba przyznać, że Sanktuarium stanowi wprost mistrzowską harmonię stylów, reprezentuje klasyczną architekturę Południa, chociaż wcale nie jest typowe. Nawet gdyby ktoś próbował odwrócić kolejność i zaprojektować wyspę, która idealnie pasowałaby do tego domu, nie udałoby mu się osiągnąć lepszego rezultatu.

Nathan zatrzymał samochód na końcu podjazdu i dopiero w tym momencie zauważył, że Jo uważnie mu się przygląda. Po raz pierwszy w jej oczach widać było zainteresowanie.

- Jestem architektem - wyjaśnił. - Tego typu budynki niezmiennie chwytają mnie za serce.

- W takim razie z pewnością będzie pan chciał zobaczyć go od wewnątrz.

- Nawet bardzo, a w zamian za to zaprosiłbym panią przynajmniej na jedną kolację.

- Proszę porozmawiać z moją kuzynką Kate. Sanktuarium od wielu pokoleń należy do Pendletonów, a Kate pochodzi właśnie z tej rodziny - wyjaśniła Jo, otwierając drzwi. - Dlatego sądzę, że najlepiej będzie, jeśli to właśnie ona wszystko panu pokaże. Proszę do środka. Tym sposobem będzie się pan mógł trochę wysuszyć i przy okazji wziąć klucze.

Wbiegła po schodach, zatrzymała się na werandzie i Strząsnęła wodę z włosów.

Potem chwilę na niego czekała.

- Jezu, niech pani tylko spojrzy na te drzwi. - Z nabożeństwem dotknął

czubkami palców bogato rzeźbionego drewna. To dziwne, pomyślał, ale w ogóle ich nie pamiętał. Z drugiej jednak strony trudno się temu dziwić, ponieważ zazwyczaj wbiegał do domu od tyłu, przez ganek i kuchnię.

- To honduraski mahoń - wyjaśniła Jo. - Przywieziony został na początku dziewiętnastego stulecia, w czasach, kiedy nikt jeszcze nie martwił się o nadmierną eksploatację tropikalnych lasów deszczowych. Jest rzeczywiście piękny. - Przekręciła ciężką, mosiężną gałkę i weszła razem z nim do środka.

- Podłogi wykonane zostały z drewna sosnowego - zaczęła, próbując nie myśleć o matce, która z anielską cierpliwością pastowała poszczególne deszczułki. - Główne schody również, natomiast

balustradę zrobiono z kilku rosnących na Desire dębów.

Były to czasy, kiedy na wyspie znajdowała się jeszcze olbrzymia plantacja bawełny.

Żyrandol jest nieco nowszy. Przywiozła go z Francji żona Stewarta Pendletona,'

potentata morskiego, który odrestaurował cały dom i trochę go rozbudował. Ogromna ilość mebli uległa zniszczeniu lub przepadła podczas wojny secesyjnej, ale Stewart wraz z żoną bardzo dużo podróżował po świecie i kupował antyki, które odpowiadały ich potrzebom i, jego zdaniem, pasowały do Sanktuarium.

- Trzeba przyznać, że miał dobre oko - skomentował Nathan, rozglądając się po wysokim foyer, z którego na pierwsze piętro prowadziły wspaniałe schody, połyskujące w świetle rzucanym przez kryształowy żyrandol.

- I zasobną kieszeń - dodała Jo. Przez cały czas powtarzała sobie, że musi zachować cierpliwość, dzięki temu stała spokojnie w jednym miejscu i pozwalała mu wędrować dookoła.

Ściany miały delikatny, jasnożółty kolor, co nawet w lecie podczas najbardziej upalnych godzin popołudniowych dawało cudowne wrażenie chłodu. Wszystkie wykończenia zrobiono z ciemnego drewna, które dodawało przepychu i dobrze współgrało z bogato rzeźbioną sztukaterią okalającą wysoki, gipsowy sufit.

Znajdujące się tutaj meble były ogromne i ciężkie, doskonale jednak pasowały do paradnego charakteru całego pomieszczenia. Dwa fotele z okresu Jerzego II z oparciami w kształcie muszli stały po obu stronach masywnego, sześciokątnego stołu, na którym umieszczono gigantyczną, mosiężną wazę wypełnioną słodko pachnącymi liliami i dziką trawą.

Chociaż Nathan nie kolekcjonował antyków - zresztą, prawdę mówiąc, nie kolekcjonował niczego - był jednak człowiekiem, który wiedział niemal wszystko o budynkach, łącznie z ich wyposażeniem. Dzięki temu bez trudu rozpoznał flamandzką etażerkę z pięknie rzeźbionego drewna dębowego, ogromne lustro w pozłacanych ramach i intarsjowany świecznik. Tu i ówdzie dostrzegał delikatność charakterystyczną dla stylu królowej Anny, gdzie indziej przepych mebli z okresu Ludwika XIV. Doszedł do wniosku, że nigdy nie widział tak pięknego połączenia różnych epok i stylów.

- To niewiarygodne. - Wsunął ręce do tylnych kieszeni spodni i odwrócił się do Jo. - Przypuszczam, że niełatwo tu mieszkać.

- I to z kilku względów. - Usłyszał w jej słowach odrobinę goryczy, w związku z tym pytając uniósł brwi, mimo to nie wytłumaczyła, co miała na myśli. - Sprawy związane z rejestracją załatwiamy we frontowym salonie.

W połowie holu skręciła w prawo i weszła do najbliższego pokoju. Zauważyła, że ktoś czekając na Jankesa zapalił ogień w kominku. A może chodziło o to, by przewijający się przez dom i gospodę goście mimo deszczu nie tracili dobrego nastroju.

Podeszła do ogromnego, starego biurka Chippendale, otworzyła górną szufladę i przerzuciła

dokumenty związane z rezerwacją domków. Na piętrze, w skrzydle zamieszkanym przez rodzinę, znajdowało się biuro wyposażone w ogromną kartotekę i komputer, który wciąż jeszcze stanowił dla Kate trudną do pokonania barierę, chociaż od dłuższego czasu z ogromnym samozaparciem uczyła się go obsługiwać.

Jednak gościom konsekwentniezczędzono nieciekawych szczegółów związanych z prowadzeniem Sanktuarium.

- Małe Pragnienie - powiedziała Jo, wyjmując umowę. Przybita pieczęć informowała, że zaliczka została już wpłacona, a formularz podpisany był za równo przez Kate, jak i Nathana Delaneya.

Jo odłożyła papiery na bok, otworzyła następną szufladę i wyjęła z niej klucze radośnie pobrzękujące na metalowym breloczku, na którym znajdowała się nazwa domku.

- To klucze do frontowych i tylnych drzwi, a ten do znajdującej się pod domkiem piwnicy. Jednak na pana miejscu nie trzymałabym w niej niczego, co ma jakąkolwiek wartość, ponieważ pobliska rzeka bardzo często zalewa to po mieszczenie.

- Będę o tym pamiętał.

- Przypilnuję, żeby jutro zamontowano panu telefon. Rachunki za wszystkie rozmowy będzie pan otrzymywał bezpośrednio do domku, znajdujące się na nich kwoty co miesiąc doliczymy do pańskiego rachunku. - Otworzyła następną szufladę i wyjęła z niej papierową teczkę. - Tutaj znajdzie pan wszystkie niezbędne wiadomości: rozkład promów, informacje na temat pływów, objaśnienia, gdzie i w jaki sposób można wypożyczyć sprzęt wędkarski lub łódkę. Znajdzie pan tu również niewielką broszurkę na temat wyspy - jej historię, najciekawsze okazy flory i fauny... Dlaczego pan tak na mnie patrzy? - zapytała.

- Ma pani fantastyczne oczy. Nie mogę oderwać od nich wzroku. Wsunęła mu teczkę do ręki.

- Lepiej będzie, jeśli zajrzy pan do tego.

- W porządku. - Nathan otworzył teczkę i zaczął kartkować jej zawartość. - Czy zawsze jest pani tak zdenerwowana, czy tylko z mojego powodu?

- Nie jestem zdenerwowana, jedynie trochę zniecierpliwiona. Nie wszyscy są tutaj na wakacjach. Czy ma pan jakieś pytania ... dotyczące domku lub wyspy?

- Jeśli będę miał, na pewno przyjdę z nimi do pani.

- W broszurce jest plan, a na nim wyraźnie zaznaczono miejsce, w którym znajduje się pański domek. Jeśli złoży pan tutaj swój podpis, aby potwierdzić odbiór kluczy, będzie pan mógł ruszyć w drogę.

Uśmiechnął się zaintrygowany tym, jak szybko ulotniła się słynna gościnność południowców.

- Zrobię to, ponieważ nie chciałbym nadużywać pani uprzejmości - powiedział, biorąc długopis, który mu zaproponowała. - Tym bardziej że mam zamiar tu wrócić.

- Śniadanie, lunch i kolację podajemy w jadalni. Godziny posiłków znajdzie pan w tej teczce. Istnieje możliwość zabrania suchego prowiantu na piknik.

Im więcej mówiła, tym większą przyjemność sprawiało mu słuchanie jej głosu.

Pachniała deszczem i sprawiała wrażenie tak smutnej, jak ptak ze złamanym skrzydłem. Najsmutniejsze jednak były jej cudowne, błękitne oczy.

- Czy lubi pani pikniki? - zapytał.

Westchnęła ciężko, odebrała od niego długopis i pod jego podpisem postawiła własną parafkę.

- Traci pan czas, próbując ze mną flirtować, panie Delaney. Nie pójdzie panu ze mną tak łatwo.

- Każda rozsądna kobieta wie, że takie stwierdzenie stanowi dla mężczyzny jedynie jeszcze większe wyzwanie. - Pochylił się i spojrzał na jej parafkę. - J.E.H.

- Jo Ellen Hathaway - wyjaśniła, mając nadzieję, że tym sposobem szybciej się go pozbędzie.

- Dziękuję ci za ratunek, Jo Ellen. - Wyciągnął rękę i z rozbawieniem zauważył, że Jo waha się, czy podać mu dłoń.

- Proszę porozmawiać z Zekem Fitzsimmonsem. Na pewno zgodzi się wyregulować gaźnik. Ten człowiek potrafi dokonywać istnych cudów i na pewno sprawi, że pański jeep będzie działał jak nowy. Życzę miłego pobytu na Desire.

- Już zaczął się znacznie lepiej, niż się spodziewałem.

- To znaczy, że pańskie oczekiwania musiały być bardzo skromne. - Cofnęła rękę i poprowadziła go do wyjścia. - Deszcz przestał już padać - zauważyła, otwierając drzwi i wpuszczając do wnętrza wilgotne powietrze oraz delikatną mgiełkę. - Nie powinien pan mieć problemów ze znalezieniem swojego domku.

- Nie. - Doskonale pamiętał drogę. - Na pewno bez trudu tam trafię. Do zobaczenia wkrótce, Jo Ellen. - Będziemy musieli się spotkać, pomyślał, i to z wielu powodów.

Pochyliła głowę i cicho zamknęła drzwi. Przez chwilę stał samotnie na werandzie i zastanawiał się, co robić dalej.

## **ROZDZIAŁ 6**

Trzeciego dnia pobytu na Desire Nathan obudził się drżąc ze strachu. Serce waliło mu w piersiach jak młot, z trudem łapał powietrze, a jego skóra zroszona była zimnym potem. Wskoczył z łóżka z zaciśniętymi pięściami i szybko rozejrzał się po wszystkich mrocznych zakamarkach pokoju.

Przez żaluzje wpadały do wnętrza pierwsze nieśmiałe promienie słońca i na cienkim, szarym dywanie tworzyły świetlistą kratkę.

Przez krótką, dręczącą chwilę w ogóle nie był w stanie trzeźwo myśleć, ponieważ wciąż miał przed oczami obrazy, które prześladowały go podczas snu -

oświetlone słabym blaskiem księżyca drzewa, długie, lepkie palce mgły, nagie ciało kobiety, jej rozsypane półkolisty włosy i szeroko otwarte, martwe oczy.

To tylko duchy i wspomnienia, powiedział sobie, przecierając twarz rękami.

Spodziewał się, że je tu zastanie i najwyraźniej go nie zawiodły. Trzymały się kurczowo Desire, jak mech rosnący na olbrzymich, wiekowych dębach.

Wyskoczył z łóżka i, tak jak dziecko stawiające stopy tylko na szczelinach między płytkami chodnikowymi, przeszedł po słonecznej kratce. W wąskiej łazience zasunął plastikową kurtynę w wesołe paski i puścił gorący prysznic. Spłukał z siebie pot. Wyobraził sobie, że zmywa również przerażenie, a jego ciemnoczerwona mgiełka powoli krąży wokół odpływu, stopniowo zbliża się do niego, aż w końcu znika w rurze.

Kiedy Nathan się wycierał, w całej łazience było biało od pary, ale na szczęście ponownie był w stanie logicznie myśleć.

Włożył zniszczoną bluzę z krótkimi rękawami i stare szorty, a potem z nie ogoloną twarzą i kompletnie mokrymi włosami ruszył w stronę kuchni, by zagrzać wodę i zalać nią kawę. Rozejrzał się dookoła i ponurym wzrokiem zmierzył dzbanek oraz plastikowy lejek do filtrowania kawy, w które właściciele wyposażyli domek.

Nawet gdyby wiedział, w jaki sposób się tym posługiwać, nie miał ze sobą filtrów.

W tym momencie bez szemrania zapłaciliby tysiąc dolarów za ekspres do kawy.

Postawił czajnik na palniku prastarego piecyka, a potem wrócił do olbrzymiego, wielofunkcyjnego pomieszczenia. Usiadł w części pełniącej rolę salonu, by obejrzeć poranne wiadomości. Obiór był kiepski, a wybór programów niezwykle ubogi.

Nie ma ekspresu do kawy, trudno tu również ślęczyć przed telewizorem, pomyślał Nathan, kiedy już udało mu się nastawić poranne wiadomości na jednym z trzech możliwych kanałów. Przypomniawszy sobie, że wiele lat temu on i Kyle byli bardzo niezadowoleni, że nie mogą oglądać swoich ulubionych programów telewizyjnych.

*To głupie pudło do niczego się nie nadaje. Pewnie nie złapiemy w nim Człowieka za sześć milionów dolarów. Potworny kant.*

*Nie przyjechaliście tu po to, by godzinami gapić się w ekran.*

*Och, mamo!*

Nathan miał wrażenie, że wewnątrz domku urządzone było obecnie nieco inaczej, a na pewno dominowały tu zupełnie inne kolory. Pamiętał spokojne, pastelowe obicia szerokich i głębokich foteli



oraz miękkiej sofy. Teraz przeważały krzykliwe, geometryczne wzory i nie harmonizujące ze sobą barwy - ciemne zielenie przeplatały się z żółcią i różnymi odcieniami błękitu.

Dwadzieścia lat temu zwisający z sufitu wentylator potwornie skrzypiał. Teraz pracował z cichym sykiem przecinających powietrze łopatek. Nathan dowiedział się o tym, kiedy w którymś momencie był zmuszony pociągnąć za sznurek.

Nie zmieniono natomiast długiego stołu z żółtej sosny, który dzielił

pomieszczenie na dwie części. To przy nim owego lata cała rodzina zbierała się, by jeść posiłki, spędzać długie godziny przy grach planszowych albo psuć sobie wzrok, układając zawile puzzle.

Ten sam stół obaj z Kylem co wieczór musieli uprzątnąć po kolacji, przy tym stole co rano siadywał ojciec, spokojnie popijając kawę.

Pewnego razu ojciec pokazał im, jak podziurawić pokrywkę słoika i złapać do niego robaczki świętojańskie. Był to ciepły, spokojny wieczór, a pościg za fruującymi latarenkami przyprawił ich o zawrót głowy. Nathan pamiętał, że zasypiając długo obserwował stojący obok łóżka słoik, który mrugał do niego z radośnie połyskiwał w ciemnym pokoju.

Niestety, rano wszystkie robaczki świętojańskie nie żyły. Podusiły się, ponieważ położona na pokrywce słoika książka całkowicie odcięła im dostęp powietrza. Nie mógł sobie jednak przypomnieć, czy tam właśnie położył sponiewierany egzemplarz *Jonny'ego Tremine'a*. Ciemne, nieruchome chrząszczyki leżące na dnie słoika sprawiły, że Nathana ogarnęły potworne wyrzuty sumienia i zrobiło mu się niedobrze.

Wymknął się z domku i wrzucił je do rzeki.

Tego lata nie łapał już robaczków świętojańskich.

Zdenerwowany tym wspomnieniem Nathan odwrócił się tyłem do telewizora, podszedł do piecyka i wrzącą wodą zalał kawę. Zabrał ze sobą kubek i wyszedł la ganek, by popatrzeć na rzekę.

Odkąd znalazł się na wyspie, bardzo często nawiedzały go różne wspomnienia.

Z drugiej jednak strony przecież właśnie po to tutaj przyjechał. Żeby przypomnieć sobie to lato, odtworzyć każdy dzień, każdą chwilę. I rozstrzygnąć, jak powinien postąpić w stosunku do Hathawayów.

Sączył powoli kawę, krzywiąc się na jej beznadziejny, gorzki smak. Po chwili doszedł do wniosku, że życie w ogóle jest beznadziejne i gorzkie, w związku z tym wypił następny łyk.

Jo Ellen Hathaway. Pamiętał ją jako chudą dziewczynkę o niezwykle spiczastych łokciach. Zawsze wiązała włosy w koński ogon i niezmiernie łatwo wpadała w złość. Nathan, mając dziesięć lat, nie interesował się zbytnio dziewczętami, w związku z tym nie zwracał na nią w ogóle uwagi. Traktował ją po prostu jak jedną z młodszych sióstr Briana.

Wciąż nią jest, pomyślał Nathan. Również nie przestała być chuda. Poza tym najwyraźniej nadal bardzo łatwo wpada w złość. Zniknął natomiast koński ogon.

Nathan stwierdził, że nieco krótsze, układające się w urocze fale włosy w kolorze sierści sarny doskonale pasują do jej burzliwego charakteru, chociaż, być może, inna fryzura mogłaby stanowić bardziej interesująca oprawę twarzy. Natomiast niedbałość uczesania była z pewnością ukłonem w stronę mody.

Przez moment zastanawiał się, dlaczego Jo jest tak blada i sprawia wrażenie bardzo zmęczonej. Nie wygląda na osobę, która usychałaby z tęsknoty lub rozpaczała z powodu nieszczęśliwej miłości, jednak najwyraźniej coś ją gnębi. W jej oczach czai się mnóstwo smutku i nieprzenikniętych tajemnic.

I na tym właśnie polega problem, pomyślał Nathan, uśmiechając się do siebie.

Zawsze miał ogromną słabość do kobiet o smutnych oczach, ale tym razem postanowił

jej nie ulegać. Próba odkrycia, co się kryje w tych dużych, smutnych, niebieskich jak niezapominajki oczach, może przeszkodzić mu w zrealizowaniu własnych planów.

Tymczasem do podjęcia następnego kroku niezbędny mu jest czas i obiektywizm.

Wypił jeszcze parę łyków gorzkiego płynu, pomyślał, że powinien szybko się ubrać i pójść do Sanktuarium na filiżankę porządnej kawy oraz jakieś śniadanie.

Uznał, że już pora, by tam wrócić, rozejrzeć się i zacząć wszystko starannie planować.

A przy okazji przywołać więcej wspomnień duchów.

Mimo to nie chciało mu się ruszyć. Ogromną przyjemność sprawiało mu stanie na ganku, wyglądanie przez cienką siatkę, która odgradzała go od świata, i wdychanie wilgotnego powietrza. Z uwagą obserwował, jak słońce powoli osusza perlistą mgiełkę unoszącą się tuż nad ziemią i niczym bajkowe skrzydła prześlizguje się nad rzeką.

Gdyby się dobrze wsłuchał, z pewnością usłyszałby dobiegający od wschodu niski, równomierny pomruk oceanu. Bliżej natomiast rozlegało się ćwierkanie ptaków i monotonne stukanie dzięcioła, który gdzieś w głębi lasu szukał kryjących się pod korą owadów. Rosa połyskiwała na nieruchomych liściach palm jak porozrzucane drobniutkie okruchy szkła.

Nathan pomyślał, że ktoś doskonale wybrał miejsce na budowę tego domu.

Wokół panował cudowny spokój, a roztaczający się widok mógł zadowolić każdego marzyciela. Sam budynek był prosty i funkcjonalny, choć trochę zniszczony przez warunki atmosferyczne panujące na wyspie. Wykonany został z drzewa cedrowego, a ze względu na bliskie sąsiedztwo rzeki postawiono go na palach. Od zachodu ciągnął

się wspaniały ganek, a wschodnia strona zakończona była wąskim tarasem. Wewnątrz największy

pokój miał podwyższony sufit, co dodawało całemu pomieszczeniu wrażenia przestronności. Na każdym jego końcu znajdowały się po dwie sypialnie i łazienka. Bracia zajmowali osobne pokoje po jednej stronie. Nathan, powołując się na swoje starszeństwo, zażądał dla siebie większego. Dwuosobowe łóżko sprawiało, że czuł się niezwykle dorośle i wydawało mu się, że jest lepszy od brata. Na drzwiach powiesił karteczkę z napisem: „Proszę pukać”.

Zazwyczaj kładł się bardzo późno, a długie wieczory wypełniał czytaniem książek, medytacjami i nasłuchiwaniami głosów rodziców albo szumu telewizora.

Bardzo lubił słyszeć, że śmieją się z czegoś, co właśnie oglądają.

Uwielbiał perlisty, radosny śmiech matki przypominający wesołą melodię dzwoneczków i radosne dudnienie, wydobywające się z głębi brzucha ojca. Gdy był

jeszcze dzieckiem, w domu bardzo często rozlegały się te wesołe dźwięki. Nie mógł

pogodzić się z myślą, że już nigdy ich nie usłyszy.

W tym momencie Nathan zauważył jakiś ruch. Odwrócił głowę i tam, gdzie spodziewał się zobaczyć sarnę, dostrzegł mężczyznę wędrującego wzdłuż brzegu rzeki.

Był wysoki, bardzo chudy i miał włosy ciemne jak sadza.

Na ten widok Nathanowi kompletnie zaschło w gardle, więc sięgnął po kubek z kawą. Mężczyzna podszedł bliżej, a padające ukośnie promienie słońca oświetliły jego twarz. Po chwili uśmiechnął się lekko, i Nathan zdał sobie sprawę, że to nie Sam Hathaway, lecz Brian. Dwadzieścia lat jego również przeobraziło w dorosłego mężczyznę.

Brian spojrział w górę, przymrużył oczy i przyjrzał się uważnie stojącej pod osłoną ganku postaci. Całkiem zapomniał, że ten domek jest zajęty. Musi koniecznie pamiętać, by w przyszłości spacerować rano po drugiej stronie rzeki. Ale teraz, niestety, wypada zamienić z tym człowiekiem choćby kilka słów.

- Dzień dobry. Nie miałem zamiaru panu przeszkadzać.

- Wcale mi pan nie przeszkadza. Właśnie piłem wstrętną kawę i obserwowałem rzekę.

To ten Jankeś, który wynajął domek na sześć miesięcy, przypomniał sobie Brian. W tym momencie wydawało mu się, że słyszy Kate nakazującą mu zachować wyjątkową uprzejmość.

- To urocze miejsce. - Brian wsadził ręce do kieszeni. Był zły, że sam zepsuł

sobie najwspanialsze chwile dnia. - Jak pan się tu czuje?

- Bardzo dobrze. - Nathan wahał się przez chwilę, a potem postanowił zrobić krok do przodu. - Czy wciąż jeszcze próbujesz dosiąść Niewidzialnego Ogiera?

Brian gwałtownie zamrugał oczami i uniósł głowę. Niewidzialny Ogier był

postacią z legendy, która sięgała zamierzchłych czasów, kiedy to po wyspie włączyły się tabuny dzikich koni. Opowiadano wówczas niezwykle historie o najszybszym z nich, olbrzymim, czarnym ogierze, który podobno często pojawiał się w lesie. Zgodnie z legendą ten, kto go złapie, wskoczy mu na grzbiet i przez jakiś czas zdoła się na nim utrzymać, może liczyć na spełnienie wszystkich życzeń.

W dzieciństwie Brian bez przerwy marzył o złapaniu Niewidzialnego Ogiera i przejechaniu się na nim.

- Wciąż się za nim rozglądam - powiedział Brian półgłosem i podszedł bliżej. -

Czy my się znamy?

- Pewnej nocy biwakowaliśmy razem nad rzeką w potwornie połatany namiocie. Mieliśmy lasso, kilka latarek i paczkę chipsów. W którymś momencie wydawało nam się nawet, że słyszymy tętent końskich kopyt i radosne, dzikie rżenie. -

Nathan uśmiechnął się. - Zresztą kto wie, może to wcale nie było złudzenie.

Oczy Briana zrobiły się okrągłe ze zdumienia i błyskawicznie zniknęła z nich złość.

- Nate? Nate Delaney? A niech cię wszyscy diabli!

Nathan energicznym ruchem otworzył skrzypiące drzwi ganku.

- Chodź, Bri. Zrobię ci filiżankę okropnej kawy.

Brian wyszedł po schodach z przyjacielskim uśmiechem na twarzy.

- Powinieneś dać mi znać, że przyjechałeś, że tu jesteś. - Wyciągnął rękę i uściśnął dłoń Nathana. - Wynajmem domków zajmuje się moja kuzynka Kate.

Jezu, Nate, wyglądasz na cholernie zaniedbanego.

Nathan ze smutnym uśmiechem potarł dłonią zarośnięty policzek.

- W końcu przyjechałem tu na wakacje.

- To niesamowite! Nate Delaney. - Brian potrząsnął głową. - Co, do diabła, robiłeś przez wszystkie te lata? Jak się ma Kyle? Co słychać u twoich rodziców?

Uśmiech gwałtownie zniknął z twarzy Nathana.

- Potem ci opowiem. - Chociaż na pewno nie wszystko, pomyślał Nathan. -

Pozwól, że ci zrobię kawę. Niezbyt smaczną, uprzedzam.

- Do diabła, nie zgadzam się. Chodźmy do Sanktuarium. Ugoszczę cię dobrą kawą i przyzwoitym śniadaniem.

- W takim razie zgoda. Pozwól mi tylko włożyć jakieś spodnie i buty.

- Trudno mi wprost uwierzyć, że to właśnie ty jesteś naszym Jankesem -

skomentował Brian, kiedy Nathan ruszył do środka. - Cholera jasna, wygląda na to, że będę musiał wrócić do przeszłości. Nathan odwrócił się na moment.

- Ja również.

Kilkanaście minut później Nathan siedział w kuchni w Sanktuarium i wdychał

niebiańskie zapachy parzącej się kawy oraz smażonego bekonu. Obserwował, jak Brian z ogromną wprawą sieka grzyby i paprykę do omletu.

- Widzę, że robisz to wszystko bardzo fachowo.

- Nie czytałeś broszury? Moja kuchnia ma pięć gwiazdek. - Brian podsunął

kubek kawy pod nos Nathana. - Najpierw wypij, a dopiero potem się podlizuj.

Nathan wziął do ust mały łyk i zamknął oczy zadowolony.

- Przez ostatnie dwa dni pijałem straszne świństwo, co może mieć pewien wpływ na moją ocenę, powiedziałbym jednak, że jest to najlepsza filiżanka kawy, jaką kiedykolwiek zaparzano w całym cywilizowanym świecie.

- Masz rację. Dlaczego nie przyszedłeś wcześniej?

- Rozglądałem się po okolicy i trochę leniuchowałem. - Poznawałem cienie i duchy, pomyślał Nathan. - Teraz, kiedy już wiem, co tu dają, trudno mnie będzie stąd wypędzić.

Brian wrzucił posiekane warzywa na patelnię, aby je podsmażyć, a potem zaczął ścierać ser.

- Zaczekaj, aż dostaniesz omlet. Czy jesteś aż tak niezależny i bogaty, że możesz pozwolić sobie na sześciomiesięczny urlop?

- Przywiozłem ze sobą robotę. Jestem architektem. Mogę pracować wszędzie, gdzie uda mi się rozłożyć komputer i stół kreślarski.

- Mówisz, że zostałeś architektem. - Ubijając jajka, Brian lekko oparł się o ladę.

- Dobrym?

- Stawiam moje budynki przeciwko twojej kawie.

- No proszę. - Ze śmiechem Brian odwrócił się do pieca. Z ogromną wprawą wlał ubite jajka na patelnię, odłożył bekon do osaczenia i sprawdził grzanki, które opiekał w piekarniku.

- A co robi Kyle? Czy udało mu się zrealizować dziecięce marzenia i zostać człowiekiem bogatym i sławnym?

Nathan poczuł potworny ból w okolicach serca. Odstawił kubek i poczekał

chwilę, aż wszystko minie. Nie chciał, żeby drżały mu ręce i głos.

- Robił wszystko w tym kierunku. On nie żyje, Brian. Zmarł kilka miesięcy temu.

- Jezu, Nathan. - Zaszokowany Brian odwrócił się. - Boże, tak mi przykro.

- Był w Europie. Od kilku lat właśnie tam spędzał większość czasu. Pływał z kolegami jachtem. Urządzili sobie jakieś przyjęcie. Kyle uwielbiał przyjęcia - wyjaśnił

cicho Nathan, pocierając dłonią skronie. - Krążyli po Morzu Śródziemnym.

Stwierdzono, że musiał za dużo wypić i wypaść za burtę. Być może uderzył o coś głową. Tak czy owak, zniknął bez śladu.

- To straszne. Bardzo mi przykro. - Brian odwrócił się z powrotem w stronę patelni. - Strata kogoś z najbliższej rodziny to potworna tragedia.

- Tak, masz rację. - Nathan wciągnął głęboko w płuca powietrze i zebrał siły. -

Kilka tygodni wcześniej w Ameryce Południowej zginęli moi rodzice. Katastrofa kolejowa. Ojciec miał tam do wykonania pewne zadanie, a mama podróżowała razem z nim. Jeździli razem od momentu, kiedy Kyle i ja poszliśmy na studia. Mawiali, że dzięki temu przez cały czas czują się jak nowożeńcy.

- Jezu Chryste, Nate, nie wiem, co mam powiedzieć.

- Najlepiej nic nie mów. - Nathan wyprostował się. - Po prostu spróbuj przejść nad tym do porządku dziennego. Ja tłumaczę sobie wszystko w ten sposób, że mama czułaby się bardzo zagubiona bez ojca, poza tym wiem, że żadne z nich nie byłoby w stanie pogodzić się ze stratą Kyle'a. Najlepiej założyć, że wszystko stało się z takich czy innych powodów, a wówczas dużo łatwiej to znieść.

- Ale czasami powody bywają bardzo naciągane - powiedział Brian cicho.

- Niemal zawsze wszystkie te cholerne powody są naciągane. To niczego nie zmienia. Cieszę się, że wróciłem na Desire. Cieszę się, że cię widzę.

- Nieźle bawiliśmy się tamtego lata.

- Były to jedne z najwspanialszych wakacji mojego życia. - Nathan zmusił się do uśmiechu. - Czy

dasz mi w końcu ten omlet, czy chcesz, żebym o niego błagał?

- Nie musisz. - Brian położył jedzenie na talerzu. - Chociaż po zjedzeniu mile widziane jest padnięcie na kolana.

Nathan wziął do ręki widelec.

- W takim razie opowiedz mi najważniejsze przygody Briana Hathawaya, które przeżył w ciągu ostatnich dwudziestu lat.

- Niewiele w tym wszystkim było z przygody. Prowadzenie pensjonatu pochłania mnóstwo czasu. Obecnie mamy gości przez okrągły rok. Wygląda na to, że im bardziej tłoczno jest poza wyspą, im bardziej zagonieni są ludzie, tym więcej z nich pragnie od tego wszystkiego uciec. Przynajmniej na weekendy. Kiedy decydują się na taki krok, zapewniamy im zakwaterowanie, karmimy ich i dostarczamy rozrywek.

- To wygląda na zajęcie pochłaniające dwadzieścia cztery godziny na dobę, w dodatku przez siedem dni w tygodniu.

- Na pewno byłoby tak, gdybyśmy nie byli na wyspie. Tutaj, na całe szczęście, wszystko nadal porusza się w tempie żółwia.

- Masz żonę, dzieci?

- Nie, a ty?

- Miałem żonę - powiedział Nathan sucho. - Rozstaliśmy się. Na szczęście nie mieliśmy dzieci. Wiesz, meldowała mnie twoja siostra. Jo Ellen.

- Naprawdę? - Brian wziął dzbanek, żeby ponownie napełnić kubek Nathana. -

Właśnie przyjechała tu jakiś tydzień temu. Lex również jest na Desire. Stanowimy wielką, szczęśliwą rodzinę.

Kiedy Brian się odwrócił, Nathan uniośł brwi, zaskoczony tonem przyjaciela.

- A co słyhać u twojego ojca?

- Nawet siłą nie byłbyś w stanie ruszyć go z Desire. Teraz nie jeździ już nawet na stały ląd po zaopatrzenie. Z pewnością spotkasz go wielokrotnie, ponieważ godzinami spaceruje po wyspie. - Kiedy w drzwiach pojawiła się Lexy, Brian obejrzał

się.

- Kilka rannych ptaszków bardzo stęskniło się za kawą - zaczęła, po chwili jednak urwała, zauważywszy Nathana. Automatycznie odrzuciła do tyłu włosy, przechyliła na bok głowę i uśmiechnęła się zalotnie. - No proszę, widzę, że mamy w kuchni towarzystwo. - Podeszła bliżej i

pochyliła się nad ladą, tak, by Nathan mógł

poczuć zapach użytych przez nią przed chwilą perfum. Ich próbkę znalazła tego ranka w kobiecym magazynie i natychmiast kilka kropli wtarła sobie w szyję. - Musi pan być kimś nadzwyczajnym, skoro Brian wpuścił pana do swego królestwa.

Nathan poczuł błyskawiczną, zdecydowaną reakcję hormonów, dlatego miał

ochotę roześmiać się. W pierwszym momencie uznał, że to fantastyczny kociak, kiedy jednak uważnie przyjrzał się jej oczom, natychmiast zmienił zdanie. Miała spojrzenie przenikliwe i bardzo mądre.

- Po prostu zlitował się nad starym przyjacielem - wyjaśnił jej Nathan.

- Doprawdy? - Podobał jej się, poza tym z zadowoleniem zauważyła w jego oczach zainteresowanie własną osobą. - No cóż, w takim razie, Brian, może przedstawić mnie swemu staremu przyjacielowi. Nie wiedziałam, że w ogóle masz kogoś takiego.

- To jest Nathan Delaney - powiedział Brian zwięźle, podchodząc bliżej z drugim dzbankiem świeżo zaparzonej kawy. - A to moja młodsza siostra, Lexy.

- Cześć, Nathan - Lexy wyciągnęła do niego rękę, a jej paznokcie zaśniły

„ognistą czerwienią”. - Brianowi wciąż się wydaje, że noszę warkoczyki.

- To przywilej starszego brata. - Nathan ze zdumieniem stwierdził, że uścisk dłoni tej syreny jest mocny i zdecydowany. - Prawdę mówiąc, sam pamiętam cię jako dziewczynkę z warkoczykami.

- Naprawdę? - Lexy, trochę zawiedziona, że nie przytrzymał dłużej jej dłoni, oparła łokcie o kontuar i nachyliła się w jego stronę. - To niemożliwe, żebym mogła cię zapomnieć. Poczytuję sobie za punkt honoru, by pamiętać wszystkich atrakcyjnych mężczyzn, którzy kiedykolwiek pojawili się w moim życiu. Nawet jeśli trwało to bardzo krótko.

- Byłaś wówczas bardzo mała, prawdę mówiąc, ledwo wyrosłaś z pieluch -

wytłumaczył Brian, a w jego głosie słychać było wyraźny sarkazm - i wówczas nie zdążyłaś się jeszcze dopracować swego wizerunku femme fatale. Specjalnością śniadania są dziś omlety z serem i grzybami - poinformował ją, nie zwracając uwagi na nienawistne spojrzenie, którym go obrzuciła.

Po chwili opanowała się i spojrzała na niego z pogardą.

- Dziękuję, złotko - mruknęła, biorąc dzbanek z kawą, a potem zatrzepotała rękami w stronę Nathana. - Proszę, odwiedź nas częściej. Trudno spotkać na Desire naprawdę interesujących mężczyzn.

Ponieważ niełatwo było oprzeć się pokusie, poza tym Lexy najwyraźniej tego właśnie od niego oczekiwała, Nathan obserwował ją, aż zniknęła za drzwiami. Potem odwrócił się z uśmiechem do Briana.



- Podoba mi się twoja młodsza siostra, Bri.

- Ktoś powinien spuścić jej tęgie lanie. Jak można w ten sposób traktować obcych?

- To była całkiem miła przystawka do mojego omletu. - Widząc płomień, który pojawił się w oczach Briana, Nathan uniósł dłoń. - O mnie nie musisz się martwić, brachu. Tego typu gwałtowne porywy serca bardzo często oznaczają mnóstwo problemów, a ja mam dość własnych kłopotów. W związku z tym przyjmij do wiadomości, że będę na nią patrzył, ale na pewno jej nie tknę.

- To nie mój interes - burknął Brian. - Wygląda na to, że z nieprawdopodobną determinacją szuka guza, zupełnie jakby postawiła to sobie za punkt honoru.

- Kobiety, które tak wyglądają, zazwyczaj obdarzone są niezwykłą umiejętnością unikania siniaków.  
- Kiedy drzwi otworzyły się ponownie, odwrócił się.

Tym razem pojawiła się w nich Jo.

A kobiety, które wyglądają jak ona, pomyślał Nathan, nie potrafią unikać kłopotów. Siłą torują sobie drogę. I choć nie rozumiał, dlaczego, wołał jednak ten drugi rodzaj kobiet i taki właśnie sposób postępowania.

Na jego widok Jo zatrzymała się i ściągnęła brwi.

- Wygląda na to, że czuje się pan tu jak u siebie w domu, panie Delaney.

- Ma pani rację, panno Hathaway.

- No cóż, muszę przyznać, że zachowujesz się strasznie oficjalnie -

skomentował Brian, sięgając po czysty kubek. Przynajmniej jak na faceta, który wepchnął ją do rzeki, a potem oplątał krwawiącą wargą próbę wyłowienia jej stamtąd.

- Wcale jej tam nie wepchnąłem. - Nathan uśmiechnął się i spokojnie obserwował, jak Jo z powrotem ściąga brwi. - Ona po prostu się poślizgnęła i sama wpadła do wody. Natomiast rzeczywiście rozcięła mi wargę i, o ile dobrze pamiętam, nazwała jankeską świnią.

W głowie zawirowało jej niewyraźne, mgliste wspomnienie, które na moment ulotniło się, by po chwili wrócić w postaci całkiem wyraźnego obrazu. Gorące, letnie popołudnie, niemiłe uczucie zetknięcia z zimną wodą, brak tchu. Wypłynęła na powierzchnię, rozpaczliwie machając rękami.

- Jesteś jednym z synów pana Davida. - Ogarnęło ją wzruszenie i przez moment wyraźnie było to widać w jej oczach. Nathanowi żywiej zabiło serce.

- Którym?

- Starszym.

- No jasne. - Odgarnęła do tyłu włosy, w tym geście nie było jednak wystudiowanej pozy charakterystycznej dla jej siostry, jedynie zupełnie nieświadome zniecierpliwienie. - Poza tym wtedy mnie zepchnąłeś. Nigdy sama z siebie nie wpadałam do rzeki, chyba że miałam na to ochotę albo ktoś mi pomógł.

- Poślizgnęłaś się - poprawił Nathan - dopiero potem chciałem ci pomóc.

Roześmiała się beztrząsco, po czym wzięła do ręki podsunięty przez Briana kubek.

- Chyba daruję ci to przewinienie, w końcu i tak zostałeś już ukarany, kiedy rozciąłam ci wargę... poza tym twój ojciec otworzył przede mną świat.

Nathan poczuł, że zaczyna go boleć głowa.

- Mój ojciec?

- Łaziłam za nim jak cień, bezlitośnie zameczałam go, żeby nauczył mnie robić zdjęcia. Pokazał mi, jak działa aparat fotograficzny i wytłumaczył, w jaki sposób i dlaczego wybiera poszczególne tematy. Miał do mnie anielską cierpliwość. Zdaję sobie sprawę, że musiałam doprowadzać go do szaleństwa, co chwilę przerywając mu pracę, nigdy jednak mnie nie przepędził. Bardzo dużo mnie nauczył i nie były to tylko podstawy. To dzięki niemu wiem, jak patrzeć i widzieć. Zawdzięczam mu wszystkie swoje zdjęcia.

Nathan poczuł, że żołądek, razem ze zjedzonym wcześniej śniadaniem, podchodzi mu do gardła.

- Zawodowo zajmujesz się fotografią?

- Jo odnosi wielkie sukcesy jako fotograf - powiedziała Lexy zjadliwym tonem, ponownie wchodząc do kuchni. - Sławna J.E. Hathaway przemierza świat wzdłuż i wszerz, a po drodze na kliszy uwiecznia, jak żyją inni ludzie. Dwa omlety dobrze podpieczone z obu stron, Brian, jeden bekon i jedna kiełbasa. Goście z pokoju 201

jedzą właśnie śniadanie. Sławna Podróżniczko, wzywa cię brudna pościel.

- Wyjście z lewej strony sceny - mruknęła pod nosem Jo, kiedy Lexy ponownie zniknęła za drzwiami. - Tak - powiedziała, odwracając się z powrotem do Nathana -

zajmuję się fotografią i w znacznej mierze zawdzięczam to Davidowi Delaneyowi.

Gdyby nie on, być może byłabym obecnie tak sfrustrowana i wkurzona na cały świat jak Lexy. Jak się ma twój ojciec?

- Nie żyje - powiedział Nathan krótko i wstał. - Muszę już wracać. Dziękuję za śniadanie, Brian.

Wyszedł szybko i bardzo energicznie zamknął za sobą kuchenne drzwi.

- Nie żyje?

- To był wypadek - wyjaśnił Brian. - Mniej więcej trzy miesiące temu. Razem z ojcem zginęła również matka Nathana. A w jakiś miesiąc później stracił brata.

- O Boże! - Jo uniosła ręce do twarzy. - A ja wlałam w to z kaloszami.

Przepraszam, wracam za minutę.

Odstawiła kubek i wybiegła za Nathanem.

- Nathan! Nathan, zaczekaj! - Dogoniła go na wysypanej muszelkami ścieżce prowadzącej przez ogród w stronę drzew. - Tak mi przykro. - Położyła dłoń na jego ramieniu, żeby go zatrzymać. - Najmocniej przepraszam, nie chciałam sprawić ci przykrości.

Z całych sił starał się opanować i, chociaż coraz bardziej huczało mu w skroniach, próbował myśleć logicznie.

- W porządku. Po prostu wciąż jeszcze trudno mi się z tym pogodzić.

- Gdybym wiedziała... - Urwała i bezradnie wzruszyła ramionami. Wiedziała, że prawdopodobnie i tak poruszyłaby ten temat. Zawsze popełniała w towarzystwie mnóstwo gaf.

- Ale nie wiedziałas. - Nathan opanował zdenerwowanie i delikatnie uściśnął jej dłoń, która wciąż spoczywała na jego ramieniu. Wygląda na tak zrozpaczoną i przejętą, pomyślał. Poza tym w końcu nie zrobiła nic złego, jedynie przypadkowo zadrapała zbyt świeżą jeszcze ranę. - Nie przejmuj się.

- Bardzo żałuję, że nie udało mi się utrzymać z nim kontaktu. - W jej głosie słychać było prawdziwy żal. - Przykro mi, że nie znalazłam czasu, by podziękować mu za wszystko, co kiedyś dla mnie zrobił.

- Nie żałuj. - Urwał i spojrzał na nią niezwykle poważnie i surowo. -

Dziękowanie komuś za to, co osiągnęliśmy w naszym życiu, jest obwinianiem siebie.

Wszyscy jesteśmy odpowiedzialni za to, do czego doszliśmy.

Zaskoczona cofnęła się o krok.

- To prawda, ale czasem pewni ludzie w jakiś sposób przyczyniają się do tego, że wybieramy taką drogą a nie inną.

- To zabawne, że oboje znaleźliśmy się tu z powrotem, prawda? - Spojrzał za nią, na Sanktuarium i lśniące w blasku słońca okna. - Dlaczego wróciłaś, Jo?

- Tu jest mój dom.

Ponownie spojrzał na nią, zauważył blade policzki i podkrążone oczy.

- To do niego właśnie wracamy, kiedy życie serdecznie da się nam we znaki, prawda?

## ROZDZIAŁ 7

Złożyła ręce, zupełnie jakby było jej zimno. Jo zazwyczaj występowała w roli obserwatora.

- No właśnie.

- Wygląda na to, że oboje zdecydowaliśmy się tu przyjechać niemal w tym samym czasie. Zastanawiam się, czy to nie przeznaczenie? A może szczęśliwy zbieg okoliczności. - Uśmiechnął się, ponieważ bardzo podobała mu się ta druga ewentualność.

- To tylko przypadek. - Jo wołała takie podejście. - Dlaczego tu wróciłeś?

- Sam chciałem to wiedzieć. - Westchnął, a potem ponownie na nią spojrzał.

Bardzo chciał zrobić coś, co sprawiłoby, że z jej oczu zniknie smutek i troska. Chciałby usłyszeć jej śmiech. Podejrzywał, że byłoby to doskonałe lekarstwo nie tylko na jego, ale także na jej problemy. - Skoro już tu jesteśmy, może odprowadziłabyś mnie do mojego domku.

- Przecież znasz drogę.

- Milej byłoby pokonać ją w twoim towarzystwie.

- Już ci mówiłam, że nie mam ochoty na komplikowanie sobie życia.

- Ale ja mam. - Uśmiechnął się promiennie i odsunął jej włosy za uszy. - Ciekaw jestem, które z nas postawi na swoim.

Mężczyźni nigdy nie próbowali jej podrywać. Chociaż, być może, po prostu dotychczas tego nie zauważała. Denerwował ją fakt, że Nathan właśnie to robi, a ona to dostrzega. W tym momencie między jej brwiami pojawiła się sławna Usterka Pendletonów.

- Mam robotę.

- Wiem. Musisz zmienić pościel w pokoju 201. W takim razie do zobaczenia wkrótce, Jo Ellen.

Ponieważ to on odwrócił się pierwszy, miała możliwość obserwować, jak wchodzi między drzewa. Celowo potrząsnęła głową, żeby włosy ponownie zakryły jej uszy. Potem wzdrygnęła się, jakby chciała strącić z siebie jego dotyk.

Była jednak zmuszona przyznać, że już w tej chwili Nathan bardziej ją interesuje, niż by chciała.

Tym razem Nathan zabrał ze sobą aparat fotograficzny. Czuł, że jeśli ma zamiar usunąć ślady pozostawione na Desire przez ojca, musi najpierw w jakiś sposób nimi podążyć. Wybrał ciężkiego, starego Pentaxa. Był to jeden z ulubionych aparatów Davida Delaneya i z pewnością dwadzieścia lat temu miał go tutaj ze sobą. Tak samo jak nieporęcznego Hasselblada i dającego ogromne możliwości Nikona, oraz całą kolekcję różnych obiektywów, filtrów i górę filmów. Nathan przywiózł to wszystko ze sobą i starannie poukładał w domku, tak jak nauczył go ojciec.

Ilekcroć jednak David Delaney wychodził w plener, zazwyczaj zabierał ze sobą Pentaxa.

Na początek Nathan wybrał się na plażę, by sfotografować pieniaące się fale i połyskujący w słońcu piasek. Włożył na nos ciemne okulary i ruszył oznakowaną ścieżką, prowadzącą wśród ruchomych wydm porośniętych owsem i płataniną przydrożnych powoi. Czując we włosach wiejący od morza wiatr, Nathan stanął na wzniesieniu i przez chwilę słuchał szumu fal oraz radosnych krzyków mew, które krążyły nad wodą i co chwila dawały w nią nura.

Wszędzie dookoła leżały porozrzucone przez przypyływ muszle, które wyglądały jak piękne zabawki pogubione przez dziecko. Wokół tych skarbów morza zaczynały się już formować maleńkie fałdki nawianego przez wiatr piasku. Wśród białej piany biegały niezwykle ruchliwe piaskowce, które bardzo przypominały pędzących na ważne spotkanie biznesmenów. Tuż nad falami fruwały trzy pelikany, utrzymując nad wodą szyk bojowy i w idealnej zgodzie wykonując poszczególne manewry. W pewnym momencie jeden z nich opadł i dał nura w spienioną wodę, a w ślad zanim poszły pozostałe. Rozległa się seria pluśnień, i już po chwili wszystkie trzy ptaki ponownie unosiły się w powietrzu, trzymając w dziobach śniadanie.

Z niezwykłą wprawą Nathan ujął aparat, zwiększył przysłonę i skrócił czas, by lepiej uchwycić ruch. Potem namierzył pelikany i przez dłuższą chwilę śledził ich lot, obserwując, jak unoszą się nad wodą i prześlizgują nad szczytem fali. Sfotografował je przy następnym locie nurkowym.

Zadowolony opuścił aparat i uśmiechnął się. W ciągu ostatnich kilku lat bardzo często brakowało mu czasu na to hobby. Teraz postanowił nadrobić wszelkie zaległości i miał zamiar poświęcić przynajmniej godzinę dziennie na ćwiczenie oka i przypomnienie sobie, jak ogromną przyjemnością jest robienie zdjęć.

Doprawdy nie mógł lepiej zacząć. Na całkowicie wyludnionej plaży znajdowały się jedynie ptaki i muszelki, a piasku nie znaczyły żadne inne ślady poza odciskami stóp Nathana. Właściwie to wszystko graniczy z cudem, pomyślał. Czy istnieje jakieś inne, równie piękne i spokojne miejsce, w którym człowiek może być całkowicie sam?

Bardzo tego teraz potrzebował: cudów, piękna i spokoju. Ochraniając obiektyw ręką, ruszył w dół, aż dotarł do delikatnego, wilgotnego piasku. Co kilka kroków kucnął, by przyjrzeć się jakiejś wspaniałej muszli lub obrysować palcem rozgwieżdżę.

Zostawiał je jednak na swoim miejscu, kolekcjonując te cuda jedynie na kliszy.

Chłodne powietrze i kilka ćwiczeń pozwoliło mu się nieco rozluźnić i zapomnieć o zdenerwowaniu, które odczuwał, opuszczając Sanktuarium. A więc ona zawodowo zajmuje się fotografią, pomyślał Nathan, przyglądając się urocemu, posrebrzonemu przez promienie słońca domkowi, który wylaniał się zza wydm. Czy jego ojciec wiedział, że mała dziewczynka, dla której wiele lat temu był mistrzem, poszła w jego ślady? Czy w ogóle by go to zainteresowało? Czy byłby z tego dumny, czy jedynie serdecznie by się roześmiał?

Nathan doskonale pamiętał chwilę, kiedy ojciec po raz pierwszy pokazał mu funkcjonowanie aparatu fotograficznego. Duża, męska dłoń cierpliwie i delikatnie prowadziła jego drobną rączkę.

Wszystkiemu towarzyszył intensywny zapach używanej przez ojca wody po goleniu. Był to „brat”. Tak, na pewno „brat”. Mama zawsze go uwielbiała. Nathan nie zapomniał, przytulonego do swojej twarzy pachnącego, starannie ogolonego policzka ojca. Ani jego elegancko zaczesanych do tyłu, ciemnych, układających się fale włosów i łagodnych, poważnych, szarych oczu.

*Zawsze dbaj o swój sprzęt, Nate. Może pewnego dnia zechcesz zarabiać na życie, wykorzystując w tym celu aparat fotograficzny. Zacznesz przemierzać cały świat i spoglądać na wszystko przez obiektyw. Ucz się patrzeć, a wówczas z pewnością zobaczysz znacznie więcej, niż ktokolwiek inny. Nie jest również wykluczone, że wybierzesz zupełnie inny zawód, wówczas aparat pozwoli ci uwiecznić spotkanych ludzi i najwspanialsze chwile życia - wakacje, członków rodziny, wszystko, co dla Ciebie będzie miało jakieś znaczenie. Szanuj swój sprzęt, ucz się odpowiednio go używać, a on pomoże Ci na zawsze zachować to w pamięci.*

- Ile takich chwil straciliśmy - zastanawiał się Nathan. - A ile z nich ukryliśmy głęboko, tak by do nich nigdy nie wracać?

- Przepraszam.

Nathan przestraszył się, kiedy poprzez otaczające go wspomnienia niespodziewanie dotarł do niego obcy głos i poczuł na ramieniu czyjąś dłoń.

- O co chodzi? - Cofnął się gwałtownie o krok, spodziewając się ujrzeć którąś z nawiedzających go ostatnio zjaw. Zobaczył jednak ładną, drobną blondynkę, która przyglądała mu się uważnie przez przyciemnione, bursztynowe szkła okularów.

- Przepraszam. Przestraszyłam pana. - Przechyliła na bok głowę i bez zmrużenia wpatrywała się w jego twarz. - Czy dobrze się pan czuje?

- Tak. - Nathan przyglądał dłońmi włosy, starając się nie zwracać uwagi na to, że uginają się pod nim kolana. Trudno było mu ukryć swoje zakłopotanie, ponieważ przez cały czas stojąca obok niego kobieta nie przestawała mu się przyglądać. Miał

dziwne wrażenie, że jest jakąś rzadko spotykaną bakterią, którą studentka biologii ogląda przez mikroskop. - Nie wiedziałem, że oprócz mnie ktoś tutaj jest.

- Właśnie kończę poranne bieganie - wyjaśniła i w tym momencie zauważył, że rzeczywiście jest ubrana w przepocony, szary podkoszulek i czerwone, obcisłe szorty. -

A pan patrzy na mój dom. Albo na coś, co jest za nim.

- Rozumiem. - Nathan ponownie spojrzął na lśniące w słońcu cedrowe okiennice i pochyloną, brązową powierzchnię mansardowego dachu. - Z pani okien musi się roztaczać cudowny widok.

- Tak, a najwspanialsze są wschody słońca. Czy na pewno dobrze się pan czuje?

- zapytała ponownie. - Przepraszam, że się wtrącam, ale kiedy widzę faceta, który samotnie stoi na plaży i wygląda tak, jakby przed chwilą ktoś spuścił mu tęgie lanie, a na domiar złego mówi sam do

siebie, zaczynam się zastanawiać, czy wszystko jest w porządku. Na tym polega moja praca - dodała.

- Należy pani do straży nabrzeżnej? - zapytał sucho.

- Nie. - Uśmiechnęła się i wyciągnęła przyjaźnie dłoń. - Jestem lekarzem.

Nazywam się Kirby Fitzsimmons. A w tym domku prowadzę prywatną przychodnię.

- Nathan Delaney. Całkowicie zdrowy. Czy tam swego czasu nie mieszkała pewna staruszka? O ile pamiętam, była to drobniutka kobieta z białymi jak śnieg włosami, które zawsze upinała w staroświecki kok.

- To moja babcia. Znał ją pan? Przecież nie mieszka pan na wyspie.

- Nie, rzeczywiście nie jestem stąd, mimo to dość mglście pamiętam pani babcię. Wiele lat temu jako dziecko spędziłem tu całe lato. Teraz bez przerwy snuję wspomnienia związane z tamtymi wakacjami. Pani po prostu złapała mnie na tej czynności.

- Rozumiem. - Oczy ukryte za bursztynowymi szklami przestały mu się przyglądać z typową dla lekarza dociekliwością, i pojawiła się w nich odrobina sympatii. - To wszystko wyjaśnia. Doskonale wiem, co pan czuje. Gdy byłam mała, przyjeżdżałam tutaj na wakacje i, prawdę mówiąc, wciąż nie mogę się opędzić od wspomnień. To dlatego właśnie po śmierci babci postanowiłam przenieść się tu na stałe. Zawsze uwielbiałam tę wyspę.

Bez zastanowienia złapała swoją stopę, odgięła do tyłu nogę i dotknęła piętą pośladka, by rozciągnąć mięśnie.

- Pan pewnie jest tym Jankesem, który wynajął na pół roku Małe Pragnienie.

- Jak widzę wszystkie wieści rozchodzą się tu niezwykle szybko.

- To całkiem normalne. Zwłaszcza że mają do pokonania niewielką przestrzeń.

Samotny mężczyzna wynajmujący domek na sześć miesięcy jest tutaj dość rzadkim okazem. Nic więc chyba dziwnego, że zaintrygował pan kilka miejscowych dam. -

Kirby powtórzyła to samo z drugą nogą. - Wie pan co? Wcale nie jest wykluczone, że pana pamiętam. Czy to nie pan i pański brat uganiał się po całej wyspie razem z Brianem Hathwayem? Pamiętam, jak babcia mówiła wówczas, że mali Delaney'owie i Brian dobrali się jak w korcu maku.

- Proszę, co znaczy dobra pamięć. Była pani tu owego lata?

- Tak. Wtedy właśnie po raz pierwszy spędziłam wakacje na Desire.

Podajrzewam, że to dlatego pamiętam je najlepiej. Widział się pan już z Brianem?

zapytała od niechcienia.

- Przed chwilą uraczył mnie śniadaniem.

- Trzeba przyznać, że potrafi dokonywać cudów, zwłaszcza z jajkami. - Tym razem to Kirby spojrzała na domek. - Słyszałam, że Jo wróciła. Mam zamiar wybrać się do Sanktuarium, gdy zamknę po południu przychodnię. - Spojrzała na zegarek. -

Ponieważ jednak otwieram ją za dwadzieścia minut, lepiej zrobię, jeśli pójde się umyć.

Miło mi było pana ponownie zobaczyć.

- Mnie również. Pani doktor - dodał, kiedy ruszyła biegiem w stronę wydm. Ze śmiechem odwróciła się.

- Jestem lekarzem ogólnym - zawołała. - Zajmuję się wszystkim, od urodzin po śmierć. Proszę przyjść, gdyby coś panu dolegało.

- Będę o tym pamiętał. - Uśmiechnął się i obserwował, jak biegnie między wydmami, a koński ogon kołysze się w rytm jej kroków.

Dziewiętnaście minut później Kirby włożyła na siebie biały kitel. Traktowała go jako swego rodzaju kostium, mający ostatecznie przekonać nieufnych pacjentów, że rzeczywiście mają do czynienia z lekarzem. To właśnie kitel i wsunięty w kieszeń stereoskop upewniały mieszkańców wyspy, że bez obawy mogą zaufać wnuczce babci Fitzsimmons i pozwolić, by zatroszczyła się o ich zdrowie.

Weszła do swojego biura, które dawniej było doskonale zaopatrzoną spiżarnią jej babci. Kirby zostawiła jedną ścianę zabudowaną półkami, by mieć gdzie poukładać książki i czasopisma. Postawiła tam również niewielki faks i kopiarkę, które pozwalały jej utrzymywać kontakt ze stałym łodem. Wszystkie pozostałe półki usunęła, ponieważ nie miała zamiaru iść w ślady babci i gromadzić ogromnych ilości przetworów, od pasteryzowanych pomidorów poczynając, na piklach z arbuza kończąc.

Kirby sama z ogromnym trudem wstawiła do tego pomieszczenia małe, urocze biurko z drzewa wiśniowego. Przywiozła je tutaj z Connecticut. Była to jedna z niewielu rzeczy, które zabrała ze sobą, przeprowadzając się na południe. Na biurku leżała oprawiona w skórę suszka i książka wizyt, która była pożegnalnym prezentem od zaskoczonych rodziców.

Ojciec Kirby spędził dzieciństwo na Desire i uważał się za ogromnego szczęściarza, ponieważ udało mu się stąd uciec.

Kiedy zaczęła studiować medycynę, jej rodzice byli ogromnie podekscytowani.

Automatycznie założyli, że Kirby, idąc w ślady ojca, wybierze kardiochirurgię, a potem będzie pracowała w jego doskonale prosperującej klinice. To zapewniłoby jej bogactwo, bez którego żadne z nich nie wyobrażało sobie życia.

Tymczasem ona wybrała karierę lekarza rodzinnego, zniszczony domek babci oraz skromne życie na wyspie. I była niezmiernie szczęśliwa.



Obok książki wizyt, gdzie na tle złotego liścia wytłoczone zostały jej inicjały, stał telefon i nowoczesny interkom do porozumiewania się z asystentką gdyby, co wydawało się raczej mało prawdopodobne, kiedyś w przyszłości potrzebowała kogoś do pomocy. Nieco dalej znajdował się pojemnik z dobrze zastruganymi ołówkami.

Pierwsze tygodnie swej praktyki lekarskiej Kirby spędziła, strugając te ołówki i gryzmołąc nimi w notesie.

Mimo to nie załamała się, i w miarę upływu czasu coraz częściej używała ołówków do zapisywania wizyt. Pierwszym jej pacjentem było niemowlę z dławcem, potem pojawiła się staruszka, której bardzo dokuczał artretyzm i matka z dzieckiem chorym na różyczkę.

Początkowo wiedzy medycznej Kirby zaufali najmłodsi i najstarsi mieszkańcy wyspy. Potem zaczęli się pojawiać również i inni. Chcieli, by zeszyła im rany, usmierzyła ból, poradziła coś na nadkwasotę żołądka. Teraz wszyscy nazywali ją

„doktor Kirby” i od jakiegoś czasu nie musiała już dokładać do prowadzonej przez siebie przychodni.

Kirby przejrzała książkę wizyt. Czekają ją okresowe badanie ginekologiczne, wizyta kontrolna po infekcji zatok, nawracające bóle ucha u syna Matthewów i szczepienie kilkumiesięcznej córeczki Simmonsów. No cóż, wygląda na to, że w poczekalni nie będzie tłoku, ale przynajmniej do południa nie grozi jej nuda. Poza tym, kto wie, pomyślała ze śmiechem, zawsze może się zdarzyć jakieś urozmaicenie w postaci nagłego wypadku.

Ponieważ Ginny Pendleton umówiła się na badanie okresowe na dziesiątą, Kirby stwierdziła, że ma jeszcze przynajmniej dziesięć minut wolnego czasu. Ginny była osobą, która zawsze i wszędzie się spóźniała. Kirby wzięła więc wykaz wizyt, wróciła do kuchni, naląła sobie resztki zrobionej rano kawy i zabrała ją ze sobą do gabinetu.

Pokój, w którym swego czasu podczas letnich nocy snuła dziewczęce marzenia, obecnie był nieskazitelnie czysty. Na białych ścianach powiesiła plakaty z pięknymi, polnymi kwiatami. Nie chciała tutaj wiszących tak często w gabinetach lekarskich schematycznych rysunków przedstawiających układ nerwowy albo wnętrze ucha. Jej zdaniem takie „ozdoby” mogły jedynie zwiększać zdenerwowanie pacjentów.

Po wsunięciu wykazu wizyt do specjalnej ramki zamontowanej po wewnętrznej stronie drzwi, wyjęła bawełniany, rozcinany z tyłu fartuch i położyła go na białej kozetce. Nie dawała nigdy pacjentom fartuchów papierowych, uważała bowiem, że są niemile i upokarzające. Przygotowując wszystko, nuciła melodię płynącej cichutko z włączonych głośników sonaty Mozarta. Zauważyła, że nawet ludzie, którzy nie lubili muzyki klasycznej, pod jej wpływem wyraźnie się rozluźniali.

Przygotowała wszystko, co potrzebne było do podstawowego badania i właśnie kończyła kawę, gdy usłyszała brzęknięcie zamontowanego w drzwiach dzwoneczka.

Oznaczało ono, że ktoś wszedł do środka.

- Przepraszam, najmocniej przepraszam. - Ginny wpadła jak bomba do pełniącego funkcję poczekalni salonu dokładnie w tym samym momencie, kiedy Kirby stanęła w jego drzwiach. - Właśnie wychodziłam, gdy zadzwonił telefon.

Ginny powoli zbliżała się do trzydziestki i była opalona jak Murzynka. Nic nie robiła sobie ostrzeżeń Kirby, która uprzedzała ją, że ciągłe wystawianie skóry na działanie słońca może zemścić się w ciągu najbliższych dziesięciu lat. Jasne, długie do ramion włosy Ginny były nieprawdopodobnie poskręcane i wyglądały na bardzo zniszczone przez ciągłe robienie trwałej.

Ginny pochodziła z rodziny rybackiej, nic więc dziwnego, że potrafiła sterować łodzią jak pirat, oprawiać ryby jak chirurg i niezwykle precyzyjnie łuskać ostrygi z przyprawiającą o zawrót głowy prędkością. Mimo to wołała pracować na kempingu, przydzielać biwakowiczom miejsca, prowadzić księgowość i pomagać nowicjuszom rozbijać namioty.

Na badanie lekarskie wystroiła się w jedną ze swoich ulubionych, westernowych bluzek, w jaskrawym, śliwkowo fioletowym kolorze, wykończoną białymi frędzlami. Kirby z iście lekarską ciekawością zaczęła się zastanawiać, ile organów wewnętrznych ściśniętych pod nieprawdopodobnie opiętymi dżinsami rozpaczliwie woła o tlen.

- Zawsze się spóźniam. - Ginny uśmiechnęła się promiennie, a Kirby nie pozostało nic innego, niż roześmiać się w głos.

- I wszyscy doskonale o tym wiedzą. No to zaczynamy. Najpierw oddaj mocz do butelki. Zresztą znasz już całą procedurę. Potem przejdź do gabinetu. Zdejmij z siebie wszystko i załóż fartuch rozcięciem do przodu. Jak będziesz gotowa, .zawołaj.

- W porządku. Dzwoniła Lexy - zawołała, pędząc przez hol w swoich wysokich kowbojskich butach i zamykając za sobą drzwi. - Jest bardzo podminowana.

- Jak zwykle - odparła Kirby.

Ginny wyszła z łazienki i skręciła do gabinetu, przez cały czas ani na moment nie przerywając pogawędki.

- Wybiera się dziś wieczorem koło dziewiątej na kemping. - Kiedy pierwszy kowbojski but uderzył o podłogę, rozległ się potworny łoskot. - Właśnie wolne jest moje ulubione pole numer dwanaście. Postanowiłyśmy rozpalić na nim ognisko i opróżnić kilka puszek piwa. Przyjdiesz?

- Najmocniej dziękuję za zaproszenie. - Rozległ się następny huk. - Pomyślę.

Jeśli się do was przyłączę, na pewno przyniosę ze sobą piwo.

- Bardzo chciałam zaprosić Jo, ale sama wiesz, że Lexy przy takich okazjach potwornie się wścieka. Mam cichą nadzieję, że i tak przyjdzie. - Ginny najwyraźniej zabrakło tchu. Pewnie usiłuje ściągnąć z siebie dżinsy, pomyślała Kirby. - Widziałaś się już z nią? Mówię o Jo.

- Nie. Mam zamiar złapać ją dzisiaj, gdy tylko znajdę chwilkę czasu.

- Może dobrze by im zrobiło, gdyby chociaż na chwilę siadły razem. Nie mam pojęcia, dlaczego Lexy jest tak cholernie wkurzona na Jo. Zresztą, prawdę mówiąc, wygląda na to, że jest wkurzona na wszystkich. Na Giffa również. Gdyby jakiś mężczyzna tak przystojny jak Giff wodził za mną wzrokiem tak jak on za nią, na pewno nie wściekałabym się na cały świat. I wcale nie mówię tych słów dlatego, że on jest moim kuzynem. Fakt faktem, że gdyby nie łączyło nas tak bliskie pokrewieństwo, sama rzuciłabym się na niego w ciągu kilku sekund. Wszystko gotowe.

- Idę o zakład, że Giff dopnie swego i ją pokona - skomentowała Kirby, zabierając ze sobą kartotekę.  
- Trzeba przyznać, że jest tak samo uparty jak ona.

Sprawdźmy zatem twoją wagę. Czy coś ci dolega?

- Nie, czuję się fantastycznie. - Ginny stanęła na wadze i mocno zacisnęła powieki. - Tylko mi nie mów, ile ważę.

Ze śmiechem Kirby zaczęła przesuwac odważnik wzdłuż ramienia wagi.

Pięćdziesiąt dziewięć kilogramów. Sześćdziesiąt dwa. O kurczę, pomyślała.

Sześćdziesiąt cztery i pół.

- Ćwiczysz regularnie, Ginny?

Ani na moment nie otwierając oczu, Ginny niespokojnie przestąpiła z nogi na nogę.

- Coś w tym rodzaju.

- Przydałby ci się aerobic, jakieś dwadzieścia minut trzy razy tygodniowo.

I przestań w końcu opychać się batonami. - Ponieważ Kirby była nie tylko lekarzem, ale i kobietą, w związku z tym litościwie wyzerowała wagę, zanim Ginny zdążyła otworzyć oczy. - Wskakuj na kozetkę, sprawdzimy, jakie masz ciśnienie.

- Może spróbuję obejrzeć taśmy Jane Fondy. Co sądzisz o „lipo”?

Kirby ani na moment nie odrywała uwagi od aparatu do mierzenia ciśnienia.

- Uważam, że powinnaś kilka razy tygodniowo zrobić sobie długi spacer po plaży. Nieźle by było, gdybyś na jakiś czas spróbowała sobie wyobrazić, że najwspanialszym batonem na świecie jest marchewka. Jeśli ci się to uda, gwarantuję, że bez trudu stracisz ponad dwa kilogramy, nie poddając się żadnej drastycznej diecie.

Ciśnienie jest w porządku. Kiedy miałaś ostatni okres?

- Dwa tygodnie temu. Chociaż spóźnił się prawie o tydzień. Prawdę mówiąc, byłam cholernie przerażona.

- Używasz krążka, prawda?

Ginny położyła ręce na brzuchu i zabębniła palcami. - No cóż, najczęściej tak.

Ale chyba zdajesz sobie sprawę, że to jest strasznie kłopotliwe.

- To samo można powiedzieć o ciąży.

- Zawsze zmuszam faceta do założenia prezerwatywy. W tym względzie nie robię żadnych wyjątków. Właśnie w tej chwili jest na kempingu kilku naprawdę fajnych chłopaków. Rozbili namiot na szóstce.

Z ciężkim westchnieniem Kirby włożyła rękawice.

- Przypadkowe kontakty seksualne mogą pociągać za sobą mnóstwo niebezpiecznych komplikacji.

- Tak, wiem, ale to jest fantastyczna zabawa. - Ginny uśmiechnęła się na widok ogromnego, przypiętego do sufitu plakatu z uroczym obrazem Moneta. - Poza tym zawsze trochę się w nich zakochuję. Zobaczysz, wcześniej czy później spotkam tego jednego jedyne. Tego, który jest mi pisany. A na razie biorę to, co mam pod ręką.

- Igrasz z ogniem - mruknęła pod nosem Kirby. - Poza tym rozmieniasz się na drobne.

- Może tak, może nie, właściwie nie wiem. - Ginny próbowała wyobrazić sobie, że wędruje po pełnej kwiatów, zasnutej mgłą łące widocznej na suficie, a równocześnie stukwała się po brzuchu ciężkimi od pierścionków palcami. - Czy zdarzyło ci się kiedykolwiek mieć tak ogromną ochotę na faceta, że aż na jego widok wszystko się w tobie skręcało i uginały się pod tobą kolana?

Kirby pomyślała w tym momencie o Brianie, jednak na szczęście zdążyła się opanować i tym razem nie westchnęła. - Tak.

- Uwielbiam to uczucie, a ty? Rozumiesz, jest w nim coś... prymitywnego.

- Chyba masz rację. Mimo to chciałabym, żebyś naprawdę zaczęła używać krążka. Niezależnie od tego, że jego stosowanie rzeczywiście czasami może być nieco kłopotliwe.

Ginny wymownie wzniosła oczy ku niebu.

- Tak jest, pani doktor. O, skoro już mowa o mężczyznach i seksie, Lexy powiedziała, że wpadł jej w oko ten Jankes. Podobno jest pierwsza klasa.

- Mnie on się też bardzo podoba - stwierdziła Kirby.

- Rzeczywiście jest taki świetny?

- Jest bardzo atrakcyjny. - Kirby delikatnie uniosła jedną rękę Ginny do góry i zaczęła badać jej pierś.

- Okazuje się, że to dawny przyjaciel Briana - wiele lat temu spędził tu lato razem z rodzicami. Jego ojciec, fotograf, wydał swego czasu album ze zdjęciami Sea Islands. Moja matka wciąż jeszcze ma tę książkę.

- Fotograf. Rzeczywiście. Kompletnie o tym zapomniałam. Robił wówczas również zdjęcia babci. Po wyjeździe stąd przysłał nawet jedną odbitkę. Mam ją w sypialni.

- Dziś rano, kiedy o nim wspomniałam, mama wygrzebała ten album z dna jakiejś szuflady. Jest naprawdę wspaniały - dodała Ginny, kiedy Kirby pomagała jej usiąść. - Na jednym ze zdjęć Annabelle Hathaway i Jo pracują w ogrodzie w Sanktuarium. Mama przypomniała sobie, że ta fotka zrobiona została tego lata, kiedy Annabelle opuściła wyspę. Dlatego wysunęłam przypuszczenie, że może po prostu związała z tym fotografem, mama mówi jednak, że jeszcze przez jakiś czas po jej zniknięciu pan Delaney był z żoną i chłopcami na wyspie.

- To wszystko miało miejsce dwadzieścia lat temu. Należałoby przypuszczać, że w końcu ludzie o tym zapomną i zostawią tę sprawę w spokoju.

- Desire należy przede wszystkim do Pendletonów - wyjaśniła Ginny. - To znaczy do rodziny Annabelle. Poza tym nikt niczego tutaj nie zapomina. Była naprawdę piękną kobietą - dodała, schodząc z kozetki. - Nie pamiętałam jej zbyt dokładnie, ale gdy zobaczyłam to zdjęcie, coś zaczęło mi świtać w głowie. Gdyby Jo trochę się postarała, byłaby do niej bardzo podobna.

- Sądzę, że Jo woli być podobna do samej siebie. Jesteś zdrowa jak ryba, Ginny, możesz się ubrać. Spotkamy się za chwilę w moim biurze.

- Dziękuję. Och, jeszcze jedno, Kirby, postaraj się przyjść wieczorem na kemping. Urządzimy sobie babski wieczór. Pamiętaj, pole numer dwanaście.

- Zastanowię się.

O czwartej Kirby zamknęła przychodnię. Jedynym nie zapowiedzianym wcześniej pacjentem był poparzony przez słońce urlopowicz, który uciał sobie drzemkę na plaży. Po skończeniu pracy Kirby piętnaście minut spędziła przed lustrem, poprawiając makijaż, szczotkując włosy i skrapiając się perfumami.

Wmawiała sobie, że robi to dla własnej przyjemności, ponieważ jednak wybierała się do Sanktuarium, zdawała sobie sprawę, że próbuje oszukać samą siebie.

Chciała wyglądać na tyle świeżo i pachnieć na tyle ładnie, by przysporzyć Brianowi Hathawayowi prawdziwych cierpień.

Wyszła drzwiami prowadzącymi na plażę. Kirby uwielbiała ten nagły, szokujący widok oceanu oddalonego zaledwie o kilkanaście metrów od jej domu. Przez chwilę przyglądała się czteroosobowej rodzinie, która beztrąsko pluskała się na płyciźnie, usłyszała nawet radosny dźwięk dziecięcego śmiechu, przebijający się przez szum morza.

Wsunęła na nos okulary przeciwsłoneczne i ruszyła schodami w dół. Potem przeszła wąskim

pomostem, który wybudował dla niej Giff, okrążyła dom i zaczęła oddalać się od wydmy. Minęła kępki wyrastających prosto z piasku cyprysów, okaleczonych i powyginanych przez wiatr, który nawet teraz uderzał o kostki Kirby małymi obłoczkami piasku. Obeszła niewielkie zagłębienie, w którym rosły krzaki wawrzynu i czarnego bzu, a jej ślady przeplotły się z tymi, które już wcześniej przecinały piasek.

Okrążyła wydmy, przechodząc ich skrajem, ponieważ jako mieszkanka wyspy doskonale wiedziała, że są niezwykle delikatne. Po chwili zostawiła za plecami rozżarzony, połyskujący piasek i znalazła się w chłodnym, zasnutym delikatną mgiełką lesie.

Szła szybko, chociaż wcale się nie spieszyła, i przez cały czas myślała o celu swej wyprawy. Już dawno temu przywykła do szelestów i trzasków rozlegających się zazwyczaj wśród drzew, nie dziwiły jej również częste zmiany natężenia światła.

Dlatego była zdumiona, gdy nagle zdała sobie sprawę, że stoi nieruchomo i nadstawia uszu. Mimo to słyszała jedynie przyspieszone bicie własnego serca.

Powoli obróciła się wokół własnej osi, uważnie przyglądając się wszystkim cieniom. Wcześniej zdawało jej się, że słyszy coś dziwnego. Teraz również to czuła.

Doszła do wniosku, że ktoś ją bacznie obserwuje.

- Halo! - Była wściekła na samą siebie, gdy po lesie rozległo się echo jej drżącego głosu. - Czy jest tu ktoś?

Odpowiedział jej jedynie delikatny szelest, który równie dobrze mogła spowodować sarna albo królik, a potem w mrocznej głębi lasu zapadła absolutna cisza. Ale ze mnie idiotka, pomyślała. Na pewno nikogo tu nie ma. A nawet jeśli jest, to i tak bez znaczenia. Odwróciła się i ruszyła do przodu dobrze znaną sobie ścieżką.

Starła się iść w rozsądnym tempie.

W pewnej chwili poczuła strużkę potu spływającą wzdłuż kręgosłupa. Zaczęło jej brakować tchu. Pod wpływem panicznego strachu zatrzymała się i ponownie odwróciła się na pięcie pewna, że uda się jej dostrzec za sobą jakiś gwałtowny ruch.

Jednak nie było tam nic, oprócz płataniny gałęzi i zwisającego mchu.

Cholera jasna, pomyślała i potarła dłonią mostek, by uspokoić bijące zbyt szybko serce. Ktoś tu jest. Kucnął za drzewem, schował się w cieniu. Obserwuje ją.

Doszła do wniosku, że to na pewno dzieciaki. Grupa nieznośnych dzieciaków, które postanowiły spłatać jej figla.

Ruszyła z powrotem, bacznie rozglądając się na boki. Po chwili znowu usłyszała ten dźwięk. Ponownie próbowała zawołać, potem krzyknęła jakiś niemły komentarz pod adresem niegrzecznych dzieci, a mimo to ogarniało ją coraz większe przerażenie.

Serce podchodziło jej do gardła i coraz bardziej brakowało jej w piersiach tchu.

Całkowicie zdając się na instynkt, odwróciła się gwałtownie i przyspieszyła kroku.

Kiedy prześladujący ją dźwięk zbliżył się, porzuciła wszelką dumę i pędem ruszyła do przodu.

Ktoś, kto ją obserwował, zakrył dłonią usta, by nie parsknąć śmiechem, a potem przesłał całusa w stronę jej szybko oddalających się pleców.

Z trudem łapiąc powietrze, Kirby biegła ścieżką, a jej tenisówki głośno stukały o ziemię. Załkała widząc, że światło stopniowo się rozjaśnia i że dotarła już na skraj lasu. Kiedy wybiegła spomiędzy drzew, obejrzała się przez ramię. Była święcie przekonana, że zobaczy jakieś monstrum, które wyskakuje tuż za nią.

Wtedy wpadła na twardą przeszkodę. Krzyknęła głośno i dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że znajduje się w męskich ramionach.

- Co ci jest? - Brian trzymał ją mocno, mimo to Kirby z całych sił przywarła do niego i ukryła się w jego objęciach. - Czy coś ci się stało? Pozwól mi sprawdzić.

- Nie, nie, wszystko w porządku. Błagam o minutę. Potrzebna mi minuta.

- Dobrze. Zgoda. - Rozluźnił uścisk i delikatnie pogłaskał ją po włosach.

Walczył z chwastami na skraju ogrodu, kiedy usłyszał, że ktoś panicznie przerażony biegnie przez las. Właśnie zrobił pierwszy krok w tę stronę, by sprawdzić, co się dzieje, kiedy wypadła spomiędzy drzew i wpakowała się prosto na niego.

Teraz czuł niezwykle szybkie i gwałtowne bicie jej serca, a jego własny puls był

niemal tak samo niespokojny. Potwornie się przestraszył, gdy zauważył w jej oczach to spojrzenie przerażonego, osaczonego ze wszystkich stron zwierzątka. Gdy odwróciła głowę, wyglądała tak, jakby się spodziewała, że lada chwila ktoś zaatakuje ją od tyłu.

- Ktoś mnie przestraszył - wydusiła z siebie po chwili, nie przestając kurczowo trzymać się jego ramion. - Prawdopodobnie po prostu dzieciaki. To mu siały być dzieciaki. Czuję, że ktoś mnie śledzi, wręcz wydawało mi się, że na mnie poluje. Tak, to musiały być po prostu jakieś dzieciaki. Potwornie się przestraszyłam.

- Już wszystko w porządku. Spróbuj się uspokoić. - Jest taka drobniutka, pomyślał. Ma takie kruche plecy, szczupłą talię, delikatne jak jedwab włosy. Prawie nie zdając sobie z tego sprawy, przytulił ją mocniej do siebie. To dziwne, ale tak dobrze do niego pasowała. Wydawała się tak niewielka, że bez trudu mógłby ją podnieść i ukryć w kieszeni.

Chryste, jak ona ładnie pachnie. Na chwilę oparł policzek o czubek jej głowy i wdychał zapach jej włosów, podziwiał ich miękkość, równocześnie nie przestając ani na moment masować jej karku.

- Nie wiem, dlaczego tak potwornie się przestraszyłam. Właściwie nigdy nie wpadam w panikę. - Ponieważ jednak przerażenie zaczęło powoli ustępować, coraz wyraźniej zaczęło docierać do jej świadomości, że Brian trzymają mocno w ramionach. Że jego ręce niezwykle delikatnie wędrują po jej ciele. Jego usta łagodnie całują jej włosy.

Nieco już spokojniejszy rytm serca Kirby ponownie znacznie się ożywił, tym razem jednak nie miało to nic wspólnego z paniką.

- Brian. - Wymówiła cicho jego imię, przesunęła nieco wyżej leżące na jego plecach dłonie i uniosła lekko głowę.

- Już wszystko w porządku. Naprawdę jest już po wszystkim. - I zanim zorientował się, co robi, dotknął wargami jej ust.

W tym momencie poczuł się tak, jakby ktoś uderzył go pięścią prosto w żołądek: zakręciło mu się w głowie i mimo woli ugięły się pod nim kolana. Kirby rozchyliła odrobinę swe ciepłe, niezwykle delikatne wargi i cudownie, podniecająco zamruczała.

Przywarł do niej mocniej i zaczął delikatnie przygryzać jej język, a równocześnie zsunął niżej ręce i zaborczo przycisnął ją do siebie.

W momencie, kiedy poddała się jego pocałunkowi, przestała w ogóle myśleć.

Było to dla niej coś zupełnie nowego, nieznany wcześniej dreszczyk emocji przyprawił

ją o zawrót głowy. Zawsze potrafiła trzeźwo patrzeć na wszystko i panować nad sobą.

Teraz jednak cały świat przestał się w ogóle liczyć.

Usta Briana były gorące i spragnione, jego ciało twarde jak skała, a dłonie duże i zdecydowane. Po raz pierwszy w życiu poczuła, że jest niezwykle krucha, zupełnie jakby w jego rękach mogła rozpaść się na kawałki.

Z zupełnie niezrozumiałych dla niej powodów to wrażenie było ogromnie podniecające. Powtórzyła jego imię i objęła go mocno za szyję. Odchyliła do tyłu głowę. Po raz pierwszy, znajdując się w ramionach mężczyzny, była tak nieprawdopodobnie bliska całkowitego poddania się.

Ta niespodziewana uległość oraz bezradne, ciche jęknięcie, które wyrwało się z jej gardła, gwałtownie przywołały go do porządku. Trzymał ją wysoko nad ziemią, jego palce wpiły się w jej ciało i myślał tylko o tym, by bez zastanowienia wziąć ją tu, na ziemi.

Na litość boską, w ogrodzie należącym niegdyś do matki? Za dnia? W cieniu własnego domu? Brian, wściekły na samego siebie i na nią, odskoczył gwałtownie do tyłu.

- O to właśnie ci chodziło, prawda? - powiedział ze złością. - Wpakowałaś się w kłopoty po to tylko, by udowodnić mi, że jestem tak samo słaby, jak każdy pierwszy lepszy facet.



Wciąż jeszcze kręciło jej się w głowie.

- Słucham? - Zamrugła niespokojnie oczami, żeby trochę oprzytomnieć. - Co ty powiedziałaś?

- Metoda „na przerażoną pensjonarkę” zadziałała. Punkt dla ciebie.

To był potwornie niemiły powrót do rzeczywistości. Jego oczy były tak samo twarde i gorące jak jego usta, jednak widać w nich było zupełnie inne uczucie. Kiedy wypowiedziane przez niego słowa i ich znaczenie w końcu dotarły do jej świadomości, poczuła się dotknięta do żywego.

- Twoim zdaniem zagrałam to wszystko i zrobiłam z ciebie idiotę tylko po to, żebyś mógł mnie pocałować? Ty arogancki, zarozumiały, głupi sukinsynu! -

Nieprawdopodobnie wściekła odepchnęła go od siebie z całych sił. - Nie wymyślam sobie żadnych idiotycznych metod, poza tym nie jestem i nigdy nie będę pensjonarką.

Co więcej, całowanie ciebie nie jest najważniejszym celem mego życia.

Odrzuciła do tyłu potargane włosy i wyprostowała się.

- Przyszłam tutaj, żeby zobaczyć się z Jo, a nie z tobą. Tak się tylko złożyło, że znalazłeś się na mojej drodze.

- I dlatego z takim impetem wskoczyłaś w moje ramiona i oplotłaś się wokół

mnie jak wąż.

Wciągnęła głęboko w płuca powietrze, starając się z całych sił zachować zimną krew oraz resztki godności.

- Problem polega na tym, Brian, że to ty chciałeś mnie pocałować i że sprawiło ci to ogromną przyjemność. A ponieważ ponownie masz ochotę to zrobić, zwalasz całą winę na mnie i oskarżasz o korzystanie z głupich, babskich podstępów. Chcesz mnie obmacywać, tak jak przed chwilą, i najwyraźniej potwornie cię ten fakt wkurza. Ale to jest twój problem. Ja przyszłam zobaczyć się z Jo.

- Nie ma jej - powiedział Brian przez zaciśnięte zęby. - Zabrała aparat fotograficzny i gdzieś wyszła.

- Dobrze, w takim razie przekaz jej ode mnie wiadomość. O dziewiątej na kempingu na polu dwunastym urządzamy sobie babski wieczór. Mam nadzieję, że zapamiętasz, a jeśli nie, mogę ci zapisać.

- Powiem jej. Czy coś jeszcze?

- Nie, to wszystko. - Odwróciła się, a potem przez moment myślała, co po winna teraz zrobić. Duma dumą, ale potwornie bała się znowu wejść między drzewa.

W związku z tym zmieniła kierunek i ruszyła wysypaną muszelkami ścieżką. Choć wiedziała, że tym

sposobem będzie miała do pokonania znacznie dłuższą trasę, miała jednak nadzieję, że długi, męczący spacer pomoże jej opanować złość.

Brian, marszcząc brwi, najpierw popatrzył na jej plecy, a potem na las. Nagle zdał sobie sprawę, że Kirby niczego nie udawała. W takim razie on zachował się nie tylko jak głupiec, lecz również jak okropny gbur.

- Zaczekaj, Kirby, odwiozę cię.

- Nie chcę, dziękuję.

- Cholera jasna, powiedziałem, żebyś zaczekała. - Dogonił ją, złapał za ramię, a kiedy się odwróciła zobaczył, że jest naprawdę potwornie zła.

- Jak będę miała ochotę, żebyś mnie dotykał, Brian, powiem ci o tym.

Poinformuję cię również, jeśli w ogóle będę coś od ciebie chciała. A na razie... -

Jednym szarpnięciem oswobodziła rękę. - Pozwól, że sama się o siebie zatroszczę.

- Przepraszam. - Kiedy to powiedział, siarczyście zaklął w duchu. Wcale nie miał zamiaru prosić jej o wybaczenie. Gdy ujrzał jej uniesione brwi i zaokrąglone ze zdziwienia oczy, zaczął poważnie żałować, że nie udało mu się utrzymać języka za zębami.

- Czy mi się wydawało, czy coś mówiłeś?

Zbyt późno, by się wycofać, pomyślał, i przełknął gorzką pigułkę.

- Powiedziałem, że cię przepraszam. Chyba posunąłem się za daleko. Pozwól odwieźć się do domu.

Z godnością pochyliła głowę i uśmiechnęła się z zadowoleniem.

- Dziękuję. Będę ci niezmiernie wdzięczna.

## **ROZDZIAŁ 8**

Miałaś zabrać ze sobą piwo, a nie jakieś głupie wino, Królowo Fotografów. -

Lexy, najwyraźniej bardzo niezadowolona z towarzystwa siostry, załadowała śpiwór i cały niezbędny sprzęt do land rovera Jo.

- Lubię wino. - Jo starała się mówić bardzo spokojnie i zwięźle.

- Zupełnie nie rozumiem, dlaczego chcesz spędzić noc w lesie. - Lexy skrzywiła się na widok starannie zrolowanego śpiwora wysokiej jakości. Jo Ellen zawsze musi mieć wszystko co najlepsze, pomyślała ponuro i wrzuciła swoje dwa sześciorozmiarowe opakowania piwa na tył samochodu. - Nie ma tam żadnej knajpy z fortepianem, uczynnych pokojówek ani usłużnego kelnera.

Jo przypomniała sobie noce spędzone pod namiotem, w drugorzędnych, obskurnych motelach lub w wyiębionej kabinie własnego samochodu. Wszystko tylko po to, by zrobić jakieś zdjęcie. Wepchnęła do samochodu olbrzymią torbę z jedzeniem, które udało jej się wyprosić u Briana, i odgarnęła do tyłu włosy.

- Może zdołam to jakoś przeżyć.

- To był mój pomysł, wiesz? Zorganizowałam ognisko, ponieważ chciałam na jedną noc uciec z tego cholernego domu. Miałam ochotę trochę odpocząć w towarzystwie przyjaciółek. Moich przyjaciółek.

Jo energicznie zatrasnęła tylne drzwi i mocno zacisnęła zęby, słysząc echo przypominające huk wystrzału. Przyszło jej na myśl, że znacznie prostszym rozwiązaniem byłoby zrezygnowanie z całej wyprawy. Mogłaby odwrócić się na pięcie, wejść do domu i pozwolić, by Lexy sama pojechała na kemping.

Niech to diabli, wcale nie ma zamiaru iść na łatwiznę.

- Ginny jest również moją przyjaciółką, a z Kirby nie widziałam się od wieków.

- Rezygnując z dalszych wyjaśnień, Jo obeszła samochód, usiadła za kierownicą i czekała.

Kiedy Brian przekazał jej zaproszenie Kirby, Jo ogarnęło niezwykle sympatyczne uczucie oczekiwania, teraz jednak jedyną po nim pozostałością był

dziwny uścisk w żołądku. Mimo to zdecydowana była wybrać się na ognisko i nie dać się zniechęcić siostrze.

Wiedziała, że najbliższe kilkanaście minut będzie dla niej prawdziwą męką, a jednak, na Boga, pojedzie. Zrobi wszystko, by ten czas nie był również zbyt miły dla Lexy, która zajmowała właśnie miejsce obok niej.

- Zapnij pas - rozkazała Jo, a Lexy, sapiąc ze złości, wykonała polecenie. -

Posłuchaj, może po prostu obie spróbujemy się spać, a potem przez kilka godzin poudajemy, że jesteśmy w stanie nawzajem się tolerować? Przy twoich zdumiewających umiejętnościach aktorskich nie powinno to być wcale takie trudne.

Lexy uniosła głowę i uśmiechnęła się od ucha do ucha.

- Odpieprz się, kochana siostrzyczko.

- Znowu zaczynasz. - Jo przekręciła kluczyk w stacyjce i gdy tylko ruszyła, z przyzwyczajenia sięgnęła po papierosa.

- Mogłabyś nie palić w samochodzie? Jo nacisnęła zapalniczkę.

- To moje auto.

Kierowała się na północ, a opony samochodu śpiewały radośnie na wysypanej muszelkami drodze. Przez okna wpadało do wnętrza cudowne powietrze. Chłodny podmuch pomógł jej się opanować i dzięki temu nie wybuchnęła w momencie, kiedy Lexy włączyła magnetofon i puściła go na pełny regulator. Głośna muzyka uniemożliwiała im jakąkolwiek rozmowę, a skoro nie mogły rozmawiać, nie były również w stanie się sprzeczać. Przynajmniej w drodze na kemping.

Pokonywała tę trasę bardzo szybko. W miarę jazdy przypominała sobie każdy zakręt, co również działało na nią niezwykle uspokajająco. Tak niewiele się tutaj zmieniło. Jak zwykle ciemność zapadała bardzo szybko i niosła ze sobą odgłosy wiatru i morza. To zawsze sprawiało, że wyspa w nocy wydawała się ogromna. Była światem, w którym od stuleci wszystkim rządziły przyływy.

Przypominała sobie, jak wiele lat temu równie szybko pokonywała tę drogę i wówczas, tak samo jak teraz, wiatr rozwiewał jej włosy, a radio dudniło na pełny regulator. Miejsce obok niej również zajmowała Lexy.

Była to ostatnia łagodna i pełna cudownych zapachów wiosna spędzona przez Jo w domu. Miała wówczas osiemnaście lat, a Lexy piętnaście. Spędzili ten wieczór w towarzystwie Ernesta i Julia, którzy bardzo starali się, by nie zabrakło powodów do śmiechu i przez cały czas pilnowali, by obie doskonale się bawiły. Kuzynka Kate wyjechała wówczas w odwiedziny do swej siostry mieszkającej w Atlancie, w związku z tym nikt nie zastanawiał się, gdzie na wiele godzin zniknęły obie nastolatki.

Jo pomyślała, że nie wszystko, co robiły tamtego wieczora, było mądre, nie zapomniała jednak, że wówczas łączyła je więź, która z czasem zniknęła bez śladu.

Wyspa została taka sama, gdzieś jednak przepadły tamte dwie beztroskie dziewczyny.

- Co słysząc u Giffa? - Jo sama była zaskoczona, słysząc własne pytanie.

- Skąd mam wiedzieć?

Jo wruszyła ramionami. Od wielu lat Giff bez przerwy wodził wzrokiem za Lexy, która doskonale o tym wiedziała. Jo jedynie chciała się upewnić, czy wszystko w tym względzie zostało po staremu.

- Nie widziałam go po powrocie. Słyszałam, że jest miejscową złotą rączką.

- Ten facet działa mi na nerwy. Nie obchodzi mnie, czym się zajmuje. - Lexy z naburmuszoną miną spojrzała w okno, starając się odpędzić od siebie wspomnienie tego momentu, kiedy Giff całował ją niemal do utraty zmysłów. - Nie interesują mnie chłopcy z wyspy. Wolę prawdziwych mężczyzn. - Odwróciła się i wyzywająco spojrzała na Jo. - Mężczyzn z klasą i mnóstwem pieniędzy.

- Znasz kogoś takiego?

- Oczywiście. - Lexy wystawiła łokieć za okno i przybrała pozę pełną nie dbałości, aczkolwiek wystudiowanej elegancji. - W Nowym Jorku jest ich bez liku.

Podobają mi się mężczyźni, którzy znają się na rzeczy. Tak jak nasz Janke. Jo poczuła, że sztywnieją jej plecy, więc spróbowała rozluźnić mięśnie.

- Nasz Jankes?

- Nathan Delaney. Wygląda na człowieka doświadczonego, który zna się na rzeczy... i na kobietach. Jest dokładnie w moim typie. Poza tym ma mnóstwo forsy.

- Dlaczego uważasz, że jest bogaty?

- Jak inaczej mógłby sobie pozwolić na sześciomiesięczne wakacje? Poza tym architekt mający własne biuro projektowe nie byłby w stanie obejść się bez odpowiednich zasobów finansowych. Dużo podróżował. Mężczyzna, który zna świat, wie jak pokazać kobiecie ciekawe miejsca. Jest rozwiedziony. Rozwiedzeni panowie bardzo sobie cenią spokojne kobiety.

- Widzę, że przeprowadziłaś prywatne dochodzenie, prawda Lexy?

- Jasne. - Wyciągnęła się rozkosznie. - Tak, zdecydowanie mogę powiedzieć, że Nathan Delaney jest w moim typie. Na pewno przy nim przynajmniej przez jakiś czas nie byłoby mi nudno.

- Dopóki nie wrócisz do Nowego Jorku - uzupełniła Jo. - Zmienić rejon łowiecki.

- Dokładnie.

- To ciekawe. - Światła samochodu Jo prześlizgnęły się po niewielkim kierunkowskazie wskazującym drogę na kemping. Zmniejszyła prędkość, skręciła w Shell Road i wjechała na teren zarośniętych bagienną trawą trzęsawisk. - Zawsze sądziłam, że masz o sobie lepsze mniemanie.

- W ogóle mnie nie znasz, dlatego nie wiesz, jakie mam o sobie mniemanie.

- Wygląda na to, że masz rację.

Zapadło głuche milczenie przerywane jedynie kumkaniem żab. W pewnym momencie do ich uszu dobiegł trzask. Jo mimo woli zadrżała. Bez wątpienia jakiś żółw zakończył życie w paszczy aligatora. Wydawało jej się, że doskonale wie, co żółw czuł w tych kilku ostatnich sekundach życia. Dobrze знаła to uczucie, kiedy jest się zamkniętym w pułapce bez wyjścia, osaczonym przez coś znacznie większego, silniejszego, dzikiego i żądnego krwi.

Ponieważ poczuła, że drżą jej ręce, zacisnęła mocniej palce na kierownicy.

Przypomniała sobie, że przecież nie została pokonana. Uciekła, zyskała na czasie.

Wciąż nad wszystkim panuje.

Mimo to strach coraz mocniej obejmował ją swymi wszędobylskimi mackami.

Zmusiła się, by zaczerpnąć głęboko powietrza, wypuścić je spokojnie z płuc i zacząć powoli, równomiernie oddychać. Udało się.

Minęła małą chatkę, w której załatwiano wszystkie sprawy związane z meldowaniem i

wymeldowywaniem gości zatrzymujących się na biwaku. Ponieważ było już po zachodzie słońca, nikt w niej nie urzędował. Jo skoncentrowała się na krętej drodze, która prowadziła wśród niewielkich jezior. Gdzieś wesoło migotały płonące na terenie kempingu ogniska. Przez moment słysząc było płynącą z radia muzykę. Gdy wiatr rozchylił kępki wysokich traw, można było zauważyć delikatne, białe plamki pływających po wodzie lilii, mieniących się w słabym blasku księżyca.

Jo postanowiła, że tu wróci, by porobić zdjęcia, skupić się na ciszy i pustce. Na samotności. I własnym bezpieczeństwie.

- Tam stoi samochód Kirby.

Wciąż jeszcze dzwoni mi w uszach, pomyślała Jo, po czym zmusiła się do następnego głębokiego wdechu.

- Słucham?

- Ten mały wystrzałowy kabriolet to samochód Kirby. Stań za nim.

- W porządku. - Jo zaparkowała land rovera. Gdy wyłączyła silnik, zorientowała się, że w nocnym powietrzu unosi się mnóstwo dźwięków. Słychać buczenie, piszczenie i szelesty dochodzące z małego świata ukrytego za wydmami i w głębi lasu.

Można również wyczuć mnóstwo zapachów, wśród których zdecydowanie dominowała woń wilgoci.

Jo wysiadła z samochodu i odczuła ogromną ulgę, że wokół jest tyle życia.

- Jo Ellen!

Kirby wyskoczyła z ciemności, chwyciła Jo w objęcia i mocno przytuliła do siebie. Takie spontaniczne objawy radości zawsze bardzo zaskakiwały Jo. Zanim zdołała odzyskać równowagę, Kirby odsunęła się odrobinę i wciąż pewnie trzymając dłonie na ramionach Jo, uśmiechnęła się zadowolona.

- Nie masz pojęcia, jak bardzo się cieszę, że przyjechałaś! Cieszę się, że cię widzę! Mamy potworne zaległości do nadrobienia. Cześć Lexy. Wyjmiemy wasz sprzęt, a potem spróbujemy otworzyć kilka puszek piwa.

- Ona przywiozła ze sobą wino - wyjaśniła Lexy, otwierając tylne drzwi.

- Wspaniale, w takim razie odkorkujemy również kilka butelek. Mamy do tego całą masę najbardziej niezdrowego jedzenia pod słońcem. Do północy wszystkie zdążymy się ciężko pochorować. - Plotąc przez cały czas trzy po trzy, Kirby pociągnęła Jo do tyłu land rovera. - Na całe szczęście jestem lekarzem. Co to takiego? - Zajrzała do dużej, papierowej torby z jedzeniem. - Pasztet? Przywiozłaś pasztet?

- Tak długo molestowałam Briana, że w końcu musiał mi go dać - wyjaśniła Jo.

- Nieźle to sobie wykombinowałaś. - Kirby podniosła torbę zjedzeniem, potem spojrzała na piwo, które przywiozła Lexy. - Zabiorę je. Ginny właśnie rozpala ognisko.

Trzeba ci pomóc z resztą?

- Poradzę sobie. - Jo zarzuciła na plecy torbę z aparatem fotograficznym, pod jedno ramię wsunęła zrolowany śpiwór, a do drugiej ręki wzięła pobrzękujące butelki wina. - Przykro mi z powodu twojej babci, Kirby.

- Dziękuję. Osiągnęła sędziwy wiek, poza tym żyła dokładnie tak, jak chciała.

Nieźle byłoby, gdybyśmy wszyscy byli tak mądrzy, jak ona. Zaczekaj, Lexy, mogę wziąć od ciebie torbę. - Kirby uśmiechnęła się do nich obu, z zadowoleniem stwierdzając, że udało jej się zlikwidować napięcie, które wyczuła między nimi, kiedy przyjechały. - Jezu Chryste, umieram z głodu. Nie jadłam dzisiaj obiadu.

Lexy z trzaskiem zamknęła tylne drzwi.

- W takim razie chodźmy. Chętnie napiłabym się piwa.

- Cholera jasna, wsadziłam latarkę do tylnej kieszeni. - Kirby odwróciła się i wypięła w stronę Jo pośladek. - Dasz radę ją wyjąć? - zapytała.

Po dłuższej chwili Jo udało się nie tylko wyciągnąć latarkę, lecz również ją włączyć. W nikłym strumieniu światła szły wąską ścieżką jedna za drugą.

Na polu dwunastym wszystko było już przygotowane, a w niewielkim kręgu zagrabionego piasku radośnie płonęło ognisko. Ginny zaświeciła latarkę i przyniosła niewielką lodówkę wypełnioną lodem. Obecnie siedziała na niej, wyjadała z torebki chipsy i popijała je piwem.

- A więc przyjechała. - Ginny wzniosła toast puszką piwa. - Cześć, Jo Ellen Hathaway. Witaj w domu.

Jo odrzuciła śpiwór i uśmiechnęła się. Po raz pierwszy poczuła się tak jak dawniej. Miała wrażenie, że jest mile widziana. - Dzięki.

- A więc zostałam panią doktor. - Jo siedziała przy ognisku ze skrzyżowanymi nogami.. Jedna butelka tkwiła już w pobliżu wbita szyjką w piasek. - Trudno mi w to uwierzyć. Kiedy byłyśmy małe, zawsze mówiłaś, że będziesz archeologiem, takim damskim odpowiednikiem Indiany Jonesa. O ile pamiętam, miałaś zamiar zgłębić wszystkie tajemnice świata.

- Zamiast tego postanowiłam zgłębić tajemnice ludzkiego ciała. - Lekko wstawiona Kirby położyła na krakersa jeszcze jedną warstwę wspaniałego kaczego pasztetu Briana. - I muszę się przyznać, że bardzo mi się to podoba.

- Wszyscy wiemy o twoich sukcesach, pani fotograf, przyznaj się jednak, czy jest w twoim życiu ktoś nadzwyczajny? - zapytała Kirby, pragnąc skierować rozmowę na Jo.

- Nie. A w twoim?

- Robię wszystko, by złamać opór twego brata, ale on najwyraźniej nie ma ochoty ze mną współpracować.

- Mówisz o Brianie? - Jo zakrztusiła się winem i z trudem złapała powietrze. -

Próbujesz poderwać Briana? - powtórzyła.

- Co chcesz? Jest samotny, atrakcyjny i niezwykle inteligentny. - Kirby oblizała kciuk. - Robi wspaniały pasztet. Dlaczego nie miałby to być Brian?

- Sama nie wiem. No cóż... - Jo machnęła ręką. - Brian to Brian.

- On przez cały czas udaje, że ją ignoruje. - Lexy wyprostowała się i sama sięgnęła po pasztet. - Ale wcale tak nie jest.

- Naprawdę? —Kirby przyjrzała się jej uważnie i zmrużyła oczy. - Skąd wiesz?

- Każdy aktor, pragnąc grać różne role, musi bacznie obserwować innych ludzi.

- Lexy machnęła ręką. - Za każdym razem na twój widok, Kirby, Brian zaczyna się denerwować, i to go okropnie złości. Irytuje go to, że cię dostrzega.

- Naprawdę? - Chociaż Kirby czuła, że trochę kręci jej się w głowie, skończyła wino, które miała w kubku i naląła sobie następną porcję. - Czy czasami coś o mnie mówi? Czy... Zaczekaj. - Uniosła do góry rękę i wzniosła oczy do nieba. - Zachowuję się zupełnie jak jakaś głupia licealistka. Zapomnij, o co pytałam.

- Jeśli Brian nic nie mówi na jakiś temat, to znaczy, że dużo o tym myśli -

wyjaśniła Lexy. - Prawie nigdy nie wymawia twojego imienia.

- Naprawdę? - zapytała ponownie Kirby i wyraźnie się ożywiła. - A więc tak to wszystko wygląda? Proszę, proszę. Więc może dam mu jeszcze jedną szansę.

Kiedy ostre światło niespodziewanie błysnęło jej prosto w oczy, zamrugła serdecznie zaskoczona.

- Co ty robisz? - zapytała, gdy zorientowała się, że Jo opuszcza aparat fotograficzny.

- Wyglądałaś na bardzo zadowoloną z siebie. Ginny, przysuń się trochę bliżej Lex. Chciałabym zrobić was wszystkie trzy.

- O to jej chodzi - mruknęła Lexy pod nosem, ale odgarnęła do tyłu włosy i przybrała odpowiednią pozę.

Jo bardzo rzadko wykonywała zdjęcia portretowe, tym razem jednak postanowiła zrobić wyjątek dla



swoich przyjaciółek. Oczekała chwilę, pozwoliła im się przygotować - wziąć do ręki kubek lub przygłodzić włosy - potem spojrzała na nie przez obiektyw, odpowiednio wykadrowała ujęcie i błysnęła lampą.

Zdała sobie sprawę, że wszystkie trzy są piękne, chociaż każda na swój własny, niepowtarzalny sposób. Ginny przykuwająca wzrok jasnymi, kręconymi włosami i promiennym uśmiechem, Lexy mimo naburmuszonej miny doskonale zdająca sobie sprawę z własnej urody i beztrąsko pewna siebie, posiadająca klasę Kirby.

Teraz są już moje, pomyślała Jo. Czuła, że z każdą z nich coś ją łączy. Niestety, na zbyt długo o tym zapomniała.

Nagle wszystko, co miała przed oczami, rozmazało się i dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że to łązy przysłoniły jej widok.

- Tęskniłam za wami wszystkimi. Nawet nie zdajecie sobie sprawy, jak bardzo za wami tęskniłam. - Energicznie odłożyła na bok aparat i poderwała się na równe nogi. - Muszę się załatwić.

- Pójdę z nią - powiedziała cicho Kirby, złapała latarkę i ruszyła za Jo, która prawie biegła przez polanę. - Hej, Jo, zaczekaj! - Musiała znacznie przyspieszyć kroku, żeby ją dogonić. Złapała Jo za ramię - Powiesz mi, co się stało?

- Nic, mam pełny pęcherz. Jako lekarka powinnaś bez trudu rozpoznać ten objaw.

Kiedy Jo zaczęła się odwracać, Kirby wzmocniła uchwyt.

- Kochanie, pytam cię jako przyjaciółka i jako lekarz. Babcia powiedziałaaby, że marnie wyglądasz. Na podstawie krótkiej obserwacji mogę stwierdzić, że jesteś wyczerpana i zestresowana. Powiesz mi, co się dzieje?

- Sama nie wiem. - Przetarła dłonią oczy, ponieważ poczuła, że ponownie zachodzą jej łzami. - Nie jestem w stanie o tym rozmawiać. Potrzebuję trochę czasu.

- W porządku. - Zaufanie zawsze należy zdobywać stopniowo, pomyślała Kirby.

- Wpadniesz do mnie w którymś momencie i pozwolisz się zbadać?

- Nie wiem. Może. Zastanowię się. - Jo uspokoiła się nieco i nawet zdobyła na uśmiech. - Jest coś, co na pewno mogę ci powiedzieć.

- Co takiego?

- Muszę się wysikać.

- Dlaczego od razu tego nie powiedziałaś? - Ze śmiechem Kirby oświetliła ścieżkę. - Jeśli jak wariatka będziesz wybiegała z kempingu bez światła, możesz skończyć jako przekąska aligatora. - Zawsze bardzo ostrożna Kirby sprawdziła gęstą roślinność wokół pobliskiego stawku.

- Czasami wydaje mi się, że jestem w stanie chodzić po tej wyspie z zawiązanymi oczami. Znałam ją jak własną kieszeń, a tego się nie zapomina.

Tęskniłam za nią bardziej niż przypuszczałam, Kirby, mimo to wciąż czuję się tu, jakbym była kimś obcym. Bardzo trudno chodzić po tak cienkiej linie.

- Jesteś w domu zaledwie od dwóch tygodni. Sama mówisz, że potrzebujesz czasu, więc na razie się nie spiesz.

- Próbuję. Ja pierwsza - powiedziała Jo i bez czekania na odpowiedź wskoczyła do małej ubikacji.

Kirby roześmiała się, lecz po chwili zaczęła drżeć. W momencie, kiedy Jo zamknęła za sobą drzwi, Kirby poczuła się samotna i bezbronna. Miała wrażenie, że odgłosy dochodzące z bagien zbliżają się do niej i stopniowo otaczają ją ze wszystkich stron. Wokół coraz więcej było szelestów, nawoływań i plusków. Dryfujące po niebie chmury podstępnie zasłoniły księżyc, więc mimo woli chwyciła latarkę w obie ręce.

Dziwne, pomyślała. Najprawdopodobniej jest to opóźniona reakcja na popołudniową przygodę w lesie. Przecież w tej chwili trudno mówić o samotności.

Wszędzie dookoła jest mnóstwo biwakowiczów. Gdzie spojrzeć, widać połyskiwanie zapalonych przez nich lampionów i płonących ognisk. Na dodatek za cienkimi, drewnianymi drzwiami znajduje się Jo.

Próbowała zapewnić samą siebie, że nie ma się czego bać. Przecież na pewno nikt na tej wyspie nie ma zamiaru jej skrzywdzić.

Kiedy Jo wyszła z ubikacji, Kirby odetchnęła z ulgą.

- Twoja kolej - powiedziała Jo, zapinając dzinsy. - Weź ze sobą latarkę.

Niewiele brakowało, a byłabym wpadła. Jest tam czarno jak w grobie i niemal tak samo niemiło.

- Mogłyśmy podejść jeszcze kawałek dalej i dotrzeć do głównej toalety.

- Wówczas na pewno nie byłaby mi już potrzebna.

- W takim razie dobrze jest jak jest. Zaczekasz na mnie?

Jo burknęła coś, co miało być zgodą, i oparła się plecami o drzwi. Jednak niemal natychmiast wyprostowała się słysząc odgłos zbliżających się do niej z prawej strony kroków. Przerazona napięła wszystkie mięśnie, lecz po chwili wmówiła sobie, że nie reagowałaby w taki sposób, gdyby wcześniej nie mieszkała w wielkim mieście.

Starła się więc spokojnie obserwować zbliżające się światło.

- Dobry wieczór. - Witający się z nią mężczyzna miał niski i przyjemny głos.

Zmusiła się, by rozluźnić mięśnie.

- Dobry wieczór. Zaraz pana wypuścimy.

- Nie ma sprawy. Po prostu przed snem wybrałem się na krótki spacer przy świetle księżyca. Jestem na polu numer dziesięć. - Zbliżył się o kilka kroków, mimo to przez cały czas pozostawał w cieniu. - Piękna noc. Piękne miejsce. Nie spodziewałem się, że do tego wszystkiego spotkam piękną kobietę.

- Na tej wyspie nigdy nie wiadomo, co się jeszcze zobaczy. - Jo przymrużyła oczy, kiedy oślepił ją blask latarki. - Na tym między innymi polega jej urok.

- Chyba ma pani rację. Muszę przyznać, że bardzo mnie to cieszy. Na każdym kroku można się spodziewać nowej przygody, nie sądzi pani? W takiej sytuacji człowiek bez przerwy oczekuje, co jeszcze może się zdarzyć. Uwielbiam oczekiwanie.

Nagle zorientowała się, że ten głos wcale nie jest miły. Słysząc w nim coś nienaturalnego - jest za słodki, za niski, poza tym rozmawiający z nią mężczyzna przesadnie przeciąga samogłoski, tak jak zazwyczaj robią to Jankesi, gdy złośliwie starają się naśladować mieszkańców Południa.

- Jestem pewna, że nie będzie pan zawiedziony tym, co Desire ma do zaoferowania.

- Patrząc z miejsca, w którym właśnie stoję, oferta jest doskonała.

Gdyby miała w ręce latarkę, postąpiłaby wbrew dobrym obyczajom i zaświeciła mu prosto w oczy. To, że głos dochodził z ciemności, potęgowało wrażenie niesamowitości i czającej się w słowach mężczyzny groźby. Kiedy za jej plecami skrzypnęły drzwi, odwróciła się gwałtownie, złapała Kirby za rękę i jednym szarpnięciem wyciągnęła ją z ubikacji.

- Mamy towarzystwo - powiedziała Jo i z niezadowoleniem stwierdziła, że jej głos brzmi piskliwie. - Wygląda na to, że to miejsce cieszy się dzisiaj ogromną popularnością. Obecnie ciężkie chwile przeżywa dziesiątka.

Chwyciła latarkę i oświetliła miejsce, z którego jeszcze przed chwilą dochodził

głos. Nikogo tam jednak nie było. Jo jęknęła przerażona, po czym sprawdziła pobliskie zarośla i drzewa.

- On tu był. Naprawdę ktoś tu był. Nie wymyśliłam go sobie. Słowo daję.

- W porządku. - Kirby łagodnie położyła dłoń na drżącym ramieniu Jo. - Już wszystko w porządku. Kto to?

- Nie wiem. Ale był naprawdę. Rozmawiał ze mną. Nie słyszałaś? - Nie.

- Mówił bardzo cicho, prawie szeptał. To pewnie dlatego. Najprawdopodobniej nie chciał, żebyś go

usłyszała, ale naprawdę tu był. - Zaciśnęła kurczowo palce na dłoni Kirby, starając się nie zwracać uwagi na to, że żołądek podchodzi jej do gardła. -

Słowo daję!

- Wierzę ci, kochanie. Dlaczego miałabym ci nie wierzyć?

- Ponieważ on zniknął, a... - Urwała i przez moment próbowała się opanować. -

Sama nie wiem. Jezu Chryste, moje życie jest takie zagmatwane. Było okropnie ciemno, a on mnie przestraszył. Nie widziałam jego twarzy. - Po chwili ciężko westchnęła i obydwoma rękami odgarnęła do tyłu włosy. - Po prostu podszedł mnie.

- To wcale nie takie trudne. Dzisiaj, kiedy szłam do Sanktuarium, najadłam się w lesie strachu. Zmykałam stamtąd jak królik.

Jo roześmiała się cicho, a potem wytarła spocone dłonie o nogawki dzinsów.

- Naprawdę?

- Bredząc od rzeczy wskoczyłam prosto w ramiona Briana. Widząc moje przerażenie, poczuł się prawdziwym mężczyzną i pocałował mnie, tak więc przynajmniej cała przygoda nie poszła na marne.

Jo zadowolona, że nogi przestały się pod nią uginać, pociągnęła kilkakrotnie nosem.

- No i jak było?

- Fantastycznie. Tak, chyba jednak dam mu jeszcze jedną szansę. - Ścisnęła dłoń Jo. - Już wszystko w porządku?

- Tak. Najmocniej przepraszam.

- Daj spokój, przecież nic sienie stało. Tutaj bardzo łatwo się przestraszyć. -

Nagle uśmiechnęła się łobuzersko. - Podkradnijmy się i spróbujmy napędzić trochę strachu Lex i Ginny.

Kiedy, trzymając się za ręce, ruszyły w drogę powrotną, obserwował je z ukrycia. Uśmiechnął się do siebie, słysząc miłą dla ucha muzykę oddalających się kobiecych głosów. Co za szczęście, że Jo Ellen przysłała tu w towarzystwie, pomyślał.

Gdyby tak potulnie sama wpakowała mu się w rękę, trudno byłoby mu się powstrzymać od wcześniejszego przejścia do następnego etapu.

Tymczasem nie był jeszcze do tego gotowy. Wiedział, że zostało mu mnóstwo do zrobienia, nim ostatecznie zdecyduje się na realizację swoich planów. Tyle szczegółów trzeba przygotować, z tylu rzeczy się cieszyć.

Och, ale on tak bardzo jej pragnie. Od tak dawna marzy o tym, by zakosztować tych seksownych, pełnych ust, rozchylić długie uda, zacisnąć dłonie na pięknej, białej szyi.

Zamknął oczy i przypomniał sobie pełne spokoju i harmonii zdjęcie. Zdjęcie pięknej, martwej Annabelle. Teraz jej żywy obraz stał się jego własnością, ponieważ Jo należy do niego.

Przypomniał sobie fragment pamiętnika, który zabrał ze sobą na wyspę.

*Morderstwo fascynuje wszystkich ludzi, bez wyjątku. Niektórzy temu zaprzeczają, ale są to kłamcy. Człowiek zawsze był i zawsze będzie niewolnikiem własnej Śmiertelności. Zwierzęta zabijają, by przetrwać - muszą to robić, by mieć co jeść by zdobyć większe terytorium lub samicę. Przyroda zabija, by przeżyć.*

*Ale człowiek zabija również dla przyjemności. Zawsze tak było. Tylko my jedni doskonale wiemy, że odbieranie komuś życia jest istotą władzy i siły.*

*Wkrótce sam się o tym przekonam. I w dodatku utrwale ten moment na kliszy. Będzie on moją przepustką do nieśmiertelności.*

Zadrżał, czując ogromną przyjemność.

Oczekiwanie, pomyślał, włączając latarkę, aby wrócić drogą, którą przyszedł.

Tak, naprawdę uwielbiał oczekiwanie.

## **ROZDZIAŁ 9**

Nathana wyrwało ze snu wesołe gwizdanie. Pamiętał, że śnił mu się radośnie ćwierkający ptak, który siedział na gałęzi klonu. Kiedyś, wiele lat temu, gdy był jeszcze chłopcem, przez całe lato za jego oknem gnieździł się przedrzeźniacz. Każdego ranka niezmiennie wyśpiewywał wesołe piosenki, aż w końcu zasłużył sobie na imię Kumpel.

To były dawne, cudowne czasy, kiedy nie istniało nic ważniejszego niż jeżdżenie na rowerze, granie w piłkę i pochłanianie ogromnych ilości lodów.

Zdecydowana, melodyjna pobudka sprawiała wówczas, że Nathan witał każdy rano z uśmiechem i niezmiennie zaczynał go od pozdrowienia Kumpla. Gdy pod koniec sierpnia przedrzeźniacz nagle przepadł gdzieś bez śladu, chłopiec był

zdruzgotany, ale matka powiedziała mu, że najprawdopodobniej ptaszek odleciał

wcześniej na zimowe wakacje.

Nathan obrócił się na drugi bok i zaczął się zastanawiać, skąd Kumpel może znać melodię „Ring of Fire”. W półśnie przedrzeźniacz wskoczył nagle na parapet i zamienił się w ptaka rodem z komiksu. Teraz był bohaterem z filmu Disneya. Miał

Isniące, czarne piórka i zmęczoną twarz Johnny'ego Casha.

Kiedy ów ptaszek zaczął wykonywać szybkie, taneczne ruchy, obracać się, stepować i energicznie wyrzucać nogi do góry, Nathan nagle się obudził. Spojrzał w okno, jakby naprawdę spodziewał się zobaczyć tam doskonale animowaną, komiksową postać.

- Jezu Chryste. - Przetarł dłońmi twarz. - Nigdy więcej nie próbuj jeść o północy chili z puszki, Delaney.

Odwrócił się i ukrył twarz w poduszce. W tym momencie zdał sobie sprawę, że chociaż na parapecie nie stepuje żaden ptak, to jednak nadal słyszeć gwizdanie.

Burcząc pod nosem, wyszedł z łóżka i włożył obcięte powyżej kolan dzinsy, które zdjął z siebie poprzedniego wieczoru. Wciąż jeszcze nie całkiem przytomny zamrugał oczami, spojrzął na zegarek, skrzywił się, a potem, połykając się co kilka kroków, wyszedł z pokoju, żeby sprawdzić, kogo, do diabła, stać na tyle radości piętnaście po szóstej rano.

Kierując się w stronę, z której dobiegało gwizdanie - tym razem było to „San Antonio Rose” - wyszedł na ganek, a potem ruszył schodami w dół. Na krótkim podjeździe, tuż obok jego jeepa, stał zaparkowany Isniący, czerwony pick - up. Jego właściciel znajdował się pod domem. Stał na składanej drabince i majstrował coś przy jakiejś rurze, równocześnie gwizdząc ile sił w płucach. Na widok wyraźnie widocznych mięśniów przęających się pod cienkim, niebieskim podkoszulkiem Nathan odrzucił

myśl o popełnieniu morderstwa.

Zaczął się zastanawiać, czy zdołałby pokonać Rannego Ptaszka. Wyglądało na to, że są mniej więcej tej samej wagi. Nathan co prawda nie widział twarzy, ale charakterystyczna czapeczka, dopasowane dzinsy i niechlujne buty powiedziały mu, że jego ewentualny przeciwnik jest nieco młodszy.

W związku z tym podjął decyzję, że nad morderstwem zastanowi się po kawie.

- Co ty tu, do jasnej cholery, robisz?

Ranny Ptaszek odwrócił głowę i pod daszkiem czapeczki pojawił się promienny uśmiech.

- Dzień dobry. Ma pan tu kilka dziur. Muszę to naprawić, zanim nadejdą upały i potrzebna będzie klimatyzacja.

- Jesteś mechanikiem specjalizującym się w naprawianiu klimatyzacji?

- Co tam klimatyzacja. Do diabła, jestem w stanie naprawić wszystko. - Zszedł z drabiny, wytarł dłoń o siedzenie dzinsów, po czym wyciągnął ją do Nathana. -

Nazywam się Giff Verdon. Potrafię zrobić wszystko.

Nathan przyjrzał się uważnie życzliwym, brązowym oczom, nierównym siekaczom, sympatycznym

dołeczkom w policzkach, ogromnej masie wyblakłych od słońca włosów sterczących wesoło spod czapki i po chwili poddał się.

- Dałbyś radę zrobić kawę? Porządną kawę?

- Jeśli ma pan wszystko, co potrzeba, to nie widzę problemu.

- Jest tu coś przypominającego stożek z... - Nathan zilustrował z grubsza swoją wypowiedź odpowiednimi ruchami rąk. - Dzbankiem.

- Urządzenie do filtrowania. Taka kawa jest najlepsza. Zdaje się, że bardzo jej pan potrzebuje, panie Delaney.

- Mam na imię Nathan. Dam ci sto dolarów za dzbanek prawdziwej, porządnej kawy.

Giff roześmiał się serdecznie i poklepał Nathana po plecach.

- Skoro aż tak bardzo jej potrzebujesz, dostaniesz ją za darmo. Lepiej zabierzmy się do roboty.

- Czy zawsze zaczynasz pracę o świcie? - zapytał Nathan, wlokąc się po schodach za Giffem.

- Jeśli człowiek wcześnie wstaje, dłużej może cieszyć się dniem. - Ruszył w stronę pieca i nad zlewem napełnił sagan. - Masz filtry?

- Nie.

- No cóż, w takim razie musimy coś zaimprovizować. - Giff urwał kilka papierowych ręczników, zwinął je sprytnie i wsunął do plastikowego stożka. - Jesteś architektem, prawda?

- Tak.

Nathan przesunął językiem po zębach i stwierdził, że powinien je umyć. Zrobię to później, po kawie, postanowił. Można podbić cały świat, przepłynąć wszystkie oceany, uwieść najpiękniejsze kobiety, ale dopiero po kawie. Życie ma urok i sens, ale tylko po kawie.

- Swego czasu też chciałem nim być.

- Kim? - zapytał Nathan, obserwując, jak Giff szuka kawy w szafce nad piecem.

- Architektem. Zawsze w myślach wznosiłem domy i dobierałem do nich odpowiednie okna, dachy, decydowałem, jaki odcień powinna mieć cegła i jak należy wykończyć ściany. - Giff nabrał kawę z puszek i z niedbałą precyzją wprawnym ruchem wsypał odpowiednią ilość do lejka. - Moja bujna wyobraźnia po zwałała mi nawet wejść do środka i przejść przez cały budynek. Czasem przedstawiałem poszczególne elementy. Jeśli na przykład uznałem, że schody nie pasują w tym miejscu, a lepiej im będzie w tamtym.

- Doskonale cię rozumiem.

- No cóż, nigdy nie mogłem sobie pozwolić na naukę, nie miałem czasu na studia, więc zamiast tego buduję.

Nate przygotował dwa kubki.

- Jesteś budowniczym?

- Prawdę mówiąc, nie wiem, czy tak właśnie określiłbym własne poczynania. Po prostu stawiam dobudówki i zajmuję się wszystkim, co wymaga jakiegokolwiek naprawy. - Poklepał wiszący na biodrze pas z narzędziami. Nosił go na bakier, z dumą godną rewolwerowca. - Macham młotkiem. Nigdy nie brakuje tu roboty, więc bez przerwy jestem zajęty. Może pewnego dnia naprawdę wymyślę dom i wybuduję go od podstaw.

Nathan oparł się o ladę i ciężko przełykał ślinę, widząc, jak Giff nalewa do pojemnika wrzącą wodę.

- Robiłeś coś w Sanktuarium?

- Jasne, to i owo. Razem z kilkoma innymi ludźmi pracowałem przy przeróbce kuchni dla Briana. Teraz panna Pendleton chce, żebym zbudował łaźnię. Ma to być coś w rodzaju solarium. Chce wstawić tam jacuzzi i wydzielić niewielką powierzchnię na salę ćwiczeń. Ludzie chętnie robią takie rzeczy, gdy są na wakacjach. Na razie przygotowuję dla niej projekt.

- Najlepiej byłoby tę łaźnię postawić od południowej strony - powiedział

Nathan sam do siebie. - To zapewniłoby odpowiednie światło, a na pewno całość bez trudu dałoby się wkomponować w ogród.

- Tak właśnie to sobie wyobrażałem. - Giff uśmiechnął się od ucha do ucha. -

Chyba jestem na dobrej drodze, skoro ty wpadłeś na ten sam pomysł.

- Chciałbym zobaczyć twoje rysunki, jak będziesz je miał gotowe.

- Naprawdę? - Zaskoczenie natychmiast ustąpiło miejsca ogromnemu zadowoleniu. - Wspaniale. Przyniosę je, gdy będą kompletne. To znacznie lepsza zapłata za kawę niż sto dolców. Niestety, przesączenie przez filtr zajmuje trochę czasu

- dodał widząc, że Nathan z utęsknieniem spogląda na powoli napełniający się dzbanek. - Jedyne, co możemy zrobić, to poczekać, ale naprawdę warto.

Kiedy Nathan sączył drugi kubek kawy stojąc pod prysznicem i z przyjemnością podstawiając kark pod strumień gorącej wody, musiał przyznać, że Giff miał rację. Na niektóre rzeczy warto trochę poczekać. Ponownie zaczynał logicznie myśleć, a cały organizm niemal śpiewał z radości, czując krążącą w żyłach kofeinę. Gdy się ubrał i skończył trzeci kubek, był gotowy, by wybrać się do Sanktuarium na obfite śniadanie.

Kiedy Nathan ponownie schodził po schodach, nie było już ani pikapa, ani Giffa. Pewnie pojechał



dalej coś naprawiać, domyślił się Nathan. Wiedział, że Giff byłby serdecznie rozbawiony, gdyby usłyszał prośbę o napisanie instrukcji, w jaki sposób, krok po kroku, należy parzyć kawę za pomocą lejka i filtru. Nathan jednak znacznie lepiej sobie radził, jeśli miał dokładny opis czynności, które powinien wykonać.

W tym momencie zorientował się, że gwizdże „I Walk the Line”. Takim oto sposobem wróciłem do Johnny'ego Casha, pomyślał, z niedowierzaniem potrząsając głową. Było to tym dziwniejsze, że nigdy nie przepadał za muzyką country.

Kiedy wszedł w głąb gęstego, zielonego lasu, celowo zwolnił kroku i ruszył

wzdłuż rzeki. Wybrał ścieżkę, nad którą kołysało się wygięte w łuk sklepienie z konarów i mchu. Ponieważ poczuł się tak, jakby znalazł się w kościele, przestał

gwizdać.

Nagle kątem oka zauważył mignięcie jakiejś kolorowej plamki, zatrzymał się więc, by poobserwować wspaniałego, żółtego motyla przemykającego obok. Po lewej stronie wysokie lance liści palm karłowatych, płatanina pnączy i powyginane pnie tworzyły wysoką ścianę, która jedynie od czasu do czasu pozwalała zobaczyć wśród gałęzi czerwone plamki kwitnącej winorośli i błękitne skrawki nieba.

Chociaż ścieżka nie prowadziła bezpośrednio do Sanktuarium i trzymając się jej wyraźnie zbaczal z drogi, nie przestał wędrować wzdłuż wody wiedząc, że lada chwila rzeka rozszerzy się i przeprowadzi go przez leśną gęstwinę.

W tym momencie dostrzegł kobietę kucającą za jakąś powaloną kłodą. Rękawy workowatego zakietu podwinęła powyżej łokci, włosy ściągnęła z tyłu gumką. Jednym kolaniem klęczała na podmokłym gruncie, a wysunięta do przodu druga stopa pozwalała jej zachować równowagę.

Za nic w świecie nie byłby w stanie powiedzieć, dlaczego uznał ten obrazek za niezwykle atrakcyjny. I dlaczego uważał, że ona jest tak... interesująca. Nie ruszył się z miejsca i bez słowa obserwował, jak Jo przygotowuje się do wykonania zdjęcia.

Wyglądało na to, że wie, o co jej chodzi. Chciała uchwycić grę światła odbijającego się w wodzie, wyraźne cienie drzew na jej ciemnej powierzchni i delikatne tchnienie rzednącej powoli mgiełki. Maleńki, niepowtarzalny cud. Jak tu pięknie, pomyślał Nathan. Rzeka znikająca za zakrętem obrosniętym wysoką wilgotną trawą i gęstymi drzewami wyglądała niezwykle uroczo, ale zauważyć to można było dopiero wówczas, gdy podeszło się trochę bliżej.

Nagle dostrzegł sarnę, która wyłoniła się z lewej strony, więc podszedł cicho i kucnął obok Jo. Kiedy położył dłoń na jej ramieniu, drgnęła, więc ścisnął ją uspokajająco.

- Szsz.... Popatrz w lewo - szepnął jej do ucha. - Na godzinę dziesiątą.

Chociaż serce waliło w piersi Jo jak oszalałe, odwróciła się powoli. Kiedy ujęła sarnę w kadr, nabrała głęboko w płuca powietrze, żeby się uspokoić i czekała. Zrobiła zdjęcie, gdy zwierzę uniosło

głowę, próbując pochwycić unoszący się w powietrzu zapach. Migawka stuknęła ponownie, gdy spojrzęło w stronę rzeki, tam gdzie za kłodą kucęła dwójka nieruchomych ludzi. Gdy mijające sekundy zaczęły zamieniać się w minuty, Jo poczuła, że zaczynają ją boleć ręce. Mimo to nie poruszyła się, nie chcąc stracić możliwości wykonania następnego zdjęcia. Jej cierpliwość została nagrodzona, gdy sarna z wdziękiem przeszła wśród traw, a spomiędzy drzew wychylił się jelonek.

Po chwili dotarł nad brzeg rzeki i przyłączył się do matki, by wspólnie z nią napić się wody.

Światło padało na ukos wiązkami promieni, które sączyły się romantycznie przez delikatną, przesuwającą się powoli mgiełkę, a języki saren zmarszczyły gładką, ciemną powierzchnię wody, sprawiając, że zaczęły się po niej rozchodzić spokojne, równomierne kręgi.

Jo doszła do wniosku, że spróbuje zrobić zdjęcie odrobinę niedoświetlone, by zaakcentować tę nieziemską aurę, ponieważ błędem byłoby w tej sytuacji dążenie do całkowitej wyrazistości. Odbitki powinny mieć w sobie dużo uroku, jeśli tylko uda jej się uzyskać to łagodne, bajkowe rozmazanie konturów.

Nie opuściła aparatu dopóki nie skończyła filmu, a nawet wówczas nadal nie wykonała najmniejszego ruchu, w milczeniu obserwując, jak zwierzęta wędrują wzdłuż rzeki i znikają za odległym zakrętem.

- Dziękuję. Mogłabym to przegapić.

- Nie sędzę.

Odwróciła głowę i zmusiła się, by nie odskoczyć się do tyłu. Nie zdawała sobie sprawy, że Nathan jest tak blisko, ani że jego ciepła dłoń wciąż spoczywa na jej ramieniu.

- Poruszasz się niezwykle cicho, Nathan. Nie słyszałam cię.

- Byłaś bardzo zaabsorbowana. Czy udało ci się zrobić to zdjęcie, do które go się przymierzałaś, zanim zobaczyłaś sarnę?

- To się dopiero okaże.

- Sam od czasu do czasu lubię porobić trochę zdjęć. Takie stare hobby.

- Naturalnie, przecież masz to we krwi.

Nie zastanawiając się, jak zabrzmia jego słowa, stanowczo potrząsnął głową.

- Nie, fotografia nie jest moją pasją. Zajmuję się nią amatorsko. Mam natomiast mnóstwo sprzętu.

Nigdy nie wiedziała, czy należy mówić o tragediach, które kogoś dotknęły, czy lepiej pominąć je milczeniem, dlatego nie odezwała się ani słowem.

- W każdym razie - ciągnął - obecnie mogę się poszczycić profesjonalnym sprzętem i mizernymi

umiejętności. - Uśmiechnął się do niej. - Nie potrafię ani jednej setnej tego, co ty.

- Skąd wiesz, ile umiem, skoro nie widziałeś moich zdjęć?

- Dobre pytanie. Wyrobiłem sobie opinię, obserwując cię przy pracy. Masz anielską cierpliwość i potrafisz zachować spokój, który jest niezwykle cenną cechą u fotografa.

- Może, ale chyba już zbyt długo byłam spokojna. - Miała zamiar wstać, ale nim zdołała to zrobić, przesunął dłoń z jej ramienia na łokieć i podniósł ją, równocześnie sam wstając. - Widzę, że jesteś na spacerze, więc nie chcę cię zatrzymywać.

- Jo Ellen, jeśli wciąż będziesz mnie tak bezwzględnie odrzucać, nabawię się kompleksów. - Zauważył, że dziewczyna wygląda dzisiaj na bardziej wypoczętą. Wciąż jest blada, ale może to wynik zdenerwowania. Uśmiechnął się i wziął do ręki aparat, który wisiał na jej szyi. - Mam taki sam model.

- Naprawdę? - Przypominając sobie, że Nathan musiał mieć sporo do czynienia ze sprzętem fotograficznym, powstrzymała się przed odebraniem mu aparatu. -

Prawdę mówiąc, dziwne byłoby, gdybyś nie interesował się fotografią. Czy twój ojciec bardzo rozpaczał, że nie idziesz w jego ślady?

- Nie. - Nathan nie przestawał oglądać Nikona, przypominając sobie, jak ojciec cierpliwie wyjaśniał mu wszystkie szczegóły związane z przysłoną i kadrowaniem. -

Moi rodzice zostawili mi wolną rękę. Tak czy inaczej Kyle kontynuował tradycję i zawodowo zajmował się fotografią.

- Nie wiedziałam o tym. - Kyle również nie żyje, przypomniała sobie nagle i bez zastanowienia dotknęła dłoni Nathana. - Posłuchaj, jeśli to wszystko wciąż jeszcze cię boli, wcale nie musimy na ten temat rozmawiać.

- Ale też nie da się tego całkiem pominąć. - Nathan wzruszył ramionami. - Kyle pracował przede wszystkim w Europie - najczęściej w Mediolanie, Paryżu i Londynie.

Związał się ze światem mody.

- To sztuka sama dla siebie.

- Wiem. On fotografował modelki, a ty robisz zdjęcia rzeki.

- Między innymi.

- Chciałbym je zobaczyć.

- Dlaczego?

- Doszedłem do wniosku, że interesuje mnie wszystko, co wiąże się z fotografią

- Oddał jej aparat. - Mam teraz zamiar poświęcić temu nieco czasu. Poza tym naprawdę chciałbym zobaczyć twoje zdjęcia. Jak sama powiedziałaś, w ja kiś sposób...

zawdzięczasz je mojemu ojcu To było dobre posunięcie. Wydawało mu się, że wyraźnie czuje, jak Jo zmienia swe niechętnie nastawienie do tego pomysłu i zaczyna brać pod uwagę wyrażenie zgody.

- Niektóre przywiozłam tu ze sobą. Może kiedyś rzeczywiście mógłbyś je obejrzeć.

- Cudownie. A może teraz? Właśnie jestem w drodze do Sanktuarium.

- W porządku, ale nie mam zbyt dużo czasu. Czeka na mnie mnóstwo roboty. -

Schyliła się, by podnieść torbę na aparat, ale ją uprzedził.

- Wezmę ją.

Jo, idąc za nim, niemal automatycznie wyjęła z kieszeni żakietu papierosy.

- Mam nadzieję, że to nie jest następna próba poderwania mnie.

- Byłaby, gdybym o tym pomyślał. Nawiasem mówiąc, wciąż mam ten stek, który ci obiecałem.

- Pozwól popracować lodówce. - Westchnęła i przyjrzała mu się uważnie spod przymrużonych lekko powiek. - Czemu rzuciła cię żona?

- Dlaczego sądzisz, że mnie rzuciła?

- W porządku - czemu ją rzuciłeś?

- Można powiedzieć, że rzuciliśmy się nawzajem. - Odsunął zwisający nisko mech. - Małżeństwo rozpadło się z powodu braku wzajemnego zainteresowania obu stron. Czyżbyś próbowała się dowiedzieć, jakim byłem mężem, zanim pozwolisz mi upiec dla siebie na ruszcie kawałek mięsa?

- Nie. - W jego głosie wyraźnie słychać było rozdrażnienie, dlatego delikatnie się uśmiechnęła. - Ale zrobiłabym to, gdybym o tym pomyślała. Może jednak porzucimy ten temat, a ja po prostu zapytam, jak upłynął ci pierwszy tydzień spędzony na Desire.

Zatrzymał się, odwrócił i spojrzał na nią.

- Czy to nie w tym miejscu wpadłaś do rzeki tamtego lata? Uniosła brwi.

- Nie, prawdę mówiąc, wepchnąłeś mnie do wody spory kawał stąd. A jeśli masz zamiar powtórzyć tamten wyczyn, proponuję ci się wcześniej dobrze zastanowić.

- Widzisz, przyjechałem tu między innymi dlatego, by spróbować odtworzyć tamte dni i noce. -

Zrobił krok do przodu, w związku z tym ona cofnęła się o krok. -

Jesteś pewna, że to nie tutaj znalazłaś się w wodzie?

- Tak, jestem pewna. - Zmusił ją do cofnięcia się o następny krok. W pewnej chwili uderzyła dłonią o jego klatkę piersiową, ale Nathan nadal popychał ją w stronę brzegu. - Jestem też absolutnie pewna, że nie mam zamiaru znaleźć się w niej ponownie.

- Nigdy nie należy być niczego zbyt pewnym. - Kiedy jej stopa poślizgnęła się na wilgotnej trawie, złapał ją za rękę i przyciągnął do siebie. - Ups. - Uśmiechając się od ucha do ucha, objął ją w pasie. - Trzeba przyznać, że wcale nie jesteś za gruba.

Na wszelki wypadek złapała się kurczowo jego dłoni.

- Moim zdaniem jestem w sam raz.

- Sądzę, że na razie będę musiał uwierzyć ci na słowo... czekając na chwilę, kiedy będę mógł sprawdzić rzecz osobiście. Oczekiwanie to połowa przyjemności.

- Co powiedziałeś? - Poczowała, że krew odpływa jej z twarzy. *Uwielbiam oczekiwanie.* - Powtórz to.

- Że na razie muszę uwierzyć ci na słowo. Hej! - Przesunął swój ciężar z nogi na nogę i przyciągnął ją bliżej, nie zważając na to, że usiłuje się bronić. - Uważaj, bo za chwilę oboje zażyjemy porannej kąpieli.

Udało mu się odciągnąć ją od brzegu. Drżała jak liść, była blada jak ściana, a serce waliło jej w piersiach tak mocno, jakby lada chwila miało stamtąd wyskoczyć.

- Uspokój się - powiedział półgłosem i przytulił ją do siebie. - Nie miałem zamiaru cię przestraszyć.

- Wiem. - Przerażenie odeszło równie gwałtownie, jak się pojawiło, i teraz miała wrażenie, że zrobiła z siebie idiotkę. Ponieważ jednak serce nadal biło jej niespokojnie, przez chwilę nie próbowała wyrwać się z jego objęć - równocześnie zaczęła się zastanawiać, ile czasu minęło od momentu, kiedy ktokolwiek po raz ostatni trzymał ją w ramionach i pozwolił jej w nich odpocząć. - Nic mi się nie stało. Wiem, że zachowałam się strasznie głupio. Kilka dni temu spotkałam wieczorem na kempingu jakiegoś faceta. Powiedział mi coś podobnego. Bardzo mnie wtedy przestraszył.

- Przepraszam. Westchnęła ciężko.

- Przecież to nie twoja wina, naprawdę. Jestem ostatnio kłębkim nerwów.

- Nic ci nie zrobił?

- Nie, nie, nawet mnie nie dotknął. Jedyne przestraszył.

Oparła głowę na jego ramieniu i przymknęła na chwilę oczy. Wszystko byłoby takie proste, gdyby zdecydowała się zostać przy nim i pozwoliła trzymać się nadal w ramionach. Niestety, najprostsze

rozwiązania rzadko bywają słuszne. A jeszcze rzadziej mądre.

- Nie mam zamiaru iść z tobą do łóżka, Nathan.

Odczekał chwilę zadowolony, że się do niego przytuliła i że może czuć jej miękkie włosy na swoim policzku.

- No cóż, w takim razie równie dobrze mogę od razu utopić się w rzece. Właśnie pogrzebałaś największe marzenie mojego życia.

Jego słowa rozbawiły ją, dlatego cicho się roześmiała.

- Próbuję jedynie być z tobą szczerą.

- A może lepiej byłoby, gdybyś przez chwilę postarała się mnie okłamywać?

Tym sposobem miałabyś możliwość podbudowania mojego ego. - Pociągnął ją lekko za włosy, by uniosła głowę. - Proponuję zacząć od czegoś bardzo prostego, a dopiero potem stopniowo to komplikować.

Zauważyła, że przesunął wzrok w dół, przez moment wpatrywał się w jej usta, a po chwili z powrotem spojrzał jej w oczy. Miała wrażenie, że poczuła ten niezwykle delikatny pocałunek złożony wzrokiem na jej wargach. Tak łatwo byłoby zamknąć oczy i pozwolić, by naprawdę ją pocałował. Tak łatwo byłoby wychylić się trochę do przodu i wyjść mu naprzeciw.

Uniosła rękę i dotknęła palcami jego ust.

- Nie rób tego.

Westchnął, ujął ją za nadgarstek i dotknął wargami jej dłoni. - . Doskonale wiesz, Jo, jak zmusić mężczyznę, by ciężko zapracował na swoją przyjemność.

- Nie mam zamiaru być jedną z twoich przyjemności.

- Już jesteś. - Nie wypuszczając jej dłoni, ruszył w stronę Sanktuarium. - Nawet nie próbuj mnie pytać, dlaczego.

Ponieważ wszystko wskazywało na to, że nie spodziewa się z jej strony żadnego komentarza ani też prowadzenia błażej rozmowy, Jo szła za nim w milczeniu.

Doskonale zdawała sobie sprawę, że będzie musiała zastanowić się nad tą... sytuacją.

Nie była na tyle głupia, by sobie wmawiać, iż Nathan w ogóle jej nie pociąga. Że na jego widok nie odczuwa przyjemnego dreszczu, który każda kobieta bez trudu rozpoznaje jako pożądanie. Ta reakcja była na tyle naturalna, że nie mogła mieć co do tego najmniejszej wątpliwości.

Być może traciła zmysły, ale najwyraźniej jej ciało wciąż funkcjonowało całkiem normalnie.

Nie odczuwała w swym życiu zbyt często owego dreszczu, więc nie zdążyła się do niego przyzwyczaić. A skoro powodujący go mężczyzna najwyraźniej jest nią również bardzo zainteresowany... może warto byłoby się nad tym zastanowić?

Na razie miała do czynienia z czymś, nad czym bez trudu potrafiła zapanować, z czymś, co mogła zrozumieć, przeanalizować i wziąć pod uwagę różne rozwiązania.

Podejrzewała jednak, że istnieje pewien problem związany z obecnością tego typu dreszczy. Wcześniej czy później powodują swędzenie, a od zawsze wiadomo, że swędzenie tak długo dręczy człowieka, póki się nie podrapie.

- Będziemy musieli się trochę pospieszyć - powiedziała podążając w stronę bocznych drzwi.

- Wiem. Przed tobą ścielenie łóżek. Postaram się nie zatrzymywać cię zbyt długo. Potem mam zamiar tak długo kręcić się w pobliżu Briana, dopóki mnie nie nakarmi.

- Jeśli nie jesteś zbyt zajęty, może uda ci się go namówić, żeby później gdzieś się z tobą wybrał. Na plażę albo na ryby. Spędza za dużo czasu w pensjonacie.

- Ale on to kocha.

- Wiem. - Ruszyła przez długi hol, który zdobiło ogromne malowidło przedstawiające las i płynącą przezeń rzekę. - Ale to wcale nie znaczy, że musi służyć Sanktuarium dwadzieścia cztery godziny na dobę. - Przekręciła gałkę, a wówczas część malowidła odchyliła się.

- Dziwnie to określiłaś - skomentował Nathan, idąc za nią schodami, które dawniej prowadziły do części dla służby. Teraz było to prywatne wejście do skrzydła zamieszkanego przez rodzinę. - Służy Sanktuarium.

- Oczywiście. Zresztą chyba wszyscy tak postępujemy, ilekroć tu jesteśmy. Gdy dotarła na piętro, skręciła w lewo. Mijając pierwsze otwarte drzwi, zajrzała do środka.

Pokój należał do Lexy. Olbrzymie łoże z baldachimem było puste, lecz, oczywiście, nie pościelone. Wszędzie, gdzie okiem sięgnąć - na dywanie, na wypolerowanej do połysku podłodze, na filigranowych krzesłach z okresu królowej Anny - porozrzucane były różne części garderoby. W powietrzu unosił się zapach toników, perfum i pudrów.

- No cóż, może nie wszyscy - mruknęła pod nosem Jo i ruszyła dalej. Wyjęła z kieszeni klucz i otworzyła wąskie drzwi. Po wejściu do środka Nathan zmarszczył

brwi. Z zaskoczeniem stwierdził, że znajduje się w pełni wyposażonej i doskonale zorganizowanej ciemni.

Staroświecki i miejscami mocno przetarty dywan ochraniał ułożoną w przypadkowy wzór podłogę z drewna sosnowego, a grube rolety szczelnie zasłaniały okna. Na półkach z szarego metalu poustawiane były butle z chemikaliami i plastikowe kuwety. Dalej leżały pudełka i grube, czarne kartony, w których prawdopodobnie znajdował się papier, stykówki i odbitki. Nie zabrakło

oczywiście długiego, drewnianego stołu do pracy i wysokiego taboretu.

- Nie wiedziałem, że masz tu ciemnię.

- Swego czasu była to łazienka i garderoba. - Jo włączyła białe światło, a potem przejrzała odbitki, które wywołała poprzedniego wieczoru i powiesiła na sznurkach do wyschnięcia. - Tak długo molestowałam kuzynkę Kate, aż pozwoliła mi rozebrać ściany, wyrzucić stąd wannę oraz umywalkę i zamienić to pomieszczenie na ciemnię.

Przez trzy lata oszczędzałam, żeby kupić do niej odpowiednie wyposażenie.

Przesunęła dłonią po powiększalniku, przypominając sobie, ile razy wszystko przeliczała, starając się nie wydać ani centa za dużo.

- Powiększalnik dostałam od Kate na moje szesnaste urodziny. Brian ofiarował

mi półki i stół. Lex dała mi papier i wywoływacz. Sprawili mi tym ogromną niespodziankę i zapobiegli wydaniu wszystkich moich oszczędności. To były najwspanialsze urodziny, jakie kiedykolwiek miałam.

- Rodzina połączyła swe siły - powiedział Nathan, zauważył jednak, że nie wspomniała o ojcu.

- Tak, czasem im się to zdarza. - Pochyliła głowę, doskonale wiedząc, jakie pytanie dręczy go w tym momencie. - Od niego dostałam ten pokój. Chyba zdajesz sobie sprawę, że mojemu ojcu wcale nie było łatwo zgodzić się na wyburzenie ściany. -

Odwróciła się, by sięgnąć po pudełko znajdujące się nad maskownicą. - Obecnie pracuję nad zdjęciami do albumu. Te, które tu mam, są chyba najlepsze, chociaż wciąż jeszcze nie zakończyłam selekcji.

- Pracujesz nad albumem? Wspaniale.

- Zobaczymy, czy rzeczywiście. Na razie przysparza mi tylko sporo zmartwień. -

Cofnęła się o krok i wsunęła kciuki do tylnych kieszeni spodni, tymczasem Nathan podszedł do pudełka.

Gdy zobaczył pierwszą odbitkę, od razu wiedział, że ma do czynienia z prawdziwym mistrzem. Jego ojciec był dobry, czasami miewał również wspaniałe pomysły. Ale jeśli Jo uważała się za uczennicę Davida Delaneya, jasne było, że dawno temu prześcignęła mistrza.

Czarno - białe zdjęcie było niezwykle dramatyczne, widoczne na nim linie zachwyciły taką czystością i wyrazistością, jakby zostały wycięte skalpelem. Biały, pusty most wznosił się majestatycznie nad spienionymi, czarnymi falami nieokiełznanej rzeki, a zza odległego horyzontu wychylało się właśnie słońce.

Inna fotografia ukazywała samotne drzewo z całkowicie pozbawionymi liści gałęziami, które



rozpościerały się nad opustoszałym, świeżo zaoranym polem. Nathan bez trudu byłby w stanie policzyć bruzdy. Przeglądał powoli odbitkę za odbitką, nie odzywając się ani słowem, za każdym razem na nowo zaskoczony tym, co Jo była w stanie zauważyć, uchwycić i uwiecznić na kliszy.

Dotarł do nocnego zdjęcia, które przedstawiało wzniesiony z cegły budynek.

Wszystkie jego okna były ciemne, oprócz trzech zaskakująco jasnych, znajdujących się na najwyższym piętrze. Widać było, że cegły są jeszcze wilgotne po deszczu, a nad czarnymi kałużami unosi się delikatna mgiełka. Oglądając to zdjęcie, wręcz czuło się na własnej skórze chłodne i przesycone wilgocią powietrze.

- Są wspaniałe. Jestem święcie przekonany, że doskonale o tym wiesz.

Musiałabyś być niezwykle neurotyczną i skromną osobą, by nie zdawać sobie sprawy, że masz ogromny talent.

- Na pewno skłamałabym, gdybym powiedziała, że jestem skromna. -

Uśmiechnęła się łagodnie. - Natomiast być może rzeczywiście jestem neurotyczką. Sądzę jednak, że sztuka wymaga pewnej nadwrażliwości.

- Nie wiem, czy uznałbym cię za neurotyczkę. - Zaciekawiony opuścił ostatnie zdjęcie, by uważnie przyjrzeć się jej twarzy. - Ale na pewno jesteś bardzo samotna. -

Dlaczego?

- Nie wiem, o czy mówisz. Moje zdjęcia...

- Są fantastyczne - przerwał. - I wstrząsające. Na każdym z nich fotografowane przez ciebie miejsce wygląda tak, jakby wszyscy ludzie właśnie przed chwilą stamtąd odeszli i zostawili cię zupełnie samą.

Jo poczuła się trochę nieswojo, więc, by zyskać na czasie, wzięła od Nathana odbitkę i włożyła ją z powrotem do pudełka.

- Nie zajmuję się fotografią portretową. Nie wykonuję zdjęć ludzi.

- Jo. - Dotknął czubkami palców jej policzka, a widząc nagły błysk w jej oczach, zdał sobie sprawę, że nawet ten najzwyczajniejszy pod słońcem gest ją przestraszył. -

Całkowicie odcięłaś się od ludzi. Dzięki temu twoje prace są nadzwyczajne i wzruszające. Ale czy zastanawiałaś się kiedykolwiek, jak dalej będzie wyglądało twoje życie?

- Moje życie to moja praca. - Gwałtownym ruchem odstawiła pudełko na półkę.

- A teraz muszę cię przeprosić, jestem zajęta.

- Jeszcze tylko chwileczkę. - Odwrócił się i zaczął oglądać odbitki wiszące na sznurku. Kiedy wybuchnął śmiechem, Jo przygarbiła się, gotowa na niego warknąć. -

Jak na kogoś, kto nie zajmuje się fotografią portretową, całkiem nieźle udało ci się to uchwycić.

Patrząc na niego ponuro, podeszła i zobaczyła, że ogląda właśnie jedno ze zdjęć wykonanych podczas ogniska na kempingu.

- Ono właściwie nie ma nic wspólnego z moją pracą, jest...

- Wspaniale - dokończył. - Zabawne, wręcz intymne. Kobieta obejmująca twoją siostrę to pani doktor, prawda? A ta trzecia, z uśmiechem dookoła głowy?

- Ginny Pendleton - mruknęła pod nosem Jo, z całych sił starając się nie wybuchnąć śmiechem. Nathan doskonale określił niezwykle szeroki, obiecujący uśmiech Ginny. - Moja przyjaciółka.

- One wszystkie są przyjaciółkami. To doskonale widać - zdjęcie tchnie wzajemną miłością i głęboką, kobiecą więzią. Bez trudu można także zauważyć, że osoba robiąca zdjęcie również jest z nimi uczuciowo związana.

Jo zaszurała niespokojnie nogami, starając się ukryć skrępowanie.

- Byłyśmy nieco wstawione, albo niewiele nam brakowało do tego, o czym mówisz.

- Na pewno ci to nie zaszkodziło. Ta fotka chyba nie będzie pasowała do albumu, nad którym teraz pracujesz, ale nie zapomnij o niej, gdy zaczniesz przygotowywać następny. Przy twoim smutnym sposobie patrzenia na świat, nigdy nie zawadzi, jeśli zdołasz się trochę rozerwać.

- Wszystkie dlatego, że podobają ci się atrakcyjne, lekko zalane kobiety.

- Z pewnością nie mam nic przeciwko nim. — Ujął ją pod brodę i uniósł nieco wyżej jej głowę, nie zwracając uwagi na to, że Jo próbuje odsunąć się do tyłu. - Jestem niezmiernie ciekaw, jak wyglądałby twój autoportret, gdybyś zrobiła go, będąc w tak ponurym nastroju.

Jego serdeczne, przyjacielskie, cholernie atrakcyjne oczy patrzyły prosto na nią. Ponownie poczuła przyjemny dreszcz, tym razem jednak był znacznie intensywniejszy.

- Idź już, Nathan.

- W porządku. - Zanim którekolwiek z nich zdołało o tym pomyśleć, po chylił

głowę i delikatnie musnął wargami jej usta. Po chwili dotknął ich ponownie, tym razem odrobinę dłużej i mocniej. Zorientował się, że zrobił to ze znacznie większym uczuciem, niż miał zamiar, i że pocałunek był bardziej podniecający, niż przypuszczał.

Jo przez cały czas nawet nie mrugnęła powieką. - Drżysz - szepnął.

- Nieprawda.

Pogłaskał ją po brodzie i po chwili opuścił rękę.

- No cóż, na pewno jedno z nas drży. Śmiertelnie bała się, że Nathan zrobi to ponownie.

- Nie masz zamiaru się wycofać.

- Sądzę, że nie... przynajmniej nie w taki sposób, o jakim myślisz. - Tym razem przycisnął wargi do jej czoła. Nie zadrżała, poczuła jednak, że coś chwyta ją za serce. -

Nie, zdecydowanie nie w taki sposób, jaki masz na myśli.

Kiedy wyszedł, odwróciła się do okna, po czym szybko odczepiła roletę, by podnieść ją do góry. Dusiła się, rozpaczliwie potrzebowała powietrza, by nieco się uspokoić i zacząć trzeźwo myśleć. Otworzyła okno. Gdy wzięła kilka głębokich wdechów, na skraju wydm zobaczyła sylwetkę mężczyzny, któremu wiatr rozwiewał

włosy i wypychał koszulę.

Jej ojciec zawsze był samotny, zawsze trzymał wszystkich, którzy mieliby ochotę się do niego zbliżyć za cienką, niewidoczną, lecz niezwykle wysoką ścianą, którą wzniósł wokół siebie. Gwałtownym ruchem Jo zamknęła okno i opuściła roletę.

Cholera jasna, przecież nie jest ani swoim ojcem, ani matką. Jest po prostu sobą. Ale może właśnie dlatego ma czasami wrażenie, że jest nikim.

## **ROZDZIAŁ 10**

Giff znowu coś gwizdał. Nathan, nakładając sobie na talerz grzankę po francusku, próbował zidentyfikować melodię, jednak nie szło mu to zbyt dobrze.

Prawdopodobnie Giff zapuścił się zbyt daleko na terytorium muzyki country, gdzie ograniczona wiedza Nathana już nie sięgała.

Wyglądało na to, że Giff był człowiekiem, któremu praca sprawiała ogromną radość. Poza tym najwyraźniej rzeczywiście potrafi naprawić wszystko. Brian musi mu absolutnie ufać, pomyślał Nathan, ponieważ w innym razie na pewno nie pozwoliliby mu podczas śniadania rozmontować restauracyjnej zmywarki do naczyń.

Tak więc Brian smażył, opiekował i mieszał w garnkach, Giff gwizdał i majstrował

we wnętrzu zmywarki do naczyń, a Nathan zajadał drugą porcję złocistej grzanki opiekanej na tłuszczu i polanej sosem jabłkowym.

Nie pamiętał, kiedy po raz ostatni tak bardzo smakował mu jakikolwiek posiłek.

- Jak ci idzie, Giff? - Brian wstawił gotowe zamówienie do podgrzewacza.

- Powoli.

- Jeśli nie uda ci się uruchomić do końca śniadania tej przeklętej maszyny, Nathan będzie musiał pomyć wszystkie naczynia.

- Dlaczego? - Nathan ciężko przełknął następny kęs. - Za co? Przecież zabrudziłem tylko jeden talerz.

- Takie obowiązują tu reguły. Jeśli jesz w kuchni, robisz to, co jest właśnie do zrobienia. Zgadza się, Giff?

- Oczywiście. Chociaż pewnie nie będzie tak źle. Poradzę sobie z nią. - Kiedy w drzwiach pojawiła się Lexy, Giff popatrzył w jej stronę. - Tak - powiedział z uśmiechem. - Gdy przyjdzie na to czas, na pewno sobie z nią poradzę.

Z niechęcią spojrzała na niego, trzepocząc długimi rzęsami, i ze złością stwierdziła, że Giff bardzo fajnie wygląda w idiotycznej czapeczce baseballowej i niechlujnym podkoszulku.

- Dwie specjalności, jedna z szynką, druga z bekonem. Dwa lekko podsmażone jajka, kasza, biały chleb. Giff, nie wystawiaj tak bardzo tych swoich ogromnych stóp, bo można się o nie zabić - poskarżyła się, obchodząc go, by zabrać gotowe danie z podgrzewacza.

Kiedy wyszła, Giff uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Twoja siostra to najfajniejsza babka, jaką znam, Bri.

- Takie jest twoje zdanie. - Brian rozbił dwa jajka i wrzucił je na patelnię. -

Szaleje za mną.

- Jasne. Ilekroć cię widzi, opowiada takie bzdury, że aż się za nią rumienię ze wstydu.

Giff prychnął i kilkakrotnie uderzył rączką śrubokrętu w swoją dłoń.

- Taki właśnie ma sposób bycia. Chce, żeby mężczyzna bez przerwy wodził za nią wzrokiem, a jeśli tego nie robi, natychmiast się obraża. Przejdzie jej to. Cała sztuka polega na tym, żeby wiedzieć, jak podchodzić do poszczególnych kobiet.

- Do diabła, czy istnieje ktoś, kto wie, jak należy podchodzić do kobiet? - Brian wykonał łopatką gest w stronę Nathana. - Czy ty to wiesz, Nate?

Nathan obserwował, jak z następnego kawałka grzanki syrop powoli spływa na talerz.

- Nie - oświadczył. - Raczej nie. Mimo że bardzo długo próbowałem rozgryźć ten temat. Bez przesady mogę powiedzieć, że poświęciłem temu zadaniu spory kawał

życia, niestety - ze zmiennym szczęściem.

- Wcale nie chodzi o to, by odkryć sposób, w jaki należy postępować ze wszystkimi kobietami. - Giff z ogromną cierpliwością zaczął z powrotem wkręcać śruby. - Trzeba się skupić na tej jednej, wybranej. To tak jak z silnikiem.

Nawet jeśli masz do dyspozycji dwa modele tej samej marki, wcale nie znaczy, że oba działają identycznie. Mogą mieć różne kaprysy. Weźmy na przykład Alexę...

Przerwał, starannie wkręcił śrubę, po czym wybrał następną.

- Jej nieprzeciętna uroda właściwie jej przeszkadza, jest dla niej poważnym obciążeniem. Nieustannie o niej myśli, wręcz się nią zamartwia.

- Ma w łazience taką ilość mazideł, że bez trudu zdołałbyś wymalować nimi wszystkie chórzystki z Las Vegas - stwierdził Brian.

- Niektóre kobiety uważają, że muszą to robić. Wróćmy do Lex. Jest potwornie nieszczęśliwa, jeśli mężczyzna nie jest nią oczarowany przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Ale jeśli jest oczarowany przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, wówczas uważa go za idiotę, który dostrzega jedynie jej wygląd i wierzy pozorom.

Problem polega na tym, żeby znaleźć złoty środek, a potem wybrać odpowiedni czas i miejsce, aby go jej zaprezentować.

Brian przerzucił jajka na talerz. Zdawał sobie sprawę, że Giff robi wszystko, by zdobyć Lexy. Przekorną i irytującą Lexy.

- Moim zdaniem zbyt dużo z tym roboty.

- Do diabła, Bri, nim zdobędziesz kobietę, musisz się ciężko napracować, nie ma na to rady. - Giff uniósł daszek czapki i uśmiechnął się, ukazując dołeczki w policzkach. - Na tym właśnie polega ich urok. Teraz będzie już działać - do dał, kiwnięciem głowy pokazując zmywarę.

Ocecił czas i wyliczył, że lada chwila Lexy wejdzie z następnymi zamówieniami.

- Ginny, ja i kilka innych osób mamy zamiar zorganizować dziś wieczorem ognisko na plaży - powiedział od niechcena. - W pobliżu Wydm Rybołowa. Zniosłem tam mnóstwo drewna, a zapowiada się piękna, bezchmurna noc. - Kiedy Lexy pokazała się w drzwiach, Giff z prawdziwym zadowoleniem wyprężył pierś. - Przy szło mi na myśl, że gdybyś powiedział o tym waszym gościom, na pewno przekazaliby tę informację pozostałym mieszkańcom domków oraz biwakowiczom.

- O czym Brian miałby powiedzieć gościom? - zapytała Lexy.

- O ognisku.

- Dziś wieczorem? - Kiedy odstawiała naczynia, w jej oczach widać było błysk zainteresowania. -

Gdzie?

- W pobliżu Wydm Rybołowa. - Giff starannie włożył narzędzia do pogniecionej, metalowej skrzyni.

- Mam nadzieję, że przyjdiesz, Brian?

- Jeszcze nie wiem, Giff. Mam spore zaległości w papierkowej robocie.

- Och, daj spokój, Bri. - Lexy szturchnęła go, równocześnie sięgając po nowe dania. - Nie rób z siebie takiego sztywniaka. Wszyscy przyjdziemy. - Mając nadzieję, że uda jej się zdenerwować Giffa, uśmiechnęła się zachęcająco do Nathana. -

Przyjdiesz, prawda? Nie ma nic wspanialszego niż ognisko na plaży.

- Będę na pewno. - Spojrzał bojaźliwie w stronę Giffa, mając nadzieję, że młotek znajduje się już w skrzynce.

- To cudownie. - Przechodząc obok Nathana, uśmiechnęła się znowu najwspanialszym, najbardziej czarującym uśmiechem, którego używała jedynie przy specjalnych okazjach. - W takim razie natychmiast zaczynam przekazywać ludziom wiadomość.

Giff poskrobał się po brodzie, po czym wstał i wyprostował się.

- Nie przejmuj się tak bardzo, Nate. Flirtowanie jest drugą naturą Lexy.

- Uhm. - Nathan zerknął na skrzynię z narzędziami i zastanawiał się, które z nich mogą stanowić najniebezpieczniejszą broń.

- Nie zwracam na to w ogóle uwagi. - Giff, czując się jak u siebie w domu, wziął

grzanek leżącą na talerzu i ugryzł ją. - Jeśli mężczyzna zakochuje się w pięknej kobiecie, musi liczyć się z tym, że nie zdoła przeszkodzić jej we flirtowaniu z wszystkimi i że będą się za nią oglądać również inni panowie. W związku z tym masz prawo na nią patrzeć. - Giff podniósł pudło z narzędziami i puścił do Nathana perskie oko. - Ale pamiętaj, jeśli zrobisz coś więcej, będziesz miał ze mną do czynienia. A zatem do zobaczenia wieczorem. Wyszedł gwizdząc.

- Wiesz Bri... - Nathan podniósł talerz i ruszył z nim w stronę zlewu. - Ten facet ma niesamowite bicepsy. Chyba nawet nie będę patrzył.

- To dobry pomysł. Teraz zapłać za śniadanie, wsadzając naczynia do zmywarki.

- Nie mam najmniejszej ochoty na żadne imprezy, Kate. Chcę dziś wieczorem popracować trochę w ciemni.

- Nic z tego. - Kate podeszła do komody, chwyciła szczotkę do włosów z drewnianą rączką i potrząsnęła nią nad głową Jo. - Pomalujesz usta, zrobisz coś z włosami i pójdiesz z nami na ognisko. Będziesz tańczyć na piasku, pić wino i, jak Boga kocham, miło spędzisz kilka godzin.

Zanim Jo zdołała ponownie zaprotestować, Kate uniosła dłoń, zupełnie jakby była policjantką kierującą ruchem.

- Nie wysilaj się, dziewczyno. Przed chwilą stoczyłam identyczną walkę z Brianem i wygrałam ją. Więc może lepiej od razu rzuć ręcznik na deski.

Kate rzuciła szczotkę. Na szczęście Jo zdołała złapać ją w powietrzu i tylko dzięki temu nie oberwała nią po głowie.

- Nie rozumiem, dlaczego tak bardzo ci na tym zależy...

- Zależy mi - powiedziała Kate przez zaciśnięte zęby i jednym energicznym szarpnięciem otworzyła drzwi szafy z palisandrowego drewna. - Zależy mi, żeby ludzie mieszkający w tym domu nauczyli się od czasu do czasu korzystać z rozrywek. Kiedy pokonam twój głupi opór, mam zamiar wymusić zgodę na twoim ojcu.

Jo parsknęła śmiechem i opadła plecami na łóżko.

- Nie masz żadnych szans.

- Założę się, że pójdzie - powiedziała Kate ponuro, przeglądając garderobę Jo. -

Nawet gdybym miała dać mu młotkiem w łeb i nieprzytomnego zaciągnąć na plażę.

Nie masz tu jakiejś bluzki, która świadczyłaby, że przynajmniej od czasu do czasu zwracasz uwagę na to, co masz na grzbiecie? - Z obrzydzeniem prze suwała wieszak za wieszakiem. - Na dzisiaj przydałoby się coś stylowego i atrakcyjnego.

Nie czekając na odpowiedź, podeszła do drzwi i zawołała:

- Alexo! Poszukaj jakiejś bluzki dla siostry i przynieś ją tutaj.

- Nie chcę jej rzeczy. - Zaalarmowana taką możliwością Jo podskoczyła na łóżku. - Gdybym wybierała się na to ognisko, na pewno poszłabym we własnym ubraniu. Ponieważ jednak nigdzie nie idę, uważam, że cały problem w ogóle nie istnieje.

- Idziesz. Zakręć sobie włosy. Mam dość patrzenia na te twoje kłaki.

- Nawet gdybym bardzo chciała je zakręcić, nie mam wałków.

- Ha! - zawołała Kate. - Alexo, przynieś w końcu tę bluzkę. Przydałyby się również wałki do kręcenia włosów na gorąco.

- Nawet nie próbuj tu przychodzić, Lex! - krzyknęła Jo. - Kate, chyba zapomniałaś, że nie mam już szesnastu lat.

- Doskonale o tym pamiętam. - Kate zdecydowanie kiwnęła głową, aż zamigotały maleńkie, złote

kolczyki, które miała w uszach. - Jesteś dorosłą, w dodatku ładną kobietą. Najwyższy czas, żebyś zaczęła być z tego dumna. W związku z tym nie tylko pójdziesz na ognisko, ale również popracujesz trochę nad swoim wyglądem i nie przyjmuję do wiadomości żadnych idiotycznych wymówek. Co ja mam z tymi cholernymi dzieciakami, bez przerwy muszę z nimi walczyć - mruknęła pod nosem i weszła do łazienki Jo. - Nie ma tu ani krztyny tuszu. Jeśli chcesz zostać zakonnica, wstąp do klasztoru. Jeśli nie, to spróbuj uwierzyć, że szminka wcale nie jest narzędziem szatana.

W tym momencie w drzwiach pojawiła się Lexy. Przez jedno ramię przewiesiła bluzkę, a w ręku trzymała pudełko z wałkami. Ponieważ spodziewała się, że miło spędzi wieczór, była w doskonałym humorze, dlatego uśmiechnęła się od ucha do ucha i pokiwała głową na widok zmartwionej Jo.

- Czyżby Kate przeprowadzała u ciebie rewizję?

- Uhm. Nie mam zamiaru kręcić włosów.

- Wyluzuj się, Jo Ellen. - Lexy wysypała wałki na komodę, potem sprawdziła własny wygląd w lustrze. Nałożyła już delikatny makijaż, który pasował do swobodnego charakteru imprezy. Blask ogniska znacznie upiększa każdą twarz.

Wiedziała, że większość kobiet będzie w dżinsach, dlatego, by się od nich odróżnić, włożyła długą spódnicę w czerwone maki.

- Nie ubiorę się w nic, co należy do ciebie.

- Nie ma sprawy. - Lexy odwróciła się, zacisnęła mocno wargi i przyjrzała się siostrze. Była w tak dobrym humorze, że postanowiła zachowywać się przyjaźnie. -

Hm. Falbanki raczej nie są w twoim stylu.

- Chyba odkryłaś Amerykę. Pozwól, że gdzieś to zapiszę.

Lexy nie zareagowała w ogóle na tę złośliwość i obeszła siostrę dookoła.

- Masz może jakiś czarny, niezbyt luźny podkoszulek?

- Chyba tak.

- A czarne dżinsy? - Jo przytaknęła i wzruszyła ramionami. Widząc to, Lexy postukała palcem po wargach. - W takim razie wykorzystamy to. Smutek i elegancja.

Możemy zawiesić ci coś w uszach i dodać ładny pasek, żeby podkreślić czerń, ale na tym koniec. Żadnych loków.

- Żadnych loków?

- Żadnych, ale powinnaś trochę zmienić fryzurę - Lexy ani na moment nie przestawała stukać palcem po wardze, przez cały czas mrużąc oczy i kiwając głową. -



Mogę ci w tym pomóc. Wystarczyłoby ciachnąć trochę tu i tam.

- Ciachnąć? - Jo przycisnęła obie dłonie do głowy, próbując bronić swoich włosów. - Co to znaczy ciachnąć? Nie chcę, żebyś podcinała mi włosy.

- Co ci zależy? I tak beznadziejnie opadają ci na wszystkie strony.

- No właśnie. - Kate pojawiła się ponownie. - Lexy ma doskonale wycucie, spokojnie mogłaby być fryzjerką. To ona podcina mi włosy, jeśli nie mam czasu, by wybrać się na stały ład. Idź umyć głowę, Jo, a ty, Lexy, biegnij po nożyczki.

- Cudownie. - Pokonana Jo uniosła rękę do góry. - Fantastycznie. Jeśli mnie oskalpuje, przynajmniej nie będę musiała siedzieć na piasku z grupą idiotów i przez pół nocy słuchać, jak ktoś wyśpiewuje „sia - la - la”.

W piętnaście minut później siedziała z ręcznikiem owiniętym wokół szyi, a na podłogę opadały mokre pasemka włosów.

- Jezu Chryste! - Zacisnęła mocno powieki. - Kompletnie postradałam zmysły.

Możesz to uznać za oficjalne stwierdzenie faktu.

- Przestań się wiercić - rozkazała Lexy, ale w jej głosie nie było słyhać ani cienia złości, raczej rozbawienie. - Jeszcze nie zdążyłam ci nic zrobić. Przynajmniej na razie. Poza tym pomyśl, że dzięki temu na jakiś czas będziesz miała z głowy kuzynkę Kate.

- Rzeczywiście. - Jo starała się rozprostować plecy. - To prawda.

- Masz wspaniałe włosy, Jo. Są zdrowe i same układają się w fale. - Wydęła lekko wargi, przyglądając się w lustrze własnej, poskręcanej w spiralki grzywie. -

Właściwie sama nie wiem, po co wydaję tak ogromne pieniądze na trwałą. Moje włosy są proste jak druty.

Wzruszeniem ramion Lexy podsumowała własne kaprysy, po czym ponownie skoncentrowała się na włosach Jo.

- Trzeba tylko odpowiednio je przyciąć. Zrobię to tak, żebyś potem w ogóle nie musiała nic z nimi robić.

- Od dawna nic z nimi nie robię. - I to widać.

- Tylko nie podcinaj za... - Kiedy Jo zobaczyła siedmiocentymetrowy kosmyk, który opadł jej na kolana, kompletnie zaniemówiła i jedynie spoglądała na Lexy okrągłymi ze zdumienia oczami. - Chryste! Coś ty najlepszego zrobiła?

- Uspokój się. Robię ci grzywkę, nic więcej.

- Grzywkę? Grzywkę? Wcale nie prosiłam cię o grzywkę.

- No cóż, teraz i tak już ją masz. Dzięki temu lepiej będzie widać twoje brwi.

Masz piękne oczy i należałoby je odpowiednio wyeksponować. Grzywka pozwoli nam je uwydatnić, nie psując przy okazji wrażenia naturalności, z którą jest ci bardzo do twarzy. - Przez cały czas nie przestawała przeczesywać włosów Jo i podcinać ich, co chwila cofała się o kilka kroków, bacznie się przyglądała, po czym wracała jeszcze gdzieś coś poprawić. - Podoba mi się. Naprawdę mi się podoba.

- To dobre dla ciebie - mruknęła ze złością Jo. - Sama tak się czesz.

- Będziesz musiała mnie przeprosić. - Lexy prysnęła na rękę jakimś żelem, rozprowdziła go na dłoniach, a potem przejechała nimi po wilgotnych włosach Jo. -

Nie potrzebujesz tego dużo, naprawdę, wystarczy odrobina.

Jo skrzywiła się na widok pojemniczka.

- Nie używam żadnym mazideł do włosów.

- Teraz będziesz. Ale tylko trochę - powtórzyła i włączyła suszarkę. - Mogą ci same wyschnąć, ale suszarka nada im puszystości. Wystarczy, jeśli codziennie rano poświęcisz im dziesięć minut.

- Obecnie nie potrzebuję na to nawet dwóch. Do jasnej cholery, po co to wszystko? - Jo próbowała sobie wmówić, że nic ją nie obchodzi nowa fryzura. Po prostu była zmęczona siedzeniem i tym, że wszyscy koło niej skaczą. Natomiast wcale nie była zdenerwowana.

- Doskonale. - Lexy wyłączyła suszarkę i energicznie wyciągnęła wtyczkę. -

Potrafisz jedynie narzekać i szukać dziury w całym. Jeśli chcesz, możesz nadal wyglądać jak wiedźma. Mnie to wszystko gównem obchodzi. - Wypadła z pokoju jak bomba, nie oglądając się w ogóle na Jo, która jednym szarpnięciem zdarła z siebie ręcznik.

Kiedy jednak kątem oka dostrzegła swoje odbicie w lustrze, zatrzymała się na chwilę, a w końcu podeszła bliżej. Doszła do wniosku, że ta fryzura wygląda... całkiem nieźle i niemal bezwiednie uniosła rękę, by przyglądnąć koniuszki. Zamiast beładnie zwisać, teraz elegancko się układały - nad uszami odchylały się delikatnie i naturalną kaskadą opadały do tyłu. Miała wrażenie, że wyglądają jakby... igrał w nich delikatny wietrzyk. Okazało się, że również grzywka nie była wcale takim złym pomysłem.

Chcąc sprawdzić trwałość nowej fryzury, Jo potrząsnęła głową. Wszystko wróciło na swoje miejsce. Co ważniejsze, teraz żaden kosmyk nie opadał jej na oczy, co zawsze tak bardzo ją irytowało.

Przeczesała szczotką włosy i obserwowała, jak unoszą się i opadają. Wyglądają bardzo ładnie i schludnie, pomyślała. Są takie naturalne i eleganckie. Tak, zdecydowanie musiała przyznać, że nowe uczesanie miało swój niepowtarzalny styl, który doskonale podkreślał jej urodę.

Przypomniała sobie, jak niegdyś siadywała na brzegu łóżka, a matka szczotkowała jej włosy.

*Masz piękne włosy, Jo Ellen. Są niezwykle gęste i miękkie. Jak dorosniesz, będą twoim głównym atutem.*

*Mają ten sam kolor, co twoje, mamó.*

*Wiem. W tym momencie Annabelle roześmiała się i przytuliła ją mocno do siebie. Będiesz moją małą bliźniaczką.*

- Nie mogę być twoją bliźniaczką, mamó - szepnęła Jo. - Nie mogę być taka jak ty.

Przecież to właśnie z tego powodu nic nie robiła z włosami, zbierając je jedynie z tyłu gumką. To dlatego w jej łazience nie było nawet tuszu do rzęs. Jo zastanawiała się, czy to strach czy upór sprawiał, że nigdy nie poświęcała swemu wyglądowi więcej niż pięć minut dziennie i powstrzymywał ją przed przyglądaniem się samej sobie.

Jeśli mam zamiar zostać przy zdrowych zmysłach, pomyślała Jo, będę musiała nauczyć się patrzeć każdego dnia na swoje odbicie w lustrze. Ale patrzeć to nie koniec, będę musiała również nauczyć się akceptować to, co tam zobaczę.

Odetchnęła głęboko, wyszła ze swojego pokoju i ruszyła na poszukiwanie Lexy.

Znalazła ją w łazience. Wśród ogromnej ilości kosmetyków leżących na półce szukała odpowiedniej szminki.

- Przepraszam. - Kiedy Lexy nie odezwała się ani słowem, Jo zrobiła następny krok. - Lexy, naprawdę przepraszam. Miałas absolutną rację. Rzeczywiście bez przerwy narzekam i szukam dziury w całym.

Lexy pochyliła się nad złotą tulejką pomadki i obserwowała, jak czerwony wkład wysuwa się i chowa.

- Dlaczego to robisz?

- Boję się.

- Czego?

- Wszystkiego. - Z ogromną ulgą w końcu się komuś do tego przyznała. -

Ostatnio wszystko mnie przeraża. Nawet nowa fryzura. - Zdobyła się na niewyraźny uśmiech. - Nawet wspaniała nowa fryzura.

Lexy poczuła się na tyle usatysfakcjonowana, że uśmiechnęła się do Jo. -

Rzeczywiście jest wspaniała. Wyglądałaby jeszcze lepiej, gdybyś delikatnie ufarbowała włosy i

lekko pomalowała oczy.

Jo westchnęła ciężko i rozejrzała się po prywatnej perfumerii Lexy.

- Dlaczego nie? Mogę skorzystać z tego?

- Wszystko, co tu znajdziesz, na pewno będzie ci pasowało. Mamy tę samą karnację. - Lexy odwróciła się z powrotem do lustra i zaczęła starannie malować usta.

- Jo... boisz się samotności?

- Nie, z nią akurat całkiem nieźle sobie radzę. - Jo podniosła róz i powąchała go. - Ale to chyba jedyna rzecz, której się nie boję.

- Zabawne, ponieważ jest to jedyna rzecz, której ja się obawiam. Rozpalone na białym piasku ognisko strzelało płomieniami w czarne, usłane diamentami gwiazd niebo. Nathan, sącząc lodowate piwo i obserwując migotanie ognia, pomyślał, że cała sceneria przypomina jakiś rytualny pradawny obrzęd. Nietrudno było sobie wyobrazić odziane w długie, płócienne szaty postacie, tańczące wokół ogniska i składające ofiary prymitywnemu, krwiożerczemu bóstwu.

Skądże, do diabła, biorą mi się takie porównania, zreflektował się i, aby wymazać zaskakujący obraz, wypił następny łyk.

Noc była chłodna, ogień promieniował sympatycznym ciepłem, a pusta zazwyczaj plaża pełna była ludzi, różnorodnych dźwięków i muzyki. Nathan czuł, że jeszcze nie jest gotowy, by uczestniczyć w tego typu zabawach. Obserwował tańczące pary, wzajemne oddziaływanie na siebie mężczyzn i kobiet, w takim samym stopniu podlegających odwiecznym prawom natury jak przyływy i odpływy morza.

W tym momencie przypomniał sobie zdjęcia, które tego ranka pokazała mu Jo.

Dostrzegł w nich utrwalone na kliszy refleksje odludka. Może to właśnie one spowodowały, że nagle zdał sobie sprawę, jak bardzo jest samotny.

- Cześć, przystojniaczku. - Ginny usiadła tuż obok niego na piasku. - Co porabiasz tu sam jak palec?

- Snuję rozważania nad sensem życia. Roześmiała się radośnie.

- No cóż, to przecież całkiem proste. Chodzi o to, żeby je przeżyć. -

Zaproponowała mu wyciągniętą właśnie z ognia, fantastycznie przypieczoną kielbasę. - Jedz.

Nathan ugryzł kawałek i poczuł smak węgla drzewnego i piasku.

- Mniam.

Roześmiała się i po przyjacielsku ścisnęła mu kolano.

- Muszę przyznać, że gotowanie na świeżym powietrzu wcale nie jest moim mocnym punktem. Ale obiecuję, że upitraszę fantastyczne, godne mieszkanki Południa śniadanie, jeśli kiedykolwiek... będziesz przechodził niedaleko moje go domku.

Była to całkiem wyraźna, lecz równocześnie nie zobowiązująca zachęta. W

rzeczywistości, tak samo jak na zdjęciu, Ginny miała uśmiech od ucha do ucha, można też było z łatwością zauważyć, że wypila już sporo tequili. W odpowiedzi Nathan również się uśmiechnął.

- To bardzo ciekawa propozycja.

- No cóż, skarbie, jestem święcie przekonana, że chętnie złożyłaby ci ją każda mieszkająca na tej wyspie kobieta w wieku od szesnastu do sześćdziesięciu lat. Mam nadzieję, że właśnie znalazłam się na początku kolejki.

Niezbyt pewien, co powiedzieć, Nathan podrapał się po brodzie.

- Uwielbiam śniadania, ale...

- Tylko się tym nie przejmuj. - Tym razem ścisnęła mu ramię, zupełnie jak by sprawdzała jego bicepsy. - Wiesz, co koniecznie powinieneś zrobić, Nathan?

- Co takiego? - Zatańczyć.

- Naprawdę?

- Z całą pewnością. - Poderwała się i wyciągnęła do niego rękę. - W dodatku ze mną. Chodź, wielkoludzie. Spróbujmy pomieszać trochę piasek.

Kiedy ujął jej dłoń, stwierdził, że jest niezwykle ciepła i serdeczna, więc uśmiechnął się.

- W porządku.

- Ginny próbuje poderwać Jankesa - skomentował Giff, obserwując jak jego kuzynka ciągnie Nathana na mokry piasek.

- Wygląda na to, że tak. - Kirby zlizwała z palca ślazowego cukierka. - Trzeba jej przyznać, że potrafi się świetnie bawić.

- To wcale nie jest takie trudne. - Z butelką piwa między palcami Giff uważnie zlustrował plażę. Niektórzy ludzie tańczyli lub kołysali się, inni siedzieli wokół

strzelającego w niebo ogniska, jeszcze inni, szukając odrobiny prywatności, oddalali się i znikali w ciemności. Dzieci radośnie pokrzykiwały i nawoływały się, a starsi siedzieli na plażowych krzeselkach i, obserwując młodych, wymieniali między sobą plotki.

- Nie każdy chce się dobrze bawić. - Kirby ponownie zerknęła w stronę wydm, jednak od strony

Sanktuarium nadal nikt nie nadchodził.

- Ty niecierpliwie wypatrujesz Briana, a ja Lexy. - Giff po przyjacielsku otoczył

ją ramieniem. - Dlaczego w takim razie nie mielibyśmy razem zatańczyć? W ten sposób będziemy ich wypatrywać wspólnie.

- Doskonały pomysł.

Brian szedł przez wydmy, z jednej strony mając Lexy, a z drugiej Jo. Zatrzymał

się w najwyższym punkcie przejścia i przez dłuższą chwilę uważnie rozglądał się dookoła.

- To wszystko, moje dziatki, pewnego dnia będzie należeć do was.

- Daj spokój, Bri. - Lexy szturchnęła go łokciem. - Nie bądź taką straszną zrzedą. - Od razu dostrzegła w tłumie Giffa, poczuła jednak delikatne ukłucie zazdrości, widząc, że obejmuje Kirby i kołysze się z nią w jakimś wolnym tańcu. -

Muszę dopaść pewnego kraba - powiedziała bez troski i ruszyła w dół na plażę.

- Teraz bez większych problemów moglibyśmy uciec - zaczęła Jo. - Kate wciąż zajęta jest próbą ściągnięcia tu taty. Moglibyśmy skierować się na północ, zatoczyć koło i, zanim oni tu dotrą, znaleźć się w domu.

- Jeśli to zrobimy, Kate postara się, żebyśmy później gorzko tego żalowali.

- Zrezygowany wepchnął ręce do kieszeni. - Jak sądzisz, dlaczego tak bardzo nie lubimy przebywać w towarzystwie, Jo?

- Ponieważ zbyt dużo odziedziczyliśmy po Hathwayach.

- A za mało po Pendletonach - dokończył. - Zdaje się, że Lexy zagarnęła nasze porcje - dodał, kiwnięciem głowy wskazując ich siostrę, która znajdowała się już w samym centrum, ze wszystkich stron otoczona ludźmi. - Miejmy to już za sobą.

Ledwo dotarli na plażę, podbiegła do nich Ginny i powitała obydwój głośnymi, manifestacyjnymi pocałunkami.

- Czemu przyszliście tak późno? Jestem już niezłe wstawiona. Nate, dajmy tym ludziom trochę piwa, żeby nadrobili zaległości. - Zakręciła się wokół własnej osi, wpadła na kogoś, kto stał za jej plecami i zaczęła się głośno śmiać. - Może zatańczysz ze mną, Morris? Chodź. Nathan westchnął z prawdziwą ulgą.

- Nie mam pojęcia, skąd ona czerpie tyle energii. Lada chwila padłbym bez sił

na piasek. Macie ochotę na to piwo?

- Ja się napiję - powiedział Brian i odszedł na bok.

- Podobają mi się twoje włosy. - Nathan przesunął palcami po grzywce Jo. - Do twarzy ci z taką fryzurą.

- Lexy dorwała się do nich z nożyczkami, to wszystko.

- Wyglądasz wspaniale. - Przesunął dłonią wzdłuż jej ramienia, aż w końcu ujął ją za rękę. - Czy to cię martwi?

- Nie... nie zaczynaj wszystkiego od początku, Nathan.

- Za późno. - Podeszedł odrobinę bliżej. - Już to zrobiłem. - Wokół niej unosił się miły, delikatny i intrygujący zapach. - Widzę, że użyłaś jakichś perfum.

- Lexy...

- Bardzo mi się podobają. - Pochylił się i całkowicie ją zaskoczył, wachając jej włosy i szyję. - Naprawdę.

Zabrakło jej tchu, więc rozdrażniona cofnęła się o krok.

- Nie dlatego ich użyłam.

- Co i tak nie zmienia faktu, że mi się podobają. Chcesz trochę potańczyć? - Nie.

- To dobrze. Ja też nie mam ochoty. Usiądźmy zatem przy ognisku i zacznij my się całować.

Ta propozycja była tak absurdalna, że Jo z trudem opanowała śmiech.

- Usiądźmy po prostu przy ognisku. Jeśli będziesz próbował jakichś sztuczek, każę tacie przynieść strzelbę i zlikwidować cię. A ponieważ jesteś Jankesem, nikt nawet nie kiwnie palcem w twojej obronie.

Roześmiał się i objął ją ręką w pasie, nie zwracając uwagi na to, że się cofnęła.

Teraz już wiedział, że jest to jej instynktowna reakcja na dotyk.

- Zgoda, w takim razie po prostu usiądźmy.

Przyniósł piwo, nadział kielbasę na patyk i usiadł obok Jo.

- Widzę, że zabrałaś ze sobą aparat fotograficzny.

Automatycznie położyła dłoń na zniszczonej, skórzanej torbie, która zwisała jej z ramienia.

- Z przyzwyczajenia. Ale trochę zaczekam, zanim zacznę pstrykać. Są ludzie, którym aparat

fotograficzny bardzo przeszkadza, ale gdy wypiją odpowiednią ilość piwa, przestają zwracać na to uwagę.

- Wydawało mi się, że nie robisz zdjęć portretowych.

- Przeważnie nie. - Jo zawsze odczuwała pewne skrępowanie, gdy ktoś próbował wciągnąć ją w rozmowę. By zyskać nieco na czasie, zaczęła grzebać w kieszeni w poszukiwaniu papierosów. - Dzięki temu nie muszę prawić swoim modelom komplementów ani poić ich alkoholem, żeby móc zrobić zdjęcie.

- Ja wypilem tylko jedno piwo. - Wziął od niej zapalniczkę, złożył dłonie, by osłonić ogień przed wiatrem wiejącym od oceanu, i podpalił jej papierosa. W tym momencie ich oczy spotkały się nad migotliwym płomykiem. - Poza tym, z tego co widzę, wcale nie próbujesz prawić mi komplementów. Ale i tak możesz mnie sfotografować.

Przez chwilę rozważała tę propozycję, spoglądając na niego poprzez dym. Miał

wyraziste rysy twarzy, żywe oczy i pełne usta.

- Może to wcale nie taki zły pomysł. - Odebrała Natowi zapalniczkę i wsunęła ją do kieszeni. Ciekawe, co zobaczyłaby w obiektywie i w jaki sposób wpłynęłoby to na jej postawę w stosunku do niego. - Może rzeczywiście kiedyś cię sfotografuję.

- Czy poczujesz się bardzo nieswojo, jeśli powiem, że nie mogłem się ciebie doczekać?

Ponownie spojrzała mu w oczy, po chwili jednak oderwała od niego wzrok. -

Nawet bardzo.

- W takim razie pewnie lepiej zrobię, jeśli ci w ogóle o tym nie wspomnę -

zażartował - nie przyznam się również, że gdy cię w końcu dostrzegłem między wydrami, pomyślałem: „Nareszcie się pojawiła. Czemu tak późno?” Jo wstawiła patyk między kolana, by uwolnić wilgotną ze zdenerwowania dłoni i móc wziąć piwo.

- Wcale nie przyszedłem tak późno. Przecież ognisko płonie najwyżej od godziny.

- Nie chodziło mi jedynie o dzisiejszy wieczór. Sądzę, że nie powinienem również wspominać, jak bardzo mi się podobasz.

- Uważam, że...

- W takim razie porozmawiajmy o czymś zupełnie innym. - Uśmiechnął się do niej zadowolony, że w jej cudownych oczach pojawiło się zdumienie i delikatne niedowierzanie.

- Jest tu wokół mnóstwo twarzy, którym na pewno warto się uważnie przyjrzeć.



Mogłabyś z nich zrobić następny album. *Twarze Desire*. - Łagodnym ruchem przysunął się nieco bliżej, dzięki czemu ich kolana dotknęły się.

Jo spojrzała, zdumiona delikatnością jego postępowania. Była święcie przekonana, że wszystko, co robił, było starannie przemyślanym posunięciem. Każdy mężczyzna, który przy pomocy kilku błahych słów i uroczego uśmiechu powoduje przyspieszone bicie kobiecych serc, musi mieć w zanadrzu ogromną ilość zręcznych zagrywek.

- Jeszcze nie skończyłam jednego albumu, w związku z tym nawet nie myślałam o następnym.

- Kiedyś jednak o nim pomyślisz. Masz zbyt duży talent i na pewno nie brakuje ci ambicji, więc to zrobisz. A na razie może spróbowałabyś zaspokoić moją ciekawość i opowiedziałabyś mi coś o tych ludziach.

- Kto cię interesuje?

- Wszyscy. Co do jednego.

Jo obróciła nad ogniem kielbaskę i obserwowała, jak wytapia się z niej tłuszcz.

- Ten starszy mężczyzna w białej czapeczce z maleńkim dzieckiem na kolanach to pan Brodie. O ile dobrze liczę, to maleństwo jest jego czwartym prawnukiem.

Rodzice pana Brodiego na przełomie wieków służyli w Sanktuarium. On sam urodził się na Desire i tutaj się wychowywał.

- Dorastał w Sanktuarium?

- Spędzał w nim sporo czasu, ale w końcu jego rodzina za długą i lojalną służbę dostała na własność dom i trochę ziemi. Jako artylerzysta brał udział w drugiej wojnie światowej i z Francji, z Paryża przywiózł sobie żonę. Miała na imię Maria Luisa i zmarła mniej więcej trzy lata temu. Dorobili się czwórki dzieci, dziewięciorga wnucząt i czwórki prawnucząt. Zawsze nosi w kieszeni dropsy miętowe. - Odwróciła głowę. -

Czy takie właśnie historie cię interesują?

- Tak, właśnie takie. - Był niezmiernie ciekaw, czy Jo zdaje sobie sprawę, że podczas opowiadania w jej głosie wyraźnie słychać było głębokie uczucie. - Możesz przejść do kogoś następnego.

Westchnęła ciężko. Uważała, że to dość głupia zabawa, choć dzięki niej nie czuła się tak bardzo zdenerwowana.

- Ta zmęczona kobieta w ciąży, besztająca właśnie płaczącego się u jej stóp szkraba, to Lida Verdon, moja kuzynka ze strony Pendletonów. To będzie jej trzecie dziecko w ciągu czterech lat. Jej mąż, Wally, jest nieprawdopodobnie przystojny, ale trudno uznać go za miłego faceta. Jest kierowcą ciężarówki i często przez wiele dni nie ma go w domu. Zarabia całkiem niezłe pieniądze, ale Lida

właściwie ich nie widzi.

Obok Jo i Nathana przebiegło jakieś rozkrzyczane, niezwykle szczęśliwe dziecko gonione przez pobłażliwego ojca. Jo zgasiła papierosa w piasku i zakopała głęboko niedopałek.

- Kiedy Wally jest w domu - ciągnęła - albo jest kompletnie pijany, albo właśnie pije. Lida dwukrotnie wyrzucała go z domu, dwukrotnie również przyjęła go z powrotem. Jedno dziecko, które zaczyna właśnie chodzić i drugie pod fartuchem są niezbitymi dowodami pojednania. Jesteśmy z Lida właściwie w tym samym wieku, dzieli nas zaledwie kilka miesięcy. Robiłam zdjęcia na jej weselu.

Wyglądała wówczas tak ślicznie, młodo, poza tym widać było, że jest szczęśliwa.

Teraz, cztery lata później, goni resztkami sił. Jak widzisz, Desire nie jest krainą baśni - powiedziała cicho.

- Rzeczywiście. - Objął ją ramieniem. - Żaden zakątek świata nie jest krainą baśni. Opowiedz mi o coś Ginny.

- Ginny? - Jo roześmiała się i rozejrzała się dookoła. - O Ginny nic nie trzeba mówić. Wystarczy na nią spojrzeć. Popatrz, nawet Briana udało jej się rozbawić do łez. On bardzo rzadko się śmieje, zwłaszcza w taki sposób. Ginny po prostu potrafi wydobyć z człowieka radość.

- Dorastałyście razem?

- Tak, byłyśmy niemal jak siostry, chociaż jest bliższa wiekiem Lexy. Ginny zawsze jako pierwsza musiała wszystkiego spróbować, zwłaszcza jeśli było to coś zakazanego. Ale też nigdy nie było w niej nawet cienia złośliwości, nigdy również nie wyrządziła nikomu krzywdy. Po prostu Ginny lubi wszystko i wszystkich. I - spójrz!

Idę o zakład, że w tym także maczała palce.

Nathan był zbyt zajęty wpatrywaniem się w Jo, by cokolwiek zauważyć. Na jej twarzy widać było spokój i niezwykle ciepłe uczucie.

- Co takiego?

- Widzisz? - Jo oparła się o jego ramię i palcem wskazała mu brzeg wody. - Giff i Lex obejmują się. Od momentu, kiedy wyrosli z pieluch, albo za sobą szaleją, albo prowadzą bezpardonową walkę. Ginny bardzo lubi ich oboje i prawdo podobnie zrobiła coś, żeby dzisiejsza noc była dla nich niezwykle gorąca.

- Chce, żeby ze sobą walczyli?

- Nie, zakuta pało. - Ze śmiechem Jo uniosła skwierczącą kielbasę i wbiła patyk w piasek. - Chce, żeby się pogodzili.

Nathan zastanawiał się przez chwilę, potem zmarszczył czoło, widząc, że Giff w stylu Rhett Buttlera

wziął Lexy na ręce i ruszył z nią wzdłuż plaży, nie zważając na to, że ona kopie go i przeklina.

- Jeśli to tak dobrze działa, muszę porozmawiać z Ginny, żeby mnie również pomogła.

- Ze mną na pewno nie poszłoby tak łatwo jak z moją siostrą - powiedziała Jo sucho.

- Być może. - Nathan zsunął kielbasę z patyka i przerzucił ją z ręki do ręki. -

Ale już zdołałem cię zmusić, żebyś mi coś ugotowała.

Nie zważając na zaciekły opór kobiety, którą niósł na rękach, Giff szedł

spokojnie plażą, aż ognisko stało się jedynie migającym w oddali światełkiem. Gdy w końcu uznał, że znajdują się wystarczająco daleko od ludzi, postawił ją na piasku.

- Za kogo ty się uważasz? - Odepchnęła go mocno obydwoma rękami.

- Za tego samego człowieka, którym zawsze byłem - powiedział spokojnie. -

Najwyższy czas, żebyś dobrze mi się przyjrzała.

- Już wcześniej zdążyłam ci się przypatrzeć i trudno mi dostrzec w tobie „ś, kto miałby prawo ciągnąć mnie tutaj, gdy wcale nie mam na to ochoty. - prawdę mówiąc, było to bardzo ekscytujące i niezwykle romantyczne. - nie zauważyłaś, ale właśnie z kimś rozmawiałam.

- Nieprawda. Celowo kokietowałaś tego faceta, ponieważ za wszelką cenę chciałaś mnie zdenerwować. Tym razem ci się udało.

- Staralam się jedynie być uprzejma w stosunku do mężczyzny, którego wcześniej przedstawiła mi Ginny. Nie moja wina, że to niezwykle atrakcyjny prawnik z Charleston, spędzający właśnie z przyjaciółmi kilka dni na wyspie.

- Ten prawnik z Charleston dosłownie pożerał cię wzrokiem. - W łagodnych zazwyczaj oczach Giffa widać było wściekłość. - Uważam, że zdążyłaś się już wy szumieć, Lexy. Dałem ci wystarczająco dużo czasu i swobody. Teraz wróciłaś na Desire i, moim zdaniem, powinnaś wreszcie wydorosnąć.

- Wydorosnąć! - Ujęła się pod boki, nie zwracając w ogóle uwagi na wodę, która pienila się na piasku tuż koło jej stóp. - Od dawna jestem już dorosła, tylko ty nie masz na tyle oleju w głowie, by to zauważyć. Robię, co chcę, kiedy chcę i z kim chcę.

Odwróciła się na pięcie i z uniesioną wysoko głową zaczęła się od niego oddalać. Giff podrapał się po brodzie i stwierdził, że nie powinien tracić panowania nad sobą, nawet gdyby Lexy rzuciła się w ramiona tego charlestońskiego prawnika.

Teraz jednak było już za późno.

Ruszył za nią szybko. Kiedy usłyszała, że Giff się zbliża, zdążyła jedynie odwrócić się i zapisać,

nim złapał ją i przewrócił.

- Co ty robisz, ptasi mózdzku? Podrzesz mi spódnicę. - Teraz była już na prawdę wściekła, dlatego, zmagając się z nim na piasku, używała łokci, kolan i zębów, nie zwracając uwagi na zalewające ich co chwilę fale. - Nienawidzę cię!

Nienawidzę każdej, nawet najmniejszej cząsteczki twojego ciała.

- To nieprawda, Lexy. Kochasz mnie.

- A guzik! Pocałuj mnie w dupę.

- Byłbym bardzo szczęśliwy, gdybym mógł to zrobić, złotko. - Przytrzymał jej ręce i przycisnął ją całym ciałem do wilgotnego piasku. - Sądzę jednak, że wkrótce dotrę i tam. - Pochylił się, a kiedy odwróciła głowę na bok, dotknął wargami delikatnej skóry poniżej ucha. - Na razie mogę zacząć stąd.

Jej ciało przebiegł potężny dreszcz, poczuła, że cała płonie.

- Nienawidzę cię. Słyszysz, nienawidzę cię.

- Słyszę. - Delikatnie skubał wargami jej szyję i z ogromną radością zauważył, że ciało dziewczyny mięknie pod nim jak wosk. - Pocałuj mnie, Lexy. No, co ci szkodzi, pocałuj mnie.

Ze szlochem odwróciła głowę i znalazła wargami jego usta.

- Przytul mnie. Obejmij mnie mocno. Och, jak ja cię serdecznie nienawidzę za to, że tak bardzo cię pragnę.

- Doskonale znam to uczucie. - Pogłaskał ją delikatnie po włosach i policzkach, czując, że Lexy drży jak liść. - Nie bój się, nie zrobię ci krzywdy.

Zdesperowana złapała w garść jego włosy i mocno przyciągnęła go do siebie.

- Weź mnie. Chcę cię poczuć w sobie. Czuję się tak potwornie pusta. - Wygięła się w łuk i jęknęła.

Położył dłoń na jej piersi, a potem poddał się potężnej fali pożądania i pociągnął w dół głęboki dekolt, by móc pocałować cudowną, nabrzmiałą brodawkę.

Była gorąca, wilgotna i cierpka. Podziałała na niego jak whisky. Ponieważ przez całe życie czekał na tę chwilę, chciał robić wszystko powoli i niezwykle delikatnie. Ale Lexy niespokojnie poruszała się pod nim, a jej ręce bardzo mocno przyciągały go i obejmowały. Kiedy ponownie ją pocałował, w ogóle nie był w stanie myśleć i z ogromnym trudem łapał powietrze. Skupił się na smaku tych cudownych ust i wydobywających się z nich dźwiękach.

Sapiąc szarpał się przez chwilę z jej krótką spódniczką. W końcu udało mu się usunąć przeszkodę w postaci cienkiego, mokrego, przyklejonego do skóry materiału, a wówczas zaczął przesuwać dłonią

po udzie, aż znalazł to, czego szukał i z ogromną radością stwierdził, że Lexy jest już bardzo podniecona. Czując jego dłoń, gwałtownie drgnęła i, nim zdołał jęknąć, poddała się wszechogarniającej fali rozkoszy.

- Jezu Chryste, Lexy.

- Pospiesz się, Giff. Zabiję cię, jeśli w tym momencie się wycofasz. Słowo honoru, że cię zabiję.

- Nie będziesz musiała - wysapał. - Podejrzewam, że wcześniej już i tak nie będę żył. Zdejmij z siebie te cholerne szmaty. - Jedną ręką szarpał się z jej spódnicą, a drugą z własnymi dzinsami. - Na litość boską, Lexy, pomóż mi.

- Staram się. - Teraz śmiała się w głos. Wciąż jeszcze przeżywała szybki, niezwykle intensywny orgazm, a krew w jej uszach dudniła tak głośno, że niemal całkowicie zagłuszała szum morza. - Czuję się tak, jakbym była pijana. Czuję się cudownie. Och, pospiesz się.

- Do diabła z tym. - Odrzucił na bok dzinsy, zerwał z siebie koszulę i wciągnął

Lexy do wody.

- Co ty wyprawiasz? Jest całkiem nowa.

- Kupię ci następną. Kupię ci dziesięć innych. Tylko, na litość boską, pozwól mi się ze sobą kochać. - Jednym szarpnięciem za gumkę ściągnął z niej spódnicę i nim Lexy zdołała się wyplątać, już w niej był.

Krzyknęła zaszokowana i zadowolona. Objęła go mocno nogami, wczepiła się palcami w jego plecy i zajrzała mu w twarz. Jego ciemne oczy ani przez moment nie przestawały się w nią wpatrywać.

Kiedy równocześnie zalała ją fala z zewnątrz i wewnątrz, szczęśliwa ukryła się w jego ramionach. Wówczas już wiedziała, że zawsze będzie do niego wracać.

- Kocham cię - wymamrotał, w nieprawdopodobnym tempie zmierzając ku krawędzi. - Kocham cię, Lexy.

W końcu odczuł ogromną ulgę i drżał razem z nią, aż oboje całkowicie opadli z sił. Potem przytulił ją mocno do siebie i pozwolił, by fale unosiły ich i kołysały.

Wszystko poszło wspaniale, pomyślał, dokładnie tak, jak miało pójść. Ód zawsze widział, że tak właśnie będzie.

- Miło wam tam?

Giff leniwie uniósł głowę i zauważył stojącą na brzegu postać, która machała do nich obydwiema rękami. Prychnął i przycisnął wargi do włosów Lexy.

- Cześć, Ginny.

- Stwierdziłam, że porozrzucane wszędzie dookoła części garderoby wyglądają jakoś dziwnie znajomo. Jesteście tam zupełnie nadzy?

- Chyba tak. - Uśmiechnął się, czując, że Lexy krztusi się ze śmiechu.

- Ginny, on utopił moją spódniczkę - Najwyższy czas. - Przesłała im całusy. -

Wybrałam się na spacer. Muszę trochę otrzeźwieć. Lexy, uważaj. Panna Kate ściągnęła na ognisko twojego tatę.

Na twoim miejscu poszukałabym czegoś, czym mogłabym się nieco osłonić.

Pomachała im i ze śmiechem ruszyła wzdłuż plaży. Była niezmiernie szczęśliwa, że zobaczyła tę dwójkę razem. No cóż, biedny Giff polował na Lexy od wielu lat, a Lexy, prawdę mówiąc, goniła w piętkę, czekając, aż Giff ją złapie.

W pewnym momencie Ginny musiała na chwilę stanąć i poczekać, aż przestanie się jej kręcić w głowie. Pomyślała, że powinna unikać amatorów tequili. Ale życie jest zbyt krótkie, by czegokolwiek unikać.

Pewnego dnia spotka odpowiedniego faceta, który zostanie przy niej już na zawsze. A na razie musi znów zacząć go szukać.

W tym momencie, zupełnie jakby jej marzenie nagle nabrało realnych kształtów, zobaczyła zbliżającego się mężczyznę. Ginny zakołysała biodrami i uśmiechnęła się.

- Cześć, przystojniaczku. Co porabiasz zupełnie sam na tym odludziu?

- Szukam ciebie, ślicznotko. Odrzuciła do tyłu włosy.

- Czyż nie wspaniały zbieg okoliczności?

- Nie. Uznałbym to raczej za przeznaczenie. - Wyciągnął do niej rękę. Ginny ujęła ją bez wahania, święcie przekonana, że właśnie uśmiechnęło się do niej szczęście.

Jest na tyle pijana, że wszystko na pewno pójdzie jak po maśle, pomyślał, prowadząc ją w ciemność. Ale wystarczająco trzeźwa, żeby można się z nią było...

zabawić.

## **CZEŚĆ DRUGA**

*Któraż to rana zawsze się goiła, aczkolwiek stopniowo?*

William Szekspir

## **ROZDZIAŁ 11**

Po raz pierwszy od wielu tygodni Jo obudziła się wypoczęta i głodna. Ku własnemu zaskoczeniu zdała sobie sprawę, że jest spokojna i niemal szczęśliwa. Kate miała rację, pomyślała Jo, przeczesując palcami włosy. Potrzebny był jej wieczór poza domem, miłe towarzystwo i muzyka. Dobrze jej zrobiło kilka godzin z mężczyzną, któremu najwyraźniej się podoba. Prawdę mówiąc, Jo doszła do wniosku, że powinna zacząć spędzać w towarzystwie Nathana trochę więcej czasu.

Idąc w stronę schodów minęła ciemnię, i po raz pierwszy ani przez ułamek sekundy nie pomyślała o ukrytej na dnie szuflady szarej kopercie ze zdjęciami. Po raz pierwszy nie pomyślała również o Annabelle.

Natomiast przyszło jej do głowy, że mogłaby się przespacerować wzdłuż rzeki, a wówczas, być może, udałoby jej się spotkać Nathana. Oczywiście przypadkowo.

Całkiem przypadkowo. Zaczynam postępować równie okropnie jak Ginny, pomyślała ze śmiechem, i za wszelką cenę pragnę zwrócić na siebie uwagę mężczyzny. Jeśli chodzi o Ginny, taki sposób zdaje egzamin, może zatem skutkuje również w moim przypadku? Czy jest coś złego w niewinnym flircie z interesującym i niezwykle seksownym facetem?

No proszę. Zatrzymała się na schodach. Była na tyle zaskoczona własnym rozumowaniem, że postanowiła jeszcze raz wszystko przemyśleć. Bez wahania przyznała, że Nathan bardzo ją podnieca - gdy zwraca na nią uwagę, łagodnie ujmuje jej dłoń, uważnie i głęboko patrzy jej w oczy. Spokojnie i z ogromną pewnością siebie całuje. Przypomniła sobie, że zawsze robił to tak, jakby jedynie kosztował jej ust, a potem zadowolony wycofywał się. Sprawia wrażenie pewnego, że jeśli tylko przyjdzie mu na to ochota, będzie miał jeszcze mnóstwo okazji, żeby się z nią całować.

Pomyślała, że właściwie powinna ją złościć widoczna w jego postępowaniu męska próżność i arogancja. Tymczasem, wbrew logice, bardzo jej się to podobało.

Zastanawiała się, w jaki sposób powinna rozegrać tę grę i czy ma w tej dziedzinie choć odrobinę talentu.

Z uśmiechem na ustach ruszyła schodami w dół. Miała dziwne przeświadczenie, że jest w stanie zaskoczyć Nathana Delaney'a. Samą siebie również.

- Wybrałabym się osobiście, Sam, ale mam tu dzisiaj parę rzeczy do zrobienia. -

Kiedy Jo weszła do kuchni, Kate uniosła głowę. Przeczesowała palcami włosy i uśmiechnęła się z roztargnieniem. - Dzień dobry, kochanie. Wcześniej dzisiaj wstałaś.

- Wygląda na to, że nie tylko ja jestem już na nogach. - Jo spojrzała na ojca i ruszyła w stronę dzbanka z kawą. Sam stał przy drzwiach, właściwie jedną nogą był

już za progiem, i najwyraźniej miał ochotę uciec. - Macie jakiś problem? - zapytała Jo beztrząsco.

- Tak, niewielki, ale jakoś trzeba się z nim uporać. Kilka osób, które przyjechały porannym promem, chce się zatrzymać na kempingu, kilka innych ma zamiar stamtąd wyjechać. Właśnie przed chwilą otrzymałam telefon od rodziny, która zdążyła się już spakować i jest gotowa do wyjazdu, ale na

miejscu nie ma nikogo, kto zająłby się wymeldowaniem.

- Nie ma tam Ginny?

- Nie, nie podnosi słuchawki ani w budce, ani w domu. Podejrzewam, że zasnęła. - Kate uśmiechnęła się blade. - Bóg jeden raczy wiedzieć, gdzie. Jestem pewna, że ognisko przeciągnęło się do bladego świtu.

- Kiedy koło północy stamtąd odchodziłam, nikomu jeszcze nawet się nie śniło, by kończyć zabawę. - Jo wypła łyk kawy i zmarszczyła czoło, starając sobie przypomnieć, czy tuż przed powrotem widziała gdzieś Ginny.

- Gdyby jak należy spędziła noc we własnym łóżku - dodał Sam - na pewno nie miałyby żadnych problemów z pojawieniem się w pracy.

- Sam, doskonale wiesz, że Ginny jest niezmiernie obowiązkowa. Właściwie jest nie zawodna jak wschód słońca. - Kate, najwyraźniej bardzo zmartwiona tym wszystkim, spojrzała na zegarek. - Może źle się czuje.

- Chyba masz na myśli kaca.

- Każdemu się może zdarzyć - wypaliła Kate. - Ale to nie ma nic wspólnego z naszą sprawą. Najważniejsze, że turyści czekają na wymeldowanie z kempingu, a następnego chcą się zameldować. Nie mogę się w tej chwili stąd ruszyć, ale nawet gdybym nie miała kilku ważnych rzeczy do zrobienia i tak nic nie wiem o rozbijaniu namiotów. Nie ma rady, po prostu musisz poświęcić kilka godzin swego niezwykle cennego czasu i zająć się tą sprawą.

Sam zaskoczony zamrugnął oczami. Bardzo rzadko zdarzało się, by Kate odzywała się do niego takim zjadliwym tonem. Tymczasem ostatnio miał wrażenie, że słyszy go dość często. Ponieważ jednak najbardziej zależało mu na świętym spokoju, wzruszył ramionami.

- Dobrze, zajmę się tym.

- Jo pojedzie z tobą - stwierdziła nagle Kate, czym wprawiła ich oboje w osłupienie. - Może będzie ci potrzebna pomoc. - Teraz mówiła półgłosem, ale doskonale wiedziała, co pragnie uzyskać. Jeśli zdoła ich zmusić, by spędzili ze sobą ranek, może ta dwójka w końcu zacznie ze sobą rozmawiać. - Ty, Jo, mogłabyś zajrzeć do Ginny. Może zepsuł się jej telefon albo naprawdę fatalnie się czuje. Nie znam spokoju, dopóki nie będę wiedziała, co się z nią stało.

Jo poprawiła aparat zwisający jej z ramienia zdając sobie sprawę, że musi się pożegnać z planami dotyczącymi tego ranka.

- Oczywiście. Fantastycznie.

- Dajcie mi znać, gdy wszystko się wyjaśni. - Kate wypchnęła ich za drzwi. - I nie martwcie się o sprzątanie pokoi. Lexy i ja bez trudu sobie z tym poradzimy.



Ponieważ byli już odwrócenii do niej plecami, Kate uśmiechnęła się i zatarła dłonie. O to mi chodziło, pomyślała. Teraz radźcie sobie sami.

Jo wsiadła do starego blezera ojca i zapięła pas. Zauważyła, że wewnątrz samochodu unosi się charakterystyczny dla Sama zapach piasku, morza i lasu. Silnik działał bez zarzutu, mruczając cichutko i spokojnie. Ojciec nigdy nie zaniedbuje tego, co do niego należy, pomyślała, z wyjątkiem własnych dzieci.

Zła na samą siebie, wyjęła z kieszeni okulary przeciwsłoneczne i wsunęła je na nos.

- Chyba nieźle się wczoraj bawiłeś na ognisku - zaczęła.

- Muszę sprawdzić, czy ten chłopak zadbał o uprzątnięcie plaży.

Ten chłopak to najprawdopodobniej Giff, pomyślała Jo. Zarówno ona jak i Sam doskonale wiedzieli, że Giff nie dopuści do tego, by plażę szpecił choćby najmniejszy skrawek papieru.

- Widzę, że pensjonat ma ogromne powodzenie. Jak na tę porę roku panuje tu bardzo duży ruch.

- To przez reklamy - powiedział Sam krótko. - Kate zamieściła w prasie reklamy.

Jo starała się nie westchnąć.

- Podejrzewam, że równie ważnym czynnikiem są informacje przekazywane przez naszych gości ich znajomym i przyjaciółom. Z pewnością niemałe znaczenie w przyciąganiu tu ludzi ma także restauracja i wspaniała kuchnia Briana.

Sam jedynie burknął coś pod nosem. Prawdę mówiąc, nigdy w życiu nie uda mu się zrozumieć, jak mężczyzna może dobrowolnie wiązać się na całe życie z piecem kuchennym. Chociaż trudno powiedzieć, że lepiej rozumie córki niż syna.

Jedna z nich związała do Nowego Jorku i próbowała zdobyć sławę, pokazując mokre włosy w wyświetlanych w telewizji reklamówkach, druga bez przerwy fruwa po świecie i pstryka zdjęcia. Czasami nie był w stanie pojąć, jak to się stało, że są to jego dzieci.

Ale w końcu były to również dzieci Annabelle.

Jo wzruszyła ramionami i zrezygnowała z prób wciągnięcia ojca w rozmowę.

Opuściła szybę i pozwoliła, by strumień powietrza delikatnie pieścił jej policzki.

Słyszała szum opon sunących po drodze oraz pluśnięcia i bulgotania wydobywające się spod grubej warstwy rzęsy, która zarastała trzęsawisko.

- Zatrzymaj się. - Bez zastanowienia dotknęła ręki Sama. Gdy tylko zahamował, szybko wyskoczyła z samochodu i zostawiła go ze zmarszczonym czołem.

Na niewielkim wzniesieniu, w ciepłych promieniach słońca wygrzewał się żółw.

Uniósł wysoko głowę, a piękny łuk jego kształtnej szyi niemal idealnie odbijał się w ciemnej wodzie. W ogóle nie zwracał uwagi na Jo, która kucnęła obok i ustawiła aparat.

Rozległ się delikatny szelest, a na odgłos migawki głowa żółwia lekko się poruszyła. Jo wstrzymała oddech, ponieważ nagle zza wysokiej trawy jak zjawa wysunęła się czapla - urocza, pionowa plama bieli. Po chwili z szumem rozpostarła skrzydła. Przefrunęła nad niewielkimi stawami i maleńkimi wysepkami, po czym zniknęła za wierzchołkami drzew.

- Zawsze bardzo chciałam móc wzbić się w powietrze i fruwać w obłokach, słysząc jedynie łopot skrzydeł.

- O ile dobrze pamiętam, rzeczywiście jako dziecko najbardziej lubiłaś ptaki -

powiedział stojący za plecami Jo Sam. — Chociaż nie wiedziałem, że marzysz o tym, by latać tak jak one.

Jo uśmiechnęła się.

- Bardzo często próbowałam to sobie wyobrazić. Swego czasu mama opowiadała mi o Królowej Łabędzi, pięknej, młodej dziewczynie zaklętej przez czarownicę w łabędzia. Moim zdaniem była to najpiękniejsza z bajek.

- Mama znała mnóstwo uroczych historii.

- Tak. - Jo odwróciła się i uważnie przyjrzała twarzy ojca. Zastanawiała się, czy nadal każde wspomnienie w jakikolwiek sposób związane z żoną sprawia mu ból. I czy byłby on choć odrobinę mniejszy, gdyby wyznała mu, że jej zdaniem Annabelle nie żyje? - Bardzo żałuję, że nie pamiętam ich wszystkich - powiedziała półgłosem.

Pomyślała również, że gdyby lepiej pamiętała matkę, być może wiedziałaby teraz, w jaki sposób powinna postąpić.

Nabrała w płuca powietrze, by zdobyć się na odwagę.

- Tatusiu, czy ona kiedykolwiek po swoim zniknięciu skontaktowała się z tobą i dała znać, gdzie jest, albo wyjaśniła, dlaczego od nas odeszła?

- Nie. - Tkliwość, która pojawiła się w oczach Sama, gdy razem z Jo obserwował

lot czapli, zniknęła bez śladu. - Wcale nie musiała tego robić. Odeszła, ponieważ miała na to ochotę. Sądzę, że lepiej będzie, jeśli pojedziemy na kemping i zajmiemy się tym, co mamy tam do zrobienia.

Odwrócił się i wsiadł do blezera. Resztę drogi pokonali w całkowitym milczeniu.

Jako nastolatka Jo często wykonywała różne prace na kempingu. Kate określała to mianem

„zaznajamiania się z rodzinnym interesem”. Od tego czasu cała procedura niewiele się zmieniła. Wewnątrz niewielkiej, drewnianej budki na ścianie wisiała ogromna, bardzo dokładna mapa, przedstawiająca poszczególne pola kempingowe, ścieżki oraz toalety. Miejsca zajęte oznaczone były niebieskimi pinezkami, miejsca zarezerwowane - czerwonymi, natomiast tam, gdzie biwakowicze właśnie chcieli się wymeldować, tkwiły pinezki zielone. Wszystkie „zielone” miejsca należało sprawdzić i rozejrzeć się dookoła.

Toalety i prysznice sprzątało dwa razy dziennie, wtedy również uzupełniano zużyte mydło, papier toaletowy, ręczniki, itd. Ponieważ od ogniska Ginny nie wykonywała swoich obowiązków, Jo wzięła na siebie sprzątanie.

- Spróbuję uporać się z toaletami - powiedziała Samowi, który właśnie starannie wypełniał formularze potrzebne do wymeldowania niecierpliwie oczekujących biwakowiczów. - Potem pójde do chaty Ginny i zobaczę, co się z nią dzieje.

- Zaczynaj od tego drugiego - poradził Sam, nie unosząc nawet głowy. - W końcu sprzątanie toalet należy do niej.

- W porządku. Nie powinno to potrwać dłużej niż godzinę. Spotkamy się tutaj.

Ruszyła ścieżką prowadzącą na wschód. Przyszło jej na myśl, że gdyby była czapłą, w mgnieniu oka stanęłaby przed drzwiami Ginny. A tak musi przejść ponad pół

kilometra ścieżką, która wije się wśród stawów i wysokich traw.

Minęła miejsce, na którym stał niewielki, zgrabny namiot. Zdaje się, że na tym polu nie ma rannych ptaszków, pomyślała. Brezentowe klapy były starannie zamknięte. Kilka metrów dalej dwa szopy, które przechodziły właśnie przez ścieżkę, spojrzały w stronę Jo ze złością, a potem poszły dalej, najwyraźniej szukając śniadania.

Niewielka, cedrowa chatka Ginny była uroczo wciśnięta między wysokie drzewa. Ganek ozdabiała dwa jaskrawoczerwone dzbanki wypełnione plastikowymi kwiatami o niezwykle żywych barwach. Stały przy drzwiach pilnowane przez parę starych, bardzo zniszczonych różowych flamingów. Ginny z dumą powtarzała, że ogromnie kocha kwiaty i zwierzęta, najbardziej plastikowe.

Jo zapukała, odczekała chwileczkę, a potem weszła. Najważniejszym pomieszczeniem w chatce był wielofunkcyjny pokój, który nie miał nawet trzech metrów kwadratowych. Przestrzeń kuchenna oddzielona została od salonu wąskim barkiem. Ciasnota nie była w stanie powstrzymać Ginny od kolekcjonowania różnych przedmiotów. Na każdej, nawet najmniejszej płaskiej powierzchni tłoczyły się bibeloty. Można tam było zobaczyć kryształowe kule, pamiątkowe popielniczki, porcelanowe damy w falbaniastych sukniach i szklane pudelki.

Pomalowane na różowo ściany poobwieszane były koszmarnymi reprodukcjami przede wszystkim martwymi naturami z ogromną ilością kwiatów i owoców. Jo nie wiedziała, czy się śmiać, czy płakać, gdy zobaczyła między nimi jedno ze swych czarno - białych zdjęć. Wykonane zostało, gdy obie były jeszcze nastolatkami, a przedstawiało Ginny śpiącą na hamaku w Sanktuarium. Jo

uśmiechnęła się i ruszyła w stronę sypialni.

- Ginny, jeśli masz tam kogoś, przykryjcie się. Wchodzę.

Ale w sypialni było pusto. Na nie załanym łóżku, krzesłach i podłodze leżały porzucane różne części garderoby. Jo domyśliła się, że najwidoczniej Ginny nie mogła się zdecydować, co włożyć na ognisko.

W łazience również nie było nikogo. Na plastikowej półce przymocowanej nad umywalką stało mnóstwo kosmetyków, a sama urna wala wciąż pokryta była grubą warstwą pudru. Na brzegu wanny stały trzy buteleczki szamponów, jedna z nich jeszcze otwarta. Na zbiorniku na wodę siedziała uśmiechnięta lalka w różowo - białej, robionej na szydełku sukience, pod którą ukrywała się zapasowa rolka papieru toaletowego.

Wszystko to bardzo pasowało do Ginny.

- W czym łóżku spędzasz ten rano, Ginny? - powiedziała Jo półgłosem, po czym z lekkim westchnieniem wyszła z chatki i zaczęła nastawiać się psychicznie na szorowanie kempingowych toalet.

Kiedy dotarła na miejsce, wyjęła z tylnej kieszeni klucze i otworzyła niewielki magazynek. W ciasnym pomieszczeniu panował idealny porządek. Wszystkie szczotki, proszki, miotły oraz materiały potrzebne do sanitariatów poukładane były z niezwykłą wręcz starannością. Jo nigdy nie mogła się nadziwić, że Ginny w pracy potrafi zdobyć się na tak niewiarygodną pedanterię i schludność, podczas gdy w jej życiu prywatnym zawsze panował nieprawdopodobny chaos.

Uzbrojona w wiadro, miotłę, środki czystości, szmaty i gumowe rękawice Jo weszła do damskiej toalety. Nad jedną z umywalk jakaś mniej więcej pięćdziesięcioletnia kobieta z przejęciem myła zęby. Jo uśmiechnęła się do niej z roztargnieniem i zaczęła napełniać wiadro wodą.

Kobieta przepłukała usta i splunęła.

- Gdzie jest Ginny?

- Słucham? - Rozpuszczający się właśnie w wodzie środek musował i wydzielał

niezwykle ostry zapach. Jo zamrugła oczami. - Wszystko wskazuje na to, że gdzieś przepadła.

- Pewnie wydłużyła sobie imprezę - stwierdziła kobieta, uśmiechając się przyjaźnie. - To było fantastyczne ognisko. Oboje z mężem bawiliśmy się tak wspaniale, że dzisiaj mieliśmy poważne problemy ze wstaniem.

- Przecież po to są wakacje. Żeby się bawić i nie wstawać zbyt wcześnie.

- Trudno przekonać mojego męża do późniejszego wstawania. - Kobieta z zestawu turystycznego wyjęła niewielką tubkę, wycisnęła z niej balsam nawilżający i zaczęła go grubo rozsmarowywać. - Dick ma absolutnego fioła i z dokładnością co do minuty planuje każdy dzień. Dzisiaj jesteśmy

prawie o godzinę spóźnieni na poranny spacer.

- Wyspa nie zajęc, nie ucieknie.

- Proszę powiedzieć to Dickowi. - Roześmiała się ponownie, a potem pozdrowiła serdecznie młodą kobietę, która weszła do łazienki z małą, mniej więcej trzyletnią dziewczynką. - Dzień dobry, Meg. Jak się ma dzisiaj śliczna Lisa?

Dziewczynka podbiegła do niej i zaczęła trajkotać.

Jo zabrała się do wykonywania swoich obowiązków, przez cały czas wsłuchując się w kobiece głosy. Okazało się, że starsza pani miała na imię Joan. Wyglądało na to, że ona i Dick obozowali w najbliższym sąsiedztwie Meg i jej męża, Micka. W ciągu dwóch dni obie pary bardzo przypadły sobie do gustu i nawiązały wakacyjną przyjaźń.

Panie umówiły się na wieczorne smażenie ryb, a potem Meg wraz z córeczką weszła do jednej z kabin prysznicowych.

Jo, zmywając podłogę, słuchała jednostajnego szumu wody i dziecięcej paplaniny. Zdała sobie sprawę, co tak bardzo pociągało Ginny, która zawsze z ogromnym upodobaniem wysłuchiwała różnorodnych opowieści innych ludzi, zupełnie jakby kolekcjonowała okruchy ich życia. A naprawdę nie poprzestawała na słuchaniu i kolekcjonowaniu, jakimś cudem potrafiła się w to wszystko włączyć.

Ludzie ją pamiętali. Robili sobie z nią zdjęcia, a potem wkładali je do rodzinnych albumów. Zwracali się do niej po imieniu, a większość gości pojawiających się na kempingu po raz drugi, zaraz po przyjeździe pytała o Ginny.

Opierając się na kiju szczotki, Jo uświadomiła sobie dlaczego tak się dzieje.

Ginny nigdy nie ukrywała się przed ludźmi. Nie wtapiała się w tłum. W jakiś sposób przypominała swoje kolorowe, sztuczne kwiatki. Była radosna i krzykliwa.

Jo pomyślała, że być może nadszedł czas, by i ona sama wysunęła się kilka kroków do przodu. Wyszła z tłumu i stanęła w pełnym świetle.

Zabrała swój sprzęt i opuściła damską toaletę. Obeszła budynek i podeszła do pomieszczeń przeznaczonych dla mężczyzn. Z całych sił trzykrotnie uderzyła pięścią w drzwi, odczekała kilka sekund i ponowiła próbę.

Ponieważ nikt się nie odzywał, otworzyła drzwi i zawołała.

- Sprzątanie. Czy jest tu ktoś?

Wiele lat temu, pomagając Ginny, Jo po wejściu do męskiej łazienki natknęła się na owiniętego kusym ręcznikiem starszego pana, który zostawił w namiocie aparat słuchowy. Za nic w świecie nie chciała przeżyć tego ponownie. Choć tym razem ze środka nie dobiegały żadne odgłosy - pod

prysznicami nie płynęła woda, nie syczały pisuary - robiła mnóstwo hałasu, żeby wyraźnie było ją słychać.

Na wszelki wypadek podjęła jeszcze jeden środek ostrożności - podparła drzwi kijem, żeby zostały otwarte, i w widocznym miejscu, na klamce zawiesiła plastikową plakietkę z napisem „SPRZĄTANIE”. Dopiero teraz spokojnie wstawiła wiadro do umywalki i wrzuciła do niego środek czyszczący. Za jakieś dwadzieścia, góra trzydzieści minut skończy tę robotę, a wówczas będzie mogła zaplanować sobie resztę dnia.

Pomyślała, że mogłaby pojechać na północne wybrzeże wyspy. Znajdowały się tam ruiny dawnej hiszpańskiej misji wzniesionej w szesnastym, a opuszczonej w siedemnastym wieku. Hiszpanie nie mieli szczęścia w nawracaniu na wiarę chrześcijańską pojawiających się sporadycznie na wyspie Indian, a istniejące, zdaniem historyków, plany zasiedlenia wyspy najwyraźniej spełzły na niczym.

Pogoda była wprost wymarzona na taką przejażdżkę, a światło tuż przed południem powinno umożliwić zrobienie zdjęć ruin, tarasów i muszli zgromadzonych tam niegdyś przez Indian. Jo przez moment zastanawiała się, czy Nathan zgodziłby się z nią pojechać. Przecież architektka powinna interesować ruiny starej hiszpańskiej misji, prawda? Może Brian dałby im suchy prowiant, a wówczas mogliby spędzić kilka godzin w towarzystwie duchów hiszpańskich misjonarzy.

Kogo próbuję oszukać, zastanowiła się Jo. Przecież wcale nie obchodzą mnie misjonarze ani ruiny. Miała ogromną ochotę na piknik i spokojne popołudnie, wolne od wszelkich obowiązków czy terminów. Pragnęła Nathana. Kiedy poczuła ściśnięcie w dołku, wyprostowała się i przyłożyła dłoń do brzucha. Chciała spędzić z Nathanem kilka godzin, być może po to, by przetestować ich oboje. Zobaczyć, co się zdarzy, jeśli znajdzie w sobie tyle odwagi, by przestać mu się opierać. Jeśli zdecyduje się z nim być i stać na chwilę beztroską, spokojną Jo.

Dlaczego nie, pomyślała. Kiedy wróci do Sanktuarium, może zadzwonić do Nathana. Postara się, by wszystko wypadło jak najbardziej naturalnie. Jakby niczego nie planowała. A potem niech się dzieje, co chce.

Kiedy nagle zgasły światła, krzyknęła głośno i rozchlapała wodę z wiadra.

Obróciła się wokół własnej osi, wystawiając przed siebie kij od szczotki jak lancę, i usłyszała, że ktoś zamyka ciężkie drzwi.

- Kto tam? - Zdała sobie sprawę, że jej głos jest nienaturalnie piskliwy i wyraźnie słychać w nim strach. W tym momencie zaczęła drżeć. - Jest tu ktoś? -

dopytywała i korzystając z nikłego światła, które sączyło się przez zabrudzone, znajdujące się niemal pod sufitem okno, powoli posuwała się w stronę drzwi.

Pchnęła je mocno, stawiały jednak zdecydowany opór. Ugięły się pod nią nogi i strach chwycił za gardło. Spróbowała jeszcze raz, a potem zaczęła walić pięściami w drzwi. Po chwili odwróciła się. Słyszała jedynie łomot własnego serca, była jednak pewna, że ktoś wślizgnął się do środka i stał za jej plecami.

Nikogo nie było - zobaczyła jedynie puste kabiny i lekko połyskującą niewyraźnie, wilgotną jeszcze podłogę. Nie słyszała niczego oprócz własnego przyspieszonego oddechu. Zbyt przerażona, by odwrócić się plecami do wnętrza łazienki, oparła się o drzwi i rozejrzała dookoła, próbując dostrzec w którymś z ciemnych kątów choćby najlżejszy ruch.

Po plecach zaczął jej spływać lodowaty pot. Z ogromnym trudem usiłowała nabrać w płuca choćby odrobinę powietrza. Gdzieś w głębi duszy jakiś wewnętrzny głos powtarzał jej nieustannie: „Doskonale znasz te objawy, Jo Ellen. Nie pozwól, by strach cię pokonał. Jeśli się załamiesz, znajdziesz się z powrotem w szpitalu. Spróbuj się opanować. Po prostu spróbuj się opanować”.

Zakryła dłonią usta, by nie zacząć krzyczeć, mimo to spod palców wydobywało się żalosne pojękiwanie. Czuła, że jest o krok od załamania się i że strach zaczyna brać górę nad rozsądkiem. W końcu odwrócił twarz do drzwi i zaczęła walić w nie dłonią.

- Proszę, błagam, wypuście mnie. Nie zostawiajcie mnie tu samej. Usłyszała odgłos zbliżających się kroków i otworzyła usta, żeby krzyknąć. W tym momencie jednak potworny strach sprawił, że się cofnęła. Z przerażeniem wpatrywała się w drzwi. Najpierw coś w nie zeskrobało, a potem słychać było potworne przekleństwo.

Na moment pociemniało jej w oczach, a gdy drzwi się otworzyły i wpadło przez nie światło słoneczne, w ogóle przestała cokolwiek widzieć.

W końcu dostrzegła sylwetkę mężczyzny. Ponieważ ugiwały się pod nią kolana, sięgnęła po kij od szczotki i zaczęła dźgać nim przed siebie jak mieczem.

- Nie zbliżaj się do mnie!

- Jo Ellen? Co ty, do diabła, robisz?

- Tatuś? - Kij od szczotki upadł na podłogę, robiąc przy tym mnóstwo hałasu.

Niewiele brakowało, a Jo osunęłaby się na podłogę w ślad za nim, ale ręce Sama złapały ją pewnie i podciągnęły do góry.

- Co się stało?

- Nie mogłam wyjść. Po prostu nie mogłam. On mnie obserwuje. Dlatego nie mogłam wyjść.

W tym momencie Sam nie zwracał uwagi na jej słowa, widział jedynie, że jest śmiertelnie blada i potwornie drży. Zdając się na instynkt, wziął ją na ręce i wyniósł

na zewnątrz, do słońca.

- Już wszystko w porządku. Nic ci nie będzie, grubasku.

To było ich stare, pieszczotliwe słowo, o którym oboje zapomnieli już dawno temu. Jo ukryła twarz w ramionach ojca, a on tymczasem usiadł na kamiennej ławce i tulił ją na kolanach jak dziecko.

Wciąż jest taka drobna, pomyślał Sam zaskoczony. Jak to możliwe, przecież wygląda na wysoką i pewną siebie? Przypomniawszy sobie, że gdy jako dziecko miewała nocne koszmary, właśnie w taki sposób kulila się na jego kolanach. Kiedy we śnie coś ją przestraszyło, zawsze chciała mieć przy sobie ojca.

- Nie bój się. Teraz nie masz się już czego bać.

- Nie mogłam wyjść.

- Wiem. Ktoś podparł drzwi kawałkiem deski. Pewnie jakieś dzieci spletały ci psikusa.

- Tak, to tylko dzieci - uczepliła się tej myśli tak samo jak jego. - Rozbrykane dzieciaki. Oczywiście. Zgasiły światło i zamknęły mnie w środku. A ja niepotrzebnie tak potwornie spanikowałam. - Przez dłuższą chwilę nie otwierała oczu, starając się równomiernie oddychać. - Nawet nie pomyślałam, żeby po prostu poszukać kontaktu.

W ogóle nie byłam w stanie myśleć.

- Najzwyczajniej pod słońcem napędziły ci strachu. Dawniej nie byłoby to takie proste.

- Wiem. - Otworzyła oczy. - Doskonale o tym wiem.

- Dawniej bez zastanowienia wyważylabyś drzwi i rozniosła na strzępy tego, kto się w ten sposób z tobą zabawiał.

Niewiele brakowało, a roześmiałaby się na myśl, że ojciec zapamiętał ją jako zadziorną dziewczynkę.

- Naprawdę?

- Zawsze byłaś nieustępliwa. - Ponieważ przestała drzeć, poklepał ją po plecach, w ten sposób przypominając jej delikatnie, że jest już dorosłą kobietą, a nie dzieckiem, które kiedyś szukało ukojenia w jego ramionach. - Sądzę, że już się trochę uspokoiłaś.

- Nawet bardziej niż myślisz.

- Nie jestem pewien. Przez moment wyglądało na to, że masz zamiar zdzielić mnie kijem od miotły. Powiedziałaś, że ktoś cię obserwuje.

- Słucham?

- Powiedziałaś, że on cię obserwuje. Kogo miałaś na myśli? Przypomniała sobie zdjęcia. Jej twarz. Twarz Annabelle. Jo szybko potrząsnęła głową i odsunęła się od ojca. Nie teraz, pomyślała. Jeszcze nie teraz.

- Najwidoczniej coś plotłam od rzeczy. To pewnie dlatego, że się tak bardzo przestraszyłam. Przepraszam.



- Nie ma za co. Dziewczyno, nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo jesteś blada. Najlepiej zrobię zawożąc cię do domu.

- Zostawiłam wszystko w toalecie.

- Pozbieram to. Usiądź tu na chwilę i poczekaj, aż przestaną się pod tobą uginać kolana.

- Chyba masz rację. - Jednak, gdy zaczął wstawać, sięgnęła po jego rękę. -

Tatusiu. Dziękuję najmocniej... za odegnanie ode mnie tej zmory.

Spojrzał na ich złączone dłonie. Ręka Jo była szczupła i biała - taka sama jak dłoń jej matki, pomyślał z potwornym smutkiem. Ale kiedy spojrzał na jej twarz, tym razem zobaczył córkę, nie żonę.

- Wydaje mi się, że swego czasu doskonale dawałem sobie z nimi radę.

- Byłeś w tym wspaniały. Nadal jesteś.

Ponieważ nagle odniósł wrażenie, że jego ręka jest zbyt duża i niezgrabna wypuścił jej dłoń i cofnął się.

- Pozbieram wszystkie rzeczy i pojedziemy do domu. Z pewnością potrzebne ci dobre śniadanie.

Nie, pomyślała Jo, obserwując jak odchodzi. Potrzebny mi ojciec. Chociaż aż do tej chwili nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo.

## **ROZDZIAŁ 12**

Jo nie miała już ochoty na piknik. Na samą myśl o jedzeniu czuła potworne mdłości. Pomyślała, że najlepiej zrobi, jeśli wybierze się gdzieś sama. Na słone bagna albo na plażę. Gdyby miała więcej energii, spróbowałaby złapać poranny prom wracający na stały ląd. Wówczas chociaż na kilka godzin mogłaby się wtopić w tłum na ulicach Savannah.

Przemyśla twarz lodowatą wodą i włożyła czapkę baseballową. Tym razem przechodząc obok ciemni musiała do niej wejść, otworzyć szufladę i wygrzebać z dna szarą kopertę. Drżącymi rękami rozłożyła na stole wszystkie fotografie. Żaden cud się nie zdarzył i nadal nie było wśród nich zdjęcia Annabelle. Wszystkie odbitki ukazywały jedynie Jo. Jo i jej artystycznie wykadrowane oczy. A może były to oczy Annabelle. Kto wie?

Jednak na pewno było jeszcze zdjęcie matki. Ono naprawdę istniało. Została na nim uwieczniona śmierć. Jo wiedziała, że nie mógł to być wytwór jej wyobraźni. Nikt nie byłby w stanie wymyślić sobie czegoś takiego. Musiałaby być chora umysłowo i miewać halucynacje. Tymczasem wcale tak nie było. Widziała tę fotografię, do jasnej cholery, naprawdę ją widziała.

Potrzebowała całej siły woli, by przestać przeglądać odbitki, zamknąć oczy i spokojnie zacząć liczyć oddechy: wdech, wydech, wdech, wydech, aż zdołała uspokoić gwałtowne bicie serca.

Zbyt dokładnie pamiętała moment załamania i tracenia nad sobą kontroli. Nie dopuści do tego, by to się powtórzyło.

Zdjęcia w kopercie nie było i musiała uznać to za fakt niezaprzeczalny. Mimo wszystko ono istniało. To również był fakt. W takim razie ktoś musiał je zabrać. Może Bobby zorientował się, że to właśnie ono tak bardzo ją zdenerwowało, i wyrzucił. Albo w czasie jej pobytu w szpitalu ktoś włamał się do jej mieszkania i po prostu wziął.

Ten sam człowiek, który je wysłał, wrócił i zabrał je. Jednym zdecydowanym ruchem Jo wsunęła zdjęcia z powrotem do szarej koperty. Chociaż taka wersja wydarzeń sprawiła wrażenie całkowicie pozbawionej sensu, Jo uczepiła się jej jak ostatniej deski ratunku. Ktoś zrobił jej niesmaczny kawał, a ona nie wytrzymała nerwowo i dała się pokonać.

Wsunęła kopertę tam, gdzie była poprzednio, zamknęła energicznie szufladę i wyszła z ciemni.

W tym momencie wpadła jej do głowy myśl, że wystarczy jedna rozmowa telefoniczna, by przynajmniej częściowo potwierdzić albo wykluczyć ten wariant.

Pędem wróciła do swego pokoju, wyciągnęła z biurka notes z adresami i numerami telefonów, po czym szybko go przekartkowała. Wykręcając numer mieszkania, które Bobby Banes wynajmował do spółki z kilkoma przyjaciółmi, postanowiła sobie, że po prostu go zapyta. Postara się, by rozmowa była całkiem swobodna i zapyta go, czy zabrał to zdjęcie.

Przy trzecim dzwonku była już potwornie zdenerwowana.

- Halo?

- Czy to ty, Bobby?

- Nie, mam na imię Jack, ale jestem do wzięcia, złotko.

- Mówi Jo Ellen Hathaway - powiedziała sucho. - Chciałabym rozmawiać z Bobbym.

- Och. - W słuchawce słychać było chrząknięcie. - Najmocniej przepraszam, panno Hathaway, myślałem, że to jedna z jego... No cóż... Nie ma Bobby'ego.

- Czy mógłby pan przekazać mu prośbę, żeby się ze mną skontaktował?

Zostawię numer telefonu, pod którym można mnie złapać.

- Oczywiście. Ale niestety, nie mam bladego pojęcia, kiedy Bobby wróci, nawet nie wiem dokładnie, gdzie on jest. Wyjechał zaraz po końcowych egzaminach.

Wspominał coś o fotograficznym safari. Bardzo zależało mu na tym, żeby przed następnym semestrem zgromadzić trochę nowych zdjęć.

- Tak czy owak zostawię panu swój telefon - powiedziała i podała mu numer. -

Jeśli tylko się pojawi, proszę mu to przekazać, dobrze?

- Jasne, panno Hathaway. Na pewno będzie bardzo zadowolony, że może z panią porozmawiać. Strasznie się martwił... to znaczy, rozumie pani, zastanawiał się.

Nie wiedział, czy może jesienią liczyć na dalszą współpracę z panią. A tak w ogóle, co u pani słychać?

Prawdopodobnie kolega Bobby'ego doskonale wiedział o jej załamaniu. Choć miała nadzieję, że jest inaczej, jednak trudno było na to liczyć.

- Wszystko w porządku. - Chłodny ton Jo wykluczał jakiegokolwiek dalsze, bardziej szczegółowe pytania. - Jeśli będzie pan miał kontakt z Bobbym, proszę mu powiedzieć, że bardzo zależy mi na tej rozmowie.

- Na pewno mu to przekażę, panno Hathaway. - Aha...

- Do widzenia, Jack. - Spokojnie odłożyła słuchawkę i zamknęła oczy. Fakt, że Bobby podzielił się jej problemem ze swoimi przyjaciółmi, nie ma najmniejszego znaczenia. Za nic w świecie nie pozwoli, by miało to stanowić dla niej jakikolwiek problem, i na pewno nie będzie z tego powodu czuć się zakłopotana ani zdenerwowana. Trudno było oczekiwać, że Bobby utrzyma język za zębami. Dlaczego miałyby się nie przyznać, że pewnego ranka jego opiekunka najpierw niemal się na niego rzuciła, a potem musiał ją po prostu odtransportować do szpitala?

Jo doszła do wniosku, że nic na to nie poradzi, musi schować dumę do kieszeni i pogodzić się z tym. Starając się jak najszybciej pozbyć uczucia wstydu, ruszyła schodami w dół. Przy odrobinie szczęścia Bobby zadzwoni w ciągu kilku najbliższych tygodni. Wówczas będzie знаła przynajmniej jedną odpowiedź.

Kiedy zbliżyła się do kuchennych drzwi, usłyszała dobiegające zza nich głosy i zatrzymała się z ręką na klamce.

- Coś jej dolega, Brian. Jest zupełnie inna niż zwykle. Mówiła ci coś?

- Kate, Jo nigdy nikomu nic nie mówi, więc dlaczego miałyby zwierzać się właśnie mnie?

- Przecież jesteś jej bratem. Stanowicie rodzinę.

Jo usłyszała odgłosy energicznego stawiania naczyń kuchennych i poczuła unoszący się w powietrzu zapach pieczonego na ruszcie mięsa. Ktoś otworzył drzwi kredensu, a potem bardzo głośno je zamknął.

- Czy to ma jakieś znaczenie? - Brian najwyraźniej był rozdrażniony i zniecierpliwiony. Jo doskonale zdawała sobie sprawę, że jej brat za wszelką cenę stara się zbagatelizować słowa Kate.

- To ma ogromne znaczenie. Brian, gdybyś tylko spróbował, może otworzyłaby się przed tobą. Bardzo się o nią martwię.

- Posłuchaj, Kate, moim zdaniem wczoraj wieczorem na ognisku wyglądała całkiem nieźle. Spędziła kilka godzin z Nathanem, wypła piwo, zjadła pieczoną kiełbasę.

- Ale dzisiaj rano wróciła z kempingu blada jak ściana. Od powrotu na wyspę bez przerwy przeżywa wloty i upadki. Poza tym na pewno pamiętasz, jak wyglądała w dniu przyjazdu. Zupełnie jakby po długiej i ciężkiej chorobie wyszła ze szpitala. W

dotadku przez cały czas nic nie mówi na temat swego życia osobistego, nie wspomina również, kiedy ma zamiar wracać do Charlotte. Nie uwierzę, że nie zauważyłaś, jak bardzo jest... roztrzęsiona.

Jo nie chciała już dłużej tego słuchać. Cofnęła się cichutko, odwróciła na pięcie i ruszyła w stronę frontowych drzwi.

Teraz będą mnie obserwować, pomyślała ze znużeniem. Zaczęła się zastanawiać, czy w końcu ulegnie i przyzna się do wszystkiego. Gdyby powiedziała im o załamaniu, nie obeszkłoby się bez współczucia, kiwania głowami i naradzania się za jej plecami.

Do diabła z tym. Wyszła na zewnątrz, a kiedy znalazła się w promieniach słońca, odetchnęła pełną pierśią. Musi sobie z tym poradzić. Na pewno sobie poradzi.

A jeśli nie zostawią jej w spokoju i nie pozwolą spokojnie zastanowić się nad wszystkim, po prostu stąd wyjedzie.

Tylko dokąd? Ogarnęła ją niekłamana rozpacz. Czy istnieje jeszcze jakieś miejsce na ziemi, w którym zdołałaby znaleźć odrobinę spokoju?

Czuła, że coraz bardziej opuszczają energią. Ciężko szurając nogami, zeszła ze schodów. Nagle zdała sobie sprawę, że jest zbyt zmęczona, by gdziekolwiek iść.

Podeszła do wiszącego w cieniu dwóch dębów hamaka i położyła się w nim. Kiedy brzegi hamaka wzięły ją w swe delikatnie rozkołysane objęcia, Jo miała wrażenie, że wróciła do łona matki.

W dzieciństwie, w upalne popołudnia często zastawała tu Annabelle, a wówczas kładła się w hamaku obok niej i słuchała opowiadanych przez matkę bajek. Jo pamiętała łagodny, wiosenny zapach, spokojne huśtanie i maleńkie skrawki błękitnego nieba widoczne wśród zielonych liści.

Pomyślała, że teraz drzewa są znacznie wyższe. Urosły podczas minionych dwudziestu lat - tak samo jak ona. I tylko nie ma tu Annabelle.

Szedł nabrzeżem Savannah, nie zwracając uwagi na wspaniałe sklepy i tłum turystów. Temu, co się stało, daleko było do doskonałości. Niezmiernie daleko. A wszystko dlatego, że wybrał nieodpowiednią kobietę. Niestety, zdał sobie z tego sprawę dopiero wówczas, gdy ją wziął.

Naprawdę ekscytujące były tylko niektóre momenty. Od czasu do czasu jakiś słaby przebłysk, a potem to mijało... zupełnie jakby zbyt wcześnie przystąpił do działania.

Stał i zaczął przyglądać się rzece, równocześnie próbując się uspokoić.

Zastosował jedną z metod pozwalających zrelaksować umysł, zwolnić bicie serca, doprowadzić do wyrównania oddechu i rozluźnienia mięśni. Podczas długich podróży opanował kilka technik relaksacyjnych.

Wkrótce zaczął stopniowo dopuszczać do siebie dźwięki dochodzące z otaczającego go świata. Najpierw usłyszał dzwonienie przejeżdżającego obok roweru, potem pisk opon na nawierzchni drogi, w końcu głosy ludzi robiących zakupy i śmiech dziecka zadowolonego, że dostało porcję lodów.

Teraz był już zupełnie spokojny, odzyskał panowanie nad sytuacją i mógł się nawet uśmiechnąć, spoglądając na fale. Doskonale zdawał sobie sprawę, że wygląda bardzo atrakcyjnie - delikatny podmuch wiatru igrał w jego włosach, a interesująca twarz i godna sportowca sylwetka sprawiały, że łatwo wpadał w oko kobietom.

Och, na pewno wpadł w oko również i Ginny.

Z ochotą zgodziła się pójść z nim na spacer najpierw ciemną plażą, a potem przez wyludnione wydmy. Była lekko wstawiona i przez cały czas nie przestawała z nim flirtować, a wypita tequila jeszcze bardziej podkreślała południowy akcent.

Nawet nie wiedziała, skąd padł cios. Naprawdę. Kiedy o tym pomyślał, z trudem zdołał powstrzymać się od śmiechu. Jeden mocny cios w tył głowy wystarczył, by upadła na ziemię. Nie miał żadnych problemów z zaciągnięciem jej między drzewa.

Oczekiwanie tego, co za chwilę nastąpi, tak bardzo go podnieciło, że był w doskonałym humorze, a dziewczyna wydawała mu się lekka jak piórko. Rozebranie jej było... niezwykle ciekawym przeżyciem. Prawdę mówiąc, okazało się, że ma znacznie bujniejsze kształty, niż by chciał, ale w końcu miała mu posłużyć jedynie jako obiekt ćwiczeń.

Mimo to przez cały czas zbyt szybko się spieszył. Teraz mógł się już do tego przyznać i był w stanie spokojnie wszystko przeanalizować. Pośpiech sprawił, że za długo grzebał się z ekwipunkiem. Tak bardzo zależało mu na pierwszych zdjęciach, które miały ukazywać nagą Ginny z rękami uniesionymi nad głowę i przywiązanymi mocno do młodego drzewka. W związku z tym nie miał nawet czasu, żeby odpowiednio rozczesać jej włosy, ani ustawić oświetlenie i wybrać najlepsze ujęcie.

Nie, nie był w stanie, przytłoczyło go ogromne znaczenie tej chwili, dlatego, gdy tylko Ginny odzyskała przytomność, zgwałcił ją. Miał zamiar najpierw z nią porozmawiać, by utrwalić na kliszy strach, który pojawi się w jej oczach, gdy zda sobie sprawę, co ją czeka.

Tak jak to było z Annabelle.

*Broniła się, usiłowała coś powiedzieć. Wściekle kopala swoimi cudownymi, długimi nogami. Wyginała się na wszystkie strony. Teraz dopiero czuję, że odzyskuję spokój i panowanie nad sobą.*

Ona była obiektem, a ja pracującym nad nim artystą.

Tak wszystko wyglądało w przypadku Annabelle, i tak samo powinno być również tym razem.

Ale pierwszy wytrysk sprawił mu ogromny zawód. Był... całkiem zwyczajny.

Nawet nie miał ochoty zgwałcić jej po raz drugi. Pamiętał, że w końcu zrobił to bardziej z obowiązku niż dla przyjemności. Po prostu był to jedynie kolejny krok, pozwalający na przejście do następnego etapu i umożliwiający wykonanie ostatniego zdjęcia.

Natomiast kiedy wyjął z kieszeni jedwabny szalik, owinał go wokół szyi Ginny, zaczął powoli zaciskać i przez cały czas bacznie obserwował, jak jej oczy robią się coraz większe, usta za wszelką cenę usiłują złapać choćby odrobinę powietrza, próbują wydać krzyk...

Tak, to już było znacznie lepsze. Tym razem wytrysk był wspaniały, potężny, długi i niezwykle satysfakcjonujący.

W dodatku okazało się, że ostatnie zdjęcie, przedstawiające decydujący moment, może być jedną z jego najlepszych fotografii. Nadał jej tytuł *Śmierć dziwki*, bo czyż w rzeczywistości była kimś innym? Trudno byłoby uznać ją za anioła, ocenił

więc, że była tanią i ordynarną dziwką. Przedmiotem jednorazowego użytku.

I dlatego nie mogło być mowy o doskonałości. Cała wina leżała po jej stronie, nie po jego. Tak, oczywiście, w tym momencie wszystko stało się jasne, a ta myśl znacznie poprawiła mu nastrój. To ona zawiodła - winien był obiekt, nie artysta.

Ale decyzja należała do niego. To on ją wybrał.

Musiał sobie znowu powtórzyć, że Ginny była jedynie atrapą, obiektem ćwiczeń, a cały incydent zaledwie próbą, przygotowaniem do tego, co dopiero nastąpi.

Następnym razem wszystko pójdzie idealnie. Następnym razem, kiedy weźmie Jo.

Z lekkim westchnieniem poklepał skórzaną aktówkę, do której uprzednio włożył zdjęcia wywołane w wynajętej w pobliżu ciemni. Najwyższy czas, by wrócić na Desire.

Ponieważ Brian za nic nie mógł znaleźć Lexy, ruszył do ogrodu, by wyrwać kilka chwastów. Lexy obiecała, że to zrobi, ale prawdopodobnie wyruszyła zapolować na Giffa i namówić go, by w przerwie na lunch pokochał się z nią w jakichś krzakach.

Ostatniej nocy Brian widział ich oboje z okna swej sypialni. Kompletnie przemoczeni, oblepieni piaskiem, śmiejąc się jak para dzieciaków wędrowali ścieżką w słabym blasku księżyca. Nietrudno było zgadnąć, że łączyło ich coś więcej niż kąpiel w morzu o północy. Brian był rozbawiony, a nawet odrobinę zazdrosny.

Wszystko wskazywało na to, że przespanie się ze sobą przyszło im bardzo łatwo. To jednak wcale nie zmieniało podejrzeń Briana, że Giff ma znacznie poważniejsze plany niż przelotna miłostka, i że w związku z tym Lexy, gdy się tylko zorientuje, bardzo szybko zagra mu na nosie.

Trzeba przyznać, że Giff jest niezwykle rozsądnym i cierpliwym mężczyzną, może więc uda mu się

doprowadzić do tego, że Lexy zatańczy tak, jak on jej zagra.

Brian uznał, że obserwowanie tego może być bardzo interesujące. Oczywiście, obserwowanie z bezpiecznej odległości.

Przyszło mu na myśl, że tego właśnie przez cały czas pragnie. Bezpiecznej odległości.

Spojrzał na żółto - lawendowe kwiaty orlika. Były takie piękne i pełne radości, że należało zrobić wszystko, by jak najdłużej wyglądały tak uroczo. Brian sięgnął do kieszeni krótkiego, płóciennego fartucha, który zawiązał sobie w pasie, i wyjął

kultywator. W tym momencie usłyszał żalosne pojękiwanie.

Rozejrzał się i dostrzegł śpiącą w hamaku kobietę. Na ten widok zabiło mu mocniej serce. W zielonkawym cieniu jej włosy miały ciemnoczerwony odcień, a opadające luźno dłonie były szczupłe, białe i eleganckie. Zaskoczony zrobił ku niej kilka kroków, kiedy jednak odwróciła niespokojnie głowę, cofnął się gwałtownie.

Na litość boską, to nie matka. To siostra. Zawsze zaskakiwało go, jak bardzo Jo momentami przypomina Annabelle. Wystarczyło spojrzeć na nią pod odpowiednim kątem i przy odpowiednim oświetleniu. W takich momentach trudno mu było uciec od wspomnień i bólu. Jego matka uwielbiała w upalne, letnie popołudnia huśtać się godzinami w tym hamaku. Czasami, gdy Brian natknął się na nią, siadał obok na ziemi ze skrzyżowanymi nogami. Kładła wówczas dłoń na jego głowie i prosiła, żeby opowiedział jej wszystkie przeżyte tego dnia przygody. Zawsze bardzo uważnie go słuchała. Przynajmniej tak mu się wówczas wydawało. Teraz podejrzewał, że raczej snuła własne marzenia, nawet nie słuchając jego trajkotania. Marzyła o kochanku, o ucieczce od męża i dzieci. O swobodzie, która musiała być dla niej ważniejsza niż wszystko inne.

Teraz jednak w hamaku spała Jo, a sądząc po jej wyglądzie i zachowaniu, wcale nie był to spokojny sen.

Nie wiedział, co zrobić. Chociaż doskonale zdawał sobie sprawę, że takie zachowanie zasługiwałoby na pogardę, miał ochotę odwrócić się, odejść i zostawić ją na łasce dręczących ją widziadeł. Mimo to podszedł do niej. Kiedy zadrżała i ponownie jęknęła przez sen, zmartwiony zmarszczył brwi.

- Jo. - Położył dłoń na jej ramieniu i delikatnie potrząsnął. - Kochanie, obudź się.

Śniło jej się, że coś ściga ją przez las, w którym wszystkie drzewa wyglądały jak duchy, a porywiste podmuchy wiatru utrudniały każdy krok.

- Nie! - Odwróciła się gwałtownie i wyrwała trzymane przez niego ramię. - Nie dotykaj mnie!

- Uspokój się. - Jej pięść śmignęła mu tuż obok twarzy. Nie wiedział, czy powinien się przestraszyć. — Wolałbym nie mieć złamanego nosa.

Z trudem łapała powietrze i patrzyła na niego, jakby nie mogła uwierzyć własnym oczom.

- Brian. - Po jej ciele przebiegł potężny dreszcz, a nie mogąc się opanować, opadła na plecy i zamknęła oczy. - Przepraszam. Miałam jakiś okropny sen.

- Tak przypuszczałem. - Zmartwiło go to dużo bardziej, niż przypuszczał. Kate miała rację, jak zwykle zresztą. Bez wątpienia Jo coś dolega. Oparł się o brzeg hamaka. - Masz na coś ochotę? Może przynieść ci odrobinę wody?

- Nie, dziękuję. - Kiedy otworzyła oczy i spojrzała na spoczywającą na jej ręce dłoń brata, była wyraźnie zaskoczona. Nie pamiętała, kiedy po raz ostatni Brian ujął

jej dłoń. - Już wszystko w porządku. To był tylko zły sen.

- Pamiętam, że jako dziecko bardzo często miewałaś złe sny. Budziłaś się w nocy i wołałaś tatę.

- Tak. - Uśmiechnęła się niewyraźnie. - Wygląda na to, że nie z wszystkiego wyrasta się z wiekiem.

- Nadal cię dręczą? - Postarał się, by to pytanie zabrzmiało całkiem naturalnie, mimo to zauważył błysk gniewu w oczach Jo.

- Nawet jeśli budzę się w nocy, na pewno nikogo nie wołam - odparła niechętnie.

- Podejrzewam, że rzeczywiście nikogo już nie wołasz. - Miał ochotę wstać i odejść. Przecież już wiele lat temu przestały go interesować problemy siostry. A jednak nie ruszył się z miejsca i dalej delikatnie huśtał hamak.

- Nie wydaje mi się, by samowystarczalność była wadą, Brian.

- Rzeczywiście nie jest.

- Nie jest chyba również jakimś karygodnym grzechem chęć samodzielnego rozwiązywania własnych problemów.

- Czy właśnie w tej chwili samodzielnie rozwiązujesz swoje problemy, Jo? Jeśli tak, to możesz być całkowicie spokojna. Nie brak mi własnych i nie mam najmniejszej ochoty martwić się jeszcze o ciebie.

Ciągle nie odchodził i przez chwilę w milczeniu kołysali się razem w chłodnym cieniu dębów. To tak bardzo rozculiło Jo, że nagle zaczęły ją szczypać oczy, zdecydowała się na wykonanie następnego, niezwykle ostrożnego i delikatnego kroku.

- Wiesz, ostatnio często myślę o mamie. Wyprostował się.

- Dlaczego?

- W pewnym momencie zobaczyłam ją, a raczej wyobraziłam sobie, że ją widzę.



- Ujrzałam zdjęcie, którego nie ma. - Śniła mi się. Moim zdaniem ona nie żyje.

Nim którekolwiek z nich zdało sobie z tego sprawę, z oczu Jo zaczęły płynąć łzy.

Kiedy Brian się odwrócił i zauważył je, poczuł, że coś chwyta go za serce.

- Po co to wszystko, Jo Ellen? Nie ma sensu wracać do czegoś, co wydarzyło się dwadzieścia lat temu. Dzisiaj nic już się nie da zmienić.

- Nic nie poradzę, to jest silniejsze ode mnie. Nie mogę przestać... ani nie umiem tego wyjaśnić. Takie są fakty.

- Zostawiła nas i zdołaliśmy się z tym pogodzić. To również jest fakt.

- Nigdy nie przyszło ci na myśl, że może ona wcale nas nie rzuciła? Może ktoś ją porwał? Może...

- Chcesz mi wmówić, że została uprowadzona przez istoty pozaziemskie? -

zapytał. - Na litość boską. Gliniarze przez ponad rok zajmowali się tą sprawą. Nie było żadnego dowodu, który świadczyłby o tym, że została porwana, nic nie wskazywało na to, że popełnione zostało jakiegokolwiek przestępstwo. Po prostu odeszła. Przestań o tym myśleć i doprowadzać się z tego powodu do obłądu.

Ponownie zamknęła oczy. Może rzeczywiście niepotrzebnie sama stopniowo doprowadza się do obłądu.

- Czy w takim razie powinniśmy pogodzić się z myślą, że kłamała, mówiąc nam, że nas kocha? Czy to jest lepsze rozwiązanie, Brian?

- Lepiej w ogóle się nad tym nie zastanawiać.

- I tym samym skazać się na samotność - szepnęła. - Popatrz, niezależnie od tego, jak na to spojrzysz, każde z nas jest samotne. Dlaczego? Ponieważ jeśli ktoś nam wyznaje miłość, niemal automatycznie zakładamy, że kłamie. Wychodzimy z założenia, że lepiej w ogóle się nad tym nie zastanawiać. Lepiej nie ryzykować. Lepiej być samotnym niż opuszczonym.

Jej słowa trafiły w samo sedno problemu, dlatego po skórze Briana przebiegł dreszcz.

- W końcu to ciebie, Jo, dręczą koszmary, nie mnie. - W tym momencie podjął decyzję, dlatego wstał energicznie, nie czekając, aż zmieni zdanie. - Chodź.

- Gdzie?

- Przejedziemy się. Chodź. - Chwycił ją za rękę, poderwał na równe nogi i zaczął

ciągnąć w stronę samochodu.

- Gdzie? Po co?

- Do jasnej cholery, zrób raz to, o co się ciebie prosi. - Wepchnął ją do samochodu, z trzaskiem zamknął za nią drzwi i z ulgą zauważył, że jest całkowicie oszołomiona i nawet nie próbuje wysiąść. - Kate zawraca mi głowę - mruknął pod nosem, siadając za kierownicą i przekręcając kluczyk w stacyjce. - Ty płaczesz. Mam tego dosyć. Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, ale mam własne życie.

- Tak. - Pociągnęła nosem i wierzchem dłoni starła łzy z policzków. -

Rzeczywiście, masz własne, niezwykle urozmaicone życie, Brian.

- Zamknij się. - Opony zapiszczały na podjeździe, kiedy ostro ruszył do przodu.

- Ponieważ wyglądasz, jakbyś lada chwilę miała się przewrócić, spróbujemy się dowiedzieć, co ci dolega. Gdy uda się to wyjaśnić, być może wszystko wróci do normy i w końcu wszyscy dadzą mi święty spokój.

Przymrużyła oczy i chwyciła za klamkę.

- Dokąd jedziemy?

- To ty jedziesz - poprawił. - Zabieram cię do lekarza.

- Ani mi się śni. - Była zaskoczona i przerażona. - Natychmiast zatrzymaj samochód i wypuść mnie.

Nie odezwał się ani słowem, jedynie mocniej nacisnął pedał gazu.

- Jedziesz do lekarza. A jeśli mnie do tego zmusisz, jestem skłonny zawlec cię tam nawet siłą. Przy okazji sprawdzimy, czy Kirby jest tak dobra, jak sądzi.

- Nie jestem chora.

- W takim razie nie powinnaś się bać badania.

- Wcale sienie boję, po prostu jestem wściekła. Poza tym nie mam zamiaru niepotrzebnie zabierać czasu Kirby.

Wjechał na krótki podjazd i ostro zahamował przed domkiem Kirby. Położył

rękę na ramieniu siostry. W jego oczach widać było złość.

- Masz dwie możliwości do wyboru: albo wejdiesz tam sama, albo sprawisz, że oboje najemy się wstydu i zmusisz mnie, żebym wniósł cię tam na plecach.

Niezależnie od tego, który sposób wybierasz, i tak tam wejdiesz.

Spojrzeni sobie w oczy. Jo zauważyła, że Brian jest tak samo wściekły jak ona.

W utarczce słownej prawdopodobnie bez trudu odniosłaby zwycięstwo. Gdyby jednak próbowała z nim walczyć - co bardzo często zdarzało im się w dzieciństwie - nie miała najmniejszych szans. Postanowiła więc zachować resztki godności.

Uniosła wysoko głowę, bez stawiania oporu wysiadła z samochodu i ruszyła schodami prowadzącymi do domku Kirby.

Znaleźli ją w kuchni. Stała przy stole i smarowała chleb grabą warstwą masła orzechowego.

- Cześć. - Oblizła kciuk i uśmiechnęła się promiennie, równocześnie z ogromną uwagą przyglądając się obu pełnym wściekłości twarzom. To dziwne, pomyślała, ale złość sprawiła, że nagle stali się bardzo do siebie podobni. - Przyszliście na lunch?

- Masz chwilę czasu, żeby przeprowadzić badanie? - zapytał Brian i wypchnął siostrę do przodu.

Kirby ugryzła kawałek kanapki, nie zwracając uwagi na to, że Jo odwróciła się i syknęła na brata.

- Oczywiście. Następną umówioną wizytę mam dopiero o wpół do drugiej. -

Uśmiechnęła się promiennie. - Które z was ma ochotę stanąć dzisiaj przede mną na golasa?

- Nie wiem, czy zauważyłeś, ale ona właśnie je lunch - Jo z wyższością poinformowała Briana.

- Masło orzechowe można uznać za lunch jedynie wówczas, kiedy ma się sześć lat. - Ponownie popchnął siostrę. - Idź się rozebrać. Nie wyjedziemy stąd, dopóki Kirby nie zbada cię od stóp do głów.

- Z tego, co widzę, będzie to moje pierwsze badanie ofiary porwania. - Kirby uważnie przyjrzała się Brianowi. Miała nadzieję, że jego szorstkie postępowanie w stosunku do siostry wynika z troski o nią. - Idź, Jo, do mojego dawnego pokoju i rozbierz się. Przyjdę za chwilę.

- Nic mi nie dolega.

- Bardzo dobrze. W związku z tym ja będę miała mniej roboty, a ty po wszystkim będziesz miała pełne prawo odpowiednio ukarać Briana. - Poprawiła dłonią staranną fryzurę i ponownie się uśmiechnęła. - Chętnie sama ci w tym pomogę.

- Doskonale. - Jo odwróciła się i ciężkim krokiem ruszyła przez hol.

- O co chodzi, Brian? - zapytała półgłosem Kirby, kiedy Jo zamknęła za sobą drzwi.

- We śnie dręczą ją koszmary, prawie nic nie je. Dziś rano wróciła z kempingu blada jak śmierć.

- A cóż ona robiła na kempingu?

- Ginny nie przyszła do pracy.

- Ginny? To do niej zupełnie niepodobne. - Kirby zmarszczyła brwi, lecz szybko wygładziła czoło. Na razie ma inny powód do zmartwień. - Cieszę się, że ją przyprowadziłeś. Już wcześniej chciałam się jej uważniej przyjrzeć.

- Chcę, żebyś sprawdziła, co jej dolega.

- Brian, obiecuję ci, że ją zbadam i jeśli to jakaś dolegliwość fizyczna, na pewno ją znajdę. Weź jednak pod uwagę, że nie jestem psychiatrą.

Sfrustrowany wsunął ręce do kieszeni.

- Po prostu sprawdź, Czy nie jest chora.

Kirby spokojnie przytaknęła i włożyła mu do ręki resztę swojej kanapki.

- W lodówce jest mleko. Czuj się jak u siebie w domu.

Kiedy weszła do gabinetu, Jo wciąż ubrana niespokojnie krążyła po pokoju.

- Posłuchaj, Kirby...

- Jo, przecież mi ufasz, prawda? - To nie ma nic...

- Zróbmy, co mamy zrobić, a gdy będziemy to już miały za sobą, wszyscy poczujemy się znacznie lepiej. - Wręczyła jej świeży fartuch. - Przejdź na drugą stronę holu, do łazienki, przebierz się i oddaj mocz do miseczki. - Wyjęła czystą kartotekę i formularz, a stojąca obok Jo zmarszczyła brwi. - Muszę tu wpisać pewne dane - kiedy miałaś okres, czy ostatnio chorowałaś, czy przyjmujesz jakieś lekarstwa, czy jesteś na coś uczulona, i wszelkie tego typu rzeczy. Powiesz mi wszystko, gdy już dostosujesz się do wymogów obowiązującej tu mody, a ja tymczasem zrobię analizę moczu.

Pochyliła się, żeby wpisać na kartotece imię Jo.

- Proponuję ci się poddać - szepnęła Kirby - ponieważ Brian jest znacznie wyższy i silniejszy od ciebie.

Jo zacisnęła pięści i niechętnie ruszyła w stronę łazienki..

- Masz nieco podwyższone ciśnienie. - Kirby odłożyła na bok aparat. - Ale tylko trochę i prawdopodobnie jest to efekt twojego wyjątkowo dobrego humoru.

- Bardzo zabawne.

Kirby rozgrzała w dłoni stetoskop i przyłożyła go do pleców Jo.

- Weź głęboki wdech, a teraz wypuść powietrze z płuc. Jeszcze raz. Masz również małą niedowagę. Jako kobieta zielenieję z zazdrości, a jako rozsądny lekarz cmokam z niedowierzaniem.

- Ostatnio nie miałam apetytu.

- Jedzenie serwowane w Sanktuarium powinno ci pomóc uporać się z tym problemem. - A jeśli nie, pomyślała Kirby, wówczas ponownie się nad tym zastanowimy. Wyjęła oftalmoskop i zaczęła kontrolować oczy Jo. - Boli cię głowa?

- Teraz czy w ogóle? - I teraz, i w ogóle.

- Teraz tak, sądzę jednak, że to bezpośredni rezultat starcia z Brianem Tyranem. - Westchnęła. - Wydaje mi się, że od kilku miesięcy zdarza mi się to znacz nie częściej niż zwykle.

- Bóle tępe i pulsujące czy ostre i przejmujące?

- Najczęściej różne odmiany tępych i pulsujących.

- Zdarzają ci się zawroty głowy, omdlenia, nudności? - Nie... raczej nie.

Kirby uniosła głowę, przez cały czas trzymając dłoń na ramieniu Jo.

- Nie, czy raczej nie? - Kiedy Jo wzruszyła ramionami, Kirby odłożyła na bok instrument. - Kochanie, jestem lekarzem i twoją przyjaciółką. Chcę, żebyś była wobec mnie całkiem szczerą, poza tym zapewniam cię, że wszystko, co po wiesz w tym gabinecie, zostanie między nami.

Jo wciągnęła głęboko w płuca powietrze i zacisnęła mocno leżące na kolanach dłonie.

- Ostatnio miałam załamanie. - Powietrze wydobywało się z jej płuc z cichym świstem spowodowanym jednocześnie strachem i ogromną ulgą. - To było mniej więcej miesiąc temu, tuż przed powrotem tutaj. Po prostu się załamałam.

Nic nie byłam w stanie na to poradzić.

Kirby bez słowa położyła obie dłonie na ramionach Jo i zaczęła delikatnie masować. Jo uniosła głowę i w łagodnych, zielonych oczach przyjaciółki zobaczyła jedynie współczucie. Zanim się zorientowała, obraz rozmazał się przysłonięty przez łzy.

- Potwornie się tego wstydę.

- Dlaczego?

- Nigdy nie czułam się tak bezradna. Zawsze byłam w stanie poradzić sobie z każdym problemem, Kirby, przezwyciężyć największe trudności. A tutaj nagle wszystko zaczęło się gromadzić, nawarstwiać, i coraz trudniej było mi to znieść.

W dodatku wciąż nie wiem, czy pewne rzeczy były wytworem mojej wyobraźni, czy też istniały naprawdę. Po prostu nie wiem. A potem nagle zasłabłam. Po prostu załamalam się.

- Czy byłaś wtedy u jakiegoś lekarza?

- Nie miałam innego wyboru. Straciłam przytomność przy moim pomocniku, który natychmiast odtransportował mnie na pogotowie. Tam zdecydowano o pozostawieniu mnie na kilka dni w szpitalu. Lekarze stwierdzili załamanie nerwowe.

Dla mnie nie ma żadnego znaczenia, że zbliżamy się do dwudziestego pierwszego wieku i że ludzie coraz częściej się załamują. Wiem jedno - potwornie się tego wstydzę.

- Zapewniam cię, że nie masz się czego wstydzić. Nikt nie może ci odebrać prawa do własnych odczuć.

Jo uśmiechnęła się nieśmiało.

- Więc przynajmniej nie muszę się wstydzić własnego wstydu.

- Nie musisz. Powiedz mi w takim razie, jak wygląda twoja praca? Czy jesteś bardzo przeciążona?

- Bardzo, ale to mi odpowiada.

- A życie towarzyskie?

- Właściwie równe zero, co również mi odpowiada. To samo, z grubsza, mogę powiedzieć o moich kontaktach seksualnych. Ale nie brakuje mi ich, nie czuję się z tego powodu przygnębiona ani nie tęsknię za mężczyzną. Ostatnio dużo myślę o mojej matce - wyznała z ociąganiem. - Jestem teraz niemal w tym samym wieku, co ona, kiedy nas opuściła i kiedy cały świat stanął do góry nogami.

A twoje życie rozpadło się na drobne kawałki, pomyślała Kirby.

- Pewnie w związku z tym zastanawiasz się - nawet martwisz - że wszystko ponownie może się zmienić i wymknąć ci się spod kontroli. Nie jestem psychiatrą, Jo, jedynie zwykłym lekarzem ogólnym. Wszystko, co właśnie powiedziałam, to raczej rozważania przyjaciółki. Jakie były rokowania, kiedy wypuszczano cię ze szpitala?

- Nawet nie wiem. - Jo przesunęła się na kozetce, marszcząc rozłożony pod nią papier. - Wyszłam ze szpitala na własne żądanie.

- Rozumiem. I pewnie nie wynotowałaś ze swojej kartoteki żadnych lekarstw.

- Nie biorę niczego. Nawet nie pytaj mnie, co mi przepisali, ponieważ niczego nie przyjmowałam. Nie cierpię lekarstw - i nie chcę również, żebyś skierowała mnie do psychiatry.

- W porządku, w takim razie spróbujemy poradzić sobie metodami starymi jak świat. Musimy najpierw wyeliminować wszelkie przyczyny fizyczne. W związku z tym przepiszę ci świeże

powietrze, sporo wypoczynku, regularne posiłki i...nie zaszkodziłoby trochę seksu, jeśli tylko jesteś w stanie znaleźć sobie kogoś, kto by się do tego nadawał - dodała z uśmiechem.

- Nie przepadam za seksem.

- No cóż, kochanie, w takim razie chyba jesteś szalona.

Jo zaskoczona zamrugła oczami, a potem wybuchnęła śmiechem.

- Dzięki.

- To wcale nie miała być zniewaga. Ale jeszcze nie koniec mojej recepty. Muszę dopisać do niej również rozmowę. Ze mną, z członkami rodziny, z kimkolwiek, komu jesteś w stanie zaufać i kto będzie umiał cię wysłuchać. Nie pozwól, by twoje problemy ponownie zaczęły się gromadzić i nawarstwiać. Są ludzie, którzy się o ciebie troszczą.

Skorzystaj z ich pomocy.

Zanim Jo zdążyła otworzyć usta, Kirby potrząsnęła stanowczo głową.

- Twój brat troszczy się o ciebie do tego stopnia, że zdecydował się na użycie przemocy, a w dodatku przyciągnął cię w miejsce, którego, od kiedy się tu wprowadziłam, unika jak ognia. Poza tym, o ile się znam na ludziach, krąży teraz po salonie i przez cały czas mamrocze coś pod nosem, z niepokojem czekając, kiedy wyjdę i poinformuję go, że jego siostrze zostały zaledwie trzy tygodnie życia.

- To go wcale nie zmartwi. - Jo westchnęła ciężko. - Chociaż muszę przyznać, że w tym momencie czuję się znacznie lepiej niż przez ostatnie kilka tygodni. - Potem zauważyła małą strzykawkę i zaczęła się w nią wpatrywać zaokrąglonymi z przerażenia oczami.

- Do diabła, co masz zamiar zrobić?

- Po prostu chcę pobrać ci odrobinę krwi. - Przygotowała igłę i uśmiechnęła się promiennie. - Jeśli masz ochotę pokrzyczeć, proszę bardzo, a wówczas będziesz mogła sprawdzić, jak szybko pojawi się tu Brian.

Jo odwróciła głowę i wstrzymała oddech.

- Nie dam mu tej satysfakcji.

Kiedy Jo z powrotem się ubrała, Kirby podała jej sporą, plastikową buteleczkę.

- To witaminy - powiedziała. - Końska dawka. Jeśli zaczniesz odpowiednio się odżywiać, nie będziesz ich potrzebowała. Teraz jednak szybko pomogą ci odzyskać siły. Gdy dostanę z laboratorium wyniki badania krwi, dam ci znać.

Cała reszta w normie.

- Jestem ci niezmiernie wdzięczna, naprawdę!

- Więc spróbuj tę wdzięczność okazać i zacznij o siebie dbać, a w razie potrzeby przyjdź ze mną porozmawiać.

- Zrobię to. - Jo nigdy nie potrafiła okazywać uczuć, tym razem jednak podeszła do Kirby i pocałowała ją w policzek. - Obiecuję. Tym razem naprawdę mam taki zamiar. Od dawna nie czułam się tak dobrze.

- Cieszę się. Zastosuj się do wszystkich poleceń doktor Kirby, a poczujesz się jeszcze lepiej. - Nie wyjawiając swoich obaw, pozwoliła Jo wyjść.

Tak jak spodziewała się Kirby, Brian niespokojnie krążył po salonie. Na ich widok zatrzymał się i zmierzył obie ponurym wzrokiem. Kirby wytrzymała jego spojrzenie z promiennym uśmiechem.

- Ma pan pełną werwy, ważącą pięćdziesiąt kilo córeczkę. Może być pan z niej dumny. Moje gratulacje.

- Ale kawał. Na co, do diabła, jesteś chora? - zapytał ostro Jo. Przekrzywiła na bok głowę i przymrużyła oczy.

- Pocałuj mnie w nos - zaproponowała, potem ruszyła w stronę drzwi. -

Wracam na piechotę. Dzięki, Kirby, za wciśnięcie w twój harmonogram nagłego widzimisię tego idioty.

- Och, prawdę mówiąc, od wielu miesięcy robiłam wszystko, żeby do tego doprowadzić. - Roześmiała się słysząc, że prowadzące na ganek drzwi zamknęły się z trzaskiem.

- Chcę wiedzieć, co dolega mojej siostrze.

- W tym momencie cierpi na ostry atak brutoritis. Jest to dolegliwość niezmiernie wkurzająca, rzadko jednak bywa tragiczna w skutkach.

- Do jasnej cholery, chcę usłyszeć konkretną odpowiedź - warknął przez zęby, a Kirby ze zrozumieniem kiwnęła głową.

- Bardzo lubię, gdy zachowujesz się jak człowiek. - Odwróciła się w stronę dzbanka z kawą i z zadowoleniem zauważyła, że zaparzył świeżą. - Rozumiem. Chcesz usłyszeć konkretną odpowiedź. Może usiądziesz?

Poczuł bolesny uścisk w żołądku.

- Czy to coś groźnego?

- Nie tak groźnego, jak myślisz. Wszystko widzisz w czarnych barwach, prawda? Jak każdy prawdziwy mężczyzna. - Kiedy mocno zacisnął dłoń na jej ramieniu, wstrzymała oddech.



- Nie jestem w nastroju odpowiednim do tego typu żartów.

- Rozumiem, w takim razie nie mam po co silić się na dowcip. Wszystkie wyniki przeprowadzonych przed chwilą badań będą znała dopiero za parę tygodni, niemniej jednak mogę ci zdradzić swoją uczoną opinię na temat stanu zdrowia pacjentki. Jo jest wyczerpana. Jest spięta i zestresowana, a równocześnie zła na samą siebie o to, że jest spięta i zestresowana. Potrzebuje dokładnie tego, co przed chwilą doskonale zaprezentowałaś. Wsparcia - nawet wtedy, gdy się przed tym broni.

Powoli zaczynał się rozluźniać i odczuwać coraz większą ulgę.

- To wszystko?

Odwróciła się i naląła do kubka kawę.

- Istnieje coś takiego, jak tajemnica lekarska i zaufanie istniejące między lekarzem a pacjentem. Jo ma prawo do zachowania własnych spraw w tajemnicy i zawsze może liczyć na moją dyskrecję w tym względzie.

- Jo jest moją siostrą.

- Tak, i jestem szczęśliwa, widząc, że tak bardzo przejmujesz się jej stanem. Nie byłam pewna, czy cię na to stać. Proszę. - Wcisnęła mu kubek do ręki. - Wróciła do Sanktuarium, ponieważ potrzebuje domu. Potrzebuje rodziny.

W związku z tym nie zapominaj, że jesteś jej bratem. To wszystko, co mogę ci powiedzieć. Resztę musi wyznać sama.

Cofnął się o kilka kroków i, nie zdając sobie nawet z tego sprawy, zaczął sączyć kawę. W porządku, pomyślał, na szczęście nie jest chora na żadną z tych tajemniczych i potwornych chorób, które przychodziły mu na myśl, kiedy na nią czekał. Jedyne wyczerpała swój zapas energii. Dzięki Bogu nie ma raka ani guza mózgu.

- W porządku. - Tym razem powiedział to na głos. - Może uda mi się ją zmusić, żeby zaczęła się regularnie odżywiać, spróbuję również namówić Lexy, żeby przestała z nią walczyć.

- Jesteś cudowny - mruknęła pod nosem Kirby.

- Nie, wcale nie. - Gwałtownym ruchem odstawił kubek i cofnął się. Ponieważ przestał się już martwić o Jo, mógł teraz uważnie przyrzeć się Kirby. Zauważył, jak cudownie uśmiechają się do niego jej syrenie oczy. Spodobało mu się, że jest taka spokojna i opanowana, a uroczo zaróżowioną twarz otaczają złociste włosy. - Staram się jedynie myśleć o sobie. Chcę móc spokojnie zająć się własnymi sprawami, a nie będę mógł sobie na to pozwolić, dopóki ona się nie uspokoi. Spoglądając na niego z sympatią, Kirby podeszła bliżej.

- Kłamca. Oszust. Mięczak.

- Odwołaj to.

- Jeszcze nie. - Ujęła jego twarz w dłonie. Tym razem poczuła nie tylko pożądanie, i za nic na świecie nie była w stanie się temu oprzeć. - Zleciłeś zbadać nie jej, ale nie zapłaciłeś rachunku. - Stała na palcach. - Powinieneś wiedzieć, że moje usługi wcale nie są tanie. - Dotknęła wargami jego ust. Kiedy poczuł ich smak, objął ją w pasie.

- Powtarzam, odwołaj te obelgi. - Pochylił głowę i żarliwie ją pocałował. -

Dlaczego mnie nie słuchasz?

Zaczynało jej brakować tchu, ale było to cudowne uczucie.

- Ponieważ jestem uparta i wytrwała.

- Jesteś agresywna. - Chwytał zębami jej dolną wargę i delikatnie ją pociągnął. -

Nie lubię agresywnych kobiet.

- Mmm. Lubisz.

- Nie. - Pchnął ją do tyłu i całym ciałem przyparł mocno do kontuaru, a jego wargi zdecydowanie przywarły do jej ust. - Ale cię pragnę. Zadowolona?

Odchyliła głowę do tyłu i jęknęła, czując, jak wargi mężczyzny przesuwają się w dół po jej szyi.

- Daj mi pięć minut na odwołanie popołudniowych wizyt, a wówczas na pewno oboje będziemy zadowoleni. Brian, na litość boską, obejmij mnie.

- Nie pójdzie ci tak łatwo. - Uszczypnął ją zębami w ucho, w miejscu, gdzie lśnił

maleńki, szmaragdowy kolczyk, po czym niespokojnie wrócił do jej ust, do których przywarł z takim zapałem, że aż wbiła paznokcie w jego plecy. Miał ogromną ochotę wziąć ją właśnie tutaj i właśnie w tym momencie, wystarczyłoby jedynie rozpiąć rozporek, zsunąć w dół jej eleganckie spodnie, zatopić się w niej i dać ujście desperackiemu pragnieniu i pełnej wściekłości frustracji.

A jednak nie zrobił tego. Spowodowany napięciem ból sprawił, że w ostatniej chwili opanował się i odsunął ją od siebie. Odchylił do tyłu głowę dziewczyny i zajrzał

jej w oczy. Przypominały zielone, niespokojne morze i najwyraźniej ponaglały go, by w nich zanurkował.

- Ja zdecyduję, jak to ma wyglądać. A ty będziesz musiała się z tym pogodzić.

Złość wyraźnie wzięła górę nad pożądaniem.

- Posłuchaj...

- Nie, dość tego. Koniec również z wszelkimi gierkami. Mogłaś się wycofać, ale nie zrobiłaś tego.

Teraz wszystko będzie tak, jak ja chcę. Kiedy tu wrócę, na pewno skończymy, co zaczęliśmy.

Oddychała szybko i czuła, jak w jej żyłach kipi krew. Przez moment serdecznie nienawidziła go za to, że jest w stanie patrzeć na nią tak zimnym i opanowanym wzrokiem.

- Sądzisz, że się boję?

- Podejrzewam, że nie masz na tyle zdrowego rozsądku. - Uśmiechnął się filuternie. - A powinnaś. Wrócę tu - powtórzył, odsuwając ją od siebie. - A wówczas nie będę zwracał uwagi na to, czy jesteś przygotowana.

Z całych sił próbowała się opanować i odzyskać choć odrobinę godności.

- Ty arogancki draniu!

- Tak już lepiej. - Ruszył w stronę drzwi modląc się, by wystarczyło mu siły woli na dotarcie do nich, zanim płonące w nim pragnienie każe mu jęknąć na głos.

Rzucił jej ostatnie spojrzenie, przesunął wzrokiem po potarganych, rozświetlonych słońcem włosach, błyszczących niebezpiecznie oczach i ustach, na których wciąż jeszcze widać było ślady jego pocałunków. - Na twoim miejscu, pani doktor, postarałbym się trochę ogarnąć. Właśnie podjeżdża następny pacjent.

## **ROZDZIAŁ 13**

Wracając do Sanktuarium, Jo postanowiła zrobić Nathanowi niespodziankę i odwiedzić go.

Tak czy owak, pomyślała starając się jakoś usprawiedliwić wybór okrężnej drogi, spacer dobrze mi robi - Może, korzystając z popołudniowego słońca, spróbuje sfotografować rzekę, i przy okazji sprawdzi, ile nad jej brzegami kwitnie polnych kwiatów A przecież, Poza tym domek stanowi przecież własność rodziny.

Wymyśliła nawet wyjaśnienie typu „właśnie przechodziłam obok” i przećwiczyła odpowiedni na tę okazję, całkiem naturalny ton. Dlatego, gdy dotarłszy na miejsce zauważyła, że nie ma jeepa Nathana, poczuła się bardzo zawiedziona.

Przez chwilę stała na podjeździe i zastanawiała się, a potem, nie czekając, aż zmieni zdanie, szybko weszła po schodach. Czy może być coś złego w wejściu na chwilę do środka i zostawieniu wiadomości? Tym sposobem na pewno nikomu w niczym nie przeszkodzi, nie ma również zamiaru myszkować - Chce jedynie... Cholera jasna, drzwi Małego Pragnienia były zamknięte.

Jo była zaszokowana. Ludzie na Desire bardzo rzadko zamykali drzwi na klucz.

To jedynie rozbudziło jej ciekawość, więc, nie zważając na dobre obyczaje, przycisnęła twarz do szyby i zajrzała do środka.

Na długim stole leżał niewielki, zamknięty notebook, a obok niego drukarka. W

poblizu znajdowało się mnóstwo długich tub, prawdopodobnie przeznaczonych na projekty. Na blacie leżał rozłożony ogromny arkusz papieru którego rogi przyciśnięte zostały słoikiem z kawą rozpuszczalną, popielniczką i dwoma kubkami. Jednak, chociaż Jo bardzo wyciągała szyję, nie udało jej się zobaczyć, co jest na nim narysowane.

W końcu to nie moja sprawa, pomyślała, wyężając wzrok. Nagle usłyszała za sobą szelest liści. Szybko odskoczyła do tyłu, niespokojnie oglądając się przez ramię.

W poblizu przebiegł dziki indyk i po chwili z głośnym gulgotaniem poderwał się do lotu. Jo wzniosła oczy ku niebu i poklepała się dłonią po bijącym szybko sercu. Tylko tego jej brakowało, by spomiędzy drzew wyszedł Nathan i przyłapał ją na zagładaniu do wnętrza jego domku.

W tym momencie przypomniała sobie, że ma mnóstwo roboty i kilka ciekawych miejsc, które warto odwiedzić. Przecież wcale nie zбочzyła z drogi, żeby zobaczyć się z Nathanem, chciała jedynie wstąpić do niego przy okazji.

Zbiegając ze schodów i kierując się ku Sanktuarium, próbowała sobie wmówić, że właściwie bardzo dobrze się złożyło. Wybrała trasę prowadzącą wśród palm karłowatych, ruszyła nią wzdłuż wijącej się rzeki i już po chwili znalazła się w zacienionej gęstwinie, która dzięki pnączom muszkatela i gęstym paprociom przypominała tropikalną dżunglę.

W obecnej sytuacji wcale nie potrzebowała zmian ani komplikacji, które Nathan Delaney mógłby wnieść w jej życie. Zwłaszcza że powoli zaczynała wracać do normy.

Gdyby ich znajomość stała się bliższa i bardziej poufała, Jo z pewnością musiałyby powiedzieć mu o... pewnych rzeczach. A to niechybnie położyłoby kres łączącej ich przyjaźni. Kto chciałby się wiązać podczas wakacji z kobietą obłąkaną?

Ścieżka wiła się wśród ogromnych liści palm karłowatych. W pewnym momencie Jo ponownie usłyszała gulgotanie indyka, a po chwili do jej uszu dobiegły również długie, radosne trele gajówki. Jo przyspieszyła kroku, ani na chwilę nie przestając prowadzić dyskusji z samą sobą. Nie zwracała w ogóle uwagi na to, że torba z aparatem fotograficznym mocno uderza o jej biodro.

Tak więc, nie pozwalając, by łącząca ją z Nathanem sympatia przerodziła się w coś więcej, oszczędza im obydwójgu czasu i różnych niezręcznych sytuacji.

Dlaczego do diabła, nie było go w domu?

- Szsz. - Giff zatkał dłonią usta Lexy. Właśnie usłyszał, że ktoś nadchodzi ścieżką przebiegającą w poblizu niewielkiej polanki, którą osłaniały konary potężnych dębów i liście palm karłowatych. - Ktoś idzie w tę stronę - szepnął.

- Ojej! - Lexy błyskawicznie złapała odrzuconą na bok bluzkę i przycisnęła ją do piersi. - O ile dobrze pamiętam, mówiłeś, że Nathana nie ma dzisiaj na wyspie.

- To prawda. Minąłem go, gdy jechał na prom.

- W takim razie kto... Och! - Lexy zerknęła ukradkiem przez liście palm i parsknęła śmiechem. - To tylko Jo. Wygląda na straszliwie wściekłą! Jak zwykle.

- Cicho. - Giff pociągnął Lexy w dół. - Wcale nie mam ochoty na to, żeby twoja siostra przyłapała mnie bez majtek.

- Przecież masz takiego wspaniałego... - Objęła go i przez dobrą chwilę, tłumiąc śmiech, oboje tarzali się wśród wysokich traw. Po chwili Jo zniknęła z pola widzenia.

- Jesteś okropna, Lexy. - Giff w końcu przygwoździł ją do ziemi i uśmiechnął

się od ucha do ucha. Wciąż miała na sobie stanik - prawdę mówiąc, nie zdążyli się go jeszcze pozbyć - dzięki temu mógł się nacieszyć miłym uczuciem wywołanym przez tarcie śliskiego materiału o jego klatkę piersiową. - Powiedz, jak zdołałbym jej wyjaśnić mój... dziwny strój?

- Jeśli nie wie, co jest grane, może czas najwyższy, żeby ktoś ją uświadomił. Giff potrząsnął głową, pochylił się i pocałował Lexy w czubek nosa.

- Nie jesteś zbyt miła dla siostry.

- Ja nie jestem dla niej zbyt miła? - wypaliła. - Spróbuj odwrócić role, a wówczas twoje stwierdzenie będzie znacznie bliższe prawdy.

- No cóż, być może po prostu obie nie jesteście dla siebie zbyt miłe. Wydaje mi się, że Jo ostatnio przeżyła ciężkie chwile.

- Żyje tak, jak chce, i to jej prywatna sprawa - zaprotestowała Lexy, równocześnie wydymając wargi i kręcąc wokół palca kosmyk włosów Giffa. - Ma dobrą pracę, bardzo dużo podróżuje. Ludzie na widok jej zdjęć nie mogą się powstrzymać od ochów i achów, zupełnie jakby podziwiali najpiękniejsze pod słońcem noworodki. Albo studiują je z ogromnym namaszczeniem, jak jakieś głupie podręczniki. Poza tym zarabia kupę szmalu, a przynajmniej na tyle dużo, żeby nie martwić się o spadek ani emeryturę.

Giff w nagłym przyływie miłości pogłaskał Lexy po brodzie.

- Skarbie, wcale nie musisz być zazdrosna o Jo. Niepotrzebnie tracisz czas.

- Zazdrosna? - Ta jawna obelga tak zaskoczyła Lexy, że przez moment patrzyła na niego okrągłymi ze zdumienia oczami. - Dlaczego, do jasnej cholery, miałabym być zazdrosna o Jo?

- Nie wiem, ale to wcale nie zmienia faktu, że jesteś. - Pocałował ją, delikatnie przygryzając jej wargę. - Obie dążycie do tego samego celu. Ponieważ różnicie się od siebie jak dzień i noc, każda z was robi to na swój sposób, jednak cel przez cały czas pozostaje ten sam.

- Naprawdę? - Jej głos był w tej chwili słodki jak miód. - A czy mogę zapytać, jaki to jest cel?

- Obie chcecie być szczęśliwe. Niemal wszyscy ludzie tego pragną. Chcą również zostawić po sobie

jakiś ślad. Fakt, że jej się to udało wcześniej niż tobie wcale nie umniejsza twoich przyszłych osiągnięć. Poza tym pamiętaj, że Jo ma nad tobą trzyletnią przewagę.

Jego słowa wcale nie zdołały udobruchać Lexy. Teraz jej głos był niemal lodowaty.

- Jeśli miałeś zamiar jedynie porozmawiać ze mną o mojej siostrze, zupełnie niepotrzebnie mnie tu ściągnąłeś.

- Kochanie, przecież to ty mnie tu przyprowadziłaś. - Uśmiechnął się i nadal trzymał ją pod sobą, chociaż gwałtownymi ruchami usiłowała uwolnić się od jego ciężaru. - O ile pamiętam, zwiłaś z domu i bez uprzedzenia zjawiłaś się w Piaskowym Zamku, w którym właśnie wymieniałem osłonę ganku. Szepnęłaś mi na ucho kilka słów, a ponieważ miałaś ze sobą nawet koc, jakież mężczyzna zdołałby ci się oprzeć?

Uniosła brodę i zmarszczyła brwi.

- Nie rozumiem, Giff. Czemu miałby mi się opierać mężczyzna?

- Skoro nie wiesz, podejrzewam, że muszę ci pokazać.

Wcale się nie spieszył, a jego ociąganie sprawiło, że zabrakło jej sił i zaczęła drżeć. Poprzedniej nocy wszystko odbyło się w takim pośpiechu, że miała wrażenie, jakby porwana została przez potężny nurt rzeki namiętności i żaru. Pożądanie zwiększało rozkosz, a rozkosz jeszcze bardziej potęgowała pożądanie. Ale dzisiaj, w cudownie chłodnej, leśnej gęstwinie, przy przyćmionym świetle, jego ręce niezwykle wolno poruszały się po jej ciele, a znajdujące się na nich zgrubienia delikatnie pocierały o jej skórę, przesuając się w górę i w dół. Jego gorące usta bez pośpiechu poznawały ją centymetr po centymetrze. Na dodatek co chwila wracały do jej warg, zupełnie jakby nie mogły się nimi nasycić.

W pewnym momencie wyrwało jej się westchnienie.

Giff wiedział, że może z nią zrobić, co zechce. Całe życie czekał na tę chwilę, marzył, by się z nią kochać i móc obserwować, jak będzie reagowała. Wszystko, co wiązało się z Lexy, zawsze wydawało mu się niezwykle cenne. Teraz mógł jej to pokazać. Pewnego dnia, gdy tylko zdoła znaleźć odpowiednie słowa, spróbuje jej to powiedzieć.

Kiedy wślizgnął się w nią, jęknęła na powitanie. Objął ją mocno, by dać jej więcej i wziąć więcej, a przez cały czas poruszał się tak leniwie, jak przepływająca obok rzeka.

Kiedy pochylił głowę i zaczął delikatnie ssać jej piersi, krzyknęła zaszokowana.

- Ty pierwsza - szepnął. - Chcę to widzieć.

Nie była w stanie się powstrzymać. Czowała się tak, jakby była leciutkim listkiem unoszonym przez bystry nurt. Rozkosz ogarnęła ją ze wszystkich stron niczym wysoka, potężna fala. Ledwo zdołała z westchnieniem wymówić jego imię, po czym poddała się silnemu prądowi przepływającemu przez jej ciało.

Ponownie przywarł ustami do jej warg, a po chwili cały świat zawirował wokół

niego i poczuł ogromną ulgę.

- Mmm. - Nie była w stanie nic więcej powiedzieć, a on tymczasem obrócił się razem z nią i położył jej głowę na swojej klatce piersiowej. Nigdy wcześniej nie przeżyła takiego orgazmu - nigdy rozkosz nie pełzała po jej ciele niczym delikatne, jedwabne palce, poczynając od palców u nóg i wędrując powoli w górę.

Giff przez cały czas był tak opanowany i tak bardzo skupiony na niej. Jedyne jego przyspieszone tętno, które czuła w miejscu, w którym przytuliła do jego szyi policzek, dowodziło, że Giff jest tak samo zagubiony, jak ona.

Ponownie się uśmiechnęła i musnęła wargami jego klatkę piersiową.

- Musiałeś chyba sporo ćwiczyć.

Nie otwierał oczu, rozkoszując się łagodnym podmuchem wiatru igrającym na jego twarzy i delikatnością jej włosów, które czuł pod dłonią.

- Zawsze wierzyłem, że pewne umiejętności warto tak długo doskonalić, dopóki nie osiągnie się w nich prawdziwego mistrzostwa.

- Śmiem twierdzić, że już jesteś mistrzem.

- Pragnąłem cię przez całe życie, Lexy.

Te słowa, tak proste i oczywiste, sprawiły, że poczuła drżenie serca. Miała wrażenie, że otacza ją jakaś dziwna poświata, uniosła więc głowę, a kiedy spojrzała na Giffa, jej serce zadrżało ponownie.

- Sądzę, że w głębi duszy również zawsze cię pragnęłam.

Kiedy otworzył oczy, zaschło jej w gardle, mimo to uśmiechnęła się bezczelnie.

- Ale zawsze byłeś taki chudy.

- A ty byłaś płaska jak deska. - Roześmiała się, kiedy położył dłonie na jej piersiach. - No cóż, wszystko się zmienia.

Przesunęła się nieco i usiadła na nim okrakiem.

- Zawsze ciągnąłeś mnie za włosy.

- Za to ty mnie gryzałaś. Do tej pory na lewym ramieniu noszę ślad po twoich zębach.

Ze śmiechem odrzuciła włosy do tyłu. Wiedziała, że trudno będzie rozczesać tę plątaninę, i na pewno nie obejdzie się bez bólu, musiała jednak przyznać, że wcale tego nie żałuje.

- Nieprawda.

- Niech to diabli, naprawdę nie kłamię. Mama mówi, że noszę znak Hathawayów.

- Sprawdzimy. - Pchnęła go mocno i obróciła na bok. Pochyliła się i przymrużyła oczy, żeby móc lepiej zobaczyć słabo widoczną, białą bliznę. - Gdzie to masz? Nic nie widzę. - Przysunęła się jeszcze bliżej. - Och, masz na myśli tę maleńką plamkę? Daj spokój, przecież tego prawie w ogóle nie widać. Teraz na pewno mogłabym się spisać dużo lepiej.

Nim zdołał się obrócić, zacisnęła zęby na jego ramieniu. Krzyknął, przerzucił ją przez siebie i mocował się z nią, dopóki nie zaplątali się całkowicie w koc. Chwycił ją w taki sposób, że nie była w stanie złapać tchu. Ponownie ogarnęła ją fala pożądania.

- Tym razem to ja spróbuję zostawić swój ślad.

- Tylko nie próbuj mnie ugryźć, Giff. - Śmiała się, broniła, próbowała mu się wywinąć. - Au! Cholera jasna.

- Jeszcze cię nie ugryzłem.

- Ale ja coś poczułam.

Odsunął się gwałtownie i rozejrzał w obawie przed wężami. Odwrócił ją, wstał

szybko i jednym zdecydowanym ruchem wziął Lexy na ręce. Zaskoczona obserwowała, jak jego niezwykle skupione i opanowane nagle oczy uważnie sprawdzają podłoże.

- O rany! - jęknęła czując, jak jej romantyczne serce zamiera w piersiach.

Nic nie pełzało w trawie, nie ślizgało się ani nie podkradało. Giff zauważył

jednak błysk srebra. Postawił Lexy na nogi i obrócił ją. Na lewej łopatce miała niewielkie, czerwone zadrapanie.

- Zaczepiłaś o coś, to wszystko. - Delikatnie pocałował ranekę, potem pochylił

się i podniósł srebrny wisiorek. - Wygląda na czyjś kolczyk.

Mając oczy wciąż jeszcze zaokrąglone ze zdziwienia, Lexy sięgnęła ręką do tyłu i bezwiednie potarła maleńkie, bolesne miejsce. To nie do wiary, pomyślała z rozmarzeniem, ale podniósł ją, jakby w ogóle nic nie ważyła. Potem, trzymając ją na rękach, wyglądał zupełnie jakby miał zamiar bronić ją przed ziejącym ogniem smokiem.

Przez moment wyobrażała sobie Lancelota i Ginewrę oraz otoczone mgłą średniowieczne zamki, dlatego dopiero po chwili zdołała skupić uwagę na trzymanym przez Giffa kolczyku. Był to lśniący łańcuszek z maleńkich, srebrnych gwiazdek.



- To kolczyk Ginny. - Delikatnie zmarszczyła czoło, wyciągnęła rękę i wzięła ozdobę. - Jej ulubiony. Ciekawe, skąd się tu wziął?

Giff zmarszczył brwi.

- Podejrzewam, że nie jesteśmy pierwszymi ludźmi, którzy wykorzystują las nie tylko po to, by trochę pospacerować na łonie natury.

Lexy ze śmiechem ponownie usiadła na kocu, ostrożnie położyła obok siebie kolczyk, a potem sięgnęła po stanik.

- Sądzę, że masz rację. Chociaż musiałyby bardzo zboczyć, idąc z kempingu do swojego domku. Czy miała go wczoraj wieczorem?

- Nie zwracam zbytnej uwagi na to, co moja kuzynka nosi w uszach -

powiedział Giff oschle.

- Jestem prawie pewna...

Urwała, usiłując przypomnieć sobie, jak wyglądała Ginny. Miała na sobie jaskrawo czerwoną bluzkę nabijaną srebrnymi ćwiekami, obcisłe, białe džinsy i pleciony pasek. I owszem, przypomniała sobie Lexy, niemal na pewno z uszu Ginny zwisały jej ulubione srebrne gwiazdki. Zawsze uwielbiała, gdy delikatnie kołysały się i połyskiwały w świetle.

- No cóż, to i tak nie ma znaczenia. Oddam jej to. Jeśli zdołam ją znaleźć.

Usiadł i zaczął wciągać slipy.

- O czym ty mówisz?

- Podczas wczorajszego ogniska musiała jej się przytrafić bardzo namiętna

randka, ponieważ dziś rano nie pojawiła się w pracy.

- Co to znaczy „nie pojawiła się w pracy”? Ginny zawsze wykonuje swoje obowiązki.

- Zawsze, z wyjątkiem dzisiejszego dnia. Rano, gdy zesłam, by podać gościom śniadanie, w kuchni panowało spore zamieszanie. - Lexy odszukała w torebce grzebyk, po czym zaczęła żmudny proces rozczesywania poplątanych włosów. - Au, cholera. Mieliśmy na kempingu kilka osób, które chciały się wymeldować, kilka innych czekało na zameldowanie, ale Ginny nie było. Kate wysłała tam tatę i Jo, żeby załatwili wszystkie formalności.

Giff podciągnął džinsy i wstał, żeby je zapiąć.

- Sprawdzili jej dom?

- Skończyłam pracę, nim wrócili, sądzą jednak, że tak. Muszę przyznać, że Kate była potwornie zdenerwowana.

- To niepodobne do Ginny. Jest trochę nieobliczalna, ale nigdy nie zostawiła Kate na lodzie.

- Może się rozchorowała. - Lexy potarła koleczek palcami, a potem wetknęła go do kieszonki obcisłych szortów, które włożyła po to, by doprowadzić Giffa do szaleństwa. - Wypiła wczoraj sporo tequili.

Przytaknął, wiedział jednak, że kac nie przeszkodziłby Ginny w wykonywaniu należącej do niej roboty, a przynajmniej z pewnością dopilnowałaby, żeby ktoś ją zastąpił. Przypomniawszy sobie, jak niepewnym krokiem wędrowała ciemną plażą, machała ręką do niego i Lexy, przesyłała im pocałunki.

- Pójdę i sprawdzę, co się z nią dzieje.

- Zrób to. - Lexy wstała i z prawdziwą przyjemnością stwierdziła, że Giff nie może oderwać wzroku od jej nóg. - A może później... - zarzuciła mu ręce na szyję -

...sprawdzisz, co się dzieje ze mną.

- Myślałem już o tym. Doszedłem do wniosku, że wstąpię i zamówię sobie w gospodzie kolację. Zaczekam... aż mnie obsłużysz.

- Ojej. - Kiedy się cofnęła, na jej ustach pojawił się kokieterijny uśmiech i coraz wolniej rozczesywała poplątane włosy. - Naprawdę chciałeś to zrobić?

- Jasne. Zastanawiałem się również, co by było, gdybym potem wszedł po schodach na piętro i być może trafił do twojego pokoju. Tym razem dla odmiany mogliśmy spróbować w łóżku.

- No cóż. - Obliznęła językiem górną wargę. - Może byłoby to możliwe już dzisiejszej nocy - wszystko zależy od tego, jakie dajesz napiwki.

Uśmiechnął się i pocałował jej wilgotne wargi, ponownie przyprawiając Lexy o zawrót głowy.

Kiedy po chwili zdołała zaczerpnąć odrobinę powietrza, wysapała:

- To jest naprawdę dobry początek. - Pochyliła się, żeby zabrać koc, celowo odwracając się do niego w taki sposób, by zademonstrować mu swe zgrabne pośladki w obcisłych szortach, a potem spojrzała na niego. - Postaram się... bardzo dobrze cię obsłużyć.

Kiedy Giff z powrotem znalazł się w swej furgonetce i jechał w stronę kempingu, rytm jego serca powoli wracał do normy. Ta kobieta to wulkan namiętności, pomyślał, a życie u jej boku będzie nieustanną przygodą. Lexy prawdopodobnie jeszcze nie myśli o tym, że mogłaby zostać przy nim na całe życie, ale powinna dać się przekonać.

Uśmiechnął się do siebie, włączył radio, a z głośników popłynęło żalosne zawołanie Clinta Blacka.

Giff wszystko dokładnie zaplanował. Najpierw zaloty -

które, jego zdaniem, całkiem nieźle posuwały się do przodu - potem oświadczyły, a w końcu ślub i wspólne życie.

Jeśli tylko uda mu się przekonać Lexy, że jest właśnie tym mężczyzną, którego ona tak bardzo potrzebuje, wówczas na pewno zdoła osiągnąć swój cel. A na razie czeka ich mnóstwo doskonałej zabawy w łóżku.

Skręcił w stronę kempingu i zmarszczył brwi, widząc, że w budce zamiast Ginny urzęduje młody chłopak.

- Cześć, Colin. - Giff zahamował i wychylił się przez okno. - Ty tu dzisiaj pracujesz?

- Na to wygląda.

- Widziałaś Ginny?

- Zaginął po niej wszelki ślad. - Chłopiec znacząco przymrużył oko. - Mu siała chyba spotkać tego wymarzonego.

- Tak. - Mimo to Giff poczuł niemiły uścisk w dołku. - Mam zamiar zajrzeć do jej chaty. Sprawdzę, co się dzieje.

- Proszę bardzo.

Giff jechał powoli, przez cały czas licząc się z tym, że na drogę może wybiec jakieś dziecko. Niedługo nadejdzie lato, a wówczas będzie jeszcze gorzej: na kempingu robi się tłoczno, w chatach również, a na plaży wczasowicze porozkładają mnóstwo ręczników. Mieszkańcy domków przez pół dnia będą się smażyć w pełnym słońcu, a po powrocie włączą klimatyzację. Co oznacza, że będzie miał mnóstwo roboty przy usuwaniu awarii.

Nie miał nic przeciwko temu. Była to dobra, uczciwa robota. A jednak chwilami marzył, by zająć się czymś bardziej skomplikowanym, i wiedział, że kiedyś przyjdzie na to czas.

Skręcił w krótki podjazd znajdujący się przed chatką Ginny, zatrzymał się i wysiadł. Miał nadzieję, że zastanie ją w łóżku, jęczącą i z głową w misce. Tylko to mogłoby wyjaśnić panującą wokół cholerną ciszę. Ginny, ilekroć była w domu, zawsze włączała na pełny regulator radio i telewizor, a do tego wszystkiego wtórowała piosenkarzom albo prowadziła ciągnące się bez końca dyskusje z gośćmi któregoś z uwielbianych przez siebie programów. Wszystkie te dźwięki tworzyły radosną kakofonię głosów. Ginny mawiała, że dzięki temu nie czuje się samotna.

Jednak nie słyszał nic, z wyjątkiem postukiwania palmowych liści poruszanych przez łagodną bryzę i kumkania żab w pobliskiej wodzie. Podszedł do drzwi, a ponieważ czuł się w jej chacie jak u siebie w domu, nawet nie zwracał sobie głowy pukaniem.

O mały włos nie wyskoczył ze skóry, kiedy w środku dostrzegł męską sylwetkę.

- Boże Wszchemogący, Bri, śmiertelnie mnie przestraszyłeś.

- Przepraszam. - Brian uśmiechnął się delikatnie. - Usłyszałem furgonetkę i przyszło mi na myśl, że to może Ginny. - Zerknął Giffowi przez ramię. - Nie ma jej z tobą, prawda?

- Nie, właśnie przed chwilą usłyszałem, że nie przyszła do pracy, więc przyjechałem sprawdzić.

- Tutaj jej nie ma. Wygląda na to, że w ogóle dzisiaj się nie pojawiła w domu, chociaż trudno stwierdzić z całą pewnością. - Spojrzał za siebie. - Ta kobieta robi taki bałagan, jak trzy siejące wokół siebie spustoszenie nastolatki.

- Może jest na którymś polu kempingowym.

Brian spojrzał na drzewa, które tłoczyły się wokół kępek złocistych, bagiennych traw. Wśród nich widać było parę rozeńców, które przysiadły na trzęsawisku, by chwilę odpocząć w swojej wędrówce wzdłuż wybrzeży Atlantyku. Wysoko nad głowami leniwie krążył jastrząb. Nad wąską ścieżką obrośniętą z obu stron płataniną trzykrotki wesoło przemykały trzy wielobarwne motyle.

W tym maleńkim zakątku wyspy nie widać było ani śladu ludzkiej obecności.

- Zaparkowałem w pobliżu pola numer jeden i przyszedłem tutaj okreśną drogą. Wszędzie o nią pytałem, ale ludzie utrzymują, że od wczoraj jej nie widzieli.

- To mi się nie podoba. - Giff poczuł, że niemiły uścisk w dołku zamienia się w tępy ból. - Bri, to mi się bardzo nie podoba.

- Zgadzam się z tobą. Jest już po drugiej. Nawet jeśli noc spędziła gdzie indziej, do tego czasu powinna się już pojawić. - Zmartwienie spowodowało, że miał wrażenie, jakby ktoś pięścią naciskał na jego kark. Nie zdając sobie z tego sprawy, zaczął go masować i ponownie spojrzał na bałagan, który panował w chacie Ginny. - Chyba najwyższy czas, żebyśmy zaczęli telefonować.

- Pójdę i porozmawiam z matką. Jest w stanie załatwić pięć, a nawet sześć rozmów, zanim którykolwiek z nas zdoła zamienić kilka zdań zjedną osobą. Chodź, po drodze podrzucę cię do twojego samochodu.

- Będę ci niezmiernie wdzięczny.

- Wczoraj wieczorem była nieźle pijana - stwierdził Giff, siadając za kierownicą.

- Widziałem ją... to znaczy widzieliśmy ją oboje z Lexy. Byliśmy w wodzie...

pływaliśmy - dodał, rozglądając się dookoła.

- Rozumiem... pływaliście.

Giff odczekał chwilę, po czym naciągnął na oczy daszek czapki.

- Jak mam ci powiedzieć, że spiam z twoją siostrą? Brian przycisnął palce do oczu.
- Sądzę, że był to jeden z możliwych sposobów. Zważywszy na okoliczności, trudno mi się zdobyć na złożenie gratulacji.
- Chcesz wiedzieć, jakie mam w stosunku do niej zamiary?
- Nie. - Brian uniósł dłoń. - Naprawdę nie chcę.
- Zamierzam się z nią ożenić.
- W takim razie chyba nigdy nie zdobędę się na złożenie ci gratulacji. - Brian poprawił się na siedzeniu i spokojnie spojrzał na Giffa. - Zwariowałaś?
- Kocham ją. - Giff wrzucił wsteczny i zaczął cofać. - Zawsze ją kochałem. Brian wyobraził sobie Lexy z radością zrzucającą z urwiska wciąż jeszcze krwawiące serce Giffa.
- Jesteś dorosłym człowiekiem, Giff. Doskonale wiesz, w co się pakujesz.
- To prawda. O ile wiem, prawdą jest również, że ani ty, ani nikt inny w waszej rodzinie nigdy nie darzył Lexy zbyt dużym szacunkiem. - Giff zazwyczaj mówił bardzo łagodnie, tym razem jednak podniósł nieco głos, co sprawiło, że Brian zmarszczył

brwi. - Tymczasem ona jest bystra, zdecydowana, ma serce ogromne jak ocean i, jeśli zignorujesz wszelkie bzdury, które plecie, w rzeczywistości po trafi być niezwykle lojalna.

Brian ciężko westchnął. Wiedział, że Lexy równocześnie jest lekkomyślna, impulsywna i samolubna. Mimo to słowa Giffa uderzyły we właściwą strunę i sprawiły, że Brianowi zrobiło się wstyd.

- Masz rację. I jeśli ktokolwiek na świecie jest w stanie wydobyć na światło dzienne jej zalety, podejrzewam, że jesteś to właśnie ty.

- Ona mnie potrzebuje. - Giff bębnił palcami po kierownicy. - Byłbym ci niezmiernie wdzięczny, gdybyś nie wspominał jej o naszej rozmowie. Jeszcze nie wszystko jej powiedziałem.

- Uwierz mi, ostatnią rzeczą, o której miałbym ochotę rozmawiać z Alexą, jest jej życie seksualne.

- To dobrze. No cóż, odbiegłem nieco od tematu, miałem zamiar powiedzieć coś zupełnie innego. Jak już wspominałem, widziałem Ginny wczoraj wieczorem.

Musiało być chyba koło północy. Nie zwracałem wówczas na nią zbyt dużej uwagi.

Wędrowała plażą na południe... zatrzymała się na chwilę i pomachała nam ręką.

- Była sama?

- Tak. Powiedziała, że musi trochę wytrzeźwieć. Nie widziałem jej wracającej, ale przez chwilę

byłem... hmm... trochę zajęty.

- No cóż, gdyby padła gdzieś na plaży, do tego czasu ktoś by ją już znalazł, wynika z tego, że musiała wrócić, albo przejść przez wydmy.

- Na tej polance, która znajduje się niedaleko rzeki po stronie Sanktuarium, znaleźliśmy jeden z jej kolczyków.

- Kiedy?

- Bardzo niedawno - powiedział Giff, zatrzymując się obok samochodu Briana.

- Lexy i ja...

- Proszę, tylko nie każ mi sobie tego wyobrażać. - Potrząsnął głową. - Jesteś pewien, że kolczyk należał do Ginny?

- Lexy mówi, że tak... Jest również niemal w stu procentach przekonana, że Ginny miała go wczoraj wieczorem.

- Jeśli chodzi o tego rodzaju drobiazgi, Lexy potrafi być bardzo spostrzegawcza.

Ale byłoby nieco dziwne, gdyby Ginny tamtędy szła do domu.

- To samo przyszło mi do głowy. Może jednak była w czyimś towarzystwie.

Ginny zazwyczaj zostaje na imprezach do samego końca - chyba że ma w planie następne przyjęcie.

- Żadne z tych dwóch rozwiązań nie pasuje do Ginny.

- Rzeczywiście. Zaczynam się o nią martwić, Brian.

- Nic dziwnego. - Wsiadł z furgonetki, potem odwrócił się i oparł się o okienko. - Poproś mamę, żeby zaczęła dzwonić. Ja pojedę do portu. Kto wie, może spotkała mężczyznę swoich marzeń i uciekła promem do Savannach.

O szóstej już wszędzie trwały poszukiwania. Sprawdzano każdą przecinającą las ścieżkę, prowadzące na północ trasy spacerowe, rozległe plaże i kręte dróżki wijące się wśród mokradeł. Niektórzy spośród przetrząsających wyspę pamiętali poszukiwania innej kobiety.

Dwadzieścia lat nie zdołało wymazać tego z pamięci. Dlatego teraz, szukając Ginny, wiele osób rozmawiało o Annabelle.

Może Ginny opuściła wyspę tak samo jak Belle. Niektórzy sądzili, że to możliwe. Ciągnęło ją w świat, więc uległa pokusie. Młoda Pendletonówna zawsze była trochę nieobliczalna. Nie, nie Annabelle, mówili, ale Ginny. Annabelle to cicha woda, natomiast Ginny bardziej przypominała siejącą spustoszenie wysoką falę.

A jednak obie zniknęły w taki sam sposób.

Nathan usłyszał jedną z takich rozmów jeszcze zanim opuścił port. Właśnie wrzucił aktówkę do kabiny i ładował zapasy na tył samochodu.

Poczuł przyspieszone i bardzo mocne bicie serca. Żołądek podszedł mu do gardła. Co chwila słyszał wymawiane przez kogoś imię Annabelle, a to sprawiło, że zaczęło mu dzwonić w uszach. Nathan najpierw powtarzał sobie, że przyjechał tu, by stawić czoło wspomnieniom, potem próbował w ogóle o tym nie myśleć. Nie był

pewien, jak długo jeszcze zdoła postępować w ten sposób. Nie wiedział również, czy zaakceptuje decyzję, którą musiał podjąć, niezależnie od tego, jaka będzie.

Pojechał prosto do Sanktuarium.

Jo siedziała na okazałych, frontowych schodach z głową opartą na kolanach.

Kiedy usłyszała warkot jego jeepa, wyprostowała się, a wówczas Nathan dostrzegł w jej oczach wszystkie prześladowające go duchy i zjawy.

- Nie możemy jej znaleźć. - Zacisnęła mocno wargi. - Mówię o Ginny.

- Słyszałem. - Nie wiedząc, jak jej pomóc, usiadł obok i objął Jo ramieniem, by mogła się do niego przytulić. - Właśnie przed chwilą przyjechałem promem.

- Od wielu godzin szukamy jej dosłownie wszędzie. Zniknęła, Nathan, po prostu zniknęła, jak... - Nie była w stanie tego wypowiedzieć. Za nic na świecie.

Starła się nabrać odrobinę powietrza do płuc. Zmusiła się, żeby o tym nie myśleć i odetchnęła głęboko. - Gdyby była gdzieś na wyspie, na pewno ktoś by ją zobaczył, ktoś by ją znalazł.

- To spory obszar.

- Nie. - Potrząsnęła głową. - Oczywiście, gdyby chciała się ukryć, na pewno by się jej to udało. Ginny, tak zresztą jak my wszyscy, zna tę wyspę niczym własną kieszeń, wie wszystko o każdej ścieżce i każdej zatoczce. Ale po co i przed kim miałyby się chować? Po prostu wyjechała.

- Nie widziałem jej na porannym promie. Co prawda przespałem większość trasy w samochodzie, ale Ginny nie należy do osób, które można przegapić.

- Sprawdzaliśmy wcześniej. Wiemy, że nie płynęła promem.

- W porządku. - Przesunął dłonią po ramieniu Jo, równocześnie starając się myśleć. - A co z prywatnymi łodziami? Jest ich tutaj kilka - należą do mieszkańców wyspy i ludzi ze stałego lądu.

- Ginny potrafi pływać motorówką, ale nikt nie zgłosił zniknięcia łodzi. Nikt również nie przyszedł powiedzieć, że wywiózł Ginny z wyspy.

- Czy mógł to być jakiś człowiek, który przyjechał tutaj na jeden dzień?

- Tak - przyznała, próbując pogodzić się z taką możliwością. - Większość ludzi zaczyna tak przypuszczać. Sadzą, że coś jej odbiło i po prostu z kimś wyje chała.

Zdarzało się to Ginny już wcześniej, ale nigdy tego typu eskapady nie kolidowały z jej pracą, poza tym zawsze zostawiała jakąś wiadomość.

Nathan przypomniał sobie, jak się do niego uśmiechała. *Cześć, przystojniaczku.*

- Wczoraj wieczorem wypła sporo tequili.

- O tym również ludzie mówią - Odsunęła się od niego. - Ginny nie jest ordynarną, nieodpowiedzialną pijaczką.

- Wcale tego nie powiedziałem, Jo, i nic takiego nie miałem na myśli.

- Najłatwiej stwierdzić, że w ogóle nie pomyślała, że zrobiła to bez zastanowienia. Że po prostu wyjechała nic nikomu nie mówiąc, nie myśląc o nikim.

Słyszac własne słowa, Jo poderwała się na równe nogi. - Zostawiła dom i rodzinę, ludzi, którzy ją kochają, i nawet nie przeszło jej przez myśl, jak bardzo będą się o nią martwić, ile się nacierpią.

Podniosła głos, a w jej oczach widać było złość. W tym momencie mówiła o własnej matce. Nie zwracała uwagi na trzeźwe i pełne współczucia spojrzenie Nathana, który doskonale zdawał sobie sprawę z tego, co się z nią dzieje.

- Nie wierzę w to. - Na chwilę wstrzymała oddech, a potem powoli wypuściła powietrze z płuc. - Nigdy w to nie wierzyłam.

- Przykro mi. - Wstał i objął ją. Chociaż próbowała się odsunąć, nie puścił jej. -

Bardzo mi przykro, Jo.

- Nie potrzebuję twojego współczucia. Nie chcę nic od ciebie ani od kogokolwiek innego. Zostaw mnie w spokoju.

- Nie. - Zbyt wiele osób zostawiało ją w spokoju, pomyślał Nathan. I zbyt często. Przytulił policzek do jej włosów i przeczekał złość dziewczyny.

Nagle przestała się bronić i mocno go objęła.

- Och, Nathan, tak się boję. Mam wrażenie, że przeżywam wszystko po raz drugi, nadal nie wiedząc dlaczego.

Spojrzał nad jej głową na zarośnięty ogród, pełen lwich paszczy i dzwonek.



- Sądzisz, że byłoby ci łatwiej, gdybyś знаła odpowiedź na to pytanie?

- Niewykluczone, że nie, a czasem wydaje mi się, że wówczas byłoby jeszcze gorzej. Dla nas wszystkich. - Przytuliła twarz do jego szyi i poczuła ogromną wdzięczność, że on tu jest, taki spokojny i cierpliwy. - Złości mnie, że ojciec wszystko pamięta, tak samo Brian i Lexy. Nie rozmawiamy na ten temat, nie potrafimy się zdobyć, żeby go poruszyć. Ale to gnębi i tkwi w nas głęboko. Moim zdaniem właśnie ta sprawa tak bardzo odpycha nas od siebie niemal przez całe życie. - Ciężko westchnęła i powoli zaczęła się uspokajać, słysząc równomierne bicie serca Nathana. - Teraz łapię się na tym, że myślę raczej o mamie, nie o Ginny, i jestem o to na siebie serdecznie wściekła.

- Nie musisz. - Musnął wargami jej skroń, policzki, a w końcu usta. - Nie musisz - powtórzył i zaczął ją całować, chociaż właściwie nie miał takiego zamiaru.

Nie odsunęła się, lecz tym razem z radością przyjęła to, co pragnął jej dać.

Chciał ofiarować jej ukojenie, tymczasem mający je przynieść pocałunek stawał się coraz bardziej namiętny. Nathan uniósł ręce, ujął w dłonie jej twarz, a potem powoli przesunął je w dół w niespiesznej, delikatnej pieszczocie, która sprawiła, że pod Jo zaczęły się uginać nogi.

Ogarnęło ją słodkie, niepoahamowane i niezwykle silne pożądanie. W tym momencie pragnęła jedynie poddać się temu całkowicie. Starła się nie zwracać uwagi, że kręci jej się w głowie. Dokąd to wszystko zmierza? Nagle z całego serca zapragnęła, by mogli tak zwyczajnie zatopić się w powolnym, nie mającym końca pocałunku, nie zważając na to, że słońce coraz bardziej zbliża się do linii horyzontu, a cienie stają się coraz dłuższe i ciemniejsze.

- Nie mogę tego zrobić - powiedziała półgłosem.

- A ja muszę. - Przechylił nieco głowę i ponownie zaczął ją całować. - Przytul się do mnie na chwileczkę - powiedział, kiedy bezwładnie opuściła ręce. - Pragnij mnie jeszcze przez jedną maleńką chwilę.

Nie była w stanie się odsunąć, nie mogła się oprzeć jego prośbie, stała więc przytulona do niego, a czas płynął leniwie. Nagle, jak przez mgłę, usłyszała chrzęst opon na podjeździe. W tym momencie oprzytomniała i odsunęła się.

- Muszę iść.

Wyciągnął rękę i ujął czubki jej palców.

- Chodź ze mną. Jedź ze mną do domu. Ucieknij na chwilę od tego wszystkiego.

Oczy Jo nabrały intensywnego, niebieskiego koloru. Ogarnęło ją wzruszenie.

- Nie mogę.

Cofnęła się o kilka kroków, a potem pędem ruszyła schodami w górę i bez oglądania się za siebie

zamknęła energicznie drzwi.

## ROZDZIAŁ 14

W trzydzieści sześć godzin po zniknięciu Ginny Brian, powłócząc nogami, wszedł do salonu i wyciągnął się jak długi na staroświeckiej sofie. Był kompletnie wyczerpany, a poza tym nic więcej nie można było już zrobić. Przeszukano całą wyspę, metr po metrze, przeprowadzono dziesiątki rozmów telefonicznych. W końcu zawiadomiono policję.

Przyglądając się gipsowym rozetom okalającym kasetonowy sufit, Brian pomyślał, że policjanci wcale nie wyglądali na zbytnio zainteresowanych całą sprawą.

Tak czy inaczej chodziło o dwudziestosześcioletnią kobietę, która cieszyła się określoną reputacją. Kobietę, która w każdej chwili mogła przyjechać lub wyjechać, nie miała żadnych zdeklarowanych wrogów ani skłonności do wypraw w niebezpieczne miejsca.

Brian wiedział, że organy ścigania przyjrzą się całej sprawie, wykonają podstawowe czynności, a potem wciągną wszystko do kartoteki.

Przypomniał sobie, że dwadzieścia lat temu, kiedy zniknęła inna kobieta, zrobili znacznie więcej. Na znalezieniu Annabelle zależało im bardziej i poszukiwania trwały dużo dłużej. Gliniarze przeczesywali wyspę, zadawali pytania, robili notatki, i przez cały czas wyglądali na bardzo przejętych. Ale wówczas w grę wchodziły spore pieniądze ubezpieczenie, posiadłość i spadek. Brian bardzo długo nie zdawał sobie wówczas sprawy, że policja szuka śladów przestępstwa. Nie wiedział również, że, najkrócej rzecz ujmując, głównym podejrzanym jest jego ojciec.

Gdy to zrozumiał, był potwornie przerażony.

Nie znaleziono jednak żadnego dowodu, który potwierdzałby tę wersję, i zainteresowanie całą sprawą powoli osłabło. Brian podejrzewał, że w przypadku Ginny Pendleton stanie się to znacznie szybciej.

On sam zrobił już wszystko, co było do zrobienia.

Przez moment miał zamiar sięgnąć po pilota, włączyć telewizor lub stereo i na chwilę przestać o tym wszystkim myśleć. Salon - albo „pokój rodzinny”, jak z maniackim uporem nazywała go Kate - używany był niezwykle rzadko.

Kate osobiście kupiła duże i wygodne meble. Obok głębokich foteli i staroświeckich, ciężkich stołów postawiła zachęcającą do rozprostowania kości i ucięcia sobie drzemki sofę. Po podłodze porozrzucała kolorowe poduszki, zupełnie jakby zakładała - tak przynajmniej przypuszczał Brian - że może się tu znaleźć kilkanaście osób na raz i wówczas nie wszyscy obecni będą mieli gdzie usiąść.

Najczęściej jednak w salonie przebywała najwyżej jedna osoba.

Hathawayowie nigdy nie należeli do tego typu rodzin, które zbierają się wieczorami przed telewizorem, by wspólnie oglądać wiadomości. Wszyscy byli samotnikami, i bardzo łatwo

przychodziło im znalezienie powodów, które pozwalałyby im trzymać się z daleka od pozostałych. Nie mieli potrzeby bycia razem.

Dzięki temu życie było mniej... skomplikowane.

Usiadł. Nie miał w sobie dość energii, by dać się wciągnąć w dramaty innych ludzi. Wstał i podszedł do niewielkiej lodówki, która stała za mahoniowym kontuarem. Był to następny wymysł Kate, która uparła się, by barek i lodówka zawsze były pełne. Zupełnie jakby liczyła, że cała rodzina po długim dniu zejdzie się tutaj, by wspólnie wypić drinka, porozmawiać i trochę się rozerwać. Brian, otwierając piwo, cicho się roześmiał.

To było zupełnie niemożliwe.

Trochę rozgoryczony uniósł głowę i zobaczył stojącego w drzwiach ojca. Trudno byłoby jednoznacznie rozstrzygnąć, który z nich był bardziej zaskoczony faktem, że nagle stanęli twarzą w twarz.

Zapanowało ciężkie i kłopotliwe milczenie, które może się zdarzyć tylko między członkami jednej rodziny. W końcu Brian podniósł do ust butelkę i pociągnął spory łyk chłodnego piwa. Sam niespokojnie Zaszurał nogami i wsunął kciuki do kieszeni spodni.

- Skończyłeś na dzisiaj? - zapytał Briana.

- Wygląda na to, że tak. Nic więcej nie można już zrobić. - Ponieważ stojąc tak czuł się bardzo głupio, wzruszył ramionami i zapytał: - Napijesz się piwa?

- Chętnie.

Brian wyjął z lodówki następną butelkę, otworzył ją i podał ojcu, który w tym czasie zdążył do niego podejść. Sam wypił łyk i nie odzywał się. Chciał trochę odpocząć. Miał zamiar obejrzeć kilka rund baseballa i przy okazji wypić kieliszek burbona, żeby potem lepiej spać.

Nie był przygotowany na to, że będzie musiał wypić piwo z własnym synem.

- Właśnie zaczęło padać - zaczął, szukając tematu.

Brian przez moment słuchał, jak krople deszczu dudnią o szyby.

- To była bardzo sucha wiosna.

Sam przytaknął i ponownie przestąpił z nogi na nogę.

- W kilku mniejszych jeziorkach poziom wody jest tragicznie niski. Może teraz zdoła się choć trochę podnieść.

- Przybysze spoza wyspy nie będą zadowoleni.

- Rzeczywiście. - Sam zmarszczył brwi. - Ale deszcz był bardzo potrzebny.

Ponownie zapadła cisza, w końcu Brian przechylił głowę na bok.

- No cóż, zdaje się, że wyczerpaliśmy temat pogody. Co teraz? - zapytał

chłodno. - Polityka czy sport?

Sam wyczuł w jego słowach wyraźny sarkazm, postanowił jednak nie zwracać na to uwagi.

- Nie sądziłem, że którykolwiek z tych tematów cię interesuje.

- Rzeczywiście. Zresztą cóż ja mogę wiedzieć o tak typowo męskich sprawach?

W końcu jestem tylko kucharzem.

- Źle mnie zrozumiałeś - powiedział Sam spokojnie. Był ogromnie zdenerwowany, czuł, że lada chwila nie zdoła zapanować nad złością. Skoncentrował

się więc na tym, by nie dać się wytrącić z równowagi. - Po prostu nie wiedziałem, że to cię interesuje.

- Nie masz bladego pojęcia, co mnie interesuje. Nie wiesz, co myślę, co czuję, ani czego pragnę. Nigdy cię to nie obchodziło.

- Brianie Hathawayu - warknęła Kate, stając razem z Lexy w drzwiach pokoju. -

Nie waż się mówić takim tonem do własnego ojca.

- Pozwól chłopcu powiedzieć, co mu leży na sercu. - Sam odstawił piwo na bok i ani na moment nie odrywał wzroku od syna. - Ma do tego prawo.

- Ale ma też obowiązek traktować cię z należyтым szacunkiem.

- Kate. - Sam spojrzał na nią uspokajająco, a potem kiwnął głową do Briana. -

Jeśli coś cię dręczy, wyrzuć to z siebie.

- Musiałbym mieć do dyspozycji całe lata, a i tak niczego by to nie zmieniło.

Sam wszedł za kontuar. Mimo wszystko chciał posłuchać, o co chodzi.

- Może jednak spróbujesz? - Nalał do kieliszka odrobinę Jima Beama, potem, po krótkim wahaniu, napełnił drugi i przesunął go po kontuarze w stronę Briana.

- Nie pijam burbona. Pewnie w związku z tym uznasz, że nie jestem prawdziwym mężczyzną?

Sam poczuł tępy ból, gdzieś w klatce piersiowej, jednak uniósł kieliszek.

- Każdy dorosły człowiek ma prawo pić to, na co ma ochotę. A ty przecież już dawno temu skończyłaś osiemnaście lat. Dlaczego w takim razie przywiązujesz tak ogromną wagę do tego, co ja o tym sadzę?

- Trzydziestu lat potrzebowałem, by stać się tym, kim jestem - wypalił Brian. -

Gdzie, do diabła, byłeś przez ostatnie dwadzieścia? - Nacisk, który położył na to pytanie, i kryjąca się za nim prawdziwa rozpacz, ujawniły wielką frustrację, która wydostała się na zewnątrz się z niewiarygodną siłą. - Rzuciłeś nas tak samo jak ona.

Tylko ty byłeś dużo gorszy, ponieważ każdego dnia dawałeś nam odczuć, że nic dla ciebie nie znaczymy. Byliśmy jedynie produktem ubocznym, którym obarczyłeś Kate.

Kate wyskoczyła do przodu, pałając żądzą walki.

- Posłuchaj, Brianie Wilhelmie Hathawayu...

- Zostaw go w spokoju - rozkazał Sam. Choć głos miał opanowany, czuł w gardle ostre, gorące igielki. - Dokończ - powiedział Brianowi. - Widzę, że jeszcze coś leży ci na sercu.

- Czy to coś zmieni? Przecież nie zdołasz cofnąć czasu i nie zmienisz faktu, że nie było cię tutaj, kiedy miałem dwanaście lat i grupka dzieciaków spoza wyspy dla zabawy stłukła mnie na kwaśne jabłko. Nie było cię również, gdy mając piętnaście lat, pochorowałem się po swoim pierwszym piwie. Ani, gdy jako siedemnastolatek umierałem ze strachu, że tracąc niewinność zrobiłem Molly Brodie dziecko.

Pod wpływem wściekłości, której istnienia nawet się nie domyślał, zacisnął

mocno pięści.

- Nigdy cię tu nie było. Była natomiast Kate. To ona trzymała mi głowę, gdy zwymiotowałem, a potem ścierała podłogę. To ona mi pomagała, ilekroć potrzebowałem pomocy, ona uczyła mnie prowadzić samochód, to ona mnie łajała i wychwalała. Nigdy ty. Ani razu. Teraz już żadne z nas cię nie potrzebuje. Jeśli z takim samym egoizmem i lekceważeniem traktowałeś mamę, nic dziwnego, że nas rzuciła.

Słyszając to, Sam delikatnie zadrżał. Był to pierwszy objaw emocji wywołanych gorzkimi słowami, które właśnie usłyszał. Trzęsącą się ręką ponownie sięgnął po kieliszek, ale zanim zdołał się odezwać, od strony drzwi dobiegł krzyk Lexy.

- Dlaczego to robicie? Dlaczego właśnie teraz? Coś się stało Ginny. - Lexy z łkaniem przebiegła przez pokój. - Wiem, że przydarzyło jej się coś strasznego, a wy potraficie jedynie stać tutaj i mówić sobie takie potworne rzeczy. - Zatkała rękami uszy, jakby chciała odciąć się od wszystkich tych słów, a po policzkach płynęły jej łzy. -

Czy nie możecie zostawić tych spraw w spokoju i udawać, że nie mają najmniejszego znaczenia?

- Nie, ponieważ mają znaczenie. - Brian wściekły, że nawet teraz nie stanęła po jego stronie, odwrócił się do niej. - Ogromne znaczenie, bo właśnie z tego powodu stanowimy bardzo żalną rodzinę. Na tyle żalną, że zdecydowałaś się na ucieczkę do Nowego Jorku i próbowałaś tam innymi mężczyznami wypełnić lukę, którą on zostawił w twoim życiu. Dlatego właśnie Jo wpędziła się w chorobę, a ja nie potrafię związać się na dłużej z żadną kobietą, ponieważ obawiam się, że koniec końców zmuszę ją, żeby ode mnie odeszła, tak samo jak on zmusił do tego mamę. I dlatego, do jasnej cholery, żadne z nas nie wie, co to szczęście.

- Ja wiem doskonale. - Lexy podniosła głos i zaczęła się jąkać. Miała nadzieję, że jeśli wystarczająco głośno wykrzyczy zaprzeczenie, zdoła zadać kłam słowom Briana. - Będę szczęśliwa. Będę miała wszystko, czego pragnę.

- Co się tu, do diabła, dzieje? - Jo oparła dłoń o framugę i rozejrzała się dookoła. Podniesione głosy wywabiły ją z pokoju, gdzie właśnie próbowała się zdrzemnąć. W nocy nie mogła spać, ponieważ martwiła się o Ginny, i teraz starała się nadrobić zaległości.

- Brian jest okropny. Po prostu okropny. - Z rozpaczliwym szlochem Lexy odwróciła się i wpadła prosto w ramiona Jo.

Zaszokowana tym Jo kompletnie zaniemówiła. Całkowicie zaskoczył ją również widok brata i ojca stojących naprzeciw siebie po obu stronach kontuaru jak dwóch bokserów czekających na gong. Tymczasem Kate stała na środku pokoju i przez cały czas cicho pochlipywała.

- Co się tutaj dzieje? - wydusiła z siebie Jo, czując, że zaczyna ją boleć głowa. -

Czy to ma coś wspólnego z Ginny?

- Żaden z nich nie interesuje się Ginny. - Rozgoryczona Lexy popłakiwała na ramieniu Jo. - W ogóle o niej nie myślą.

- To nie ma nic wspólnego z Ginny. - Wciąż jeszcze wściekły, a równocześnie przepelnięty poczuciem winy, Brian wyszedł zza kontuaru. - Oto typowy dla Hathawayów sposób spędzania wieczoru. Mam tego dość.

Ruszył w stronę drzwi, ale po drodze na krótko zatrzymał się przy Lexy.

Najwyraźniej miał zamiar pogłaskać ją po włosach, ponieważ uniósł dłoń, po chwili jednak opuścił ją, nawet nie dotykając siostry.

Jo wzięła płytki oddech.

- Co się tutaj dzieje, Kate?

Kate energicznie starła łzy z policzków.

- Kochanie, mogłabyś na chwilę zabrać Lexy do swojego pokoju? Zaraz tam przyjdę.

- W porządku. - Jo obrzuciła ojca badawczym spojrzeniem. Zauważyła jego kamienną twarz i pozbawione wyrazu oczy. Stwierdziła, że lepiej zrobi, nie zadając pytań. - Chodź Lexy - mruknęła pod nosem. - Idziemy.

Kiedy wyszły, Kate wyjęła z kieszeni chusteczkę i wytarła nos.

- Chociaż nic nie jest w stanie usprawiedliwić okropnego zachowania Briana -

zaczęła - trzeba jednak wziąć pod uwagę, że jest piekielnie wyczerpany i przygnębiony. Tak samo jak my wszyscy, ale to on rozmawiał z policją, przez cały czas ani na moment nie przestając zajmować się gospodą. Jest wykończony, Sam.

- Co wcale nie zmienia faktu, że miał rację. - Sam sączył burbona, zastanawiając się, czy alkohol pozwoli mu pozbyć się uczucia wstydu. - Odkąd Belle nas opuściła, nie zajmowałem się nimi, jak przystało na ojca. Zdałem wszystko na ciebie.

- Sam...

Uniósł głowę i spojrzał na nią.

- Masz zamiar mi powiedzieć, że to nieprawda?

Lekko westchnęła, a potem nagle poczuła, że bolą ją nogi i że nie zdoła na nich ustać ani chwili dłużej, dlatego usiadła na stołku przy barze.

- Nie, nie ma sensu kłamać. Sapnięcie Sama przypominało śmiech.

- Zawsze byłaś niezwykle szczerą. To godna podziwu... lecz zarazem bardzo denerwująca... cecha.

- Nigdy nie sądziłam, że zwracasz uwagę na takie rzeczy. Od wielu lat bez przerwy powtarzałam ci delikatnie tę samą śpiewkę, którą właśnie uraczył cię Brian. -

Przekrzywiła głowę na bok i chociaż miała czerwone od płaczu oczy, kiedy Sam na nią popatrzył, nie odwróciła wzroku. - Nigdy nie zdołałam cię nawet zdrasnąć.

- Kilka razy ci się udało. - Odstawił kieliszek i potarł dłońmi twarz. Może dlatego, że był zmęczony, przygnębiony i bardzo wyraźnie pamiętał wszystko, co chciał zapomnieć, nie zdołał powstrzymać słów, które wypłynęły gdzieś z głębi serca. -

Nie chciałem być im potrzebny. Nie chciałem, by ktokolwiek mnie potrzebował. I, do jasnej cholery, za nic na świecie nie chciałem czuć, że oni sami potrzebni.

Po tych słowach ruszył do wyjścia. Nigdy dotychczas nie wygłosił tak długiej tyrady. Ale Kate patrzyła na niego z taką cierpliwością i współczuciem, że zanim się zorientował, powiedział resztę.

- Prawdę mówiąc, Kate, Belle złamała mi serce. Kiedy w końcu się z tego otrząsnąłem, okazało się, że jesteś tutaj i że życie spokojnie toczy się dalej.

- Gdybym wówczas nie została...

- Nie mieliby nikogo. Zrobiłaś dla nich dużo dobrego, Kate. Nie bardzo zdawałem sobie z tego sprawę, dopóki ten chłopak nie walnął mi prawdy prosto z mostu. Trzeba mieć charakter, żeby zrobić coś takiego.

Kate przymknęła oczy.

- Nawet gdybym żyła następne pół wieku, nigdy nie zdołałabym zrozumieć mężczyzn. Jesteś dumny, że nakrzyczał na ciebie i że cię zwymyślał?

- Szanuję go za to. Dochodzę do wniosku, że nigdy nie okazywałem mu szacunku, na jaki zasługuje dorosły mężczyzna.

- No proszę, alleluja - mruknęła pod nosem, po czym uniosła do ust nietkniętego burbona, zostawionego przez Briana, i wypła go. W tym momencie zakrztusiła się.

Sam uśmiechnął się. Uznał, że Kate wygląda ślicznie z zaczerwienioną twarzą i szeroko otwartymi oczami, co chwila waląc się pięścią w klatkę piersiową.

- Nigdy nie przepadałaś za wysokoprocentowym alkoholem. Odetchnęła głębiej i aż syknęła, ponieważ w gardle palił ją żywy ogień.

- Dziś wieczorem postanowiłam zrobić wyjątek. Jestem śmiertelnie zmęczona.

Wyjął jej z ręki kieliszek.

- W ten sposób możesz się rozchorować. - Otworzył lodówkę i wyjął z niej otwartą butelkę ulubionego przez Kate Chardonnay.

Kiedy nalewał wino do kieliszka, spojrzała na niego zdumiona.

- Nie zdawałam sobie sprawy, że wiesz, co lubię pić.

- Nie można przez dwadzieścia lat żyć z kobietą i nie znać przynajmniej części jej zwyczajów. - Kiedy usłyszał własne słowa, poczuł, że czerwieni się na szyi. - To znaczy mieszkać pod jednym dachem.

- Hm. Jak masz zamiar postąpić w stosunku do Briana?

- Czy mam jakoś postępować?

- Sam. - Zniecierpliwiona wzięła do ust łyk wina, żeby pozbyć się smaku burbona. - Masz zamiar zrezygnować z tak wspaniałej okazji?

To cała Kate, pomyślał, poszturchuje go, podczas gdy on pragnie jedynie odrobiny spokoju.



- Był wściekły, więc pozwoliłem mu się wygadać. Teraz jest już po wszystkim.

- Wcale nie jest po wszystkim. - Oparła się o bar i chwyciła go za ramię, zanim zdołał się uchylić. - Brian jedynie wyważył zamknięte drzwi, Sam. Teraz postaraj się być ojcem i wejdź przez nie do środka.

- On nie przywykł do mnie.

- Gówno prawda. Nigdy w życiu nie udało mi się usłyszeć tak cholernej głupoty.

- Była na tyle wściekła, że nie zauważyła, iż Sam kaszlem zamaskował wybuch śmiechu. - Wszyscy jesteście nieprawdopodobnie uparci. Każdy siwy włos na mojej głowie jest wynikiem oślego uporu Hathaway ów.

Zerknął na jej eleganckie, rude włosy.

- Przecież nie masz ani jednego siwego włosa.

- Wydaję mnóstwo pieniędzy, żeby tak wyglądało. - Sapnęła ciężko. - A te raz posłuchaj mnie, Sam, i chociaż raz przez chwilę miej uszy otwarte. Nieważne, ile lat ma ta trójka dzieci, ich wiek nie zmieni faktu, że one wciąż cię potrzebują.

Czas najwyższy, żebyś dał im to, co przed wielu laty przestałeś dawać zarówno im, jak i samemu sobie. Zrozumienie, uwagę i miłość. Jeśli wszystko wyszło na jaw, dzięki kaskaderskiemu wyczynowi Ginny, właściwie zaczynam się nawet z niego cieszyć. Nie mam zamiaru stać z boku i obserwować, jak wasza czwórka ponownie rozchodzi się na wszystkie strony.

Odepchnęła stołek i odstawiła swój kieliszek.

- Teraz spróbuję uspokoić Lexy, co najprawdopodobniej zajmie mi pół nocy.

Dzięki temu będziesz miał mnóstwo czasu na znalezienie syna i przełamanie pierwszych lodów.

- Kate... - Kiedy zatrzymała się w drzwiach i spojrzała na niego błyszczącymi oczami, zdenerwowany sięgnął po butelkę Jima Beama, ale po chwili odstawił ją z powrotem. - Nie wiem, od czego zacząć.

- Ty idioto - powiedziała z tak ogromną czułością, że po raz drugi zaczerwienił się na szyi. - Przecież już zacząłeś.

Brian wiedział dokładnie, dokąd zmierza. Nawet nie próbował się oszukiwać, że po prostu idzie na długi spacer, by się uspokoić. Mógłby przemierzyć na piechotę całą wyspę dookoła, a i tak krew w jego żyłach wcale nie przestałaby wrzeć. Był

wściekły na siebie, że stracił panowanie i powiedział to, czego nie należało mówić.

Serce krajało mu się na myśl, że doprowadził Lexy i Kate do łez.

Doszedł do wniosku, że łatwiej jest żyć, jeśli człowiek zajmuje się własnymi sprawami, a pewne rzeczy po prostu odkłada na bok i stara się nie zwracać na nie uwagi.

Czyż nie tak właśnie przez wszystkie minione lata postępował jego ojciec?

Wędrując w strugach deszczu, Brian przygarbił się. Był zły, że wyszedł z domu bez kurtki i w związku z tym przemókł do suchej nitki. Włokąc się noga za nogą, szedł

po rozmokłym piasku pomiędzy wydrami i słyszał łoskot wzburzonego morza.

Światła lśniące w oknach mijanych domków jak kompasy wskazywały mu drogę w ciemności.

Kiedy wchodził po schodach prowadzących do domku pani doktor, usłyszał

dźwięki muzyki klasycznej. W chwilę później przez zmoczone deszczem szyby w drzwiach dostrzegł Kirby. Miała na sobie miękki, obszerny, niebieski dres i była na bosaka. Kiedy pochyliła się, by sięgnąć po coś do lodówki, włosy zakryły jej twarz. W

tym samym czasie przytupywała w takt muzyki filigranową z paznokciami pomalowanymi na różowo paznokciami.

Natychmiast ogarnęła go potężna fala pożądania. Otworzył drzwi bez pukania.

Wyprostowała się gwałtownie i głośno westchnęła.

- Och, Brian. Nie słyszałam cię. - Zaskoczona, by nie stracić równowagi, oparła się ręką o otwarte drzwi lodówki. - Czy wiadomo coś o Ginny?

- Nie.

- Myślałam... - Wyraźnie zdenerwowana odrzuciła włosy do tyłu 'W jego pociemniałych ze złości oczach widać było coś zdecydowanie niebezpiecznego.

Czuła, że serce podchodzi jej do gardła. - Jesteś doszczętnie przemoczony.

- Pada deszcz - powiedział i ruszył w jej stronę.

- Właśnie... - Starła się nie zwracać uwagi na to, że uginają się pod nią kolana.

- Właśnie miałam zamiar napić się wina. Może rozlejesz do kieliszków, a ja tymczasem pójdę po jakiś ręcznik.

- Nie potrzebuję ręcznika.

- W porządku. - Czuła unoszący się wokół niego zapach deszczu promieniujące ciepło męskiego

ciała. - W takim razie przyniosę wino.

- Później. - Zamknął lodówkę, całym ciężarem przycisnął się do Kirby i przywarł nienasyconymi ustami do jej warg.

Kiedy usłyszał wydobywający się z jej krtani jęk, wsunął dłonie pod bluzkę i położył je zaborczo na jej piersiach. Delikatnie przygryzał zębami kawałek jej języka, sprawiając, że na zmianę przenikał ją dreszcz bólu i strachu. Później zsunął ręce niżej, objął jej pośladki i uniósł ją w górę, aż znalazła się kilkanaście centymetrów nad ziemią. Wówczas przywarł do niej jeszcze mocniej.

Westchnęła, gdy przywarł ustami do jej szyi.

- Nie ma czasu na rozmowę towarzyską. - Wyglodzona zaatakowała jego ucho.

Ten maleńki kawałek jego ciała wzbudził w niej ogromną ochotę na znacznie więcej. -

Sypialnia jest na drugim końcu holu.

- Nie potrzebuję łóżka. - Uśmiechając się wyniośle uniósł głowę spojrzawszy na Kirby. - Pamiętaj, ma być tak, jak ja chcę.

Zanim zdołała się zorientować jej stopy z powrotem dotknęły podłogi Uniósł jej ręce nad głowę, jedną dłonią ujął je w nadgarstkach i całym ciałem przycisnął Kirby do drzwi lodówki.

- Popatrz na mnie - zażądał, a potem wsunął wolną rękę do jej pochwy, za głębił palce między nogami dziewczyny.

Wydała przyduszony krzyk - ten brutalny atak wywołał równocześnie szok i rozkosz, dlatego mocno przywarła do Briana biodrami, dostosowując się do narzuconego przez niego bezwzględного rytmu. Mgła zasnuła jej oczy, w piersiach zabrakło tchu i poczuła, że eksploduje.

Bez trudu zorientował się, że jest podniecona. Sprawilo mu to ogromną przyjemność. Kiedy widział jej błędny wzrok i obserwował orgazm, miał wrażenie, że jego ciało okładają dzikie pięści pożądania. Z chrapliwym jękiem zsunął z niej bluzkę i przywarł ustami do piersi dziewczyny.

Była mała, jędrna i miała smak brzoskwini. Chciał jeść ją kawałek po kawałku, dopóki nie będzie syty lub martwy. Wypowiadane przez niego wyrazy zachwytu przeplatały się z pogroźkami, których żadne z nich nie było w stanie zrozumieć.

Przeczesawała palcami jego włosy, szarpała mokry podkoszulek, a jej zawsze zdecydowane dłonie co chwila zatrzymywały się, jakby nie wiedząc, czym najpierw powinny się zająć. Fakt, że Kirby w ogóle nie panuje nad sobą, jeszcze bardziej podniecił Briana.

- Chcę więcej - szeptał, zsuwając jej figi poniżej bioder - Chcę znacznie więcej. -

Kiedy jego usta zsunęły się w dół, złapała go mocno za ramiona i załkała.

- Nie możesz... nie możesz. O Boże. Co ty mi robisz?

- Biorę cię.

Potem jego usta trafiły w najczulsze miejsce, a jego zęby i język zaczęły doprowadzać ją do szaleństwa. Kiedy ciało Kirby ogarnął nieprawdopodobny żar, a jej skóra pokryła się potem, bezsilnie oparła głowę o pomrukującą lodówkę. Potężny orgazm uderzył w nią jak nie dający się zatrzymać pociąg, pędzący przez tunel, w którym została uwięziona i nie była w stanie się z niego wyrwać.

Kiedy wziął ją na ręce, całkowicie opadła z sił i bezwładnie odchyliła głowę do tyłu. W tej chwili już nic nie było w stanie jej zaszokować, nawet to, że położył ją na kuchennym stole niczym potrawę, którą wcześniej kunsztownie przygotował, by zaspokoić swój apetyt.

Patrząc jej prosto w oczy, zdjął koszulę, potem buty, w końcu rozpiął zamek i zsunął dzinsy.

Powoli mgła zasnuwająca oczy Kirby zaczęła ustępować. To dobrze, pomyślał.

Chciał obserwować, jak dziewczyna ponownie przestanie cokolwiek widzieć. Przyjrzał

się jej uważnie. Miała różową, wilgotną skórę, delikatne zagłębienia i wypukłości, a jej jasne włosy wyraźnie odcinały się od ciemnego drewna stołu. Była tak piękna, że aż zapierało dech w piersiach. Gdyby był pewien, że uda mu się znaleźć odpowiednie słowa, chętnie by jej to powiedział. Na razie jednak położył się na niej i, czując, że drży pod nim, uśmiechnął się.

- Powiedz: „Weź mnie Brian”.

Próbowała zaczerpnąć dość powietrza, by przeżyć najbliższą chwilę. Kiedy kciukami zaczął pieścić jej brodawki, głośno jęknęła.

- No, powiedz.

Nie zastanawiając się, wygięła się w łuk.

- Weź mnie, Brian. Na litość boską, weź mnie.

Wsunął się w nią jednym szybkim i gwałtownym ruchem, a potem starał się utrzymać ich oboje na skraju przepaści, równocześnie obserwując spojrzenie jej syrenich oczu.

- A teraz weź mnie, Kirby.

- Dobrze - Dotknęła dłonią jego twarzy, objęła go mocno nogami w pasie i zaczęła wykonywać szybkie, zdecydowane ruchy.

Kiedy opadł na nią bez tchu, po raz pierwszy od wielu dni zdał sobie sprawę, że zarówno jego ciało jak i umysł są fantastycznie rozluźnione. Czuł, że Kirby wciąż pod nim delikatnie drży.

Przytulił twarz do jej włosów i wdychał ich cudowny zapach.

- To było coś na zaostrzenie apetytu.

- O Boże.

Roześmiał się, uniósł na łokciu i z zadowoleniem zauważył uśmiech na ustach Kirby.

- Smakujesz jak brzoskwinia.

- Zanim przyszedłeś mnie zgwałcić, zrobiłam sobie kąpiel w pianie.

- To znaczy, że mam świetne wyczucie czasu.

Odgarnęła mu włosy z twarzy - był to pełen czułości, niewymuszony gest, który zaintrygował ich oboje.

- Wygląda na to, że rzeczywiście ci się udało. Kiedy tu wszedłeś, wyglądałeś bardzo niebezpiecznie i podniecająco.

- Rzeczywiście czułem, że mogę być niebezpieczny. Mieliśmy właśnie w Sanktuarium niewielką rodzinną scysję.

- Przykro mi.

- Nie przejmuj się tym. Teraz chętnie napiłbym się wina. - Odsunął się od niej, zszedł ze stołu i ruszył w stronę lodówki.

Kirby obserwowała go z prawdziwą przyjemnością. Jako lekarz musiała wystawić mu bardzo wysoka ocenę za utrzymywanie wspaniałej sylwetki. Jako kochanka mogła podziwiać jego smukłe i sprawne ciało.

- Kieliszki na wino znajdziesz w drugiej szafce po lewej - odpowiedziała. -

Pójdę po szlafrok.

- Nie kłopotz się - rzekł, kiedy schodziła ze stołu.

- Nie będę wystawać w kuchni na golasa.

- Owszem, będziesz. - Nalał dwa spore kieliszki, a potem odwrócił się w jej stronę i zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów. - Zresztą na pewno nie postoisz tu zbyt długo.

Rozbawiona uniosła brwi. - Czyżby?

- Na pewno. - Odwrócił się, wręczył jej kieliszek, potem stuknął brzegiem swojego ojej. - Przypuszczam, że jeśli znajdziesz się na tym kontuarze, będziesz na odpowiedniej wysokości.

Była zadowolona, że nie zdążyła jeszcze wziąć wina do ust.

- Na kuchennym kontuarze?

- Tak. Poza tym mamy jeszcze do dyspozycji podłogę.

Kirby spojrzała na lśniące, białe linoleum, które jej babcia z dumą kładła tutaj trzy lata temu.

- Aha, podłogę.

- Sądzę, że jeśli bardzo jesteś przywiązana do tradycji, będziemy mogli zrobić to również w łóżku, ale dopiero za jakieś dwie, trzy godziny. - Spojrzał na stojący na piecu zegar. - Mamy mnóstwo czasu. W Sanktuarium śniadania poda jemy dopiero od ósmej.

Nie wiedziała, czy ma się śmiać, czy jednym haustem wypić całe wino.

- Jesteś niebywale pewien swojej sprawności seksualnej, prawda?

- Wystarczająco pewien. A co z tobą? Podjęła to wyzwanie z uśmiechem.

- Nie będę od ciebie gorsza, Brian... co więcej, zadbam o to, żebyśmy wyszli z tego bez szwanku. - Jej oczy uśmiechały się do niego znad brzegu kieliszka. - W końcu jestem lekarką.

- W porządku. - Odstawił kieliszek na bok. Pisnęła, kiedy objął ją w pasie, potem krzyknęła, gdy jej pośladki dotknęły podłogi.

- Hej, to jest zimne.

- To też. - Brian zanurzył palec w winie, potem opuszczył kroplę na jej brodawkę.

Pochylił się i delikatnie ją zlizął. - Musimy po prostu wszystko rozgrzać.

## **ROZDZIAŁ 15**

Uważał, że to zły znak, jeśli mężczyzna musi wlewać w siebie alkohol, by nabrać odwagi na przeprowadzenie rozmowy z własnym synem. Jednak jeszcze gorzej, gdy po podjęciu tylu starań nie można znaleźć chłopca.

Kuchnia była pusta: w ekspresie nie parzyła się kawa, nie było również ani śladu rosnącego ciasta. Sam stał tam przez chwilę i miał wrażenie, że jest zbyt duży i niezgrabny. To uczucie towarzyszyło mu zawsze, ilekroć znalazł się w pomieszczeniu, które uważał za domenę kobiet.

Zdawał sobie sprawę, że jego syn codziennie rano wybiera się na dłuższy spacer, ale wiedział równie dobrze, że Brian zawsze przed wyjściem parzy kawę i przygotowuje zaczyn. W każdym razie o tej porze powinien być już z powrotem. Za pół

godziny, najdalej za czterdzieści minut do jadalni zaczną schodzić się ludzie i będą chcieli dostać

śniadanie.

Chociaż Sam nie spędzał w domu zbyt dużo czasu i bardzo rzadko zajmował się gośćmi, jednak dość dobrze orientował się, jak wszystko funkcjonuje.

Obrócił w rękach czapkę i z niezadowoleniem musiał się przyznać, że w głębi serca zaczyna żywić poważne obawy. Wiele lat temu, gdy obudził się wczesnym rankiem, okazało się, że gdzieś przepadł jeden z członków jego rodziny. Wówczas, tak samo jak dzisiaj, nie było żadnych przygotowań, żadnego ostrzeżenia. Jedyne w dzbanku nie parzyła się kawa, a w błękitnej misce pod grubym, białym płótnem nie rosło ciasto.

Czyżby doprowadził Briana do rozpacz i w ten sposób po raz drugi w życiu zmusił kogoś do ucieczki z Sanktuarium i od siebie? Czy znowu przez kilka lat będzie musiał się zastanawiać, w jakim stopniu jest za to odpowiedzialny?

Zamknął na chwilę oczy i próbował pozbyć się ogarniającego go poczucia winy.

Do diabła, przecież nie powiesi się z tego powodu. Brian dawno temu skończył osiemnaście lat, Annabelle również była dorosłą kobietą. Sami podjęli takie decyzje.

Włożył czapkę na głowę i ruszył w stronę drzwi.

Usłyszawszy, że ktoś, gwizdząc jakąś melodię, idzie ścieżką przez ogród, Sam poczuł równocześnie ogromną ulgę i niepokój.

Gdy Brian zauważył ojca stojącego w drzwiach ganku, zatrzymał się i przestał

gwizdać. Był zły, że tak szybko zepsuto mu wspaniały nastrój, czuł się wręcz dotknięty, że pozbawiono go kilku ostatnich chwil samotności.

Brian kiwnął głową, minął ojca i wszedł do kuchni. Przez moment stał w miejscu i zastanawiał się, co zrobić. Z pewnością każdy mężczyzna bez trudu jest w stanie zauważyć, że drugi całą noc spędził w łóżku z kobietą. Dlatego, gdy Sam dostrzegł odprężoną, rozpromienioną twarz syna, poczuł się głupio i... odrobinę mu pozazdrościł. Pomyślał, że najłatwiej byłoby nie zatrzymywać się i zostawić całą sprawę w świętym spokoju.

Niezadowolony ponownie zdjął czapkę i wszedł do środka.

- Chciałbym z tobą porozmawiać.

Brian uniósł głowę. Zdążył już założyć fartuch i właśnie wsypywał ziarenka kawy do młynka.

- Jestem zajęty.

Sam nie ruszał się z miejsca.

- Ale ja i tak chciałbym z tobą porozmawiać.

- W takim razie mów, pozwól jednak, że ja w tym czasie będę robił, co do mnie należy. - Brian włączył młynek, wypełniając kuchnię hałasem i wspaniałym zapachem.

- Jestem dzisiaj trochę spóźniony.

- Uhm. - Sam obracał czapkę w rękach. Wolał poczekać, aż młynek skończy pracę, by nie musieć go przekrzykiwać. Obserwował jak Brian odmierza kawę, dolewa wody, a potem włącza ogromny ekspres. - Byłem zaskoczony, że jeszcze cię tu nie ma.

Brian wyjął olbrzymią miskę i zaczął gromadzić wszystkie produkty potrzebne do zrobienia ciasta.

- Gdy przychodzę do pracy, podbijam na zegarze tylko własną kartę.

- Zgadza się. - Wcale nie chciał, żeby Brian tak zrozumiał jego słowa, równocześnie wznosił modły do Boga, by podpowiedział mu, w jaki sposób należy rozmawiać z mężczyzną ubranym w fartuch i grzebiącym się w mące oraz smalcu. -

Chciałem porozmawiać o wczorajszym dniu... o wczorajszym wieczorze.

Brian dolał mleka, na oko oceniając jego ilość.

- Powiedziałem wszystko, co musiałem i nie mam zamiaru powtarzać tego po raz drugi.

- A zatem sądzisz, że wystarczy, jeśli wygłosisz swoją kwestię, a potem już wcale nie musisz słuchać, co ja mam ci do powiedzenia.

Brian chwycił drewnianą łyżkę, objął ręką miskę i jak automat zaczął ubijać.

Całonocna zabawa z Kirby sprawiła, że trudno było mu się skupić.

- Uważam, że miałeś wiele lat, by powiedzieć to, co masz mi do powiedzenia, a ja w tej chwili po prostu jestem zajęty.

- Twardy z ciebie facet, Brian.

- Miałem bardzo dobry przykład.

To był dobry i doskonale wymierzony cios. Sam wiedział, że zasłużył sobie na niego. Potem znużony odgrywaniem roli petenta, odrzucił na bok czapkę.

- Wysłuchaj mnie i miejmy to już z głowy.

- W takim razie mów. - Brian wyrzucił ciasto na posypaną mąką stolnicę i zapamiętałe zaczął je wyrabiać. - I miejmy to już z głowy.



- Miałeś rację. - Sam poczuł, że coś ściska go w gardle, dlatego ciężko przełknął

ślinę. - Wszystko, co powiedziałaś, było prawdą.

Umazany ciastem po nadgarstki Brian odwrócił głowę i popatrzył na ojca.

- Co takiego?

- Masz w uszach mąkę? - zniecierpliwził się Sam. - Przyznałem, że powie działaś prawdę i że miałeś prawo do tych słów. Ile czasu, do jasnej cholery, potrzebuje to przekłete ustrojstwo, żeby zrobić kubek kawy? - mruknął pod nosem, spoglądając z wyrzutem na maszynę.

Brian wrócił do wyrabiania ciasta, mimo to ani na moment nie odrywał wzroku od Sama.

- Jeśli bardzo chcesz się napić kawy, na pewno zdołasz wycisnąć z niego filiżankę.

- Spróbuję. - Otworzył kredens i skrzywił się na widok stojących w nim szklanek i kieliszków.

- Już od ośmiu lat nie trzymamy tu filiżanek na kawę ani kubków - powiedział

Brian łagodnie. - Dwie szafki w lewo, na dole - tuż nad maszynką do cappuccino.

- „Maszynka do cappuccino” - powiedział półgłosem Sam. - Zabawne nazwy dla wymyślnych napojów, podczas gdy człowiek chce jedynie wypić filiżankę czarnej kawy.

- Nasze cappuccino i latte cieszą się ogromną popularnością.

Sam w przybliżeniu wiedział, co to jest cappuccino, lub... tak mu się przynajmniej wydawało. Ale określenie „latte” wprawiło go w zdumienie. Chrząknął, a potem ostrożnie wysunął szklany pojemnik, żeby wlać kawę do kubka. Kiedy ją upił, poczuł się nieco lepiej, więc szybko wziął następny łyk.

- Dobra.

- Wszystko zależy od ziaren.

- Podejrzewam, że ogromny wpływ ma również mielenie ich tuż przed parzeniem kawy.

- Nawet sobie nie zdajesz sprawy, jak dużo to daje. - Brian wrzucił ciasto do miednicy, przykrył je, potem podszedł do zlewu umyć ręce. - Wydaje mi się, że po raz pierwszy od... och, chyba większej części mojego życia prowadzimy coś, co można by uznać za niemal normalną rozmowę.

- Nie postępowałem w stosunku do ciebie tak jak powinienem. - Sam wpatrywał się w czarny płyn znajdujący się w kubku. - Przepraszam. Brian przestał

wycierać ręce i spojrzał na niego.

- Słucham?

- Do diabła, nie mam zamiaru bez przerwy się powtarzać. - Sam gwałtownym ruchem podniósł głowę, a w jego oczach wyraźnie widać było niezadowolenie. -

Próbuję prosić cię o wybaczenie, a ty powinieneś być na tyle dorosły, by przyjąć moje przeprosiny.

Brian uniósł rękę, by zapobiec przerodzeniu się tej dyskusji w sprzeczkę.

- Kompletnie mnie zaskoczyłeś. Powaliłeś mnie na deski - poprawił się Brian i podszedł do lodówki po jajka i mięso na śniadanie. - Być może byłbym w stanie ci wybaczyć, gdybym wiedział, za co mnie przepraszasz.

- Za to, że mnie tu nie było, gdy miałeś dwanaście lat i zostałeś pobity. Kiedy miałeś piętnaście lat i odchorowywałeś swoje pierwsze piwo. Kiedy miałeś siedemnaście lat i byłeś zbyt głupi, by wiedzieć, jak należy kochać się z dziewczyną, by równocześnie nie zostać ojcem.

Brian, nieco roztrzęsiony, wyjął patelnię.

- Kate zabrała mnie do Savannah i kupiła mi prezerwatywy.

- Nie wierzę. - Sam byłby mniej zaszokowany, gdyby chłopak walnął go kielbasą po głowie. - Kate kupiła ci gumki?

- Tak. - Przypominając sobie tamto wydarzenie, Brian uśmiechnął się nad patelnią. - Podczas jazdy w obie strony zrobiła mi wykład na temat odpowiedzialności, powściągliwości i abstynencji. A potem kupiła mi paczkę prezerwatyw i powiedziała, że jeśli nie zdołam zapanować nad pociągiem fizycznym, to, do jasnej cholery, lepiej będzie, jeśli się zabezpieczę.

- Słodki Jezu. - Sam oparł się o kontuar i zaczął się śmiać. - Nie jestem w stanie sobie tego wyobrazić. - Potem wyprostował się i odchrząknął. - To wszystko powinieneś być usłyszeć ode mnie.

- Tak, rzeczywiście. - Zupełnie jakby uzgodnili coś niezmiernie ważnego, Brian położył kielbaski na patelni. - Dlaczego w takim razie tak właśnie się nie stało?

- Zabrakło twojej matki, która podpowiedziała mi, że powinienem z tobą porozmawiać, ponieważ coś dziwnego chodzi ci po głowie. Albo że Lexy ma nową sukienkę czy buty i chce się w nich pokazać. Sam doskonale o tym wiedziałem, ale przyzwyczailem się do tego, że mama mnie do wszystkiego popychała. Potem, gdy jej zabrakło, zostawiłem sprawy ich własnemu biegowi. - Odstawił kawę i wsunął ręce do kieszeni. - Nie przywykłem do tego, żeby się tłumaczyć. Nie lubię tego robić.

Brian wyjął następną miskę i rozbił pierwsze jajko do ciasta naleśnikowego.

- Wybór należy do ciebie.

- Kochałem ją. - Po tych słowach Samowi zaschło w gardle, dlatego był

zadowolony, że Brian przez cały czas nie odrywa się od pracy. - Trudno mi o tym mówić. Może zbyt rzadko wyznawałem jej miłość, zawsze jednak znacznie łatwiej przychodziło mi samo uczucie niż słowa. Była mi bardzo potrzebna. Nazywała mnie

„Poważnym Samem” i zawsze robiła wszystko, żeby mnie rozśmieszyć.

Uwielbiała otaczać się nowymi ludźmi i rozmawiać o tym, co dzieje się na świecie. Kochała ten dom i wyspę. Przez jakiś czas kochała również mnie.

Brian zdał sobie sprawę, że nigdy w życiu nie słyszał, by Sam Hathaway wygłosił tak długą mowę. Nie chcąc przerywać potoku słów, w milczeniu wlał do miski roztopione wcześniej masło.

- Zdarzały się nam nieporozumienia. Wcale nie mam zamiaru udawać, że w ogóle ich nie było. Zawsze jednak potrafiliśmy sobie z nimi poradzić. Tej nocy, kiedy się urodziłeś... Jezu, byłem przerażony. Śmiertelnie przerażony, ale Belle niczego się nie bała. Traktowała to jak wspaniałą przygodę. A kiedy było już po wszystkim, kiedy tuliła cię w ramionach i karmiła piersią, oparła głowę o poduszkę i powiedziała z uśmiechem: „Spójrz, Sam, jakie piękne mamy dziecko. Będziemy musieli się postarać, żeby mieć ich znacznie więcej”. Mężczyzna musi kochać taką kobietę - powiedział Sam półgłosem. - Po prostu nie ma innego wyboru.

- Nie sądziłem, że ją kochałeś.

- Ale tak było. - Sam ponownie uniósł do ust filiżankę z kawą. Cała ta rozmowa sprawiła, że zupełnie zaschło mu w gardle. - Dopiero po wielu latach życia bez niej przestałem ją kochać. Być może rzeczywiście odeszła przede mną, ale naprawdę nie mam pojęcia, czym ją do tego sprowokowałem. Ta wątpliwość dręczy mnie od wielu lat.

- Przykro mi. - Brian zauważył, że ojciec jest zaskoczony. - Nie przypuszczałem, że to miało dla ciebie jakieś znaczenie. Nie przypuszczałem, że cokolwiek, co wiązało się z tą sprawą, naprawdę miało dla ciebie jakieś znaczenie.

- Tymczasem tak było. Jednak po pewnym czasie człowiek przyzwyczaja się do tego, co ma.

- A ty miałeś wyspę.

- Tak, i na nią zawsze mogłem liczyć, mogłem się o nią troszczyć. To dzięki niej udało mi się pozostać przy zdrowych zmysłach. - Wciągnął głęboko w płuca powietrze.

- Ale gdybym był lepszym ojcem, znalazłbym się tutaj, by przytrzymać głowę syna, kiedy musiał zwymiotować nadmiar wypitego Budweisera.

- To był Lowenbraun.

- Chryste, piwo importowane? Nic dziwnego, że cię nie rozumiem.

Sam westchnął i przez chwilę uważnie przyglądał się mężczyźnie, na którego wyrósł jego syn. Mężczyźnie, który w pracy nosi fartuch i potrafi piec placki.

Mężczyźnie, o chłodnych, spokojnych oczach oraz barkach na tyle mocnych i szerokich, by udźwignąć na nich nie tylko własne problemy.

- Powiedzieliśmy chyba wszystko, co mieliśmy sobie do powiedzenia. Nie bardzo wiem, czy to coś zmieni, niemniej cieszę się, że do tego doszło. - Sam wyciągnął rękę, mając nadzieję, że tak właśnie powinien postąpić.

Kiedy Jo weszła do kuchni, zobaczyła zaskakujący obraz - jej ojciec i brat ściskali sobie dłonie, stojąc obok kuchennego pieca. Obaj równocześnie obrócili się w jej stronę, a na ich twarzach pojawił się identyczny wyraz zakłopotania. W tym momencie jednak była zbyt zmęczona i poirytowana, by się nad tym zastanawiać.

- Lex kiepsko się czuje. Zastąpię ja przy podawaniu śniadania.

Brian chwycił widelec i szybko obrócił smażące się na patelni kielbaski, nie chcąc dopuścić do tego, by się przypaliły.

- Masz zamiar podawać do stołu?

- Właśnie powiedziałam. - Złapała wiszący na haku biały fartuszek i zawiązała go.

- Kiedy po raz ostatni to robiłaś? - dopytywał Brian.

- Gdy byłam tu dwa lata temu, a tobie brakowało ludzi.

- Jesteś kiepską kelnerką.

- No cóż, brachu, niestety masz do dyspozycji tylko mnie. Lexy przepłakała pół

nocy i teraz potwornie boli ją głowa, a Kate wybiera się na kemping, żeby opanować panujący tam zamęt. Więc musisz się z tym pogodzić.

Sam wziął do ręki czapkę i ruszył w stronę drzwi. Przeprowadził już rozmowę z synem i wcale nie było to łatwe zadanie. Nie miał zamiaru tego samego dnia rozpocząć dyskusji z córką.

- Mam parę rzeczy do zrobienia - mruknął pod nosem i nieznacznie się skrzywił, kiedy Jo przesłała mu mordercze spojrzenie.

- Prawdę mówiąc, ja też. Tymczasem muszę obsługiwać stoły, ponieważ wy obaj postanowiliście skoczyć sobie do oczu, dzięki czemu Kate i ja spędziłyśmy połowę tej cholernej nocy słuchając, jak Lexy płacze i żali się. Teraz wy dwaj, o ile dobrze widzę, ściskacie sobie dłonie jak na prawdziwych mężczyzn przystało, w związku z tym można przypuszczać, że wszystko jest cacy - cacy. Gdzie jest ten cholerny notes na zamówienia?

- W górnej szufladzie, pod kasą rejestrującą. - Kątem oka Brian dostrzegł, że ojciec znika za drzwiami. Przecież nie mogło być inaczej, pomyślał ponuro, i zdjął

kielbasę z patelni. - Teraz mamy komputer - powiedział Jo. - Pracowałaś kiedyś na komputerze?

- Niby po co, do jasnej cholery? Przecież nie jestem sprzedawczynią ani kelnerką. Do diabła, zajmuję się fotografią.

Brian zaczął rozcierać kark. Czeką go długi i ciężki poranek.

- Idź na piętro, wrzuć Lexy do gardła trochę aspiryny i ściągnij ją na dół.

- Jeśli chcesz ją tu mieć, sam spróbuj to zrobić. Mam po dziurki w nosie Lexy i udawania przez nią nieszczęśliwej królowej. Zbyt dobrze wczuła się w rolę. - Jo trzasnęła notesem o kontuar i podeszła do dzbanka z kawą. - Jak zwykle ma wrażenie, że jest pępkiem świata.

- Zdenerwowała się.

- Może rzeczywiście, ale potem ta rola zaczęła jej się zbytnio podobać. Choć to nie była moja wina, tymczasem właśnie ja utknęłam przy niej na dobre. Dopiero po drugiej obie z Kate zdołałyśmy ją nieco uspokoić i mogłam wreszcie iść do swego pokoju. A teraz Lexy twierdzi, że boli ją głowa. - Jo potarła mocno środek czoła. - Czy masz tu jakąś aspirynę?

Brian wyjął z kredensu buteleczkę i postawiają na kontuarze.

- Napełnij dzbanek i zrób kilka pierwszych rund. Specjalnością dzisiejszego ranka są naleśniki z czarnymi borówkami. Jeśli musisz się dąsać, rób to tutaj. Za tymi drzwiami masz się uśmiechać - może w ten sposób wynagrodzisz gościom mniej sprawną obsługę.

- Pocałuj mnie w dupę - warknęła, złapała dzbanek oraz notes i zniknęła za drzwiami.

Co i tak w niczym nie pomogło.

Brian kroił grejpfruta i zgrzytał zębami, widząc, że już od pięciu minut dwa zamówienia czekają w podgrzewaczu. Jeszcze dwie minuty, pomyślał, a będzie musiał

je wyrzucić i przygotować wszystko od nowa.

Gdzie, do diabła, podziewa się Jo?

- Ale macie dzisiaj ruch. - W tylnych drzwiach pojawił się Nathan. - Zerknąłem przez okna do jadalni. Jest wypełniona po brzegi.

- Jak zwykle w niedzielny poranek. - Brian odwrócił na patelni naleśnik. Miał

wrażenie, że upiekł ich już dzisiaj przynajmniej milion. - W niedziele ludzie lubią jeść spore śniadania.

- Ja też. - Nathan uśmiechnął się, spoglądając na ruszt. - Mam ogromną ochotę na naleśniki z czarnymi borówkami.

- Musisz stanąć w kolejce. Do jasnej cholery, co ona tam robi? Wznosi piramidy? Potrafisz obsługiwać komputer?

- Z dumą muszę stwierdzić, że jestem posiadaczem aż trzech tego typu urządzeń. Dlaczego pytasz?

- W takim razie właśnie zostałeś zatrudniony przy kasie rejestrującej. - Brian wskazał kciukiem za siebie. - Podejź tam i spróbuj się z nią zapoznać. Nie mogę przerywać roboty za każdym razem, kiedy Jo chce wsadzić tam jakiś banknot.

- Chcesz, żebym obsługiwał kasę?

- A chcesz dostać coś do jedzenia?

- Właściwie niby dlaczego nie miałbym się pobawić w kasjera? - zdecydował

Nathan, po czym podszedł do komputera i zaczął mu się przyglądać.

Jo wpadła do kuchni znękana i z zaróżowioną twarzą, niosąc ogromny stos brudnych naczyń.

- Ona musiała wiedzieć. Musiała doskonale wiedzieć, co się tutaj dzisiaj będzie działo. Jeśli uda mi się to przeżyć, zamorduję ją gołymi rękami. Co ty tu, do diabła, robisz? - krzyknęła na widok Nathana.

- Najwyraźniej zostałem wciągnięty na listę płac. - Patrzył, jak Jo odkłada naczynia do zlewu i łapie czekające na nią dania. - Pięknie dziś wyglądasz, Jo Ellen.

- Odczep się ode mnie - burknęła pod nosem i ruszyła w stronę drzwi.

- Podejrzewam, że jest tak samo sympatyczna dla klientów.

- Nie odbieraj mi całej przyjemności - powiedział Nathan. - Chciałbym wierzyć, że oszczędza wszystkie te miłe słówka tylko dla mnie.

- Czyżbyś miał zamiar ponownie wepchnąć ją do rzeki?

- Ona się wtedy poślizgnęła. Poza tym mam... inny pomysł, jeśli chodzi o mnie i Jo.

Brian przetarł dłonią twarz.

- Nie chcę o niczym słyszeć. Nie każ mi niczego sobie wyobrażać.

- Po prostu przyszło mi na myśl, że powinieneś wiedzieć, dokąd zmierzam. - By to lepiej zilustrować, Nathan złapał Jo w pół, gdy ponownie pojawiła się w drzwiach, objął mocno i całkowicie zaskoczył, całując jej naburmuszone usta.

- Czyś ty zwariował? - By się uwolnić, wbiła mu łokieć w żołądek, potem wcisnęła mu w ręce zamówienia, gotówkę i karty kredytowe. - Lepiej zajmij się tym. -

Podbiegła po świeży dzbanek kawy i rzuciła wypisane zamówienia na kontuar. - Dwie specjalności, jajka, jajecznica, bekon, pszenny tost. Jednego zamówienia nie pamiętam, ale je zapisałam, poza tym zaczyna mi brakować grzanek i śmietany. Jeśli ten potworny dzieciak siedzący przy stoliku numer trzy jeszcze raz wyleje sok, gołymi rękami uduszę i jego, i jego zidiociałych rodziców.

Kiedy ponownie wyszła, Nathan uśmiechnął się.

- Bri, wcale nie wykluczone, że to miłość.

- Podejrzewam, że raczej choroba umysłowa. A teraz trzymaj ręce z daleka od mojej siostry i załatw te wszystkie zamówienia, bo inaczej cię nie nakarmię.

O wpół do jedenastej Jo chwiejnym krokiem dowlokła się do swego pokoju i upadła twarzą na łóżko. Wszystko ją bolało. Plecy, stopy, głowa, ramiona. Przyszło jej na myśl, że ktoś, kto sam nie przeszedł czegoś takiego, nie może mieć nawet bladego pojęcia, jak ciężka jest praca kelnerki. Zdobywała szczyty gór, pokonywała w bród rzeki, spędziła niejedną skwarną dzień na pustym - i zrobiłaby to ponownie, byle tylko móc wykonać dobre zdjęcie.

Ale gdyby kiedykolwiek miała obsłużyć jeszcze jeden stół, z uśmiechem na ustach obciąłaby sobie obie dłonie.

Z prawdziwą wściekłością musiała przyznać, że Lexy nie tylko nie była leniwą symulantką, ale w dodatku wykonywała pracę kelnerki przez cały czas sprawiając wrażenie, że jest to zajęcie łatwe i przyjemne.

Niemniej to właśnie przez Lexy Jo straciła tego ranka cudowne, przymglone po niedawno padającym deszczu światło. Przez nią też miała piasek w oczach, ponieważ zdołała w nocy przespać zaledwie trzy godziny. I przez nią potwornie bolały ją stopy.

Kiedy poczuła, że materac ugina się pod ciężarem czyjśgo ciała, zazgrzytała zębami.

- Wyjdź stąd, Lexy, bo może się okazać, że wykrzesani z siebie na tyle energii, by cię zabić.

- Nie kłopotcz się. Nie ma jej tutaj.

Odwróciła głowę, przymrużyła oczy i spojrzała na Nathana.

- Co ty tu robisz?

- Bez przerwy zadajesz mi to samo pytanie. - Odsunął jej włosy za ucho, żeby lepiej widzieć twarz. - W tej chwili sprawdzam, jak się czujesz. Miałaś ciężki ranek, prawda?

Jęknęła i zamknęła oczy.

- Idź stąd.

- Pozwól, że przez dziesięć sekund pomasuję ci stopy, a potem sama będziesz prosiła mnie, żebym

został.

- Chcesz masować moje stopy?

Szarpnęła nogę, ale on mocno zacisnął palce wokół kostki, i ani na moment nie rozluźniając uchwytu, zdjął jej but.

- Dziesięć, dziewięć, osiem...

Kiedy zdecydowanie przesunął brzegiem dłoni po podbiciu, poczuła ogromną przyjemność, a z jej gardła wyrwało się westchnienie.

- Widzisz, mówiłem ci. Po prostu rozluźnij się. Szczęśliwe stopy są kluczem do wszechświata.

- Galileusz.

- Carl Sagan - powiedział z uśmiechem. - Czy wzięłaś sobie z dołu coś do jedzenia?

- Zwymiotowałam, gdybym musiała spojrzeć na jeszcze jeden naleśnik.

- Wątpię. Ale przyniosłem ci coś innego. Zamrugła oczami.

- Co takiego?

- Hmm. Masz piękne stopy. Są długie i wąskie. Pewnego dnia zacznę je obgryzać, a potem powoli będę się posuwać do góry. Och, pytałaś, co przyniosłem do jedzenia? - Przycisnął mocno palce do górnej części jej stopy i przesunął je w stronę pięty. - Truskawki ze śmietaną, jedną z cudownych grzanek Briana z dżemem domowej roboty i kawałek bekonu, by dostarczyć twemu organizmowi trochę protein.

- Dlaczego?

- Ponieważ musisz jeść. - Spojrzał na nią. - Czy może chodzi ci o to, dla czego mam zamiar obgryzać twoje stopy?

- Nieważne.

- W porządku. W takim razie może jednak odwrócisz się, usiądziesz i coś zjesz?

Dopiero wówczas będę mógł zrobić wszystko, jak należy.

Miała zamiar powiedzieć, że nie jest głodna - ostatnio odpowiadała tak automatycznie. Przypomniała sobie jednak zalecenie Kirby dotyczące jedzenia, a truskawki stanowiły ogromną pokusę. Podniosła się starając nie okazywać skrępowania spowodowanego widokiem Nathana, który siedział ze skrzyżowanymi nogami trzymając jej stopę na kolanie. Wzięła miseczkę z truskawkami i wyjęła jedną z nich.



Przez moment przyglądała mu się w milczeniu. Nie zadał sobie tego ranka trudu, by się ogolić, a jego zbyt długie włosy aż prosiły się o nożyczki. Ale ten odrobinę niedbały styl bardzo do niego pasował, tak samo jak złociste, rozjaśnione słońcem pasemka, które wyraźnie odcinały się od jego brązowych włosów.

- Wcale nie musisz zadawać sobie tyle trudu - powiedziała. - Zaczynam myśleć o przespaniu się z tobą.

- No cóż, dzięki temu nie będę musiał łamać sobie głowy.

Ugryzła truskawkę. Była tak słodka i tak cudownie soczysta, że trudno było się nie uśmiechnąć.

- Podejrzewam, że nie prezentuję dzisiaj najlepszej formy.

- Naprawdę? - Ścisnął jej palce, potem zaczął delikatnie odginać je do przodu i do tyłu. - Nie zauważyłem.

- W tym momencie w swój nieśmiały, jankeski sposób dałeś mi do zrozumienia, że zawsze jestem cholernie wściekła.

- Nie zawsze. Poza tym użyłbym raczej słowa „niespokojna”.

- Hathawayowie mają to we krwi. - Ponieważ truskawki pobudziły jej apetyt, uniosła do ust plasterki bekonu i ugryzła go. - Wczoraj wieczorem mieliśmy małą rodzinną sprzeczkę, w związku z tym Lexy została dzisiaj w łóżku z okładami na głowie, a ja podawałam gościom śniadanie.

- Czy zawsze ratujesz sytuację? Zaskoczona potrząsnęła głową.

- Nie, raczej trudno byłoby powiedzieć, że cokolwiek ratuję. Bywam tutaj niezmiernie rzadko.

- Ale gdy już jesteś, podajesz do stołu, zmieniasz pościel i szorujesz toalety.

- Skąd o tym wiesz?

Jej ostry głos zaskoczył go.

- Sama mi powiedziałaś.

- Ach, rzeczywiście. - Ponieważ poczuła się głupio, sięgnęła po grzanekę i rozłamała ją na dwie części.

- O co chodzi?

- O nic. - Wyprostowała się. - Po prostu kilka dni temu dzieciaki splatały mi psikusa. Zamknęły mnie w męskiej toalecie na kempingu. Chyba trochę się wtedy wygłupiłam.

- To wcale nie było zabawne.

- Rzeczywiście, wówczas wcale nie wydawało mi się to takie śmieszne. -

Złapałaś je?

- Nie, kiedy w końcu przyszedł ojciec i mnie wypuścił, dawno ich już nie było.

Właściwie nic wielkiego się nie stało, ale byłam zdenerwowana.

- A zatem do sytuacji, których wcale nie ratujesz, możemy dodać sprzątanie męskich toalet. Między jednym a drugim tego typu zajęciem kompletujesz zdjęcia do albumu i znajdujesz jeszcze czas na robienie nowych. Gdzie w tym wszystkim jest miejsce na odrobinę przyjemności?

- Największą przyjemność sprawia mi robienie zdjęć. - Kiedy uniósł brew, wzięła do ust następną truskawkę. - Poza tym byłam przecież na ognisku.

- I zostałam prawie do północy. Trzeba przyznać, że jesteś kobietą skłoną do szaleństw.

Między jej brwiami pojawiła się linia.

- Nie lubię imprez.

- Co lubisz oprócz fotografii? Książki, filmy, dzieła sztuki, a może muzykę? To się nazywa sztuka poznawania - powiedział jej, kiedy nie odezwała się ani słowem. -

Czasami bardzo się przydaje, zwłaszcza gdy wchodzi w grę możliwość przespania się z kimś. - Pochylił się do przodu i z rozbawieniem zauważył, że się cofnęła. - Podzieliś się ze mną truskawkami?

Siłą woli uspokoiła puls, a ponieważ Nathan wciąż masował jej stopy, włożyła mu owoc do ust.

Złapał zębami czubki jej palców i zaczął delikatnie ssać. Po chwili uwolnił je z uśmiechem.

- To było oddziaływanie na podświadomość za pomocą bodźców czuciowych.

Częściej jednak określa się to mianem „podrywania”.

- Chyba wiem, o czym mówisz.

- Doskonale. No więc, co sądzisz o filmach?

Zaczęła się zastanawiać, czy kiedykolwiek istniał inny mężczyzna, który tak często i z tak ogromną łatwością był w stanie rozproszyć jej uwagę. Odpowiedź

zdecydowanie brzmiała „nie”.

- Lubię stare, czarno - białe filmy, zwłaszcza *film noir*. Mają niewiarygodne zdjęcia i wspaniałą grę światła i cieni.

- *Sokół maltański!*

- Zdecydowanie najlepszy.

- No proszę. - Poklepał jej stopę. - Zatem mamy coś wspólnego. A co ze współczesnym kinem?

- Lubię filmy o nieskomplikowanej akcji. Kino ambitne bardzo rzadko do mnie przemawia. Wolę zobaczyć, jak Schwarzenegger załatwia pięćdziesięciu złych facetów, niż słuchać jak dziesięciu ludzi w różnych językach wyraża swoją złość.

- Kamień spadł mi z serca. Nie moglibyśmy dorobić się piątki dzieci i psów myśliwskich, gdybym musiał oglądać ambitne filmy.

Roześmiała się. Był to niski, przytłumiony dźwięk, który Nathan uznał za dziwnie podniecający.

- Gdybym miała tylko taką alternatywę, być może ponownie wzięłabym pod uwagę obcojęzyczne filmy z napisami.

- Twoje ulubione miasto. Masz do wyboru cały świat.

- Florencja - powiedział, zanim zdała sobie sprawę, że to prawda. - Słońce świeci tam niezwykle jasno i wszystko mieni się tysiącami barw.

- I te stare, wspaniałe budowle. Palazzo Pitti, palazzo Vecchio.

- Mam wspaniałe zdjęcie Pitti tuż przed zachodem słońca.

- Bardzo chciałbym je zobaczyć.

- Nie zabrałam go ze sobą - odpowiedziała, przypominając sobie tamten moment, padające na skos światło i nagły szum, gdy stado gołębi jak fala wzbilo się w powietrze. - Zostało w Charlotte.

- Mogę poczekać. - Zanim zdążyła zareagować, ścisnął jej stopę. - Może po skończeniu śniadania zabrałabyś mnie na prawdziwą wycieczkę po wyspie?

- Dzisiaj jest niedziela.

- Tak, obito mi się o uszy.

- Chodzi mi oto, że dzisiaj wymieniają się wczasowicze. W większości domków lokatorzy wyjeżdżają i przyjeżdżają właśnie w niedzielę. W związku z tym trzeba je posprzątać, uzupełnić zaopatrzenie i do trzeciej przygotować dla następnych gości.

- Znowu obowiązki. Co oni, do diabła, robili, gdy ciebie tu nie było?

- Tydzień przed moim przyjazdem Kate straciła dwie dziewczyny, które dotychczas zajmowały się domkami. Poszły do pracy na stałym lądzie. A ponieważ obie z Lexy możemy trochę pomóc, Kate nie

przyjęła jeszcze w to miejsce nikogo innego.

- Ile masz domków na liście?

- Sześć.

Pomyślał chwilę, kiwnął głową i wstał.

- No cóż, w takim razie lepiej będzie, jeśli od razu zabierzemy się do roboty. -

My?

- No pewnie. Poradzę sobie z odkurzaczem i szmatą. Tym sposobem szybciej skończysz i wówczas będziemy mieli czas, by poszukać spokojnego miejsca na plaży i na chwilę się tam wyciągnąć.

Uniosła się i wsunęła swoje zrelaksowane stopy do butów.

- Być może znam kilka takich miejsc - jeśli jesteś tak samo za pan brat z odkurzaczem jak z refleksologią.

- Jo Ellen. - Położył dłonie na jej biodrach gestem, który wydał jej się szokująco intymny. - Jest coś, co powinnaś wiedzieć.

Jest wciąż żonaty. Ma stanąć przed sądem. Przywiązuje partnerkę do łóżka, zamiast się z nią normalnie kochać. Jo odetchnęła głęboko zdumiona swoją reakcją.

Nie przypuszczała, że ma aż tak bujną wyobraźnię.

- Co takiego?

- Zaczynam poważnie myśleć o przespaniu się z tobą. Wybuchnęła śmiechem, po czym cofnęła się kilka kroków.

- Nathan, łamałam sobie nad tym głowę od twojego powrotu na Desire.

Był niezmiernie szczęśliwy, że wrócił i znajdował się tak blisko niej.

Obserwowanie jej pozwalało mu odczuwać przyjemność oczekiwania na to, co ma nadejść. W wybranym przez niego, dogodnym czasie.

Przyszło mu nawet na myśl, że mógłby to nieco odroczyć. Przecież wszystko starannie zaplanował i pieniądze nie stanowią żadnego problemu. Ma mnóstwo czasu.

Może dobrze byłoby uspić trochę jej czujność, pozwolić, by odzyskała spokój ducha, poobserwować jak stopniowo się odpręża. Potem będzie mógł przywołać ją do porządku, wystarczy jedno mocne szarpnięcie za łańcuch, którego istnienia Jo nawet się nie domyśla.

Będzie się bała. Będzie zakłopotana. Będzie jeszcze bardziej bezbronna, a wszystko dzięki tej dodatkowej chwili odprężenia, na którą właśnie ma zamiar jej pozwolić.

Tak, może poczekać. Na razie może korzystać ze słońca i morskiej piany, a już wkrótce bardzo dokładnie będzie znał jej rozkład dnia. Tak samo, jak znał jej obyczaje w Charlotte.

Pozwoli jej przez chwilę płynąć z prądem, może nawet trochę się zakochać.

Byłaby w tym cudowna ironia.

Przez cały czas nie będzie w ogóle zdawała sobie sprawy, że on tu jest, i tylko czeka, by wziąć w swoje ręce jej los. By spotkać własne przeznaczenie i odebrać jej życie.

## **ROZDZIAŁ 16**

Zupełnie nie rozumiem, dlaczego nie możesz wziąć sobie jednego, tylko z jednego wolnego dnia i spędzić ze mną trochę czasu?

Zastanawiał się teraz, jaki to przekłęły kaprys natury sprawiał, że nadąsaną mina kobiety ma dla mężczyzny tak nieodparty urok.

- Kochanie, mówiłem ci, że w tym tygodniu będę miał mnóstwo roboty. A przecież jest dopiero wtorek.

- Czy to w ogóle ma jakieś znaczenie? - Machnęła ręką. - Tu na wyspie każdy dzień tygodnia wygląda tak samo.

- W takim razie powiem ci, jakie to ma dla mnie znaczenie. - Przesunął dłonią po deskach, które właśnie zbijał. - Obiecałem pannie Kate, że do soboty ukończę tę dobudówkę i zmontuję osłonę.

- No to ukończysz tę robotę do niedzieli.

- Powiedziałem jej, że zrobię to na sobotę. - Zdaniem Giffa ten argument był

wystarczający. Ponieważ jednak rozmawiał z Lexy, uzbroił się w cierpliwość i wyjaśnił

resztę. - Ten domek został już zarezerwowany na przyszły tydzień.

Ponieważ Kate w tej chwili niemal przez cały dzień potrzebuje Colina na kempingu, a Jed dopiero za tydzień zaczyna wakacje, muszą zająć się tym sam.

Miała w nosie tę cholerną dobudówkę. Tak czy owak podłoga była już prawie gotowa. Ile czasu można kłaść głupi dach i zabudowywać boki?

- Tylko dzień, Giff. - Kucnęła obok niego, pocałowała go w policzek i próbowała go przekonać przymilnym tonem. - Załedwie kilka godzin. Moglibyśmy wziąć twoją łódkę i popłynąć na stały ląd. Może wybralibyśmy się w Savannah na lunch?

- Lex, nie mam czasu. Natomiast jeżeli uda mi się skończyć tę robotę, pojedziemy tam w najbliższą sobotę. Jeśli chcesz, mogę poprzekładać pewne sprawy i wówczas mielibyśmy dla siebie cały weekend.

- Nie chcę jechać w sobotę. - Jej głos przestał przypominać kocie mruczenie, teraz słyhać w nim było jedynie ośli upór. - Chcę jechać teraz.

Giff miał pięcioletnią kuzynkę, która z taką samą stanowczością starała się postawić na swoim i zawsze wszystko chciała mieć natychmiast. Podejrzewał jednak, że Lexy wcale nie byłaby zadowolona z takiego porównania.

- Teraz nie mogę - powiedział cierpliwie. - Jeśli tak bardzo chcesz, możesz wziąć łódź i wybrać się na jakieś zakupy.

- Sama?

- Weź siostrę albo którąś z przyjaciółek.

- Jo bez wątpienia jest ostatnią osobą, z którą chciałabym spędzić dzień. Poza tym nie mam przyjaciółek, a Ginny odeszła.

Giff nawet bez patrzenia na łzy, które w tym momencie napłynęły do oczu Lexy, doskonale zdawał sobie sprawę, że to właśnie jest podstawową przyczyną jej niepokoju i niezadowolenia. Niestety, nic nie mógł poradzić, sam zresztą również nie był w stanie pozbyć się bólu, który od zniknięcia Ginny na dobre zadomowił się w jego sercu.

- Jeśli chcesz, żebym pojechał z tobą, musisz poczekać do soboty. Zrobię wszystko, żeby mieć wolny weekend. Możemy zarezerwować pokój w hotelu, a wieczorem zabiorę cię gdzieś na wytworną kolację.

- Niczego nie rozumiesz! - Uderzyła go pięścią w ramię i poderwała się na równe nogi. - Do soboty jest bardzo daleko, a ja oszaleję, jeśli dzisiaj nie zdołam się stąd wyrwać. Dlaczego nie chcesz poświęcić mi trochę czasu? Dlaczego?

- Robię, co mogę. - Nawet jego anielska cierpliwość powoli się wyczerpywała.

Giff podniósł pistolet i wkręcił śrubę.

- Nie potrafisz nawet przerwać pracy na pięć minut, żeby ze mną porozmawiać.

Wciskasz mnie jedynie między jedną a drugą robotę. A teraz nawet głupi ganek jest ważniejszy niż chwila spędzona ze mną.

- Dałem słowo, że ukończę tę dobudówkę. - Wstał, podniósł nową deskę, położył ją na koźle do piłowania i zaczął mierzyć. - Zawsze dotrzymuję danego słowa, Lexy. Jeśli podczas weekendu nadal będziesz miała ochotę na wyprawę do Savannah, chętnie cię tam zabiorę. Nic więcej nie mogę zrobić.

- Dla mnie to za mało. - Uniosła głowę. - Jestem pewna, że nie będę miała najmniejszego problemu ze znalezieniem kogoś, kto z ogromną przyjemnością zabierze mnie tam jeszcze dzisiaj.

Giff zaznaczył ołówkiem na desce odpowiednie miejsce, potem przymrużył oczy i zmierzył Lexy chłodnym spojrzeniem. Zrozumiał groźbę i doskonale zdawał sobie sprawę, że jest ona całkiem realna.

- Nie, nie zrobisz tego - powiedział chłodnym, wyważonym tonem. - To zależy tylko od ciebie.

Te słowa zadziały jak policzek. Sądziła, że Giff dostanie szału i urządzi scenę zazdrości, przy okazji dokładnie wyjaśniając, co robi, jeśli zauważy, że spojrzęła na innego mężczyznę. W związku z tym okropnie się pokłóca, aż w końcu Lexy pozwoli się zaciągnąć do pustego domku i w łóżku przypieczętują zgodę.

A potem na pewno zdoła go przekonać, żeby zabrał ją do Savannah.

Scena, którą zdążyła już sobie dokładnie wyobrazić, rozplynęła się we mgle.

Ponieważ chciało jej się płakać, potrząsnęła głową i odwróciła się.

- W takim razie nie ma sprawy. Buduj dalej ten swój ganek, a ja zrobię, co muszę zrobić.

Giff nie odezwał się ani słowem, kiedy majestatycznym krokiem schodziła po prowizorycznych schodach. Przez chwilę czekał, aż przejdzie mu złość i znowu będzie widział wyraźnie, dopiero potem wziął do ręki piłę. Wiedział, że wściekłość może go drogo kosztować, a nie chciał, by tą zapłatą był jeden z jego palców. Pomyślał, że jeśli Lexy zrealizuje swój zamiar, na pewno będą mu potrzebne całe dłonie.

Będzie potrzebował pięciu palców, by zacisnąć je w pięść, którą miał zamiar zdzielić między oczy jakiegoś faceta.

Lexy usłyszała brzęczenie piły i zacisnęła zęby. Ależ z niego drań i egoista. Po prostu ma ją w nosie. Przemierzając szybko piasek, zdała sobie sprawę, że pieką ją oczy i z trudem łapie oddech. Wszyscy mają ją w nosie. Nikt jej nie rozumie. Nawet Ginny...

Musiała się zatrzymać i zaczekać chwilę, aż ściskający ją w dołku ból minie.

Ginny wyjechała. Po prostu odeszła. Każdy, do kogo Lexy zdążyła się przywiązać, w końcu w taki lub inny sposób ją opuszczał. Nikt nie lubił jej na tyle, by przy niej zostać.

Początkowo była święcie przekonana, że Ginny przytrafiło się jakieś nieszczęście. Że ktoś ją uprowadził, albo że niezbyt trzeźwa wpadła do któregoś ze stawów i zjadł ją aligator. Oczywiście, to były absurdalne przypuszczenia. W końcu po kilku dniach Lexy pogodziła się z faktem, że znowu ktoś ją opuścił. Wiedziała już, że nikt nie zostaje, niezależnie od tego, jak bardzo jest potrzebny.

Ale tym razem... Buntowniczo spojrzęła przez ramię w stronę domku, przy którym pracował Giff. Tym razem to ona odejdzie pierwsza.

Ruszyła w stronę drzew. Słońce zbyt mocno paliło jej skórę, a piasek uwierał

stopy w sandałach. W tym momencie z całego serca nienawidziła Desire i wszystkiego, co wiązało się z tą wyspą. Nienawidziła ludzi, którzy przyjeżdżali tu i liczyli, że będzie im usługiwać i sprzątać po nich. Nienawidziła członków rodziny za to, że uważają ją za nieodpowiedzialną marzycielkę. Nienawidziła plaży, oślepiającego, jasnego słońca i nieustannego szumu fal. A także pełnego mrocznych zakątków lasu, w którym panowała dzwoniąca w uszach cisza.

A najbardziej nienawidziła Giffa, ponieważ właśnie zaczynała się zastanawiać, czy się w nim nie zakochać.

Teraz już na pewno tego nie robi. Nie da mu tej satysfakcji. Zamiast tego, pomyślała, zostawiając za sobą słońce i zagłębiając się w cienistym lesie, podbije serce kogoś innego i tym sposobem przysporzy Giffowi cierpień.

Kiedy dostrzegła Małe Pragnienie i postać siedzącą na ganku, uśmiechnęła się promiennie. Nie była w stanie zrozumieć, dlaczego wcześniej nie wpadła na ten pomysł. Dlaczego nie pomyślała o nim.

Nathan Delaney doskonale nadawał się do tego celu. Był wytworny, wykształcony i odnosił wielkie sukcesy. Zwiedził kawał świata i sporo dokonał. Na dodatek był przystojny - na tyle przystojny, że nawet Jo go zauważała.

Lexy mogłaby się założyć, że Nathan Delaney wie, jak należy postępować z kobietą.

Otworzyła małą, czerwoną torebkę, która zwisała jej z ramienia. Najpierw prysnęła do ust wiśniowym odświeżaczem, by osłodzić oddech, potem wyjęła puderniczkę i starannie przypudrowała nos oraz czoło. Była lekko zarumieniona, w związku z tym nie potrzebowała różu, pomalowała tylko starannie wargi na intensywny, zachęcająco czerwony kolor. Lekko polakierowała włosy, po czym trochę je wzburzyła, przez cały czas zastanawiając się, w jaki sposób rozegrać tę scenę.

Zbliżyła się do domku, uniosła głowę i uśmiechnęła się przyjaźnie.

- Kogo ja widzę? Cześć, Nathan.

Wyniósł komputer na stojący na ganku stół, by czuć podczas pracy łagodny wietrzyk. Projekt, nad którym właśnie pracował, był już niemal gotowy. Zaskoczony unióśł głowę. W tym momencie zdał sobie sprawę, że ma sztywny kark.

- Cześć, Lexy. - Potarł obolałe miejsce.

- Nawet mi nie mów, że w taki piękny rano nad czymś pracujesz.

- Jedynie bawię się, dopracowując ostatnie szczegóły.

- Ojej, to jeden z tych maleńkich komputerów? Czy rzeczywiście na czymś takim można narysować cały budynek?



- Z ogromną dokładnością.

Roześmiała się, uniosła głowę i przesunęła palcami po szyi.

- To znaczy, że ci przeszkodziłam, i teraz pewnie marzysz tylko o tym, że bym sobie poszła.

- Wcale nie. Przynajmniej będę miał wymówkę, żeby zrobić krótką przerwę.

- Naprawdę? Nie będziesz wściekły, jeśli zapytam, czy mogę do ciebie wejść i zobaczyć, co robisz? A może jesteś człowiekiem kapryśnym i nie lubisz pokazywać poszczególnych etapów swojej pracy?

- Moja praca jest jedynie pierwszym etapem, więc nie mam powodu do kapryśnienia. Chodź, zapraszam na ganek.

Kiedy odwróciła się i ruszyła schodami w górę, spojrzął na zegarek. Prawdę mówiąc, potrzebował jeszcze kilku godzin, by dopracować projekt. A o pierwszej był

umówiony na randkę. Miała to być wyprawa na północny kraniec wyspy i lunch pod gołym niebem. Dodatkowa możliwość, by lepiej poznać Jo Ellen Hathaway.

A jednak uśmiechnął się do Lexy - trudno było się jej oprzeć. Wyglądała ślicznie jak z obrazka i pachniała jeszcze ładniej niż wiosenna bryza przedostająca się do wnętrza przez ażurowe ścianki. A krótka, biała spódniczka, którą Lexy miała na sobie pozwalała się domyślać nieprawdopodobnej długości jej nóg.

- Napijesz się czegoś zimnego?

- Mmm, wezmę łyk od ciebie, dobrze? - Wzięła do ręki dużą, grubą szklanę, która stała na stole i zaczęła powoli z niej pić. - Mrożona kawa. Doskonała. - Lexy serdecznie nienawidziła mrożonej kawy i nigdy nie była w stanie zrozumieć, dlaczego ludzie schładzają wspaniałą, gorący napój.

Oblizwała językiem górną wargę i usiadła obok Nathana. Nie za blisko. Kobieta nie powinna zachowywać się zbyt prowokacyjnie. Spojrzała na monitor i tak zaskoczył

ją widok rzutu poziomego całego obiektu, że niemal całkowicie zapomniała o prawdziwym celu swej wizyty.

- No proszę, czyż nie cudowne? Potrafisz zrobić to wszystko za pomocą komputera? Zawsze wydawało mi się, że architekci używają ołówków, suwaków i kalkulatorów.

- Teraz już nie tak często jak dawniej. CAD znacznie ułatwia nam życie.

Komputerowe wspomaganie projektowania - wyjaśnił. - Za pomocą tego programu można usunąć ściany, zmienić kąty i poziomy, poszerzyć drzwi, wydłużyć pokoje, a potem, jeśli nie spełnia to wcześniejszych oczekiwań, nie ma żadnych problemów z cofnięciem wszystkich zmian i powrotem do wcześniejszej wersji.

Na dodatek nie zużywa się ogromnych ilości gumki.

- Po prostu zdumiewające. Czy w przyszłości ktoś będzie mieszkał w tym domu?

- Koniec końców tak. Jest to domek letni na zachodnim wybrzeżu Meksyku.

- Willa. - Wyobraziła sobie gorące rytmy, egzotyczne kwiaty i ubranych na białe służących. - Bri był kiedyś w Meksyku. Ja nigdy nie zdołałam wyjechać za granicę. -

Spojrzała na niego spod rzęs. - Zjeździłeś cały świat, prawda?

- Nie powiedziałbym, że cały, ale byłem tu i tam. - W jego głowie rozległ się delikatny dzwonek alarmowy, który Nathan zlekceważył, uznając, że posłuchanie go byłoby dowodem głupoty i egocentryzmu. - Wokół znajdują się wspaniałe urwiska zachodniego wybrzeża, roztaczają się cudowne widoki. Z tego miejsca będzie widać Pacyfik.

- Nigdy nie widziałam Pacyfiku.

- Czasem bywa bardzo dziki. Tutaj... - stuknął w monitor - będzie solarium.

Ściany wykonane zostaną z giętego szkła, ruchomy dach również. Będzie można go otwierać podczas przyjęć i ilekroć pozwoli na to pogoda. Tutaj znajdzie się basen.

Całość będzie miała dość swobodną formę, a zachodnia ściana wzniesiona zostanie z występującego w tamtej okolicy kamienia i obsadzona tamtejszą roślinnością. Tutaj wmontujemy maleńki wodospad. Wszystko wyglądem będzie przypominało lagunę.

- Basen w samym środku domu. - Z piersi Lexy wyrwało się długie, tęskne westchnienie. - To robi wrażenie. Muszą być milionerami.

- Coś w tym rodzaju.

Z rozmarzeniem i podziwem spojrzała mu głęboko w oczy.

- To znaczy, że musisz być doskonałym architektem. Jesteś kimś niezmiernie ważnym. Odnosisz sukcesy. Projektowanie willi w Meksyku dla milionerów to nie byle co. - Położyła dłoń na jego udzie. - Nawet nie jestem w stanie sobie wyobrazić, jak musi czuć się człowiek, który umie budować tak piękne domy.

Oho! Drugi dzwonek alarmowy zadźwięczał dużo głośniejsze i trudno było go zlekceważyć. Nathan uważał się za dość inteligentnego mężczyznę. A inteligentny mężczyzna zazwyczaj wie, kiedy kobieta na niego leci.

- Nad takim domem pracuje mnóstwo ludzi. Inżynierowie, projektanci terenów zielonych, wykonawcy.

Czyż on nie jest słodki, pomyślała, i przysunęła się odrobinę bliżej.

- Ale bez ciebie nie mieliby nad czym pracować. To ty wprawiasz wszystko w ruch, Nathan.

Nathan doszedł do wniosku, że inteligentny mężczyzna często salwuje się ucieczką. Odsunął się odrobinę i dzięki temu teraz dzielił ich mniej więcej centymetr.

- Nie, jeśli nie skończę tego projektu. - Uśmiechnął się do niej, mając nadzieję, że na jego twarzy nie widać zdenerwowania, które właśnie zaczynał odczuwać. -

Jestem już trochę spóźniony, w związku z tym...

- Wszystko to wygląda cudownie.” - Jej dłoń przesunęła się po jego udzie.

Mimo całej inteligencji, nie przestał być człowiekiem. Jego ciało zareagowało tak, jak kazała natura.

- Posłuchaj, Lexy...

- Jestem pod wrażeniem. - Pochyliła się zachęcająco w jego stronę. - Bardzo chciałabym zobaczyć więcej. - Poczul jej oddech na swoich wargach. - Znacz nie więcej. - Lexy stwierdziła, że Nathan ma w sobie zbyt dużo z dżentelmena - albo bałwana - by zrobić następny krok, w związku z tym przycisnęła wargi do jego ust i zarzuciła mu rękę na szyję.

To zajęło mu trochę czasu. Była ciepła i cudowna, dlatego większość krwi odpłynęła mu z głowy, sprawiając, że trudno było mu się zdobyć na logiczne myślenie.

Jednak zdołał złapać ją za nadgarstki, rozpleść jej ramiona i odsunąć się.

- Wiesz... - Musiał odchrząknąć. - Wiesz, Lexy, jesteś fantastyczną kobietą.

Pochlebiasz mi.

- Cieszę się. - Serce zaczęło jej bić nieco mocniej. Wyobraziła sobie oszalałą z zazdrości twarz Giffa i jej puls stał się jeszcze szybszy. - W takim razie czemu nie wejdziemy na chwilę do środka?

- Bo to już jest coś zupełnie innego. - Opuścił jej rękę w dół, ale ani na chwilę ich nie uwalniał. - Naprawdę bardzo podoba mi się moja twarz. Przywykłem do niej.

Ostatnio nawet coraz rzadziej zacynam się przy goleniu.

- Mnie ona też się podoba. Masz piękną twarz.

- Najmocniej dziękuję. Ale nie chcę, żeby Giff poczuł się w obowiązku zniekształcenia mi jej.

- Och, Giff nic mnie nie obchodzi. - Beztrosko potrząsnęła głową. - Przecież nie jestem jego własnością.

Rozbawiła go wściekłość, którą słysząc było w jej głosie, i widoczne w jej oczach niezadowolenie. Bez trudu domyślił się, że powodem tej próby uwiedzenia go była kłótnia kochanków.

- Posprzeczałiście się, prawda?

- Nie chcę rozmawiać o Giffie. Dlaczego znowu mnie nie pocałujesz, Nathan?

Przecież tego chcesz.

Gdzieś w głębi duszy rzeczywiście tego pragnął, była to jednak prymitywna żądza, która w tej chwili znajdowała się zbyt blisko powierzchni.

- W porządku, nie będziemy rozmawiać o Giffie. Porozmawiajmy zatem o Jo.

- Nie jestem również jej własnością.

- Nie, ale... - Nie był całkiem pewien, jak jej to wyjaśnić. - Jestem nią zainteresowany - rzekł zdecydowanie.

- Wydawało mi się, że jesteś zainteresowany mną - By to udowodnić, uwolniła rękę i sięgnęła nią w stronę jego krocza.

Udało mu się nie krzyknąć, a równocześnie zdołał mocno złapać jej dłoń.

- Daj sobie spokój. - Powiedział mentorskim tonem, z którego dumna była by każda matka. - Jesteś wartościową dziewczyną, Lexy. Bardzo wartościową.

- Dlaczego w takim razie wolisz Jo? Ona jest zimna, despotyczna i...

- Przestań. - Ścisnął mocno jej dłonie. - Nie chcę słyszeć, że mówisz o niej w taki sposób. Bardzo mi na niej zależy. Tobie też.

- Nie masz bladego pojęcia, na czym mi zależy. Nikt tego nie wie. Ponieważ przy ostatnich słowach głos dziewczyny się załamał, nagle zrobiło mu się jej ogromnie żal. Delikatnie unióśł dłonie Lexy do ust. Kiedy je pocałował, zaskoczona zamrugła oczami.

- Może to dlatego, że naprawdę sama się jeszcze nie zdecydowałaś. - Mając nadzieję, że nic mu już nie grozi, uwolnił jedną z jej rąk i odsunął jej włosy z twarzy. -

Lubię cię Lexy. Naprawdę. I to jest jeszcze jeden powód, dla którego nie chcę skorzystać z twojej niezwykle kuszącej oferty.

Zawstydzila się, a na jej policzkach pojawiły się rumieńce.

- Zrobiłam z siebie idiotkę.

- Nie. Raczej mnie cholernie mało do tego brakowało. - Nieco spokojniejszy odsunął się do tyłu, sięgnął po kawę i zwilżył nią gardło. - Prawdopodobnie gdzieś w połowie drogi sama byś się rozmyśliła. Jak ja bym wówczas wyglądał?

Pociągnęła nosem.

- Może wcale bym się nie rozmyśliła. Seks zawsze przychodzi bardzo łatwo.

Jedynie cała reszta jest potwornie zagmatwana.

- Powiedz mi coś o tym. - Kiedy zaproponował jej kawę, uśmiechnęła się i potrząsnęła głową.

- Nienawidzę kawy mrożonej. Piłam ją tylko po to, żeby cię uwieść.

- No proszę. Powiesz mi coś na temat kłótni z Giffem?

- Epizod bez żadnego znaczenia. - Przytłoczyło ją ciężkie brzemie nieszczęścia, więc wstała i zaczęła niespokojnie krążyć tam i z powrotem, mając nadzieję, że w ten sposób zdoła je z siebie strząsnąć. - Nic dla niego nie znaczę, nie dba o to, co zrobię ani z kim jestem. Dzisiaj nie mógł mi poświęcić nawet godziny swego niezwykle cennego czasu.

- Kochanie, on za tobą szaleje. Roześmiała się gorzko.

- O to nietrudno.

- Nie zawsze. Na pewno nie wówczas, kiedy człowiek stara się, żeby wszystko przyniosło określony efekt.

Zacisnęła wargi i spojrzała na niego.

- Czy naprawdę darzysz Jo jakimś uczuciem? - Zdaje się, że tak.

- Jeśli o nią chodzi, nic nie jest łatwe.

- Właśnie powoli się o tym przekonuję.

- Sypiasz z nią? - Lexy...

- Jeszcze nie - zdecydowała i uśmiechnęła się. - I dlatego jesteś trochę nerwowy. - Podeszła bliżej i usiadła na brzegu stołu. - Udzielić ci kilku rad?

- Sądzę, że nie powinniśmy dyskutować... - Urwał, a potem spytał porzucając swoją męską dumę. - Jakich rad?

- Jo lubi o wszystkim decydować, mieć wpływ na bieg spraw, wiesz? W ten sposób pracuje i tak samo postępuje w życiu prywatnym. Poza tym zawsze utrzymuje pewien dystans między sobą a innymi ludźmi, zostawiając sobie pole manewru.

Złapał się na tym, że ponownie się uśmiecha, a w dodatku coraz bardziej lubi Alexę Hathaway.

- Ona nawet nie przypuszcza, że tak dobrze ją znasz.

- Większość ludzi mnie nie docenia - powiedziała Lexy, wzruszając ramionami.

- Najczęściej sama im na to pozwalam. Sądzę jednak, że wyświadczyłeś mi dzisiaj przysługę, w związku z tym chcę ci się zrewanżować. Nie pozwól jej na zbyt dużo manewrów. Kiedy nadejdzie odpowiednia chwila, spróbuj jej trochę utrzyć nosa, Nathan. Podejrzewam, że nikomu dotychczas nie udało się utrzyć nosa Jo Ellen, a bardzo by jej się to przydało.

Przyjrzała mu się uważnie, oceniając go kobiecym okiem, potem uśmiechnęła się z wyższością.

- Sądzę, że doskonale sobie z tym poradzisz. Mam również nadzieję, że jesteś na tyle mądry, by nie mówić jej, co tu zaszło.

- Nigdy w życiu.

W tym momencie z jej twarzy zniknął bezczelny uśmieszek.

- Spróbuj odkryć, Nathan, co ją gnębi.

- A coś ją gnębi?

- Coś ją gryzie i choć nie wiem co, na pewno przyjechała tutaj, żeby od tego uciec. Przez pierwszy tydzień swojego pobytu na Desire krzyczała przez sen albo pół

nocy niespokojnie chodziła po pokoju. Poza tym od czasu do czasu w jej oczach pojawia się coś, co bardzo przypomina strach. Jo nigdy w życiu niczego się nie bała.

- Rozmawiałaś z nią?

- Ja? - Roześmiała się znowu. - Jo nie zamieniłaby ze mną nawet dwóch zdań na żaden poważny temat. Jestem jedynie głupiutką, młodszą siostrzyczką.

- Wcale nie jesteś głupia, Lexy. W każdym razie ja nie należę do ludzi, którzy cię nie doceniają.

Wzruszona pocałowała go w policzek.

- To znaczy, że jesteśmy przyjaciółmi.

- Chciałbym, żeby tak było. Giff jest niesamowitym szczęściarzem.

- Pod warunkiem, że dam mu jeszcze jedną szansę. - Podniosła głowę i wstała. -

Może to nawet zrobię - ale wcześniej będzie musiał mnie przeprosić i błagać o wybaczenie.

- Jako przyjaciel będę ci niezmiernie wdzięczny, jeśli ty również nie zapomnisz o całym zajściu Giffowi. Mógłby poczuć się na tyle dotknięty, by mimo wszystko sprawić mi lanie.

- Och, nic mu nie powiem. - Podeszła do drzwi i obejrzała się. - Sądzę jednak, że sobie poradzisz,

Nathan. Naprawdę wierzę, że się z tym uporasz. Na razie, cześć.

Gdy Nathan został sam, przetarł oczy, a potem zaczął masować sobie żołądek.

Ta dziewczyna to ciężki orzech do zgryzienia, pomyślał. Miał nadzieję, że Giffowi dopisze szczęście.

Kiedy Lexy weszła do kuchni, Jo właśnie pakowała piknikowy koszyk. Na kontuarze leżała starannie zamknięta torba na aparat, a obok statyw.

- Wybierasz się na piknik? - zapytała Lexy beztrąsko.

- Chcę zrobić kilka zdjęć na północnym cyplu wyspy, dlatego postanowiłam poświęcić temu całe popołudnie.

- Wybierasz się tam całkiem sama?

- Nie. - Jo wetknęła do koszyka wino. - Biorę ze sobą Nathana.

- Nathana? - Lexy podciągnęła się i usiadła na kontuarze, po czym z kamienne go półmiska na owoce wybrała lśniące, zielone jabłko. - Proszę, co za zbieg okoliczności. - Z uśmiechem na ustach wypolerowała jabłko o bluzkę między piersiami.

- Co takiego?

- Właśnie wracam od niego.

- Tak? - Chociaż Jo poczuła, że zeszywniał jej kark, udało jej się zadać to pytanie zupełnie normalnym głosem.

- Uhm. - Z prawdziwą przyjemnością balansując na skraju przepaści i ciągnąc w tę samą stronę siostrę, Lexy wbiła zęby w jabłko. - Przechodziłam obok jego domku, a on właśnie siedział sobie na ganku i popijał mrożoną kawę. Poczęstował mnie.

- Przecież ty nie lubisz kawy mrożonej. Lexy zrobiła minę niewiniątka.

- Gusty się zmieniają. Pokazał mi rzut poziomy projektu, nad którym właśnie pracuje. To meksykańska willa.

- Nigdy nie przyszłoby mi na myśl, że interesują cię rzuty poziome.

- Och, interesuje mnie mnóstwo rzeczy. - Z diabelskim błyskiem w oku Lexy schrupała następny kawałek jabłka. - Zwłaszcza przystojni mężczyźni. A Nathan jest facetem pierwsza klasa.

- Z pewnością bardzo by mu pochlebiało, gdyby wiedział, że tak myślisz -

powiedziała Jo sucho i trzasnęła wieczkiem koszyka. - Wydawało mi się, że miałaś zamiar spotkać się z Giffem.

- Z nim również się widziałam.

- To znaczy, że byłaś bardzo zajęta. - Jo dźwignęła koszyk i zarzuciła torbę z aparatem na ramię. - Muszę już iść, bo inaczej stracę najlepsze światło.

- W takim razie życzę ci miłej wędrówki i uroczego pikniku. Jeszcze jedno, Jo.

Pozdrów ode mnie Nathana, dobrze?

Kiedy drzwi trzasnęły, Lexy złapała się za brzuch i zaczęła się głośno śmiać.

Mam dla ciebie, Nathan, następną radę, pomyślała - spróbuj nieco rozdrażnić to zielonookie monstrum, a nagrody zbieraj potem.

Nie wspomni mu o tym. Za nic na świecie nie poniży się do tego stopnia, by poruszyć ten temat, nawet gdyby zdołała to zrobić w najbardziej niewymuszony sposób. Jo przesunęła statyw, a potem pochyliła się, by spojrzeć w wizjer i odpowiednio wykadrować ujęcie.

W tym miejscu morze uderzało o brzeg dużo gwałtowniej, bezlitośnie smagało i chłostało znajdującą się poniżej stromego urwiska kamienistą plażę. Mewy krążyły z krzykiem, a ich białe skrzydła przecinały niebo. Gwałtownie zwiększał się upał, rosła również wilgotność, co sprawiało, że powietrze lśniło.

Południowa ściana starego klasztoru wciąż jeszcze stała. Trzymało się również kamienne nadproże nad wąskim przejściem. Za nim widać było plataninę obsypanych kwieciami pnączy częściowo skąpanych w blasku słońca, a częściowo ukrytych w cieniu. Jo chciała utrwalić na kliszy to wrażenie pustki - kępki wysokich traw oraz niewielkie kupki piasku utworzone i niszczone przez wiatr.

Chciała, by na zdjęciu nie było ani śladu ruchu, dlatego musiała poczekać, by uchwycić moment absolutnej ciszy między ostrymi podmuchami wiatru. Potrzebna jest duża głębia ostrości, pomyślała, żeby wszystko było wyraźne widać - fakturę kamienia, pnączy, piasku i różne odcienie szarości.

By to osiągnąć, musiała zmniejszyć przesłonę i wydłużyć czas. Ustawiła obiektyw niemal w pozycji poziomej i wykadrowała ujęcie, starannie oddzielając ten fragment ruin od pozostałych ścian. W ten sposób chciała zasugerować, że budowla jest cała, a mimo to została przez wszystkich opuszczona.

Jest pusta.

Zrobiła kilka zdjęć, a potem przeniosła statyw i aparat na wschodni róg. Z tego miejsca doskonale było widać dziury i wyłomy, które wiatr, piasek i czas porobiły w kamieniu. Tym razem do ukazania smutku i pustki tego miejsca wykorzystała walące się ściany.

Kiedy usłyszała cichutki trzask, wyprostowała się. Po jej lewej stronie stał

Nathan i właśnie opuszczał swój aparat.

- Co ty wyprawiasz?



- Robię ci zdjęcie. - Zanim go przyłapała, zdążył już trzykrotnie pstryknąć. -

Pięknie wyglądasz. Wszystko robisz z takim ogromnym przejęciem. Żołądek podszedł

jej do gardła. Ktoś robił jej zdjęcia w czasie, kiedy ona nawet nie zdawała sobie z tego sprawy. Zmusiła się jednak do uśmiechu.

- Zaczekaj, pozwól mi wziąć aparat. Może tym razem ja sfotografuję ciebie.

- Mam lepszy pomysł - ustaw samowyzwalacz w swoim aparacie i pstryknij nas obydwój. Na tle ruin.

- Ani ten typ aparatu, ani to oświetlenie nie nadaje się do zdjęć portretowych, -

Więc nie pokażemy go na twojej następnej wystawie. Przecież ono wcale nie musi być idealne, Jo. - Odłożył swój aparat. - Za to będziemy na nim obydwój.

- Gdybym miała dyfuzer... - Odwróciła głowę, spojrzała w słońce, potem, mrużąc coś pod nosem, zmieniła ustawienie aparatu, żeby pozbyć się cieni, obliczyła przesłonę i dostosowała czas. Wzruszyła ramionami.

- Jo. - Z trudem opanowywał śmiech. - Pomyśl o tym jako o najzwyklejszej fotce.

- Nic z tego. Podejdź tam i stań po lewej stronie wyrwy w ścianie. Mniej więcej sześćdziesiąt centymetrów od niej.

Odczekała chwilę, zanim podszedł do wskazanego miejsca. Przez wizjer zobaczyła, że się do niej uśmiecha. Przyszło jej na myśl, że mogłaby zrobić znacznie więcej. Byłoby to możliwe, gdyby miała do dyspozycji odpowiedni sprzęt, który pozwoliłby jej pomanipulować nieco światłem i cieniem. Gdyby była w stanie doświetlić od góry jego rozwiane przez wiatr włosy i wydobyć wszystkie różnice między światłem i cieniem.

Doszła do wniosku, że światło jest zbyt ostre. Gdyby było bardziej miękkie, bardziej romantyczne, wówczas zdołałaby ukazać te cudowne oczy i wyraziste rysy twarzy. Przy użyciu dodatkowego reflektora i dyfuzera, mogłaby zrobić naprawdę świetne zdjęcie.

Boże, ależ on jest atrakcyjny. Na tle zniszczonej i wykruszonej kamiennej ściany wygląda na bardzo mocnego i pełnego życia. Sprawia wrażenie mężczyzny, który dużo potrafi. W gładkim szarym podkoszulku opinającym się na szerokiej klatce piersiowej, w tych wyblakłych i podniszczonych, podkreślających wąskie biodra dzinsach wygląda bardzo seksownie.

- Już wiem, dlaczego z zasady nie robisz zdjęć portretowych. Zamrugła powiekami i wyprostowała się.

- Słucham?

- Twój model mógłby zapaść w śpiączkę, czekając aż wszystko poustawiasz. - Ze śmiechem

wyciągnął przed siebie rękę i kiwnął palcem, żeby do niego przyszła. - To wcale nie musi być dzieło sztuki.

- Każde zdjęcie musi być dziełem sztuki - poprawiła. Jeszcze przez chwilę wszystko sprawdzała, potem ustawiła samowyzwalacz i podeszła do niego. - Dziesięć sekund. Hej!

Przesunął się, postawił ją przed sobą i objął rękami w pasie.

- Podoba mi się takie ustawienie. Uśmiechnij się!

Oparła się o niego plecami i zaczęła na trzaśnięcie migawki. Kiedy miała zamiar się ruszyć, przytulił twarz do jej włosów.

- Nadal podoba mi się takie ustawienie. - Odwrócił ją o sto osiemdziesiąt stopni i dotknął wargami jej ust. - A takie jeszcze bardziej.

- Muszę złożyć sprzęt.

- W porządku. - Oderwał wargi od jej ust i zaczął całować szyję.

Ogarnęło ją zdenerwowanie i pożądanie.

- Ja... światło się zmieniło. Już teraz nie jest takie dobre. - Ponieważ zaczęły drżeć pod nią kolana, cofnęła się. - To nie potrwa długo.

- Dobrze. Chciałbym, żebyś mogła zobaczyć samą siebie przy pracy. Pomogę ci złożyć ekwipunek.

- Nie, zrobię to sama. Strasznie się denerwuję, jeśli ktokolwiek dotyka mojego sprzętu.

- W takim razie otworzę wino.

- Doskonały pomysł. - Wróciła do statywu i westchnęła z ulgą. Czowała, że już wkrótce będzie się musiała zdecydować, czy ma zamiar nadal posuwać się do przodu, czy też wycofać.

Odczepiła aparat i starannie go zapakowała.

- Lexy powiedziała, że była u ciebie tego ranka.

- Słucham? - Miał nadzieję, że wystrzał korka zagłuszył zaskoczenie, które wyraźnie słychać było w jego głosie.

- Powiedziała, że przechodziła obok twojego domku. - Jo już była zła na samą siebie za poruszenie tego tematu, dlatego nie odrywała wzroku od pakowanego sprzętu.

Nathan odchrząknął i nagle stwierdził, że przydałby mu się kieliszek wina.

- A tak, rzeczywiście. Wpadła na chwilę. Czemu pytasz?

- Bez powodu. - Jo złożyła statyw. - Powiedziała, że pokazała jej jakiś projekt, nad którym pracujesz.

Zastanawiając się, czy przypadkowo jednak nie przecenił Lexy, nalał dwie spore porcje wina.

- To willa w Meksyku. Właśnie dopracowywałem ostatnie szczegóły, kiedy... do mnie wpadła.

Jo przeniosła swój sprzęt i ułożył go starannie na jednym końcu koca, który Nathan rozłożył na ziemi.

- Twój głos brzmi trochę dziwnie, Nathan, zupełnie jakbyś był zdenerwowany.

- Nie, jestem jedynie trochę głodny. - Wręczył jej wino, i zanim usiadł, wziął

potężny łyk. Sięgnął do koszyka. - Co mamy do jedzenia?

Jo poczuła, że każdy jej mięsień jest napięty do granic wytrzymałości.

- Czy coś przydarzyło ci się z Lexy?

- Przydarzyło? Z Lexy? - Nathan wyjął plastikowy pojemnik z kawałkiem pieczonego kurczaka. - Nie wiem, o co ci chodzi.

Na widok jego zbyt niewinnego wyrazu twarzy, przymrużyła oczy.

- Naprawdę nie wiesz?

- Co ty sobie wyobrażasz? - Doszedł do wniosku, że najlepszą obroną jest atak.

- Sądysz, że ja... i twoja siostra? - W jego głosie wyraźnie słychać było urazę. Przyszło mu to tym łatwiej, że do takiego kroku pchnęła go prawdziwa desperacja.

- Jest piękną kobietą. - Jo położyła na kocu plastikową miseczkę z pokrojonymi owocami.

- Z pewnością tak, co oczywiście oznacza, że przy pierwszej nadarzającej się okazji wskoczyłem z nią do łóżka. Za kogo ty mnie, do diabła, bierzesz? - W jego słowach słychać było złość, która, choć tylko częściowo prawdziwa, była natomiast całkowicie uzasadniona. - Za człowieka, który rano przelatuje jedną siostrę, a po południu dobiera się do drugiej? Może nim zapadnie noc zdążę jeszcze przespać się z twoją kuzynką Kate i wówczas będę mógł się poszczycić, że w ciągu jednego dnia zaliczyłem całą rodzinę?

- Nie myślałam... Ja jedynie pytałam...

- O co pytałaś?

- Ja... - W jego pociemniałych i błyszczących oczach widać było prawdziwą wściekłość. Najpierw, ku własnemu zaskoczeniu, usłyszała dzwoneczek alarmowy, a potem zła na samą siebie szybko się opanowała. - O nic. Przepraszam.

Lexy po prostu drażniła się ze mną. - Jo poirytowana przejechała dłonią po włosach. - Doskonale zdawałam sobie sprawę, że się ze mną drażni. Wiedziała, że wybieram się tu z tobą i że od jakiegoś czasu się spotykamy, dlatego chciała wy prowadzić mnie z równowagi.

Westchnęła ponownie zła na samą siebie, że nie udało jej się utrzymać języka za zębami.

- Nie miałam zamiaru w ogóle o tym wspominać - ciągnęła, kiedy Nathan nie odezwał się ani słowem. - Sama nie wiem, dlaczego to zrobiłam. Po prostu wyrwało mi się.

Uniósł głowę.

- Zazdrosna?

Zaczęła się cieszyć, że jego oczy nie płoną już wściekłością, ale pytanie, które zadał spowodowało, że ponownie poczuła się bardzo spięta.

- Nie. Ja tylko... Sama nie wiem. Przepraszam. - Sięgnęła po jego dłoń i trochę się przysunęła. - Naprawdę.

- Zapomnijmy o tym. - Uniósł jej dłoń do ust. - To nigdy się nie zdarzyło.

Kiedy z uśmiechem pochyliła się i delikatnie pocałowała go w usta, wznosił

oczy do nieba, zastanawiając się, czy powinien podziękować Lexy, czy raczej ją udusić.

## **ROZDZIAŁ 17**

Kirby mierzyła temperaturę Yancy Brodie, tymczasem jego matka ani na moment nie odrywała od chłopca pełnego troski spojrzenia. - Prawie przez całą noc nie zmrużył oka, pani doktor. Dałam mu tyle, ale rano gorączka wróciła. Przed świtem Jerry musiał wypłynąć na połów krewetek. Nie mógł zostać, chociaż potwornie martwił się o małego.

- Kiepsko się czuję - wyznał Yancy płaczliwie i spojrzał prosto w oczy Kirby.

- Mama powiedziała, że pani mnie wyleczy.

- Zobaczmy, co da się zrobić. - Kirby pogłaskała czteroletniego Yancy'ego po jasnych jak słońce włosach. - Powiedz mi, Yancy, czy kilka dni temu byłeś na przyjęciu urodzinowym u Betsy Pendleton?

- Tak, jadłem lody i ciasto, a poza tym w końcu udało mi się przygwoździć tego bałwana.

- Osła - poprawiła matka.

- Tata mówi, że to „bałwan”. - Yancy uśmiechnął się, potem położył głowę na ramieniu Kirby. - Źle się czuję.

- Wiem, złotko. Ale Betsy również nie czuje się dzisiaj najlepiej, tak samo Brandon i Peggy Lee. Wszyscy złapaliście ospę wietrzną.

- Ospa wietrzna? Ale on nie ma żadnych wyprysków.

- Niedługo się pojawią. - Kirby już zauważyła drobną wysypkę poniżej ramion.

- Kiedy zaczniesz cię swędzieć, skarbie, będziesz musiał zrobić wszystko, żeby się nie drapać. Dam twojej mamie płyn, którym będzie cię smarowała. To na pewno pomoże. Annie, czy ty i Jerry chorowaliście na ospę wietrzną?

- Tak, jeszcze w dzieciństwie. - Annie ciężko westchnęła. - Prawdę mówiąc, zaraziłam się wówczas ospą właśnie od Jerry'ego.

- Jeśli tak, nie powinniście złapać jej już po raz drugi. U Yancy'ego choroba dopiero się rozwija, dlatego spróbujcie ograniczyć do minimum jego kontakty z innymi dziećmi i dorosłymi, którzy jeszcze nie chorowali na ospę. Czekaj cię kwarantanna, smyku - powiedziała Kirby, trącąc Yancy'ego w nos. - Kiedy zaczniesz się pojawiać wysypka, możesz mu robić letnie kąpiele z niewielką ilością mąki kukurydzianej, to powinno trochę pomóc. Poza tym dam ci lekarstwo doustne i płyn do użytku zewnętrznego. Mam tu jedynie próbki, więc będziesz musiała wysłać Jerry'ego na stały ląd, żeby zrealizował kilka recept. Gdyby mały miał gorączkę, rzeczywiście możesz podawać mu tylenol - dodała, kładąc chłodną dłoń na policzku Yancy'ego. - Za kilka dni wpadnę do was i obejrzę go.

Zauważywszy rozpacz w oczach Annie, Kirby z uśmiechem dotknęła jej ramienia.

- Nic mu nie będzie, Annie. Waszą trójkę czeka po prostu kilka ciężkich dni, ale nie przewiduję żadnych komplikacji. Zanim zabierzesz go do domu, jeszcze raz ci wszystko powiem.

- Ja tylko... czy mogłybyśmy chwilę porozmawiać na osobności?

- Oczywiście. - Kirby zdjęła stetoskop z szyi i dała go Yancy'emu. - Chcesz usłyszeć, Yancy, jak bije twoje serduszko? - Włożyła mu słuchawki do uszu i naprowadziła dłoń malca. Zmęczone oczy Yancy'ego zaokrągliły się ze zdziwienia. -

Posłuchaj przez chwilę, a ja w tym czasie porozmawiam z mamusią.

Wyprowadziła Annie do holu, zostawiając uchylone drzwi.

- Yancy jest silnym, zdrowym, całkiem normalnym czterolatkiem - zaczęła. -

Nie masz się czym martwić. Ospa wietrzna jest kłopotliwa i denerwująca, ale bardzo rzadko następują po niej jakieś powikłania. Jeżeli chcesz, mogę ci dać jakieś broszurki na ten temat.

- To nie o to... - Zagryzła wargi. - Kilka dni temu zrobiłam sobie domowy test ciążowy. Wpadł pozytywnie.

- Rozumiem. Cieszysz się z tego, Annie?

- Tak. Oboje z Jerrym prawie od roku robiliśmy wszystko, żeby mieć następne dziecko. Ale... czy wszystko będzie w porządku? Czy maleństwo nie będzie chore?

Kontakt z wirusem podczas pierwszych trzech miesięcy ciąży wiąże się z pewnym ryzykiem.

- Jako dziecko chorowałaś na ospę wietrzną, prawda?

- Tak, mama zakładała mi nawet bawełniane rękawiczki, żebym się nie drapała i nie miała potem blizn.

- Jest mało prawdopodobne, żebyś zaraziła się po raz drugi. - Gdyby tak się stało, pomyślała Kirby z lekkim niepokojem, wówczas spróbujemy jakoś sobie z tym poradzić. - Nawet jeśli się rozchorujesz, jest spora szansa, że maleństwu nic nie będzie. Może pozwolisz, żebym przeprowadziła test ciążowy, po prostu dla potwierdzenia? Mogłabym cię również szybko przebadać. Sprawdziłybyśmy, który to miesiąc i ile ci jeszcze zostało.

- Czułabym się znacznie lepiej.

- W takim razie zrobmy tak, jak mówię. Kto jest twoim ginekologiem?

- Gdy byłam w ciąży z Yancym, jeździłam na stały ląd do kliniki. Miałam jednak nadzieję, że tym razem właśnie pani będzie mogła się wszystkim zająć.

- No cóż, jeszcze wrócimy do tego tematu. W poczekalni siedzi Irene Verdon.

Sprawdźmy, czy może przez kilka minut przypilnować Yancy'ego. Potem chciałabym, żebyście oboje pojechali do domu i trochę odpoczęli. Dobrze wam to zrobi.

- A ja poczuje się znacznie lepiej, wiedząc, że jesteśmy pod pani opieką, doktor Kirby. - Annie położyła dłoń na brzuchu. - Wszyscy.

Do pierwszej Kirby stwierdziła jeszcze dwa przypadki ospy wietrznej, usztywniła złamany palec i udzieliła pomocy pacjentowi z zapaleniem pęcherza.

Sięgając po słoik masła orzechowego, pomyślała, że tak właśnie wygląda życie lekarza ogólnego.

Do następnego spotkania zostało jej jeszcze trzydzieści minut i miała nadzieję, że będzie mogła w tym czasie posiedzieć spokojnie i zjeść lunch. Kiedy nagle otworzyły się drzwi, nie jęknęła, chociaż miała na to ogromną ochotę.

Tym razem był to jakiś obcy mężczyzna. Znała już twarze wszystkich stałych mieszkańców wyspy, tej jednak nigdy wcześniej nie widziała. Natychmiast uznała przybysza za zapamiętałego plażowicza, który pojawia się na wyspie w pogoni za słońcem i morską pianą.

Jego jasne, zbyt długie, opadające na ramiona włosy okalały opaloną na ciemny brąz twarz. Miał na sobie postrzępione, obcięte powyżej kolan dzinsy, ciemne okulary przeciwsłoneczne i podkoszulek, który sugerował, że słońce najlepiej opala na Cozumel.

Kirby oceniła, że jej gość zbliża się do trzydziestki i że jest schludnym oraz atrakcyjnym mężczyzną. Odłożyła na bok kanapkę i uśmiechem odpowiedziała na jego niepewną minę.

- Przepraszam. - Pochylił głowę. - Nie wiem, czy dobrze trafiłem. Powie dziano mi, że tutaj znajduje lekarza.

- Jestem doktor Fitzsimmons. Czym mogę służyć?

- Nie umawiałem się wcześniej na wizytę. - Spojrzał na jej kanapkę. - Czy powinienem to zrobić?

- Dlaczego chce się pan umawiać?

- Dlatego... - Wzruszył ramionami, a potem wyciągnął rękę. Na wewnętrznej stronie jego dłoni widać było ogromny ślad po poparzeniu. Przez środek biegła czerwona rana, a z licznych pęcherzy sączył się płyn.

- Wygląda paskudnie. - Automatycznie podeszła bliżej i delikatnie ujęła jego dłoń, żeby się uważniej przyjrzeć.

- Wiem, że postąpiłem głupio. Kawa dopiero zaczęła się parzyć, a ja bezmyślnie wziąłem do ręki dzbanek. Mieszkam na kempingu. Zapytałem tego dzieciaka, który zajmuje się sprawami meldunkowymi, czy jest tu ktoś, kto mógłby mi pomóc, a on skierował mnie do pani.

- Chodźmy do gabinetu. Oczyszczę panu ranę i założę opatrunek.

- Przerwałem pani lunch.

- Taki wybrałam sobie zawód. A więc mieszka pan na kempingu - ciągnęła, prowadząc go do gabinetu.

- Tak. Miałem zamiar udać się na południe, na Keys. Mam tam coś do zrobienia. Jestem artystą.

- Och?

Usiadł na krześle, które mu wskazała, potem zmarszczył brwi, spoglądając na swoją dłoń.

- Podejrzewam, że to opóźni o kilka tygodni moją pracę.

- Chyba że spróbuje pan malować lewą ręką - powiedziała z uśmiechem, myjąc ręce i zakładając rękawice.

- No cóż, i tak zastanawiałem się, czy nie zostać tu trochę dłużej. To piękne miejsce. - Gdy zaczęła przemywać poparzenie, syknął. - Boli jak jasna cholera.

- Ma prawo. Polecam aspirynę. I uchwyt do dzbanka. Roześmiał się, potem z bólu zacisnął zęby.

- Chyba mam szczęście, że na wyspie jest lekarz. W przypadku tego typu ran nietrudno o infekcję,

prawda?

- Uhm. Postaramy się jednak, żeby do tego nie doszło. Co pan maluje?

- Wszystko, co mi się spodoba. - Uśmiechnął się do niej, z przyjemnością wdychając unoszący się wokół zapach i obserwując złociste włosy opadające na jej policzki. - Może zgodziłaby się pani mi popozować?

Roześmiała się i odsunęła krzesło, by sięgnąć do szuflady po maść.

- Raczej nie, niemniej dziękuję za propozycję.

- Ma pani zachwycającą twarz. Uwielbiam mieć do czynienia z pięknymi kobietami.

Uniosła wzrok. Jego oczy ukryte były za ciemnymi szklami. Chociaż uśmiechał

się do niej uroczo i przyjaźnie, było w nim coś, co sprawiło, że nagle poczuła się bardzo nieswojo. Niezależnie od wykonywanego przez siebie zawodu nie przestawała być kobietą, a w tym momencie znajdowała się sam na sam z zupełnie obcym mężczyzną. I to takim, który przyglądał jej się trochę zbyt natarczywie.

- Nie wątpię. Ale ponieważ jestem jedynym lekarzem na tej wyspie, bez przerwy mam ręce pełne roboty. - Ponownie pochyliła głowę, by posmarować poparzenie maścią.

To głupota, pomyślała. Jej obawy są właściwie śmieszne. Ten człowiek ma t a dłoni poparzenie drugiego stopnia i pozwala opatrywać je zupełnie obcej osobie. Jest artystą. Nic zatem dziwnego, że ją obserwuje.

- Gdyby zmieniła pani zdanie, prawdopodobnie będę się tu plątał jeszcze przez jakiś czas. Jezu, przestaje boleć. - Westchnął z ulgą, a Kirby poczuła, że jego dłoń rozluźnia się.

Ponieważ zrobiło jej się głupio, spojrzała na niego ze współczuciem.

- Po to są lekarze. Proszę starać się tego nie zamoczyć. Wchodząc pod prysznic, można owinać rękę woreczkiem plastikowym. Na pana miejscu przez najbliższy tydzień zrezygnowałabym z pływania. Opatrunek trzeba codziennie zmieniać. Jeśli nie będzie pan miał pod ręką nikogo do pomocy, proszę przyjść, wówczas zrobię to sama.

- Dziękuję najmocniej. Ma pani bardzo dobre ręce, pani doktor - dodał, Kiedy bandażowała mu dłoń.

- Wszyscy tak mówią.

- Nie, ja naprawdę tak uważam. Ma pani nie tylko dłonie dobrej lekarki, ale -

artystki. Ręce anioła - powiedział, uśmiechając się ponownie. - Bardzo chciał bym móc je kiedyś naszkicować.



- Pomyślmy o tym, gdy będzie pan mógł z powrotem utrzymać ołówek. -

Wstała. - Dam panu tubkę maści. Chciałabym, żeby za dwa dni pojawił się pan u mnie do kontroli, chyba że do tego czasu opuści pan wyspę. W takim razie byłoby dobrze, gdyby zobaczył to jakiś inny lekarz.

- W porządku. Ile jestem pani winien?

- Jest pan ubezpieczony? - Nie.

- Dwadzieścia pięć za wizytę i dziesięć za materiały opatrunkowe.

- Jest pani bardzo uczciwa. - Wstał i lewą ręką wyciągnął portfel z tylnej kieszeni. Potem palcami zabandażowanej ręki ostrożnie wyjął z niego banknoty. -

Podejrzewam, że przez jakiś czas będzie mi trochę niewygodnie.

- Jeśli będzie pan potrzebował pomocy, na pewno znajdzie się na kempingu ktoś, kto panu pomoże. To bardzo przyjazna wyspa.

- Zauważyłem.

- Wystawię panu rachunek.

- Dziękuję, nie trzeba. - Przysunął się, a Kirby ponownie odczuła zdenerwowanie. - Proszę posłuchać, gdyby jechała pani w tamtą stronę, może wpadła by pani na chwilę. Mogłaby pani zobaczyć moje prace, albo...

- Kirby! Jesteś tam?

Poczuła tak ogromną i niespodziewaną ulgę, że niemal zakręciło jej się w głowie.

- Tak, Brian. Właśnie kończę przyjmować pacjenta. Proszę nie zamoczyć tego opatrunku - powiedziała energicznie i zdjęła rękawice. - I niech pan nie żałuje maści.

- Tak jest, pani doktor. - Ruszył przodem, a kiedy zobaczył mężczyznę siedzącego w kuchni z zakrwawioną szmatą owiniętą wokół lewej ręki, uniósł brwi.

- Wygląda na to, że coś się panu przydarzyło.

- Ma pan dobre oko - powiedział Brian sucho i spojrzał na owiniętą gazą dłoń.

- Mam wrażenie, że nie tylko mnie.

- Pani doktor ma dzisiaj pełne ręce roboty.

- Pani doktor - powiedziała Kirby wchodząc - nie miała nawet pięciu mi nut, żeby... Brian, do diabła,

co ci się stało? - Z biciem serca podbiegła do niego, złapała za nadgarstek i szybko odwinęła szmatę.

- Ześlizgnął mi się nóż. To tylko... zabrudziłem ci całą podłogę.

- Och, siedź cicho. - Gdy uważnie przyglądała się długiemu rozcięciu na wierzchu dłoni Briana, czuła, że powoli serce jej się uspokaja. Rana była głęboka i mocno krwawiła, ale niczego sobie nie odciął. - Muszę ci tę ranę zeszyć.

- Wcale nie.

- Naprawdę muszę, trzeba będzie założyć około dziesięciu szwów.

- Daj spokój, po prostu załóż mi opatrunek i zaraz wracam do roboty.

- Powiedziałam, żebyś siedział cicho - palnęła. - Musi mi pan wybaczyć... -

Odwróciła się i zmarszczyła brwi. - Och, zdaje się, że wyszedł. Chodź do gabinetu.

- Nie chcę, żebyś mnie szyła. Przyszedłem tylko dlatego, że Lexy i Kate wrzeszczały na mnie jak opętane. Gdyby Lexy nie zaczęła mnie męczyć, nie po kroiłbym sobie ręki, więc odkaż mi to, zabandażuj i puść mnie.

Przestań zachowywać się jak dziecko. - Pewnie ujęła go za ramię i wciągnęła za sobą do gabinetu. - Usiądź i zachowuj się jak mężczyzna. Kiedy po raz ostatni miałeś robiony zastrzyk przeciwtężcowy? - Zastrzyk? Posłuchaj...

- Rozumiem, bardzo dawno temu. - Szybko umyła ręce, ułożyła niezbędne narzędzia na wykonanej ze stali nierdzewnej tacy, a potem usiadła naprzeciw niego z butelką środka odkażającego. - Tym zajmiemy się później. Muszę wszystko oczyścić, zdezynfekować, a potem zrobię ci znieczulenie miejscowe.

Czuł, że rana pulsuje mu w tym samym rytmie co serce. Teraz i jedno, i drugie zwiększyło szybkość.

- Jakie znieczulenie?

- Miejscowe. Spowoduje ono zdrętwienie niewielkiej powierzchni ciała, dzięki temu będę mogła zeszyć ci ranę.

- Czyżbyś miała fioła na punkcie igieł?

- Chciałabym zobaczyć, jak ruszasz palcami - rozkazała. - Dobrze, w po rzędu.

Wygląda na to, że nie poprzecinałeś sobie ścięgien. Boisz się igieł, Brian?

- Nie, skądże znowu. - W tym momencie podniosła strzykawkę ze środkiem znieczulającym, a Brian poczuł, że cała krew odpływa mu z twarzy. - Tak. Cholera jasna, Kirby, trzymaj to narzędzie z dala ode mnie.

Był absolutnie pewien, że Kirby wybuchnie śmiechem. Ona jednak popatrzyła mu spokojnie w oczy.

- Weź głęboki wdech, wypuść powietrze z płuc, potem znowu zaczerpnij powietrze i popatrz na obraz, który znajduje się nad moim prawym ramieniem.

Postaraj się nie odrywać od niego wzroku i licz oddechy. Jeden, dwa, trzy. Właśnie tak. Poczujesz jedynie małe ukłucie, nic więcej - powiedziała cicho i wbiła igłę pod skórę. - Nie przestawaj liczyć.

- Dobrze, już dobrze. - Czuł, że pot spływa mu po plecach, dlatego skupił się na namalowanym akwarelami obrazku przedstawiającym lilie. - Teraz masz wspaniałą okazję, by wygłosić jakiś idiotyczny komentarz.

- Pracowałam na pogotowiu. W ciągu roku widziałam więcej krwi niż troje przeciętnych ludzi przez całe życie, Miałam do czynienia z ranami postrzałowymi, ciętymi, zajmowałam się ofiarami wypadków samochodowych. Nigdy nie uległam panice. Natomiast niewiele brakowało, a zemdlałabym na widok twojej krwi kapiącej na podłogę w mojej kuchni.

Oderwał wzrok od obrazu i spojrzał jej w oczy. - Umyję ją.

- Nie bądź głupi. - Wzięła tampon, by wysterylizować ranę, a potem zamarła w bezruchu, czując, że dotknął dłonią jej ręki.

- Ja również się w to zaangażowałem. - Odczekał, aż ponownie uniosła głowę i spojrzała na niego. - Bardzo się zaangażowałem. Jak to się, do diabła, stało?

- Nie wiem. Jak sądzisz, co powinniśmy zrobić?

- Jest spore prawdopodobieństwo, że i tak nic z tego nie będzie. Nie pasuje my do siebie.

- No właśnie. - Wzięła do ręki igłę. - Być może masz rację. Trzymaj rękę nieruchomo, Brian.

Spojrzał w dół i zobaczył, jak Kirby wbija igłę. Żołądek podszedł mu do gardła.

Wziął następny głęboki wdech i z powrotem popatrzył na obrazek.

- Nie musisz się starać, żeby było ładnie. Po prostu zrób to szybko.

- Jestem znana z pięknych, równiutkich szwów. Odpręż się spokojnie oddychaj.

Ponieważ podejrzewał, że znacznie większym upokorzeniem byłoby, gdyby zemdlał, więc spróbował jej posłuchać.

- Nie boję się igieł. Po prostu ich nie lubię.

- Bardzo popularna fobia.

- Nie mam żadnych fobii. Po prostu nie lubię, gdy ludzie wbijają we mnie igły.

Przez cały czas trzymała pochyloną głowę, by nie mógł dostrzec jej uśmiechu.

- Doskonale to rozumiem. O co męczyła cię Lexy?

- O to samo co zazwyczaj. Czyli o wszystko. - Próbował zlekceważyć delikatne szarpnięcie, które poczuł, gdy Kirby ściągnęła brzegi rany. - Jestem nie czuły. Jej zdaniem w ogóle się o nią nie troszczę - właściwie o nikogo się nie troszczę. Nie rozumiem jej. Prawdę mówiąc, nikt jej nie rozumie. Gdybym był dobrym bratem, pożyczyłbym jej pięć tysięcy dolarów, żeby mogła wrócić do Nowego Yorku i zostać gwiazdą.

- Wydawało mi się, że ma zamiar zostać tu na całe lato.

- Posprzeczała się z Giffem. Ponieważ nie przyszedł na kolanach błagać jej o wybaczenie, wczoraj przez cały dzień się dąsała, a dzisiaj na wszystkich się wścieka.

Kończysz?

- Jestem w połowie - powiedziała cierpliwie.

- W połowie. Świetnie. Fantastycznie. - Ponownie żołądek podszedł mu do gardła. W porządku, pomyśl o czymś innym. - Kim był ten plażowicz?

- Hm? Och, poparzył się. Stoczył walkę z dzbankiem do kawy. Mówi, że jest artystą i wybiera się na Keys. Być może zostanie jeszcze przez jakiś czas na kempingu.

Nawet nie zapytałam go o nazwisko.

- Jakim artystą?

- Wydaje mi się, że to malarz. Chciał, żebym mu pozowała. Cholera, siedź

spokojnie - rozkazała, kiedy szarpnął ręką.

- Co mu powiedziałaś?

- Że bardzo mi pochlebia, serdecznie dziękuję, ale nie mam czasu. Trochę wyprowadził mnie z równowagi.

Brian wolną ręką chwycił ją za ramię. Kirby zakłęła.

- Jeszcze tylko kilka - zaczęła.

- Czy cię dotknął?

- Słucham? - Zdała sobie sprawę, że to, co zobaczyła w oczach Briana, nie było strachem ani bólem.

To wściekłość. Poczula się z tego powodu niezmiernie zadowolona. - Och, tak, oczywiście, Brian. Owładnięty dzikim pożądaniem, jedną ręką obalił mnie na podłogę i zdarł ze mnie ubranie.

Brian wbił palce w jej ramię.

- Chcę usłyszeć poważną odpowiedź. Czy cię dotknął'?

- Nie, skądże znowu. Po prostu trochę się zdenerwowałam, ponieważ biuro było puste, a on za bardzo wszystkim się interesował. Potem wyszło na jaw, że po prostu chciałby naszkicować moje ręce. - Poruszyła palcami lewej dłoni. - Powiedział, że mam ręce anioła. A teraz nie ruszaj się, bo zepsujesz całą moją robotę i zostaną ci paskudne blizny. Muszę przyznać, że twoja zazdrość mi pochlebia.

- Nie jestem zazdrosny. - Odsunął dłoń i odczekał, aż zniknie zasnuwająca mu oczy zielona mgiełka. - Nie chcę, żeby jakiś pierwszy lepszy plażowicz sprawiał ci kłopot.

- Nie sprawił mi kłopotu, a nawet gdyby tak było, dałabym sobie z nim radę.

Jeszcze jeden. - Pociągnęła, zawiązała węzełek, ucięła, a potem uważnie przyjrzała się starannej linii szwów. - Piękna robota, jeśli wolno mi pochwalić samą siebie. - Wstała, żeby przygotować zastrzyk przeciwężcowy.

- W jaki sposób dałabyś sobie radę?

- Z czym? Och, wciąż jeszcze rozmawiamy o tym samym? Uprzejmie mu odmawiając.

- A gdyby to nie poskutkowało?

- Wystarczyłoby jedno mocne ściśnięcie tego poparzenia, a leżałby na podłodze wijąc się z bólu.

Kiedy się odwróciła, próbując ukryć za plecami strzykawkę, zauważyła, że Brian się uśmiecha.

- Zrobiłabyś to.

- Oczywiście. Pewnego razu ostudziłam zapal zbył pobudliwego seksualnie pacjenta, delikatnie uciskając mu krtań. Błyskawicznie zrezygnował za składania nieprzyzwoitych propozycji mnie i pielęgniarkom. A teraz może zechciałbyś ponownie spojrzeć na lilie, Brian. Zbladł.

- Co trzymasz za plecami?

- Lepiej zrobisz, jeśli po prostu przyjrzesz się liliiom.

- O, Chryste. - Odwrócił głowę, a chwilę później krzyknął i szarpnął się.

- Brian, to był tylko tampon zanurzony w spirytusie. Za dziesięć sekund będzie po wszystkim. Poczujesz jedynie delikatne ukłucie.

Syknął.

- Delikatne ukłucie, niech to diabli. Czego ty używasz? Igieł tapicerskich?

- Już po wszystkim. - Położyła kawałek gazy w miejscu ukłucia, a potem usiadła, żeby zabandażować mu rękę. - Postaraj się tego nie zamoczyć. Kiedy trzeba będzie, zmienię ci opatrunek. Za dziesięć dni, najdalej dwa tygodnie po myślimy o wyjęciu szwów.

- Czy to też będzie takie zabawne?

- Proszę. - Sięgnęła do kieszeni bluzki i wyjęła lizaka. - Nagroda za to, że byłeś takim grzecznym chłopcem.

- Wiem, że sobie ze mnie drwisz, ale i tak go wezmę. Odpakowała lizaka i wsadziła mu do ust.

- Weź ze dwie aspiryny - poradziła. - Znieczulenie miejscowe wkrótce prze stanie działać i wówczas rana może cię trochę boleć. Lepiej uprzedzić ból, niż czekać na niego.

- Nie pocałujesz mnie?

- Może. - Uniosła jego dłoń i delikatnie dotknęła wargami bandaża. - Spróbuj ostrożniej obchodzić się ze sztucami - powiedziała. - Lubię twoje ręce takie, jakie są.

- Więc przypuszczam, że nie będziesz miała nic przeciwko temu, jeśli później wymknę się z domu, jedną ręką powalę cię na podłogę i zedrę z ciebie ubranie.

- Chyba nie będę miała nic przeciwko temu. - Pochyliła się, dotknęła wargami jego ust, a potem z lekkim westchnieniem zatrzymała się przy nich na dłużej. - Im szybciej tym lepiej.

Brian spojrzał na kozetkę i uśmiechnął się od ucha do ucha.

- No cóż, skoro już tu jestem, może powinnaś mnie gruntownie zbadać. Od dwóch, może trzech lat nie miałem do czynienia z żadnym lekarzem. Mogłabyś mieć na sobie stetoskop. Tylko stetoskop.

Ten pomysł sprawił, że ogarnęła ją gwałtowna fala pożądania.

- Masz szczęście, ponieważ zastałeś panią doktor... - zaczęła, ale gdy usłyszała, że ktoś otwiera zewnętrzne drzwi, szybko się opamiętała. - Jestem jednak zmuszona wyznaczyć ci wizytę na wieczór. - Odsunęła się i zaczęła zbierać instrumenty na tacę. -

Przez cały ranek miałam do czynienia z ospą wietrzną, a te raz przyszedł następny pacjent.

Brian zdał sobie sprawę, że wcale nie ma ochoty stąd wychodzić. Marzył o tym, by chwilę tu posiedzieć i poprzyglądać się jej. Chciał lepiej poznać Kirby - móc obserwować, jak z ogromną wprawą posługuje się swoimi instrumentami, podziwiać jej energiczny i pełen gracji sposób poruszania się. W związku z tym zaczął grać na zwłokę.

- Kto choruje na ospę wietrzną?

- Zapytaj raczej, kto poniżej dziesięciu lat nie choruje. Mam już siedem przypadków i to jeszcze nie koniec. - Rozejrzała się dookoła. - A ty miałeś ospę?

- Tak, zresztą wszyscy troje przechodziliśmy ją równocześnie. Wydaje mi się, że miałem wówczas dziewięć lat, więc Jo musiała mieć koło sześciu, a Lex niecałe trzy.

Podejrzewam, że moja matka zużyła co najmniej kilka litrów płynu kalaminowego.

- Musieliście się przy tym wszyscy nieźle bawić.

- Po kilku pierwszych dniach wcale nie było tak źle. Ojciec wybrał się na stały ląd i przywiózł stamtąd ogromną ilość klocków, przynajmniej dziesięć książeczek do kolorowania, olbrzymie pudło kredek, lalki Barbie i kilka samo chodzików.

Pod wpływem tego wspomnienia Brian rozrzewnił się, ale zaraz wzruszył ramionami.

- Podejrzewam, że bardzo chciał dać nam wszystkim jakieś zajęcie. A waszej matce chwilę wytchnienia, pomyślała Kirby.

- Chyba niełatwo poradzić sobie z trójką chorych dzieci. Zdaje się, że wpadł na całkiem niezły pomysł.

- Tak, sądzę zresztą, że razem to wymyślili. Zawsze wydawało mi się, że tak właśnie postępują. Dopóki nas nie zostawiła. - Wmawiając sobie, że to nie ma już żadnego znaczenia, wstał. - Nie będę ci dłużej przeszkadzał. Dziękuję, że mnie zreperowałaś.

Ponieważ w oczach Briana nagle pojawił się smutek, ujęła jego twarz w dłonie i delikatnie go pocałowała.

- Wyślę ci rachunek. Ale badanie, które wyznaczyłam ci na wieczór... wy konam za darmo.

Uśmiechnął się.

- Zrobiłem dobry interes.

Ruszył w stronę drzwi. Nie odwrócił się, żeby na nią spojrzeć, ale z jego ust wyrwały się słowa, nad którymi nie zdążył się zastanowić. Nie zdawał sobie nawet sprawy, że leżą mu na sercu.

- Wydaje mi się, że zaczynam cię kochać, Kirby. I w tym wypadku nie wiem, co powinniśmy z tym zrobić.

Wyszedł szybko, zostawiając ją osłupiałą. Usiadła na stołku i stwierdziła, że jej następny pacjent będzie musiał chwileczkę zaczekać, aż pani doktor odzyska dech.

Tuż przed zachodem słońca Kirby wybrała się na spacer po plaży. Potrzebowała chwili spokoju, maleńkiej przerwy na zastanowienie się, zanim wróci Brian.

Kocha ją. Nie, poprawiła się, wydaje mu się, że ją kocha. To zasadnicza różnica.

Niemniej jednak zrobił krok, którego się po nim w ogóle nie spodziewała. Krok, którego się bała.

Podeszła aż nad samą wodę i pozwoliła, by piana obmyła jej kostki. No właśnie, pomyślała Kirby, kiedy fala cofnęła się i wessała piasek spod jej stóp. Dokładnie tak samo działa na nią Brian. Przy nim ogarnia ją to delikatne, ekscytujące wrażenie, że traci równowagę, że grunt usuwa się jej spod nóg, niezależnie od tego, jak pewnie postawiłaby stopy.

Pragnęła go i stopniowo pokonywała jego linie obronne, aż w końcu udało jej się go zdobyć. Teraz stawka poszła w górę i znacznie przewyższyła wszystko, o co Kirby kiedykolwiek grała.

Zawsze bardzo starannie wybierała ludzi, z którymi miała zamiar zawrzeć bliższą znajomość. Dotyczyło to również Briana Hathawaya. Ale gdzieś po drodze zaczęła patrzeć na wszystko pod innym kątem.

Nie, Brian nie mówiłby o miłości, gdyby to nie była prawda. Ona sama mogłaby to robić, zdała sobie jednak sprawę, że nie w przypadku Briana. Wypowie te słowa tylko wtedy, gdy będzie naprawdę tak myśleć. A jeśli będzie tak myśleć, trzeba będzie zacząć coś budować. Ponieważ słowa są jedynie fundamentem.

Dom, rodzina. Trwały związek. Powinna się zdecydować, czy w ogóle tego pragnie, a jeśli tak, to czy chce, żeby jej partnerem był właśnie Brian. Potem będzie musiała przekonać go, że jest dla niego odpowiednią partnerką.

To wcale nie będzie takie proste. Urazy i blizny wyniesione przez Briana z dzieciństwa sprawiają, że, jeśli o niego chodzi, nic nie jest proste.

Wystawiła twarz do wiatru. Czy przypadkiem decyzja nie została już podjęta?

Czyż w tym ułamku sekundy, kiedy zobaczyła go krwawiącego, a paniczny strach odsunął na bok zawodowe opanowanie, nie uświadomiła sobie, że jej uczucie do Briana to już nie jest zwykłe pożądanie?

Obawiała się tego. Bała się, że naprawdę może się w tym momencie potknąć.

Co gorsza, bała się w ogóle zrobić ten krok. Pomyślała, że najlepiej wykonać go powoli. By mieć pewność, że nie straci równowagi. Dużo lepiej radzi sobie z wszelkimi problemami, jeśli jest spokojna i trzeźwo myśli. Z pewnością do sprawy tak ważnej jak ta należy podchodzić z ogromną ostrożnością i ze spokojną głową.

Zlekceważyła cichy głos, który dźwięczał jej w głowie, i odwróciła się, by wrócić do domu. Widząc błysk światła na odległej wydmie, zmarszczyła brwi. Kiedy załśniło po raz drugi, zdała sobie sprawę, że jest to odbicie promieni słonecznych od szkła.



Lornetka, pomyślała z drżeniem serca. Kiedy przysłoniła dłonią oczy, zdołała dostrzec jakąś sylwetkę. Jednak znaczna odległość uniemożliwiała jednoznaczne stwierdzenie, czy jest to mężczyzna, czy kobieta. Przyspieszyła kroku, chcąc się znaleźć we wnętrzu, za zamkniętymi drzwiami.

Wiedziała, że to głupota. Ktoś po prostu obserwował plażę o zachodzie słońca, a tak się złożyło, że ona właśnie na niej była. Mimo to przez całą drogę, dopóki nie pokonała schodów i nie weszła do domu, miała wrażenie, że ktoś bacznie się jej przygląda.

Zauważyła go, a dzięki temu wszystko stało się jeszcze bardziej ekscytujące.

Przestraszył ją samą swoją obecnością. Śmiejąc się po cichu, nie przestawał

utrzymywać Kirby w kadrze teleobiektywu, metodycznie fotografując, jak spieszenie przecina plażę.

Ma piękną figurę. Z prawdziwą przyjemnością obserwował, jak wiatr przykleił

jej bluzkę i spodnie do ciała, podkreślając wspaniałe kształty. Blask słońca nadał jej włosom piękny połysk sprawiając, że wyglądały niczym cudowne, płynne złoto. W

miarę jak słońce coraz niżej opadało za jego plecami, kolory i odcienie pogłębiały się i stawały coraz łagodniejsze. Był zadowolony, że tym razem użył kolorowego filmu.

Och, i to spojrzenie, które pojawiło się w jej oczach, kiedy zdała sobie sprawę, że ktoś tu jest. Obiektyw tak bardzo ją przybliżył, że niemal widział, jak rozszerzają się jej źrenice.

Ma takie piękne, zielone oczy, pomyślał. Pasują do niej. Tak samo jak długie, jasne włosy i łagodny, uspokajający głos.

Zastanawiał się, jaki smak mają jej piersi.

Prawdopodobnie jest bardzo zmysłowa, pomyślał, szybko robiąc ostatnie zdjęcia, nim zniknęła za wydumą. Drobne, subtelne kobiety zazwyczaj takie właśnie są, jeśli tylko zmusi się do pracy na wysokich obrotach. Ona pewnie uważa że wie wszystko na temat anatomii. Doszedł jednak do wniosku, że byłby w stanie pokazać jej coś nowego. O tak, na pewno mógłby panią doktor czegoś nauczyć.

Przypomnił sobie fragment pamiętnika, pasujący do obecnej chwili i nastroju.

Zgwałcenie Annabelle.

*Próbując eksperymentować, zdobyłem się w stosunku do niej na wszystkie potworności, których nigdy w życiu nie robiłem innej kobiecie. Płakała, a łzy płynęły po jej policzkach i moczyły knebel. Brałem ją raz za razem. Nie byłem w stanie się powstrzymać. To już nie był seks, to już nie był gwałt.*

*To była nieprawdopodobna moc.*

Właśnie tej mocy tak bardzo pragnął, wszystkich związanych z nią możliwości, których nie udało mu się osiągnąć w przypadku Ginny. Przypomniawszy sobie, że stało się tak dlatego, ponieważ Ginny miała spore braki. Była dziwką a nie aniołem, nie należało jej wybierać.

Gdyby postanowił, że musi jeszcze trochę poćwiczyć, nim zdecyduje się na najważniejszy krok, doskonałym obiektem byłaby pięknooka Kirby o rękach anioła.

Nadawałaby się do tego.

Jest to coś, nad czym warto się zastanowić, pomyślał. Coś, co warto rozważyć.

Tymczasem pójdzie w stronę Sanktuarium i zobaczy, co porabia Jo Ellen.

Nadszedł czas, żeby jej o sobie przypomnieć.

## **ROZDZIAŁ 18**

Gdy Giff podjeżdżał pod Sanktuarium, na tarasie drugiego piętra dostrzegł

Lexy. Gumką ściągnęła włosy na czubku głowy, a jej długie nogi doskonale prezentowały się w bawełnianych szortach z wywiniętymi nogawkami. Myła okna, więc prawdopodobnie była w jednym ze swych gorszych nastrojów.

Chociaż wyglądała naprawdę pięknie, Giff zdecydował, że będzie musiała jeszcze chwilę poczekać. Najpierw chciałby porozmawiać z Brianem.

Lexy zauważyła, że Giff parkuje swojego pickupa, ale prawie na niego nie spojrzała. Uśmiechnęła się do siebie z zadowoleniem, równocześnie wycierając kawałkiem gazety mieszaninę octu z wodą i nadając szybie okiennej połysk.

Wiedziała, że Giff w końcu się pojawi, chociaż zajęło mu to trochę więcej czasu, niż się spodziewała.

Mimo to postanowiła mu wybaczyć, oczywiście pod warunkiem, że wcześniej pięknie ją przeprosi.

Pochyliła się, by ponownie zamoczyć szmatkę, a przy okazji lekko odwróciła głowę i przesunęła wzrok w dół. Gdy zauważyła, że Giff nie idzie w stronę domu, lecz zmierza w kierunku wędzarni, gdzie Brian malował właśnie meble werandowe, poderwała się na równe nogi. Ależ z niego grzechotnik, pomyślała, rozpryskując roztwór na następne okno. Jeśli Giff ma nadzieję, że to ona do niego przyjdzie, bardzo się rozczaruje. Teraz już nigdy mu nie wybaczy. Nawet gdyby żyła tysiąc lat. Choćby czołgał się po gorącym węglu, pomyślała, z wściekłością czyszcząc okno. Choćby wzywał ją na łożu śmierci i bez przerwy powtarzał jej imię, ona roześmieje mu się w twarz i pójdzie dalej.

Od tego momentu Giff Verdon nic dla niej nie znaczy.

Podniosła wiadro i przesunęła się o trzy okna dalej, żeby nie stracić go z oczu.

W tym momencie Lexy i jej humory miały dla Giffa drugorzędne znaczenie.

Poczuł słodki zapach świeżej farby i usłyszał syk rozpylacza. Minał kamienny róg wędzarni i uśmiechnął się na widok Briana.

Jego ręce aż po łokcie pokryte były drobnymi kropkami turkusowej farby, poplamione miał również stare dzinsy. Wokół rozłożony był zielony brezent, a na nim stały krzesła i ławki. Brian właśnie po raz drugi malował starą huśtawkę.

- Ładny kolor - zawołał Giff.

Brian powoli przesunął dyszę tam i z powrotem, by jeszcze raz pociągnąć całość, a potem ją uwolnił.

- Znasz kuzynkę Kate. Co kilka lat pragnie coś zmienić - zawsze jednak kończy się na kolorze niebieskim.

- Przynajmniej są ładnie odświeżone.

- Tak. - Brian wyłączył silnik i odstawił rozpylacz. - Zamówiła nowe para sole do stolików i poduszki na krzesła. Wszystko to powinno przyjść promem za dzień lub dwa. Chce również, żeby pomalować stoły na całym kempingu.

- Jeśli nie masz czasu, mogę się tym zająć.

- Prawdopodobnie jakoś sobie z tym poradzę. - Brian wyprostował plecy. -

Dzięki temu więcej przebywam na świeżym powietrzu. Mam wówczas nieco czasu na snucie marzeń.

- Właśnie przed chwilą pogrążył się w jednym z nich, przypominając sobie noc spędzoną z Kirby.

Wiedział, że od tej chwili będzie dużo przychylniej myślał o stetoskopie.

- Jak posuwa się praca nad gankiem?

- Na samochodzie mam osłony. Wygląda na to, że nie będzie padało, więc powinienem uporać się z tą robotą do końca tygodnia, tak jak chciała pani Kate.

- Dobrze. Spróbuję tam przyjść i zobaczyć, jak to wygląda.

- Co z ręką? - zapytał Giff, kiwnięciem głowy wskazując bandaż.

- Och. - Marszcząc brwi, Brian ruszył palcami. - Jest trochę sztywna, to wszystko. - Brian nie pytał, skąd Giff o tym wie. Na wyspie wszelkie wiadomości po prostu unosiły się w powietrzu - zwłaszcza bardziej soczyste kąski. Uznał za prawdziwy cud, że dotychczas nikt nie wie o jego nocy w znacznej części spędzonej na kozetce pani doktor.

- Coś jest między tobą a doktor Kirby, no nie?

- Słucham?

- Coś jest między tobą a doktor Kirby. - Giff poprawił czapkę. - Mój kuzyn, Ned, był dzisiaj wczesnym rankiem na plaży. Pewnie pamiętasz, że Ned zbiera muszle, poleruje je, a potem przy promie sprzedaje turystom, którzy przyjeżdżają tu na jeden dzień. Zdaje się, że widział, jak o świcie opuszczałeś domek pani doktor. Sam wiesz, że Ned nie potrafi trzymać języka za zębami.

To tyle, jeśli chodzi o cuda, pomyślał Brian.

- Tak, wiem. Ile czasu zajęło mu przekazanie tej informacji?

- No cóż... - Rozbawiony Giff potarł policzek. - Jechałem na prom, żeby sprawdzić, czy przyszedł osłony na ganek, zobaczyłem Neda na Shell Road i pod rzuciłem go kawałek, co dało mu, no, mniej więcej piętnaście minut.

- Ned wyraźnie traci tempo.

- Po prostu starzeje się. We wrześniu skończy osiemdziesiąt dwa lata. Doktor Kirby to fantastyczna babka - dodał Giff. - Wszyscy mieszkańcy wyspy bardzo ją szanują. Ciebie również.

- Spędziliśmy razem kilka wieczorów - Brian mruknął pod nosem i ukucnął, by wytrzeć dyszę szmatką. - Ludzie nie powinni od razu czuć zapachu kwiatów pomarańczy.

Giff uniósł brew.

- Wcale nie mówiłem, że czują.

- Po prostu od czasu do czasu się spotykamy.

- W porządku.

- Żadne z nas nie myśli o zamienianiu tego w trwały związek. Giff odczekał

chwilę.

- Kogo próbujesz przekonać, Bri, mnie, czy może oprócz nas jest tu jeszcze ktoś?

- Po prostu mówię... - Brian urwał w połowie zdania i uniósł do góry ręce, zupełnie jakby sam sobie nakazywał milczenie. Wyprostował się i próbował

zapanować nad złością, której przyczyną był pozbawiony wyrazu, niewinny uśmiech Giffa. - Czy przyszedłeś złożyć mi gratulacje, że sypiam z Kirby, czy chodzi ci o coś innego?

Uśmiech zniknął z twarzy Giffa.

- Chodzi o Ginny.

Brian westchnął wiedząc, że nie zdoła pozbyć się napięcia, które umiejscowiło się w okolicach karku.

- Dziś rano dzwoniли do mnie gliniarze. Podejrzewam, że z tobą również rozmawiali.

- Nie mieli mi nic do powiedzenia. Sądzę, że nawet nie zadaliby sobie trudu, by do mnie zadzwonić, gdybym wcześniej bez przerwy nie zwracał im głowy. Cholera jasna, Brian, chyba wiesz, że wcale jej nie szukają. Prawdę mówiąc, nawet niechętnie nadali sprawie bieg.

- Niestety, skłamałbym, gdybym powiedział, że jest inaczej. - Mówią, że moglibyśmy przygotować niewielkie ulotki i wręczać je ludziom na ulicach Savannah.

Co to może, do diabła, dać?

- Właściwie nic. Giff, nie mam pojęcia, co ci powiedzieć. Ale sam doskonale wiesz, że Ginny ma dwadzieścia sześć lat i może robić, co chce. Przynajmniej w ten sposób patrzą na to gliniarze.

- To jest zły sposób patrzenia. Ginny ma tu rodzinę, dom i przyjaciół.

Niemożliwe, żeby wyjechała, nic nikomu nie mówiąc.

- Czasami - powiedział Brian z ociąganiem - ludzie robią rzeczy, których nikt by się po nich nie spodziewał. Nikt nigdy nie uwierzyłby, że są w stanie zrobić coś takiego. Tymczasem robią.

- Ginny to nie twoja mama, Bri. Bardzo mi przykro, że zniknięcie mojej kuzynki każe tobie i twojej rodzinie wracać do przykrych wspomnień. Ale wszystko dzieje się teraz. Tym razem chodzi o Ginny. A to nie to samo.

- Rzeczywiście. - Brian starał się zapanować nad swoim głosem i wzbierającą złością. - Ginny nie miała męża i trójki dzieci. Jeśli postanowiła strząsnąć piasek z sandałów, przynajmniej nikomu nie złała życia. Będę utrzymywał z policją stały kontakt, dopilnuję, żeby przynajmniej raz w tygodniu dzwoniли i ani na chwilę nie zapominali o Ginny. W biurze przygotujemy ulotki. Po prostu nie jestem w stanie nic więcej dla ciebie zrobić, Giff. Nie zgodzę się, żeby po raz drugi moje życie legło w gruzach.

- Fantastycznie. - Giff kiwnął sztywno głową. - Naprawdę świetnie. W ta kim razie znikam ci z oczu, żebyś mógł spokojnie snuć swoje marzenia.

Gdy szedł w stronę samochodu, ogarnęła go jeszcze większa złość. Usiadł za kierownicą pickupa i głośno trzasnął drzwiami. Potem oparł głowę o kierownicę.

Popułnił błąd. Potworny błąd. Nie powinien traktować w ten sposób Briana, nie miał prawa warczeć na niego i wkurzać się. Brian w niczym nie zawinił, nie jest odpowiedzialny za to, co się stało. Poza tym, pomyślał Giff, prostując się i zamykając oczy, nie można tak traktować przyjaciela. Spróbuje odczekać chwilę, aż się uspokoi, a potem wróci i przeprosi.

Lexy wyszła z Sanktuarium. Kiedy była jeszcze w domu, biegła po schodach na złamanie karku, by

nie pozwolić Giffowi odjechać, zanim nie zdoła z niego zadrwić, ukazując mu to, czego już nigdy nie będzie miał. Serce wciąż waliło jej w piersiach jak młot. Teraz jednak szła powoli z chłodnym uśmiechem na twarzy, przez cały czas jedną ręką przesuając po balustradzie.

Podeszła do samochodu i zapominając, że jej dłonie nadal pachną octem, oparła je o otwarte okno.

- Witaj, Giff. Właśnie miałam zamiar wybrać się na przechadzkę po lesie, żeby się nieco ochłodzić, kiedy zobaczyłam twojego pickupa.

Otworzył oczy i spojrzał na nią.

- W takim razie nie zatrzymuję cię, Lexy. - Mruknął i pochylił się, by przekręcić kluczyk w stacyjce.

- Co się stało? - Ucieszyła się, widząc w jego oczach rozpacz. - Coś ci dolega, Giff? Może jesteś w podłym nastroju? - Przesunęła palcem po jego ramieniu. - Może jest ci przykro, że nie wiesz, w jaki sposób mnie przeprosić, a nie masz ochoty w najbliższych dniach na samotność?

Widoczna w jego oczach rozpacz powoli zaczęła przeobrażać się w złość.

Odepchnął jej rękę.

- Wiesz co, Alexo? Nawet mój ograniczony, niewielki świat nie kręci się przez cały czas wokół twojej osoby.

- Masz niesamowity tupet, jeśli sądzisz, że możesz mówić do mnie w taki sposób. Jeśli wydaje ci się, Giff, że interesuje mnie, wokół czego kręci się twój świat, to grubo się mylisz. Mam to w nosie.

- Ja również. Odsuń się od samochodu.

- Nie. Dopóki nie wysłuchasz, co mam ci do powiedzenia.

- Gównu mnie obchodzi, co masz mi do powiedzenia, a teraz odsuń się, zanim coś ci się stanie.

Postąpiła na odwrót: wsunęła się przez otwarte okno, by przekręcić kluczyk i wyłączyć silnik.

- Nie próbuj mi rozkazywać. - Popatrzyła mu prosto w oczy. — Ani przez minutę nie myśl, że możesz mi mówić, co mam zrobić, albo że jesteś w stanie mnie do czegokolwiek zmusić.

Wciągnęła głęboko w płuca powietrze i przygotowała się, by go odpowiednio zbesztać. Ale ponownie w jego oczach pojawiła się taka rozpacz, jakiej nigdy nie spodziewała się zobaczyć. Opanowała złość i położyła dłoń na jego policzku.

- Co się dzieje, kochanie? Co cię gnębi? Potrząsnął głową, lecz Lexy nie cofnęła dłoni.

- Klótnię możemy odłożyć na później. Teraz spróbujmy porozmawiać. Powiedz mi, co się stało.

- Chodzi o Ginny. - Westchnął rozpaczliwie, czując, że coś dławi go w gardle. -

Nie ma od niej ani słowa, Lexy. Ani słowa. Sam już nie wiem, co jeszcze mogę zrobić.

Co powiedzieć rodzinie. Nawet nie wiem, co powinienem czuć.

- Rozumiem. - Odsunęła się i otworzyła drzwi. - Chodź.

- Mam mnóstwo roboty.

- Choć raz w życiu zrób to, o co cię proszę. Chodź ze mną. - Wzięła go za rękę i tak długo szarpała za nią, dopóki nie wysiadł. Bez słowa oprowadziła go wokół domu i wciągnęła do cienia. - Usiądź tutaj. - Posadziła Giffa obok siebie na hamaku, objęła go i oparła jego głowę o swoje ramię. - Spróbuj przez minutę o niczym nie myśleć.

- Nie jestem w stanie myśleć o tym przez cały czas - powiedział półgłosem. -

Gdybym to robił, chyba bym zwariował.

- Wiem. - Ujęła jego rękę w dłonie. - To po prostu wraca co jakiś czas i sprawia tak potworny ból, że masz wrażenie, iż dłużej tego już nie zniesiesz. Jednak znosisz i czekasz, kiedy rozpacz ponownie wróci.

- Wiem, co ludzie mówią. Że jej odbiło i wyjechała. Byłoby mi znacznie łatwiej, gdybym zdołał w to uwierzyć.

- Wcale nie byłoby ci łatwiej, naprawdę. Czy tak, czy tak, to potwornie boli.

Kiedy mama nas opuściła, bez przerwy płakałam i wołałam ją. Wydawało mi się, że jeśli wystarczająco długo będę wołać, w końcu mnie usłyszysz i wróci. Gdy trochę podrosłam, pomyślałam: „no cóż, ona się mną zbytnio nie przejmowała, więc ja również nie będę”. Przestałam płakać, ale to nadal sprawia mi ogromny ból.

- Bez przerwy staram się wierzyć, że w końcu przyśle jakąś idiotyczną pocztówkę z Disneylandu albo innego równie oryginalnego miejsca. Wówczas mógłbym po prostu być na nią wściekły, zamiast tak cholernie się martwić.

Lexy próbowała to sobie wyobrazić, wywołać przed oczami taki właśnie obraz.

Doskonałe. Ginny zaśmiewająca się do łez na jakiejś głupiej, kolorowej karuzeli.

- Ona naprawdę jest zdolna do czegoś takiego.

- Sądzę, że tak. - Spojrzał na ich złączone dłonie i obserwował zaplecione palce.

- Właśnie pociąłem się o to z Brianem. Zachowałem się jak ostatni głupiec.

- Nie martw się tym. Brian ma na tyle grubą skórę, że nic mu nie będzie.

- A co z twoją? - Odsunął się do tyłu i niemal automatycznie wpiął wysuwającą się spinę w węzełek jej włosów.

- Wszyscy Hathawayowie są bardziej odporni, niż na to wyglądają.

- Mimo to przepraszam. - Uniósł ich złączone dłonie i pocałował ją w rękę. -

Czy musimy się później kłócić?

- Chyba nie. - Pocałowała go delikatnie, a potem uśmiechnęła się. Nad jej głową słychać było radosne ptasie trele, a w powietrzu unosiła się upajająca, słodka woń kwiatów. - Ponieważ odrobineczkę się za tobą stęskniłam.

Kiedy przysunął ją bliżej do siebie i mocno przytulił twarz do jej szyi, zabrakło jej w piersiach tchu.

- Potrzebuję cię, Lexy. Bardzo cię potrzebuję.

Kiedy w końcu zdołała wypuścić powietrze z płuc, było to niespokojne, drżące westchnienie. Położyła dłonie na jego ramionach i mocno nacisnęła palcami napięte mięśnie. Potem odsunęła się i wstała, starając się równie zdecydowanie opanować własne uczucia.

Odwróciła się od niego plecami. Giff potarł rękami twarz, potem bezradnie je opuścił.

- Co takiego powiedziałem tym razem? Co sprawia, że zawsze się ode mnie odsuwasz?

- Wcale się nie odsuwam. - Musiała przycisnąć palce do warg, żeby powstrzymać ich drżenie, dopiero potem odwróciła się twarzą do Giffa. Kiedy to zrobiła, jej oczy pełne były łez. - Przez całe moje życie, caluteńkie życie, Giff, nikt nigdy nie powiedział mi czegoś takiego. Chyba że był to mężczyzna i miał na myśli łóżko.

Poderwał się na równe nogi.

- Wcale nie o to mi chodziło. Lexy...

- Wiem. - Zamrugła niecierpliwie powiekami, żeby pozbyć się łez. Chciała go wyraźnie widzieć. - Wiem, że nie o to ci chodziło. I wcale się od ciebie nie odsunęłam, po prostu próbuję się opanować, by nie zacząć zachowywać się jak idiotka.

- Kocham cię, Lexy - powiedział cicho, żeby mogła mu uwierzyć. - Zawsze cię kochałem i zawsze będę cię kochać.

Zacisnęła mocno powieki. Chciała to wszystko na zawsze zachować w pamięci.

Ten moment - każdy dźwięk, zapach, każde uczucie. Potem wpadła w jego ramiona, i wtuliła się w nie, z ogromnym trudem łapiąc powietrze.

- Obejmij mnie. Nie opuszczaj mnie, Giff. Niezależnie od tego, co zrobię albo co powiem, nie



pozwól mi nigdy odejść.

- Alexo. - Całkowicie przez nią unieruchomiony, przycisnął wargi do jej włosów. - Nigdy cię nie opuszczałem. Tylko ty o tym nie wiedziałaś.

- Ja również cię kocham, Giff. Nie mogę sobie przypomnieć takiej chwili, kiedy cię nie kochałam. To zawsze strasznie mnie złościło.

- Już wszystko w porządku, kochanie. - Uśmiechnął się i przytulił ją mocniej. -

Wcale mi nie przeszkadza, że się złościś. Chyba że przestaniesz mnie kochać.

W swojej sypialni Jo ostrożnie odłożyła słuchawkę telefonu. W końcu zadzwonił do niej Bobby Banes. Teraz знаła już przynajmniej jedną odpowiedź.

Nie zabrał zdjęcia z jej mieszkania.

*Aleje widziałeś, prawda? W tym grubym pliku znajdowała się odbitka, na której była bardzo podobna do mnie naga kobieta. Trzymałam to zdjęcie w ręku.*

*Podniosłam je. Musiałeś je widzieć.*

Słyszała własny, podniesiony ze strachu głos, a w odpowiedzi Bobby'ego dostrzegła zmartwienie i niepewność.

*Przykro mi, Jo. Nie widziałem niczego takiego. Tylko te fotografie, na których byłaś ty. Ale... nie było wśród nich żadnego aktu. Przynajmniej ja go nie zauważyłem.*

*Był. Upuściłam go na ziemię. Upadł odwrotną stroną na pozostałe zdjęcia.*

*On tam był, Bobby. Po prostu zastanów się chwilę.*

*Musiał tam być... To znaczy, skoro mówisz, że go widziałeś.*

Odniosła wrażenie, że Bobby próbował ją uspokoić łagodnym głosem.

Współczuł jej, ale wcale nie był przekonany.

Roztrzęsiona odwróciła się od telefonu. Próbowwała sobie wmówić, że to dobrze, iż Bobby zadzwonił i udzielił jej odpowiedzi. Tak jest lepiej, znacznie lepiej, ponieważ teraz przynajmniej zna prawdę. I musi jedynie się z nią pogodzić.

Z okna sypialni Jo zobaczyła swą siostrę i Giffa. Pomyślała, że tworzą razem piękny obrazek. Dwójka młodych, zdrowych ludzi splecionych w uścisku wśród ogromnej masy kwiatów. Mężczyzna i kobieta w letnie popołudnie promieniejący miłością oraz oczekiwaniem na seksualne zaspokojenie.

Wyglądali tak uroczo, tak naturalnie. Dlaczego sama nie potrafi sobie pozwolić na taką prostotę i

naturalność?

Przecież Nathan jej pragnie. Nie naciska, nie denerwuje go zachowywany przez nią dystans. Obserwując, jak Giff unosi twarz Lexy w swoją stronę, Jo zaczęła się zastanawiać, dlaczego nie jest w stanie zdobyć się na taką poufałość. Dlaczego nie potrafi po prostu pozwolić, by stało się to, co ma się stać?

Podniecał ją. Sama jego obecność sprawiała jej przyjemność i w głębi duszy była przekonana, że jeśli tylko do tego dopuści, to cudowne wrażenie spotęguje się i pogłębi.

Dlaczego zatem boi się do tego dopuścić?

Z odrazą odwróciła się od okna. To dlatego, że ostatnio wszystko podaje w wątpliwość. Obserwuje własne poczynania, a potem bezstronnie je analizuje. Och, fizycznie czuje się już znacznie lepiej. Dużo rzadziej zdarzają się jej koszmarne sny i potworne ataki paniki.

Ale...

Nadal dręczy ją ta wątpliwość, obawa, że naprawdę wcale nie jest osobą zrównoważoną. Bo niby dlaczego wciąż tak doskonale pamięta zdjęcie martwej kobiety? Raz swej matki, kiedy indziej samej siebie? Spoglądające w pustą przestrzeń oczy, skórę białą jak wosk. Nadal nie zapomniła delikatnej i jasnej skóry.

Pełnej cieni, artystycznie rozrzuconej fali włosów. Ułożenia rąk, zgięcia łokci, dłoni leżącej między piersiami. I odwróconej głowy, lekko pochylonej w dół jak w spokojnym śnie.

Jakim cudem widzi wszystko tak wyraźnie, skoro to nigdy nie istniało?

Ponieważ jednak nadal ma w pamięci tak dokładny obraz, musi wierzyć, że wcale nie jest jeszcze całkiem zdrowa. Więc nie powinna brać pod uwagę jakiegokolwiek związku z Nathanem - z kimkolwiek - dopóki nie stanie pewnie na nogach.

Jednocześnie wiedziała, że jest to jedynie wymówka.

Zasadniczy problem polegał na tym, że się go boi. Obawia się, że w pewnej chwili Nathan może stać się dla niej dużo ważniejszy, niż by chciała. I że będzie od niej oczekiwał więcej, niż mogłaby mu dać.

Już zdołał wzbudzić w niej uczucia, których wcześniej nie знаła. W związku z tym tchórzliwie ukrywała się, wykorzystując logiczne usprawiedliwienia.

Była znużona własnymi obawami i logicznością swojego myślenia. Czy nie mogłaby chociaż raz pójść w ślady siostry? Ulec impulsowi i wziąć to, co może otrzymać?

Boże, potrzebuje kogoś, z kim mogłaby porozmawiać, z kim przez chwilę mogłaby pobyc. Kogoś, kto zdołałby choć na chwilę odpędzić od niej wszelkie wątpliwości i obawy.

Dlaczego nie miałby to być Nathan?

Nie czekając, aż zmieni zdanie, wybiegła z pokoju, i po raz pierwszy nie pomyślała o zabraniu ze sobą aparatu. Zatrzymała się zniecierpliwiona, gdy usłyszała, że woła ją Kate.

- Właśnie wychodzę. - Jo stanęła w drzwiach biura. Kate siedziała za biurkiem zarzuconym papierami i broszurami.

- Próbuję uporządkować rezerwacje na sezon jesienny. - Kate wyjęła zza ucha ołówek. - Proszę nas o zorganizowanie w październiku w naszym pensjonacie uroczystości weselnych. Nigdy wcześniej nie robiliśmy czegoś takiego. Chcą, żeby Brian przygotował posiłek i żeby tutaj odbyła się ceremonia i przyjęcie. Byłoby cudownie, gdybyśmy zdołali wymyślić, jak należy urządzić tego typu imprezę.

- Rzeczywiście byliby świetnie. Kate, naprawdę wychodzę.

- Przepraszam. - Z powrotem wetknęła ołówek za ucho i uśmiechnęła się z roztargnieniem. - Znowu straciłam wątek. Od rana jestem potwornie zajęta.

Coś do ciebie przyszło. Miałam zamiar podrzucić ci to do pokoju, ale co chwila ktoś dzwoni i od dwóch godzin nie mogę się stąd wyrwać.

Jakby na potwierdzenie jej słów, ponownie zabrzączał telefon, a zza pleców Kate rozległ się pisk sygnalizujący nadchodzący faks.

- Słowo honoru, jakby nie wystarczyło jedno. Tutaj, kochanie, jest dla ciebie ten pakiet. - Podniosła telefon. - Sanktuarium, czym mogę służyć?

Jo nie słyszała, ponieważ w uszach huczało jej jak w ulu. Powoli podeszła do biurka, czując, że otaczające ją powietrze robi się gęste jak woda. Wzięła do ręki sztywną, szarą kopertę. Na wierzchu czarnym, grubym mazakiem ktoś napisał

dużymi, drukowanymi literami jej nazwisko.

JO ELLEN HATHAWAY SANKTUARIUM WYSPA LOST DESIRE, GEORGIA W rogu znajdowało się wyraźne ostrzeżenie: ZDJĘCIA. NIE ZGINAĆ.

Nie otwieraj, powiedziała sobie. Wyrzuć to do kosza. Nie zaglądamy do środka.

Ale jej palce już rozrywały i otwierały kopertę. Nie zważając na krzyk zaskoczonych Kate, wytrząsnęła na podłogę zdjęcia, z jękiem opadła na kolana i zaczęła je przerzucać jedno po drugim, rozsuwając na boki, rozpaczliwie szukając jednego. Tego jedyne.

Kate bez wahania przerwała rozmowę telefoniczną i wybiegła zza biurka.

- Co to jest, Jo? Jo Ellen, co się dzieje? Co to wszystko ma znaczyć? -

dopytywała, przytrzymując Jo jedną ręką i równocześnie patrząc na dziesiątki zdjęć swojej kuzynki.

- On tu jest. On jest na Desire. Na Desire! - Ponownie przerzuciła wszystkie zdjęcia. Na jednym z nich spacerowała po plaży, na drugim spała w hamaku. Tam przechodziła przez wydmy, a tu ustawiała statyw na słonych bagnach.

Ale gdzie jest to jedno? Gdzie ono jest?

- Ono musi tu być. Musi.

Zaalarmowana Kate podniosła Jo z kolan i potrząsnęła nią. , - Przestań. I to już. Chcę, żebyś się natychmiast uspokoiła. - Ponieważ rozpoznała objawy, dowlókła Jo do krzesła, posadziła ją na nim, a potem opuściła jej głowę między kolana. -

Oddychaj. Nie myśl o niczym, tylko oddychaj. Nawet nie próbuj mi zemdleć. Siedź

tutaj, słyszysz? Siedź i nie ruszaj się.

Wbiegła do łazienki po szklankę wody i mokrą szmatkę. Gdy po chwili wróciła do biura, Jo była dokładnie tam, gdzie poprzednio. Z ogromną ulgą Kate uklękła i położyła na karku Jo zimną ściereczkę.

- Już dobrze, już wszystko w porządku.

- Nie zemdleję - powiedziała głucho Jo.

- Ogromnie się cieszę. Teraz powoli oprzyj się i wypij trochę wody. -

Przytrzymała szklankę przy ustach Jo i z zadowoleniem obserwowała, jak jej wargi powoli odzyskują naturalny kolor. - Czy możesz mi teraz powiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi?

- Zdjęcia. - Jo zamknęła oczy. - Nie zdołałam od tego uciec. W ogóle od tego nie uciekłam.

- Od czego, kochanie? Od kogo?

- Nie wiem. Chyba postradałam zmysły.

- Bzdura. - W ostrym głosie Kate słychać było zniecierpliwienie.

- Nie wiem, czy rzeczywiście taka bzdura. Już raz mi się to zdarzyło.

- O czym ty mówisz?

Jo przez cały czas nie otwierała oczu. Łatwiej będzie opowiedzieć wszystko w taki sposób.

- Kilka miesięcy temu przeżyłam załamanie nerwowe.

- Och, Jo Ellen. - Kate usiadła na oparciu krzesła i zaczęła głaskać dziewczynę po głowie. - Dlaczego mi nie powiedziałaś, że byłaś chora, kochanie?

- Po prostu nie mogłam i tyle. Nagromadziło się zbyt dużo rzeczy i już dłużej nie byłam w stanie tego wytrzymać. Zaczęły przychodzić do mnie zdjęcia.

- Takie jak te?

- Byłam na nich ja. Początkowo właściwie tylko moje oczy. Po prostu moje oczy. - A może jej oczy, pomyślała z drżeniem. Nasze oczy.

- Okropne. To musiało cię potwornie przestraszyć.

- Tak. Potem wmówiłam sobie, że ktoś próbuje zwrócić moją uwagę pragnąc, żebym pomogła mu zrobić karierę.

- Prawdopodobnie rzeczywiście o to chodziło, ale sposób osiągnięcia tego celu był okropny. Powinnaś iść z tym na policję.

- I powiedzieć im, że ktoś wysłała mnie, zawodowemu fotografowi, zdjęcia? - Jo otworzyła oczy. - Myślałam, że sobie z tym poradzę. Po prostu spróbuję sprawę zlekceważyć i jakoś dam sobie radę. Potem jednak nadszedł pocztą taki sam pakiet jak ten. Pełno w nim było zdjęć, a jedno z nich... wydawało mi się, że jedno z nich przedstawia kogoś innego. Tylko w rzeczywistości tego zdjęcia nie było - powiedziała Jo szybko. Miała zamiar się z tym pogodzić. Jeśli nawet nie zdoła zrobić nic więcej, przynajmniej spróbuję zaakceptować ten jeden fakt.

- Wyobraziłam je sobie. Naprawdę ono w ogóle nie istniało. Były jedynie dziesiątki zdjęć, które ukazywały mnie. Wówczas się załamalam.

- A potem wróciłaś tutaj.

- Musiałam od tego uciec. Myślałam, że mi się uda. Ale nie udało się. Te zdjęcia wykonane zostały tutaj, na wyspie. On jest na Desire i obserwuje mnie.

- Zabieramy to wszystko i jedziemy na policję. - Owładnięta furią Kate złapała kopertę. - Ten list wysłany został trzy dni temu z Savannah.

- Co to da, Kate?

- Nie dowiemy się, dopóki tego nie zrobimy.

- On może nadal być w Savannah albo gdziekolwiek indziej. Mógł wrócić na wyspę. - Przeczesала rękami włosy, potem położyła dłonie na kolanach. - Czy poprosimy policję, by sprawdzała każdego, kto ma przy sobie aparat foto graficzny?

- Jeśli zajdzie taka konieczność. Jaki aparat? - dopytywała Kate. - Gdzie i jak te zdjęcia zostały wywołane? Kiedy je wykonano? Na pewno czegoś można się na ich podstawie dowiedzieć. To znacznie lepsze od siedzenia tutaj i bania się, prawda?

Spróbuj się skupić, Jo Ellen.

- Po prostu chcę się od tego uwolnić.

- W takim razie zrób coś, żeby się od tego uwolnić - powiedziała Kate energicznie. - Wstyd mi, że pozwoliłaś, by ktoś wyrządził ci taką krzywdę i że poddałaś się bez walki. - Kate chwyciła jedno ze zdjęć i podsunęła je Jo pod nos. - Kiedy ono zostało wykonane? Popatrz na nie, pomyśl.

Spojrząwszy na odbitkę, Jo poczuła uścisk w dołku. Wzięła ją w wilgotne dłonie. Zauważyła, że zdjęcie jest odrobinę nieostre. Światło pada pod złym kątem i rzuca na jej postać nieładny cień. Stać go na dużo więcej, pomyślała, a potem ciężko westchnęła. Na pewno dobrze jej zrobi, jeśli przyjrzy się tym zdjęciom okiem fachowca.

- Sądzę, że tym razem bardzo się spieszył. Moczary w tym miejscu są właściwie całkiem otwartą przestrzenią. Najwyraźniej nie chciał, bym zauważyła, że robi mi zdjęcie, stąd pośpiech.

- Dobrze. Jesteś grzeczną dziewczynką. A teraz przypomnij sobie, kiedy byłaś tam po raz ostatni?

- Kilka dni temu, ale wówczas nie miałam ze sobą statywu. - Zastanawiając się, zmarszczyła brwi. - To musiało być przynajmniej dwa tygodnie temu. Nie, trzy. Trzy tygodnie temu wybrałam się tam podczas odpływu, żeby porobić zdjęcia sadzawek pozostawionych przez przyływ. Pozwól mi zerknąć na następne zdjęcie.

- Wiem, że nie jest ci łatwo, ale to mi się podoba. - Próbując uśmiechem dodać Jo nieco otuchy, Kate wręczyła jej fotografię, na której Jo siedziała na kolanach Sama i tuliła się do niego. Sączące się przez liście promienie słońca pokryły ich postacie świetlistymi plamkami, sprawiając, że zdjęcie wyglądało jak senna wizja.

- Kemping - mruknęła Jo pod nosem. - To było tego dnia, gdy ktoś zamknął

mnie w męskiej toalecie i dopiero ojciec mnie stamtąd wypuścił. Tak więc nie zrobiły tego dzieci. Kawał drania. To był on. Zamknął mnie, a potem zczekał w pobliżu i zrobił zdjęcie.

- Tego właśnie dnia zniknęła Ginny, prawda? Niemal dwa tygodnie temu.

Jo ponownie uklękła na podłodze, tym razem jednak bez cienia strachu.

Skupiła się i spokojnie przeglądała zdjęcie za zdjęciem.

- Nie jestem pewna każdego z nich, ale te, o których jestem w stanie coś powiedzieć, na pewno zostały wykonane przynajmniej dwa tygodnie temu. Można więc założyć, że wszystkie pochodzą z tego okresu. Nie ma żadnej fotografii z ostatnich dwóch tygodni. Trzyma je. Czeka. Dlaczego?

- Musi mieć czas, żeby je wywołać i dokonać selekcji. Zdecydować, które należy wysłać. Poza tym najprawdopodobniej ma jakieś inne obowiązki. Może pracę, lub coś innego.

- Nie, moim zdaniem ten człowiek ma całkowitą swobodę. Robił mi zdjęcia na Hatteras, gdy wykonywałam tam zlecenie, fotografował mnie również w Charlotte przy zwykłych, codziennych zajęciach. Sądzę, że nie ma innych obowiązków.

- W porządku. Zabierz torebkę. Weźmiemy łódkę i popłyniemy na stały ląd.

Zawieziemy wszystko na policję.

- Masz rację. To lepsze niż siedzenie tutaj i życie w strachu. - Bardzo ostrożnie wsunęła z powrotem wszystkie zdjęcia do koperty. - Przepraszam, Kate.

## ROZDZIAŁ 19

Ej, dokąd się wybieracie? - Kate i Jo wychodząc bocznymi drzwiami wpadły na Lexy. W jej oczach widać było niezwykle blask, a na ustach promienny uśmiech.

Prawie tańczyła.

- Płyniemy na stały ląd. Mamy tam coś ważnego do załatwienia - zaczęła Kate.

- Będziemy z powrotem...

- Jadę z wami. - Lexy wpadła w drzwi zanim Kate zdołała złapać ją za rękę.

- Lexy, nie jedziemy tam dla przyjemności.

- Dajcie mi pięć minut - zawołała Lexy. - Za pięć minut będę gotowa.

- Co za dziewczyna. - Kate westchnęła ciężko. - Zawsze chce być tam, gdzie jej nie ma. Pójdę i powiem, żeby została.

- Nie. - Jo mocniej zacisnęła palce na dwóch trzymany w ręce kopertach. -

Biorąc pod uwagę okoliczności, uważam, że powinna o wszystkim wiedzieć.

Sądzę, że póki nie dowiemy się czegoś więcej, powinna zachować ostrożność.

Kate poczuła przejmujący ból w okolicy serca. Skinęła głową.

- Chyba masz rację. Powiem Brianowi, że wyjeżdżamy. Nie martw się, złotko.

- Poglaskała Jo po głowie. - Zajmiemy się tym.

Lexy obawiała się, że Kate i Jo mogą ją zostawić, w związku z tym bardzo się spieszyła, pragnąc dotrzymać obietnicy. Ponieważ wiedziała, że skąpe szorty, które miała na sobie, na pewno nie spodobały się Kate, w rekordowym czasie przebrała się w cienkie, bawełniane spodnie. Zaczesała do tyłu włosy i, przygotowując się na wyprawę łodzią, związała je jasnozieloną szarfą. W drodze ku należącej do Sanktuarium prywatnej przystani, znajdującej się na północ od portu, do którego zawijał prom, odświeżyła makijaż, ani na moment nie przestając paplać.

Nim weszły na pokład wysłużonej, lecz wciąż niezawodnej motorówki, Jo dzwoniło już w uszach.

Wiele lat temu mieli lśniąca, białą łódkę z jasnoczerwonym paskiem. Jo przypomniała sobie, że *Piękność wyspy* była prawdziwą dumą i radością ojca. Ileż to razy pakowali się na nią całą rodziną, by mknąć po grzbietach fal, opłynąć wokół

wyspę. Często również wybierali się na organizowane naprędce wyprawy na stały ląd, żeby zjeść lody albo pójść do kina.

Przypomniała sobie, jak będąc jeszcze małą dziewczynką, kierowała tą łodzią.

Stawała wówczas na stopach ojca, ponieważ dzięki temu była wyższa o kilka centymetrów, a jego dłonie delikatnie spoczywały na jej małych, dzierżących kierownicę rączkach.

*Trochę na sterburtę, Jo Ellen. Właśnie tak. Jesteś urodzonym wilkiem morskim.*

Jednak w niecały rok po odejściu Annabelle Sam sprzedał *Piękność wyspy*.

Wszystkie następne łodzie nie miały już imienia. Rodzina przestała wyjeżdżać razem na przyprawiające o zawrót głowy eskapady.

Mimo to Jo doskonale pamiętała, co należy robić. Kiedy Kate i Lexy odwiązywały liny, Jo sprawdziła zapas paliwa. Automatycznie poprawiła pozycję łodzi, by ustawić się odpowiednio do delikatnych fal. Z ogromną wprawą ujęła w dłonie kierownicę i uśmiechnęła się, gdy silnik drgnął i z cichym pomrukiem zaczął

równomiernie pracować.

- Widzę, że ojciec pilnuje, by wszystko działało bez zarzutu.

- W zimie przeprowadził remont kapitalny silnika. - Kate zajęła miejsce, a jej niespokojne palce obróciły złoty łańcuszek, który wyłożyła na świeżą, ba wełnianą bluzkę.

Pomyślała, że najlepiej zrobi, jeśli zostawi kierowanie łodzią w rękach Jo, która w ten sposób nie będzie miała czasu, żeby się denerwować.

- Moim zdaniem powinniśmy zainwestować i kupić nową łódź. Coś bar dziej eleganckiego, na co miło byłoby popatrzeć. Moglibyśmy wówczas proponować wycieczki wokół wyspy z przystankami w Zatoczce Dzikiego Konia, Zatoce Białej Czapli i tak dalej. Oczywiście, to wymagałoby zatrudnienia jakiegoś pilota.

- Tata lepiej niż ktokolwiek inny zna tę wyspę i wody wokół niej - zwróciła uwagę Jo.

- Wiem. - Kate wzruszyła ramionami. - Ale ilekroć próbuję poruszyć ten temat, mamrocze pod nosem jakieś komunały i szybko znajduje sobie coś innego do roboty.

Trudno jest namówić na coś Sama „Zrobię - Wszystko - Po - Swojemu” Hathawaya.

- Możesz mu powiedzieć, że gdyby sam się tym zajął, byłby w stanie wszystkiego odpowiednio



dopilnować. - Jo spojrziała na kompas, ustaliła kierunek i ruszyła przez cieśninę. - Dzięki temu ludzie nie zdeptywaliby roślin, ani nie naruszali ekosystemu. Jeśli powierzy się tę funkcję komuś innemu, na pewno nie dopatrzy tego tak starannie, ani nie zachowa odpowiedniej czujności.

- To dobre podejście do sprawy.

- Jeśli kupisz nową łódź, ojcu bardzo trudno będzie się jej oprzeć. - Lexy poprawiła węzeł swojej szarfy. - Potem powinnaś wspomnieć, że musisz znaleźć odpowiedniego pilota - człowieka nie tylko doświadczonego i kompetentnego, ale kogoś, kto równocześnie rozumiałby potrzeby środowiska naturalnego i wiedział, w jaki sposób to wszystko należy wyjaśnić turystom, by zrozumieli, dlaczego Desire przez wszystkie te lata nie uległa dewastacji.

Jo i Kate ze zdumieniem spojrzały na Lexy, która rozłożyła ręce.

- Trzeba umieć postępować z ludźmi, to wszystko. Jeśli wspomnicie mu o konieczności nauczania turystów, że powinni szanować wyspę i zostawić ją w takim stanie, w jakim ją zastali, ojciec nie tylko da się przekonać, ale w końcu zacznie myśleć, że od początku był to jego pomysł.

- Byłaś niezwykle sprytnym dzieckiem, Alexo - powiedziała jej Kate. - Zawsze podziwiałam u ciebie tę cechę.

- Dla ojca najważniejsza jest wyspa. - Lexy wychyliła się za poręcz i wystawiła twarz na podmuch wiatru. - Wykorzystanie tego, by go do czegoś przekonać, nie ma nic wspólnego ze sprytem. Po prostu jest jedynym możliwym rozwiązaniem. Nie możesz jechać trochę szybciej, Jo? W takim tempie mogłabym sama dopłynąć do Savannah.

Jo chciała zaproponować Lexy, żeby po prostu tak właśnie zrobiła, po chwili jednak zrezygnowała i wzruszyła ramionami. Właściwie czemu nie? Dlaczego nie przyspieszyć i chociaż na chwilę nie przestać myśleć o dręczących ją problemach?

Spojrziała na oddalającą się linię brzegową Desire i stojący dumnie na wzgórzu biały dom, a potem otworzyła przepustnicę.

- W takim razie trzymajcie się.

Gdy prędkość gwałtownie wzrosła, Lexy krzyknęła zadowolona, a potem odrzuciła do tyłu głowę i zaczęła się śmiać. O Boże, jak ona uwielbia wszelkiego rodzaju wyprawy.

- Szybciej, Jo! Zawsze dawałaś sobie radę z tą balią znacznie lepiej niż ktokolwiek z nas.

- Ale od dwóch lat nie kierowała łodzią - zaczęła Kate, a potem zapiśczała, ponieważ Jo przekreśliła kierownicę i zatoczyła szalone, olbrzymie koło. Kate z bijącym sercem trzymała się mocno poręczy, a Lexy wołała o więcej.

- Popatrzcie tam, to kuter Jeda Pendletona. Objedźmy go dookoła, Jo. Pozwól im skosztować naszego kilwateru i pokołyś ich trochę.

- Jo Ellen, nie waż się tego robić. - Kate starała się opanować śmiech, który wydobywał się jej z gardła. - Zaczynij zachowywać się jak należy.

Jo uśmiechnęła się promiennie do Lexy, a potem wzniosła oczy ku niebu.

- Tak jest, madam - mruknęła pod nosem, zrobiła głupią minę i z mniej szyłą prędkość. Krzyknęła wesoło w stronę kutra. - Chciałam przetestować silniki i sprawdzić, jak reagują.

- No cóż, już to zrobiłaś - powiedziała Kate sucho. - Mam nadzieję, że teraz spokojnie popłyniemy dalej.

- Po prostu chciałabym już tam być. - Lexy odwróciła się i oparła o poręcz. -

Umieram z niecierpliwości, żeby zobaczyć ludzi na ulicach. Poza tym naprawdę muszę kupić sobie kilka rzeczy. Może wszystkie zafundowałybyśmy sobie coś nowego i ładnego? Na przykład suknie wieczorowe. A potem urządzimy przyjęcie. Wszystkie trzy elegancko się ubierzemy, będzie muzyka i szampan. Przynajmniej kilka miesięcy minęło od czasu, kiedy po raz ostatni kupiłam sobie nową suknię.

- To tylko dlatego, że twoja szafa i tak już pęka w szwach - wyjaśniła Jo.

- Och, ale wszystko, co w niej mam, jest stare i niemodne. Czy nigdy nie zdarza ci się, że musisz kupić sobie coś nowego... po prostu musisz? Coś szalowego?

- Prawdę mówiąc, od dawna marzę o nowej, profesjonalnej lampie błyskowej - przyznała Jo.

- To dlatego, że częściej myślisz o swoim aparacie fotograficznym niż własnym wyglądzie. - Lexy przechyliła na bok głowę. - Dla odmiany przydałoby ci się coś ekscentrycznego i niebieskiego. To powinien być jedwab. Do tego jedwabna bielizna.

Tym sposobem, jeśli kiedykolwiek pozwolisz, by Nathan cię rozebrał, sprawisz mu miłą niespodziankę. Idę o zakład, że sobie również.

- Alexo. - Kate uniosła dłoń i powoli policzyła do dziesięciu. - Życie prywatne twojej siostry jest... jej prywatną sprawą.

- Jakie życie prywatne? Przecież ten facet od momentu, kiedy po raz pierwszy ją zobaczył, umiera z pragnienia, żeby zdjąć z niej te zbyt luźne dzinsy.

- Skąd wiesz, że tego jeszcze nie zrobił? - wypaliła Jo.

- To proste - powiedziała Lexy z godnym kociaka uśmiechem - ponieważ gdy w końcu mu się to uda, będziesz znacznie spokojniejsza.

- Gdyby przespanie się z kimś było wszystkim, czego potrzebuje kobieta, by się uspokoić, powinnaś

znajdować się obecnie w stanie śpiączki.

Lexy jedynie się roześmiała i z powrotem wystawiła twarz do wiatru. - No cóż, złotko, w ostatnich dniach jestem bardzo spokojna. Czego na pewno nie można powiedzieć o tobie.

- Dość tego, Lexy - powiedziała cicho Kate, po czym wstała. - Poza tym nie jedziemy na stały ląd po zakupy. Jedziemy tam, bo twoja siostra ma kłopoty.

A ponieważ nie chce, żeby te problemy dotknęły również ciebie, postanowiła cię zabrać i po drodze o wszystkim ci opowiedzieć.

- O czym ty mówisz? - Lexy wyprostowała się. - Co się dzieje?

- Usiądź - rozkazała Kate i wzięła do ręki zabrane przez Jo koperty. - A wówczas powiemy ci o wszystkim.

Dziesięć minut później Lexy przeglądała zdjęcia. Czuła potworny uścisk w dołku, ale nawet nie zadrżała jej ręka i przez cały czas starała się logicznie myśleć. -

On cię prześladowuje.

- Nie wiem, czy użyłabym takiego właśnie określenia. - Jo nie odrywała wzroku od wody i delikatnej mgiełki otulającej stały ląd.

- To jest właśnie dokładnie to, co on robi, i tak musisz przedstawić sprawę policji. Takie postępowanie jest niezgodne z prawem. Będąc w Nowym Jorku, poznałam pewną dziewczynę, której były chłopak nie chciał zostawić w spokoju, co chwilę się u niej pojawiał i snuł się za nią krok w krok. Przez sześć miesięcy żyła w ciągłym strachu, aż w końcu coś z tym zrobili. Przecież nie możesz bez przerwy się bać.

- Ale ona przynajmniej wiedziała, kto to jest - zauważyła Jo.

- No cóż, musisz zastanowić się, kto to może być. - Lexy trochę przestraszona odłożyła zdjęcia na bok. - Może zerwałeś z kimś w okresie, kiedy to wszystko się zaczęło?

- Nie, nie widywałam się z nikim nadzwyczajnym.

- Dla ciebie to wcale nie musiało być nic nadzwyczajnego - przypomniała jej Lexy. - Wystarczy, że on tak myśli. Z kim się spotkałeś - choćby tylko raz?

- Z nikim.

- Jo, może zjadłeś z kimś kolację, byłeś w kinie lub teatrze, zjadłeś na jednej nodze lunch.

- Nie chodziłam na żadne randki.

- Nie traktuj tego dosłownie. Twój problem polega na tym, że widzisz świat tylko w czerni i bieli.

Uważasz, że wszystko wygląda tak, jak na twoich zdjęciach. Ale przecież nawet na nich nie brakuje różnych odcieni szarości, prawda?

Jo zmarszczyła brwi, nie wiedząc, jak powinna potraktować porównanie siostry: uznać je za zniewagę czy wyraz uznania.

- Po prostu nie widzę...

- No właśnie. - Lexy przytaknęła. - Ułóż sobie taką listę, a potem na następnej umieść mężczyzn, którym odmówiłaś, gdy próbowali cię gdzieś zaprosić. Może któryś z nich proponował ci spotkanie dwa, albo trzy razy, a ty uznałaś, że w końcu zrezygnowałaś.

- W ciągu ostatniego roku byłam bardzo zajęta. Właściwie prawie z nikim się nie kontaktowałam.

- Dobrze. To znacznie zwiększy prawdopodobieństwo wskazania odpowiedniego człowieka. - Lexy założyła nogę na nogę, ani na moment nie przestając intensywnie myśleć. - Może w domu w Charlotte, w którym mieszkasz, ktoś próbował

zwrócić na siebie twoją uwagę, na przykład starał się nawiązać rozmowę, kiedy wpadliście na siebie w holu. Spróbuj się zastanowić - powiedziała Lexy niecierpliwie. -

Kobieta zazwyczaj wie, że podoba się mężczyźnie, nawet jeśli sama nie jest nim zainteresowana.

- Nigdy się nad tym nie zastanawiałam.

- No cóż, więc zastanów się teraz. W tej konkretnej sprawie to ty musisz panować nad sytuacją. Nie możesz mu pokazać, że zdołał cię przestraszyć. Nie pozwól mu myśleć, że jest w stanie ponownie wsadzić cię do szpitala. - Potrząsnęła mocno ramieniem Jo. - Dlatego pomyśl. Zawsze byłaś bardziej rozgarnięta niż my wszyscy.

Rusz głową.

- Pozwól, że wezmę od ciebie kierownicę. - Kate delikatnie rozluźniła zaciśnięte dłonie Jo. - Usiądź i odpocznij trochę.

- Potem będzie mogła odpocząć. Teraz musi myśleć. - Lexy, daj jej spokój.

- Nie. - Jo potrząsnęła głową. - Ona ma rację. Masz absolutną rację - po wiedziała do Lexy, a potem przez dłuższą chwilę przyglądała się siostrze, którą dotychczas uważała za bezmyślnego kociaka. Tym razem zobaczyła kogoś zupełnie innego. - Poza tym stawiasz odpowiednie pytania - takie, których sama nigdy nie próbowałaś sobie zadać. Kiedy znajdę się na policji, na pewno będą mnie pytać o to samo.

- Podejrzewam, że tak.

- W porządku. - Jo ciężko westchnęła. - Pomóż mi.

- To właśnie przez cały czas próbuję robić. Usiądźmy. - Ujęła ramię Jo i posadziła ją obok siebie. - Teraz przede wszystkim pomyśl o mężczyznach.

- Nie ma ich zbyt wielu. Nie lgną do mnie jak muchy do miodu.

- Gdybyś chciała, lgnęliby, ale to jest zupełnie inna sprawa. - Lexy niedbale machnęła ręką. Tym ewentualnie zajmą się później. - Może jest ktoś, z kim masz stały kontakt. Nie zwracasz na niego uwagi, ale regularnie się widujecie.

- Jedynym mężczyzną, z którym spotykam się regularnie, jest mój pomocnik.

To właśnie Bobby zawiózł mnie do szpitala. Był u mnie, gdy przyszła ostatnia przesyłka.

- No proszę, co za zbieg okoliczności. Jo zrobiła okrągłe oczy.

- Bobby? Śmieszne.

- Dlaczego? Powiedziałaś, że jest twoim pomocnikiem, więc tak samo jak ty zajmuje się fotografią. Potrafi robić zdjęcia i wywoływać filmy. Idę o zakład, że jeśli wyjeżdżasz wykonać jakieś zlecenie, wie gdzie jesteś i jak wygląda twój rozkład dnia.

- Oczywiście, ale...

- Czasami nawet z tobą jeździ, prawda?

- Jasne, na tym między innymi polega jego nauka.

- Może w dodatku coś do ciebie czuje.

- Głupi pomysł. Chociaż na początku rzeczywiście trochę się we mnie durzył.

- Naprawdę? - Lexy uniosła brwi. - Przespałaś się z nim?

- On ma dwadzieścia lat.

- No i co z tego? - Lexy wzruszyła ramionami. - W porządku, nie zrobiłaś tego.

Przez cały czas z tobą współpracuje, podobasz mu się, wie gdzie jesteś, zna twój rozkład dnia i potrafi robić zdjęcia. Jednym słowem można go umieścić na czele listy.

Ta możliwość była dla niej dużo bardziej przerażająca niż wszystkie inne, w których prześladowca nie miał twarzy ani imienia.

- Przecież on się mną zajął. Zawiózł mnie do szpitala.

Powiedział, że nie widział zdjęcia, przypomniała sobie Jo i nagle poczuła, że żołądek podchodzi jej do gardła. Byli wówczas tylko we dwoje, a teraz Bobby utrzymuje, że nie widział tamtego aktu.

- Czy on wie, że wróciłaś do Sanktuarium?

- Tak... - Jo urwała i zamknęła oczy. - Tak, wie, gdzie jestem. O Boże, doskonale wie. Rozmawiałam z nim dziś rano. Dzwonił do mnie.

- Dlaczego do ciebie dzwonił? - dopytywała Lexy. - Co ci powiedział?

- Zostawiłam dla niego wiadomość, żeby się ze mną skontaktował. Chciałam...

chciałam go o coś zapytać. Dzisiaj oddzwonił.

- Skąd dzwonił? - Kate szybko obejrzała się przez ramię.

- Nie pytałam... a on nie powiedział. - Z ogromnym wysiłkiem Jo starała się opanować potworny strach. - Nie wiem, po co Bobby miałby mi przysyłać te zdjęcia.

Pracowałam z nim od wielu miesięcy.

- Mimo to na pewno policja bardzo będzie się interesowała tą znajomością -

upierała się Lexy. - Kto jeszcze wie, gdzie jesteś?

- Mój wydawca. - Jo potarła ręką skroń. - Zostawiłam również swój adres na poczcie, podałam go gospodarzowi budynku, w którym mieszkam, i lekarzowi, który leczył mnie w szpitalu.

- To znaczy, że gdyby ktokolwiek chciał się dowiedzieć, gdzie jesteś, bez trudu mógłby uzyskać odpowiednie informacje. Mimo to Bobby pozostaje na czele listy.

- Co sprawia, że robi mi się niedobrze i mam wrażenie, że go zdradziłam.

Ale jest w tym logika. - Urwała i ścisnęła palcami nasadę nosa. - Jest na tyle dobry, że bez trudu mógłby porobić te zdjęcia - zwłaszcza gdyby nad nimi popracował

i poświęcił na to trochę czasu. Ma ogromne możliwości. Chociaż wciąż jeszcze popełnia błędy wynikające z pośpiechu albo nieodpowiednich decyzji podjętych w ciemni. To mogłoby wyjaśnić, dlaczego niektóre ze zdjęć nie są tak dobre jak inne.

- Czego im brakuje? - zaciekawiona Lexy wyjęła kilka zdjęć z koperty.

- Na niektórych jest zbyt duży kontrast, inne są źle wykadrowane. Widzisz to? -

Pokazała cię osłaniający jej ramię na jednej z odbitek. - Albo to. Jest nieostre, poza tym źle został zdefiniowany koloryt. Na niektórych wyraźnie widać ziarno, co mogłoby sugerować, że użył filmu o zbyt wysokiej czułości, a potem zrobił za duże powiększenie. Inne świadczą o tym, że miał niedoświetlony negatyw - wyjaśniła. - Są również takie, gdzie zabrakło mu inwencji.

- Mnie się podobają. Na większości z nich całkiem nieźle wyglądasz.

- Brakuje im staranności i wyczucia smaku, czym mogą poszczycić się zdjęcia wykonane w Charlotte albo na Hatteras. Prawdę mówiąc... - Przeglądając ponownie zdjęcie po zdjęciu, zmarszczyła czoło - ... wygląda to tak, jakby w miarę upływu czasu zdjęcia stawały się coraz mniej profesjonalne i twórcze. Zupełnie jakby go to coraz bardziej nudziło... albo jakby stawał się coraz bardziej niedbały.

- Spójrz tutaj. Każdy student pierwszego roku mający przyzwoity sprzęt i odrobinę talentu byłby w stanie zrobić mi takie zdjęcie w hamaku. Obiekt leży nieruchomo, nie zdaje sobie sprawy, że ktoś go fotografuje, a światło jest dobre, ponieważ sączy się przez gałęzie drzew. Łatwo zrobić takie zdjęcie. Właściwie wszystko jest gotowe. Natomiast tutaj, kiedy fotografował mnie na plaży, powinien użyć żółtego filtra, żeby pozbyć się nadmiernego blasku, złagodzić cienie i ukazać chmury. To podstawowe sprawy. Ale on w ogóle się tym nie przejmował. Nie uchwycił

faktury, stracił dramatyzm. Błąd wynikający z niedbalstwa. Nigdy wcześniej sobie na to nie pozwalał. Szybko wyjęła zdjęcia z drugiej koperty.

- Tu jest inne zdjęcie zrobione również na plaży, ale na Hatteras. Dość dobre ujęcie, tylko tym razem się nie spieszył i użył filtra. Uchwycił fakturę piasku wiatr rozwiewający mi włosy, unosząc się nad falami mewę i wspaniałe chmury. To naprawdę ładne zdjęcie, mogłoby pójść na wystawę lub do galerii, podczas gdy tamto jest zupełnie do niczego.

- Czy Bobby był tam z tobą? Na Hatteras?

- Nie. Wówczas pracowałam sama.

- Ale w porównaniu z Desire na Hatteras jest bardzo tłoczno. Mogłaś go nie zauważyć. Zwłaszcza gdyby w jakiś sposób się przebrał.

- Przebrał. Och, Lexy. Chodzi ci o to, że powinnam sobie przypomnieć, czy nie widziałam tam jakiegoś faceta w ogromnych okularach i ze śmiesznym nosem?

- Gdybym zrobiła sobie odpowiedni makijaż, włożyła perukę i używała innych gestów, mogłabym wpakować się na ciebie na ulicy, a ty i tak byś mnie nie poznała.

Wcale nie jest tak trudno być kimś innym. - Uśmiechnęła się. - Sama robię to bez przerwy. Mógł tam być ten twój pomocnik, albo co najmniej kilka innych osób, które znasz. Można ufarbować włosy, założyć kapelusz i okulary przeciwsłoneczne. Zapaść zarost, albo go ogolić. Wiemy jedynie, że był tam i był tutaj.

Jo przytaknęła powoli.

- Wcale nie jest wykluczone, że wrócił.

- Tak. - Lexy położyła rękę na dłoni Jo. - Ale teraz wszyscy będziemy się bacznie rozglądać i szukać go.

Jo pochyliła głowę. Zdała sobie sprawę, że wcale nie powinien jej dziwić widok pewnej i ciepłej dłoni siostry, próbującej w ten sposób dodać jej otuchy.

- Nie powinnam ukrywać tego przed wami. Właściwie należało wszystkim o tym powiedzieć. Ale chciałam uporać się z tym sama.

- Też mi nowina - powiedziała Lexy beztrąsko. - Kuzynko Kate, Jo mówi, że z czymś chciała się sama uporać. Wyobraź sobie, dziewczyna, która zawsze postępowała zgodnie z zasadą „zejdź mi z drogi, zrobię to sama”, nagle chce na własną rękę dać sobie z czymś radę.

- To było bardzo sprytne - mruknęła Jo pod nosem. - Nigdy nie przypuszczałam, że potrafisz myśleć, ani że zechcesz mi pomóc.

- A oto następne wiadomości, Kate. - Lexy przez cały czas patrzyła Jo prosto w oczy. - Proszę, proszę, najświeższy numer za chwilę zacznie pękać w szwach. Jo nie przypuszczała, że jestem istotą inteligentną, ani że potrafię współczuć. Co prawda wszyscy zawsze mieli o mnie dokładnie to samo zdanie, ale i tak jest to najważniejsza informacja dnia podawana przez agencje.

- Zapomniałam, z jaką łatwością potrafisz posługiwać się sarkazmem -

ponieważ jednak całkowicie zasłużyłam sobie na obie uszczypliwe uwagi, nie będę próbowała ci udowodnić, że jeśli chodzi o szyderstwo i drwinę, jestem od ciebie znacznie lepsza.

Nim Lexy zdążyła się odezwać, Jo odwróciła dłoń i splotła swoje palce z jej palcami.

- Wstydziałam się. Bałam się, ale niemal w takim samym stopniu było mi wstyd, że się załamalam. Za nic w świecie nie chciałam, żeby dowiedziała się o tym rodzina.

Lexy ogarnęła fala serdecznego współczucia. Mimo to nie przestała się uśmiechać z wyższością, a w jej głosie nadal słychać było wyraźną drwinę.

- No wiesz, Jo Ellen, to głupota. Przecież jesteśmy mieszkańcami Południa.

Mamy słabość do będących lunatykami członków rodziny, jeszcze większym szacunkiem darzymy wszelkiego rodzaju dziwaków. To tylko Jankesi ukrywają swych obłąkanych krewnych na poddaszu. Prawda, kuzynko Kate?

Rozbawiona, a równocześnie przepełniona dumą ze swego najmłodszego kurczęcia Kate obejrzała się przez ramię.

- Lexy ma rację. Dobra rodzina z Południa udziela pomocy swoim obłąkańcom i pokazuje ich we frontowym salonie razem z najlepszą porcelaną.

Jo Ellen wybuchnęła śmiechem i zaskoczona zamrugła oczami.

- Nie jestem lunaticzką.

- Jeszcze nie. - Lexy przyjacielsko ścisnęła jej dłoń. - Ale jeśli nadal będziesz tak postępować, być może dołączysz do prababci Lidy. O ile pamiętam, dzień i noc nosiła ozdobioną świecidełkami suknię wieczorową i utrzymywała, że przyjedzie po nią Fred Astaire i zabierze ją na bal. Postaraj się



jeszcze trochę, a może zdołasz jej dorównać.

Jo ponownie wybuchnęła śmiechem, i tym razem śmiała się długo i serdecznie.

- Może, gdy będzie już po wszystkim, wybierzemy się jednak na jakieś zakupy.

Mogłabym, tak na wszelki wypadek, spróbować kupić sobie ozdobioną świecidełkami suknię wieczorową.

- Najbardziej jest ci do twarzy w kolorze niebieskim. - Ponieważ Lexy doskonale wiedziała, że jej przyjdzie to znacznie łatwiej niż Jo, objęła siostrę i przytuliła mocno. - Zapomniałam ci coś powiedzieć, Jo Ellen.

- Co takiego?

- Witaj w domu.

Do Sanktuarium wróciły dopiero po szóstej. Gdy było już po wszystkim, wybrały się na zakupy, jako dowód przywożąc ogromną ilość pudeł i toreb. Kate wciąż zadawała sobie pytanie, jak to się stało, że dała się namówić Lexy na półtoragodzinne gorączkowe zakupy, choć przecież знаła już odpowiedź.

Po godzinie spędzonej na posterunku policji wszystkie trzy musiały zrobić coś głupiego.

W związku z tym, wchodząc do kuchni, była nastawiona na wysłuchanie tyrady Briana. On obrzucił je gniewnym spojrzeniem i, widząc niezbity dowód winy, warknął:

- Jesteście wspaniałe. Po prostu fantastyczne. W jadalni mam już sześć zajętych stolików, urabiam sobie ręce po łokcie, by coś ugotować, a wy trzy urządzaacie sobie zakupy. Musiałem ściągnąć Sissy Brodie, żeby podawała do stołów, ale ta dziewczyna nie ma nawet za grosz rozumu. Ojciec przygotowuje drinki - które rozdajemy, by wynagrodzić gościom fatalną obsługę - a ja właśnie przed chwilą spaliłem dwie porcje kurczaka, ponieważ musiałem zetrzeć z podłogi krewetki, które obdarzona ptasim mózdzkiem Sissy wywaliła na kolana Becky Fitzsimmons.

- Becky Fitzsimmons siedzi przy stoliku, a ty kazałeś Sissy ją obsłużyć? -

Rozbawiona do łez Lexy odstawiła na bok swoje torby. - Czy ty o niczym nie wiesz, Brian? Sissy i Becky serdecznie się nienawidzą od czasu, kiedy obie kręciły się koło Jesse'ego Pendletona, a on przez sześć miesięcy sypiał z nimi oby dwiema. W końcu Sissy zorientowała się. Po wielkanocnej mszy podeszła do Becky i wyzywała ją od tanich, wstrętnych dziwerek. Dopiero trzech silnych mężczyzn zdołało je rozdzielić.

Lex z ogromnym zapałem opisała tę scenę, a potem rozwiązała szarfę i rozpuściła włosy.

- No cóż, uważam, że talerz krewetek to małe piwo. Masz szczęście, że Sissy nie złapała któregoś z twoich noży i nie sprawdziła na Becky, czy rzeczywiście jest ostry.

Brian odetchnął głęboko starając się zachować cierpliwość.

- Już zaczynam liczyć swoje zasługi. A teraz łap notes i zabieraj stąd swój tyłek.

O godzinę spóźniłaś się na swoją zmianę.

- To moja wina, Brian - zaczęła Jo, a kiedy odwrócił się w jej stronę, przygotowała się do odparcia ataku. - Potrzebowałam Lexy, a potem chyba straciłyśmy nieco rachubę czasu.

- Ja nie mogę sobie pozwolić na tracenie jakiegokolwiek rachuby. Poza tym nie chcę, żebyś stała w mojej kuchni i usiłowała brać na siebie winę za to, że ona jest nieodpowiedzialna i nie potrafi zrobić, co do niej należy. - Brzęknął przykrywką, pod którą smażyła się kurza pierś i obrócił mięso. - I nie chcę, żebyś próbowała to wszystko załagodzić - powiedział do Kate. - Nie mam czasu na wysłuchiwanie wyjaśnień.

- Nie miałam zamiaru niczego ci wyjaśniać - powiedziała Kate spokojnie. -

Prawdę mówiąc, ani mi się śni zdzierać sobie gardło po to, by rozmawiać z kimś, kto odzywa się do mnie w taki sposób. - Zdecydowanym ruchem uniosła głowę i wyszła do jadalni, by pomóc Samowi przy jego obowiązkach.

- To była moja wina, Brian - zaczęła ponownie Jo. - Kate i Lexy...

- Nie kłopotz się. - Lexy energicznie machnęła ręką, by ukryć gotującą się w niej złość. - On nawet nie ma zamiaru słuchać - wie wszystko, co trzeba. - Wzięła notes i ciężkim krokiem wyszła do jadalni.

- Niepoważny, nieodpowiedzialny lekkoduch - mruknął Brian pod nosem.

- Nie mów tak o niej. Ona wcale nie jest taka.

- A jaka jest? Nagle pogodziłyście się, pchając w domu towarowym wyładowany zakupami koszyk? Czyżby kobiety, kupując razem buty, natychmiast stawały się najlepszymi przyjaciółkami?

- Niezbyt sobie cenisz słabą płęć, prawda? Tymczasem to właśnie kobiety były mi dzisiaj potrzebne, w dodatku kobiety, które chciały mi pomóc. Jeśli wróciliśmy nieco później niż ci pasowało...

- Pasowało? - Przerzucił kurczaka na talerz i zacisnął mocno zęby, próbując skoncentrować się na nakładaniu sałatek i przybrania. Nigdy w życiu nie dopuści do tego, by głupie baby naraziły na szwank jego reputację. - To, co mi pasuje, nie ma tu nic do rzeczy. Chodzi o interes i utrzymanie dobrej opinii, na którą pracujemy od dwudziestu lat. Chodzi o to, że zostałem na lodzie, a tymczasem niemal dwadzieścia osób liczyło na dobry posiłek i miłą oraz sprawną obsługę. Chodzi o wywiązywanie się z obietnicy.

- W porządku, rzeczywiście masz prawo się wściekać, ale wściekaj się na mnie.

To ja je dzisiaj stąd wyciągnęłam.

- Nie musisz się martwić. - Nappełnił koszyczek świeżymi, parującymi kuleczkami z ciasta kukurydzianego. - Jestem na ciebie wystarczająco wściekły.

Spojrzała na stojące na piecu garnki i leżące na deseczce, posiekane warzywa.

W zlewie piętrzył się stos brudnych naczyń, a ruchy Briana były bardzo niezręcznie, ponieważ przeszkadzała mu skaleczona ręka.

Jo zdała sobie sprawę, że rzeczywiście zostawiły go na lodzie. Powinny to zrobić zupełnie inaczej.

- W czym mogę ci pomóc? Może umyję naczynia...

- Najlepiej, jeśli będziesz trzymać się ode mnie z daleka - powiedział, nie patrząc na nią. - Przecież w tym właśnie jesteś najlepsza, prawda?

Przyjęła tę uwagę, uznając swoją winę.

- Tak, sędzę, że tak.

Wyszła cicho tylnymi drzwiami. Pomyślała, że nikt nie zamknął przed nią Sanktuarium, tak jak miało to miejsce we śnie. Ale droga prowadząca w jedną i drugą stronę była kamienista i pełna wybojów.

Brian miał rację. Zawsze bardzo skutecznie potrafiła trzymać się z daleka i zostawiać innym przyjemności oraz problemy, które wiązały się z tym domem.

Wcale nie była pewna, czy chce, żeby cokolwiek się zmieniło.

Ruszyła w las. Jeśli ktoś ją obserwuje, niech obserwuje, niech robi te cholerne zdjęcia, aż zdrętwieją mu palce. Nie będzie przez całe życie się bać. Miała nadzieję, że on tu jest. Liczyła na to, że jest blisko i że się jej pokaże. Właśnie teraz. W tym momencie.

Zatrzymała się i odwróciła powoli wokół własnej osi, z ponurą miną sprawdzając wszystkie cienie. Miała odpowiedni nastrój do konfrontacji. Byłaby szczęśliwa, gdyby mogła stoczyć z kimś wyczerpującą walkę.

- Jestem silniejsza niż ci się wydaje - powiedziała na głos i słuchała, jak echo powtarza jej pełne złości słowa. - Dlaczego nie wyjdiesz, nie staniesz ze mną twarzą w twarz i nie sprawdzisz tego osobiście? Ty draniu. - Złapała jakiś kij i uderzyła nim w dłoń. - Ty sukinsynu. Myślisz, że możesz mnie przestraszyć kilkoma kiepskimi zdjęciami?

Smagneła kijem drzewo, a szarpnięcie w ramieniu sprawiło jej prawdziwą przyjemność. Przestraszony dzięcioł oderwał się od pnia i śmignął jak kolorowa kula.

- Twoje kompozycje pozostawiają wiele do życzenia, nie potrafisz operować światłem. Nie masz bladego pojęcia o tym, jak uchwycić nastrój i wydobyć fakturę.

Widziałam lepsze prace wykonane przez dziesięciolatka jednorazowym Kodakiem.

Wysunęła do przodu brodę i czekała, pragnąc zobaczyć kogoś wychodzącego na ścieżkę. Chciała móc go zaatakować. Chciała, żeby zapłacił jej za wszystkie krzywdy.

Wokół jednak panowała absolutna cisza, przerywana jedynie cichym szeptem wiatru i stukaniem palmowych liści. Cienie powoli wydłużały się i robiło się coraz ciemniej.

- Teraz jeszcze na dodatek rozmawiam sama ze sobą - mruknęła. - Jeśli tak dalej pójdzie, nim dotrę do trzydziestki będę tak pomyłona jak prababcia Pendleton. -

Odrzuciła kij i obserwowała, jak frunie w powietrzu, zatacza łuk, a potem z cichym szelestem ląduje w gęstych zaroślach.

Nie dostrzegła zniszczonych tenisówek zaledwie kilkanaście centymetrów od miejsca, w którym wylądował, ani wystrzępionych brzegów wyblakłych dzinsów.

Kiedy wchodziła w głąb lasu, nie usłyszała ciężkiego sapania kogoś, kto starał się spokojnie oddychać, nie zwróciła również uwagi na chrapliwy szep, w którym słychać było potworną złość.

- Nie teraz, Jo Ellen. Jeszcze nie teraz. Musisz zaczekać, aż będę gotowy. Wtedy jednak będę musiał wyrządzić ci krzywdę. Będę musiał zrobić wszystko, żebyś gorzko pożałowała tych słów.

Wyprostował się powoli i uznał, że już w pełni nad sobą panuje. Kiedy zacisnął pięści, nawet nie zauważył krwi, która płynęła z jego dłoni.

Był pewien, że wie, dokąd poszła Jo, i doskonale obeznany z lasem wszedł między drzewa, żeby dotrzeć tam przed nią.

## **CZEŚĆ TRZECIA**

*Miłość potężna jest jak śmierć*

*a zazdrość okrutna jak grób.*

Pieśń nad Pieśniami

## **ROZDZIAŁ 20**

Jo nawet nie zdawała sobie sprawy, że kieruje swe kroki do Nathana, dopóki nie znalazła się w pobliżu jego domku. Kiedy stanęła i zaczęła się zastanawiać, czy nie zmienić kierunku, usłyszała czyjeś stąpanie po ścieżce. Nagły przypływ adrenaliny sprawił, że zacisnęła mocno pięści i napięła wszystkie mięśnie. Odwróciła się na pięcie i przygotowała do ataku.

Wokół panował półmrok, z minuty na minutę robiło się coraz ciemniej, a powietrze stawało się coraz cięższe. Na niebie, na którym światło walczyło z ciemnością wisiał maleńki rąbek księżyca. Woda z cichym pluskiem uderzała o wysoką trawę rosnącą na brzegach rzeki. Przy mocniejszym porywie

wiatru z ziemi poderwała się czapla i wzbiła się w niebo.

Z cienia wyszedł Nathan.

Kiedy ją spostrzegł, zwolnił kroku, a potem zatrzymał o pół metra od niej. Jego buty i postrzępione brzegi dżinsów były wilgotne od chodzenia po pokrytej rosą trawie, a we włosach igrał mu wiatr. Na widok zaciśniętych pięści Jo i jej postawy wyraźnie świadczących o tym, że szykuje się do ataku, uniósł brew.

- Szukasz okazji do walki?

Z ogromnym trudem zaczęła stopniowo rozprostowywać palce.

- Może.

Podszedł bliżej, a potem delikatnie uderzył ją pięścią w brodę.

- Bez trudu pokonałbym cię w dwóch rundach. Decydujesz się na to?

- Może kiedy indziej. - Krew dzwoniąca jej w uszach powoli zaczęła się uciszać.

Nathan ma szerokie barki, pomyślała. To doskonałe miejsce, by oprzeć na nim głowę -

pod warunkiem, że jest się osobą która lubi się przytulać. - Brian mnie wyrzucił -

powiedziała i wsunęła ręce do kieszeni. - Więc wyszłam na spacer.

- Ja też. Ale już dość się nachodziłem. - Rozluźnił pięść i przeczesał palcami jej włosy. - A ty?

- Jeszcze nie podjęłam decyzji.

- Może wstąpisz... - Ujął ją za rękę i zaczął bawić się jej palcami. - I zastanowisz się u mnie w domku.

Oderwała wzrok od ich złączonych dłoni i spokojnie spojrzała mu w oczy.

- Przecież wcale nie chcesz, Nathan, żebym wstępowała po to, by się zastanawiać.

- Mimo to mogłabyś wejść. Jadłaś już kolację? - Nie.

- Wciąż mam te steki. - Wziął ją zdecydowanie za rękę i ruszył w stronę domu. -

Dlaczego Brian cię wyrzucił?

- Kryzys w kuchni. Z mojej winy.

- No cóż, w związku z tym chyba nie będę cię prosił o pomoc przy pieczeniu steków. - Wszedł do środka i zapalił światła, by rozproszyć mrok. - Mam do nich jedynie mrożone frytki i białe bordeaux.

- To będzie świetna kolacja. Czy mogę skorzystać z twojego telefonu? Muszę dać im znać, że wrócę... nieco później.

- Bardzo proszę. - Nathan podszedł do lodówki i wyjął z zamrażalnika steki.

Jest niesamowicie zdenerwowana, pomyślał, biorąc mięso, by rozmrozić je w kuchence mikrofalowej. Na pierwszy rzut oka widać jej wściekłość, ale w głębi duszy jest bardzo nieszczęśliwa.

Zastanawiał się, dlaczego czuje neodpartą chęć poznania przyczyny takiego stanu rzeczy. Głowiąc się nad przyciskami kuchenki, słuchał szumu dobiegających z oddali słów. Właśnie zamierzał podjąć ostateczną decyzję i miał nadzieję, że dokonał

najlepszego wyboru, kiedy Jo odłożyła słuchawkę i podeszła do niego.

- Tyle potrafię zrobić - powiedziała i nacisnęła kilka guziczków. - Jestem ekspertem, jeśli chodzi o przyrządzanie potraw w kuchence mikrofalowej.

- Radzę sobie znacznie lepiej, jeśli na paczuszce jest jakaś instrukcja. W takim razie zabiorę się do pieczenia. Gdybyś chciała posłuchać muzyki, na pewno zdołasz sobie coś wybrać.

Podeszła do stosu płyt, które znajdowały się obok niewielkiego odtwarzacza kompaktowego, stojącego na końcu stołu tuż obok sofy. Wszystko wskazywało na to, że Nathan jest zwolennikiem czystego, pozbawionego wszelkich ozdób rocka oraz wczesnych, buntowniczych utworów Mozarta i Beethovena.

Nie mogła się zdecydować. Nie była w stanie skoncentrować się na tak prostej czynności, jak wybór między *Sonatą księżycową* a *Sympatią do diabła*.

Romans czy namiętność, zastanawiała się niecierpliwie. Czego chcesz? Do jasnej cholery, zdecyduj się, czego chcesz i puść to.

- Rozpalenie ognia nie powinno trwać długo - zaczął Nathan, podchodząc bliżej i wycierając ręce w dżinsy. - Jeśli...

- Niedawno przesłałam załamanie nerwowe - wypaliła. Powoli opuścił ręce.

- W porządku.

- Uważam, że powinienes o tym wiedzieć, zanim nasza znajomość przerodzi się w coś więcej. Leżałam w szpitalu w Charlotte. To było zanim tu wróciłam. Nie wytrzymałam napięcia i załamałam się psychicznie. Być może jestem obłąkana.

Zacisnęła mocno wargi, a jej oczy mówiły same za siebie. Nathan doszedł do wniosku, że ma mniej więcej pięć sekund na podjęcie decyzji, w jaki sposób powinien zareagować.

- W jakim stopniu jesteś obłąkana? Czy należysz do tych szaleńców, którzy nago biegają po ulicach,

czy też twierdzisz, że zostałaś uprowadzona przez przybyszów z innej planety? Pytam, ponieważ nie jestem całkiem pewien, czy ludzie utrzymujący, że zostali uprowadzeni przez przybyszów z innej planety, rzeczywiście są wariatami.

Trudno byłoby stwierdzić, czy odprężyła się po tych słowach, natomiast na pewno ze zdziwienia otworzyła szeroko usta.

- Czy słyszałeś, co powiedziałam?

- Tak, słyszałem. Proszę jedynie o wyjaśnienie. Napijesz się czegoś? Zamknęła oczy. Może lunatycy lgną do lunatyków.

- Jeszcze nie zdarzyło mi się biegać po ulicach na golasa.

- To dobrze. Gdybyś powiedziała, że to robisz, musiałbym się ponownie nad wszystkim zastanowić. - Ponieważ zaczęła niespokojnie krążyć po pokoju, pomyślał, że na razie nie powinien jej do siebie przytulać. Podeszedł do lodówki wyjął z niej wino i odkorkował je. - To znaczy, że zostałaś uprowadzona przez przybyszów z innej planety. Jeśli tak, czy oni rzeczywiście wyglądają jak Ross Perot?

- Nie rozumiem cię - powiedziała półgłosem. - W ogóle cię nie rozumiem.

Spędziłam dwa tygodnie pod obserwacją psychiatryczną. Nie byłam w stanie normalnie funkcjonować. Nalał dwa kieliszki.

- Ale wygląda na to, że teraz wróciłaś do normy - powiedział łagodnie i po dał

jej wino.

- Co ty możesz na ten temat wiedzieć. - Uniosła kieliszek w milczącym toaście, a potem upiła łyżek.  
- Dzisiaj o mały włos załamałabym się ponownie.

- Chwalisz się, czy skarżysz? - Potem wybrałam się na zakupy. Przymrużyła oczy i spojrzała na niego.

- Próbuję ci wszystko wyjaśnić.

- A ja cię słucham. - Zaryzykował, uniosł dłoń i przesunął palcami po jej policzku. - Jo, czy naprawdę myślałaś, że gdy to usłyszę, odwrócę się do ciebie plecami i każę ci wyjść?

- Może. - Cicho westchnęła. - Tak.

Dotknął wargami jej czoła. W tym momencie zaczęły ją szczypać oczy.

- W takim razie jesteś szalona. Usiądź i powiedz mi, co się stało. - Nie mogę siedzieć.

- W porządku. - Oparł się o stół kuchenny. - W takim razie będziemy stać. Co ci się przydarzyło?

- Właściwie... to... mnóstwo rzeczy. Związany z pracą stres. Ale nie to mnie martwi. Do stresu można się przyzwyczaić. On popycha człowieka do działania, dzięki niemu łatwiej się skupić. Zawsze potrafiłam wykorzystać związane z pracą napięcie, a terminy mobilizowały mnie do wysiłku. Lubię najpierw wszystko starannie sobie zaplanować, a potem postępować według wcześniej ustalonej kolejności. Kiedy rano wstaję, chcę wiedzieć, od czego powinnam zacząć, co należy zrobić później i na czym muszę skończyć.

- To znaczy, że spontaniczność nie jest twoją mocną stroną.

- Czasem jeden spontaniczny akt potrafi wszystko zepsuć. Jak sobie wówczas z tym poradzić?

- Jeden spontaniczny akt potrafi sprawić - odpowiedział - że życie staje się niespodzianką. Jest bardziej skomplikowane, ale też znacznie ciekawsze.

- Może to i prawda, ale nigdy nie marzyłam o ciekawym życiu. - Odwróciła się.

- Zawsze natomiast tęskniłam za normalnością. Już raz mój świat eksplodował i potem nie udało mi się pozbierać jego kawałków. Dlatego stworzyłam dla siebie coś zupełnie nowego. Musiałam to zrobić.

Napiął wszystkie mięśnie, wyprostował plecy, a wino, które miał w ustach, nagle nabrało kwaśnego smaku.

- Czy to z powodu twojej matki?

- Nie wiem. Częściowo chyba tak. Psychiatra prawdopodobnie tak właśnie myślał. Kiedy nas rzuciła, była w moim wieku. Zdaniem lekarzy, to bardzo interesujący zbieg okoliczności. Opuściła mnie. Czy chciałam powtórzyć to wszystko, opuszczając samą siebie?

Potrząsnęła głową i odwróciła się z powrotem w jego stronę.

- Ale wcale nie chodziło o to. Od dawna zdołałam się już z tym pogodzić.

Cholera jasna, dawałam sobie z tym radę. Podjęłam pewne decyzje i podążałam prosto do celu, nigdy nie zbaczając z drogi. Lubiłam swoją pracę i odpowiadał mi kierunek, dokąd zmierzałam. To mnie w zupełności zadowalało.

Nathan czuł, że jego dłoń nie przestanie drżeć, dlatego odstawił kieliszek na bok.

- Jo Ellen, to, co miało miejsce wcześniej, co zrobili inni ludzie, niezależnie od tego, kim dla nas byli, nie jest w stanie zmienić tego, kim jesteśmy. Nie jest w stanie zmienić tego, co mamy. Nie możemy dopuścić, by przeszłość miała na nas jakiś wpływ.

Zamknęła oczy, uspokojona jego łagodnymi słowami.

- To właśnie próbowałam sobie powtarzać. Każdego dnia. W końcu zaczęły mnie dręczyć nocne koszmary. Od dziecka miewałam okropne sny, ale te sprawiały, że byłam coraz bardziej niespokojna.



Kiepsko spałam, mało jadłam. Na wet nie mogę sobie przypomnieć, czy to się zaczęło przed czy już po przyjeździe pierwszych zdjęć.

- Jakich zdjęć?

- Ktoś zaczął przysyłać mi fotografie. Początkowo tylko moich oczu. Po prostu moich oczu. - Potarła dłonią ramię, żeby się trochę rozgrzać. - To było straszne.

Próbowałam się tym nie przejmować, ale to i tak w niczym nie pomogło.

Potem pojawił się cały pakiet, a w nim dziesiątki moich zdjęć. W domu, na wyjeździe, na targu. Wszędzie, gdzie bywałam, on również był i obserwował mnie.

Powoli, równomiernie pocierała dłonią klatkę piersiową, by uspokoić bijące szybko serce. - Wydawało mi się, że zobaczyłam... jeszcze coś. To była halucynacja, ale wpadłam w panikę. I załamalam się.

Ogarnęła go nieprawdopodobna wściekłość.

- Jakiś drań prześladował cię, łaził za tobą, dręczył cię, a ty oskarżasz samą siebie o to, że tego nie wytrzymałaś? - Kiedy przytulił Jo do siebie, jego ręce były już całkiem spokojne.

- Nie dałam sobie z tym rady.

- Daj spokój. Ile człowiek jest w stanie znieść? A to sukinsyn, jak mógł kazać ci przejść przez coś takiego? - Spojrzał przez jej ramię, rozpaczliwie szukając kogoś lub czegoś, z czym mógłby stoczyć walkę. - Co zrobiła w tej sprawie policja w Charlotte?

- Nie zgłosiłam tego w Charlotte. - Kiedy gwałtownie odsunął ja od siebie, spojrzała na niego przerażona. Jej oczy zaokrągliły się ze zdumienia, gdy zobaczyła na jego twarzy straszną wściekłość.

- Jak mogłaś, do diabła, nie zgłosić tego na policji? Masz zamiar pozwolić, żeby uszło mu to na sucho? W ogóle nic nie zrobiłaś?

- Musiałam stamtąd wyjechać. Po prostu chciałam uciec od tego wszystkiego.

Nie byłam w stanie sobie z tym poradzić. Miałam kłopoty z normalnym funkcjonowaniem.

Kiedy zdał sobie sprawę, że wbija palce w jej plecy, opuścił ręce. Złapał

kieliszek i oddalił się od niej. Po chwili przypomniał sobie, jak wyglądała, gdy po raz pierwszy zobaczył ją na wyspie. Była blada, wyczerpana, miała podkrążone oczy i widać było, że jest bardzo nieszczęśliwa.

- Szukałaś schronienia. Sapnęła ciężko kilka razy.

- Tak, chyba tak. Dzisiaj wyszło na jaw, że mi się nie udało. On tu jest. - Udało jej się opanować

nową falę panicznego strachu. - Przysłał mi następne zdjęcia z Savannah. Zdjęcia wykonane tu, na wyspie.

Na nowo ogarnęła go potworna złość. Starając się odzyskać panowanie nad sobą, Nathan powoli odwrócił się w jej stronę.

- W takim razie znajdziemy go. I powstrzymamy jego zapędy.

- Nawet nie wiem, czy on nadal jest na wyspie. Jeśli tutaj wróci, jeśli... Nie wiem, dlaczego to wszystko się dzieje, i to jest najgorsze. Ale teraz jestem w stanie sobie z tym poradzić, przynajmniej mam taki zamiar.

- Nie musisz sobie z tym radzić w pojedynkę. Dużo dla mnie znaczysz, Jo Ellen.

Nie dopuszczę do tego, żebyś zmagala się z tym sama. Musisz się z tym pogodzić.

- Może właśnie dlatego tu przysłałam. Może dlatego musiałam tu przyjść.

Ponownie odstawił wino, by móc ująć jej twarz w obie dłonie.

- Nie dopuszczę do tego, by ktokolwiek wyrządził ci krzywdę. Uwierz mi.

Uwierzyła, może jednak trochę za łatwo i trochę za mocno, dlatego próbowała się wycofać.

- Dobrze wiedzieć, że jesteś po mojej stronie, ale sama muszę stawić temu czoło.

- Nie. - Delikatnie dotknął wargami jej ust. - Wcale nie.

Serce niespokojnie zakołatało jej w piersiach w innym rodzaju paniki.

- Policja powiedziała...

- Byłaś na policji?

- Tak, dzisiaj. Ja... - Kiedy jego usta ponownie musnęły jej wargi, na moment straciła wątek. - Powiedzieli, że spróbują się tym zająć, ale właściwie nie mają podstaw. Nikt mi nie grozi.

- Czujesz się tak, jakby ktoś ci groził. - Położył ręce na jej ramionach, potem przesunął je w dół. - To wystarczy. Spróbujemy temu zaradzić. - Dotknął wargami jej policzka, potem skroni i włosów. - Mam zamiar się o ciebie zatroszczyć - wyszeptał.

Te słowa przez moment wirowały jej w głowie, nie mogąc znaleźć sobie miejsca.

- Co takiego?

Wątpił, czy którekolwiek z nich było przygotowane na to, z czego nagle zdał

sobie wyraźnie sprawę. Chciał się o nią zatroszczyć, wybawić ją z kłopotu, przywrócić jej spokój

ducha. Równocześnie pragnął mieć pewność, że to, co zrobi, nie rozerwie cienkiej nici sympatii, która zaczynała się między nimi nawiązywać.

- Nie myśl o tym przez chwilę. Spróbuj dziś wieczorem trochę się odprężyć. -

Przesunął palcami w górę i w dół po jej kręgosłupie, a potem cofnął się, by się jej przyjrzeć. - Nigdy nie widziałem nikogo, kto bardziej potrzebowałby krwistego steku i kieliszka wina.

Zdała sobie sprawę, że Nathan daje jej czas. Dobrze. Doskonale. Z ogromnym trudem uśmiechnęła się.

- Rzeczywiście niezła perspektywa. Miło będzie przez jakąś godzinę w ogóle się nad tym nie zastanawiać.

- W takim razie nastawię steki, a ty możesz rozpakować frytki. Za chwilę spróbuję zanudzić cię na śmierć, opowiadając o nowym projekcie, nad którym właśnie pracuję.

- Możesz próbować, ale nie pójdzie ci ze mną łatwo. - Odwróciła się do zamrażalnika, otworzyła go, a potem zamknęła. - Nie przepadam za seksem.

Zatrzymał się o krok od kuchenki mikrofalowej. Musiał odchrząknąć, ponieważ nie był w stanie wydusić z siebie ani słowa.

- Przepraszam najmocniej, czy możesz powtórzyć to, co powiedziałaś?

- Chyba musisz to przyjąć z dobrodziejstwem inwentarza. - Jo złożyła ręce.

Uznała, że lepiej, jeśli go o tym uprzedzi. Praktyczniej. Zwłaszcza że już powie działa te słowa i nie mogła ich cofnąć.

Nathan pomyślał, że musi przestać odstawiać co chwila na bok swoje wino, więc ponownie wziął je do ręki i wypił spory łyk.

- Nie przepadasz za seksem.

- Skłamałabym, gdybym powiedziała, że unikam go za wszelką cenę - wyznała, rozplotła palce i machnęła ręką. - Jak na przykład kokosu.

- Kokosu.

- Naprawdę nie cierpię kokosów - nawet ich zapach mnie odpycha. Seks traktuję raczej jak... czyja wiem... powiedzmy tarte.

- Aha, seks traktujesz jak...tort - Uhm. To znaczy, można ją zjeść lub z niej zrezygnować. Dobrze, jeśli jest, ale nie ma sensu zbacać po nią z drogi. Rozluźniła mięśnie pleców.

- To chyba tyle. Uznałam, że powinnam ci o tym powiedzieć, żebyś nie spodziewał się zbyt dużo,

jeśli pójdziemy do łóżka.

Przesunął językiem po zębach.

- Może nigdy w życiu... nie jadłaś naprawdę dobrej tarty. Roześmiała się.

- Na jedno wychodzi.

- Nie sądzę. - Skończył wino i odstawił pusty kieliszek. Kiedy do niej podszedł, w jej oczach w miejsce początkowego rozbawienia, pojawiło się znużenie. - Czuję się zmuszony od razu przedyskutować z tobą tę sprawę.

- Nathan, to nie było wyzwanie, tylko... - Nie zdołała dokończyć zdania, ponieważ nagle straciła grunt pod nogami. - Zaczekaj chwileczkę.

- Podczas studiów należałem do klubu dyskusyjnego. - Skłamał, uznał jednak, że ma zbyt dobrą okazję, by ją przepuścić. Wciąż trzymał ją na rękach.

- Wcale nie powiedziałam, że chcę się z tobą przespać.

- A czy masz coś przeciwko temu? - Ruszył przez krótki hol. - Nie zapominaj, że twój stosunek do seksu jest ambiwalentny. - Opuścił ją na łóżko i położył się na niej. -

A kawałek tarty nigdy jeszcze nikomu nie zaszkodził.

- Nie chcę...

- Ależ chcesz. - Pochylił głowę i zatrzymał się zaledwie o tchnienie od jej ust. -

Ja również, i to od dawna. Jesteś dzisiaj niezwykle prawdomówna, prawda, Jo?

Powiedz mi, czy sama się nie dziwisz, że nie chcesz?

Jego ciało było ciepłe i twarde, a oczy szczere i bezpośrednie.

- Dziwię się.

- To już coś. - Przywarł ustami do jej warg.

Smak jego ust i ich nagła zachłanność sprawiły, że Jo natychmiast zapomniała o wszelkich kłopotach. Zadowolona i spokojna, że Nathan nie będzie oczekiwał od niej więcej, niż może mu dać, objęła go mocno.

- Masz niesamowite usta. - Chwycił zębami tę cudowną, górną wargę. - Jezu Chryste, nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak ja pragnę twoich ust. Mam fioła na ich punkcie.

Niewiele brakowało, by się roześmiała. Ale jego język zaczął dokonywać prawdziwych cudów, a

przez jej ciało przetoczyła się niespodziewana fala żaru, która w końcu umiejscowiła się między udami. Kiedy jęknęła, jeszcze mocniej przywarł do jej ust.

Kompletnie zaskoczona, chwyciła w garść jego włosy. Nigdy wcześniej nie całował jej w taki sposób. Nie przypuszczała, że przyciśnięcie ust do ust jest w stanie spowodować ból w tysiącu różnych miejscach. Nathan przez cały czas trzymał jej twarz w dłoniach, zupełnie jakby wszystko, czego pragnie, znajdowało się właśnie tutaj.

Poruszyła się pod nim niespokojnie, zadrżała, potem uniosła delikatnie biodra.

By nie poganiać ani siebie, ani Jo, Nathan oderwał usta od jej warg i zaczął całować jej szyję. Zapach jej skóry, przypominający delikatne tchnienie wiosny, spowodował

następną potężną falę pożądania. Przez dłuższą chwilę zachwycał się tą wonią, dręcząc ich oboje, dopóki puls, który wyczuwał pod językiem, nie rozpoczął szalonej galopady.

Stopniowo odprężała się. Z minuty na minutę jej mięśnie rozluźniały się, a przez ciało przebiegały gwałtowne wstrząsy, które rozprzestrzeniały się i nawarstwiały. Podniecało ją to, że z ogromnym trudem łapie powietrze i że nie jest w stanie przewidzieć, gdzie za chwile zawędrują usta Nathana. Oczarowana pogłaskała go po plecach, po czym zsunęła dłonie niżej i z przyjemnością wyczuła pod palcami twarde, męskie mięśnie.

Kiedy jego nienasycone usta z powrotem przywarły do jej warg, z radością wyszła mu naprzeciw, zadowolona z nagłych fal rozkoszy ogarniających jej całe ciało.

Ponownie wygięła się, odrobinę niezadowolona, że istnieją przeszkody, które uniemożliwiają jej wpuszczenie go w siebie. Potrzeba rozładowania napięcia była znacznie większa, niż Jo kiedykolwiek sobie wyobrażała.

Złapał zębami jej ucho i delikatnie ugryzł.

- Tym razem ambiwalentne podejście do sprawy to za mało.

Odsunął się i usiadł na niej okrakiem. Przez wychodzące na zachód okno wpadły ostatnie promienie słońca i rozpały powietrze do czerwoności. Włosy stworzyły wokół twarzy Jo świetlistą aureolę w kolorze wspaniałych, ciemnoczerwonych jesiennych liści. W jej oczach widać było błękit letniego nieba, a skóra zaróżowiła się delikatnie.

Unióśł jej dłoń i zaczął po kolei całować wszystkie palce.

- Co robisz?

- Delektuję się tobą. Drżą ci ręce, a w twoich oczach widać zdenerwowanie.

Podoba mi się to. - Delikatnie chwycił zębami kostki jej palców. - To bardzo podniecające. I - Nie boję się.

- Wiem, jesteś zakłopotana. - Puścił jej dłoń i rozpiął pierwszy guzik. - Tym lepiej. Nawet nie wiesz, co za chwilę będziesz czuła.

Kiedy rozpiął bluzkę, rozchylił ją na boki, a potem powoli przesunął wzrok w dół. Jo pod spodem miała stalowoniebieski stanik, a połysk satyny wyraźnie odcinał

się na tle mlecznobiałej piersi.

- Proszę, proszę. - Chociaż miał nieodpartą ochotę, by ją zjeść, uniósł wzrok i spojrzał dziewczynie w oczy. - Kto by pomyślał?

- To nie moje. - Kiedy się uśmiechnął, zakląła na samą siebie. - To znaczy, właśnie to kupiłam i włożyłam w sklepie, żeby Lexy w końcu dała mi święty spokój.

- Niech Bóg błogosławi Lexy. - Delikatnie, przez cały czas nie odrywając wzroku od twarzy Jo, przesunął kciukami parę milimetrów powyżej brzegu stanika.

Zatrzepotała rzęsami i przymknęła oczy. - Próbujesz się przede mną bronić. - Tym razem jego kciuki musnęły jej skórę odrobinę niżej. - Nie pozwolę ci na to.

Chcę usłyszeć, jak wzdychasz, Jo Ellen. Chcę usłyszeć, jak jęczysz. A potem chciałbym usłyszeć, jak krzyczysz.

Otworzyła oczy, ale zabrakło jej tchu, kiedy dotknął jej nabrzmiałej brodawki.

- O mój Boże.

- Zbyt dużo ukrywasz, nie tylko to cudowne ciało. Próbujesz zachować dla siebie zbyt dużą część Jo Ellen. Pragnę zobaczyć cię całą i nim dojrniemy do końca, mam zamiar osiąść wszystko.

Rozpiął przednią haftkę stanika i patrzył na jej uwolnione piersi. Potem pochylił głowę i przywarł do nich ustami.

Rzeczywiście jęknęła, a potem zaczęła wzdychać. Ból stawał się potworny i coraz trudniej było go znieść. Poruszyła się niespokojnie, ale to wcale nie pomogło, tylko jeszcze bardziej zwiększyło pulsowanie.

By móc poczuć gorącą skórę Nathana, szarpnęła jego koszulę, ściągnęła mu ją przez głowę i gwałtownym ruchem odrzuciła na bok. Czuła, że w jej wnętrzu rozpętał

się sztorm, który popycha ją w stronę wysokiego, ostrego szczytu, a potem, nie czekając aż tam dotrze, odciągają do tyłu.

Usta i dłonie Nathana wędrowały po jej ciele, zmuszając ją, by dotrzymała mu kroku i pozwalając jedynie na posuwanie się po omacku do przodu. Próbowała się obrócić. Chciała się uwolnić, wydostać gdzieś, gdzie jest choć odrobina powietrza, gdzie zdołałaby znaleźć kotwicę, której mogłaby się chwycić.

On jednak zdecydowanie trzymał ją uwięzioną w tej wspaniałej przyjemności.

Nie dał jej żadnego wyboru, mogła jedynie poddać się tej dzikiej walce różnych doznań. Zsunął poniżej bioder jej bawełniane spodnie, odsłaniając skrawek błękitnej satyny. Jego wargi dotknęły brzucha Jo, potem przesunęły się niżej, a ciężki oddech Nathana sprawiał, że powietrze wokół niej stawało się coraz gęstsze.

Nie usłyszała własnego błagania, ale on zdołał je wychwycić.

Wsunął jedynie palec pod satynę i dotknął jej. W tym momencie Jo eksplodowała.

Jej ciało zadrżało kołysane przez fale nieprawdopodobnej rozkoszy. Przycisnął

twarz do jej drżącego brzucha i sam również zadrżał.

Dzięki Bogu, dzięki Bogu, zdołała pomyśleć, czując, że napięcie mija. Kiedy jej mięśnie rozluźniły się, zaczerpnęła głęboko powietrza w płuca. Chwilę potem, gdy te sprytne, bezlitosne palce ponownie zaczęły doprowadzać ją do szaleństwa, wydała przytłumiony krzyk.

Czy ona myślała, że na tym koniec? Krew tętniła boleśnie w skroniach, sercu i lędźwiach Nathana, kiedy pozbywał się delikatnej bariery. Czy sądziła, że on dopuści do tego, by którekolwiek z nich na tym poprzestało? Poderwał do góry jej biodrami tym razem użył języka, by ją zniszczyć.

Rzeczywiście zaczęła krzyczeć.

Odrzuciła ręce do góry, a jej palce przez chwilę dotykały lśniących, pomalowanych, żelaznych prętów wezglowia, potem złapały się ich kurczowo, zupełnie jakby się bała, że jakaś ogromna siła zdoła ją zmieść łóżka. Pod zaciśniętymi mocno powiekami pulsowało ostre, czerwone światło, a krążąca pod powierzchnią skóry krew nabierała niebezpiecznej prędkości. Jo ponownie rozprysnęła się na drobne kawałeczki, a tysiące jej odłamków unosiło się swobodnie w powietrzu.

Wówczas ręce Nathana ujęły mocno jej palce zaciśnięte na prętach łóżka.

Wsunął się w nią, wypełnił ją i przy pomocy delikatnych, niespiesznych, rozważnych ruchów, nie zważając na nic, z powrotem zabrał ją na sam szczyt. Nawet wówczas, gdy cały świat wokół niej zawirował, widziała jego ciemnoszare, niemal czarne oczy, wpatrujące się w nią intensywnie.

Kiedy zwiększył tempo, całkowicie bezradna dostosowała się do jego rytmu, z coraz większym trudem łapiąc powietrze. Uniosła biodra.

W pewnym momencie poczuła na ustach jego wargi, wówczas mogła jedynie całkowicie się poddać. Kiedy w końcu całkowicie straciła panowanie nad własnym ciałem, nie była w stanie nic na to poradzić i musiała się z tym pogodzić.

On również był całkowicie bezradny, mógł jedynie pójść w jej ślady.

Jo nie wiedziała, że się zdrzemnęła. Gdy otworzyła oczy, a wokół było zupełnie ciemno, przez głowę

przemknęła jej mglista myśl, że może straciła wzrok.

Nathan leżał na niej, a jego głowa spoczywała między jej piersiami. Czowała szybkie bicie jego serca, słyszała również ciche westchnienie wiatru uderzającego o szyby.

Poczuł, że się delikatnie poruszyła.

- Już przestaję cię miazdżyć.

- W porządku. Z trudem, ale oddycham.

Uśmiechnął się, delikatnie muskając wargami jej pierś, a po chwili przesunął

się. Zanim zdołała się ruszyć, objął ją ramieniem i przytulił do siebie.

- I co z tą tartą, głuptasie?

Już miała zamiar wygłosić jakiś uszczypliwy komentarz, mimo to z jej ust wydobył się jedynie śmiech.

- Być może na jakiś czas stanę się zwolenniczką deserów.

- Będiesz miała na to zaledwie kilka sekund. Przytuliła się do niego bez zastanowienia.

- Jeśli spróbujemy zrobić to za kilka sekund, oboje marnie zginiemy.

- Nie ma obawy. Najpierw zjemy steki i spróbuję cię trochę upić. A przy okazji -

taki właśnie miałem początkowo zamiar. Potem rzeczywiście zostanie nam zaledwie kilka sekund -  
Miałeś zamiar mnie spić?

- To tylko jeden z wielu moich pomysłów. Oprócz tego brałem pod uwagę wdrapanie się po treliazu na twój balkon. Chociaż był to raczej dość zawadiacki scenariusz.

- Skręciłbyś sobie kark.

- Nie, swego czasu obaj z Brianem jak mały łaziliśmy po nim w górę i w dół.

- Ale wówczas mieliście po dziesięć lat. - Oparła się na łokciu i odrzuciła do tyłu włosy. - Obecnie ważysz przynajmniej o pięćdziesiąt kilogramów więcej, poza tym wątpię, czy jesteś tak samo sprawny jak wówczas.

- Chyba wybrałaś nie najlepszy czas na kwestionowanie mojej sprawności.

Uśmiechnęła się i oparła czoło o jego głowę.

- Masz absolutną rację. Może rzeczywiście pewnej nocy sprawisz mi niespodziankę.



- Może. Ale na razie... - Pociągnął ją za włosy, po czym usiadł. - Mam zamiar przyrządzić ci kolację.

- Nathan. - Wygładziła dłonią zmarszczoną narzutę, a on tymczasem szukał

swoich dżinsów. - Dlaczego zadajesz sobie dla mnie tak dużo trudu?

Przez chwilę nie odzywał się. Nie był całkiem pewien własnych ruchów ani słów. Po wciągnięciu spodni uważnie przyjrzał się sylwetce dziewczyny widocznej w ciemności.

- Wystarczyło, że cię ponownie zobaczyłem, Jo Ellen. To wszystko. Zaparło mi w piersiach dech i dotychczas nie mogę go złapać.

- W moim życiu panuje potworny bałagan, Nathan. - Przełknęła ślinę i była szczęśliwa, że ciemność uniemożliwia mu zobaczenie jej twarzy. Że nie widzi wielkiej tęsknoty, która kipi w niej jak gejzer. - Nie wiem, co myślę, ani co czuję. Nie wiem, co sądzę o napotkanych ludziach. Lepiej zrobisz, jeśli przestaniesz zawracać sobie mną głowę.

- Kilka razy w życiu wybierałem łatwe rozwiązania. Zazwyczaj kończyło się to fatalnie. Zresztą w moim życiu dotychczas niemal wszystko źle się kończyło.

- Nathan...

- Dopóki siedzisz nago w moim łóżku, tracisz jedynie czas, próbując ze mną dyskutować.

Przeczesała ręką włosy.

- Punkt dla ciebie. Podyskutujemy później.

- Zgoda. Na razie po prostu dorzucę więcej węgla drzewnego do grilla. -

Ponieważ nim wieczór dobiegnie końca, miał zamiar ponownie mieć ją nagą w łóżku, uznał, że nie będą mieli zbyt dużo czasu na jakiegokolwiek dyskusje.

## **ROZDZIAŁ 21**

Zostań. - Nathan objął Jo w pasie i przytulił twarz do jej karku. Miała mokre włosy, ponieważ przed chwilą oboje wyszli spod prysznicu. Gdy poczuł na jej skórze zapach swego mydła, ponownie ogarnęło go podniecenie. - Zrobię ci rano śniadanie.

Objęła go ręką za szyję. Była zdumiona, że tak łatwo przychodzi jej okazywanie zażyłości.

- Nawet nie miałbyś go z czego przygotować.

- Mam chleb. - Obrócił Jo dookoła, by móc się nacieszyć cudownym zagłębieniem jej szyi. - Robię fantastyczne tosty. Słynę z nich.

- Podejrzewam, że są naprawdę smaczne, skoro tak twierdzisz... Nathan. -

Kiedy próbowała się uwolnić od jego wszędobylskich rąk, z jej ust wyrwało się coś, co równie dobrze mogło być śmiechem lub jękiem. - Jak tak dalej pójdzie, oboje marnie zginiemy, poza tym muszę wrócić do domu.

- Jest dopiero północ.

- Minęła pierwsza.

- No cóż, w takim razie możemy uznać, że jest już rano, i nie masz się po co spieszyć.

Chciała, naprawdę bardzo chciała zostać, zwłaszcza że, próbując ją przekonać, dotknął wargami jej ust.

- Mam w domu kilka spraw do załatwienia. Poza tym muszę przeprosić Briana za to, że zostawiłam go wieczorem z tak potwornym bałaganem.

Ujęła w dłonie jego twarz i z przyjemnością skupiła się na tym, co czuje pod palcami. Podziwiała jego kości policzkowe, szczękę i zarost. Czy kiedykolwiek próbowała w taki sposób poznać męską twarz? Czy kiedykolwiek w ogóle tego chciała?

- Poza tym muszę pomyśleć. - Ciężko westchnęła. - Zrozum, Nathan, należę do ludzi, którzy nad wszystkim długo się zastanawiają. Zawsze starannie planuję każdy krok. A jestem teraz na zupełnie nowym dla mnie terytorium.

Potał kciukiem linię, która pojawiła się między jej brwiami.

- Będziesz musiała pilnować, żebym wszędzie za tobą podążał. Poczula lekkie zdenerwowanie.

- W takim razie powinnam zawsze wyprzedzać cię o krok. Na razie jednak muszę iść do domu.

Zdał sobie sprawę, że podjęła już ostateczną decyzję, w związku z tym przestał

myśleć o tym, że bardzo chciałby móc się obudzić rano u jej boku.

- Odwiozę cię. - Nie musisz...

- Jo. - Położył dłonie na jej ramionach i dokończył cichym, lecz nie znoszącym sprzeciwu tonem. - Nie będziesz sama chodzić po ciemku.

- Nie boję się. Już nigdy więcej nie będę się bać.

- To dobrze. A jednak i tak cię odwiozę. Jeśli się uprzesz, możemy zacząć się kłócić, a wówczas z powrotem wmanewruję cię do sypialni i odwiozę do domu dopiero rano. Czy twój ojciec ma strzelbę?

Całkowicie przyparta do muru, roześmiała się.

- Raczej mało prawdopodobne, żeby próbował do ciebie strzelać tylko dlatego, że ze mną sypiasz.
- Gdyby jednak to zrobił, mam nadzieję, że będziesz mnie pielęgnować, dopóki nie wrócę do zdrowia.
- Jestem kobietą z Południa - powiedziała, kiedy szli w stronę drzwi. -

Zapewniam cię, że nawet znajdę halkę, by podrzeć ją na bandaże.

- Brzmi interesująco. Może nawet warto byłoby dać się postrzelić? Kiedy wsiadła do jeepa, zapytała:

- Czy kiedykolwiek ktoś cię postrzelił?

- Nie. - Usiadł obok niej i zapuścił silnik. - Ale usuwano mi migdałki. Czy rana postrzałowa może bardziej boleć?

- Podejrzewam, że tak.

Wyprostowała nogi, oparła się wygodnie o fotel i zamknęła oczy. Czowała znużenie, ale był to bardzo miły rodzaj zmęczenia. Miała rozluźnione mięśnie i była sympatycznie otumaniona. Powietrze jak jedwab delikatnie chłodziło jej skórę.

- Najwspanialsze na wyspie są noce - powiedziała cicho - kiedy cisza niemal dzwoni w uszach, a wszyscy inni śpią. W powietrzu unosi się zapach drzew i wody.

Przez cały czas słyszeć równomierny jak puls szept morza.

- Wówczas, nawet gdy człowiek jest sam, wcale nie czuje się samotny.

- Uhm. Gdy byłam małą dziewczynką, często wyobrażałam sobie, że jestem całkiem sama i że na kilka dni mam całą wyspę tylko dla siebie. Gdziekolwiek się wybrałam i na co spojrzałam, wszystko należało tylko do mnie. Wówczas taki pomysł

bardzo mi się podobał. Potem jednak zaczęło mi się to śnić i wtedy ogarniał mnie strach. W tym śnie bez przerwy gdzieś biegłam, sprawdzałam cały dom, przemierzałam las i plażę. Szukałam kogoś, kto zostałby ze mną. Jednak byłam zupełnie sama. W końcu budziłam się, wołając ojca.

- A teraz ukazujesz samotność na swoich zdjęciach.

- Chyba tak. - Westchnęła i otworzyła oczy. W tym momencie dostrzegła błysk w ciemności. - Kate zostawiła dla mnie światło.

Zapalona w domu lampka była czymś niezwykle pocieszającym. Jo obserwowała, jak jasna plamka miga wśród drzew i przebija ponure cienie. Kiedyś uciekała od tego światła, a czasami biegła w jego stronę. Miała nadzieję, że nadejdzie taki czas, kiedy będzie mogła spokojnie przychodzić i odchodzić bez strachu.

Kiedy dojechali do końca podjazdu, zauważyła mężczyznę wstającego z huśtawki na werandzie. Zanim Nathan położył dłoń na jej ręce, poczuła, że żołądek podszedł jej do gardła.

- Zostań tutaj i zamknij drzwi.

- Nie - niespokojnie westchnęła. - To Brian - powiedziała, czując ogromną ulgę, a równocześnie trochę wstydząc się swej gwałtownej reakcji.

Nathan przytaknął, rozpoznając w smudze światła sylwetkę Briana.

- W porządku. Idziemy.

- Nie. - Mocno ścisnęła jego dłoń. - Nie komplikujmy wszystkiego. Jeśli ma ochotę jeszcze trochę na mnie pokrzyknąć, w pełni na to zasłużyłam, a nie chcę żebyście, stojąc twarzą w twarz, zaczęli się zastanawiać, jaki wpływ na waszą przyjaźń może mieć fakt, że sypiasz z jego siostrą.

- Nie wygląda na to, by był uzbrojony.

Te słowa, zgodnie z jego zamiarem, wywołały u niej wybuch śmiechu.

- Jedź do domu. - Przysunęła się i najzwyczajniej pod słońcem pocałowała go w usta. - Pozwól, że oboje z Brianem uporządkujemy nasze rodzinne sprawy.

Jesteśmy zbyt uprzejmi, by pozwolić sobie na załatwianie własnych porachunków w twojej obecności.

- Chciałbym cię jutro zobaczyć. Otworzyła drzwi.

- Wpadnij na śniadanie - chyba że wolisz swoje sławne tosty. - Przyjadę.

Ruszyła w stronę werandy, odczekała chwilę, aż jeep zawróci, i dopiero potem weszła po schodach w górę.

- Dobry wieczór - powiedziała chłodno do Briana. - Piękna noc na siedzenie na werandzie.

Przez moment patrzył na nią, a potem ruszył tak szybko, że niemal krzyknęła.

Chwycił ją w objęcia.

- Przepraszam. Najmocniej przepraszam.

Zaskoczona, kompletnie zaniemówiła, potem zaczęła poklepywać go po plecach, a w końcu, kiedy gwałtownie odsunął ją od siebie i mocno nią potrząsnął, głośno krzyknęła.

- Do jasnej cholery, to wszystko twoja wina. Nie mogłaś inaczej, musiałaś postąpić po swojemu.

- O co ci chodzi? - Zniewaga była silniejsza niż zaskoczenie, dlatego odsunęła go. - O czym ty, do

diabła, mówisz? Przestań znęcać się nade mną.

- Znęcać się? Powiniennem porządnie skopać ci tyłek. Dlaczego, do jasnej cholery, nie powiedziałaś nikomu, co jest grane? Dlaczego nie przyznałaś mi się, że masz kłopoty?

- Jeśli natychmiast nie zostawisz mnie w spokoju...

- Nie, ty po prostu zawsze musisz odpychać ludzi na bok, by móc.,.

Kiedy jej pięść wylądowała na jego żołądku, urwał i niewyraźnie coś chrząknął.

Szybkie i mocne uderzenie całkowicie zaskoczyło Briana. Opuścił ręce i spojrzał na Jo, przymrużywszy oczy.

- To też się w tobie nie zmieniło. Zawsze potrafiłaś wymierzyć odpowiedni cios.

- Masz szczęście, że nie celowałam w twoją uroczą twarz. - Pociągnęła nosem i zaczęła rozcierać ramiona w miejscach, gdzie wpiły się jego palce. Niech to diabli wezmą, pomyślała, pewnie będę miała sińce. - Najwyraźniej nie stać cię na sensowną, cywilizowaną rozmowę. W związku z tym idę do łóżka.

- Spróbuj zrobić krok w stronę drzwi, a przerzucę cię przez kolano. Stała na palcach i popatrzyła mu prosto w oczy.

- Nie próbuj mi grozić, Brianie Hathawayu.

- A ty nie sprawdzaj mojej cierpliwości, Jo Ellen. Siedzę tutaj od dwóch godzin i martwię się o ciebie, w związku z tym jestem w odpowiednim nastroju, by przyjąć twoje wyzwanie.

- Byłam z Nathanem, o czym zresztą wiesz doskonale. Poza tym sadzę, że nie musisz się martwić o moje życie seksualne.

Zazgrzytał zębami.

- Nie chcę słyszeć ani słowa na ten temat. Nie chcę o tym myśleć. Nie chodzi mi o ciebie i Nathana... Wcale nie o to mi chodzi.

Jo przygryzła wewnętrzną stronę policzka, żeby sienie uśmiechnąć. Gdyby wiedziała, że tak łatwo speszyć brata, już dawno skorzystałaby z tej możliwości.

- W takim razie zgoda. - Zadowolona z zarobionego punktu podeszła do huśtawki i usiadła. Wyjęła papierosa, po czym uniosła głowę. - Powiedz mi w ta kim razie, Brian, co chcesz usłyszeć, nad czym chcesz się zastanawiać i o czym pragniesz porozmawiać.

- Przestań odgrywać Piękność Południa, Jo. Ta rola zupełnie do ciebie nie pasuje.

Pstryknęła zapalniczką.

- Robi się późno i jestem zmęczona. Jeśli masz mi coś do powiedzenia, to powiedz, żebym mogła już iść do łóżka.

- Źle się stało, że byłaś sama. - Jego cichy głos sprawił, że spojrzała na niego uważnie. - Nie powinnaś przechodzić przez to wszystko w samotności, w szpitalu też ktoś powinien być przy tobie. Chcę, żebyś wiedziała, że był to twój wybór.

Zaciągnęła się papierosem.

- Tak, rzeczywiście był to mój wybór. I mój problem.

- Racja, Jo. - Podszedł krok do przodu i wsunął kciuki do kieszeni, żeby nie zacisnąć dłoni w pięści. - Twoje problemy, twoje sukcesy, twoje życie. Zdaje się, że nigdy nie potrafiłaś dzielić się tym z kimkolwiek innym, dlaczego więc w tym przypadku miałyby być inaczej?

Poczuła potworny uścisk w żołądku.

- Co byś zrobił?

- Mógłbym być przy tobie. Byłbym. Jesteś zaszokowana, prawda? - zapytał, zanim spuściła oczy. - Nieważne, że nasza rodzina jest tak potwornie popieprzona, i tak nie powinnaś przechodzić przez to wszystko sama. Gwarantuję ci, że teraz nie będziesz już zdana tylko na własne siły.

- Byłam na policji.

- Nie mówię o gliniarzach, chociaż nawet największy matoł poszedłby do nich jeszcze w Charlotte, kiedy się wszystko zaczęło.

Strzepnęła popiół i ponownie się zaciągnęła.

- Zdecyduj się, czy chcesz mnie zawstydzić, czy obrazić.

- Mogę zrobić i jedno, i drugie.

Poirytowana wyrzuciła papierosa i obserwowała, jak czerwony punkcik zatacza łuk w ciemności, a potem w niej znika.

- Przecież w końcu przyjechałam do domu, prawda?

- To było jedyne sensowne posunięcie. Jednak nawet po przyjeździe, chociaż wyglądałaś jak ktoś, kogo wleczono dziesięć kilometrów po wyboistej drodze, nikomu nie powiedziałaś, co się dzieje. Z wyjątkiem Kirby. Kiedy cię do niej zaciągnąłem, powiedziałaś jej o wszystkim, prawda? - W jego oczach pojawił się niebezpieczny błysk. - Z panią doktor policzę się później.

- Zostaw ją w spokoju. Powiedziałam jej tylko o załamaniu, o niczym więcej. To była sprawa między lekarzem a pacjentem, a ona wcale nie ma obowiązku opowiadać kochankowi o chorobach tych, którymi się zajmuje.

- Powiedziałaś Nathanowi.

- Tak, dziś wieczorem. Wyznałam mu wszystko, ponieważ uznałam, że jest to jedyne słuszne wyjście.  
- Znużona, potarła dłonią czoło. Gdzieś w ciemności nocy monotonnie pohukiwała sowa. Jak dobrze byłoby znaleźć drzewo, na którym siedzi, wdrapać się na nie i uciszyć ją, pomyślała Jo.

- Chcesz, żebym jeszcze raz przechodziła przez to wszystko, Brian? Chcesz znać każdy rozdział, każdą linijkę i wszystkie, nawet najdrobniejsze szczegóły?

- Nie. - Westchnął ciężko i usiadł przy niej. - Nie, nie musisz ponownie przez wszystko przechodzić. Podejrzewam zresztą, że powiedziałaś mi o tym wcześniej, gdybyśmy wszyscy nie byli tacy wkurzeni. Myślałem o tym przez cały czas, gdy siedziałem tu i przygotowywałem się, żeby cię słuć.

- Nie jestem tego wcale taka pewna. Byłeś na mnie wściekły. Wyrzuciłeś mnie z domu.

Zaśmiał się gorzko.

- Trzeba mi było nie pozwolić. Przecież to jest również twój dom.

- Ten dom należy do ciebie. Zawsze był bardziej twój niż którejkolwiek z nas.

Powiedziała te słowa łagodnie, słysząc w nich było cichą akceptację tego faktu.

Właśnie ty najbardziej się o wszystko troszczysz, ty wszystkiego dogładasz.

- Czy to ci przeszkadza?

- Nie. No, może czasami, ale przeważnie odczuwam z tego powodu ogromną ulgę. Nie muszę się martwić o przeciekający dach, ponieważ ty to robisz.

Odchyliła do tyłu głowę, rozejrzała się po pomalowanej na biało werandzie, a potem przeniosiła wzrok na tonący w blasku księżyca ogród. Ponieważ fontanna została wyłączona na noc, słysząc było jedynie ciche pobrzękiwanie poruszanych przez wiatr dzwoneczków, a w powietrzu unosił się delikatny zapach róż pismowych.

- Nie chcę mieszkać tutaj na stałe. Przez bardzo długi czas wydawało mi się nawet, że w ogóle nie chcę tu wracać. Ale myliłam się. Wszystko, co wiąże się z tym domem, ma dla mnie większe znaczenie, niż kiedykolwiek przypuszczałam.

Chcę wiedzieć, że od czasu do czasu mogę tu przyjechać, że w ciepłą, bezchmurną noc mogę usiąść na werandzie i wdychać woń groszku pachnącego oraz róż mamy. Lexy i ja nie potrafimy tak jak ty zostać tu na stałe. Sądzę jednak, że obie chcemy wiedzieć, że Sanktuarium nadal stoi na tym wzgórzu i że nikt nie ma zamiaru zamknąć przed nami jego drzwi.

- Nikt nigdy tego nie robi.

- Śniło mi się, że drzwi są zamknięte i że nie mogę wejść do środka. Chociaż wołałam, nikt nie

wychodził, a wszystkie okna były ciemne i puste. - Zamknęła oczy, pragnąc wywołać w pamięci ten obraz i sprawdzić, czy obecnie jest w sta nie sobie z nim poradzić. - Zgubiłam się w lesie. Byłam całkiem sama, potwornie się bałam i nie mogłam znaleźć drogi powrotnej. Nagle zobaczyłam samą siebie stojącą na drugim brzegu rzeki. Tylko że to nie byłam ja. To była mama.

- Zawsze miewałaś dziwne sny.

- Może zawsze byłam obłąkana. - Uśmiechnęła się nieśmiało, a potem spojrzała w ciemność nocy. - Jestem do niej bardzo podobna, Brian. Czasami, kiedy widzę w lustrze swoją twarz, przeżywam potworny wstrząs. Koniec końców to właśnie pchnęło mnie na krawędź przepaści. Kiedy przyszły te zdjęcia, byłam na nich ja. Miałam jednak wrażenie, że na jednym z nich jest mama. Nie żyła. Była naga, miała otwarte oczy i patrzyła w pustą przestrzeń jak lalka. Wyglądałam dokładnie tak jak ona.

- Jo...

- Ale tego zdjęcia nie było - powiedziała szybko. - Ono w ogóle nie istniało.

Wyobraziłam je sobie. Od dziecka nienawidzę oglądania własnych zdjęć, ponieważ ilekroć na nie patrzę, widzę ją.

- Możesz być do niej bardzo podobna, Jo, ale to wcale nie znaczy, że jesteś taka jak ona. Ty kończysz to, co zaczynasz. Nie odchodzisz.

- Uciekłam stąd.

- Wyjechałaś - poprawił ją. - Opuściłaś wyspę, by ułożyć sobie życie, a to coś zupełnie innego niż rzucenie wszystkiego, co zaczęłaś i zostawienie ludzi, którzy cię potrzebują. Nie jesteś Annabelle. - Objął ją ramieniem i delikatnie wprawił huśtawkę w ruch. - Poza tym wcale nie jesteś bardziej obłąkana niż my wszyscy.

Roześmiała się.

- Bardzo pocieszające, prawda?

Była już późna noc, kiedy Susan Peters wyszła z wynajętego domku i ruszyła w stronę zatoczki. Serdecznie pokłóciła się z mężem, a musiała robić to po cichu, żeby nie pobudzić przyjaciół, którzy razem z nimi przyjechali na tygodniowy wypoczynek na Desire.

Stwierdziła, że ten człowiek jest kompletnym idiotą. W tym momencie trudno jej było nawet zrozumieć, dlaczego wyszła za niego za mąż, a tym bardziej, dlaczego po trzech latach nadal jest jego żoną - nie wspominając już o wcześniejszych dwóch, kiedy razem mieszkali, chociaż jeszcze nie zalegalizowali swego związku.

Za każdym razem, gdy tylko napomknie choćby słówkiem o kupieniu domu, Tom zamyka się w sobie i robi ponurą minę. Potem zaczyna wyliczać wszystkie płatności, podatki i koszty utrzymania. Bez przerwy pieniądze, pieniądze i jeszcze raz pieniądze. Po jaką cholere oboje urabiają sobie ręce po łokcie? Czy do końca życia będzie mieszkać w wynajętym apartamencie w Atlancie?



Do diabła z wygodą, pomyślała, i odrzuciła do tyłu masę kręconych, brązowych włosów. Chciała mieć podwórko, maleńki ogródek i kuchnię, w której mogłaby przyrządzać potrawy poznane podczas kursów gotowania.

Jednak Toma stać było jedynie na dwa słowa: „pewnego dnia”. „Pewnego dnia”. Tylko czy ten dzień kiedykolwiek nadejdzie?

Niezadowolona usiadła na plaży, zsunęła buty i zaczęła grzebać palcami w piasku, równocześnie patrząc na wodę cicho pluskającą o kadłub maleńkiej, wynajętej przez Toma motorówki.

Bez najmniejszych oporów wydał pieniądze na głupią łódkę, by podczas pobytu na Desire móc codziennie wypływać nią na ryby.

Mieli dość pieniędzy, by już teraz wpłacić zaliczkę. Oparła łokieć o kolano i ponuro spoglądała na świecący nad jej głową księżyc. Sama wszystko posprawdzała i wiedziała już sporo o pożyczkach, sposobie spłacania rat i stopach procentowych.

Marzyła o tym uroczym domku na Peach Blossom Lane.

Oczywiście, przez kilka lat byłoby im ciężko, ale na pewno daliby sobie radę.

Wierzyła, że zdoła go przekonać, zwłaszcza jeśli wspomni, że ten domek byłby ich własnością, a w związku z tym nie musieliby co miesiąc ponosić wydatków związanych z wynajmem mieszkania.

Och, prawdę mówiąc, zżerała ją zazdrość, że Mary Alice i Jim lada chwila zamieszkają we własnym domu. Na ich podwórku rośnie piękna magnolia, a tuż przy kuchni jest maleńkie patio.

Westchnęła i zaczęła żałować, że nie zaczęła z tą rozmową na powrót do domu. To byłoby znacznie mądrzejsze. Doskonale wiedziała, jak ogromne znaczenie w przypadku jej męża ma wybranie odpowiedniej chwili. Była jednak tak zdenerwowana, że nie mogła się powstrzymać.

Gdy wróca do Atlanty, zmusi Toma do obejrzenia tego domku na Peach Blossom, nawet gdyby miała zaciągnąć go tam siłą.

Usłyszała za sobą odgłos kroków, mimo to nie przestała patrzeć prosto przed siebie.

- Niepotrzebnie tu przyszedłeś, Tomie Petersie. Nie zdołasz zawrzeć ze mną pokoju. Nadal jestem na ciebie potwornie wściekła. I być może już zawsze będę.

Zła, że Tom nawet nie próbuje jej przekonywać, objęła rękami kolana.

- Wracaj z powrotem i sprawdzaj stan swojego konta, ponieważ naprawdę interesują cię tylko pieniądze. Nie mam ci nic do powiedzenia.

Kiedy milczenie przedłużało się, zacisnęła zęby i odwróciła głowę.

- Słuchaj, Tom... Och! - Na widok obcego mężczyzny zarumieniła się za kłopotana. - Przepraszam.

Wzięłam pana za kogoś innego.

Uśmiechnął się uroczo, a w jego oczach wyraźnie widać było rozbawienie.

- Nie szkodzi. Ja również mam zamiar wziąć panią za kogoś innego. Uderzył ją w momencie, kiedy przestraszona miała zamiar krzyknąć. Obserwując ją zwiniętą u swych stóp, doszedł do wniosku, że i tym razem nie wszystko będzie doskonałe. Nie planował żadnej tego typu zaimprovizowanej naprędce sesji próbnej, ale nie mógł

zasnąć. Przez cały czas myślał o Jo, a rozpierające go dzisiejszej nocy pożądanie było nie do zniesienia.

Był na nią okropnie zły, co jednak sprawiało, że pragnął jej jeszcze bardziej.

Wówczas okazało się, że nad wodą siedzi samotnie ładna brunetka spowita srebrnym blaskiem księżyca. Zupełnie, jakby los sam dał mu ją w prezencie.

Mądry człowiek darowanemu koniowi nie zagląda w zęby. Przynajmniej tak się mówi, pomyślał ze śmiechem, biorąc ją na ręce. Wiedział, że muszą stąd zniknąć. Na wypadek, gdyby stary Tom - niezależnie od tego, kto to jest - przyszedł nad zatoczkę.

Była lekka, a nie miał nic przeciwko niewielkiemu wysiłkowi fizycznemu.

Pogwizdywał, niosąc ją przez plażę a potem między wydmami. Będzie potrzebował

blasku księżyca, w związku z tym wybrał brzeg niewielkiej niecki. To niezwykle malownicze miejsce, pomyślał, kładąc ją na ziemi, a uroku dodają mu zalane srebrnym blaskiem księżyca zarośla.

Poza tym nie ma tu żadnych ludzi.

Ręce związał jej paskiem, a jednym z jedwabnych szalików, które zawsze miał

przy sobie, zakneblował usta. Kiedy ją rozebrał, z radością stwierdził, że jej ciało jest szczupłe i wysportowane. Jęknęła cicho, gdy zdejmował z niej dżinsy.

- Nie martw się, kochanie, jesteś bardzo ładna, bardzo seksowna. A światło księżyca dodaje ci uroku.

Wziął do ręki aparat fotograficzny - był to Pentax, jednoobiektywowa lustrzanka, którą lubił używać do wykonywania zdjęć portretowych - i z zadowoleniem przypomniał sobie, że ma w nim film o niskiej czułości. Chciał, żeby tym razem bardzo wyraźnie widać było wszystkie szczegóły. Nie jest wykluczone, że potem, w ciemni, będzie musiał wszystko odrobinę podretuszować i doświetlić, by otrzymać odpowiedni kontrast i fakturę.

Nie mógł się już doczekać chwili, kiedy będzie mógł pracować nad odbitką, doprowadzając ją do doskonałości.

Gwiżdżąc cichutko, ustawił lampę błyskową i nim zaczęła poruszać powiekami, zdążył wykonać już trzy zdjęcia.

- Tak właśnie powinno być, wszystko w porządku, chcę, żebyś teraz odzyskała przytomność. Powoli. Spróbujmy zrobić kilka zbliżeń tej pięknej twarzy.

Najlepsze są oczy. Jak zwykle.

Gdy w końcu uniosła powieki i rozejrzała wokół otępiąłym z bólu i zakłopotania wzrokiem, czuł, że jest już bardzo podniecony.

- Jesteś piękna, niezwykle piękna. Popatrz tutaj. Właśnie tak, dziecinko.

Spróbuj się skupić.

Był zadowolony, ponieważ zdołał uchwycić moment, kiedy zrozumiała wszystko i w jej oczach pojawił się strach. Gdy zaczęła się wiercić, odstawił aparat na bok. Jej gwałtowne ruchy mogłyby spowodować rozmazanie konturów, a nie miał

przy sobie filmu o większej czułości. Nie przestając się uśmiechać, podniósł rewolwer, który wcześniej położył na swoich starannie złożonych dżinsach. Pokazał jej go.

- Nie chcę, żebyś się ruszała. Leż spokojnie, naprawdę spokojnie i rób wszystko, co ci każę. Nie chciałbym tego użyć. Mam nadzieję, że teraz już wszystko rozumiesz.

W jej oczach pojawiły się łzy, które po chwili zaczęły spływać po policzkach.

Mimo to przytaknęła. Ogarnęło ją śmiertelne przerażenie i chociaż bardzo starała się nie ruszać, nie była w stanie opanować drżenia.

- Chcę cię sfotografować. Właśnie jesteśmy w trakcie sesji zdjęciowej. Tak piękna kobieta jak ty nie powinna mieć nic przeciwko własnym zdjęciom.

Wymienił rewolwer na aparat i uśmiechnął się ujmująco.

- A teraz posłuchaj, co masz robić. Podciągnij do góry kolana. Tak, właśnie w taki sposób i połóż je z lewej strony. Masz piękne ciało. Dlaczego nie pokazać go w jak najlepszym świetle?

Zrobiła, o co prosił, nie przestając co chwilę zerkać na rewolwer. Chrom lśnił i połyskiwał w blasku księżycy. On chce jedynie zrobić kilka zdjęć, powiedziała sobie, drżąc od stóp do głów i z trudem łapiąc oddech. Potem zostawi ją w spokoju.

Odejdzie. Nie wyrządzi jej żadnej krzywdy.

Widoczne w jej oczach przerażenie i pobieląca ze strachu skóra sprawiły, że poczuł potworny ból w lędźwiach. Drżenie rąk dało mu znać, że nie może już dłużej czekać z przejściem do następnego etapu.

Kiedy delikatnie odkładał aparat fotograficzny, słyszał głośnie bicie swego serca.

Bardzo łagodnie położył dłoń na szyi kobiety i spojrzał jej głęboko w oczy.

- Jesteś piękna - mruknął półgłosem. - W dodatku całkowicie zdana na moją łaskę. Wiesz o tym, prawda? Nic na to nie poradzisz. Teraz ja tu rządzę. Do mnie należy cała władza. Prawda?

Energicznie przytaknęła, a z gardła wydobyło się przytłumione łkanie. Kiedy położył dłoń na jej piersi i ścisnął ją, Susan zaczęła błagalnie jęczeć i gwałtownie odrzuciła głowę na bok. Wbiła pięty w piasek, jakby próbowała uciec.

Usiadł na niej okrakiem.

- To na nic się nie zda. - Zadrżał, kiedy wiała się i podskakiwała pod nim. - Im rozpaczliwiej będziesz próbowała się bronić, tym większą sprawisz mi przyjemność.

Spróbuj krzyczeć. - Ponownie ścisnął jej piersi, a potem pochylił się i zaczął je gryźć. -

Krzycz, cholera jasna. Krzycz.

Z jej gardła wyrwał się zachrypnięty, ostry dźwięk, który sprawił, że poczuła palenie w krtani. Zrozpaczona próbowała pozbyć się knebla, używając w tym celu zębów i warg.

Rozsunął jej uda, celowo zostawiając na ciele sińce. Zgwałcił ją, ani na moment nie przestając myśleć o Jo. Przypominał sobie długie nogi Jo Ellen. Marzył o seksownych ustach Jo Ellen. Nie zapominając o dużych, niebieskich oczach Jo Ellen, ze słodką gwałtownością ćwiczył na jej substytucie.

Wytrysk był tak potężny, że w jego oczach pojawiły się łzy zaskoczenia i triumfu. Zdał sobie sprawę, że wszystko idzie znacznie lepiej niż poprzednio i mimo woli zacisnął palce na jej gardle, rozluźnił je jednak, gdy poczuł, że przestała walczyć.

Gdy uczucie rozkoszy przepełniło jego serce czułością, przyszło mu na myśl, że tym razem dokonał bardzo dobrego wyboru. Znalazł anioła, na którym może ćwiczyć.

Kiedy wstał, by ponownie sięgnąć po aparat, łagodna bryza ochłodziła jego wilgotną skórę.

Doskonale pamiętał przebieg całego wydarzenia, które opisane zostało w pamiętniku, przypominał sobie jednak, że ma zamiar nie tylko wszystko powtórzyć, lecz również ulepszyć.

- Jeśli będę chciał, mogę cię ponownie zgwałcić. - Uśmiechnął się, a wokół jego oczu i ust pojawiły się niezwykle atrakcyjne zmarszczki. - Jeśli będę chciał, mogę cię zabić. Wszystko zależy od tego, jak będziesz się zachowywać. Teraz po prostu poleż

sobie, aniele, i zastanów się nad tym.

Zadowolony, że jego ofiara na chwilę uspokoiła się, zmienił obiektyw. Jej źrenice wyglądały jak

ogromne, czarne księżycy, otoczone jedynie wąskim skrawkiem jasnego brązu. Z ogromnym trudem chwyciła powietrze. Zakładając nowy film, gwizdał z zadowolenia. Wypstrykał całą rolkę, a potem ponownie ją zgwałcił.

Postanowił, że mimo wszystko ją zabije. W końcu to on w tym momencie decyduje o wszystkim i w jego rękach spoczywa cała władza, w związku z tym może zrobić to, na co ma ochotę.

Przestała z nim walczyć. Teraz znajdowała się tu jedynie fizycznie. Jej zdrętwiałe, obolałe ciało należało do kogoś innego. Myślami przeniosła się w bezpieczne miejsce, do uroczego domku przy Peach Blossom Lane, gdzie razem z Tomem siedziała na maleńkim dziedzińcu obok kuchni.

Ledwo poczuła, że zdjął jej knebel. Cicho zaszlochała, a potem spróbowała nabrać w płuca tyle powietrza, żeby krzyknąć.

- Wiesz, że jest już za późno - powiedział łagodnie, niemal z miłością, równocześnie owijając szalik wokół jej szyi. - Teraz będziesz moim aniołem.

Zaciskał szarfę powoli, pragnąc uchwycić odpowiedni moment. Obserwował, jak jej usta otwierają się, z trudem próbując zaczerpnąć powietrza. Gwałtownie uderzała piętami o piasek, a jej ciało co chwila podrygiwało niespokojnie.

Zaczął ciężko dyszeć. Owładnęło nim poczucie absolutnej władzy, własna moc sprawiła, że huczało mu w głowie, a krew żywiej krążyła w żyłach. Nie liczył, ile razy zatrzymywał się, pozwalając jej z powrotem odzyskać przytomność, a potem ponownie doprowadzał ją na granicę śmierci. Mógłby wstać i ustawić aparat. Pomyślał, że tym sposobem zdołałby uchwycić wiele decydujących momentów.

Strach przed śmiercią, akceptację, przebłysk nadziei w momencie odzyskania przytomności. Całkowitą rezygnację, kiedy ponownie ją traciła.

Och, bardzo żałował, że nie wziął ze sobą statywu i pilota.

W końcu nie zdołał zapanować nad sobą i zabił ją.

## **ROZDZIAŁ 22**

Z trudem łapiąc powietrze, wyszeptał kilka pieszczotliwych słów i pocałował

martwą kobietę z wdzięcznością. Ten niespodziewany anioł, którego zesłało mu niebo, ukazał mu nowe możliwości. Oczywiście, tak właśnie miało być. Teraz doskonale wszystko rozumiał. Musiał się jeszcze wielu rzeczy nauczyć, by móc spokojnie wyjść naprzeciw własnemu przeznaczeniu i zrobić to samo z Jo.

Rozwiązał szalik, złożył go i niemal z czcią położył na rewolwerze. Bez pośpiechu nadał ciału kobiety odpowiednią pozę, potem rozwiązał jej ręce i starannie je ułożył. Trochę martwiły go ślady na nadgarstkach, ale rozwiązał problem, podsuwając je pod głowę jak poduszkę.

Wymyślił, że nada temu zdjęciu tytuł: *Dar anioła*.

Ubrał się, a potem zwinął w kłębek jej ubranie. Mokradła są zbyt daleko, pomyślał. Właśnie tam, gdzieś na dnie, spoczywało to, co aligatory i inne drapieżniki zostawiły z ciała Ginny. Tym razem jednak nie miał czasu na pieszą wycieczkę, brakowało mu również energii, by wykonać ciężką pracę.

Przypomniał sobie, że rzeka ma kilka odpowiednio głębokich miejsc, które powinny całkowicie wystarczyć. Zabierze ją tam i obciąży ciało, żeby mogło spoczywać na mulistym dnie.

A potem, zdecydował, ziewając od ucha do ucha, pójdzie spać.

Kiedy świt zabarwił niebo na perłowo, Giff po cichu wyslizgnął się z pokoju Lexy i ruszył schodami w dół. Miał zamiar opuścić Sanktuarium jeszcze przed wschodem słońca. Problem jednak polega na tym, pomyślał z błogim uśmiechem, że Lexy potrafi nakłonić mężczyznę, by zabawił u niej nieco dłużej.

Potrzebowała go. Po pierwsze, musiała wyzalić się na Briana, a po drugie, chciała opowiedzieć Giffowi o kłopotach siostry. Rozmawiali o tym i tysiącu innych sprawy ukryci w jej pokoju, przez cały czas szepcząc, jakby dzielili się ze sobą największymi sekretami.

Kochanie kogoś, kogo zna się od dzieciństwa, pomyślał Giff, ma jedną ogromną zaletę - bez trudu można porozmawiać na każdy temat.

Co wcale nie wykluczało miłego elementu zaskoczenia, kiedy okazywało się, że o dobrze znanej osobie można się dowiedzieć czegoś zupełnie nowego. Giff sapnął

ciężko, gdy w końcu dotarł do drzwi. Dowiadywanie się nowych rzeczy o Lexy Hathaway nie sprawiało mu najmniejszych trudności. Jej wygląd w skąpej, jedwabnej koszulce nocnej, którą właśnie przywiozła z Savannah, z pewnością wystarczyłby, by nawet najsilniejszy mężczyzna padł na kolana i zaczął wznosić do Boga modły dziękczynne za wspaniały pomysł stworzenia Ewy.

Wyciągnięcie jej z tego dzieła sztuki krawieckiej również nie było ciężkim zadaniem. Prawdę mówiąc, postanowił nawet, że kiedy w sobotę zabierze ją do Savannah, kupi jej następną koszulkę, choćby tylko po to, by móc...

Cudowna wizja ponętnej Lexy ubranej w seksowny, kremowy jedwab rozwiała się, gdy Giff nagle stanął twarzą w twarz z jej ojcem. Chyba tylko rzut monetą mógłby rozstrzygnąć, kto był bardziej zakłopotany: wciąż jeszcze rozczochrany po igraszkach w łóżku kochanek, czy trzymający w rękach miskę płatków kukurydzianych ojciec.

Obaj odchrząknęli.

- Dzień dobry, panie Hathaway. - Witaj, Giff. - Właśnie... mmm... byłem...

- Czyżby instalacja wodno - kanalizacyjna na piętrze ponownie wymagała naprawy?

Sam podsunął to wyjście z ogromną desperacją i niewiele brakowało, by równie zdesperowany Giff

je przyjął. Mimo to wyprostował się i stwierdził, że nie może zachowywać się jak tchórz, popatrzył więc Samowi prosto w oczy.

- Nie, sir.

Zaniepokojony Sam postawił miskę i zalał płatki mlekiem.

- Rozumiem - to było wszystko, co zdołał wymyślić.

- Panie Hathaway, nie chcę, by myślał pan, że chyłkiem wykradam się z pańskiego domu. - Chociaż, przyznał Giff, trudno byłoby inaczej określić to, co właśnie robił.

- Od momentu, kiedy nauczyłeś się chodzić, zawsze byłeś mile widziany w Sanktuarium. - Zostaw to w spokoju, chłopcze, błagał w głębi duszy Sam.

Poprzestańmy na kłamstwie i przejdźmy nad tym do porządku dziennego. - Możesz przychodzić i wychodzić, kiedy tylko masz ochotę.

- Rzeczywiście bywam tu od wielu lat, proszę pana. I przez większość z nich...

sądzę, że doskonale pan wie, co czuję do Lexy. Co zawsze czułem.

Te cholerne płatki zupełnie mi rozmokną, pomyślał Sam z żalem.

- Zdaje się, że wbrew przewidywaniom niektórych ludzi, wcale z tego nie wyrosłeś.

- Nie, sir. Powiedziałbym nawet, że to uczucie stało się jeszcze mocniejsze.

Kocham ją, panie Hathaway. Moją miłość do Lexy można uznać za długotrwałą i niezachwianą. Od wielu lat zna pan mnie i moją rodzinę. Nie jestem nieodpowiedzialnym głupcem. Mam trochę oszczędności. Poza tym potrafię własnymi rękami zapracować na chleb.

- Nie wątpię w to. - A jednak Sam zmarszczył czoło. Chociaż dotychczas zdążył

wypić zaledwie kilka łyków kawy, myślał wystarczająco trzeźwo, by zrozumieć, o co chodzi. - Giff, jeśli chcesz, żebym się zgodził... na twoje odwiedziny u mojej córki, mam wrażenie, że zdążyłeś już otworzyć odpowiednie drzwi, wszedłeś do środka i nawet wystarczyło ci czasu, by się tam zadomowić.

Giff zarumienił się i ciężko przełknął ślinę, mając nadzieję, że nie było tego słyhać.

- Tak, sir, nie mogę zaprzeczyć. Ale wcale nie chodzi mi o te drzwi, proszę pana.

- Och. - Sam otworzył szufladę i sięgnął po łyżkę, mając nadzieję, że Giff skorzysta z okazji i wycofa się, zanim rozmowa nie stanie się jeszcze trudniej sza.

Potem głośno odłożył łyżkę na bok i spojrzał na Giffa. - Słodki Jezu, chłopcze, chyba nie mówisz o

małżeństwie?

Giff wysunął do przodu szczękę, a w jego oczach pojawił się blask.

- Mam zamiar się z nią ożenić, panie Hathaway. Bardzo chciałbym mieć pana błogosławieństwo, ale nawet i bez niego Alexa zostanie moją żoną.

Sam potrząsnął głową i przetarł oczy. Pomyślał, że nic na tym świecie nie chce być proste. Człowiek trzyma się na uboczu, zajmuje się swoimi sprawami i pragnie jedynie, żeby w zamian inni ludzie robili tak samo, a mimo to życie nie przestaje rzucać kłód pod bosc stopy.

- Chłopcze, jeśli chcesz wziąć z nią ślub, na pewno nie będę stawał na twojej drodze. Zresztą nawet gdybym miał taki zamiar, nie byłbym w stanie wam przeszkodzić. Oboje jesteście dorośli i powinniście mieć na tyle zdrowego rozsądku, by wiedzieć, czego chcecie od życia. - Opuścił ręce. - Ale ponieważ zawsze cię lubiłem, Giff, muszę ci powiedzieć, że sam z własnej woli pakujesz się w niezłe tarapaty.

Będiesz nieprawdopodobnym szczęściarzem, jeśli od momentu, kiedy powiesz sakramentalne „tak,” aż do samej śmierci uda ci się znaleźć choć by jedną maleńką chwilę spokoju.

- Spokój wcale nie jest dla mnie najważniejszy.

- Wyda każdego centa, którego zdołasz zarobić, i nie będzie miała bladego pojęcia, na co wszystko poszło.

- Lexy wcale nie jest taka głupia, jak pan sądzi. Poza tym przecież zawsze mogę zarobić więcej pieniędzy.

- Nie mam zamiaru tracić czasu ani energii na wybijanie ci z głowy tego, na co najwyraźniej już się zdecydowałeś.

- Jestem dla niej odpowiednim człowiekiem.

- Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. Być może nawet zdołasz dać jej szczęście. - Sam z rezygnacją wyciągnął dłoń. - Życzę powodzenia.

Potem obserwował, jak Giff sprężystym krokiem wychodzi z kuchni. Nie wątpił, że chłopak jest zakochany po uszy, nie chciał jednak przypominać sobie tego uczucia, ani związanego z nim zamętu w głowie i niepokoju w sercu. A zwłaszcza krążącego w żyłach żaru.

Sam usadowił się w kąciku śniadaniowym z drugą filiżanką kawy oraz rozmiękłymi płatkami i obserwował, jak niebo powoli się rozjaśnia i stopniowo robi się niebieskie. Był tak samo olśniony i oczarowany Annabelle jak teraz Giff był

olśniony Lexy. Wystarczyło jedno spojrzenie, a już serce wyrwało mu się z piersi i padło do jej stóp.

Chryste, jacy oni wówczas byli młodzi. Tamtego lata miał zaledwie osiemnaście lat. Przyjechał na



wyspę, by na łodzi wuja pracować przy połowie krewetek. Zarzucał

sieci i oblewał się potem w bezlitosnych promieniach słońca, nie zważając na otarte do krwi ręce i obolałe plecy.

Każda sekunda tej pracy sprawiała mu ogromną przyjemność.

Od pierwszego wejrzenia zakochał się w wyspie. Uwielbiał zasnętą delikatną mgiełką zieleni, ustronne miejsca, gdzie nietrudno było znaleźć samotność, niespodzianki kryjące się za każdym zakrętem drogi i zakolem rzeki.

Potem zobaczył spacerującą po plaży o zachodzie słońca i zbierającą muszelki Belle Pendleton. Miała długie, złociste nogi, smukłe jak wierzba ciało i bujne, układające się w cudowne fale rudawe włosy. Oczy przejrzyste jak woda i błękitne jak letnie niebo.

Na jej widok wzrok zasnęła mu mgła i całkowicie stracił głos.

Był przesiąknięty zapachem krewetek, potu i oleju silnikowego. Miał właśnie zamiar popływać, by rozluźnić zmęczone po całym dniu wytężonej pracy mięśnie. Ale ona uśmiechnęła się do niego i, trzymając w ręce piękną muszlę w różowe paseczki, zaczęła z nim rozmawiać.

Z przerażenia zaczął mu się plątać język. Kobiety zawsze go bardzo onieśmiały, ale to urocze zjawisko, które już po pierwszym uśmiechu całkowicie podbiło jego serce, sprawiało, że odpowiadając wydawał jedynie jakieś nieartykułowane pomruki i chrząknięcia, zupełnie jakby był źle wychowaną małpą.

Do chwili obecnej nie miał bladego pojęcia, jakim cudem udało mu się wydukać zaproszenie na spacer na następny wieczór.

Wiele lat później, kiedy zapytał ją, dlaczego wówczas się zgodziła, po prostu wybuchnęła śmiechem.

*Byłeś nieprawdopodobnie przystojny, Sam. Na dodatek tak poważny, tak przejęty i słodki. Byłeś pierwszym chłopcem - i ostatnim mężczyzną - który przyprawił mnie o bicie serca.*

Potem rzeczywiście tak myślała, przypomniał sobie Sam. Kiedy wystarczająco ciężko się napracował i zaoszczędził taką ilość pieniędzy, która go satysfakcjonowała, poszedł do ojca Annabelle i poprosił o jej rękę. Sącząc kawę, Sam przypomniał sobie, że były to bardzo formalne oświadczenia i znacznie różniły się od rozmowy, którą przed chwilą odbył z Giffem. Nie zdarzało się również, by o świcie wymykał się z pokoju narzeczonej. Zamiast tego wykradali się wieczorami do lasu.

Chociaż od lat nie pragnął żadnej kobiety, doskonale pamiętał, jak to jest, gdy krew wrze w żyłach. W ciągu kilku pierwszych lat po odejściu Annabelle, od czasu do czasu natura upominała się o swoje prawa. Wyjeżdżał wówczas do Savannah.

Nie wstydził się płacić za seks. Zajmujące się tym zawodowo kobiety nie oczekiwały, że będzie prowadził z nimi zawiłe konwersacje, nie wymagały również, by się do nich zalecał. Dawały mu

jedynie to, za co płacił. Od dłuższego czasu nie potrzebował już tych dość szczególnych usług. A ponieważ zawsze bardzo bał się AIDS

i innych potencjalnych zagrożeń związanych z tego typu kontaktami seksualnymi, ogromnie się cieszył, że już od tego odwykł.

Teraz potrzebował jedynie wyspy. Uspokoilo go to, że Giff nie rości sobie do niej żadnych praw.

Sam rozsiadł się wygodnie, z ogromną przyjemnością dopijając w ciszy i spokoju resztę kawy. Kiedy otworzyły się drzwi i pojawiła się w nich Jo, starał się ukryć narastającą złość. Z zażenowaniem i rozbawieniem obserwował jej chwilowe wahanie oraz lekką irytację, którą przez moment widać było na jej twarzy.

Jesteśmy jak groszki w jednym strączku, pomyślał, groszki, które w ogóle nie przywiązują wagi do faktu, że dzielą strączek z kimś innym.

- Dzień dobry. - Cholera jasna, chciała jedynie wypić łyk kawy, a potem wybrać się gdzieś, żeby trochę popracować. Tym razem nie chodziło jej o bezcelową wędrówkę i rozmyślenia, lecz o pracę. Po raz pierwszy od wielu tygodni obudziła się wypoczęta i zdolna do skupienia uwagi, więc chciała to wykorzystać.

- Piękny ranek - powiedział Sam. - Chociaż na wieczór zapowiadali burzę i silny wiatr.

- Możliwe. - Otworzyła kredens.

Zapadła między nimi długa i niczym nie zmacona cisza. Dźwięk kawy przelewanej przez Jo z dzbanka do filiżanki wydawał się tak głośny jak łoskot wodospadu. Sam przesunął się na drewnianej ławce, a jego spodnie zaszeleściły na wypolerowanej powierzchni.

- Kate wszystko... mi powiedziała. - Przypuszczałam, że to zrobi.

- Hm. Widzę, że czujesz się teraz trochę lepiej. - Znacznie lepiej.

- A policja robi, co może. - Tak.

- Trochę się nad tym zastanawiałem. Wydaje mi się, że powinnaś zostać na wyspie jeszcze przez jakiś czas. Dopóki to wszystko się nie wyjaśni, nie możesz wracać do Charlotte ani podróżować po świecie.

- Właściwie i tak miałam zamiar zostać tu i popracować jeszcze przez kilka tygodni.

- Powinnaś tu zostać, Jo Ellen, dopóki wszystko się nie wyjaśni. Zaskoczona stanowczym tonem, przypominającym jej polecenia, które otrzymywała od ojca w dzieciństwie, odwróciła się i uniosła brwi.

- Nie mieszkam tutaj. Mój dom jest w Charlotte.

- Nie wrócisz do Charlotte, dopóki wszystko się nie wyjaśni. Automatycznie wyprostowała się.
- Nie zgodzę się, żeby jakiś czubek dyktował mi, jak mam żyć. Kiedy będę gotowa, by wrócić, wrócę.
- Nie opuścisz Sanktuarium, dopóki nie powiem, że możesz stąd wyjechać. Tym razem otworzyła szeroko usta ze zdziwienia.
- Przepraszam, czyja dobrze słyszałam?
- Wystarczająco dobrze, Jo Ellen. Zawsze miałaś dobre ucho i byłaś bardzo bystra. Zostaniesz tutaj do czasu, aż nie wrócisz całkowicie do zdrowia, a wyjedziesz stąd i zaczniesz podróżować dopiero wówczas, gdy nie będzie się z tym wiązało żadne ryzyko.
- Gdybym chciała jutro wyjechać...
- Nigdzie się stąd nie ruszysz - przerwał jej Sam. - To już postanowione.
- Postanowione? - Całkowicie zaskoczona, podeszła do stołu i spojrzała na niego ponuro. - Czyżbyś sądził, że po tylu latach możesz tak po prostu podjąć jakąś dotyczącą mnie decyzję, a ja cię posłucham?
- Nie. Myślę, że, jak zwykle, trzeba będzie cię do tego zmusić. Nic więcej nie mam ci do powiedzenia. - Chciał uciec, pragnął spokoju, ale kiedy zaczął wstawać, Jo uderzyła dłonią o stół i zagroziła mu drogę.
- Za to ja chciałabym ci o czymś przypomnieć. Wygląda na to, że całkowicie straciłeś rachubę czasu. Mam dwadzieścia siedem lat.
- W listopadzie skończysz dwadzieścia osiem - powiedział spokojnie. - Wiem, ile lat mają moje dzieci.
- I sądzisz, że dzięki temu jesteś idealnym ojcem?
- Nie. - Patrzył na nią spokojnie. - Ale to i tak nie zmienia faktu, że jesteś moją córką. Dotychczas doskonale radziłaś sobie sama. Jednak w tej chwili wszystko się zmieniło. W związku z tym jeszcze przez jakiś czas zostaniesz na Desire, ponieważ tu są ludzie, którzy mogą się tobą zaopiekować.
- Naprawdę? - Zmrużyła oczy jak kot. - W takim razie pozwól sobie powiedzieć, że mam zamiar nadal sama dawać sobie radę.
- Dzień dobry. - Kate wpadła do kuchni z promiennym uśmiechem na ustach.

Od dwóch minut stała pod drzwiami i bacznie nasłuchiwała, teraz jednak doszła do wniosku, że pora włączyć się do akcji. Była niezmiernie zadowolona, że może wejść w tym domu do jakiegoś pomieszczenia, w którym nie panuje rozgoryczenie ani apatia.

Bo złość to zupełnie inna sprawa.

- Fantastycznie pachnie tu kawą. Muszę się napić.

Przyniosła na stół filiżankę i dzbanek, po czym usiadła obok Sama, tym samym blokując mu wyjście.

- Pozwól, że ci doleję, Sam. Jo, przynieś tutaj swoją filiżankę. Słowo daję, nie pamiętam, kiedy po raz ostatni miałam możliwość usiąść tutaj rano i bez pośpiechu wypić filiżankę kawy w waszym towarzystwie. Bóg mi świadkiem, po wczorajszym potwornym chaosie w jadalni zasłużyliśmy sobie na odrobinę spokoju.

- Właśnie wychodziłam - powiedziała Jo oschle.

- No cóż, skarbie, najpierw usiądź i dokończ swoją kawę. I tak wkrótce pojawi się tu Brian i każe nam się wynosić. Sądząc po twojej twarzy, dobrze spałaś tej nocy. -

Kate uśmiechnęła się promiennie. - Ojciec i ja martwiliśmy się, że będziesz niespokojna.

- Niepotrzebnie. - Jo z niezadowoleniem wzięła swoją kawę i postawiła ją na stole. - Wszystko, co można było zrobić, zostało zrobione. Prawdę mówiąc, jestem już znacznie spokojniejsza i zaczynam myśleć o powrocie do Charlotte. - Wyzywająco spojrzała na Sama. - Może nadeszła pora, by stąd wyjechać.

- W porządku, Jo, pod warunkiem, że chcesz nas wszystkich wpędzić do grobu

- powiedziała Kate spokojnie, równocześnie wsypując cukier do kawy.

- Nie rozumiem...

- Doskonale rozumiesz - przerwała jej Kate. - Po prostu jesteś zła, i trzeba przyznać, że masz do tego prawo. Natomiast nie wolno ci wyładowywać swojej złości na ludziach, którzy cię kochają. Takie postępowanie jest rzeczą całkiem naturalną -

dodała Kate - ale i tak nie powinno się tego robić.

- Wcale tego nie robię.

- Doskonale. - Kate poklepała ją po dłoni, zupełnie jakby cała sprawa została ostatecznie załatwiona. - Widzę, że masz zamiar pstrykać dzisiaj zdjęcia. - Spojrzała na torbę, którą Jo położyła na kontuarze. - Wyjęłam ostatnio album z fotografiami zrobionymi przez ojca Nathana. Przejrzałam go i położyłam w salonie dla gości. Jest tam kilka ładnych zdjęć wykonanych na Desire.

- Rzeczywiście, pan David dobrze się spisał - mruknęła Jo, starając się nie dąsać.

- Z pewnością. Na jednym z nich jest Nathan, Brian i chyba młodszy brat Nathana. Tacy ładni, mali chłopcy. Trzymają w rękach świeżo złowione pstrągi i uśmiechają się od ucha do ucha. Powinnaś to zobaczyć.

- Chętnie. - Jo uśmiechnęła się, próbując wyobrazić sobie dziesięcioletniego Nathana z pstrągiem na haczyku.

- Może pomyślałabyś nad wykonaniem własnego albumu ze zdjęciami wyspy -

ciągnęła Kate. - To bardzo pomogłoby nam w prowadzeniu interesu. Sam, weź Jo na mokradła, tam, gdzie właśnie kwitnie lawenda. Och, gdybyście wybrali drogę przez las, wzdłuż południowo - zachodniego brzegu, warto byłoby sfotografować tę ścieżkę, która jest teraz usłana płatkami kwiatów dzikiego wina. To byłyby urocze zdjęcia, Jo Ellen. Wyobraź sobie tę wąską drożynę pokrytą dywanem opadającego kwiecica.

Ani na moment nie przestawała gadać, wysuwając różne sugestie i nie dając ojcu ani córce szansy na wtrącenie choćby dwóch słów. Kiedy w tylnych drzwiach pojawił się Brian, zatrzymał się i z zaskoczeniem przyglądał tej sympatycznej, rodzinnej scenie. Kate uśmiechnęła się do niego.

- Zaraz stąd znikamy, kochanie. Jo i Sam właśnie zastanawiają się, w jaki sposób obejść dzisiaj wyspę, żeby Jo mogła porobić zdjęcia. Lepiej będzie, jeśli wszyscy weźmiemy się do roboty.

Kate wstała energicznie, równocześnie podnosząc torbę Jo.

- Wiem, że jesteś bardzo wymagająca, jeśli chodzi o światło. W związku z tym musisz po prostu powiedzieć ojcu, o co ci chodzi. Z niecierpliwością będę czekać na zdjęcia, które zrobiłaś. Teraz pospiesz się, zanim Brian zacznie na nas krzyczeć.

Sam, jeśli tylko będzie możliwe, zabierz Jo w to miejsce, gdzie kilka dni temu wylęgły się młode mewy. Matko Przenajświętsza, popatrzcie, która godzina. Zmykajcie stąd szybko.

Poderwała Sama z ławki i, ani na moment nie przestając trąkotać, wypchnęła go razem z córką za drzwi.

- Co to, do diabła, ma znaczyć, Kate? - zapytał Brian.

- Przy odrobinie szczęścia - dobry początek.

- Gdy tylko znajdą się dwa metry od domu, rozejdą się w różne strony.

- Mylisz się - nie zgodziła się z nim Kate i ruszyła w stronę telefonu, który właśnie zaczął dzwonić. - Ponieważ żadne z nich nie zrobi tego pierwsze. Będą czekać, aż to drugie da nogę, tymczasem przynajmniej przez jakiś czas będą iść w tym samym kierunku. Dzień dobry - powiedziała do słuchawki. - Sanktuarium. - Uśmiech zniknął

z jej twarzy. - Słucham, co takiego? Tak, tak, oczywiście. - Automatycznie wzięła do ręki ołówek i zaczęła coś zapisywać w leżącym obok telefonu notesie. - Natychmiast zadzwonię, gdzie trzeba. Proszę się na razie nie martwić. To bardzo mała wyspa.

Zrobimy, co tylko będziemy mogli, panie Peters. Zaraz osobiście przyjadę do pana domku. Nie, wszystko w porządku. Za chwileczkę tam będę.

- Czyżby znówu moskity przedostały się przez osłonę ganku? - zapytał Brian.

Wiedział jednak, że stało się coś znacznie gorszego.

- Państwo Petersowie razem z przyjaciółmi wynajęli na tydzień Chatkę Nad Zatoczką Dzikiego Konia. Pan Peters nie może od rana znaleźć żony.

Brian poczuł, że ze strachu uginają się pod nim kolana.

- Kate, przecież jeszcze nawet nie ma siódmej. Prawdopodobnie pani Peters wstała wcześniej i wyszła na poranny spacer.

- Szuka jej prawie od godziny. Na plaży, tuż przy wodzie znalazł jej buty. - Z

roztargnieniem przesunęła ręką po włosach. - No cóż, może rzeczywiście jest tak, jak mówisz, ale on się potwornie martwi. Pojadę tam i spróbuję go uspokoić, pomogę mu się rozejrzeć i zaczekam, aż jego żona wróci do domu.

Z trudem zdobyła się na blady uśmiech.

- Przykro mi, kochanie, ale to oznacza, że muszę iść na górę i obudzić Lexy, żeby mnie zastąpiła i podała gościom śniadanie. Nie jest wykluczone, że będzie wściekła.

- Nie martwię się o Lexy, Kate - wyjaśnił, kiedy szła w stronę drzwi. - Dasz mi znać, gdy pani Peters dotrze do domu?

- Oczywiście, złotko. Być może wróci, nim tam dotrę.

Nie wróciła. O dwunastej w południe martwił się o nią już nie tylko Tom Peters. Do poszukiwań przyłączyli się mieszkańcy Desire i inni wczasowicze, między innymi również Nathan. Raz czy dwa spotkał Toma i Susan, w związku z tym jak przez mgłę przypominał sobie ładną, szczupłą brunetkę średniego wzrostu.

Zostawił innym przeczesywanie plaży i zatoczki, a sam skoncentrował się na zarośniętym wysoką trawą, wąskim, mającym zaledwie dwieście metrów szerokości pasie dzielącym jego domek od Zatoczki Dzikiego Konia. W pobliżu zaczynał się las, a z drugiej strony ciągnęły się wzniesienia i wydmy. Wędrował po tym pasie powoli, a kiedy dotarł do piasku, zauważył przecinające się ślady ludzi, którzy wpadli na ten sam pomysł i już wcześniej próbowali przeszukać ten teren.

Chociaż wiedział, że to nie ma sensu, wdrapał się na wydmy. Znajdująca się poniżej zatoczka była bardzo ustronnym miejscem, ale każdy, kto znalazłby się na tym terenie, natychmiast zostałby zauważony przez ludzi prowadzących poszukiwania.

Teraz dostrzegł tylko jednego mężczyznę, który niespokojnie chodził tam i z powrotem.

- Nathan?

Odwrócił się i, widząc wdrapującą się po zboczu wydmy Jo, wyciągnął rękę, żeby jej pomóc.

- Przechodziłam niedaleko twojego domku - zaczęła. - Widzę, że już o wszystkim wiesz.

- To musi być jej mąż. Spotkałem go kilka razy.

- Tom Peters. Przemierzyłam już całą wyspę. Wyszłam dzisiaj wcześniej rano, mniej więcej o siódmej i miałam zamiar trochę popracować. Jakąś godzinę temu wytropiło nas jedno z dzieci Pendletonów i powiedziało o wszystkim. Pan Peters mówi, że tuż nad wodą znalazł jej buty.

- Tak, słyszałem.

- Ludzie myślą, że po prostu poszła się wykąpać i... Prąd jest tu dość słaby, ale jeśli złapał ją skurcz albo wypłynęła za daleko...

To był dość ponury scenariusz, ale Nathanowi przyszedł już wcześniej do głowy.

- Czy, gdyby rzeczywiście tak się stało, do tego czasu nie powinien jej wyrzucić przyływ?

- Być może jeszcze nie zdążył. Jeśli zniósł ją prąd, znajdą ją nieco dalej po następnym przyptywie. W ten sposób utonął Barry Fitzsimmons. Mieliśmy wówczas mniej więcej po szesnaście lat. Doskonale pływał, ale pewnej nocy podczas imprezy na plaży wypłynął w morze zupełnie sam. Wcześniej sporo wypił. Znaleźli go następnego ranka podczas odpływu o kilometr dalej.

Nathan spojrzał na południe, tam gdzie morze było bardziej niespokojne.

Pomyślał o Kyle'u, który utonął w błękitnych falach Morza Śródziemnego.

- W takim razie gdzie jest jej ubranie?

- Słucham?

- Wydaje mi się, że gdyby miała zamiar popływać, wcześniej by się rozebrała.

- Chyba masz rację. Chociaż nie wykluczone, że przyszła od razu w stroju kąpielowym.

- Bez ręcznika? - Pomyślał, że to raczej niemożliwe. - Ciekaw jestem, czy ktoś zapytał pana Petersa, co miała na sobie jego żona, gdy wyszła z domu. Zejdę na dół

porozmawiać z nim, - Chyba nie powinniśmy mu przeszkadzać.

- Jest sam i bardzo się martwi. - Nathan ruszył w dół, przez cały czas trzymając Jo za rękę. - Chyba że pokłócił się z żoną, zabił ją i pozbył się ciała.

- Okropny i całkowicie nedorzeczny pomysł. To zupełnie normalny i przyzwoity mężczyzna.

- Czasami normalni i przyzwoici ludzie robią rzeczy, o które nikt nigdy by ich nie posądził.

Kiedy się zbliżali, Nathan uważnie przyjrzał się Tomowi Petersowi. Był to zbliżający się do trzydziestki mężczyzna, mający prawie sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu. W pomiętych krótkich spodniach i białym podkoszulku sprawiał wrażenie człowieka wysportowanego. Prawdopodobnie trzy lub cztery razy tygodniowo spędza trochę czasu na sali gimnastycznej, pomyślał Nathan. Pan Peters był lekko opalony, a chociaż dzięki kilkudniowemu zarostowi wyglądał na trochę zaniedbanego, nietrudno było zauważyć, że jego jasne włosy przycięte są bardzo starannie i elegancko.

Kiedy uniósł głowę, Nathan dostrzegł w jego oczach potworne przerażenie.

- Witam pana, panie Peters.

- Nie wiem, gdzie jeszcze mogę jej szukać. Nie wiem, co robić. - Kiedy mówił te słowa, w jego oczach pojawiły się łzy. Zamrugnął powiekami, żeby je powstrzymać, i zaczął z trudem łapać powietrze. - Moi przyjaciele poszli rozejrzeć się po drugiej stronie wyspy. Ja musiałem tu wrócić. Musiałem wrócić, żeby na wszelki wypadek tu być.

- Powinien pan usiąść. - Jo delikatnie ujęła go za ramię. - Może wejdziemy do domku i chwilę pan odpocznie? Zrobię panu filiżankę kawy.

- Nie, nie mogę się stąd ruszyć. Wczoraj wieczorem Susan przyszła właśnie tutaj. Pokłóciliśmy się. O mój Boże, to takie głupie, ale naprawdę pokłóciliśmy się. Czy musieliśmy to robić?

Ukrył twarz w dłoniach i przycisnął palce do piekących oczu.

- Susan chce, żebyśmy kupili dom. Jeszcze nie możemy sobie na to pozwolić.

Próbowałem jej wszystko wyjaśnić, starałem się pokazać, że byłoby to bardzo nierozsądne posunięcie, ale ona nie chciała mnie słuchać. Kiedy wściekła wyszła z domu, poczułem ogromną ulgę. Naprawdę poczułem ulgę i pomyślałem: „No cóż, teraz przynajmniej mogę się trochę przespać, a ona tymczasem przespaceruje się trochę i może przejdzie jej złość”.

- Może dla ochłody poszła się wykąpać? - odpowiedział Nathan.

- Susan? - Tom roześmiał się gorzko. - Miałaby pływać sama, na dodatek w nocy? Mało prawdopodobne. Ona nigdy nie wchodzi do wody głębiej niż do kolan. Nie lubi pływać w oceanie. Zawsze powtarza, że gdy tylko czuje, jak fale obmywają jej łydki, natychmiast zaczyna słyszeć dźwięki wiolonczeli. Rozumiecie - powiedział z bladym uśmiechem. - *Zew kostuchy*.

Odwrócił się i spojrział na wodę.

- Ludzie myślą, że poszła popływać i utonęła, ale to jest po prostu niemożliwe.

Uwielbia siedzieć i spoglądać na ocean. Uwielbia słyszeć jego szum, wdychać jego zapach, ale za nic w świecie nie chce się w nim kąpać. Gdzie ona, do diabła, jest? Do jasnej cholery, Susan, napędzanie mi strachu po to, żeby nakłonić mnie do kupna domu, jest naprawdę cholernie głupim pomysłem. Muszę gdzieś iść i rozejrzeć się dookoła. Nie mogę tak tutaj stać.



Ruszył w stronę wydmy, a kiedy zniknął za wzniesieniem, zostawił za sobą osuwającą się lawinę piasku.

- Czy uważasz, Nathan, że jej właśnie o to chodzi? Chce go zdenerwować, ponieważ jest na niego zła?

- Miejmy nadzieję, że tak. Chodź. - Otoczył ją ramieniem. - Zrobimy sobie długi spacer do domku i wszędzie po drodze będziemy się uważnie rozglądać. Potem trochę odpoczniemy.

- Przydałby mi się odpoczynek. Niemal od wszystkiego.

Wiatr z minuty na minutę wzmagał się, a oni tymczasem przeszli przez niewielkie zagłębienie, które prowadziło wśród wzniesień przybrzeżnych wydmy, a potem dalej, między wyższymi, znajdującymi się w głębi lądu pagórkami, tam gdzie krzewy czarnego bzu i wawrzyn skutecznie zatrzymywały piasek. Na ziemi widać było liczne ślady: rysy zostawione przez sunące kraby, trzypalczaste odciski paradujących tu dzikich indyków, miejsca, gdzie zatrzymywała się sarna, żeby zjeść jakieś nasiono albo jagodę.

Było tu również mnóstwo śladów pozostawionych przez ludzi, wszystkie jednak powoli zacierał wiatr.

Cała ta przestrzeń przypominała bajeczną łąkę pokrytą tysiącem drobniutkich, białych kwiatuszków i bagiennych goździków.

Jo zaczęła się zastanawiać, czy to możliwe, że Susan wędrowała tędy sama w nocy. Był piękny wieczór i pusta plaża na pewno kusila nie tylko ludzi mających kłopoty. Mocny wiatr przynosił rześkie powietrze. I nawet wówczas gdy odpływ zostawił po sobie wilgotny piasek, wiatr gonił go po plaży tak, że drapał w kostki.

- Mogła zostawić buty tutaj - rozważała Jo. - Gdyby chciała wybrać się na spacer. Była zła, zdenerwowana, bardzo chciała być sama. To była ciepła noc.

Mogła iść brzegiem, wzdłuż wody. Taka wersja jest najbardziej prawdopodobna.

Odwróciła się i spojrzała z niewielkiego wzgórza w stronę morza. Wiatr unosił

piasek i rozpylał w powietrzu sól, przyginał do ziemi trawę i przykrywał świeżą warstwą piachu płaczące się wszędzie przydrożne powoje.

- Może ją już znaleźli. - Nathan położył dłoń na ramieniu Jo. - Gdy dotrzemy do domku, zadzwonimy i dowiemy się.

- Gdzie jeszcze mogła pójść? - Jo odwróciła się, by spojrzeć w głąb lądu, tam gdzie wydmy łagodnymi wzgórkami podkładały się powoli, lecz nieustępliwie w stronę drzew. - Głupotą byłoby wchodzenie w głąb lasu. Nie widziałyby księżyca...

poza tym tam na pewno potrzebne by jej były buty. Czy z powodu domu mogła być na tyle zła na

męża, by tak długo nie wracać i liczyć, że będzie się o nią martwił?

- Nie wiem. Małżonkowie czasami naprawdę postępują bardzo dziwnie. Robią rzeczy, które osobom z zewnątrz mogą się wydawać okrutne, bezwzględne albo głupie.

- Ty też tak postępowaleś? - Odwróciła się i uważnie przyjrzała jego twarzy. -

Czy, kiedy byłeś żonaty, robiłeś rzeczy okrutne, bezwzględne i głupie?

- Prawdopodobnie tak. - Wetknął jej za ucho kosmyk włosów, który wiatr rzucił

jej na twarz. - Jestem pewien, że moja była żona bez trudu wymieniłaby całą litanię.

- Małżeństwo bardzo często jest poważnym błędem. Jeśli człowiek jest skazany na czyjeś towarzystwo, nieuchronnie albo za bardzo zaczyna polegać na drugiej osobie, albo całkowicie ją zaniedbuje, albo nagle stwierdza, że ma jej dosyć, ponieważ ilekroć się obróci, widzi ją u swego boku.

- Jak na kobietę, która nigdy nie była mężatką, masz niezwykle cyniczny pogląd na te sprawy.

- Obserwowałam małżeństwo. Bardzo lubię przyglądać się z boku.

- Ponieważ to jest mniej ryzykowne niż branie czynnego udziału. Ponownie się odwróciła.

- Ponieważ lubię to robić. Czy pan Peters kiedykolwiek zdoła wybaczyć żonie, jeśli ona rzeczywiście gdzieś tu jest, tylko zwleka z powrotem i pozwala mężowi cierpieć takie katusze?

Nagle ogarnęła ją złość, niepohamowana, głucha złość.

- Ale on i tak jej wybaczy, prawda? - dopytywała, odwracając się do Nathana. -

Szlochając z radości, padnie do jej stóp i kupi ten pieprzony domek, które go ona tak bardzo pragnie. Jeśli pani Peters chce postawić na swoim, wystarczy jedynie, że na kilka godzin zamieni mężowi życie w piekło.

Nathan przyjrzał się uważnie jej lśniąco oczom i delikatnym rumieńcom Jo Ellen, które pod wpływem złości pojawiły się na jej policzkach.

## **ROZDZIAŁ 23**

- Być może masz rację - powiedział spokojnie, zafascynowany faktem, że tak szybko zdołała przeskoczyć od zmartwienia do potępienia. - Ale oskarżasz o wyrachowanie kobietę, której nawet nie znasz.

- Znałam osoby jej pokroju. Tak postąpiła moja matka i Ginny, tak postępują również inni ludzie, którzy robią to, co wpadnie im do głowy, w ogóle nie zastanawiając się nad konsekwencjami swojego czynu ani nad tym, w jaki sposób zareagują inni. Nie cierpię takich ludzi. Nienawidzę ich

egoizmu i bezgranicznego zainteresowania własną osobą.

W jej głosie słyhać było potworny ból. Słyszając go, Nathan poczuł

nieprzyjemny uścisk w dołku i rosnące zdenerwowanie. Czuł, że musi jej o wszystkim powiedzieć. Nie może już dłużej tego przed nią ukrywać, niezależnie od tego, jak bardzo próbuje przekonać samego siebie, że tak jest lepiej dla nich obydwojga.

Może zniknięcie Susan Peters jest znakiem, może to omen. Oczywiście, jeśli wierzy się w tego typu rzeczy. Jednak niezależnie od tego, w co wierzy i czego pragnie, w końcu będzie musiał jej powiedzieć wszystko, co wie.

Czy ona jest już na tyle mocna, by znieść tę prawdę? Czy to jej nie złamie?

- Jo Ellen, chodźmy do środka.

- Tak. - Zgodziła się, widząc, że chmury przysłaniają słońce, a wiatr zawodzi ostrzegawczo. - Dlaczego, do jasnej cholery, płaczemy się tutaj i zamartwiamy my na śmierć z powodu jakiejś obcej kobiety, która była na tyle okrutna, że kazała przejść przez coś takiego mężowi i przyjacielom?

- Ponieważ zbłądziła, Jo. Tak czy inaczej.

- Kto z nas nie błądzi? - mruknęła pod nosem.

Doszedł do wniosku, że prawda może poczekać jeszcze jeden dzień. Może zaczekać, aż znajdzie się Susan Peters. Jeśli kradnąc dla siebie jeszcze kilka godzin i odsuwając moment, w którym zniszczy życie swoje i Jo, rzuca wyzwanie bogom, gotów jest zapłacić potem za to wyznaczoną przez nich cenę.

Czy ta cena może być wyższa od tej, którą już zapłacił?

Gdyby wiedział, że Jo jest wystarczająco silna, by to znieść, wyjawiłby jej okropny sekret, który zna tylko on.

Annabelle nigdy nie rzuciła Desire. Została zamordowana w lesie na zachód od Sanktuarium. Stało się to pewnej nocy w środku lata, podczas pełni księżyca.

Mordercą był David Delaney, jego ojciec, człowiek, którego Nathan przez tyle lat darzył ogromną miłością, podziwem i szacunkiem.

Jo spostrzegła błyskawicę i lśniącą kurtynę deszczu widoczną w oddali nad powierzchnią morza.

- Będzie burza - powiedziała.

- Wiem.

Kiedy pierwsze krople z głośnym pluskiem zaczęły uderzać o ziemię, Kirby przyspieszyła kroku. Jej

grupa poszukiwawcza rozdzieliła się na rozstaju dróg. Sama Kirby wybrała ścieżkę prowadzącą do Sanktuarium i starała się iść jak najszybciej, ponieważ przeciekający przez gęste konary i pnącza deszcz już po paru krokach całkiem przemoczył jej ubranie. Zaczęła odczuwać chłód. Nim dotarła do skraj lasu, ulewa rozszalała się na dobre. Towarzyszył jej zaskakująco zimny wiatr. Nagle Kirby dostrzegła wędrującego w tym samym kierunku przygarbionego Briana.

Spotkali się na brzegu ciągnącego się na wschód od domu tarasu. Bez słowa złapał ją za rękę i wciągnął na ganek. Przez moment stali nieruchomo, ociekając wodą, nie zwracając uwagi na błyskawicę, która zygzakiem przecięła niebo, ani na grzmot, który po chwili przetoczył się głucho nad ich głowami.

- Nadal nic nie wiadomo? - Kirby przełożyła torbę lekarską z ręki do ręki.

- Nic. Właśnie idę z zachodniej części wyspy. Giff zebrał kilku ludzi i ruszył z nimi na północ. - Brian znużony przetarł oczy. - To zaczyna stawać się tu zwyczajem.

- Minęło już ponad dwadzieścia godzin od momentu, kiedy widziano ją po raz ostatni. - Kirby spojrzała na strugi deszczu. - To zbyt długo. Teraz będą musieli odwołać poszukiwania i poczekać, aż minie burza. Dobry Boże, Brian, wcale nie jest wykluczone, że gdy ta ulewa dobiegnie końca, znajdziemy ciało pani Peters wyrzucone przez morze. Nie widzę już żadnego innego wyjaśnienia. Żal mi jej męża.

- W tej chwili możemy jedynie czekać. Przydałaby ci się jakaś sucha bluzka i trochę kawy.

- Tak. - Odrzuciła do tyłu mokre włosy. - Przebiorę się i napiję. A skoro już tutaj jestem, chciałabym obejrzeć twoją rękę i zmienić ci opatrunek.

- Rana świetnie się goi.

- Wolalabym sprawdzić to osobiście - powiedziała, wchodząc za nim do środka

- dlatego pozwól, że rzucę okiem.

- Rób, jak uważasz. Wejdź na górę i wybierz sobie coś z szafy Jo.

Dom sprawiał wrażenie cichego i całkiem odizolowanego od szalejącego na zewnątrz deszczu.

- Czy Jo jest w domu?

- Z tego, co wiem, ona również bierze udział w poszukiwaniach. - Podeszedł do zamrażarki i wyjął z niej grochówkę, którą przygotował kilka tygodni temu. - Na pewno znajdzie sobie jakieś schronienie, tak samo jak wszyscy pozostali.

Kiedy piętnaście minut później Kirby wróciła, w kuchni unosił się zapach kawy i gotującej się na wolnym ogniu zupy. Kirby zdążyła się już trochę rozgrzać, dzięki temu przestała również odczuwać nieznosne napięcie mięśni. Przez chwilę stała oparta o framugę i przyglądała się pracującemu Brianowi.

Nie zważając na zabandażowaną rękę, kroił równiutkie kromki razowego chleba, który niewątpliwie sam upiekł. Wilgotna koszula przywarła do jego ciała, wyraźnie ukazując niezwykle atrakcyjny zarys mięśni i żeber. Kiedy uniósł głowę, Kirby zauważyła, że jego oczy są chłodne i przypominają zasnutą mgłą niebo. Widząc to, poczuła miły dreszczyk podniecenia.

- Rozchodzą się tu fantastyczne zapachy.

- Podejrzewam, że dawno nie jadłaś.

- Rzeczywiście... ostatnią rzeczą, którą miałam w ustach, było nieświeże duńskie ciasto, a kroiałam je sobie na śniadanie. - Podała mu koszulę, którą przed chwilą wyjęła z jego szafy. - Przebierz się, proszę. Nie powinieneś mieć na sobie mokrego ubrania.

- Dziękuję. - Zauważył, że włożyła szary dres Jo. Był na nią za luźny i sprawiał, że wyglądała jeszcze bardziej delikatnie. - Całkowicie utonęłaś w tym dresie.

- No cóż, Jo jest przynajmniej piętnaście centymetrów ode mnie wyższa. -

Kiedy ściągnął przez głowę mokrą koszulę, Kirby uniosła brwi. Jego skóra była wilgotna, opalona i niezwykle delikatna. - Boże, ale z ciebie atrakcyjny facet, Brian. -

Roześmiała się, kiedy najwyraźniej zmieszany i zakłopotany, zmarszczył czoło. -

Muszę się przyznać, że podziwiam twoją fantastyczną sylwetkę zarówno jako lekarz, jak i kobieta. Lepiej włóż już tę koszulę, bo ani lekarz, ani kobieta nie zdołają nad sobą zapanować.

- To mogłoby być interesujące. - Trzymając koszulę między palcami, podszedł

do Kirby. - Która będzie pierwsza?

- Nigdy nie pozwalam, by moje odczucia osobiste miały jakikolwiek wpływ na wykonywanie przeze mnie obowiązków zawodowych. - Przesunęła palcem po jego ramieniu najpierw w górę, a potem w dół, aż do nadgarstka. - W związku z tym najpierw chciałabym obejrzeć twoje szwy.

- A potem? - Zanim zdołała udzielić odpowiedzi, ujął ją za łokcie i uniósł w górę. Kiedy ich usta znalazły się na tym samym poziomie, zaczął je delikatnie całować.

- Doskonale rozwinięte mięśnie ramion i tułowia - powiedziała z lekką zadyszką, a równocześnie objęła go nogami w pasie. - Odrobinę przyspieszone tętno -

mruknęła, muskając ustami jego szyję, by sprawdzić puls. - Ale niewiele.

- Zaraziłem się tym, pani doktor. - Brian ukrył twarz w jej włosach. Pachniały deszczem i cytrynami. - Nie mogę się tego pozbyć. Prawdę mówiąc, zaczynam podejrzewać, że to nieuleczalne. - Kiedy zamarła w bezruchu, uniósł ją i spojrzał jej w oczy. - Czego ode mnie chcesz, Kirby?

- Wydawało mi się, że wiem. - Poczuła mrowienie w palcach, kiedy dotknęła nimi jego twarzy. -

Teraz niczego już nie jestem pewna. Może rzeczywiście to, na co się skarżysz, jest zaraźliwe. Czy boli cię serce?

- Tak, zupełnie jakby ktoś mi je bez przerwy ścisnął.

- Miewasz wrażenie, że na zmianę raz toniesz, to znów wypływasz na powierzchnię?

- Ostatnio przez cały czas. W takim razie, na co jesteśmy chorzy, pani doktor?

- Nie jestem całkiem pewna, ale... - Urwała, ponieważ usłyszała skrzypienie drzwi prowadzących na ganek. Po chwili do kuchni dobiegł gwar głosów. Z ciężkim westchnieniem Kirby pozwoliła, by Brian opuścił ją na podłogę.

- To chyba Giff i Lexy. - Nie odrywał wzroku od Kirby. - Najprawdopodobniej jest z nimi jeszcze kilka osób i wszyscy będą chcieli dostać coś dobrego do jedzenia.

- W takim razie pomogę ci podać zupę.

- Będę ci niezmiernie wdzięczny. - Uniósł pokrywkę garnka. W górę wzbił się obłoczek pary, a po kuchni rozniósł się wspaniały zapach. - W którymś momencie będziemy musieli dokończyć tę rozmowę.

- Tak, wiem. - Otworzyła kredens i zaczęła wyjmować miseczki. - W którymś momencie.

Z ganku Nathana Jo obserwowała deszcz i niespokojnie paliła papierosa. Kiedy przyszli, włączył telewizor, mając nadzieję, że uda im się usłyszeć jakąś prognozę pogody. Ale kable zdążyły już zamoknąć, w związku z tym musieli zadowolić się radiem. Zakłócenia w odbiorze zagłuszały słowa spikera, który odczytywał

komunikaty dla niewielkich jednostek rybackich i ostrzegał przed nagłą powodzią.

Jo uświadomiła sobie, że jeśli to wszystko potrwa nieco dłużej, w końcu zabraknie na wyspie prądu. Poza tym liczne stawy i rzeka na pewno wystąpią z brzegów. Już widać było coraz większe i głębsze kałuże.

- Nadal nic nie wiadomo. - Nathan dołączył do niej. - Niektórzy członkowie grupy poszukiwawczej schronili się w Sanktuarium, żeby przeczekać. - Położył jej na plecach ręcznik. - Drżysz. Może jednak weslibyśmy do środka.

- Lubię obserwować burzę. - Błyskawica przecięła niebo, a Jo poczuła nagłe ściśnięcie w dołku. - Gwałtowne ulewy, takie jak ta, są potwornie niemiłe, jeśli człowiek znajduje się na zewnątrz, ale obserwowanie ich z dogodnego punktu jest niezwykle ekscytującym zajęciem. - Kiedy niebo rozblęsnęło żarem i bielą, odetchnęła głęboko. W powietrzu czuć było ozon. - Gdzie masz aparat? Swój zostawiłam w domu.

- W sypialni. Przyniosę ci go.

Pełnym zniecierpliwienia gestem zgasiła papierosa w połamanej muszli.

Roznosi mnie nadmiar energii, pomyślała. Stąd przyspieszone bicie serca i potrzeba działania. Kiedy Nathan wrócił z aparatem fotograficznym, niemal wyrwała mu go z ręki.

- Jaki masz w nim film?

- Czterechsetkę - powiedział cicho, obserwując, jak szybko wszystko sprawdza.

- Doskonale. To wysoka czułość. Taka, jakiej właśnie potrzebuję. - Uniosła aparat i skierowała obiektyw na smagane deszczem drzewa i zwisający z nich mech. -

No, już, nie każ na siebie długo czekać - mruzczała pod nosem, a potem, przy następnej błyskawicy nacisnęła migawkę. - Następna, potrzebna mi następna. - Kiedy przesunęła się, by wykonać inne ujęcie, grzmot przetoczył się w powietrzu głuchym echem. Czowała, że świerzbią ją palce, zupełnie jakby trzymała je na spuście rewolweru.

- Muszę zejść na dół i pstryknąć tamto drzewo.

- Nie. - Nathan pochylił się, by podnieść ręcznik, który spadł jej z ramion.

Daszek nie był wystarczającą ochroną przed zacinającym deszczem, dlatego niemal natychmiast oboje całkowicie przemokli. - Nie możesz wyjść dalej. Nigdy nie wiadomo, gdzie i kiedy może uderzyć piorun.

- Na tym między innymi polega cały urok: że się tego nie wie i w ogóle nie zwraca się na to uwagi. - Potrząsnęła głową. W jej oczach pojawił się niebezpieczny błysk beztroski i lekkomyślności. - Nie wiem, co będzie z nami, ani czy za chwilę nie trafi we mnie piorun. Wygląda na to, że jest mi to najzupełniej obojętne. Czy wyrządzisz mi krzywdę, Nathan, czy może ja tobie? Ile czasu trzeba, by któreś z nas zrobiło coś okrutnego, bezwzględnego albo głupiego?

Zanim zdołał się odezwać, chwyciła w garść jego włosy i energicznie przyciągnęła do siebie jego usta.

- Jest mi to całkowicie obojętne.

- Coś takiego nie może być ci obojętne. - Wściekły na los, złapał w dłonie jej twarz i odsunął od siebie. Jego oczy były ciemne i oszalałe, tak samo jak burza i porywisty wiatr. - Chcę, żebyś zrozumiała, że jeśli cię skrzywdzę, to tylko dlatego, że nie będę miał innego wyboru.

- Jest mi to całkowicie obojętne - powtórzyła, z powrotem przyciągając do siebie jego usta. - Chcę jedynie chwili obecnej. Liczy się tylko teraz. A teraz pragnę ciebie. Nie chcę się nad niczym zastanawiać, nie chcę, by którekolwiek z nas zastanawiało się nad czymkolwiek. Chcę jedynie czuć.

Kiedy mijali drzwi, Nathan nie był już w stanie trzeźwo myśleć. Jo zakołysała aparatem, śmiejąc się i pojękując, kiedy Nathan rozrywał jej bluzkę.

- Szybko - wydusiła. - Chcę, żeby było szybko.

Kiedy razem z nią osunął się na podłogę, aparat delikatnie stuknął o dywan.

Zaczęli zrzucać z siebie ubranie i buty. Wdarł się w nią, nie zważając na to, że nie zdążyła jeszcze wyplątać rąk z rękawów bluzki. Z trudem usiłowała się z nich uwolnić, a gwałtowny dreszczyk spowodowany bezradnością i skrępowaniem ruchów jedynie zwiększył podniecenie. Po chwili zdołała się wyplątać, a wówczas jej palce wpiły się głęboko w jego biodra i przynaglały go, by poruszał się głębiej, szybciej i mocniej.

Nie był w stanie się powstrzymać, dlatego całkowicie poddał się pełnej wściekłości i żaru namiętności. Jeśli nią kierowało szalone pragnienie, jego popychała do czynu nieprawdopodobna desperacja. Pragnął ją wziąć, mieć dla siebie, zatrzymać na dłużej. Na następny dzień, następną godzinę. Na całe życie.

Jeśli karą za grzech ojca było to, że najpierw zakochał się w niej bez pamięci, a potem ostatecznie będzie musiał ją stracić, postara się wykorzystać każdy moment, który uda mu się wykraść, zanim nadejdzie czas zapłaty.

Kiedy ciało Jo zalała fala rozkoszy, krzyknęła z wdzięczności i ulgi. Nathan gwałtownie zanurzył się w niej i zastygł w bezruchu. Kiedy po chwili odsunął ją od siebie, by się jej przyjrzeć, nie mógł złapać tchu.

- O to właśnie ci chodziło? - Tak.

- Chciałaś pokochać się szybko i bez serca. - Tak.

Zacisnął dłonie w pięści. A więc właśnie tyle jej dał.

- Czy sądzisz, że to koniec?

Na moment zamknęła oczy, potem zmusiła się, by je otworzyć. - Nie.

- Cieszę się. - Rozluźnił dłoń i pogłaskał Jo po policzku. Kiedy otworzyła oczy i spojrzała na niego, zdał sobie sprawę, że kradnie następną chwilę. - Nie będę się z tobą kłócił, ponieważ nadal cię pragnę. Daj mi więcej, Jo Ellen. - Delikatnie do tknął

wargami jej ust. - Nie zmuszaj mnie, bym tym razem wziął sobie sam.

Objęła go.

- Tak bardzo się ciebie boję.

- Wiem. Ale daj mi więcej. Zaryzykuj.

Jego Usta ani na chwilę nie przestawały jej delikatnie całować, czekając na reakcję i pragnienie. Chciał więcej, nie wystarczała mu ta szalona ulga, którą przed chwilą ofiarowali sobie nawzajem.



Nie wystarczało chwilowe poddanie się zwierzęcemu instynktowi. Kiedy z westchnieniem wymówiła jego imię, wiedział, że są na dobrej drodze, by osiągnąć to coś.

Jej usta stawały się coraz bardziej spragnione, a ręce zaczęły krążyć po jego ciele. Od nowa ogarniało ją pożądanie, zupełnie jakby nigdy w życiu nikt nie zdołał jej zaspokoić. Była złałknioma smaku jego skóry, dlatego jej wargi rozpoczęły wędrówkę po twarzy i szyi mężczyzny. Mruczając z zadowolenia, tak długo się przesuwiała, aż znalazła się na nim i uzyskała pełną swobodę ruchów. Mogła robić wszystko, na co miała ochotę.

Gwałtowne podmuchy wiatru uderzały jak szalone o drzwi ganku. Domek drżał w posadach. Jakby dla kontrastu oni poruszali się powoli, niemal z ociąganiem.

Skupili się na dotyku i smaku, a w powietrzu unosiły się westchnienia i pomruki. Jo zatraciła się całkowicie w łagodnym kołysaniu, delikatnych i spokojnych ruchach, wolnym, zgodnym rytmie dwóch ciał.

Odsunął Jo Ellen delikatnie, usiadł i posadził ją sobie na kolanach. Wiedział, że oboje bardzo potrzebują czułości, by uśmierzyć ból, który kiedyś przecierpieli. A także ten, który jeszcze ich czeka.

Przez cały czas patrzyli sobie w oczy. Nathan pochylał głowę i dotknął wargami jej ust, początkowo delikatnie, potem nieco mocniej, bardziej namiętnie, cierpliwie czekając aż pocałunki rozpalą jej ciało. Cudowna intymność zapłonęła w niej tysiącem drobnych iskier. Być może zdołałaby się temu oprzeć, uniosła nawet dłoń do jego piersi, jakby miała zamiar go odepchnąć, ale w tym samym momencie straciła panowanie nad sobą i już nic nie była w stanie zrobić.

Wiedział, że oboje potrzebują uległości. I oddania. Delikatne, namiętne pocałunki podnieciły ich i pchnęły w stronę przepaści. Kiedy w końcu położył się na niej, zaczęła wydawać ciche westchnienia i jęki. Nie spieszył się, pragnąc sprawić jej ogromną rozkosz.

Przez chwilę oboje drżeli, a kiedy przytuliła się do niego, z radością stwierdziła, że nadal jest podniecony. Uśmiechnęła się nieśmiało.

- Jeszcze raz - szepnęła. - Chcę jeszcze raz tak samo.

Ogarniające ją uczucie rozkoszy zaszumiało w głowie jak wino. Nadal przepełniona niezwykłą radością przesunęła się, aż znalazła się na nim i poczuła pod wargami mocne bicie jego serca.

- Kocham to, co ze mną robisz. - Zsunęła się niżej, obsypując pocałunkami jego klatkę piersiową i brzuch. - Chcę wiedzieć, że ja jestem w stanie zrobić z tobą to samo.

Zadrżał, kiedy jej wspaniałe, gorące usta zsunęły się jeszcze niżej.

Nieprawdopodobna rozkosz zasnęła mu oczy mgłą, a szum w głowie całkowicie zagłuszył odgłosy deszczu. Bez trudu doprowadziła go na skraj spełnienia, dlatego śliskimi koniuszkami palców złapał się kurczowo tej wszechogarniającej przyjemności. Robił wszystko, by nie stracić panowania nad sobą i pozostać przy zdrowych zmysłach.

Uniosła się delikatnie, a jej ciało połyskiwało w mroku pokoju. Po chwili opadła, wpuściła go w siebie, odchyliła się nieco do tyłu i wzięła go jeszcze głębiej.

Uniosła ręce do góry, złożyła je za głową, zupełnie jakby odniosła zwycięstwo.

Spojrzała na niego i, wpatrując się uważnie w jego przymglone, szare oczy, zaczęła się poruszać.

Robiła to powoli, zupełnie jakby chciała poddać go torturom. Kiedy jego dłonie zdecydowanie i zaborczo zamknęły się na jej piersiach, zadrżała. Przez cały czas poruszała się niezwykle delikatnie i łagodnie. Kiedy położyła ręce na jego klatce piersiowej, zabrakło mu tchu.

Odrzuciła do tyłu głowę i napięła wszystkie mięśnie, szybko podążając na sam szczyt. Chociaż czuła niespokojny rytm swojego serca, chociaż nieprawdopodobnie kręciło jej się w głowie, nadal chciała jeszcze więcej. Nie była w stanie tego znieść, nie była w stanie się powstrzymać. Niespokojnie poruszała się do tyłu i do przodu, szukając dodatkowej przyjemności.

Pot zrosił jej skórę. Kiedy Nathan uniósł się na łokciach i dotknął wargami jej piersi, poczuł w ustach smak soli. Krzyknęła zaszokowana i niemal przerażona.

Przycisnął ją mocno do siebie i zaczekał, aż oboje spadną w przepaść.

Z trudem łapała powietrze, czując, że całkowicie wyschło jej w gardle. Oparła głowę na jego ramieniu. Kiedy przestało jej dzwonić w uszach, usłyszała, że wokół

panuje całkowita cisza.

- Przestało padać.

- Uhm - mmm.

Wybuchnęła śmiechem i pogłaskała go po wilgotnych plecach.

- Teraz mogłabym wypić przynajmniej kilka litrów wody.

- Przyniosę ci.

- W porządku. Zaczekam tutaj.

- Chociaż wstyd mi się do tego przyznać, chyba jestem trochę za słaby, żeby donieść cię do zlewu. - Przesunął ją i z uśmiechem obserwował, jak bezwładnie osuwa się na dywan.

Wstał, żeby nalać wodę do szklanki, a potem zatrzymał się i spojrzał na Jo.

Miała zaróżowioną skórę, a jej włosy tworzyły wokół twarzy czerwoną aureolę. Na jej delikatnych, wciąż noszących ślady pocałunków ustach błąkał się uśmiech zadowolenia. Kierując się impulsem, odstawił szklankę i wziął do ręki aparat fotograficzny.

Kiedy usłyszała stuknięcie zwolnionej migawki, gwałtownie otworzyła oczy.

Krzyknęła i niemal automatycznie zasłoniła dłonią piersi.

- Do jasnej cholery, co ty robisz?

Kradnę chwile, pomyślał. Będą mi bardzo potrzebne.

- Jezu, nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak fantastycznie wyglądasz. - Kucnął i sfotografował jej rozszerzone oczy.

- Przestań. Zwariowałeś? Jestem naga.

- Wyglądasz niewiarygodnie. Masz zaróżowioną skórę i widać, że jesteś usatysfakcjonowana. Nie zasłaniaj się. Masz piękne piersi.

- Nathan. - Jeszcze dokładniej osłoniła się rękami. - Odłóż to.

- Dlaczego? - Opuścił aparat, ale ani na chwilę nie przestawał się uśmiechać. -

Przecież możesz sama wywołać ten film i zrobić odbitki. Kto je zobaczy? Nie ma nic piękniejszego i bardziej oszałamiającego niż akt.

- Dobrze. - Nie przestając osłaniać się jedną ręką, wyciągnęła drugą w jego stronę. - Pozwól zatem, że zrobię ci zdjęcie.

- Proszę bardzo. - Wyciągnął w jej stronę aparat, z rozbawieniem obserwując, jak zaskoczona marszczy czoło.

- Nie jesteś ani trochę zażenowany? - Nie.

Przekrzywiła głowę i spojrzała w stronę aparatu, który wciąż jeszcze trzymał w ręce.

- Chcę ten film.

- I tak nie miałem zamiaru oddać go do automatu, kochanie. - Spojrzał w dół i sprawdził stan licznika. - Zostało jeszcze jedno zdjęcie. Pozwól mi je zrobić. Tym razem będzie to tylko twoja twarz.

- Tylko moja twarz - zgodziła się i uspokoiła się na tyle, że zdołała się nawet uśmiechnąć. - Proszę. A teraz oddaj mi film.

- W porządku. - Kiedy wyciągnęła rękę, wykonał szybki ruch i pstryknął jeszcze jedno zdjęcie.

- Cholera jasna, mówiłeś, że została ci już tylko jedna klatka.

- Kłamałem. - Śmiejąc się głośno, wstał i położył aparat na stole. - Ale teraz to już naprawdę koniec.

Chciałbym zobaczyć stykówki, żeby móc wybrać coś dla siebie.

- Jeśli sądzisz, że mam zamiar wywołać ten film, jesteś w błędzie. - Wstała i złapała aparat.

- Tam są przecież zrobione przez ciebie zdjęcia burzy. - Powiedział to z delikatnym uśmiechem na ustach, a kiedy zauważył na jej twarzy, że nie może się zdecydować, czy wyjąć rolkę i prześwietlić ją, czy też zostawić film, na którym są jej własne fotografie, zadowolony wyszczerzył zęby.

- To było bardzo chytre, Nathan.

- Myślę, że tak. Nie wkładaj jej - powiedział, kiedy pochyliła się, by wziąć z podłogi bluzkę. - Jest wciąż wilgotna. Przyniosę ci coś suchego.

- Dzięki. - Obserwowała, jak Nathan idzie do sypialni, i zacisnęła mocno wargi, widząc jego mocne i muskularne pośladki. Wciągając spodnie pomyślała, że następnym razem musi zrobić wszystko, by mieć pod ręką własny aparat fotograficzny.

Z tą myślą wyjęła film i wsunęła go do kieszeni.

Kiedy wrócił, rzucił jej podkoszulek, a potem sam włożył suche dzinsy.

- Odprowadzę cię do Sanktuarium. Dowiemy się, co słyhać nowego.

- W porządku. Grupa poszukiwawcza prawdopodobnie znowu wyruszyła w teren. - Przeczesła palcami włosy, próbując je rozplatać. - Po tej burzy wszędzie będzie potworny bałagan. Na twoim miejscu wzięłabym jakieś wysokie buty.

Spojrzał na swoje oliwkowozielone tenisówki.

- Ale ty nie masz gumowców.

- Gdybym miała, na pewno bym je włożyła.

- W taki razie oboje pójdziemy w tym, co mamy. - Ujął jej dłoń, a kiedy uniósł

ją do ust, dostrzegł w oczach Jo ogromne zaskoczenie. - A potem wieczorem zaproszę cię na kolację.

- Na kolację?

- Tak, na kolację. Usiądziemy w jadalni, przejrzymy jadłospis i zamówimy sobie jakieś wino. Słyszałem, że ludzie czasami robią takie rzeczy.

- To głupie. Przecież ja tam mieszkam.

- Ale ja nie. Marzę o tym, żeby móc zjeść z tobą kolację. Pragnę usiąść naprzeciw ciebie przy stole, na którym będą płonęły świece, i móc spokojnie po rozmawiać. Chcę, by inni ludzie udawali, że nas nie obserwują i myśleli, że stanowimy niezwykle atrakcyjną parę. - Podniósł z ławy czapkę i włożył

ją na głowę. - A ja przez cały czas trwania posiłku będę mógł patrzeć na ciebie i myśleć o tym, że niedługo ponownie będę się z tobą kochać. Na tym właśnie polega flirt.

- Nie jestem w tym zbyt dobra.

- To samo mówiłaś o seksie. Tymczasem bardzo się myliłaś. - Wziął ją za rękę i podprowadził do drzwi. - Musimy sprawdzić, jak będzie w tym przypadku. Może nawet Brian upitrasz nam jakąś tartę.

Nie była w stanie opanować śmiechu.

- Ludzie bardzo się zdziwią, że siedzę sobie przy stoliku.

- Dzięki temu przez jakiś czas będą mieli o czym gadać. - Kiedy zeszli ze schodów, ich stopy zapadły się w rozmokłym gruncie.

Znowu zaczynało się robić gorąco. Tuż nad ziemią unosiła się delikatna mgiełka, a powietrze było strasznie parne. Las przykuwał wzrok ciemną, niezwykle bujną zielenią. Kiedy ruszyli w stronę rzeki, na głowy spadały im kapiące z liści krople wody.

- Deszcz i wiatr narobiły tu nieco bałaganu - skomentowała Jo. - Poziom wody znacznie się podniósł, a nurt jest teraz bardzo rwący. Być może rzeka wy stąpi z brzegów, nie sądzę jednak, by zdołała poczynić jakieś większe szkody.

Zboczyła nieco z drogi, by wszystkiemu uważniej się przyjrzeć, a kiedy wpadła po kostki w błoto, pogodziła się z myślą, że jej buty nie będą się już do niczego nadawały.

- Podejrzewam, że tata będzie chciał się tutaj rozejrzeć, chociaż niewiele można na to poradzić. Znacznie gorzej będzie wyglądał kemping. Moim zdaniem plaża nie powinna ulec zniszczeniu. Wiatr nie był na tyle mocny, by rozwiać wydmy. Ale morze na pewno wyrzuciło mnóstwo muszli.

- Mówisz, jak przystało na córkę twego ojca.

Nieuważnie spojrzała przez ramię.

- Nie. Bardzo rzadko zastanawiam się nad tym, co się tutaj dzieje. Co prawda w okresie huraganów trochę uważniej słucham prognoz pogody dla tego obszaru, ale już od wielu lat tego typu nieszczęścia omijały nas z daleka.

- Jo Ellen, kochasz tę wyspę. Nie powinnaś się tego wstydzić.

- Ale nie jest ona centrum mojego życia.

- Owszem, jednak jesteś do niej bardzo przywiązana. - Podeszedł bliżej. - Można być przywiązanym do wielu rzeczy i wielu ludzi, chociaż nie pełnią wcale ważnej roli w życiu. Ja przywiązałem się do ciebie. Usłyszała dzwonek alarmowy, dlatego cofnęła się o krok.

- Nathan... - Nagle grunt osunął się jej pod nogami i niewiele brakowało, a byłaby upadła.

- Skończy się na tym, że wpadniesz do rzeki. - Mocno chwycił ją za ramię. - A potem znowu powiesz, że cię tam wepchnąłem. Tymczasem wcale tego nie robię. Nie popycham cię, Jo Ellen, ale nie będzie mi przykro, jeśli się poślizgniesz.

- Lubię czuć pewny grunt pod nogami i wiedzieć, co się zdarzy, gdy postawię na nim stopę.

- Czasem trzeba wkroczyć na nowe terytorium. A ten teren również i dla mnie jest niezbadany.

- To nieprawda. Przecież byłeś już żonaty, miałeś...

- Ona nie była tobą - powiedział cicho i Jo znieruchomiała w jego ramionach. -

Nigdy nie czułem do niej tego, co obecnie czuję do ciebie. Ona nigdy nie patrzyła na mnie tak jak ty. Nigdy nie pragnąłem jej tak bardzo, jak pragnę ciebie.

Tego właśnie przez cały czas brakowało w naszym małżeństwie. Nie wiedziałem o tym i nie zdawałem sobie sprawy, jak dużo w tym wszystkim było mojej winy, dopóki cię ponownie nie ujrzałem.

- Moim zdaniem zbyt szybko posuwasz się do przodu.

- W takim razie spróbuj mi dotrzymać kroku. Cholera jasna, Jo Ellen - po wiedział z niecierpliwym westchnieniem, kiedy odchyliła do tyłu głowę. - Ustąp choć odrobinę.

Kiedy dotknął wargami jej ust, poczuła jego zniecierpliwienie i pragnienie, które było znacznie większe, niż przypuszczała. Nie wiedziała, czy powinna się bać, czy cieszyć. Sympatyczne ciepło, które poczuła wokół serca, miało smak nadziei.

- Może rzeczywiście mnie nie popychasz. - Nie broniła się, kiedy przytulił ją mocniej do siebie. - Mam jednak wrażenie, że tonę. - Oparła głowę na jego ramieniu, z całych sił starając się trzeźwo myśleć. - Gdzieś w głębi duszy pragnę, żeby to się stało, jednak rozsądek każe mi się bronić. Nie wiem, co lepsze, zarówno dla mnie, jak i dla ciebie.

Nathan bardzo potrzebował takiego przebłysku nadziei, tego płynącego z głębi serca cichego szeptu, który obiecywał, że jeśli Jo będzie go kochała wystarczająco mocno, jeśli będą się darzyli wystarczająco głębokim uczuciem, być może zdołają się pogodzić z tym, co się stało. Może również uda im się przetrwać to, co dopiero się stanie.

- Dlaczego, zamiast zastanawiać się, co będzie dla ciebie lepsze, nie zaczniesz myśleć, co da ci więcej szczęścia?

Wydawało się to takie proste, że aż się uśmiechnęła. Obserwowała płynącą rzekę i przyszło jej na myśl, że być może nadszedł czas, kiedy powinna się w niej zanurzyć i zobaczyć, dokąd zanieśie ją prąd. Miała wrażenie, że widzi samą siebie w falach rzeki. Że widzi siebie w wodzie.

Uwięzioną pod powierzchnią, spoglądającą w górę. Ciągniętą w dół, coraz dalej od powietrza i światła.

.Krzyknęła i osunęła się na kolana, zanim Nathan zdołał ją złapać.

- Jo, na litość boską!

- W wodzie. W wodzie. - Przycisnęła rękę do ust, starając się zapanować nad ogarniającą ją histerią.

- Czy to mama? Czy tam w wodzie pływa mama?

- Przestań. - Ukłękął obok niej, objął ją ramieniem i odwrócił jej twarz w swoją stronę. - Popatrz na mnie. Chcę, żebyś natychmiast przestała. Nie wolno ci się rozklejać. Nie dopuszczę do tego, więc spójrz na mnie i spróbuj się opanować.

- Widziałam... - Z ogromnym trudem złapała odrobinę powietrza. - Widziałam w wodzie... Nathan, tracę zmysły. Nie jestem w stanie się opanować.

- Jesteś. - Zdesperowany przyciągnął ją bliżej siebie. - Przytul się do mnie. Po prostu przytul się do mnie. - Trzymając ją drżącą w ramionach, spojrzał ponuro na powierzchnię rzeki.

I dostrzegł tam białą zjawę.

- Jezu Chryste. - Jego ramiona jeszcze mocniej objęły Jo. Potem odsunął ją od siebie i zszedł nad rzekę. - Ona naprawdę tutaj jest - zawołał, chwytając się pochylonej nad powierzchnią wody gałęzi, by nie dać się porwać nurtowi. - Pomóż mi ją wyciągnąć.

- Słucham?

- Nie straciłaś zmysłów. - Dysząc z wysiłku Nathan sięgnął wolną ręką przed siebie i złapał ludzkie włosy. - Tutaj naprawdę ktoś jest! Pomóż mi ją wyciągnąć.

- O mój Boże. - Nie wahając się ani przez moment, pochyliła się nad wodą, starając wbić mocno nogi w śliski brzeg. - Podaj mi rękę, Nathan. Spróbuj ją trzymać, a ja postaram się wyciągnąć cię na brzeg. Czy ona żyje? Czy oddycha?

Przyjrzał się dokładniej kobiecie, która znajdowała się w wodzie. Żołądek podszedł mu go gardła z przerażenia i żalu. Rzeka jej nie oszczędziła.

- Nie - powiedział spokojnie i mocniej złapał się gałęzi. Uniósł głowę i spojrzał

na Jo. - Nie, ona nie żyje. Ja będę się trzymał tego konaru i przypilnuję, żeby nie popłynęła w dół rzeki, a ty idź do Sanktuarium i ściągnij pomoc.

Teraz Jo była już całkowicie spokojna i opanowana.

- Wyciągniemy ją razem - powiedziała i podała mu rękę.

## **ROZDZIAŁ 24**

Było to było makabryczne zadanie. Dwukrotnie Nathan stracił równowagę, próbując wyplatać włosy

Susan Peters z gałęzi, wśród których uwięzło ciało. Gdy znalazł się pod wodą, a jej ramię uderzyło go w brzuch, za wszelką cenę starał się nie ulec panice. Słyszał wołanie Jo i skoncentrował się na wyraźnie brzmiącym w jej głosie pełnym desperacji spokoju. We dwójkę za wszelką cenę starali się wyciągnąć z rzeki zwłoki Susan.

Nie zwracając uwagi na potworne mdłości, Jo wychyliła się jeszcze bardziej do przodu, a kiedy w końcu udało jej się chwycić ciało, poczuła na policzkach fale. Gdy na jeden krótki moment spojrzała śmierci w twarz, całkowicie zapało jej w piersiach dech.

Wiedziała, że jakaś tkwiąca w jej podświadomości migawka cicho stuknęła, uchwyciła ten obraz i zachowała go. Teraz już zawsze będzie miała go przed oczami.

Potem z trudem zaczęła ciągnąć Susan, coraz głębiej wbijając kolana i stopy w rozmokły grunt. Pozwoliła, by ciało odwróciło się, nie mogła się jednak zdobyć na to, by jeszcze raz na nie spojrzeć. Wyciągnęła przed siebie ręce. Poczowała, że Nathan je złapał, poślizgnął się, a potem ponownie chwycił się ich kurczowo. Kiedy do piersi wynurzył się z wody i samodzielnie zaczął z niej wychodzić, Jo odwróciła się na bok i zwymiotowała.

- Wracaj do domku. - Kaszlał gwałtownie i spluwał, starając się pozbyć z ust smaku rzeki i śmierci.

- Nic mi nie będzie. - Odchyliła się na piętach i poczuła, że po policzkach spływają jej gorące łzy. - Pozwól mi tylko chwilę odpocząć. Nic mi nie będzie.

Drżała tak bardzo, że Nathan niemal słyszał, jak stukają o siebie jej kości, a jej twarz była tak samo blada, jak twarz wyciągniętej z rzeki kobiety.

- Wracaj do domku. Powinnaś przebrać się w coś suchego. - Położył dłoń na jej ręce. - Musisz zadzwonić do Sanktuarium po pomoc. Nie możemy jej tu tak zostawić, Jo.

- Wiem, masz rację. - Nabrawszy nieco odwagi, odwróciła głowę. Ciało było szare i nabrzmięte, a włosy ciemne, splątane i śliskie. Kiedyś jednak była to kobieta. -

Przyniosę ci coś, żeby ją przykryć. Przyniosę koc.

- Dasz sobie radę?

Przytaknęła i chociaż miała wrażenie, że jest kruchą, pustą wewnątrz skorupą, zdołała wstać. Spojrzała z góry na Nathana. Błady i bardzo brudny, miał oczy zaczerwienione od wody. Jo przypomniawszy sobie, że bez wahania wskoczył do wzburzonej rzeki, nie zastanawiając się nad niczym, pragnąc jedynie zrobić to, co było do zrobienia.

- Nathan.

Jednym gwałtownym ruchem ręki usunął z twarzy grubą warstwę błota.

- Słucham?



- Nic - mruknęła pod nosem. - Potem ci powiem.

Zaczekał, aż ucichnie odgłos jej kroków. Gdy słyszał już jedynie szum wzburzonej rzeki i przyspieszone bicie własnego serca, zbliżył się do ciała. Zmusił się, by je odwrócić i obejrzeć dokładnie. Zdał sobie sprawę, że musiała być piękna. Teraz już nikt nie będzie podziwiał jej urody. Zacisnąwszy mocno zęby, odchylił na bok jej głowę, pragnąc zobaczyć, pragnąc się upewnić.

Na jej szyi widać było jaskrawoczerwoną pręgę. Gwałtownie cofnął rękę, podciągnął do góry kolana i przycisnął twarz do brudnych dżinsów.

Słodki Jezu, słodki Jezu. Co się tu dzieje?

Strach był znacznie gorszy od żalu, potężniejszy niż poczucie winy. Lecz kiedy jedno połączyło się z drugim, poczuł się bardzo nieszczęśliwy.

Mimo to, gdy wróciła Jo, całkowicie nad sobą panował. Nie przebrała się, nie odezwał się jednak ani słowem, jedynie pomógł jej okryć ciało żółtym kocem.

- Zaraz tu będą. - Dotknęła palcami ust. - Mam na myśli mojego brata i Kirby.

Złapałam przez telefon Briana, powiedziałam mu... co się stało. Obiecał, że weźmie ze sobą Kirby, ponieważ ciało powinien zobaczyć lekarz, ale na razie nic nikomu nie będzie mówił, dopóki...

Urwała i bezradnie spojrzała na drzewa.

- Dlaczego zawędrowała aż tutaj, Nathan? Dlaczego, na litość boską, we szła do rzeki? Może upadła w ciemności i uderzyła o coś głową. Potworne. Byłam przygotowana, że utonęła i że morze wyrzuci ją na brzeg. Jednak to, co się stało, jest w jakiś sposób znacznie gorsze.

Nie był w stanie myśleć o niczym innym, tylko o tym, że stało się to zaledwie o kilkanaście metrów od jego domku. Kilkanaście metrów od miejsca, gdzie jeszcze przed chwilą kochał się z Jo. Z drżeniem serca przypominał sobie, że tam właśnie zdobył się na odwagę i rzucił wyzwanie bogom.

Czy ciało spłynęło z prądem rzeki, czy zostało do niej wrzucone właśnie tutaj, tak blisko, że przy ładnej pogodzie mógłby je zobaczyć przez kuchenne okno?

Jo wyciągnęła do niego rękę i z przerażeniem stwierdziła, że jego dłoń wciąż jest lodowata i pozbawiona życia, tak samo jak leżące na brzegu ciało.

- Jesteś kompletnie przemoczony i zmarznięty. Idź się przebrać w coś suchego.

Ja tu na nich zaczekam.

- Nie ruszę się stąd. Nie zostawię ani ciebie, ani jej.

Pragnąc go trochę rozgrzać i dodać mu odrobinę otuchy, objęła go ramieniem.

- Wykazałeś niezwykłą odwagę i zdecydowanie. Nigdy w życiu nie widziałam, żeby ktoś postąpił mądrzej. - Musnęła wargami jego szyję, pragnąc, by na to zareagował. - Wskoczyłeś po nią do wody. Mogłeś ją tam zostawić, mimo to zdecydowałeś się bez wahania. Niektórym ludziom nawet nie przyszłoby do głowy, żeby ją stamtąd wyciągać.

- Musiałem to zrobić.

- Wiem. Jesteś bardzo dobrym człowiekiem, Nathan. Nigdy tego nie zapomnę.

Zacisnął mocno powieki, potem nie dotykając Jo, odsunął się.

- Nadchodzą - powiedział spokojnie. Kiedy się odwrócił, zobaczył Briana i Kirby, którzy szybko zbliżali się w ich stronę.

Kirby obrzuciła wzrokiem Jo i Nathana.

- Idźcie do domku i weźcie gorący prysznic. Za chwilę się wami zajmę. -

Obeszła ich i uklękła obok koca.

Jo nie ruszyła się z miejsca.

- To musi być pani Peters. Zaplątała się w tamtą gałąź. Najprawdopodobniej ostatniej nocy jakimś cudem wpadła rzeki, a wezbrana po burzy woda tu ją zniosła.

Jo próbując się uspokoić, ponownie sięgnęła po rękę Nathana. Kiedy Kirby uniosła koc, Brian klęknął obok niej i przytaknął ponuro.

- Tak, to ona. Kilkakrotnie przychodzili do Sanktuarium coś zjeść. Niech to jasna cholera. - Usiadł na piętach i potarł dłońmi twarz. - Pójdę poszukać jej męża.

Musimy ją zabrać... w jakieś bardziej odpowiednie miejsce.

- Nie, nie możemy jej stąd ruszyć. - Kirby z trudem wymawiała każde słowo, przez cały czas czując mocne bicie swego serca. - Zadzwoń na policję i poproś, żeby jak najszybciej tu przyjechali. Moim zdaniem ona wcale się nie utopiła.

- Delikatnie uniosła brodę Susan i pokazała czerwoną pręgę. - Wygląda na to, że ktoś ją udusił. Została zamordowana.

- Niemożliwe! Jak to się stało? - Lexy siedziała skulona w rogu kanapy w pokoju rodzinnym. Próbuąc powstrzymać się przed obgryzaniem paznokci, zaplotła mocno dłonie. - Przecież nikt nie morduje ludzi na Desire. Tego typu rzeczy nigdy się tu się nie zdarzają. Kirby musiała się pomylić.

- Już wkrótce dowiemy się wszystkiego. - Kate włączyła zwisający z sufitu wentylator, pragnąc choć trochę poruszyć ciężkie powietrze. - Policja na pewno wszystko nam powie. Tak czy inaczej ta biedna kobieta nie żyje, a jej mąż... Jo Ellen, przestań chodzić tam i z powrotem, usiądź i wypij w

końcu ten kieliszek brandy.

Inaczej się przeziębisz.

- Nie mogę siedzieć. - Jo ani na moment nie przestawała krążyć od jednego okna do drugiego, chociaż nie potrafiłaby powiedzieć, co chce przez nie zobaczyć.

- Byłabym ci wdzięczna, gdybyś usiadła - powiedziała Lexy żałośnie. - Twoje nieustanne chodzenie tam i z powrotem doprowadza mnie do szału. Chciałabym, żeby był tu Giff. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego musi być na dole z wszystkimi, zamiast tutaj ze mną.

- Och, przestań marudzić - wybuchnęła Jo. - Spróbuj dla odmiany raz poradzić sobie sama.

- Dajcie spokój. Nie zaczynajcie wszystkiego od początku. - Kate uniosła rękę.

- Tym razem nie zdołam tego znieść.

- A ja nie zniosę tego czekania. Wychodzę. - Jo podeszła do drzwi. - Zobaczę, co się dzieje. Muszę czymś się zająć.

- Jo! Nie wychodź sama! - Kate złapała się za głowę. - Potwornie się boję.

Proszę, nie wychodź z domu sama.

Jo zrezygnowała, ponieważ zauważyła, że jej kuzynka nagle zaczęła wyglądać staro i bardzo krucho.

- Masz rację. Żadna z nas nie powinna wychodzić na zewnątrz. Musimy się tej zasady trzymać. Usiądź, Kate. Proszę. - Ujęła Kate za ramię, podprowadziła ją do sofy i posadziła obok Lexy. - Usiądź i napij się brandy. Jesteś kompletnie wyczerpana.

- Należę jej kieliszek - powiedziała Lexy.

- Weź mój - powiedziała Jo, widząc, że Lexy wstaje. - Ja i tak nie będę piła.

- Jeśli, zajmując się mną, przestaniecie się kłócić, nie mam nic przeciwko temu.

- Kate wzięła kieliszek, który podała jej Lexy, i uśmiechnęła się blado. - Kiedy wrócą, powinniśmy mieć dla nich świeżą kawę. Tymczasem nie pamiętam, kiedy Brian parzył ją po raz ostatni.

- Zajmę się tym. - Lexy pochyliła się i pocałowała Kate w policzek. - Nie martw się. - Kiedy się wyprostowała, zobaczyła w drzwiach Giffa.

- Idą tutaj. Chcą porozmawiać z Jo.

- W porządku. - Jo z wdzięcznością ścisnęła dłoń, którą Lexy położyła jej na ramieniu. - Jestem gotowa.

- Jak długo jeszcze mogą ją męczyć? - Brian stał na frontowym ganku i wsłuchiwał się w wypełniające powietrze dzwoniące cykad i rechot żab.

- Teraz już na pewno nie potrwa długo - powiedziała Kirby cicho. - Rozmawia z nimi prawie od godziny. Nathana nie trzymali dużo dłużej.

- Nie powinna przez to wszystko przechodzić. Wystarczy, że znalazła ciało i pomogła wyciągnąć je z wody. Nie podoba mi się, że teraz musi wielokrotnie przeżywać to wszystko od nowa.

- Jestem święcie przekonana, że zrobią, co tylko będą mogli, by jej to ułatwić. -

Kiedy Brian odwrócił się wokół własnej osi i obrzucił ją pełnym złości spojrzeniem, Kirby jedynie westchnęła. - Brian, nic więcej nie możemy zrobić, nie mamy innego wyboru. Popełnione zostało morderstwo, w związku z tym policjanci muszą się wszystkiego dowiedzieć.

- Do diabła, przecież to nie Jo ją zabiła. - Rzucił się na huśtawkę. - Tobie jest dużo łatwiej. W końcu jesteś panią doktor z wielkiego miasta. Widziałas już wszystko, ze wszystkim miałaś do czynienia.

- Może masz rację - powiedziała chłodno, starając się nie pokazać po sobie, jak bardzo zaboląły ją jego słowa. - Ale to, czy komuś jest łatwiej czy trudniej, nie zmienia faktów. Ktoś odebrał Susan Peters życie. Udusił ją gołymi rękami. Przyszła pora, by postawić kilka pytań. Brian ponuro spojrzał w ciemność.

- Teraz będą podejrzewać jej męża.

- Nie wiem.

- Będą. To całkiem logiczne. Jeśli coś stało się żonie, trzeba uważniej przyjrzeć się mężowi. Nie wykluczone, że zrobił to właśnie on. Kiedy zniknęła moja matka, podejrzewali ojca, przynajmniej dopóki nie doszli do wniosku, że po prostu... odeszła.

Wezmą biednego faceta do jakiegoś małego pokoiku i będą zadać wali mnóstwo pytań.

Kto wie, może to właśnie on odebrał życie Susan Peters.

Brian spojrzał na Kirby. Stała wyprostowana i w żółtym świetle palącej się na ganku lampki sprawiała wrażenie niezwykle opanowanej. Wciąż miała na sobie zbyt duży dres Jo. Brian widział jednak, jak rozmawiała z policją, jak przekazywała informacje, posługując się niezrozumiałą terminologią medyczną, a potem pochylała się nad ciałem razem z ludźmi koronera.

Wówczas wcale nie sprawiała wrażenia istoty delikatnej i subtelnej.

- Powinnaś iść do domu, Kirby. Nie ma tu już dla ciebie nic do roboty.

Miała ochotę rozplakać się na głos. Miała ochotę krzyknąć. Miała ochotę walić gołymi pięściami w przezroczystą, cienką ścianę, którą nagle Brian wznosił między sobą a nią.

- Czemu wyrzucasz mnie ze swego serca, Brian?

- Ponieważ nie wiem, co z tobą zrobić. Poza tym nigdy nie miałem zamiaru cię tam wpuszczać.

- Ale i tak mnie tam nosiłeś.

- Czyżby, Kirby? A może po prostu siłą je podbiłaś? Na ganku pojawiła się Jo.

- Skończyli. Mówię o policjantach.

- Jak się czujesz? - Kirby podeszła do niej. - Musisz być bardzo zmęczona.

Chcę, żebyś teraz poszła do swojego pokoju i położyła się. Mogę dać ci coś na sen.

- Nie, nic mi nie będzie. Naprawdę. - Ścisnęła mocno rękę Kirby. - Prawdę mówiąc, pomogło mi przebrnięcie przez to wszystko krok po kroku. Teraz tylko jest mi bardzo przykro, cieszę się również, że nic mi się nie stało. Czy Nathan wyszedł?

- Kate wysłała go na piętro. - Brian wstał, podszedł bliżej i zaczął się jej uważnie przyglądać. Wyglądała na znacznie spokojniejszą, niż się spodziewał. - Sądzę, że bez trudu zdołasz go namówić, żeby został tutaj na noc. Tym bardziej że gliniarze jeszcze przez wiele godzin mogą włączyć się nad rzeką.

- Spróbuję mu to wytłumaczyć. Ty też powinnaś zostać - powiedziała do Kirby.

- Nie, lepiej zrobię, jeśli pójdę do domu. - Spojrzała na Briana. - Nie jestem tu już potrzebna. Na pewno któryś z detektywów chętnie mnie podrzuci. Wezmę tylko swoją torbę.

- Możesz zostać - powiedział Brian, ale Kirby rzuciła mu przez ramię chłodne, opanowane spojrzenie.

- Lepiej zrobię, jeśli pójdę do domu - powtórzyła i głośno zamknęła za sobą drzwi.

- Dlaczego pozwoliłeś jej odejść? - zapytała Jo cicho.

- Niewykluczone, że chciałem po prostu sprawdzić, czy jeszcze jestem w sta nie to zrobić. Może tak będzie lepiej.

Jo pomyślała o tym, co powiedział Nathan, zanim świat kompletnie zwariował.

- Może wszyscy powinniśmy zacząć się zastanawiać, co da nam więcej szczęścia, a nie co jest dla nas lepsze. Ja mam zamiar tego spróbować, ponieważ z czasem może być coraz mniej odpowiednich okazji. Dlatego chciałabym powiedzieć ci coś, co mogłam ci wyznać już wielokrotnie, ale zawsze pozwalałam, by okazja wymknęła mi się z rąk.

Wzruszył ramionami, wsunął ręce do kieszeni i spojrzał na nią ponuro.

Zdaniem Jo tak właśnie wyglądała typowa postawa Hathawayów.

- W takim razie wyrzuć to z siebie.

- Kocham cię, Brian. - Ogromna tkliwość, z którą powiedziała te słowa, połączyła się z nieprawdopodobną radością wywołaną przez widoczne na jego twarzy zaskoczenie.

Doszedł do wniosku, że to tylko sztuczka, manewr taktyczny mający na celu zmylenie przeciwnika przed zadaniem mu decydującego ciosu.

- I co?

- Żałuję, że nie powiedziałam ci tego wcześniej i że nie robiłam tego znacznie częściej. - Stała na palcach i, nie zwracając uwagi na naburmuszoną i podejrzliwą minę, pocałowała go. - Oczywiście, gdybym zrobiła to wcześniej, nie mogłabym w tej chwili obserwować, jak wybałuszasz na mnie oczyma niczym złapany na wędkę pstrąg. A teraz pójdę na piętro i spróbuję wysłać Kate do łóżka, dzięki czemu będzie mogła udawać, że nie wie, iż Nathan spędzi dzisiejszą noc w moim pokoju.

- Jo Ellen. - Brian zdołał odzyskać głos dopiero w chwili, gdy dotarła do drzwi, kiedy jednak się obejrzała, z powrotem zaniemówił.

- No, wyrzuć to z siebie. - Uśmiechnęła się od ucha do ucha. - Po prostu powiedz. To dużo łatwiejsze, niż przypuszczasz.

- Ja też cię kocham.

- Wiem. Z całej naszej trójki ty masz najlepsze serce, Bri. Co zresztą jest twoim największym zmartwieniem. - Zamknęła cicho drzwi i ruszyła schodami na górę, by dołączyć do pozostałych członków swojej rodziny.

Śniło jej się, że spaceruje po ogrodzie otaczającym Sanktuarium. W

rozgrzanym powietrzu unosił się zapach letnich kwiatów. Nad głową świecił wyraźny jak dziecięca wycinanka księżyc w pełni. Białe kółko na czarnym tle. Gwiazdy wyglądały jak płynące po niebie morze światła.

Wiatr delikatnie kołysał białymi dzwoneczkami i tojadem. Och, jak uwielbiała połyskujące w ciemności śnieżnobiałe kwiaty. Przyszło jej na myśl, że wyglądają niczym tańczące we śnie postacie z bajki.

Sama czuła się tak, jakby była nieśmiertelna - dysponowała ogromną siłą i energią. Kiedy unosiła ramiona, była zdumiona, że po prostu nie wzbija się w obłoki.

Uwielbiała noc. Ten czas należał tylko do niej. Jak duch przepływała nad ścieżkami, a do tańca przygrywały jej poruszane przez wiatr dzwoneczki.

Potem między drzewami pojawił się cień. Kiedy wysunął się na ścieżkę, stał się mężczyzną. Podeszła do niego zaciekawiona.

Nagle wszystko uległo przeobrażeniu, zmieniła się noc i ona sama. Teraz w nieprzeniknionej ciemności biegła przez las, a strugi deszczu wściekle smagały jej twarz. Bała się, ponieważ ktoś ją ścigał. Ktoś na nią polował. Wiatr wył jak tysiąc głodnych, złaknionych krwi wilków z obnażonymi kłami, a krople deszczu jak maleńkie, ostre włócznie do krwi raniły jej ciało. Gałęzie smagały ją bezlitośnie, a drzewa wyskakiwały na ścieżkę, by zastąpić jej drogę.

Teraz była już tylko żalostną, potwornie przerażoną, śmiertelną istotą. Z trudem łapała powietrze, a kiedy usłyszała, że myśliwy ją woła, załkała cicho. Tym razem jednak miała na imię Annabelle.

Jo odrzuciła prześcieradła, w które była zaplątana, i gwałtownie usiadła. Kiedy po chwili oprzytomniała, Nathan położył dłoń na jej ramieniu. Stał obok, a jego twarz tonęła w ciemności.

- Już wszystko w porządku. To był tylko sen. Zły sen.

Nie dowierzając własnemu głosowi, przytaknęła ruchem głowy. Nathan pogłaskał ją niemal bezwiednie, i ten gest dodał Jo odrobinę otuchy.

- Czy coś ci przynieść?

- Nie. - Powoli przewycięzała strach— To nic takiego. Przywykłam.

- Po dzisiejszym dniu dziwne byłoby, gdybyś nie miała koszmarów. - Odsunął

się od niej, podszedł do okna i odwrócił się plecami.

Zauważyła, że Nathan ma na sobie dzinsy, a kiedy dotknęła prześcieradeł po jego stronie łóżka, stwierdziła, że są zimne. Najwyraźniej nie spał u jej boku.

Widocznie nie chciał, pomyślała Jo. Został w Sanktuarium, ponieważ nie był w stanie oprzeć się namowom Ratę. A położył się w łóżku razem z Jo tylko dlatego, ponieważ inaczej czułby się bardzo niezręcznie.

Ale jej nie dotknął, nawet się do niej nie przytulił.

- W ogóle nie spałeś, prawda?

- Prawda. - Nie był wcale pewien, czy kiedykolwiek w życiu będzie w sta nie spokojnie zmrzyć oczy.

Jo spojrzała na zegarek. Pięć po trzeciej. Doskonale znała niepokój pojawiający się o trzeciej nad ranem.

- Może powinienes wziąć jakieś pigułki nasenne. - Nie.

- Wiem, że masz za sobą bardzo ciężkie przeżycie, Nathan. Nikt i nic nie jest w stanie ulżyć twojemu cierpieniu.

- Nic nigdy nie ulży cierpieniu Toma Petersa.

- Może to on ją zabił.

Nathan bardzo chciał, żeby to była prawda - pragnął tego z całego serca.

Równocześnie potwornie się tego wstydził.

- Pokłócili się - mówiła dalej. - Wówczas ona wyszła i zostawiła go. Może poszedł za nią nad zatoczkę. Tam kłócili się nadal i w końcu w pewnym momencie stracił panowanie nad sobą. Wystarczyła minuta wściekłości, nie trzeba było więcej.

Potem przestraszył się i zabrał ją stamtąd. Chciał, żeby znalazła się z dala od domu, więc wrzucił ją do rzeki.

- Ludzie zabijają nie tylko powodowani wściekłością lub strachem - powiedział

łagodnie. Ogarnęło go ogromne rozgoryczenie i z trudem wymawiał słowa. - Nie powinienem przekraczać progu tego domu. Ani być z tobą. O czym ja w ogóle myślałem? Postanowiłem tu wrócić. Co w ten sposób chciałem naprawić? Wydawało mi się, że coś mogę zrobić. Tylko, do diabła, co?

- O czym ty mówisz? - Była niezadowolona, że głos jej drży. Ale jego twardy i chłodny ton przyprawił ją o dreszcze.

Odwrócił się i spojrzał na nią. Siedziała w łóżku, podciągnęła pod brodę kolana, zupełnie jakby chciała się bronić, a jej blada twarz była zaledwie cieniem. Zdał sobie sprawę, że przez cały czas popełniał mnóstwo błędów. Egoistycznych i głupich błędów. Ale największym z nich było zakochanie się w niej i doprowadzenie do tego, że ona zaczęła odwzajemniać jego uczucie. Nim to wszystko dobiegnie końca, Jo całkowicie go znenawidzi. Będzie musiała.

- Nie teraz. Na razie oboje przeszliśmy wystarczająco dużo. - Stwierdził, że podejść do niej jest równie trudno, jak ją opuścić. Usiadł na brzegu łóżka i dotknął

dłonią jej ramienia. - Musisz się przespać.

- Ty też. Nathan, przecież my żyjemy. - Ujęła jego dłoń i przycisnęła ją do serca.

- Ważne jest, by przetrwać trudne chwile i iść dalej. Tego zdołałam się w życiu nauczyć, chociaż nie przyszło mi to łatwo. - Pochyliła się do przodu i dotknęła wargami jego ust. - A teraz pomóżmy sobie nawzajem przetrwać tę noc. - Przez chwilę patrzyła mu w oczy, a potem próbowała wlać w pocałunek tyle ciepła, na ile było ją stać. - Pokochaj się ze mną. Chcę się do ciebie przytulić.

Pozwolił pociągnąć się w dół i na moment próbował o wszystkim zapomnieć.

Nim cała historia dobiegnie końca, będzie go nienawidziła, na razie jednak wystarczy im miłość.

Rano nie było go ani w łóżku Jo, ani w Sanktuarium, ani na Desire.



- Wyjechał porannym promem? - Jo patrzyła na Briana i nie mogła się nadziwić, jak on może smażyć jajka, gdy cały świat stanął do góry nogami.

- Spotkałem go o świcie. Szedł w stronę swojego domku. - Brian sprawdził

zamówienie i nabrał łyżką kaszę. Od czasu do czasu zdarzają się różnego rodzaju kryzysy, pomyślał, ale to nie zmienia faktu, że ludzie muszą jeść. - Wspomniał, że ma coś do załatwienia na stałym lądzie. I że wyjeżdża na kilka dni.

- Na kilka dni, rozumiem. - Nie pożegnał się z nią. Nie powiedział, że wkrótce wróci. Wyjechał bez słowa.

- Wyglądał na kompletnie wykończonego. Tak samo jak ty teraz.

- Ostatnie dwadzieścia cztery godziny chyba wszystkim dały się we znaki.

- To prawda, ja jednak nie mogę sobie pozwolić na to, by chociaż na chwilę przestać myśleć o pensjonacie. Jeśli chcesz się do czegoś przydać, możesz zamieść tarasy i patia, a potem sprawdzić, czy wszystkie poduszki są na swoich miejscach.

- Życie toczy się dalej, prawda?

- Nic na to nie możemy poradzić. - Uniósł delikatnie jajka i przyjrzał się lśniącemu żółtkom. - Po prostu trzeba robić to, co jest do zrobienia.

Obserwował, jak Jo wyjmuje z szafki miotłę, a potem wychodzi na dwór.

Zastanawiał się, co on, do jasnej cholery, powinien teraz zrobić.

- Ludziom ani na moment nie zamykają się usta. Aż dziw, że mimo to są w stanie jeszcze coś zjeść. - Lexy wpadła do kuchni, wymieniła pusty dzbanek do kawy na pełny, a potem rzuciła kartkę z zamówieniami. - Jeśli jeszcze choć jeden człowiek zacznie wypytywać mnie o tę biedaczkę, zacznę krzyczeć.

- Nie da się uniknąć ludzkiego gadania ani pytań.

- Ty przynajmniej nie musisz tego wysłuchiwać. - Zrobiła sobie chwilę odpoczynku, opierając się biodrem o kontuar. - Wydaje mi się, że przespałam w nocy najwyżej dziesięć minut. Podejrzewam, że dokładnie jak wy. Czy Jo już wstała?

- Sprząta tarasy.

- Dobrze. Postaraj się przez cały czas dawać jej jakieś zajęcie. To dla niej w tej chwili najlepsze. - Sapnęła głośno, widząc domyślne spojrzenie Briana. - Nie jestem pozbawioną mózgu istotą, Bri. Dla niej to wszystko musi być znacznie trudniejsze niż dla nas. Zwłaszcza po tym, co już przeszła. Prawdziwym błogosławieństwem jest wszystko, co choćby na pięć minut zdoła rozproszyć jej myśli.

- Nigdy nie uważałem cię za pozbawioną mózgu istotę, Lex. Niezależnie od tego, jak bardzo starałaś się udawać, że nią jesteś.

- Pozwól, Brian, że dzisiaj nie zareaguję na twoje zniewagi. Natomiast poważnie martwię się o Jo. - Obróciła się, wyjrzała przez okno i z zadowoleniem zauważyła, że siostra energicznie zamiata werandę. - Wysilek fizyczny na pewno dobrze jej zrobi. Dzięki Bogu, że jest przynajmniej Nathan. W tej chwili to właśnie on jest najbardziej potrzebny Jo.

- Niema go tutaj.

Odwróciła się błyskawicznie, rozlewając przy okazji kawę.

- O czym ty mówisz? Co znaczy, że go nie ma?

- Wyjechał na kilka dni na stały ląd.

- Po kiego czorta? Powinien być tutaj z Jo Ellen.

- Ma jakieś sprawy do załatwienia.

- Sprawy? - Lexy wzniosła oczy ku niebu i wzięła tacę z gotowymi dania mi. -

No nie. To takie typowo męskie. Wszyscy, co do jednego, jesteście kom piętnie bezużyteczni, zupełnie jak byk z trzema cyckami.

Wypadła za drzwi. W tym momencie z jakiegoś niewyjaśnionego powodu Brian poczuł się znacznie lepiej. Kobiety, pomyślał. Trudno z nimi wytrzymać, ale też nie sposób zrzucić je z urwiska.

Godzinę później Lexy wyszła na zewnątrz. Jo właśnie rozkładała ostatni parasol osłaniający stoliki rozstawione w patio.

- Widzę, że już wszystko posprzątałaś. W takim razie skocz na górę i weź strój kąpielowy. Idziemy na plażę.

- Po co?

- Ponieważ mamy ją pod nosem. Idź i przebierz się. Ja zabrałam już parasol i ręczniki.

- Nie mam ochoty na siedzenie na plaży.

- Wcale cię nie pytałam, na co masz ochotę. Odrobina słońca na pewno ci nie zaszkodzi. A jeśli nie wybierzesz się ze mną na godzinę, z pewnością Brian albo Kate znowu wynajdą coś, co dobrze byłoby zamieść lub wyszorować.

Jo z odrazą spojrzała na miotłę.

- Rozumiem. W porządku. Właściwie czemu nie? Jest gorąco. Z przyjemnością trochę popływam.

- W takim razie pospiesz się, zanim ktoś nas złapie i zapędzi do roboty.

Jo minęła boje i poddała się morskim prądom. Zapomniała już jak bardzo uwielbia pływać w oceanie - zмагаć się z nim albo unosić spokojnie na powierzchni. Z

miejsca gdzie jakaś para ze śmiechem baraszkowała w morskiej pianie, dobiegł

dziewczęcy pisk. Nieco dalej młody, opalony na brąz chłopiec starał się wykorzystać falę i dopłynąć na dmuchanym materacu z powrotem do brzegu.

Kiedy poczuła zmęczenie w ramionach, odwróciła się na plecy. Przedzierające się przez delikatną mgiełkę słońce przypiekało mocno i raziło w oczy. Jak dobrze móc się zamknąć i unosić się spokojnie na wodzie. Kiedy jej myśli mimo woli poszybowały do Nathana, natychmiast odpędziła je od siebie.

Przecież, tak samo jak ona, również i on ma swoje życie. Być może wkrótce zaczęłyby na nim zbytnio polegać. Dobrze się stało, że tak gwałtownie się z tego wycofał i zmusił ją, by przestała na niego liczyć.

Kiedy Nathan wróci - jeśli w ogóle pojawi się jeszcze na Desire - będzie znacznie ostrożniejsza.

Jęknęła, zła na samą siebie, ponownie odwróciła się i zanurzyła twarz w wodzie.

Niech to cholera, zakochała się w nim. Była to najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek w życiu zrobiła. Nie bardzo mogła sobie przypomnieć, czy przytrafiło jej się coś jeszcze bardziej bezsensownego. Ten układ nie miał żadnych szans na przyszłość, a zresztą dlaczego ona w ogóle myśli o przyszłości? Odwróciła głowę, nabrała w płuca powietrze i ponownie zaczęła płynąć.

Zetknął ich ze sobą przypadek, taka a nie inna sytuacja, którą oni jedynie wykorzystali. Jeśli stali się sobie bardziej bliscy niż zamierzali, to również było jedynie wynikiem określonej sytuacji. Teraz jednak wszystko się zmieniło. Jo doszła też do wniosku, że ona sama jest już zupełnie inną osobą.

Chociaż powrót do Sanktuarium wiązał się w jakiś sposób z bólem i cierpieniem, jednak pomógł jej odzyskać siły i trzeźwość umysłu, których od dawna bardzo jej brakowało.

Stanęła, po czym ruszyła w stronę brzegu po piaszczystym dnie.

Lexy leżała na kocu w niezwykle zalotnej pozie, celowo wyciągnięta w taki sposób, by jak najlepiej wyeksponować swe wspaniałe kształty. Opierała się leniwie na łokciu i przewracała strony jakiejś opasłej książki. Z okładki spoglądał nagi do pasa mężczyzna z nieprawdopodobnie rozwiniętymi muskularni, czarnymi, kręconymi włosami, które opadały mu na ramiona, i aroganckim uśmiechem na pełnych ustach.

Lexy cicho westchnęła i przewróciła kolejną stronę, nie zważając na igrający we włosach delikatny wietrzyk. Jej obfite piersi wznosiły się jak delikatne, brzoskwiniowe wzgórza pokryte niezwykle skąpym staniczkiem bikini, uszytym z materiału, na którym gryzły się ze sobą neonowe odcienie zieleni i różu. Długie nogi lśniły świeżą warstwą olejku do opalania, a na paznokciach błyszczał koralowy lakier.

Jo przyszło do głowy, że Lexy wygląda jak żywa reklama kurortu oferującego mnóstwo seksu.

Usiadłszy obok, Jo podniosła ręcznik i wytarła nim głowę.

- Czy robisz to celowo, czy po prostu masz to we krwi?

- Co takiego? - Lexy zsunęła na czubek nosa okulary przeciwsłoneczne o różowych szklach i spojrzała znad oprawki.

- Leżysz w takiej pozie, że każdy mężczyzna w promieniu pięćdziesięciu metrów wyciąga szyję, żeby na ciebie spojrzeć.

- Ach, o to ci chodzi. - Z delikatnym uśmiechem Lexy przesunęła okulary na swoje miejsce. - Instykt, słoneczko. I odrobina szczęścia. Tobie też na pewno by się to udało, ale musiałabyś się do tego trochę przyłożyć. Od powrotu do domu odzyskałaś już figurę, a ten czarny strój kąpielowy jest całkiem niezły. Sprawiasz w nim wrażenie wysportowanej i smukłej. Niektórym mężczyznom to się podoba. -

Ponownie zsunęła okulary na czubek nosa. - Na przykład Nathanowi.

- Nathan nie widział mnie w tym stroju.

- W takim razie powinnaś spróbować mu się w nim pokazać.

- Jeśli wróci.

- Możesz być pewna, że wróci. A jeżeli jesteś wystarczająco sprytna, każesz mu drogo zapłacić za dzisiejsze zniknięcie.

Jo nabrała piasek w dłoń i przepuściła go między palcami.

- Kocham go.

- Wiem. Dlaczego miałabyś go nie kochać?

- Właśnie jego, Lexy. - Jo, marszcząc brwi, spoglądała na połyskujące ziarenka piasku, które przywarły do jej dłoni.

- Och. - Lexy usiadła, skrzyżowała swe wspaniałe nogi i uśmiechnęła się. -

Wspaniałe. Co prawda trochę z tym zwlekałaś, ale lepiej późno niż wcale.

- Nienawidzę tego. - Jo nabrała w dłoń więcej piasku i mocno ścisnęła go w pięści. - Nie cierpię czuć się w taki sposób. Mam wrażenie, że ktoś zawiązał mi na żołądku mnóstwo węzłów.

- Tak powinno być. Dotychczas zdarzyło mi się to przynajmniej dziesięć razy.

Nigdy jednak nie miałam problemów z rozplataniem tych supłów. - Wydęła usta i spojrzała na morze.

- Przynajmniej tak było dotychczas. Mam natomiast spore problemy, jeśli chodzi o Giffa.

- On cię kocha. Zawsze cię kochał. To jest coś zupełnie innego.

- Każda miłość jest inna. Ludzie bardzo różnią się od siebie. Dzięki temu życie jest takie interesujące.

Jo przechyliła na bok głowę.

- Wiesz, Lex, czasami jesteś całkiem rozsądna, choć nigdy bym tego nie podejrzewała. Ale to prawda. Sądzę, że muszę ci powiedzieć to samo, co powie działam wczoraj wieczorem Brianowi.

- Co takiego?

- Kocham cię, Lexy. - Pochyliła się i pocałowała siostrę w policzek. - Naprawdę.

- Wiem o tym, Jo. Zawsze bardzo cięto złościło, ale i tak nas kochałaś. -

Westchnęła i postanowiła również zdobyć się na wyznanie. - Sądzę, że właśnie dlatego tak potwornie się na ciebie wściekałam, gdy wyjechałaś. Poza rym byłam zazdrosna.

- Ty? O mnie?

- Ponieważ nie bałaś się rzucić wyspy.

- Owszem, bałam się. - Jo oparła policzek na kolanie i obserwowała, jak fale uderzają o brzeg. - Byłam przerażona. Czasami nadal boję się być z dala od domu, obawiam się również, że nie zdołam zrobić tego, co powinnam. Albo że nawet jeśli to zrobię, spotka mnie niepowodzenie.

- No cóż, mnie się nie powiodło, i mogę ci powiedzieć, że nie jest to najmilsze uczucie.

- To wcale nie było niepowodzenie, Lexy. Po prostu jeszcze nie wykonałaś do końca swego zadania.

- Odwróciła głowę. - Wrócisz tam?

- Nie wiem. Początkowo byłam pewna, że tak. - Jej oczy posmutniały, a zasnuwająca je delikatna mgiełka nadała im dziwny odcień, łączący w sobie szarość i zieleń. - Problem polega na tym, że tutaj bardzo łatwo zapomina się o upływie czasu.

Mogę nawet nie zauważyć, kiedy zrobię się stara, pomarszczona i gruba. Och, lepiej nie rozmawiajmy o tym.

Poirytowana na samą siebie Lexy potrząsnęła głową i ze stojącej obok małej lodówki wyjęła puszkę pepsi.

- Powinniśmy porozmawiać o czymś bardziej interesującym. Na przykład, ciekawa jestem...

Otworzyła puszkę i pociągnęła z niej spory łyk chłodnego napoju. Potem leniwie oblizła górną wargę.

- .. jaki jest Nathan w łóżku? Jo wybuchnęła śmiechem.

- Nie - powiedziała zdecydowanie i odwróciła się na brzuch.

- W skali od jeden do dziesięciu. - Lexy szturchnęła Jo w ramię. - Albo wybierz jeden przymiotnik, którym mogłabyś go opisać.

- Nie - powtórzyła Jo.

- Tylko jeden przymiotnik. Czy powiedziałałabyś, że jest „niewiarygodny”? -

zapytała, nachylając się do ucha Jo. - A może „bajeczny”? Albo „niezapomniany”?

Jo delikatnie westchnęła.

- „Zdumiewający” - powiedziała, nie otwierając oczu. - Jest zdumiewający.

- Och, zdumiewający. - Lexy machnęła ręką tuż przed swoją twarzą. - Po doba mi się. Zdumiewający. Czy, całując cię, zamyka oczy, czy nie?

- Zależy.

- To znaczy, że czasem je zamyka, a czasem nie? Na samą myśl o tym zaczynam drżeć. A zatem nigdy nie wiesz, co on za chwilę robi. Uwielbiam to. A co... ?

- Lexy. - Jo roześmiała się, ale ani na moment nie otwierała mocno zaciśniętych powiek. - Nie mam zamiaru opisywać ci technik stosowanych przez Nathana w łóżku. Chciałabym się zdrzemnąć. Obudź mnie za chwilkę. I, ku własnemu zaskoczeniu, niemal natychmiast zasnęła kamiennym snem.

Nathan niespokojnie chodził tam i z powrotem po zniszczonym tureckim dywanie leżącym na podłodze wysokiej, dwupoziomowej biblioteki doktora Jonaha Kauffinana. Na zewnątrz wysokiej, wzniesionej z piaskowca willi Nowy Jork przeżywał falę letnich upałów. Tutaj, w tym niezwykle okazałym, znajdującym się na najwyższym piętrze pomieszczeniu, w którym panował miły chłód i wszystko lśniło czystością, panujący na ulicach hałas i tłok były odległe o lata świetlne.

## **ROZDZIAŁ 25**

W królestwie Kauffmana trudno było się zorientować, że jego dom znajduje się w Nowym Jorku. Ilekroć Nathan znajdował się w olbrzymim foyer i spoglądał na złociste drewno oraz spokojne kolory, zawsze przychodziły mu na myśl wiejskie rezydencje angielskich ziemian.

Jedną z pierwszych prac wykonywanych przez Nathana był projekt tej właśnie biblioteki. Musiał przesunąć ściany i podnieść sufit, tak by pokój ten zdołał pomieścić ogromną kolekcję książek. Kauffman, jeden z najznamienitszych neurologów w kraju, pragnął, by wewnątrz to urządzone zostało w

tradycyjnym, pozbawionym jakiegokolwiek przesady stylu. Dlatego Nathan zdecydował się na ciepłe drewno kasztanowca, szerokie, ozdobione zawilými wzorami sztukaterie i wysokie, potrójne, zakończone łukami okna, które tworzyły wygodną wnękę. Kauffman zostawił mu wolną rękę, śmiejąc się serdecznie, gdy Nathan próbował pytać go o zdanie.

*Tutaj to ty jesteś lekarzem, Nathan. Nie żądaj ode mnie, bym razem z tobą wybierał belki stropowe, a wówczas ja nie będę ci asystował przy operacji mózgu.*

Obecnie Nathan z trudem panował nad swoimi nerwami. Tym razem Kauffman występował w roli lekarza, a od jego ogromnej wiedzy zależały wszystkie decyzje Nathana, zarówno te małe, jak i duże, podejmowane teraz i te, które czekają go w przyszłości.

Od chwili opuszczenia Desire minęło sześć dni. Sześć nieprawdopodobnie długich dni.

Kauffman wszedł i zamknął za sobą masywne drzwi.

- Przepraszam, że kazałem ci czekać, Nathan. Mogłeś przynajmniej poczęstować się brandy. Ale ty nie lubisz brandy, prawda? Prawdę mówiąc, sam chętnie się napiję, a ty ewentualnie możesz podawać, że mi towarzyszysz.

- Jestem niezmiernie wdzięczny, panie doktorze, że zechciał mnie pan zbadać. I że wszystkiego dopilnował pan... osobiście.

- Daj spokój, przecież jesteśmy niemal rodziną. - Kauffman wyjął z kredensu karafkę i rozlał alkohol do dwóch kieliszków.

Był wysokim, mającym ponad sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu, postawnym mężczyzną, któremu, mimo siedemdziesiątki, udało się zachować smukłą sylwetkę i proste plecy. Pozwalając sobie na odrobinę próżności, swoje niezwykle gęste włosy odczesywał do tyłu jak wspaniałą, białą grzywę. Jego odrobinę za wąskie usta otaczała zadbana broda i lśniący wąsik - Doktor preferował proste w kroju, angielskie garnitury i wytworne, włoskie buty, dzięki temu zawsze wyglądał niezwykle elegancko.

Jednak niezmiernie uwagę wszystkich przykuwały jego ciemne, przenikliwe, spoglądające spod ciężkich powiek i czarnych jak smoła brwi, oczy, od których bardzo trudno było oderwać wzrok. Podając Nathanowi kieliszek, Kauffman spojrzał na niego niezwykle ciepło.

- Usiądź, Nathan, i spróbuj się odprężyć. Mogę cię zapewnić, że w najbliższej przyszłości nie będziemy ci wiercić dziur w mózgu.

Nathan poczuł, że żołądek podchodzi mu do gardła.

- Jakie są wyniki testów?

- Zgodnie z twoją prośbą - choć może raczej powinienem powiedzieć

„żądaniem” - wykonaliśmy ogromną liczbę badań. Ich wyniki są negatywne. Tak jak prosiłeś,

wszystko sprawdziłem osobiście. Nie masz guzów, cieni, ani żadnych innych anomalii. Twój mózg i system nerwowy, Nathan, są całkowicie zdrowe. A teraz usiądź.

- Dobrze. - Ponieważ nogi same zaczęły się pod nim uginać, z przyjemnością zapadł się w obitym kremową skórą, ogromnym, głębokim fotelu. - Najmocniej dziękuję, że poświęcił mi pan tyle czasu i trudu, zastanawiam się jednak, czy nie powinienem zasięgnąć opinii jeszcze jakiegoś innego lekarza.

Kauffman uniósł swe teatralne, czarne brwi. Siadając naprzeciwko Nathana, automatycznie delikatnie uniósł nogawki spodni, żeby mogły się odpowiednio ułożyć.

- Skonsultowałem wyniki twoich testów z jednym z moich współników. Jego opinia jest całkowicie zgodna z moją. Oczywiście, jeśli chcesz, możesz iść jeszcze do kogoś innego.

- Nie. - Chociaż Nathan nigdy nie przepadał za brandy, wypił spory łyk i zczekał, aż ten ciekły płomień spłynie mu do żołądka. - Jestem pewien, że sprawdził

pan to, co najważniejsze .

- Zrobiłem znacznie więcej. Wyniki badania tomograficznego i wszystkich pozostałych testów są w normie. Badanie fizykalne, któremu się poddałeś, kontrola pracy układu krążenia i tak dalej, jedynie potwierdziły, że jesteś trzydziestoletnim mężczyzną, cieszącym się doskonałym zdrowiem i świetną kondycją. - Kauffman obrócił w palcach kieliszek i uniósł go do ust. - Teraz nadszedł chyba czas, żebyś mi wyjaśnił, dlaczego postanowiłeś poddać się tak intensywnym badaniom.

- Chciałem mieć absolutną pewność, że nic mi nie dolega. Obawiałem się, że mogę mieć chwilowe zacięcia umysłu.

- Zdarzyło ci się, że straciłeś rachubę czasu?

- Nie. Ale nie wiem, czy nie tracę świadomości i czy w tym czasie nie robię...

czegoś, z czego w ogóle nie zdaję sobie sprawy.

Kauffman zacisnął mocno wargi. Znał Nathana zbyt długo, by podejrzewać, że podnosi on alarm bez jakiegokolwiek uzasadnienia.

- Masz na to jakiś dowód? Czy zdarzyło ci się nagle ocknąć w jakimś miejscu nie mając pojęcia, jakim cudem się tam znalazłeś?

- Nie. Nic takiego mi się nie zdarzyło. - Nathan poddał się ogarniającemu go powoli uczuciu ulgi. - To znaczy, że fizycznie jestem zupełnie zdrowy?

- Jesteś w doskonałej, wręcz godnej pozazdroszczenia kondycji. Natomiast twój stan emocjonalny to zupełnie inna sprawa. Ale masz za sobą okropny rok, Nathan.

Strata rodziny musiała pozostawić jakiś ślad w twojej psychice. A przecież niewiele wcześniej się rozwiodłeś. Spotkało cię tyle nieszczęść i zmian w bardzo krótkim czasie.



Sam do tej pory nie mogę się pogodzić z tym, że David i Beth nie żyją. Byłem do nich bardzo przywiązany.

- Wiem. - Nathan spojrział w ciemne, hipnotyzujące oczy. Czy on wie, zastanawiał się Nathan. Czy coś podejrzewa? Ale na twarzy Kauffmana dostrzegł

jedynie współczucie i żal. - Wiem o tym.

- Również Kyle wiele dla ciebie znaczył. - Kauffman ciężko westchnął. - Zmarł

tak młodo. Trudno zaakceptować tak bezsensowną śmierć.

- Zdążyłem się już pogodzić z myślą, że rodzice odeszli. - Dzięki Bogu, pomyślał

Nathan. - Natomiast jeśli chodzi o Kyle'a, od dość dawna nie żyliśmy ze sobą zbyt blisko. Śmierć mamy i taty niczego w naszych kontaktach nie zmieniła.

- W związku z tym pewnie dręczą cię wyrzuty sumienia, że nie opłakujesz go w takim samym stopniu jak rodziców.

- Może. - Nathan odstawił kieliszek i przetarł dłońmi twarz. - Właściwie wcale nie jestem pewien, czy nadal dręczą mnie wyrzuty sumienia. Panie doktorze, był pan przyjacielem mojego ojca przez trzydzieści lat, znał go pan jeszcze zanim się urodziłem.

- Twoją matkę również. - Kauffman uśmiechnął się. - Jako trzykrotny rozwodnik podziwiałem ich wzajemne oddanie i długotrwałe małżeństwo. A także przywiązanie do synów. Stanowiliście wspaniałą rodzinę. Mam nadzieję, że te wspomnienia dodają ci teraz otuchy.

Na tym właśnie polega największy problem, pomyślał Nathan z bólem serca.

Nie jest w stanie czerpać otuchy z tych wspomnień. Nie jest i nigdy już nie będzie.

- Co może sprawić, że z pozoru całkiem normalny mężczyzna, prowadzący zwyczajne życie, postanawia zrobić coś odrażającego i wprowadza swój plan w życie?

Nathan poczuł, że jego serce przygniata potworny ciężar. Ponownie uniósł

kieliszek, ale wcale nie miał ochoty pić.

- Czy to znaczy, że jest obłąkany, chory? Czy mogą istnieć jakieś przyczyny fizyczne?

- Na podstawie tak ogólnych stwierdzeń, nie potrafię udzielić odpowiedzi na twoje pytanie, Nathan. Czy podejrzewasz, że twój ojciec popełnił coś odrażającego?

- Wiem, że to zrobił. - Zanim Kauffman zdołał się odezwać, Nathan potrząsnął

głową, wstał i z powrotem zaczął niespokojnie krążyć po bibliotece. - Nie mogę... nie mam prawa

dokładnie panu wszystkiego wyjaśniać. Nim to zrobię, muszę wcześniej porozmawiać z pewnymi ludźmi.

- Posłuchaj, Nathan. David Delaney był wspaniałym przyjacielem, kochającym mężem i oddanym ojcem. O to możesz być całkowicie spokojny.

- Niestety, ze spokojem musiałem się pożegnać pewnego dnia, jakiś miesiąc po śmierci ojca. - Pod wpływem tego wspomnienia poczuł, że pieką go oczy. -

Pogrzebałem go, panie doktorze, i jego, i matkę. Kusi mnie, żeby tak samo postąpić z całą resztą. Zrobiłbym to, gdybym miał pewność - powiedział cicho - że ta historia już nigdy się nie powtórzy.

Kauffman wychylił się nieco do przodu. Od pół wieku zajmował się leczeniem ludzkich chorób i doskonale wiedział, że nie sposób przywrócić zdrowia ciału i umysłowi, jeśli wcześniej nie uzdrowi się serca.

- Niezależnie od tego, co twoim zdaniem zrobił, nie możesz brać na siebie odpowiedzialności za jego uczynek.

- A kto może? Kto to zrobi? Oprócz mnie nie ma już nikogo innego na świecie.

- Nathan. - Kauffman lekko westchnął. - Byłeś niezwykle bystrym i miłym chłopcem, potem wyrosłeś na utalentowanego i inteligentnego młodego człowieka.

Jednak, gdy dorastałeś, zbyt często widywałem, że bierzesz na siebie odpowiedzialność za innych. Zbyt często nadstawiałeś karku za brata, nie wyszło to zresztą na dobre ani tobie, ani Kyle'owi. Nie popełniaj teraz tego samego błędu, zwłaszcza że nie możesz niczego zmienić ani naprawić.

- Przez kilka ostatnich miesięcy powtarzałem sobie: „Zostaw to w spokoju, zajmij się swoimi sprawami”. Postanowiłem nie grzebać się w przeszłości. Teraz chciałbym skoncentrować się na teraźniejszości i najbliższej przyszłości. Chodzi o pewną kobietę.

- Ach tak. - Kauffman z wyraźną ulgą rozparł się w fotelu. - Kocham ją.

- Niezmiernie miło mi to słyszeć. Bardzo chciałbym móc ją poznać. Czy ona również wypoczywa na wyspie, na której obecnie przebywasz?

- Niezupełnie. Mieszka tam jej rodzina, a ona na jakiś czas przyjechała do domu. Wcześniej miała... pewne kłopoty. Prawdę mówiąc, poznaliśmy się dużo wcześniej, jeszcze jako dzieci. Kiedy zobaczyłem ją ponownie... no cóż, mówiąc najprościej, jedna sprawa wiąże się z drugą. Nie byłem w stanie temu zapobiec. -

Podszedł do okna i spojrzął na zarośniętą zielenią Central Park. - Choć być może powinienem.

- Dlaczego miałbyś zrezygnować z własnego szczęścia?

- Istnieje coś, o czym wiem, a co dla niej ma ogromne znaczenie. Jeśli jej to powiem, znenawidzi

mnie. Co gorsza, nie wiem, jak ona zareaguje, czy nie załamie się psychicznie. - Odwrócił się od okna, ponieważ park przypominał mu las na Desire. -

Czy lepiej, żeby nadal wierzyła w coś, co bardzo ją dręczy, chociaż jest kłamstwem, czy raczej powinna poznać prawdę? A jeśli tak, czy wówczas zdoła znieść związany z tym ból? Jeśli jej to powiem, stracę ją, a jeśli tego nie zrobię, przez całe życie będę miał do siebie pretensje.

- Czy ona cię kocha?

- Zaczyna. Jeśli pozwolę, by nasze uczucie rozwijało się tak, jak dotychczas, na pewno mnie pokocha. - Na jego wargach pojawił się blady uśmiech. - Byłaby wściekła, gdyby usłyszała, że mówię o tym jak o czymś nieuniknionym.

Zupełnie, jakby ona nie miała tu nic do powiedzenia.

Kauffman usłyszał tkliwość, która pojawiła się w głosie Nathana. Stary doktor w głębi duszy musiał przyznać, że ten chłopak zawsze był jego ulubieńcem. Prawdę mówiąc, lubił go bardziej niż własne wnuki.

- Wydaje mi się, że masz do czynienia z niezależną kobietą. Wtedy wszystko jest dużo bardziej interesujące... a zarazem trudniejsze.

- Jest fascynująca i niełatwo sobie z nią poradzić. Ma niezłomny charakter i nie poddaje się nawet wówczas, gdy ktoś ją skrzywdzi, a trzeba przyznać, że dotychczas życie wcale jej nie rozpieszczało. Zbudowała wokół siebie wysoki mur, ale od naszego ponownego spotkania obserwuję, jak ta osłona stopniowo się wykrusza. Być może mam nawet w tym swój udział. A za tym murem kryje się istota niezwykle delikatna i wrażliwa.

- Nie wspomniałeś, jak ona wygląda. - Kauffman uznał, że to o czymś świadczy.

Atrakcyjna powierzchowność trzykrotnie stała się przyczyną zawieranych w pośpiechu małżeństw profesora, po których jeszcze szybciej następował rozwód. By związek przetrwał próbę czasu i przyniósł szczęście trzeba znacznie więcej.

- Jest piękna - powiedział Nathan bez zastanowienia. - Robi wszystko, by nie zwracać na siebie uwagi, ale jest to po prostu niemożliwe. Jo nie wierzy w urodę.

Uważa, że najważniejsza jest kompetencja. I szczerść - skończył Nathan, spoglądając na brandy, której prawie nie tknął. - Nie wiem, co robić.

- Prawdopodobność jest niezwykle chwalebna cechą, ale bardzo często nie ułatwia nam życia. Nie potrafię ci powiedzieć, jaką decyzję powinieneś podjąć, zawsze jednak wierzyłem, że prawdziwa miłość jest w stanie przetrwać największe burze. W

związku z tym może powinieneś zadać sobie pytanie, co wymaga większej miłości: czy wyznanie jej prawdy, czy zachowanie milczenia.

- Jeśli zachowam milczenie, rodzące się między nami uczucie rozsypie się na drobne kawałeczki. Nie ma nikogo innego, panie doktorze, kto mógłby jej o wszystkim powiedzieć. - Nathan uniósł wzrok, a w jego oczach widać było nieprawdopodobną tkliwość. - Tylko ja jeden zostałem na świecie.

Nathan nie wrócił na wyspę następnego dnia, dzień później również jeszcze go nie było. Trzeciego dnia Jo wzięła sobie, że to nie ma dla niej żadnego znaczenia.

Nie będzie siedzieć z założonymi rękami i czekać, aż Nathan przepłynie cieśninę i zgłosi się po nią jak pirat domagający się swojej części łupu.

Czwartego dnia bez przerwy chciało jej się płakać i była wściekła na samą siebie o to, że dwukrotnie wybrała się na przechadzkę do portu, mając nadzieję, że zobaczy Nathana schodzącego z promu.

Pod koniec tygodnia nie panowała już nad swoimi nerwami i przez większość dnia warczała na każdego, kto zaryzykował i spróbował się do niej odezwać. Kiedy po wyrównanej potyczce słownej z Lexy obrażona Jo poszła do swego pokoju, Kate postanowiła przywrócić w domu spokój i w tym celu udała się do jaskini lwa.

- Dlaczego, do diabła, w tak piękny rano siedzisz w domu? - Energicznie rozsunęła kotary, którymi Jo zasłoniła wszystkie okna. Do wnętrza wpadło słońce.

- Lubię samotność. Jeśli przyszedł tutaj, żeby namówić mnie do przeproszenia Lexy, tracisz jedynie czas.

- Nic mnie nie obchodzi prywatne wojny między tobą a Lexy. - Kate ujęła się pod boki. - Postaraj się jednak, moja panno, rozmawiać ze mną innym tonem.

- Najmocniej przepraszam - powiedziała Jo chłodno - ale to jest mój pokój.

- Nawet gdybyś siedziała na wierzchołku należącej tylko do ciebie góry, nie miałabyś prawa tak na mnie warczeć. W ciągu ostatnich kilku dni próbowałam zachować cierpliwość, uważam jednak, że już zbyt długo snujesz się bezmyślnie po domu i atakujesz każdego, kto nawinie ci się pod rękę.

- W takim razie może nadszedł czas, żebym zaczęła myśleć o powrocie do domu.

- Ta decyzja należy wyłącznie do ciebie. Och, daj spokój, Jo Ellen, otrząśnij się -

rozkazała Kate. - Ten człowiek wyjechał zaledwie tydzień temu i na pewno wróci.

Jo zacisnęła zęby.

- Nie wiem, o czym mówisz.

Kate nie zdołała się opanować i warknęła.

- Nie sądź, że uda ci się mnie zbyć tymi swoimi głupimi sztuczkami. Znam je wszystkie od wielu lat. - Usiadła na łóżku, na którym rozłożyła się Jo, udając, że wybiera ostatnie zdjęcia do albumu. - Ślepy

człowiek na galopującym koniu bez trudu zauważyłby, że Nathan Delaney wpadł ci w oko. Prawdę mówiąc, jest to chyba najlepsza rzecz, jaka zdarzyła ci się od wielu lat.

- Zapewniam cię, że nikt nie wpadł mi w oko.

- Masz już za sobą ponad połowę drogi do prawdziwej miłości i absolutnie nie byłabym zaskoczona, gdyby okazało się, że Nathan wyjechał tylko po to, by wymusić na tobie szybsze pokonanie reszty trasy.

Ponieważ Jo w ogóle nie brała pod uwagę takiej możliwości, na samą myśl o tym poczuła, że krew zawrzała jej w żyłach.

- Jeśli tak, to się grubo przeliczył. Zniknięcie bez słowa jest kiepskim sposobem na zdobycie mego serca.

- W takim razie czy chcesz, by zorientował się, że przez cały czas, odkąd wyjechał, rozczulasz się nad sobą? - Kate uniosła brwi, widząc rumieńce złości, które pojawiły się na policzkach Jo. - Jeśli nadal tak będziesz postępowała, znajdzie się mnóstwo osób, które z radością mu o tym powiedzą. Byłoby mi wstyd za ciebie, gdyby się dowiedział.

- Jeśli Nathan zdecyduje się wrócić, zgotuję mu odpowiednie powitanie. Kate poklepała Jo po kolanach.

- Całkowicie się z tobą zgadzam.

Wietrząc w zachowaniu Kate jakąś pułapkę, Jo przymrużyła oczy.

- Wydawało mi się, że go lubisz.

- Lubię go, nawet bardzo, ale mimo to uważam, że zasłużył na lekkiego kopniaka w tyłek, ponieważ przez niego jesteś nieszczęśliwa. Byłabym serdecznie zawiedziona, gdybyś pozwoliła mu zatryumfować. Więc rusz się - rozkazała wstając. -

Zajmij się swoimi sprawami. Weź aparat i wyjdź porobić zdjęcia. Kiedy Nathan wróci, powinien zobaczyć, że i bez niego twoje życie toczy się do przodu.

- Masz rację. Masz absolutną rację. Zadzwońię do mojego wydawcy i porozmawiam z nim na temat ostatnich odbitek. Potem wyjdę, by porobić trochę nowych zdjęć. Mam pomysł na następny album.

Kate uśmiechnęła się widząc, że Jo wstaje i zaczyna wkładać buty.

- Wspaniale. To znaczy, że będą w nim zdjęcia wykonane tu, na wyspie.

- Tak, wszystkie, które dotychczas zrobiłam. A także ludzie. Twarze. Nikt już nie będzie mnie oskarżał, że jestem samotna i ukrywam się za obiektywem.

Mam więcej niż jedno oblicze.

- Oczywiście, kochanie. W takim razie nie będę ci dłużej przeszkadzać, możesz od razu zająć się pracą. - Kate wyszła z pokoju niezmiernie zadowolona z odniesionego sukcesu. Może teraz w domu zapanuje choć trochę spokoju, po myślała.

Adrenalina pomogła Jo przetrwać ten dzień i rozpocząć następny. Nowy cel dostarczył jej energii. Po raz pierwszy w swej karierze z prawdziwą przyjemnością fotografowała twarze, zaczęła je studiować i uważnie przyglądać się nawet najdrobniejszym szczegółom. Odczuwała radość, widząc błyszczące pod daszkiem czapki oczy Giffa i utrwalając na kliszy sposób, w jaki jego dłoń chwytła młotek.

W kuchni dopadła Briana i, używając swego uroku osobistego, a gdy to nie poskutkowało, pogroźkę, zmusiła go, by wykonywał pewne gesty i przybierał

odpowiedni wyraz twarzy.

Lexy nie sprawiała najmniejszych trudności. Była w stanie pozować bez końca.

Ale za najlepsze Jo uznała zdjęcie wykonane na skraju ogrodu, kiedy Giff złapał Lexy w ramiona i zaczął się z nią obracać w kółko. Ich twarze promieniały nieprawdopodobnym szczęściem.

Wybrała się nawet z ojcem na ryby. Długo milczała, by uspić jego czujność i doprowadzić do tego, by się odprężył, dzięki temu udało jej się utrwalić zamyślenie widoczne na jego twarzy w chwili, gdy spojrzał na słone mokradła.

- Czas najwyższy, żebyś odłożyła tę zabawkę. - Gdy Sam zauważył, że Jo ma ponownie zamiar zrobić mu zdjęcie, ściągnął brwi, wyrażając w ten sposób irytację i zakłopotanie. - Zmykaj stąd i spróbuj bawić się gdzie indziej.

- To zajęcie przestało być zabawą w momencie, kiedy zaczęli mi za nie płacić.

Po prostu odwróć się delikatnie w prawo i spójrz na wodę.

Nie drgnął nawet.

- Wydaje mi się, że nigdy wcześniej nie byłaś takim strasznym utrapieniem.

- Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, że jako fotograf cieszę się sporą sławą.

Tysiące ludzi uśmiecha się, gdy tylko skieruję w ich stronę obiektyw. - Pstryknęła szybko, gdy zauważyła pojawiający się na jego twarzy nikły uśmieszek. - Jesteś taki przystojny, tatusiu. A w tym otoczeniu wyglądasz niezwykle władczo.

- Skoro jesteś tak cholernie sławna, nie powinnaś ludziom pochlebiać po to, by móc zrobić im zdjęcie.

Roześmiała się i opuściła aparat.

- Masz rację. Ale to nie zmienia faktu, że naprawdę jesteś przystojny. Robiłam kilka zdjęć Elsie Pendleton. No wiesz, wdowie Pendleton - dodała Jo, poruszając brwiami. - Nie omieszkała przy okazji zapytać o ciebie. Kilkakrotnie.

- Elsie Pendleton od chwili, kiedy rzuciła pierwszą garść ziemi na trumnę swego męża, rozgląda się za mężczyzną, który zająłby jego miejsce. Ale z pewnością nie będę nim ja.

- Za co rodzina jest ci niezmiernie wdzięczna.

Kiedy poczuł, że ponownie drżą mu usta, potrząsnął głową, zdziwiony zarówno własną reakcją, jak i jej przyczyną.

- Jesteś dzisiaj strasznie gadatliwa.

- Miła odmiana, nie sądzisz? Jestem zmęczona samą sobą. - Kucnęła, by zmienić obiektyw. - Przyszło mi na myśl, że najwyższy czas zacząć się poprawiać.

Może przyjście tutaj było początkiem. - Przerwała na chwilę i popatrzyła na połyskujące moczary. - Może chciałam spojrzeć prawdzie w oczy i przeanalizować swoje postępowanie. Dzięki temu zdałam sobie sprawę, że nie czuję się kochana, ponieważ nigdy nikomu nie pozwalałam się kochać.

Uniosła oczy i zauważyła, że ojciec bacznie przygląda się jej twarzy.

- Nie szukaj jej we mnie, tatusiu. - Kiedy poczuła ukłucie w sercu, zamknęła oczy. - Nie rób tego nigdy więcej, bo sprawiasz mi tym ogromny ból.

- Jo Ellen...

- Przez całe życie robiłam wszystko, by nie wyglądać tak jak ona. Na studiach, kiedy inne dziewczęta malowały się i stroiły, ja unikałam tego jak ognia, bo gdybym chciała to robić, musiałabym spojrzeć w lustro. A wówczas zobaczyłabym mamę, tak samo jak ty ją widzisz, ilekroć na mnie patrzysz. - Kiedy się wyprostowała, jej oczy pełne były łez. - Co mam zrobić, tatusiu, żebyś dostrzegł, kim naprawdę jestem?

- Widzę, kim jesteś. Nic nie mogę poradzić, że dostrzegam w tobie również ją, ale zauważam i ciebie, Jo Ellen. Nie zwalaj wszystkiego na mnie. Nigdy nie potrafiłem radzić sobie z babami. - Wsunął ręce do kieszeni i odwrócił się. - A na razie weź się w garść. W końcu jak świat światem to Lexy zawsze płacze na każde zawołanie, nie ty.

Ta cholerna dziewczyna maże się, jeżeli tylko ktoś krzywo na nią spojrzy, a jeśli nie beczy, zachowuje się jak szalona. Jeżeli szybko nie wyjdzie za mąż za Giffa i nie zacznie spoglądać na świat nieco przychylniej, chyba oszaleję. Jo roześmiała się przez łzy.

- Nigdy nie przypuszczałam, tatusiu, że kochasz ją na tyle, by pozwolić jej się doprowadzić do szaleństwa.

- Oczywiście, że ją kocham. W końcu jest moją córką, prawda? - Powiedział to szorstko i odwrócił

się twarzą do Jo. - Tak samo jak ty.

- Tak. - Uśmiechnęła się i poczuła, że ból powoli mija. - Masz rację.

Gdy zapadł zmrok i robienie zdjęć było już niemożliwe, Jo zamknęła się w ciemni. Tu również towarzyszyło jej radosne podniecenie. Wywołała filmy, a potem zrobiła stykówki. Kiedy wyschły, zaczęła je uważnie studiować: analizowała szczegóły, przez lupę szukała skaz i niedociągnięć.

Z tuzina zdjęć wybierała najwyżej jedno, które odpowiadało jej surowym wymaganiom. Mimo to sznurki do suszenia szybko zapełniały się odbitkami, które uznała za godne uwagi. Kiedy natknęła się na nie oznakowaną rolkę, cmoknęła z wyraźną irytacją.

Niedbalstwo, pomyślała. Ustawiła czasomierz, wyłączyła światło i zaczęła wywoływać film. Ciemność działała na nią kojąco. Dzięki temu, że była sama, poruszała się niemal automatycznie. Czekać cicho nuciła. Była ciekawa, co zobaczy.

Jaki moment został zachowany na kliszy dzięki temu, że go wybrała.

Włączyła czerwoną żarówkę i cały pokój zalało niesamowite światło. Kiedy spojrzała na negatyw i zobaczyła samą siebie nagą, leżącą na dywanie w domku Nathana, wydała przytłumiony okrzyk zaskoczenia i rozbawienia.

- Jezu, to powinno nauczyć mnie opisywać filmy.

Uniosła do góry rolkę i zaczęła uważnie oglądać pozostałe negatywy. Te, które zrobiła podczas burzy, wyglądały niezwykle obiecująco. Oglądając wcześniejsze, wykonane przez Nathana zdjęcia, zacisnęła usta.

Na jednym z nich widać było wydmy, które uchwycone zostały przez pełną kwitnących kwiatów łąkę, a z tyłu, za nimi wznosiły się wysokie, spienione morskie fale.

Przyzwoita kompozycja, pomyślała. Zwłaszcza jak na amatora. Oczywiście, jeśli zrobi stykówkę, niewątpliwie znajdzie kilka niewielkich usterek.

Uwagę Jo przykuła jednak końcówka filmu. Jej twarz i ciało. Sięgnęła po nożyczki, by zniszczyć te negatywy, jednak w pół drogi zatrzymała się. Czy jest aż tak pruderyjna i uparta, by nawet nie zaspokoić własnej ciekawości?

Poza tym oprócz niej nikt tego nie będzie widział.

Wróciła do pracy. Dlaczego nie miałyby zrobić z tej rolki stykówki. Potem będzie mogła zniszczyć swoje zdjęcia. Gdy im się już dobrze przyjrzy.

Teraz już nie nuciła. Była zbyt spięta, zbyt podekscytowana, by słyszeć płynącą z radia muzykę.

Papier nie zdążył jeszcze całkiem wyschnąć, kiedy wsunęła go w strumień światła i zaczęła oglądać przez lupę. Powiększyła swoje wizerunki i skupiła się na nich, bezwiednie wstrzymując oddech.



Wyglądała na nich jak... podejrzewała, że jedynym odpowiednim określeniem będzie „kobieta rozwiązła”. Miała opuszczone do połowy powieki, a na jej wargach igrał uśmiezek seksualnego zadowolenia. Najwyraźniej odzyskała figurę, a jej ciało bez wątpienia posiadało wszystkie mię dla oka wklęsłości i wypukłości.

Na następnym zdjęciu patrzyła w obiektyw zaokrąglonymi z przerażenia oczami. Czuły film uchwycił ruch ręki, którą chciała zasłonić piersi. Nie mogła się wyprzeć, że rzeczywiście wygląda... - jak on to ujął? - na usatysfakcjonowaną.

O Boże, nigdy wcześniej nikt nie oglądał jej tak porozbieranej. Dopuściła do tego, a teraz przez jedną krótką chwilę przyznała, że pragnie, by to się powtórzyło.

Chciała, żeby Nathan przytulił ją do siebie, pragnęła czuć, że jest pożądana i że stać ją na odrobinę lekkomyślności. Gdzieś w głębi duszy czuła, że pragnie ponownie być tą kobietą, która utrwalona została na kliszy. Pragnie pozwolić Nathanowi, by przez chwilę miał nad nią władzę, chce również wiedzieć, że sama może mieć władzę nad nim.

Była to jego zasługa, a utrwalając ten moment sprawił, że mogła spoglądając na zdjęcie zdać sobie sprawę, co we dwójkę są w stanie osiągnąć. I co może stracić, jeśli nie będzie go miała u swego boku.

- Ale z ciebie drań, Nathan. Nienawidzę cię za to.

Poderwała się z taboretu i wsunęła arkusz na dno szuflady. Nie, nie zniszczy go.

Zachowa. Ilekroć ponownie będzie ją kusiło, żeby zaufać jakiemuś mężczyźnie i dać mu wszystko, co ma, wyjmie to zdjęcie i uważnie mu się przyjrzy.

Wówczas przypomni sobie, jak szybko potem następuje rozstanie.

- Jo Ellen. - Zza drzwi dobiegł głos Lexy, a jej pukanie było niezwykle ostre i głośne.

- Pracuję.

- Wiem o tym. Ale być może powinnaś szybko skończyć. Zgadnij, kto przyjechał ostatnim promem?

- Brad Pitt.

- Sama bym chciała. Ale może ta wiadomość bardziej ci się spodoba. Właśnie przed chwilą wszedł do kuchni Nathan Delaney i muszę ci powiedzieć, że jest przystojniejszy niż zazwyczaj. W dodatku szuka ciebie.

Jo uniosła pięść do serca, a potem spokojnie opuściła rękę.

- Powiedz mu, że jestem zajęta.

- Już zdążyłam w twoim imieniu potraktować go dość oziębło, złotko. Po wiedziałam mu, że nie

rozumiem, dlaczego miałabyś rzucić swoje zajęcie i przybiec tylko dlatego, że właśnie postanowił wrócić na Desire.

Jo uśmiechnęła się z uznaniem. Bez trudu była w stanie wyobrazić sobie tę scenę i Lexy z przejęciem odgrywającą rolę chłodnej Piękności Południa.

- Jestem ci niezmiernie wdzięczna.

- Ale muszę ci powiedzieć... och, otwórz te drzwi, Jo. Nie cierpię przez nie rozmawiać.

Ponieważ Lexy właśnie wysunęła się na czołową pozycję na liście jej ulubieńców, Jo przekręciła zamek i uchyliła drzwi na tyle, żeby móc oprzeć się o framugę.

- Byłabym ci bardzo wdzięczna, gdybyś mu powiedziała, że nie mam zamiaru dostosowywać swego rozkładu dnia do jego kaprysów.

- Oczywiście. Dobrze to powiedziałaś. Ale Jo, on wygląda tak seksownie, ma rozwiane włosy i sprawia wrażenie człowieka bliskiego rozpaczyci. - Lexy po kobiecemu doceniając jego wygląd, wzniosła oczy ku niebu. - Na jego widok serce mocniej zabiło mi w piersi.

- Może spróbowałabyś je uspokoić. Po czyjej jesteś stronie?

- Po twojej, złotko, absolutnie i w stu procentach. - By tego dowieść, pocałowała Jo w policzek. - Musi zostać ukarany, nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości. Byłabym niezmiernie szczęśliwa, mogąc podsunąć ci parę pomysłów, jak to zrobić.

- Dzięki, nie brak mi własnych. - Mimo to rozprostowała plecy, by rozluźnić mięśnie. - Powiedz mi, że nie mam ochoty widzieć go ani z nim rozmawiać i najprawdopodobniej jeszcze dość długo będę zajęta sprawami znacznie ważniejszymi niż on.

- Wolalabym, żebyś sama złożyła mu takie oświadczenie, i to właśnie w taki sposób. Zdaje się, że masz do tego prawdziwy talent. - Lexy uśmiechnęła się od ucha do ucha, równocześnie owijając kosmyk włosów wokół palca. - Zejdę na dół i powiem mu wszystko, a potem wrócę tu i powtórzę ci, jak on na to zareagował.

- To nie liceum.

- Nie, ale jest znacznie zabawniej i dużo bardziej interesująco. Och, wiem, że nieźle dał ci się we znaki, Jo. - Poklepała siostrę po policzku. - Sama byłabym wściekła jak kot, któremu ktoś nadepnął na ogon. Pomyśl tylko, jaką radość sprawią ci jego przeprosiny. Bez nich nie myśl nawet o zgodzie. Do tego wszystkiego przydałyby się jeszcze przynajmniej dwa bukiety kwiatów i jakiś ładny, kosztowny prezent. Coś z biżuterii.

Nastrój Jo gwałtownie się zmienił.

- Lexy, jesteś okropną materialistką i uwielbiasz manipulować ludźmi.

- Tak, i jestem z tego niezmiernie dumna, złotko. Słuchaj siostry, a będziesz miała tego mężczyznę w garści. Teraz podejrzewam, że już wystarczająco długo czeka w kuchni pocąc się i na pewno dojrzał już do tego, by przyjąć następnego klapsa. -

Zatarła dłonie. - Zrobię to, jak należy, nie martw się.

Kiedy Lexy pobiegła na dół jak szalona, Jo jeszcze przez chwilę stała oparta o framugę.

- Idę o zakład, że ci się uda - mruknęła. - A ja będę ci dozgonnie wdzięczna.

Zadowolona wróciła do ciemni. Uporządkowała stół roboczy, poprzestawiała butelki z chemikaliami, potem ułożyła je z powrotem tak jak poprzednio. Przyjrzała się uważnie swoim paznokciom i zaczęła się zastanawiać, czy nie powinna pozwolić, by Lexy zrobiła jej manicure.

Słyszając odgłos kroków, odwróciła się w stronę drzwi oczekując raportu Lexy.

Kiedy zamiast niej zobaczyła Nathana, zorientowała się, że jest tak samo wściekły jak ona.

## **ROZDZIAŁ 26**

- Chciałbym zabrać cię stąd na chwilę. - Głos Nathana był bardzo ostry i nie było w nim słychać ani cienia skruchy.

- Chyba poinformowano cię, że jestem zajęta. Poza tym nikt cię nie zapraszał do tego pokoju.

- Daruj sobie, Scarlett. - Złapał ją za ramię i pociągnął. Kiedy wolną ręką uderzyła go mocno w twarz, przymrużył oczy i kiwnął głową. - Zgoda, zatem zrobimy to na siłę.

Nagle pokój zawirował jej przed oczami, nie zdążyła nawet wyrzucić z siebie przekleństwa, które miała na końcu języka. Kiedy oprzytomniała na tyle, by zacząć walczyć, Nathan znajdował się już w połowie pokoju, a Jo jak worek zwisała mu przez ramię.

- Nie dotykaj mnie tymi cholernymi, jankeskimi łapskami. - Uszczypnęła go w plecy wściekła, że nie może się wyrwać.

- Myślałaś, że możesz przysłać siostrę, a ona zdoła się mnie pozbyć. Nic z tego. -

Ramieniem pchnął drzwi i ruszył w dół wąskimi schodami. - Do jasnej cholery, jechałem przez cały dzień, żeby tu dotrzeć, bądź więc na tyle uprzejma i wysłuchaj, co mam ci do powiedzenia.

- Uprzejma? Uprzejma? Co taki kłamliwy, nowojorski bubek jak ty może wiedzieć o uprzejmości? - W ograniczonej przestrzeni klatki schodowej jedynym efektem jej zmagania było uderzenie głową o ścianę. - Nienawidzę cię. - Zaczęło jej dzwonić w uszach, nie tylko z bólu, ale i z upokorzenia.

- Jestem na to przygotowany. - Zły i zdecydowany na wszystko wszedł z nią do kuchni. Lexy i Brian

zamarli w bezruchu i patrzyli zaskoczeni. - Przepraszam -

powiedział krótko i wyniósł ją na zewnątrz, nie zważając na rzucane przez nią przez cały czas groźby i przekleństwa.

- Och. - Lexy westchnęła ciężko i uniosła dłoń do serca. - Czy widziałeś kiedyś w życiu bardziej romantyczną scenę?

- Chrzanisz. - Brian odstawił placek, który właśnie wyjął z piekarnika. - Jak tylko będzie miała szansę, rozerwie go na kawałki.

- Niewiele wiesz o miłości. - Lexy oparła się o kontuar. - Stawiam dwadzieścia dolarów na to, że nie dalej niż za godzinę z przyjemnością wskoczy mu do łóżka.

Brian, słysząc Jo krzyczącą coś o konieczności wykastrowania pewnego jankeskiego sukinsyna, przytaknął.

- Umowa stoi.

Kiedy Nathan prowadził jeepa po wysypanej muszelkami drodze, Jo wściekła, nie odzywała się do niego ani słowem. Postanowiła, że nie zrobi z siebie idiotki i nie wyskoczy z pędzącego pojazdu, ani nie zacznie uciekać, gdy już się zatrzymają.

Zaczeka, aż będzie pewna, że nie wylądują w rowie, a potem po prostu obedrze Nathana żywcem ze skóry.

- Nie tak sobie to wszystko wyobrażałem - powiedział półgłosem Nathan. -

Muszę z tobą porozmawiać. To bardzo ważne. Niestety, wybrałaś dość kiepski moment na dąsanie się.

Nie zwracając uwagi na jej ostrzegawcze mruknięcie, ciągnął dalej.

- Zazwyczaj nie mam nic przeciwko ostrej wymianie zdań. Uważam nawet, że w sprzyjających okolicznościach czasem dobrze jest wyladować się fizycznie. To często bardzo pomaga. Tym razem jednak okoliczności wcale nie są sprzyjające i twoje fochy znacznie utrudniają i tak już ciężką sytuację.

- A więc to moja wina. - Kiedy Nathan gwałtownie zahamował i zatrzymał jeepa przed swoim domkiem, odetchnęła głęboko. - Moja wina?

- Nie powiedziałem, że ktokolwiek ponosi tu winę, Jo. To w ogóle... - Urwał, nie wiedząc, co powiedzieć dalej.

Nie zaatakowała go zębami i paznokciami, nie zasypała go również lawiną oskarżeń. Rzuciła się na niego z zaciśniętymi pięściami i kilka pierwszych ciosów zupełnie go zaskoczyło.

- Jezu! Jezu Chryste! - Miał ogromną ochotę zacząć się śmiać i z siebie, i z niej.

Chciał przyciągnąć Jo do siebie, przytrzymać te zaskakująco dobrze wyćwiczone ręce i po prostu wybuchnąć śmiechem. Nie mógł jednak tego zrobić.

Kiedy poczuł w ustach smak krwi, zaczął się zastanawiać, czy nie złamała mu szczęki. W końcu zdołał przyprzeć Jo do siedzenia i przez dobrą chwilę oboje sapali, z ogromnym trudem chwytając powietrze.

- Mogłabyś przestać? Spróbuj się opanować, nim zamienisz mój mózg - który, jak ostatnio mnie zapewniono, jest w doskonałym stanie - w krwawą masę. -

Wzmocnił swój uchwyt i błyskawicznie się odsunął, widząc, że Jo próbuje unieść do góry kolano, i tym sposobem go unieszkodliwić. - Nie chcę zrobić ci nic złego.

- Bardzo mi przykro z tego powodu, ponieważ ja mam ogromną ochotę wyrządzić ci krzywdę. Chcę stłuc cię na kwaśne jabłko za to, że potraktowałeś mnie w taki sposób.

- Przepraszam. - Oparł czoło o jej głowę i próbował złapać trochę tchu. -

Przepraszam, Jo.

Za nic na świecie nie chciała dać się udobruchać, dlatego całkowicie zignorowała nagły ból serca spowodowany bezgraniczną rozpaczą, którą słychać było w głosie Nathana.

- Nawet nie wiesz, za co mnie przepraszasz.

- Za więcej, niż przypuszczasz. - Odsunął się i spojrzał jej prosto w oczy. -

Proszę, wejdź do środka. Mam ci coś do powiedzenia. Coś, czego nie chcę mówić, uważam jednak, że muszę. Kiedy już to zrobię, będziesz mogła stłuc mnie do nieprzytomności, a ja nawet nie podniosę ręki, żeby cię powstrzymać. Przyrzekam.

Czuła, że stało się coś złego, bardzo złego. Złość przerodziła się w strach.

Starła się mówić spokojnie, a równocześnie nie dopuścić do tego, by jej wyobraźnia zaczęła pracować.

- Podoba mi się taki układ. W takim razie wejdę i wysłucham, co masz mi do powiedzenia. Potem koniec z nami, Nathan.

Odsunęła go i otworzyła drzwi samochodu.

- Ponieważ nie dopuszczę do tego, by ktokolwiek mnie rzucił - powiedziała niskim, drżącym głosem. - Wystarczy, że już raz ktoś to zrobił.

Czuł, że serce zamiera mu w piersiach, mimo to wprowadził ją do środka i zapalił światła.

- Chciałbym, żebyś usiadła.

- Nie mam ochoty, a to co ty chcesz, w ogóle mnie nie interesuje. Jak mogłeś w taki sposób mnie opuścić? - Krążąc niespokojnie wokół niego, objęła się ramionami, zupełnie jakby chciała się bronić. - Jak mogłeś zostawić mnie samą w łóżku i po prostu zniknąć bez słowa? Jak mogłeś tak długo trzymać się z dala ode mnie, chociaż na pewno doskonale wiedziałeś, jak się czuję. Nawet jeśli się mną zmęczyłeś, mogłeś przynajmniej być miły.

- Zmęczony tobą? Słodki Jezu, Jo, w ciągu minionych ośmiu dni przez cały czas myślałem o tobie i pragnąłem cię.

- Czy sądzisz, że jestem na tyle głupia albo spragniona, by wierzyć w tego rodzaju kłamstwo? Gdybyś o mnie myślał, gdybyś mnie pragnął, nie odwróciłbyś się do mnie plecami, zupełnie jakbym nie miała dla ciebie żadnego znaczenia. Nigdy.

- Gdybyś nie miała dla mnie żadnego znaczenia, gdybyś nie była dużo ważniejsza niż cokolwiek innego w moim życiu, wówczas mógłbym zostać. Wówczas ta rozmowa nie miałaby w ogóle miejsca.

- Zraniłeś mnie, upokorzyłeś...

- Kocham cię.

Odskoczyła do tyłu, jakby chciała uniknąć ciosu.

- Spodziewasz się, że ugną się pode mną kolana? Sądzisz, że po tych słowach padnę ci prosto w ramiona?

- Nie. Gdybym cię nie kochał, nie miałabyś możliwości zostać tu i napluć mi w twarz po tym, ci to powiem. - Podeszedł do niej i nie zdołał oprzeć się pokusie, by ją dotknąć. Delikatnie musnął czubkami palców jej ramię. - Naprawdę cię kocham, Jo Ellen. Może zawsze cię kochałem. Nie wykluczone, że już jako siedmioletnia dziewczynka pogrzebałaś moje szanse na znalezienie szczęścia u boku jakiegokolwiek innej kobiety. Nie wiem. Pragnę jednak, żebyś mi uwierzyła. Muszę ci to powiedzieć, zanim jednak zacznę, chcę wiedzieć, że mi wierzysz.

Spojrzała mu prosto w oczy i teraz naprawdę zaczęły się uginać pod nią kolana.

- Chyba naprawdę mnie kochasz.

- Na tyle, by złożyć w twoje ręce własną przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. -

Na moment wziął jej dłonie w swoje ręce, przyjrzał się im bacznie, jakby starał się je dokładnie zapamiętać, a potem puścił. - Byłem w Nowym Jorku. Mieszka tam przyjaciel rodziny, lekarz. Neurolog. Chciałem, żeby dokładnie mnie zbadał.

- Zbadał? - Zdumiona, odrzuciła do tyłu włosy. - O mój Boże. - Miała wrażenie, że jakaś pięść uderzyła ją prosto w serce. - Jesteś chory. Neurolog? Co to jest? Pewnie jakiś guz. - Czuła, że krew krzepnie jej w żyłach. - Ale na pewno można to jakoś wyleczyć. Możesz...

- Nie jestem chory, Jo. Nie mam guza, nic mi nie dolega. Musiałem jednak się upewnić.

- Nic ci nie dolega? - Ponownie złożyła ręce. - Nic nie rozumiem. Wróciłeś do Nowego Jorku, by poddać się badaniom mózgu, chociaż nic ci nie dolega?

- Powiedziałem ci już, że chciałem mieć pewność. Ponieważ podejrzewałem, że mogę mieć zaniki świadomości albo robić coś przez sen. Obawiałem się, że to ja zabiłem Susan Peters.

Przytrzymała się ręką oparcia krzesła i niepewnie usiadła na poręczu. Ani na moment nie odrywała od niego wzroku.

- Dlaczego przyszedł ci do głowy tak szalony pomysł?

- Ponieważ została uduszona tu, na wyspie. Ponieważ morderca ukrył jej ciało.

Ponieważ jej mąż, rodzina i przyjaciele przez resztę życia mogliby nie wiedzieć, co się z nią stało.

- Przestań. - Nie mogła złapać tchu, z trudem pokonywała przemożną chęć, by zatkać rękami uszy. Czowała, że serce wali jej w piersiach jak szalone, zaczyna ją boleć głowa, a skóra staje się wilgotna. Doskonale знаła te symptomy, wiedziała, że za nimi czai się panika, gotowa lada chwila wyskoczyć z ukrycia. - Nie chcę więcej tego słuchać.

- A ja nie chcę ci nic więcej mówić. Mimo to nie mamy żadnego wyboru. -

Zebrał siły, by wreszcie to powiedzieć i nastawić się na reakcję Jo. - Mój ojciec zabił twoją matkę.

- To jakiś szalony pomysł, Nathan. - Bardzo chciała wstać i wyjść, ale nie była w stanie wykonać najmniejszego ruchu. - Na dodatek okrutny.

- Tak. Ale prawdziwy. Dwadzieścia lat temu mój ojciec odebrał życie twojej matce.

- Niewierze. Twój ojciec - pan David - był niezwykle miłym człowiekiem, był przyjacielem. To, co mówisz, jest czystym szaleństwem. Moja matka nas zostawiła.

- Jej głos zadrżał i załamał się. - Po prostu nas zostawiła.

- Nigdy nie opuściła Desire. Ojciec... zostawił jej ciało na bagnach. Na słonych bagnach.

- Dlaczego tak mówisz? Dlaczego to robisz?

- Ponieważ taka jest prawda, a ja już zbyt długo zwlekałem z wyjawieniem jej.

- Nathan zmusił się, by powiedzieć resztę, by skończyć, nie zważając na to, że Jo zamknęła oczy i przez cały czas energicznie potrząsała głową. - Planował to od momentu, kiedy zobaczył ją po raz

pierwszy po przyjeździe tu owego lata.

- Nie. Nie, przestań.

- Nie jestem w stanie cofnąć tego, co już się stało. W skrytce depozytowej w banku ojciec trzymał swój pamiętnik i... dowód zbrodni. Znalazłem to wszystko po śmierci rodziców.

- Znalazłeś to. - Łzy płynęły po jej rzęsach, kiedy jeszcze ciasniej otoczyła się ramionami i zaczęła kołysać. - Dlatego tu wróciłeś.

- Wróciłem, by wszystko przemyśleć, by spróbować sobie przypomnieć, jak wyglądało tamto lato. Jak on... się wówczas zachowywał. Potrzebowałem czasu, by zdecydować, czy zostawić wszystko w spokoju, czy powiedzieć twojej rodzinie, jaką krzywdę wyrządził jej członek mojej rodziny.

Jo czuła, że ogarnia ją panika, słyszała szum w głowie i przyspieszone bicie serca.

- Wiedziałaś. Kiedy tu wróciłeś, o wszystkim wiedziałaś. Mimo to zaciągnąłeś mnie do łóżka. - Kiedy poderwała się na równe nogi, zrobiło jej się niedobrze, a w głowie jej zawirowało. - Kochałeś się ze mną. - Szaleńczo wściekła wymierzyła mu potężny policzek. - A ja ci na to pozwoliłam. - Ponownie uderzyła go z ogromną siłą.

Wcale nie próbował się bronić, nie unikał jej razów. - Czy wiesz, jak ja się teraz czuję?

Wiedział, że tak właśnie będzie na niego patrzyła: z nienawiścią, odrazą, nawet ze strachem. Musiał się z tym pogodzić.

- Nic na to nie mogę poradzić. Ale... on był moim ojcem.

- Zabił ją, zabrał ją nam. A przez wszystkie te lata...

- Jo, nie wiedziałem o tym, dopóki nie umarł. Od kilku miesięcy sam próbuję się z tym uporać. Doskonale wiem, przez co w tej chwili przechodzisz...

- Co ty możesz wiedzieć?! - krzyknęła. Chciała go zranić i przysporzyć mu cierpień. - Nie mogę tu zostać. Nie jestem w stanie na ciebie patrzeć. - Gdy wyciągnął

rękę, odskoczyła do tyłu i zacisnęła pięści. - Nie rób tego! Nie dotykaj mnie.

Mogłabym cię zabić za to, że kiedykolwiek trzymałeś mnie w objęciach. Ty draniu, trzymaj się z daleka ode mnie i mojej rodziny.

Kiedy wybiegła, Nathan nawet nie próbował jej zatrzymać. Nie mógł. Mimo to poszedł za nią i nie spuszczał z niej wzroku. Nawet jeśli nie był w stanie zrobić nic więcej, mógł przynajmniej dopilnować, by bezpiecznie wróciła do domu.

Ale Jo wcale nie pobiegła do Sanktuarium.



Nie mogła tam iść. Nie zniósłaby tego. Nie była w stanie złapać tchu ani logicznie myśleć. Miała ochotę upaść po prostu na ziemię, skulić się w kłębek i wykrzyknąć całą swoją rozpacz i żal. Obawiała się jednak, że jeśli to zrobi, już nigdy nie zdoła znaleźć siły, by wstać.

W związku z tym, nie zastanawiając się, dokąd zmierza, nie zważając na otaczającą ją ciemność, biegła wśród drzew, ścigana przez okropne obrazy przesuwane się przed jej oczami.

W jej wyobraźni zdjęcie nagle ożyło. Uwieczniona na nim matka otworzyła oczy. Widać w nich było zakłopotanie, strach i ból. Usta rozchyliły się do krzyku.

Jo poczuła potworny ból, zupełnie jakby ktoś dźgnął ją nożem. Jęknęła i ani na moment nie przestawała biec.

Teraz pod nogami miała piasek, a w uszach szum oceanu. Ciężko dyszała.

Kiedy upadła, pokaleczyła sobie ręce i nogi, szybko jednak poderwała się i ruszyła dalej. Wiedziała jedynie, że musi uciec, uciec od bólu i tego okropnego, rozdzierającego smutku.

Usłyszała, że ktoś ją woła, gdzieś zza jej pleców dobiegł odgłos stóp biegnących po piasku. Niewiele brakowało, a upadłaby ponownie, mimo to wyprostowała się i odwróciła gotowa walczyć.

- Jo, kochanie, co się dzieje? - O kilka kroków za nią stała Kirby. Miała na sobie jedynie szlafrok, a jej mokre włosy świadczyły o tym, że przed chwilą wyszła spod prysznicu. - Byłam na ganku, kiedy cię zobaczyłam...

- Nie dotykaj mnie!

- W porządku. - Kirby instynktownie ściszyła głos i zaczęła mówić bardzo łagodnie. - Może wejdiesz do domu? Skaleczyłaś się. Masz zakrwawione dłonie.

- Ja tylko... - Jo zmieszana pochyliła głowę i zauważyła na własnych rękach zadrapania oraz niewielkie strużki krwi - ...upadłam.

- Wiem. Widziałam. Chodź. Opatrzę ci te rany.

- Nie chcę... nic mi nie będzie. - Nie czuła własnych rąk. Po chwili zaczęły drżeć pod nią kolana i potwornie rozbolą ją głowa. - On zabił moją matkę. Kirby, on zamordował moją matkę. Ona nie żyje.

Ostrożnie podeszła bliżej i objęła Jo w pasie.

- Chodź ze mną. Chodź ze mną do domu. - Kiedy Jo ciężko oparła się na jej ramieniu, poprowadziła ją po piasku. Gdy Kirby obejrzała się za siebie, zauważyła stojącego kilka metrów dalej Nathana. W blasku księżyca ich oczy spotkały się na chwilę. Potem odwrócił się i zniknął w ciemności.

- Jest mi niedobrze - powiedziała niemal szeptem Jo. Ogarniało ją dziwne uczucie, miała wrażenie, że ktoś wbija w jej skórę tysiące drobniutkich igieł. Czuła, że żołądek podchodzi jej do gardła.

- Wszystko w porządku. Musisz się na chwilę położyć. Oprzyj się o mnie i chodźmy do domu.
- On ją zabił. Nathan o tym wiedział. Powiedział mi o tym. - Teraz wydawało jej się, że płynie schodami w górę, a potem jak zjawia wsuwa się przez drzwi do domku. -

Moja matka nie żyje.

Kirby bez słowa położyła Jo na łóżku i okryła lekkim kocem. Przeżyły szok sprawił, że Jo zaczynała drżeć jak osika.

- Postaraj się wolno oddychać - rozkazała Kirby. - Skoncentruj się na oddychaniu. Na moment muszę wyjść do drugiego pokoju. Przyniosę ci coś, co pozwoli ci się opanować.

- Nie potrzebuję niczego. - W ponownym przypiływie paniki mocno chwyciła rękę Kirby. - Nie chcę żadnych środków uspokajających. Poradzę sobie. Wytrzymam.

Muszę.

- Wiem, że wytrzymasz. - Kirby usiadła na łóżku i ujęła nadgarstek Jo, żeby sprawdzić puls. - Powiesz mi, co się stało?

- Muszę to komuś powiedzieć, a na razie nie jestem w stanie wyznać tego rodzinie. Jeszcze mnie na to nie stać. Sama nie wiem, co robić. Nawet nie wiem, jak powinnam się czuć.

Zarówno puls, jak i źrenice Jo powoli wracały do normy.

- Co powiedział ci Nathan, Jo?

Jo spojrzała na sufit i skoncentrowała na nim swój wzrok.

- Powiedział mi, że jego ojciec zabił moją matkę.

- Dobry Boże. - Przerazona Kirby uniosła dłoń Jo i dotknęła nią własnego policzka. - Jak to się stało?

- Nie wiem. Nie mam pojęcia. Nie byłam w stanie słuchać jego słów. Nie chciałam ich słuchać. Powiedział, że jego ojciec ją zabił i opisał wszystko w pamiętniku. Nathan znalazł go i wówczas wrócił na wyspę. A ja z nim spałam. - W jej oczach pojawiły się łzy i po chwili strugami zaczęły spływać po policzkach. - Spałam z synem mordercy mojej matki.

Kirby wiedziała, że teraz przede wszystkim musi zachować spokój. I logikę.

Obawiała się, że do załamania Jo wystarczyłoby w tej chwili jedno niewłaściwe słowo lub nieodpowiedni ton.

- Jo, spałaś z Nathanem. Byłaś do niego bardzo przywiązana, a on do ciebie.

- Ale on o wszystkim wiedział. Wrócił tutaj, doskonale wiedząc, co zrobił jego ojciec.

- Musiało mu być z tym potwornie ciężko.

- Jak możesz mówić coś takiego? - Jo ze złością oparła się na łokciu. - Jemu miałoby być ciężko?

- Tak, i wymagało to od niego ogromnej odwagi - powiedziała Kirby łagodnie. -

Jo, ile on miał lat, kiedy zmarła twoja matka?

- Czy to coś zmienia?

- Sądzę, że dziewięć albo dziesięć. Był małym chłopcem. Masz zamiar obarczać winą małego chłopca?

- Nie. Nie. Ale on już nie jest małym chłopcem, a jego ojciec...

- To zrobił ojciec Nathana. Nie Nathan.

Z piersi Jo wyrwał się szloch, potem drugi. - On mi ją odebrał.

- Wiem. Bardzo mi przykro z tego powodu. - Kirby przytuliła do siebie Jo. -

Naprawdę niezmiernie mi przykro.

Kiedy Jo płakała w jej ramionach, Kirby wiedziała, że to dopiero początek burzy.

Dopiero po godzinie była w stanie logicznie myśleć. Popijała gorącą, słodką, zaparzoną przez Kirby herbatę. Panika ustąpiła miejsca smutkowi, który uspokajał ją w takim samym stopniu jak herbata.

- Wiedziała, że ona nie żyje. Od momentu, kiedy to się stało, gdzieś w głębi duszy byłam o tym święcie przekonana. Bardzo często pojawiała się w moich snach.

Kiedy podrosłam, starałam się odepchnąć od siebie te sny, ale one zawsze wracały. I stawały się coraz żywsze i wyraźniejsze.

- Kochałaś ją. Teraz, niezależnie od tego, jak okropna jest prawda, przynajmniej wiesz, że cię nie opuściła.

- Na razie trudno mi znaleźć w tym fakcie jakąś pociechę. Chciałam wyrządzić Nathanowi krzywdę. Chciałam sprawić mu ból, zarówno fizyczny, jak i psychiczny. I zrobiłam to.

- Całkiem normalna reakcja. Jo, spróbuj chociaż przez chwilę o tym nie myśleć.

- Staram się. Niewiele brakowało, a ponownie bym się załamała. Na pewno by do tego doszło, gdyby ciebie tu nie było.

- Na całe szczęście byłam. - Kirby ścisnęła dłoń Jo. - Poza tym jesteś znacznie silniejsza, niż

przypuszczasz. Na tyle silna, by sobie z tym poradzić.

- Wiem. - Wypiła jeszcze trochę herbaty, a potem odstawiła filiżankę. - Muszę wrócić do Nathana.

- Dziś wieczorem już nie musisz niczego robić, powinnaś jedynie odpocząć.

- Nie, nie zapytałam go, dlaczego tak się stało, ani jak, ani... - Zamknęła oczy. -

Muszę to wiedzieć. Sądzę, że nie zdołam się z tym wszystkim pogodzić, dopóki nie będę znała odpowiedzi na kilka pytań. Kiedy pójdę powiedzieć o tym reszcie rodziny, będę musiała znać nawet najdrobniejsze szczegóły.

- Możesz powiedzieć im to teraz, mogłabym nawet pojechać razem z tobą. Na pytania będzie jeszcze dużo czasu.

- Muszę zrobić to sama. Jestem w centrum całej historii, Kirby. - Mimo tabletki, którą dostała od Kirby, Jo czuła pulsujący ból głowy. Kiedy otworzyła oczy, były bardzo ciemne i wyraźnie odcinały się od potwornie bladej twarzy. - Kocham mężczyznę, którego ojciec zabił moją matkę.

Kiedy Kirby podwoziła ją pod domek Nathana, Jo przez szybę w drzwiach zauważyła jego sylwetkę. Zastanawiała się, czy którekolwiek z nich zrobiło w życiu coś trudniejszego, niż stawienie czoła przeszłości i sobie nawzajem.

Kiedy weszła po schodach, nie odezwał się ani słowem, otworzył tylko drzwi i cofnął się, by wpuścić ją do środka. Myślał, że już nigdy nie zobaczy Jo i w tej chwili wcale nie był pewien, czy nie łatwiej byłoby mu się z tym pogodzić, niż teraz widzieć ją bladą i nieszczęśliwą.

- Chciałabym zadać ci kilka pytań... chciałabym dowiedzieć się czegoś więcej.

- Powiem ci wszystko, co wiem.

Zatarła dłonie, żeby niewielki ból świeżych skaleczeń pomógł jej się skoncentrować.

- Czy... czy oni się kochali?

- Nie. - Miał ogromną ochotę, by odwrócić się do niej plecami, mimo to zmusił

się, by patrzeć na jej pełną cierpienia twarz. - Nic ich nie łączyło. Ojciec w swoim pamiętniku zapisał, że była bardzo oddana swojej rodzinie. Dzieciom, mężowi. Jo...

- A jednak chciał, żeby coś ich łączyło. Pragnął jej. - Rozłożyła ręce. - Pokłócili się? To był wypadek. - Oddychała z wyraźnym trudem, a w jej głosie słychać było błaganie. - To był wypadek.

- Nie. O Boże! - Jest coraz gorzej, pomyślał, z każdą mijającą sekundą jest coraz trudniej. - Doskonale znał jej zwyczaje. Starannie je studiował. Wiedział, że wieczorami Annabelle zazwyczaj spaceruje po ogrodzie.

- Uwielbiała... kwiaty, zwłaszcza białe. - Przypomniała sobie sen, który ją nawiedził po znalezieniu Susan Peters. - Najbardziej lubiła oglądać je wieczorem.

Wówczas zachwycała się ich zapachami i ciszą. Mówiła, że te chwile należą tylko do niej.

- Wybrał późny wieczór - ciągnął Nathan. - Do wina matki wrzucił tabletki nasenne, żeby... żeby się nie zorientowała, że go nie ma. Każdy swój krok udokumentował w pamiętniku. Napisał, że czekał na Annabelle na skraju lasu, na zachód od domu. - Mówienie o tym wszystkim i patrzenie na Jo sprawiało Nathanowi nieprawdopodobny ból. - Uderzył ją, a kiedy straciła przytomność, zabrał ją w głąb lasu. Miał już wszystko przygotowane. Wcześniej ustawił światła i statyw. To nie był wypadek. Wszystko starannie zaplanował. Przemyślał. Zrobił to z premedytacją.

- Ale dlaczego? - Musiała usiąść. Z ogromnym trudem, połykając się co krok, dotarła do krzesła. - Pamiętam go. Był dla mnie bardzo miły. Niezwykle cierpliwy.

Tata zabierał go na ryby, a mama od czasu do czasu piekła mu ciasto orzechowe, ponieważ za nim przepadał. - Mimo woli jęknęła, a potem przycisnęła palce do ust, żeby się uspokoić. - O Boże, chcesz żebym uwierzyła, że zamordował ją bez powodu?

- Miał swój cel. - Teraz wreszcie się odwrócił i wszedł do kuchni, by wyjąć z kredensu butelkę whisky. - Chociaż trudno to nazwać powodem.

Wlał alkohol do kieliszka, wypił jednym haustem i syknął, czując pieczenie.

Zaciskając dłonie na ladzie, odczekał chwilę, aż choć odrobinę się uspokoi.

- Kochałem go, Jo. Nauczył mnie jeździć na rowerze i grać w krykieta. Troszczył

się o nas. Ilekroć podróżował, dzwonił do domu, by porozmawiać nie tylko z matką, ale z całą naszą trójką. Potrafił słuchać - nie było to udawanie tak częste u dorosłych, którzy sądzą, że dziecko i tak się nie zorientuje. Kochał nas.

Odwrócił się do niej, a jego oczy mówiły wszystko, czego nie zdołały powiedzieć słowa.

- Często bez powodu przynosił matce kwiaty. Wieczorami leżałem w łóżku i słuchałem, jak się śmieją. Byliśmy niezwykle szczęśliwą rodziną, a całe nasze życie kręciło się wokół niego. Teraz muszę się pogodzić z tym, że prawda wyglądała zupełnie inaczej i że mój ojciec był w stanie zrobić coś tak potwornego.

- Czuję się tak, jakby ktoś zdzielił mnie obuchem w głowę - wydusiła Jo. Miała wrażenie, że jej głowa jak balon unosi się nad ramionami. - Jestem wewnątrz pusta.

Serce mi krwawi. Minęło już tyle lat. - Na chwilę zacisnęła mocno powieki. -

Tymczasem wasze życie najzwyczajniej toczyło się do przodu, prawda?

- O wszystkim wiedział jedynie ojciec, a trzeba przyznać, że był niezwykle ostrożny. W związku z tym rzeczywiście nasze życie po prostu toczyło się dalej.

Wszystko się zmieniło, gdy zginął, a ja zacząłem przeglądać jego osobiste rzeczy i znalazłem wśród nich pamiętnik oraz zdjęcia.

- Zdjęcia. - W ułamku sekundy minęło wrażenie unoszenia się w powietrzu. -

Zdjęcia mojej matki. Wykonane po jej śmierci.

Wiedział, że musi powiedzieć wszystko, niezależnie od tego, jak bardzo ta myśl rozdzierała mu serce.

- Nazywał to „decydującym momentem”.

- O mój Boże. - W głowie Jo zawirowały słowa wielokrotnie słyszane podczas wykładów i wygłaszane przez nią w trakcie odczytów. *Chodzi o to, by uchwycić decydujący moment, odczekać, kiedy dynamika obrazu osiągnie apogeum. Trzeba wiedzieć, kiedy nacisnąć migawkę, by utrwalić tę niepowtarzalną chwilę.* - To było studium, zadanie.

- To był jego cel. Chciał przygotować, spowodować, uchwycić i utrwalić na kliszy śmierć. - Nathanowi zrobiło się niedobrze. Wypił więcej whisky, starając się za pomocą alkoholu pokonać mdłości. - Musiał nosić w sobie jakieś zadatki szaleństwa.

Coś, czego nie dostrzegaliśmy. Czego nikt nigdy nie zauważył, ani nie podejrzewał.

Miał przyjaciół, odnosił sukcesy. Uwielbiał oglądać w telewizji piłkę i czytać powieści pełne niezwykłych wydarzeń. Lubił smażyć na grillu i marzył o wnukach.

Każde słowo, każde wspomnienie powodowało coraz większe rozdarcie wewnętrzne.

- Nie ma żadnego usprawiedliwienia - powiedział. - Nic nie może go rozgrzeszyć.

Podeszła do przodu. Wszystkie jej uczucia połączyły się i skupiły w jednym punkcie.

- Robił jej zdjęcia. Sfotografował jej twarz. Jej oczy. Jej ciało. Była naga.

Starannie nadał jej określoną pozę. Pochylił jej głowę w dół, w stronę lewego ramienia, a prawą rękę położył na talii...

- Skąd ty...

- Widziałam zdjęcie. - Zamknęła oczy i odwróciła się. Poczowała ogromną, choć niezwykle bolesną ulgę. - To znaczy, że nie jestem szalona. Nigdy nie byłam. Nie wymyśliłam go sobie. Naprawdę je widziałam. Naprawdę.

- O czym ty mówisz?

Niecierpliwym ruchem wyjęła papierosy z tylnej kieszeni. Kiedy jednak zapaliła zapałkę, jedynie patrzyła na ogień.

- Nie drżą mi ręce - mruknęła. - Są idealnie spokojne. To znaczy, że się nie załamie. Jestem w stanie sobie z tym poradzić. Nigdy więcej już się nie załamie.

Przerażony, że pchnął ją za daleko, ruszył w jej stronę.

- Jo Ellen.

- Nie jestem szalona. - Uniosła głowę i przyłożyła ogień do końcówki papierosa.

- Nic mi nie będzie, nie załamie się po raz drugi. Najgorsze jest to, że teraz trzeba się z tym pogodzić i nauczyć się z tym żyć. - Wypuściła dym, a potem obserwowała, jak zamienia się w delikatną mgiełkę i znika. - Ktoś przysłał mi zdjęcie matki. Jedną z fotografii wykonanych przez twojego ojca. Czuł, jak krew ścina mu się w żyłach.

- To niemożliwe.

- Widziałam je. Trzymałam w ręku. To właśnie jego widok mnie załamał, ono sprawiło, że dotychczas nie mogłam odzyskać równowagi.

- Mówiłaś mi, że ktoś przysyłał ci zdjęcia, na których byłaś ty.

- Tak. To właśnie wśród nich, w ostatnim pakiecie, który dostałam w Charlotte, znajdowała się ta jedna odbitka. A potem, kiedy wróciłam ze szpitala, nie mogłam jej znaleźć. Ktoś, kto mi ją przysłał, wszedł do mojego mieszkania i zabrał ją. Myślałam, że wszystko sobie wyobraziłam. Ale ona naprawdę tam była. Istniała. Rzeczywiście miałam ją w rękach.

- Jestem jedynym człowiekiem, który mógł ci ją wysłać. Ale nie zrobiłem tego.

- Gdzie są te zdjęcia? Gdzie są negatywy?

- Zniknęły.

- Zniknęły? Jak?

- Kyle chciał zniszczyć zarówno negatywy, jak i dziennik. Nie zgodziłem się.

Potrzebowałem trochę czasu, by zdecydować, co należy z nimi zrobić. Pokłóciliśmy się o to. Kyle wychodził z założenia, że minęło już dwadzieścia lat. Jego zdaniem nie warto było wywlekać tego na światło dzienne. To mogło zrujnować nas obu. Był

wściekły, że w ogóle zastanawiam się, czy nie pójść z tym na policję, albo do twojej rodziny. Następnego ranka zniknął. Zabrał ze sobą zdjęcia i pamiętnik. Nie wiedziałem, gdzie go szukać. Potem dowiedziałem się, że utonął. Doszedłem do wniosku, że nie mógł się z tym pogodzić. Że najpierw zniszczył wszystkie dowody, a potem siebie.

- Zdjęcia wcale nie zostały zniszczone. - Jej umysł pracował w tej chwili precyzyjnie i jasno. - One istnieją, tak samo jak fotografie, na których jestem ja.

Bardzo przypominam matkę. Nietrudno obsesję, która niegdyś dotyczyła jej, przenieść na mnie.

- Myślisz, że o tym nie pomyślałem, że mnie to nie przeraża? Kiedy znaleźliśmy Susan Peters i zdałem sobie sprawę, w jaki sposób zginęła, myślałem... Tylko ja jeden zostałem, Jo. Pochowałem ojca.

- Ale czy pochowałeś brata?

Spojrzał na nią i powoli potrząsnął głową. - Kyle nie żyje.

- Skąd wiesz? Wierzysz raportom policyjnym, które mówią, że się upił i wy padł z łodzi? A jeśli to nieprawda, Nathan? To on miał zdjęcia, negatywy i pamiętnik.

- Ale on naprawdę utonął. Zdaniem ludzi, którzy razem z nim podróżowali na tym jachcie, był pijany, strasznie pijany, załamany i markotny. Dopiero następnego ranka zorientowali się, że go nie ma. Zostawił na łodzi ubranie i cały swój sprzęt.

Kiedy sienie odezwała, obszedł ją i zaczął niespokojnie krążyć po pokoju.

- Muszę się pogodzić z tym, kim był i co zrobił mój ojciec. Teraz na dodatek mam uwierzyć, że mój brat żyje i że jest zdolny do tego wszystkiego. Do prześladowania cię i doprowadzenia do załamania, do przyjechania za tobą aż tutaj i...

- Kiedy uświadomił sobie resztę, odwrócił się. - ...zamordowania Susan Peters.

- Moja matka została uduszona, prawda Nathan?

- Tak. Jezu Chryste.

Jo przypomniała sobie, że musi zachować spokój i z rozwagą wykonać następny krok.

- Susan Peters została zgwałcona. Rozumiejąc jej pytanie, Nathan zamknął

oczy. - Tak.

- Jeśli to nie był jej mąż...

- Policja nie znalazła żadnych dowodów, które wskazywałyby na jej męża.

Sprawdziłem to, zanim tu wróciłem, Jo Ellen. - Bardzo trudno było mu powiedzieć resztę. - Teraz mają zamiar dokładniej przyjrzeć się zniknięciu Ginny.

- Ginny? - Kiedy zrozumiała, o czym on mówi, nie była w stanie opanować potwornego przerażenia.



Dotychczasowe opanowanie zniknęło bez śladu. - O nie, tylko nie Ginny.

Nie mógł jej objąć, nie mógł jej ofiarować ani odrobiny pocieszenia. Zostawił ją samą i wyszedł na werandę. Położył dłonie na poręczy, oparł się o nią i próbował

zaczepnąć trochę świeżego powietrza. Kiedy drzwi prowadzące na ganek skrzypnęły, wyprostował się.

- Jaki cel przyświecał twojemu ojcu, Nathan? Co chciał osiągnąć za pomocą tych zdjęć, skoro nigdy nie mógł ich nikomu pokazać?

- Chodziło mu o doskonałość. Władzę. Chciał być nie tylko obserwatorem, który utrwala jakieś wydarzenie, chciał być jego częścią. Być jego autorem. Wybrać doskonałą kobietę, popełnić zbrodnię doskonałą i utrwalić to na doskonałym zdjęciu.

Uważał, że twoja matka jest piękna, inteligentna i elegancka. Cieszyła się powszechnym szacunkiem.

Obserwował robaczki świętojańskie kokieteryjnie mrugające do niego z ciemności.

- Powinienem powiedzieć to całej waszej rodzinie zaraz po przyjeździe tu taj.

Postanowiłem jednak, że wcześniej spróbuję sam wszystko zrozumieć. Początkowo wychodziłem z założenia, że pogodziliście się z kłamstwem i że prawda byłaby dla was gorsza. Potem ukrywałem to przed wami, ponieważ cię pragnąłem. Nietrudno było znaleźć racjonalne uzasadnienie. Już wcześniej ktoś wyrządził ci ogromną krzywdę.

Chciałem zaczekać, aż mi w pełni zaufasz. Chciałem zaczekać, aż mnie pokochasz.

Kiedy bez słowa stanęła za nim, puścił poręcz.

- Wszelkie racjonalne uzasadnienia zazwyczaj są po prostu wygodną wymówką.

Tak samo było w moim przypadku. Po śmierci Susan Peters nie mogłem już dłużej ignorować prawdy, nie miałem również prawa dłużej zachowywać jej dla siebie. Nie jestem w stanie cofnąć tego, co zrobił mój ojciec, nie mogę również za niego odpokutować. Nic, co powiem, nie uleczy ran, które zadał tobie i twojej rodzinie.

- Rzeczywiście, nie jesteś w stanie nic na to poradzić ani nic zrobić. Pozbawił

nas matki i pozwolił nam wszystkim myśleć, że nas opuściła. Jeden egoistyczny akt zniszczył nasze życie i spowodował w naszej rodzinie rozdźwięk, którego nigdy nie zdołaliśmy pokonać. Wyrządził nam niesamowitą krzywdę. - Kiedy głos jej się załamał, zagryzła mocno wargę, by przywołać się do porządku. - Musiała być potwornie przestraszona i zakłopotana. Niczym sobie na to nie zasłużyła, spotkało ją to wszystko tylko dlatego, że była tym, kim była.

Jo wciągnęła głęboko w płuca powietrze, poczuła w nim zapach morza, potem westchnęła.

- Chciałam zrzucić całą winę na ciebie, Nathan, ponieważ jesteś pod ręką.

Ponieważ przez całe życie miałeś matkę. Ponieważ w twoich ramionach poczułam coś, z czym nigdy wcześniej nie miałam do czynienia. Musiałam cię o to wszystko obwinie.

Więc to zrobiłam, i - Spodziewałam się tego.

- Nie musiałeś mi o wszystkim mówić. Mogłeś to pogrzebać, zapomnieć o tym.

Nigdy bym się przecież nie dowiedziała.

- Ale ja wiedziałbym o wszystkim i każdy dzień spędzony z tobą byłby zdradą. -

Odwrócił się od niej. - Chciałem móc się z tym pogodzić, oszczędzić ci bólu i oszczędzić samego siebie. Niemniej jednak nie byłem w stanie.

- Co teraz? - Unosząc twarz ku niebu, wsłuchała się w głos swojego serca. - Czy mam kazać ci płacić za to, za co nie da się zapłacić, czy mam karać cię za krzywdę, którą nam wyrządzono, gdy obydwójce byliśmy jeszcze dziećmi?

- A dlaczego miałabyś tego nie zrobić? - Rozgoryczony urwał i przez chwilę patrzył między drzewa, tam gdzie w tajemniczym milczeniu toczyła swe fale rzeka. -

Jak mogłabyś, spoglądając na mnie, nie przypominać sobie tego, co zrobił mój ojciec?

Powinnaś mnie za to nienawidzić.

Jo doszła do wniosku, że dokładnie tak właśnie postąpiła. Spojrzała na niego, zobaczyła w nim jego ojca i znienawidziła go. Nie próbując się bronić, wysłuchał jej gorzkich słów, nie uchylał się również przed ciosami.

Kirby powiedziała, że wymagało to od niego ogromnej odwagi. Miała rację.

Jo zdała sobie sprawę, że Nathan sam musiał to bardzo przeżyć. Zastanawiała się, dlaczego tak późno zrozumiała, że jemu wyrządzono taką samą krzywdę jak jej.

- Chyba nie pokładałeś zbyt wielkiej wiary w mojej inteligencji ani zdolności do współczucia. Najwyraźniej masz o mnie dość kiepskie mniemanie.

Nie przypuszczał nawet, że stać go jeszcze na zaskoczenie. Spojrzał na nią z niedowierzaniem.

- Nie rozumiem cię.

- Nic dziwnego, skoro uważasz, że gdy już zdołam się z tym pogodzić i skończę opłakiwać matkę, nadal będę cię winić albo obarczać jakąkolwiek odpowiedzialnością.

- On był moim ojcem.

- Gdyby żył, osobiście zamordowałabym go za to, co zrobił jej i nam wszystkim.

Co zrobił tobie. Będę nienawidzić go do końca życia. Nigdy mu nie wybaczę.

Zdołasz się z tym pogodzić, Nathan, czy po prostu masz zamiar odejść? Na razie powiem ci, co ja mam zamiar zrobić. - Nie czekając na jego odpowiedź, kontynuowała z ogromnym pośpiechem. - Tym razem nie dam się oszukać. Nie mam zamiaru pozwolić, żeby ktoś pozbawił mnie szansy na prawdziwe szczęście. Ale jeśli odejdziesz, znienawidzę cię. Jeżeli będę musiała, na pewno mi się to uda. A wówczas nie spotkasz w życiu człowieka, który będzie cię bardziej nienawidził niż ja.

Wpadła do domku jak burza i zatrzęsła za sobą drzwi. Przez chwilę stał w miejscu, starając się otrząsnąć z szoku i poczuć wdzięczność. Ale to było niemożliwe.

Wszedł do środka i cicho zapytał:

- Jo Ellen, chcesz, żebym został?

- Czyż nie powiedziałam ci tego przed chwilą? - Sięgnęła po następnego papie rosa, potem wściekła wyrzuciła go. - Dlaczego muszę ponownie kogoś tracić? Dla czego znowu mam zostać sama? Pojawiłeś się tutaj i zrobiłeś wszystko, żebym się w tobie zakochała, a teraz chcesz mnie zostawić tylko dlatego, że, twoim zdaniem, tak będzie dla mnie lepiej? Uważasz, że to jest honorowe wyjście. Niech diabli wezmą twój honor, Nathan, nic mnie on nie obchodzi, jeśli mam stracić to, czego potrzebuję.

Już wcześniej los płatał mi figle - traciłam to, czego rozpaczliwie potrzebowałam, i w żaden sposób nie mogłam temu zapobiec. Tym razem nie poddam się bez walki.

Drżała z wściekłości, w jej oczach płonął gniew, a na policzkach pojawiły się rumieńce. Nathan nigdy w życiu nie widział nic wspanialszego.

- Nie przypuszczałem, że dziś wieczorem usłyszę z twoich usta takie właśnie słowa. Przygotowałem się na to, że cię stracę. Nie przypuszczałem, że zdołam cię utrzymać.

- Do jasnej cholery, Nathan, nie jestem spinką do mankietu. Był zaskoczony, słysząc własny śmiech.

- Nie mam pojęcia, co powinienem ci powiedzieć. Chyba tylko to, że cię kocham.

- Może mogłoby to wystarczyć, gdybyś mówiąc te słowa trzymał mnie w objęciach.

Podszedł do Jo, przez cały czas patrząc jej prosto w oczy. Objął ją niepewnie, a po chwili przytulił mocniej, jeszcze mocniej, aż w końcu ukrył twarz w jej włosach.

- Kocham cię. - Gdy poczuł na wargach smak i zapach jej skóry, coś chwyciło go za serce. - Kocham cię, Jo Ellen. Każdą cząsteczkę twego ciała.

- Powinno wystarczyć. Nie dopuścimy do tego, by nam to odebrano -

powiedziała energicznie. - Za nic na świecie.

Leżał bardzo spokojnie, mając nadzieję, że ona śpi.

Znajdującej się obok niego ukochanej kobiecie groziło niebezpieczeństwo, którego źródło było dla niego zbyt odrażające, by móc je nazywać. Będzie ją ochraniał, a nawet, jeśli przyjdzie taka konieczność, odda za nią życie. Byłby w stanie popełnić morderstwo, byle była bezpieczna, i nie zważałby na cenę, którą przyszedłoby mu później zapłacić.

Teraz będzie żył nadzieją, że oboje zdołają ocaleć.

Nie można było tego uniknąć. Ukradli dla siebie małą chwilę, nacieszyli się nią.

Teraz należało stawić czoło temu, co ich prześladowało od dwudziestu lat.

- Nathan, muszę powiedzieć o wszystkim mojej rodzinie. - W ciemności sięgnęła po jego dłoń. - Muszę wybrać odpowiedni moment i znaleźć odpowiedni sposób. Chcę, żebyś zostawił to mnie.

- Pozwól mi być przy tym, Jo. Masz prawo zrobić to po swojemu, ale nie powinnaś być wtedy sama.

- W porządku. Ale są jeszcze i inne rzeczy, z którymi trzeba się uporać i które trzeba zrobić.

- Potrzebujesz ochrony.

- Nie próbuj odgrywać w stosunku do mnie roli błędnego rycerza, Nathan. Nie podoba mi się to. - Ten wygłoszony rozleniwionym głosem komentarz niespodziewanie zakończył się sapnięciem, ponieważ Nathan podciągnął ją w górę.

- Nic ci się nie może stać. - Jego oczy niebezpiecznie lśniły w ciemności. -

Niezależnie od tego, co trzeba będzie zrobić w celu zapewnienia ci bezpieczeństwa, mam zamiar się tym zająć.

- Na razie po prostu się uspokój - powiedziała łagodnie. - Chciałabym, żeby nic nie stało się żadnemu z nas. W związku z tym musimy zacząć myśleć i działać.

- Trzeba przyjąć pewne zasady, Jo. Przede wszystkim nigdzie nie będziesz wychodzić sama. Nie wyjdiesz sama ani na krok poza swoją werandę, dopóki nie będzie po wszystkim.

- Nie jestem ani moją matką, ani Ginny, ani Susan Peters. Nie jestem bezbronna, głupia ani naiwna. Nie będę zwierzyną łowną tylko dlatego, że ktoś ma ochotę na mnie zapolować.

Gdyby w tym momencie okazał złość, jedynie zraniłby jej dumę i jeszcze bardziej ją zdenerwował, więc za wszelką cenę postanowił zachować spokój.

- Jeśli mnie do tego zmusisz, wyciągnę cię z wyspy, tak samo jak dzisiaj wyciągnąłem cię z domu. Zabiorę cię w bezpieczne miejsce i zamknę pod kluczem.

Dzięki temu nie będziesz musiała składać mi obietnicy, że nigdzie nie wyjdiesz sama.

- Masz zbyt wygórowane mniemanie o własnych możliwościach.

- Nie w tym przypadku. - Ujął jej brodę w dłoń. - Spójrz na mnie, Jo. Spójrz na mnie. Jesteś dla mnie całym światem. Ze wszystkim jestem w stanie się pogodzić, mogę stawić czoło każdemu niebezpieczeństwu, ale nie przeżyłbym straty ciebie.

Zadrżała, tym razem jednak nie ze złości czy strachu, ale pod wpływem gwałtownego wzruszenia.

- Nikt nigdy tak mnie nie kochał. Nie mogę się do tego przyzwyczaić.

- Ćwicz... i obiecaj.

- Nigdzie nie będę wychodzić sama. - Westchnęła. - Wszystkie układy między kobietą a mężczyzną są nie kończącym się labiryntem ustępstw i kompromisów.

Chyba właśnie dlatego dotychczas udawało mi się tego unikać. - Usiadła na piętach. -

Chyba nie będziemy beczynnie czekać na to, co się stanie. Nie jestem jedyną kobietą na wyspie. - Ponownie zadrżała. - Nie jestem również jedyną córką Annabelle.

- Nie, nie będziemy beczynnie czekać. Chciałbym podzwonić w pewne miejsca, pozbierać wszystkie informacje na temat wypadku Kyle'a, ponieważ wcześniej mogłem coś przeoczyć. Wtedy nie sprawdzałem wszystkiego. To był dla mnie ciężki okres i mogłem coś ominąć.

- Co z jego przyjaciółmi i finansami?

- Bardzo mało wiem o jednym i o drugim. W ciągu ostatnich lat trudno nam było znaleźć wspólny język. - Nathan wstał, by otworzyć okno i wpuścić świeże powietrze. - Znaleźliśmy się w różnych miejscach, staliśmy się zupełnie innymi ludźmi.

- Jaki on był?

- Był... sędzę, że najłatwiej można by go określić jako człowieka zainteresowanego jedynie chwilą obecną. Interesowało go tylko „teraz” - chwytaj chwilę i wykorzystaj ją do końca. Nie martw się o to, co nastąpi później, nie myśl o konsekwencjach ani ewentualnych kosztach. Nigdy jednak nie skrzywdził nikogo oprócz siebie.

Bardzo zależało mu na tym, żeby Jo zrozumiała, a jednocześnie zdał sobie sprawę, że w takim samym stopniu pragnie sam w to uwierzyć.

- Kyle po prostu zawsze szedł na łatwiznę, a jeśli łatwizna wymagała jeszcze jakichś dodatkowych uproszczeń, tym lepiej. Miał mnóstwo uroku osobiste go i był

bardzo utalentowany. Ojciec zawsze mówił, że gdyby Kyle włożył tyle wysiłku w swoją pracę, ile wkłada w przyjemności, byłby jednym z najlepszych fotografów na świecie.

Kyle uważał, że ojciec zbyt krytycznie ocenia jego pracę i nigdy nie jest z niej zadowolony, ponieważ zazdrości, że syn ma jeszcze przed sobą całe życie i karierę.

Przerwał i powtórzył w myślach własne słowa. To co z nich wynikało, sprawiało mu potworny ból. Czy była to rywalizacja? Niezdrowa chęć prześcignięcia własnego ojca? Ponownie poczuł pulsowanie w głowie i mocne uderzenie w skroniach.

- Pójdę podzwonić - powiedział Nathan spokojnie. - Gdybyśmy zdołali wyeliminować tę możliwość, moglibyśmy skoncentrować się na innych. Kyle mógł się upić i pokazać zdjęcia któremuś z przyjaciół lub współpracownikowi.

- Może. - W tej sprawie Jo nie chciała go zbyt mocno naciskać. - Niezależnie od tego, kto jest za to odpowiedzialny, trzeba przyznać, że sporo wie o fotografii i dużo umie. Jest jednak niekonsekwentny i czasami bywa leniwy, choć na pewno posiada spore umiejętności.

Nathan jedynie przytaknął. Właśnie idealnie opisała jego brata.

- Musiał sam zajmować się wywoływaniem - ciągnęła, z ogromną ulgą skupiając się na szczegółach. - To znaczy, że miał dostęp do ciemni. Najpierw w Charlotte, a potem, po przyjeździe tutaj, musiał rozejrzeć się za następną. Pakiet, który ostatnio dostałam, został nadany w Savannah.

- Można wynająć ciemnię na określony czas.

- Tak, i wcale nie wykluczone, że właśnie tak zrobił. Albo wynajął mieszkanie lub dom i przywiózł własny sprzęt. Ewentualnie kupił nowy. Gdyby miał tu gdzieś mieszkanie i własny sprzęt, byłby panem sytuacji. - Spojrzała Nathanowi w oczy. - A przecież o to tu cały czas chodzi. Być może o wszystkim decydować.

Wówczas mógłby bez skrępowania poruszać się między stałym lądem a wyspą.

Panowałby nad sytuacją.

*Panować nad chwilą, manipulować nastrojem, obiektem i ostatecznym wynikiem. Na tym właśnie polega prawdziwa potęga sztuki.* Nathan przypomniał

sobie słowa ojca zapisane starannie na jednej ze stron pamiętnika.

- Tak, rzeczywiście chodzi o panowanie nad sytuacją. W związku z tym sprawdzimy punkty sprzedaży, a także spróbujemy się dowiedzieć, czy ktoś zamawiał

wyposażenie do ciemni i zlecił wysłanie tego do Savannah. Niestety, to nie będzie łatwe i na pewno zajmie mnóstwo czasu.

- Zgoda, ale wiemy przynajmniej, od czego zacząć. - Dobrze było myśleć i wyznaczać sobie jakieś konkretne zdania. - Prawdopodobnie jest sam. By przyjeżdżać i wyjeżdżać, kiedy ma na to ochotę, potrzebuje całkowitej swobody. Robił mi zdjęcia na terenie całej wyspy, to znaczy, że swobodnie się po niej porusza. W związku z tym powinniśmy się rozglądać za samotnym mężczyzną z aparatem

fotograficznym, chociaż możliwe, że wpadniemy raczej na jakiegoś nieszkodliwego obserwatora ptaków.

- Gdyby to był Kyle, na pewno bym go poznał.

- Jesteś tego pewien, Nathan? A gdyby on tego nie chciał? Jeśli to on, wie doskonale, że tu jesteś. Wie również, że coś nas łączy. Córka Annabelle Hathaway z synem Davida Delaneya. Na pewno znaleźliby się ludzie, którzy uznaliby to za swego rodzaju zamknięcie koła. Jeśli tak, podejrzewam, że tobie również grozi ogromne niebezpieczeństwo.

## **ROZDZIAŁ 27**

Jo obudziła się późnym rankiem i była w łóżku sama. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni spała aż do dziesiątej, w dodatku tak głęboko i bez jakichkolwiek snów.

Wydawało jej się, że powinna być niespokojna i roztrzęsiona. Być może jednak strach towarzyszył jej od tak dawna, że teraz, gdy знаła już prawdę, mogła w końcu trochę się uspokoić i zacząć opłakiwać matkę. Kobieta, którą w wieku trzydziestu lat spotkało potworne nieszczęście.

Co więcej, Jo mogła również zacząć żałować minionych lat, straconych na potępienie matki, żony i kobiety, której jedynym grzechem było to, że wpadła w oko szaleńcowi.

Teraz może uda się wszystko naprawić.

- On mnie kocha, mamusiu - szepnęła. - Może w taki właśnie sposób przeznaczenie spłaca nam wszystkim dług za to, że dwadzieścia lat temu było tak okrutne i bezlitosne. Jestem szczęśliwa. Niezależnie od grożącego mi niebezpieczeństwa, jestem z Nathanem niezmiernie szczęśliwa.

Zsunęła nogi na podłogę. Począwszy od dziś, postanowiła, będziemy stać ramię przy ramieniu i razem spróbujemy stawić czoło zagrożeniu.

W salonie Nathan kończył następną rozmowę telefoniczną, tym razem z ambasadą amerykańską w Nicei. Prawie w ogóle nie spał. W oczach miał piasek, a w sercu potworną pustkę. Wydawało mu się, że kręci się w kółko, kilkakrotnie sprawdzając te same informacje i szukając wszelkich szczegółów, które wcześniej pominął.

Przez cały czas odczuwał potworne wyrzuty sumienia, że w głębi duszy za wszelką cenę pragnie znaleźć potwierdzenie informacji o śmierci brata.

Usłyszawszy na schodach odgłos kroków, uniósł głowę. Gdy przez osłonę ganku zobaczył Giffa, uśmiechnął się blado i machnął do niego ręką, równocześnie kończąc rozmowę.

- Nie chciałbym ci przeszkadzać - powiedział Giff.

- Wcale mi nie przeszkadzasz. Właśnie skończyłem, przynajmniej na razie.

- Wybieram się do Dębowej Chatki, gdzie czeka mnie drobna naprawa, i przy szło mi na myśl, że po

drodze podrzucę ci te plany. Wspomniałeś wcześniej, że chętnie zerknąłbyś na przygotowywany przeze mnie projekt solarium dla Sanktuarium.

- Rzeczywiście, bardzo chciałbym móc go obejrzeć. - Nathan zadowolony, że chociaż na chwilę może oderwać myśli od własnych problemów, wziął od Giffa rysunki i rozwinął je na kuchennym stole. - Sam miałem kilka pomysłów, ale potem coś rozproszyło moją uwagę.

- No cóż. - Kiedy w drzwiach sypialni pojawiła się Jo, Giff zrobił minę niewiniątka. - To całkiem zrozumiałe. Witaj, Jo Ellen.

Kiedy obaj mężczyźni równocześnie na nią spojrzeli, miała nadzieję, że nie zaczerwieniła się jak burak i że nie okazała po sobie ogromnego zażenowania. Ubrana była w jeden z podkoszulków Nathana i chociaż dolny brzeg w znacznej mierze osłaniał jej uda, nie była wcale pewna, czy nie widać, że pod spodem nic na sobie nie ma.

Zła na siebie pomyślała, że w przyszłości powinna dobrze się zastanowić, zanim ruszy za zapachem kawy jak szczur za melodią graną na flecie.

- Dzień dobry, Giff.

- Wpadłem tylko na moment, żeby podrzucić coś Nathanowi - No cóż, a ja właśnie... chciałam napić się kawy. - Postanowiła nadrobić nieco tupetem, w związku z tym podeszła do lady i naląła sobie kubek. - Zabiorę ją ze sobą.

Giff nie mógł się oprzeć ogromnej pokusie. Zresztą sytuacja fantastycznie się do tego nadawała. A ponieważ był przekonany, że Lexy zechce usłyszeć wszystkie, nawet najdrobniejsze szczegóły, postanowił zdobyć ich jak najwięcej.

- Może rzuciłabyś na to okiem. Kate postanowiła dobudować solarium i za nic w świecie nie chce zrezygnować z tego pomysłu. A ty zawsze miałaś doskonały gust.

Maniery czy godność. Takiej decyzji nie była w stanie podjąć żadna kobieta, która odebrała tradycyjne południowe wychowanie. Jo postanowiła połączyć obie te możliwości i podeszła bliżej, by przyjrzeć się rysunkowi. Przez chwilę głowiła się nad czymś, co wyglądało jak rzut boczny długiej, wznoszącej się stopniowo krzywizny z ogromną ilością starannie wpisanych cyferek znajdujących się przy odpowiednich liniach.

Nathan z trudem oderwał wzrok od nóg Jo i skupił całą uwagę na rysunku.

- Pomysł jest dobry. Czy osobiście dokonujesz pomiarów geodezyjnych?

- Tak, robię to razem z Billem. Bill pracuje na stałym lądzie jak geodeta i dysponuje odpowiednim sprzętem.

- Być może byłoby lepiej, gdybyś ustawił to pod takim kątem... - palcem pokazał linię - ...a nie na wprost. Wówczas zdołałbyś uniknąć kopania z tej strony, a dzięki temu mógłbyś całość wtopić w istniejący ogród.



- Tylko czy wówczas nie należałoby obciąć tego rogu? Czy nie utrudniłoby to wyjścia z głównego budynku? Panna Kate dostałaby szalę, gdybym zaczął mówić jej o konieczności przesunięcia drzwi lub okien.

- Nie musiałbyś niczego zmieniać w istniejącej konstrukcji. - Nathan odsunął

rzut boczny i odsłonił wykonany przez Giffa widok ogólny. - Dobra robota - mruknął.

- Naprawdę dobra. Jo, podaj mi tę kartkę. - Nathan wykonał bliżej nieokreślony gest.

- Mam w swojej firmie ludzi, którzy nie są w stanie odręcznie wykonać takiego rysunku.

- Nie chrzaniysz? - Giff kompletnie zapomniał o istnieniu Jo i wybałuszył oczy, zaglądając Nathanowi przez ramię.

- Jeśli kiedykolwiek zdecydujesz się uzupełnić wykształcenie i będziesz chciał terminować, daj mi znać.

Wziął ołówek i zaczął coś szkicować na papierze, który położyła przed nim Jo.

- Popatrz, jeśli ujmiesz to w taki sposób, unikniesz tylu kątów ostrych i uzyskasz większą płynność kształtów. Ten dom ma w sobie coś kobiecego, w związku z tym lepiej unikać nadmiaru kątów. Spróbuj utrzymać wszystko w tym samym stylu, co krzywiznę dachu, a potem zamiast kończyć wszystko w ogrodzie, stop się z nim.

- Rozumiem. - Giff zdał sobie sprawę, że jego szkic roboczy w zestawieniu z rysunkiem artysty wygląda niezwykle blado i zdradza rękę amatora. - Nawet za milion lat nie wymyśliłbym ani nie narysował czegoś takiego.

- Jestem święcie przekonany, że doszedłbyś do tego. Odwaliłeś najgorszą robotę. Zawsze łatwiej komuś z boku spojrzeć na dobrze, dokładnie wykonany rysunek i zmienić kilka drobiazgów, niż od podstaw tworzyć całościową koncepcję.

Nathan wyprostował się i, zmrużywszy oczy, przez chwilę zastanawiał się nad wykonanym naprędce szkicem. Bez trudu wyobraził sobie gotową całość.

- Klient może wybrać twoją wersję. Jest bardziej tradycyjna i na pewno znacznie oszczędniejsza.

- To, co ty proponujesz, jest dużo ładniejsze.

- Klienci nie zawsze decydują się na to, co jest piękne. - Nathan odłożył ołówek.

- Tak czy owak pomyśl o tym, albo pokaż obie wersje Kate i daj jej trochę czasu na zastanowienie. Niezależnie od tego, na którą wersję się zdecyduje, możemy jeszcze dopracować całość, zanim zaczniesz kopać.

- Popracujesz nad tym razem ze mną?

- Pewnie. - Bez zastanowienia Nathan wziął do ręki należący do Jo kubek kawy i zaczął z niego pić. - Chciałbym, nawet bardzo.

Giff szybko pozbierał rysunki.

- Myślę, że zawrócę i od razu zawiozę to pannie Kate. Dam jej trochę czasu, żeby sobie nad tym porozmyślała. Jestem ci naprawdę niezmiernie wdzięczny, Nathan. - Pociągnął daszek swojej czapki.

- Do zobaczenia, Jo.

Jo oparła się o kontuar i obserwowała, jak Nathan bierze następny arkusz papieru. Skończył jej kawę i zaczął następny rysunek.

- Nawet nie zdajesz sobie sprawy, co właśnie zrobiłeś - mruknęła.

- Hmm. Jak daleko od domu znajduje się klomb, na którym rosną te wysokie, niebieskie, kolczaste kwiaty? Ile może być od niego metrów do tego rogu?

- Nie wiem. - Wzięła sobie następny kubek. - Nie masz pojęcia, co właśnie zrobiłeś.

- Z czym? Och. - Spojrzał na kubek. - Przepraszam. Wypiłem twoją kawę..

- To było, moim zdaniem, irytujące i równocześnie urocze, ale zrobiłeś coś jeszcze. - Objęła go w pasie. - Masz dobre serce, Nathan. Naprawdę..

- Dziękuję. - Chwila normalności, obiecał sobie. Przez najbliższą godzinę mogą zachowywać się jak dwójka najnormalniejszych ludzi pod słońcem. - Chodzi ci o to, że nie dałem ci klapsa po pupie, kiedy weszłaś tu w moim podkoszulku - chociaż miałem na to ogromną ochotę?

- Nie, dzięki temu można by cię uznać za człowieka mądrego. Mnie natomiast chodzi o to, że jesteś dobry. Nie widziałeś jego twarzy. - Dotknęła dłońmi policzków Nathana. - Nawet nie zauważyłeś.

Zdezorientowany potrząsnął głową.

- Najwyraźniej nie. Czy mówisz o Giffie?

- Nie znam nikogo, kto nie lubiłby Giffa, większość ludzi widzi w nim jednak tylko sympatycznego i solidnego majstra, który potrafi zrobić wszystko. Nathan... -

Dotknęła wargami jego ust. - Właśnie przed chwilą powiedziałeś mi, że jest kimś więcej i że ma ogromne możliwości. A zrobiłeś to tak od niechcienia, tak rzeczowo, że nie pozostało mu nic innego, jak we wszystko uwierzyć.

Stała na palcach i przytuliła policzek do jego twarzy.

- Lubię cię, Nathan. Podoba mi się, że jesteś właśnie taki.

- Ja też cię lubię. - Objął ją i zakołysał. - I naprawdę zaczyna mi się podobać, że jesteś właśnie taka.

Kirby, wchodząc do Sanktuarium, postanowiła zachować dumę. Jeśli zastała Jo, postara się znaleźć sposób, by zamienić z nią kilka słów na osobności. Surowy kodeks etyczny, którym zawsze kierowała się Kirby, nie pozwalał jej powiedzieć żadnemu z Hathawayów o tym, czego dowiedziała się poprzedniego wieczoru. Jeśli Jo po ponownej rozmowie z Nathanem wróciła do domu, powinno tu panować ogromne poruszenie.

Jeśli nie, zawsze może utrzymywać, że przyszła do pensjonatu jako lekarz rodzinny.

A jednak nie dlatego została wezwana.

Zaplanowała swą wizytę tak, by nie spotkać się z Brianem, więc wykorzystwała w tym celu przerwę między śniadaniem a południowym posiłkiem. Nie skorzystała również z używanego przez przyjaciół kuchennego wejścia, zamiast tego wybierając frontowe drzwi.

Ponieważ od tygodnia udawało im się unikać jakichkolwiek kontaktów, miała nadzieję, że zdołają przedłużyć taki stan rzeczy o następny dzień. Nie wybrałaby się tutaj, gdyby nie telefon Kate i jej prośba o udzielenie pomocy wczasowiczce, która poślizgnęła się na schodach.

- Kirby, nie potrafię ci powiedzieć, jak bardzo jestem ci wdzięczna za przyście -

usłyszała w tym momencie. To jedynie skręcona kostka, nic więcej, słowo daj ę. Ale ta kobieta robi takie zamieszanie, jakby miała połamane wszystkie kości.

Jeden rzut oka na strapioną twarz Kate wystarczył, by lekarka zorientowała się, że Jo jeszcze nic nie powiedziała o Annabelle.

- W porządku, Kate.

- Wiem, że jest to twoje wolne popołudnie, i wcale nie miałam ochoty cię tu sprowadzać, ale ona za nic w świecie nie da się wyciągnąć z łóżka.

- Naprawdę żaden problem. - Kirby ruszyła za nią na piętro. - Zawsze lepiej sprawdzić. Jeśli uznam, że to coś więcej niż nadciągnięte ścięgno, prześwietlimy nogę i odstawimy pacjentkę na stały łąd.

- Chyba jedyny sposób pozbycia się jej - mruknęła Kate pod nosem.

Energicznie zapukała do drzwi. - Przyprowadziłam lekarza, pani Tores. Rachunek wystaw na pensjonat - powiedziała Kate do Kirby półgłosem - i dolicz sobie tyle, ile uznasz za stosowne, jako dodatkowe wynagrodzenie za kłopot.

W trzydzieści minut później z lekka wyczerpana Kirby zamknęła za sobą drzwi sypialni. Pani Tores uraczyła ją całą litanią skarg. Kirby czuła, że zaczyna ją boleć głowa. Kiedy zatrzymała się, żeby rozmasować skronie, zza rogu wychyliła się Kate.

- Wszystko w porządku?

- Kusiło mnie, żeby podać jej jakiś środek uspokajający, na szczęście zdołałam się opanować. Ta kobieta ma końskie zdrowie, Kate. Możesz mi wierzyć. Musiałam ją gruntownie przebadać, nim poczuła się usatysfakcjonowana. Ma odrobinę nadwerżoną kostkę, serce jak dzwon, a płuca jak miechy. Mam nadzieję, że planuje tu bardzo krótki pobyt, inaczej serdecznie da ci się we znaki.

- Dzięki Bogu, wyjeżdża już pojutrze. Chodź na dół. Pozwól, że poczęstuję cię szklanką lemoniady i kawałkiem placka wiśniowego upieczonego wczoraj przez Briana.

- Naprawdę muszę wracać. Czeka na mnie ogromna ilość papierkowej roboty.

- Nie puszcę cię, dopóki nie wypijesz czegoś zimnego. Dzisiejszy upał byłby w stanie powalić nawet konia.

- Lubię, gdy jest gorąco - zaczęła, a potem zastygła w bezruchu, widząc wchodzącego frontowymi drzwiami Briana.

Z naręczem świeżo ściętych kwiatów w muskularnych, opalonych ramionach powinien wyglądać dość głupio, przynajmniej Kirby bardzo chciała, żeby tak właśnie było, a jednak sprawiał wrażenie jeszcze bardziej seksownego i atrakcyjnego niż zwykle.

- Och, Brian, niezmiernie się cieszę, że o tym pomyślałeś. - Kate popędziła w dół, a jej mózg pracował z prędkością światła. - Miałam zamiar ściąć je dziś rano, ale kryzys związany z kostką panią Tores całkowicie wybił mnie z rytmu.

Ani na moment nie przestając trajkotać, stopniowo zaczęła odbierać od niego kwiaty.

- Zabiorę je. I tak nie potrafisz ich układać. Słowo daję, Kirby, ten człowiek wtyka je do wazonów i uważa, że to całkowicie wystarczy. Brian, zrób Kirby lemoniadę i przypilnuj, żeby zjadła kawałek placka. Przeszła taki kawał drogi, by wyświadczyć mi przysługę, więc nie puszcę jej, dopóki w jakiś sposób się za to nie odwdzięczę. Zajmij się tym, a ja tymczasem zabiorę kwiaty na piętro.

Ruszyła schodami w górę, pragnąc, by tych dwoje przestało zachowywać się jak para głupców.

- Nie mam na nic ochoty - powiedziała Kirby oschle. - Właśnie miałam zamiar wyjść.

- Na pewno jesteś w stanie wygospodarować pięć minut i napić się czegoś zimnego. Inaczej sprawisz Kate ogromną przykrość.

- Dobrze. Tak czy owak, jeśli skorzystam z tylnego wyjścia, będę miała bliżej do domu. - Odwróciła się i energicznie ruszyła przez hol. Chciała znaleźć się jak najdalej od niego. Wiedziała, że gdy nadejdzie odpowiednia chwila, spróbuje zrobić wszystko, by ułatwić Brianowi pogodzenie się z prawdą o jego matce, na razie jednak Kirby miała własne problemy, z którymi próbowała się uporać.

- Jak pacjentka?

- Gdyby tylko chciała, mogłaby tańczyć gigę. Nic jej nie dolega. - Minęła drzwi do kuchni i stanęła, patrząc jak Brian wyjmuje dzbanek ze złocistożółtą lemoniadą, w której pływały mięta i mięsz

owoców. Kiedy ślinka napłynęła jej do ust, zdecydowanie ją przełknęła. - Jak twoja ręka?

- W porządku. Nie zwracam na nią uwagi.

- Skoro już tu jestem, mogłabym zerknąć. - Położyła torbę na stole. - Już kilka dni temu powinnam ci powymować szwy.

- Podobno właśnie miałaś zamiar wyjść.

- Dzięki temu nie będziesz musiał mnie odwiedzać.

Przestał nalewać lemoniadę i spojrzał na Kirby. Wpadające przez okno słońce oświetlało ją od tyłu, delikatnie liżąc promieniami włosy. Zieleń jej oczu przypominała w tej chwili ciemne, wzburzone morze, co sprawiło, że poczuł napięcie w lędźwiach.

- W porządku. - Postawił szklankę na stole i usiadł.

Mimo upału jej ręce były chłodne. Mimo zdenerwowania - delikatne. Nie zauważyła żadnych opuchlizn ani obrzęków, żadnych śladów infekcji. Brzegi rany zaczynały się ładnie zrastać. Doszła do wniosku, że za jakiś czas trudno będzie dopatrzeć się choćby śladu po tym skaleczeniu. Otworzyła torbę i wyjęła z niej nożyczki do rozcinania szwów.

- To nie potrwa długo.

- Tylko nie rób mi nowych dziur.

Przecięła pierwszy szew i wyciągnęła nitkę pęsetą.

- Ponieważ oboje mieszkamy na tej wyspie i najprawdopodobniej do końca życia będziemy się czasami spotykać, może wyświadczyłbyś mi przysługę i wyjaśnił

pewną sprawę.

- Nie muszę ci niczego wyjaśniać, Kirby.

- Ty tak uważasz. A ja się z tym nie zgadzam. - Przecięła następny szew i ponownie pociągnęła. - Chcę wiedzieć, dlaczego ze mną zerwałeś. Dlaczego postanowiłeś zakończyć naszą znajomość właśnie w taki sposób.

- Ponieważ wszystko posunęło się znacznie dalej, niż planowałem. Oboje uznaliśmy, że i tak nic z tego nie będzie. Po prostu postanowiłem wycofać się jako pierwszy, to wszystko.

- Och, rozumiem. Rzuciłeś mnie, żeby nie mogła od ciebie odejść.

- Mniej więcej. - Był zły, że czuje jej zapach. Powinna mieć na tyle przyzwoitości, by nie wcierać w skórę tego pachnącego brzoskwiniami kremu. Jego woń sprawiała, że Brian cierpiał katusze. - Chociaż jest to znaczne uproszczenie.

- A ty lubisz, gdy wszystko jest proste, prawda? Lubisz, jeśli wszystko odbywa się tak jak chcesz, wtedy, kiedy chcesz i w narzuconym przez siebie tempie.

Słowa Kirby brzmiały niezwykle łagodnie i Brian przytaknął, chociaż wcale nie był pewien, czy może jej zaufać, zwłaszcza że miała w ręce ostre narzędzie.

- Tak, to prawda. Ty przecież jesteś taka sama. Tylko wybrany przez siebie sposób, czas i tempo bardzo różnią się od mojego.

- Nie mogę temu zaprzeczyć. A zatem wolałbyś kobietę delikatną i uległą.

Kobietę, która cierpliwie czekałaby na twój ruch i dostosowała się do twoich zachcianek. Ten portret na pewno do mnie nie pasuje.

- Masz rację. Prawdę mówiąc, wcale nie szukałem kobiety... ani miłości, niezależnie od tego, jak zechcesz to określić. To ty chodziłaś za mną, a trzeba przyznać, że jesteś śliczna. W końcu zmęczyło mnie udawanie, że cię nie pragnę.

- Rzeczywiście. W łóżku doskonale pasowaliśmy do siebie, więc jeśli o to chodzi, żadne z nas nie ma prawa się skarżyć. - Usunęła ostatni szew. - Gotowe. -

Spojrzała mu prosto w oczy. - Skończyłam, Brian. Blizna powoli będzie znikać.

Niedługo w ogóle zapomnisz, że się kiedykolwiek skaleczyłeś. A teraz, skoro już mi wszystko wyjaśniłeś, mogę iść.

Kiedy Kirby wstała, Brian nie ruszył się z miejsca.

- Dziękuję najmocniej.

- Nie ma za co - powiedziała głosem, który przypominał szelest zamarzniętych róż. - Ja nie mam zamiaru ci dziękować. - Wyszła tylnymi drzwiami, zamykając je za sobą jak najszybciej.

Dopiero, gdy znalazła się za osłoną drzew, zaczęła biec.

- Zabawne. - Brian uniósł nietkniętą lemoniadę Kirby i wychylił ją kilkoma ogromnymi łykami, mając przez moment wrażenie, że wypił szklankę kwasu.

Uznał, że postąpił słusznie. Odpowiadało mu takie wyjście z sytuacji, jej prawdopodobnie również. Dzięki temu położył kres tej znajomości, nie dopuścił, by łączące ich uczucie zaszło za daleko i uniknął dalszych komplikacji. Być może przy okazji uraził nieco dumę pani doktor, ale Kirby ma jej aż w nadmiarze. Oprócz dumy może się poszczycić również klasą, inteligencją i czystym, drobnym ciałem dysponującym energią głowicy nuklearnej.

Chryste, to niesamowita kobieta.

Nie, postąpiłem całkiem słusznie, zapewnił sam siebie i przyłożył chłodną szklankę do czoła,

ponieważ nagle poczuł się tak, jakby miał gorączkę. Koniec końców przecież i tak zostawiłaby go ze złamanym sercem.

Kobiety takie jak Kirby Fitzsimmons zawsze w końcu odchodzą. To wcale nie znaczy, że chciałby, żeby jakkolwiek kobieta przy nim została, ale gdyby nosił się z takim zamiarem, gdyby zaczął myśleć o małżeństwie i rodzinie, wówczas niewątpliwie jego wybór padłby właśnie na Kirby. Tymczasem jednak taki układ nie miał żadnych szans.

Ma zbyt dużo energii, zbyt dużo potrafi, by na zawsze zostać na Desire. Jeśli otrzyma odpowiednią ofertę z jakiegoś dużego szpitala albo instytutu medycznego, ucieknie stąd, nie czekając nawet, aż piasek zasypie ślady jej stóp.

Boże, do tej pory nie mógł się nadziwić, jak doskonale poradziła sobie z ciałem Susan Peters. W jednej chwili z kobiety zamieniła się w kamień i spokojnym głosem zaczęła wydawać rozkazy. Przez cały czas nie mrugnęła nawet okiem, nie załamał jej się głos, nie zadrżała ręka.

To sprawiło, że zobaczył ją w zupełnie innym świetle. Nie była delikatnym kwiatuszkiem, który zadowolony byłby się leczeniem wysypki albo poparzeń słonecznych na maleńkiej wysepce zgubionej na oceanie. Na pewno nie związała by się z właścicielem pensjonatu, który znaczną część swych zarobków zawdzięcza przyrządzaniu suflerów i pieczeniu kurczaków. Za nic w świecie, powiedział sobie.

W takim razie tę sprawę ma już za sobą i może wrócić do codziennych zajęć.

Niech diabli wezmą codzienne zajęcia, pomyślał z nagłą złością. Niewiele brakowało, by z całych sił rzucił szklanką o zlew, w tym momencie jednak dostrzegł na stole należącą do Kirby torbę lekarską. Zapomniała jej zabrać, pomyślał, po czym otworzył zamek i pobieżnie przeglądnię jej zawartość.

Na pewno Kirby po nią wróci, pomyślał Brian. Nie będzie goił za nią tylko dlatego, że ze zdenerwowania zostawiła swoje narzędzia.

Oczywiście, mogą być jej potrzebne. Nigdy nie wiadomo, czy nie zdarzy się jakiś wypadek wymagający interwencji lekarza. Gdyby w razie potrzeby Kirby nie miała przy sobie swoich igieł i instrumentów, w jakimś sensie byłaby to jego wina.

Ktoś mógłby nawet umrzeć, prawda?

Nie chciał mieć niczego takiego na sumieniu. Wzruszył ramionami, podniósł

torbę i stwierdził, że jest cięższa niż przypuszczał. Doszedł do wniosku, że lepiej zrobi, jeśli podrzuci ją Kirby, to wszystko.

Zamiast przedzierać się przez las, postanowił wziąć samochód. Było za gorąco na spacer. A poza tym, jeśli Kirby nie będzie się zbyt spieszyc, być może zdoła ją ubiec. Wówczas mógłby po prostu zostawić torbę pod drzwiami i wrócić, nim ona dotrze do domu.

Kiedy zatrzymał się na jej podjeździe, wydawało mu się, że rzeczywiście dotarł

tu przed nią, dlatego był zły na samego siebie, że czuje się zawiedziony. Wcale nie chciał ponownie się z nią spotkać. Przecież o to głównie chodziło.

W połowie schodów uświadomił sobie, że jednak go wyprzedziła. Usłyszał jej płacz.

Słyszając jej spazmatyczne i rozpaczliwe łkanie, zatrzymał się, z trudem łapiąc powietrze. Był wstrząśnięty, czuł, że zasycha mu w gardle i uginają się pod nim kolana. Zaczął się zastanawiać się, czy mężczyznę może spotkać coś gorszego, niż konieczność stawienia czoła płaczącej kobiecie.

Otworzył cicho drzwi i delikatnie zamknął je za sobą. Kiedy, przekładając torbę lekarską z ręki do ręki, ruszył w stronę sypialni, czuł, że nerwy zaczynają odmawiać mu posłuszeństwa.

Kirby leżała na łóżku skulona w kłębek, a włosy zasłaniały jej twarz. Brian już wcześniej miewał do czynienia z kobiecymi łzami. Nie mógł tego uniknąć, ponieważ przez pół życia mieszkał pod jednym dachem z Lexy. Nigdy jednak nie spodziewał się tak niepohamowanego płaczu po Kirby, kobiecie, która rzuciła mu wyzwanie i której uległ, kobiecie, która bez trudu poradziła sobie z ofiarą morderstwa, kobiecie, która przed chwilą wyszła z jego kuchni z podniesioną głową i wzrokiem zimnym jak Północny Atlantyk.

W przypadku Lexy były dwa wyjścia: można było zwać, gdzie pieprz rośnie, i zamknąć drzwi na klucz, albo objąć ją i czekać, aż burza minie. Tym razem postanowił

skorzystać z tego drugiego sposobu, usiadł więc na brzegu łóżka i spróbował objąć Kirby.

Błyskawicznie wyprostowała się i mocno uderzyła wyciągnięte w swoją stronę ręce. Cierpliwie ponowił próbę - kiedy jednak w końcu zdołał wziąć ją w ramiona, stwierdził, że wcale nie jest łatwo poradzić sobie z wściekłą kobietą, nawet jeśli waży ona zaledwie czterdzieści pięć kilo.

- Wynoś się stąd! Nie dotykaj mnie! - Upokorzenie zdecydowanie wzięło górę nad wcześniejszą rozpaczą. Kopała, odpychała go, w końcu zdołała odsunąć się na drugą stronę łóżka. Stała, spojrzała na niego opuchniętymi oczami i od nowa zaczęła szlochać.

- Jak śmiałeś tu przyjść? Wynoś się stąd!

- Zostawiłaś swoją torbę. - Ponieważ głupio się czuł niemal leżąc na jej łóżku, poderwał się na równe nogi. - Usłyszałem twoje rozpaczliwe szlochanie.

Nie miałem zamiaru doprowadzać cię do łez. Nie przypuszczałem, że możesz przeze mnie płakać.

Z pudełka leżącego na stoliku obok łóżka wyciągnęła chusteczkę i wytarła twarz.

- Dlaczego przypuszczasz, że płaczę przez ciebie?

- Nie sądzę, żebyś w ciągu ostatnich pięciu minut zdążyła wpaść na kogoś, kto tak bardzo zdołałby cię wytrącić z równowagi, w związku z tym jest to chyba dość rozsądny wniosek.



- A przecież rozsądek jest twoją najmocniejszą stroną, prawda Brian? - Jednym szarpnięciem wyciągnęła kilka chusteczek, przy okazji zaśmiecając nimi podłogę. -

Wyobraź sobie, że po prostu chciałam sobie trochę popłakać. Chyba mam do tego prawo. A teraz zostaw mnie w spokoju.

- Jeśli cię zraniłem...

- Jeśli mnie zraniłeś? - Zdesperowana złapała pudełko z chusteczkami i rzuciła w niego. - Jeśli mnie zraniłeś, ty sukinsynu. Czy sądzisz, że jestem gumką, którą możesz przyciągnąć do siebie, a potem puścić? Powiedziałeś, że zaczynasz mnie kochać, a potem nagle się rozmyśliłeś i po prostu oświadczyłeś mi, że jest już po wszystkim.

- Przez moment wydawało mi się, że zaczynam cię kochać. - Bardzo zależało mu na tym, by zrozumiała tę różnicę. - Potem mi przeszło.

- Ty... - Zdała sobie sprawę, że wściekłość zabarwia świat na czerwono. Nie zważając na nic, złapała najbliższy przedmiot, który wpadł jej w rękę, i rzuciła nim.

- Jezu, kobieto! - Gdy mała, kryształowa waza jak lśniąca kula śmignęła tuż koło jego ucha, Brian odskoczył w bok. - Jeśli rozwalisz mi głowę, będziesz musiała ponownie mnie zeszywać.

- Ani mi się śni. - Chwyciła stojący na komodzie ulubiony rozpylacz do perfum i posłała go w ślad za wazą. - Możesz wykrwawić się na śmierć, a ja nawet nie kiwnę palcem. Możesz umrzeć, ty draniu.

Uchylił się, zrobił unik i zdołał zablokować ją, nim zdzieliła go po głowie posrebrzanym lusterkiem.

- Będę cię trzymać tak długo, jak trzeba - wysapał, przyciskając ją całym ciałem do materaca. - Do jasnej cholery, nie dopuszczę do tego, żebyś zrobiła mi krzywdę tylko dlatego, że zraniłem twoją dumę.

- Moją dumę? - Przestała walczyć, a w jej wściekłych jeszcze przed chwilą oczach pojawiły się łzy. - Złamałeś mi serce. - Odwróciła głowę, zamknęła czy, nie próbując nawet powstrzymać płaczu. - Teraz już nic nie zostało z mojej dumy, w związku z tym nie ma nawet czego ranić.

Wstrząśnięty odsunął się. Kirby odwróciła się na bok i ponownie skuliła w kłębek. Tym razem nie szlochała, jedynie leżała cicho, a łzy bezszelestnie płynęły jej po policzkach.

- Zostaw mnie, Brian.

- Myślałem, że mogę to zrobić. Wydawało mi się, że właśnie tego się po mnie spodziewasz. Sądziłem, że wcześniej czy później i tak to nastąpi. Więc dla czego nie miałoby nastąpić wcześniej? Przecież i tak nie zostaniesz. - Mówił cicho, delikatnie głaszcząc ją po włosach. - Ani na wyspie, ani ze mną Musiałem się wycofać, bo inaczej twój wyjazd mógłby mnie zabić.

Była zbyt zmęczona, by dalej płakać. Wsunęła dłoń pod policzek i otworzyła oczy.

- Czemu uważasz, że nie zostanę?

- A dlaczego miałabyś zostać? Możesz jechać, gdziekolwiek zechcesz. Do Nowego Jorku, Chicago, Los Angeles. Jesteś młoda, piękna, inteligentna. Lekarze, w każdym z tych miast zarabiają mnóstwo pieniędzy, co tydzień wyjeżdżają do klubu golfowego i mają luksusowe biura w wielkich, lśniących wieżowcach.

- Gdybym marzyła o tym wszystkim, już dawno mogłabym to mieć. Jeśli tylko chciałabym mieszkać w Nowym Jorku, Chicago lub Los Angeles, byłabym tam, a nie tutaj.

- Dlaczego w związku z tym tam nie jesteś?

- Ponieważ uwielbiam tę wyspę. Zawsze ją uwielbiałam. Ponieważ zawsze marzyłam o prowadzeniu takiej praktyki lekarskiej i takiego trybu życia, który możliwy jest tylko tutaj.

- Przyjechałaś tu z zupełnie innego świata - upierał się. - Zostawiłaś za sobą zupełnie inny styl życia. Twój ojciec jest bogaty...

- A mama piękna. - Pociągnęła nosem i nawet nie zauważyła, że Brian mimo woli delikatnie się uśmiechnął.

- Myślałem...

- Wiem, co myślałeś. - Miała wrażenie, że jej głowa jest nadmuchanym do granic możliwości balonem, który lada chwila może pęknąć. Obiecała sobie, że za chwilę weźmie jakąś tabletkę przeciwbólową. - Nie interesują mnie zbytnio kluby golfowe. Nie cierpię przewijającego się przez nie sztywnego towarzystwa ani tysięcy obowiązujących tam reguł. Wolę siedzieć na werandzie i móc codziennie obserwować z niej ocean. Wolę wejść w głąb lasu, spotkać sarnę, albo obserwować, jak mgła unosi się nad rzeką.

Przesunęła się odrobinę, żeby zobaczyć jego twarz.

- Wytlumacz mi w takim razie, Brian, dlaczego ty tu jesteś? Mogłeś wyjechać do każdego z tych miast, które przed chwilą wymieniłeś, prowadzić kuchnię w ekskluzywnym hotelu albo być właścicielem restauracji. Dlaczego tego nie robisz?

- Ponieważ wcale tego nie chcę. Tutaj mam wszystko, czego pragnę.

- Tak samo jak ja. - Położyła policzek na narzucie. - Teraz idź i zostaw mnie samą.

Wstał i przez chwilę uważnie się jej przyglądał. Miał wrażenie, że jest duży, niezręczny i kompletnie nie wiedział, co teraz powinien zrobić. Wsunął kciuki do kieszeni spodni, cofnął się o kilka kroków, potem zbliżył się, odwrócił, by wyrzeć przez okno, a po chwili z powrotem spojrzał na nią. Nie ruszyła się, ani nie odezwała.

Zaklął pod nosem, syknął i ruszył w stronę drzwi. Ponownie się odwrócił.

- Nie byłem z tobą szczerzy. Wcale mi nie przeszło, Kirby. Chciałem, żeby tak było, ale mi się nie udało. Poza tym wcale mi się nie wydawało, tak było...

naprawdę. Mogę ci się przyznać, że to mi się nie podoba. Nie podoba mi się, ponieważ zdaję sobie sprawę, że wszystko wcale nie jest takie proste. Ale to i tak niczego nie zmienia.

Otarła dłonią policzek i usiadła. Zauważyła, że Brian nie wygląda na człowieka szczęśliwego. W jego oczach wyraźnie widać było, że czuje się urażony, zaciśnięte usta świadczyły o uporze, a postawa o irytacji.

- Czy w ten oto niezwykle czarujący sposób właśnie wyznałeś mi miłość?

- Tak. Chociaż w tym momencie chyba wcale nie jestem czarujący.

- Najpierw mnie rzuciłeś, potem przyłapałeś mnie w chwili babskiej słabości, co jest dla mnie potwornym upokorzeniem, wreszcie nie chciałeś uwierzyć w moje uczucia i nie doceniłeś mojego charakteru, co mogę uznać jedynie za zniewagę, a teraz nagle mówisz mi, że mnie kochasz. - Potrząsnęła głową i odsunęła z twarzy mokre włosy. - Nie da się ukryć, że każda kobieta marzy o tak romantycznym momencie.

- Ja ci tylko próbuję wyjaśnić, jak to wszystko widzę i czuję.

Westchnęła. W najdalszym kąciku jej serca nieśmiało zaczęła zakwitać radość, postanowiła jednak jeszcze na chwilę zostawić ją w ukryciu.

- Ponieważ z jakiegoś powodu, którego w tym momencie nie potrafię sobie przy pomnieć, wygląda na to, że ja również cię kocham, chciałabym ci coś zaproponować.

- Słucham.

- Czy nie wybrałbyś się ze mną na długi, uroczy spacer po plaży? Może na świeżym powietrzu łatwiej będzie ci się zdobyć na logiczne myślenie, może zdołasz również wykrzesać z siebie choć odrobinę męskiego czaru. Wówczas mógłbyś ponownie mi powiedzieć, jak to wszystko widzisz i czujesz.

Przyjrzał się jej uważnie i doszedł do wniosku, że już zaczyna logicznie myśleć.

- Nie mam nic przeciwko spacerowi - powiedział i wyciągnął do niej dłoń.

## **ROZDZIAŁ 28**

Czuł, że w powietrzu wisi coś niedobrego. Nie chodziło mu wcale o trudny do zniesienia upał i kłujący w oczy błękit nieba. Zaczynał żywić poważne obawy w związku z siejącym obecnie spustoszenie na Bermudach huraganem, któremu nadano imię Carla. Co prawda meteorolodzy utrzymywali, że kieruje się on na pełne morze, Sam wiedział jednak, że wszystkie huragany mają iście kobiecą naturę. A kobiety, w granicy rzeczy, są nieprzewidywalne.

Istniało spore prawdopodobieństwo, że Carla minie Desire i wyładuje całą złość na Florydzie. Samowi nie podobało się jednak ciężkie, parne powietrze, które przygniatało człowieka do ziemi.

Postanowił, że zajrzy do maleńkiej stacji meteorologicznej, którą Kate dała mu na ostatnie Boże Narodzenie, i uruchomi krótkofalówkę. Bez wątplenia zbliża się sztorm. Dobrze byłoby wiedzieć, skąd nadchodzi.

Kiedy powoli wędrował w górę, na skraju ogrodu dostrzegł parę. Padające z ukosa promienie słońca zamieniały włosy Jo w lśniące płomienie. Wychylała się do przodu i, by nie stracić równowagi, opierała o stojącego obok mężczyznę. W geście tym bez trudu dostrzec można było łatwą do rozpoznania tęsknotę.

Sam zauważył, że młody Delaney to już dorosły mężczyzna. Na dodatek właśnie w tej chwili trzyma dłonie na pośladkach Jo. Sam westchnął ciężko, zastanawiając się, jak właściwie powinien zareagować.

Nie odrywając od siebie wzroku splegli się w namiętym uścisku. Ich zachowanie wyraźnie świadczyło o tym, że spędzili ze sobą sporo czasu, nie poprzestając bynajmniej na pocałunkach i namiętych uściskach. Co w związku z tym powinien zrobić?

Dawniej młodzi ludzie nie całowali się na oczach innych. Sam pamiętał czasy, kiedy zalecał się do Annabelle. Wymykali się wówczas z domu jak złodzieje albo ściskali po kątach, ale tylko wtedy, gdy nikt ich nie widział. Gdyby kiedykolwiek ojciec Belle zobaczył ich w takiej sytuacji, musieliby drogo za to zapłacić. Sam nie zatrzymywał się, dołożył jednak wszelkich starań, aby odgłos jego kroków mógł

obudzić nie tylko śpiącego, lecz również umarłego. Nie mają nawet na tyle wstydu, by gwałtownie od siebie odskoczyć i wyglądać, jak na winowajców przystało, pomyślał

Sam. Odsunęli się tylko odrobinę od siebie, splegli dłonie i obrócili się w jego stronę.

- Mieszkający w tym domu goście, Jo Ellen, nie płacą za występy artystyczne.

Zaskoczona zamruwała oczami.

- Rozumiem, tatusiu.

- Jeśli chcesz dać upust swoim uczuciom, zrób to tak, żeby nie mówili o tym wszyscy ludzie stąd do Savannah.

Wykazała na tyle rozsądku, że nie parsknęła śmiechem, chociaż miała na to ogromną ochotę, poza tym spuściła oczy, by nie dostrzegł w nich błysków rozbawienia, i przytaknęła.

- Tak jest, sir.

Sam Zaszurał nogami, potem stanął spokojnie i spojrzał na Nathana.

- Mam nadzieję, że jesteś na tyle dorosły, by w miejscu publicznym zapanować nad swoimi hormonami.

- Idąc za przykładem Jo, dodatkowo ostrzeżony niemal niedostrzegalnym ściśnięciem ręki, Nathan powiedział z pełną powagą i należyтым szacunkiem:

- Tak jest, sir.

Chociaż ich odpowiedzi wcale nie zdołały oszukać Sama, udał, że jest zadowolony, po czym zmarszczył brwi i spojrzał na niebo.

- Nadchodzi sztorm - mruknął pod nosem. - Niezależnie od tego, co mówią meteorolodzy, jestem przekonany, że nas nie minie.

Jo zdała sobie sprawę, że jej ojciec próbuje prowadzić z nimi normalną rozmowę, w związku z tym, ukrywając zdziwienie, pospieszyła z pomocą.

- Carla należy do kategorii drugiej i zmierza w stronę Kuby. Nie jest wykluczone, że uderzy we Florydę, a potem ruszy na zachód nad Zatokę Meksykańską.

- Ona na pewno nic sobie nie robi z tego, co mówią spece od pogody. Zrobi to, na co będzie miała ochotę. - Sam ponownie spojrzał na Nathana, próbując wyrobić sobie jakąś opinię na jego temat. - Podejrzewam, że mieszkając w Nowym Jorku, niewiele miałeś do czynienia z huraganami.

Czy miało to być swego rodzaju wyzwanie, zastanawiał się Nathan. Delikatny przytyk do jego męskości?

- Nie. Chociaż byłem w Cozumel, kiedy szalał tam Gilbert. - O mały włos nie wspomniał o obserwowanym kiedyś tornadzie, które niemal zrównało z ziemią ogromną powierzchnię Oklahomy i lawinie, która z potwornym hukiem przeszła po zboczu góry w pobliżu jego drewnianej chaty, gdy pracował w Szwajcarii.

- No cóż, w takim razie wiesz coś na ten temat - powiedział Sam zwyczajnie. -

Słyszałem, że obaj z Giffem pracujecie nad projektem solarium, o którym tak bardzo marzy Kate.

- To projekt Giffa. Ja jedynie podsunąłem mu kilka pomysłów.

- Wygląda na to, że ci ich nie brak. Może w takim razie pokażałbyś mi, co macie zamiar zrobić z moim domem?

- Oczywiście, mogę przedstawić panu ogólną koncepcję.

- W porządku. Jo Ellen, sądzę, że twój młody towarzysz liczy na obiad. Idź i uprzedź Briana, by przygotował dodatkową porcję.

Jo miała zamiar coś powiedzieć, ale jej ojciec już się oddalał. Wzruszyła więc jedynie ramionami i

poszła w stronę domu.

Kiedy weszła do kuchni, Brian stał przy kontuarze i obcinał głowy krewetkom.

Jo nagle zdała sobie sprawę, że jej brat podśpiewuje coś pod nosem. Co prawda fałszował przy okazji niemiłosiernie, niemniej jednak można było rozpoznać w tym jakąś melodię.

- Czy wszyscy tutaj powariowali? - dopytywała. - Tata sili się na prowadzenie normalnej rozmowy i pyta o plany dotyczące solarium, a ty w kuchni wyśpiewujesz.

- Wcale nie śpiewałem.

- Na pewno śpiewałeś. Brzmiało to jak kiepska interpretacja *I Love Rock and Roli*, ale ostatecznie określiłabym twój popis mianem śpiewania.

- No i co? W końcu to moja kuchnia.

- Tak już lepiej. - Podeszła do lodówki po piwo. - Napijesz się?

- Chyba nie odmówię. Stojąc tutaj, tracę na wadze. - Wierchem dłoni przetarł

spoczone czoło i uniósł do ust otworzoną przez Jo butelkę. Pociągnął spory łyk, a potem zrobił minę niewiniątka. - Czy Nathan jest w stanie poruszać się dzisiaj o własnych siłach?

- Tak, ale ma rozciętą wargę. - Sięgnęła do białego ceramicznego słoika i wygrzebała z niego kawałek herbatnika czekoladowego.

- Gdybyś był dobrym bratem, sam upuściłbyś mu trochę krwi.

- Zawsze mówiłaś, że wolisz osobiście załatwiać swoje porachunki. Jak, na Boga, możesz jeść herbatniki po piwie? To straszne.

- Lubię takie połączenie. Może ci w czymś pomóc? Tym razem to on był zaszokowany.

- Czy jesteś w stanie nieco dokładniej zdefiniować słowo „pomoc”?

- Mogę cię w czymś wyręczyć - rzuciła. - Posiekać coś albo pomieszać. Wypił następny łyk piwa i uważnie się jej przyjrzał.

- Mogłabyś zająć się marchewką - obrać ją i zetrzeć. - Ile?

- Równowartość dwudziestu dolarów. Tyle mnie kosztujesz.

- Przepraszam, o czym ty mówisz?

- Miałem taki niewielki zakład z Lexy. Tuzin - powiedział i wrócił do swoich krewetek.

Wyjęła marchewki i wolnymi, precyzyjnymi ruchami zaczęła je obierać.

- Brian, gdybyś przez całe życie wierzył w coś, co jest jedynie kłamstwem, ale zdołałeś się już z tym pogodzić, a ktoś nagle zaproponował ci, że odsłoni przed tobą prawdę, czy chciałbyś ją poznać, czy wolałbyś nadal tkwić w błędzie? Przy czym prawda może okazać się trudniejsza do zaakceptowania.

- Czasami lepiej nie wywoływać wilka z lasu, ale nieraz trudno temu zapobiec.

Nigdy nie wiadomo, kiedy sam stamtąd wyjdzie i skoczy ci do gardła. - Wrzucił

krewetki do gotującej się wody z piwem i przyprawami. - Ale jeśli wystarczająco długo uda ci się go omijać z daleka, zestarzeje się, osłabnie i powypadają mu zęby.

- Nie dałeś mi konkretnej odpowiedzi.

- Również pytanie nie było zbyt konkretne. Rozrucasz łupki po całej podłodze.

- Za chwilę je sprzątnę. - Marzyła o tym, by razem z łupkami móc zamieść również słowa i wepchnąć je pod najbliższy dywan. Choć i tak zawsze wiedziałyby, że one tam są. - Czy twoim zdaniem najzupełniej normalny mężczyzna, mający rodzinę, pracę, dom na obrzeżach miasta, mężczyzna, które w niedzielny wieczór gra z synem w piłkę, a we środę po południu przynosi żonie róże, może mieć drugie oblicze?

Ponure, ciemne oblicze, którego nikt nie dostrzega, a które jest w stanie pchnąć go do popełnienia jakiegoś potwornego czynu. Potem jednak człowiek ten bez trudu wraca do swego pierwszego ja” i w niedzielę kibicuje podczas meczu Małej Ligi, a po nim bierze rodzinę na lody i wodę sodową. Czy sądzisz, że jest to możliwe?

Brian wyjął durszlak i wstawił go do zlewu.

- Skąd wzięło ci się dzisiaj tak dużo pytań, Jo Ellen? Czyżbyś miała zamiar zacząć pisać książkę?

- Nie możesz mi po prostu powiedzieć, co o tym sądzisz? Nie stać cię na to, by mieć na ten temat własne zdanie i wypowiedzieć je?

- W porządku. - Zdumiony uniósł przykrywkę garnka i szybko zamieszał

krewetki. - Jeśli masz ochotę na zabawę w filozofa, musisz wziąć pod uwagę, że temat Jekylla i Hyde'a zawsze bardzo ludzi fascynował. W każdym człowieku istnieje zarówno dobro, jak i zło. Któż z nas jest bez wad?

- Nie mówię o wadach. Nie mówię o mężczyźnie, który pewnego dnia ulega pokusie i po południu zdradza żonę w pobliskim motelu albo podkrada pieniądze z kasy, w której pracuje. Mówię o prawdziwym źle, kompletnie pozbawionym poczucia winy i wyrzutów sumienia. Na dodatek całkowicie ukrytym nawet przed najbliższymi.

- Wydaje mi się, że łatwo ukryć nawet najgorsze zło, jeśli nie ma się wyrzutów sumienia. Jeśli człowieka nic nie dręczy, automatycznie nie czuje się odpowiedzialny i żadne lustro mu tego nie przypomina.

- Nie przypomina Tobie lustra.... - powtórzyła. - Zupełnie jak czarne, nieprzezroczyste szkło, prawda?

- Czy chcesz ze mną przedyskutować jeszcze jakiś równie radosny temat?

- Tak, posłuchaj. Czy jabłko może upaść daleko od jabłoni?

Z łagodnym uśmiechem na ustach Brian dźwignął garnek i wylał krewetki na durszlak.

- Moim zdaniem to całkowicie zależy od jabłka. Jeśli jest twarde i zdrowe, bez trudu może kilka razy się odbić i odturlać daleko od drzewa. Natomiast jeśli będzie zgniłe, upadnie tuż przy pniu.

Brian odwrócił się, ponownie otarł spocone czoło, po czym, widząc spojrzenie Jo, sięgnął po piwo.

- O co chodzi? - dopytywał, patrząc z uwagą na bladą twarz i ciemne, zaokrąglone w nagłym zdumieniu oczy.

- Masz absolutną rację - powiedziała cicho. - Masz całkowitą rację.

- Zawsze byłem świetny, jeśli chodzi o przypowieści.

- Tę jedną chciałabym wykorzystać, Brian. - Wróciła do obierania. - Po kolacji musimy porozmawiać. Wszyscy. Powiem pozostałym. Skorzystamy w tym celu z pokoju rodzinnego.

- Wszyscy razem w jednym miejscu? Kogo masz zamiar w ten sposób ukarać?

- To niezmiernie ważne, Brian. Dla nas wszystkich - Nie rozumiem, dlaczego muszę być właśnie tutaj, skoro jestem umówiona na randkę. - Przyglądając się własnemu odbiciu w lustrze za barem, Lexy poprawiła włosy. - Jest już prawie ósma.

Jak tak dalej pójdzie, Giff zrezygnuje z czekania na mnie i położy się spać.

- Jo powiedziała, że to ważne - przypomniawszy Kate. Bardzo starała się, żeby jej druty stuknęły rytmicznie. Od dziesięciu lat robiła ten sam szal i miała zamiar skończyć go, nim minie następna dekada.

- W takim razie gdzie ona jest? - dopytywała Lexy, obracając się dookoła. - Nie widzę tu nikogo oprócz ciebie i mnie. Brian najprawdopodobniej wykradł się do Kirby, a tata zaszył się przy krótkofalówce i próbuje umiejscowić ten cholerny huragan - który, nawiasem mówiąc, wcale nie wybiera się w naszą stronę.

- Zejdą się lada chwila. Może nalałabyś nam wszystkim po kieliszku wina, kochanie? - Kate od dawna marzyła o tym, by po gorącym dniu móc spotkać się z całą rodziną, wspólnie wypić coś



zinnego i porozmawiać na temat tego, co wydarzyło się w ciągu ostatnich kilkunastu godzin.

- Całe życie komuś muszę usługiwać. Nawet gdybym po powrocie do Nowego Jorku miała przymierać głodem, słowo daję, że już nigdy nie będę pracowała jako kelnerka.

Sam zajrzał do pokoju, a widząc obie panie, wszedł dalej. Z rozbawieniem spojrzął na Kate. Ten szal prawie w ogóle się nie wydłużył, pomyślał Sam, natomiast za każdym razem, gdy Kate wyjmuje go z szafy, jakimś cudem robi się coraz brzydszy.

- Czy któraś z was wie, o co chodzi Jo?

- Nie, nie mam pojęcia - powiedziała Kate spokojnie. - Mimo to usiądź. Lexy zaraz da nam trochę wina.

- Jeśli to nie sprawi specjalnego kłopotu, wolałbym piwo.

- Słucham, co państwo zamawiają? - zapytała Lexy z wyraźnym rozdrażnieniem. - Uwielbiam usługiwać innym.

- Sam mogę je sobie wziąć.

- Daj spokój, siadaj. - Machnęła na niego ręką. - Podam ci je.

Sam spuścił głowę jak skarcony brzdąc, po czym usiadł na kanapie obok Kate i zaczął bębnić palcami o swoje kolano. Gdy Lexy podała mu pełnego pilsnera, uniósł głowę.

- Teraz pewnie liczysz, że w zamian za tę usługę coś ode mnie otrzymasz. -

Kiedy Kate uniosła brwi, poważnie skinął głową. - Pozwól zatem, drogie dziecko, że dam ci niezwykle cenną radę. Postaw na recykling. Traktuj świat jak własne podwórko.

Kate przerwała stukanie drutami, a Lexy patrzyła z niedowierzaniem. Kiedy Sam poczuł, że rumieni się na szyi, wlepił wzrok w piwo.

- Mój Boże, Sam, zdobyłeś się na żart! Lexy, przypomnij mi, żebym koniecznie zapisała to w kalendarzu.

- Trzymam język za zębami przede wszystkim dlatego, by nie narażać się na babską złośliwość - mruknął, a Kate wybuchnęła śmiechem.

Z prawdziwym rozrzewnieniem poklepała Sama po kolanie, a Lexy uśmiechnęła się na ten widok.

Taki właśnie obrazek zobaczyła Jo, gdy weszła do pokoju. Jej ojciec, kuzynka Kate i Lexy promieniali radością, a w powietrzu unosił się śmiech.

Serce zamarło jej w piersiach. Nigdy nie spodziewała się zobaczyć takiej scenki, nie przypuszczała, że ten widok tak bardzo ją poruszy. Tym bardziej bolało ją, że wraz ze stojącym obok niej mężczyzną mogą zepsuć tę wspaniałą atmosferę.

- A więc jesteś. - Kate nadal promieniała, a kiedy zauważyła Nathana, pomyślała, że to, co pragnie im oznajmić Jo, będzie miało coś wspólnego z kwiatami pomarańczy i welonem. Wzruszona odłożyła na bok druty. - Właśnie popijaliśmy wino. Może powinniśmy raczej otworzyć szampana, byłoby wówczas jeszcze weselej.

- Nie, chętnie napiję się wina. - Zdenerwowana do granic możliwości Jo weszła szybko w głąb pokoju. - Nie wstawaj, Kate, naleję sobie sama.

- Mam nadzieję, Jo, że to nie potrwa długo. Mam pewne plany.

- Przykro mi, Lexy. - Jo w pośpiechu zadzwoniła kieliszkami, pragnąc mieć już wszystko za sobą.

- Usiądź - syknęła Kate, wywracając oczami i zabawnie poruszając brwiami, by udzielić Lexy wskazówki. - Rozgość się, Nathan. Jestem pewna, że Brian pojawi się tu lada chwila. Och, a oto i on. Brian, mógłbyś włączyć wentylator? Jest potworny upał.

W twoim domku nad rzeką prawdopodobnie jest nieco chłodniej, Nathan.

- Odrobinę. - Usiadł, zdając sobie sprawę, że nie może popędzać Jo. Spojrzał na Sama. Tego wieczoru spędzili razem przynajmniej dwadzieścia minut, szkicując plany, dyskutując na temat struktury i formy. Przez cały czas Nathan czuł się jak oszust.

Teraz nadszedł czas, by odsłonić kurtynę, wszystko wyjaśnić i pogodzić się z ewentualnymi konsekwencjami.

- Słucham? - zapytał, nagle zdając sobie sprawę, że Kate coś do niego mówi.

- Pytałam, czy na Desire pracuje ci się równie dobrze jak w Nowym Jorku.

- Jest to miła odmiana. - Kiedy Jo przyniosła mu kieliszek wina, popatrzył jej prosto w oczy. Przystąpił do dzieła, błagał w milczeniu. Miejmy to już za sobą.

- Chciałabym, żebyś usiadł, Brian. - powiedziała Jo półgłosem.

- Hmm. - Właśnie marzył o tym, że wkrótce pojedzie do Kirby i obudzi ją w nietypowy, za to bardzo ciekawy sposób. - Oczywiście.

Usiadł na krześle i uznał, że nigdy w życiu nie czuł się lepiej. Kiedy Lexy przycupnęła obok niego na poręcz, nawet puścił do niej perskie oko.

- Nie wiem, jak zacząć, ani jak wam to powiedzieć. - Jo wciągnęła głęboko w płuca powietrze. - Przykro mi, że muszę wywołać wilka z lasu. - Spojrzała Brianowi w oczy i dostrzegła w nich zakłopotanie. - Niestety, nie mogę postąpić inaczej.

Niezależnie od tego, czy tak będzie lepiej czy nie, wierzę, że postępuję słusznie,.

Tatusiu. - Podeszła, usiadła na ławie i spojrzała Samowi prosto w oczy.

- Chodzi o mamę.

Zauważyła, że zacisnął mocno usta, i, chociaż nawet nie drgnął, miała wrażenie, że się od niej odsunął.

- Lepiej nie wracać do starych spraw, Jo Ellen. Twoja matka odeszła na tyle dawno, że powinnaś się już z tym pogodzić.

- Ona nie żyje, tatusiu. Nie żyje od dwudziestu lat. - Zupełnie jakby chciała nawiązać z nim bezpośredni kontakt, położyła dłoń na jego ręce. - Nie rzuciła ani ciebie, ani nas. Nie opuściła Sanktuarium. Została zamordowana.

- Jak możesz mówić takie rzeczy? - Lexy poderwała się na równe nogi. - Jak możesz mówić coś takiego, Jo?

- Alexo. - Sam przez cały czas patrzył Jo w oczy. - Szsz. - Potrzebował czasu, by wytrzymać cios, który wymierzyła mu Jo. Bardzo chciał się przed nim osłonić lub uchylić. Nie było jednak ucieczki przez jej spokojnymi, smutnymi oczami. - Musisz wiedzieć coś więcej, skoro o tym mówisz. W dodatku sama w to wierzysz.

- Tak.

Powiedziała mu o zdjęciu, które ktoś jej przysłał. Udało jej się zachować spokój, gdy opisywała szok, który przeżyła, gdy rozpoznała na nim Annabelle.

- Zastanawiałam się nad nim i brałam pod uwagę setki możliwości - ciągnęła. -

Zakładałam, że zostało zrobione wiele lat później, że było jedynie zręcznym trikiem lub potwornym żartem. Nie wykluczałam również, że było jedynie wytworem mojej wyobraźni. Jednak żadna z tych wersji nie była prawdziwa, tatusiu. To była mama, a zdjęcie wykonane zostało tutaj na wyspie tej nocy, kiedy zniknęła.

- Gdzie jest to zdjęcie? - zapytał. - Gdzie ono jest?

- Zniknęło. Człowiek, który mi je przysłał, wrócił i zabrał je, gdy leżałam w szpitalu. Ale naprawdę miałam je w rękach, słowo daję. I była na nim mama.

- Skąd wiesz? Skąd ta pewność?

Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale wówczas do przodu wysunął się Nathan.

- Ponieważ ja również widziałem to zdjęcie. Wykonał je mój ojciec chwilę po tym, jak ją zamordował.

Sam podniósł się powoli, a w jego głowie kotłowały się różne myśli.

- Chcesz, żebym uwierzył, że twój ojciec zabił Belle. Zamordował kobietę, która nie wyrządziła mu żadnej krzywdy, a potem na domiar złego zrobił jej zdjęcia. Po zamordowaniu jej zrobił zdjęcia i pokazał ci je.

- Nathan wówczas o niczym nie wiedział, tatusiu. - Jo kurczowo trzymała Sama za ramię. - Był małym chłopcem. O niczym nie wiedział.

- W tej chwili stoi przede mną mężczyzna, nie chłopiec.

- Po śmierci ojca znalazłem jego pamiętnik i zdjęcia. Jo powiedziała prawdę.

Mój ojciec zabił pańską żonę. Opisał wszystko, a potem zamknął pamiętnik, odbitki i negatywy w skrytce depozytowej w banku. Znalazłem to po wypadku, w którym zginęli moi rodzice.

Gdy zamilkł, w pokoju zapadła absolutna cisza, słychać było jedynie cichy szum łopatek zwisającego z sufitu wentylatora, łkanie Lexy i niespokojny oddech Sama.

W tym momencie przed oczami stanęła mu Annabelle - kobieta, którą kochał i którą przeklął. Wraz z tym obrazem pojawiła się wściekłość i żal.

- Przez dwadzieścia lat trzymał to dla siebie. - Sam zacisnął mocno pięści, nie miał jednak niczego, w co mógłby nimi uderzyć. - Ty odkryłeś to, a potem wróciłeś na wyspę i obejmowałeś moją córkę. A ty mu na to pozwoliłaś. - Ob rzucił Jo pełnym wściekłości spojrzeniem. - Wiedziałaś o tym, a mimo to pozwoliłaś mu.

- Kiedy mi o tym powiedział, czułam się dokładnie tak samo, jak ty. Gdy jednak chwilę się nad tym zastanowiłam, zrozumiałam... że Nathan nie jest za to odpowiedzialny.

- Ale jego krew jest.

- Ma pan rację. - Nathan zrobił kilka kroków do przodu i teraz Jo nie stała już między nim a Samem. - Wróciłem tu, by spróbować się z tym pogodzić, wyjaśnić pewne rzeczy lub po prostu o nich zapomnieć. A potem zakochałem się, chociaż nie miałem do tego żadnego prawa.

Brian odsunął od siebie Lexy, żeby przestała płakać na jego ramieniu.

- Dlaczego? - W jego głosie słychać było, że serce pęka mu z bólu. - Dla czego on to zrobił?

- Nic nie jest w stanie tego uzasadnić - powiedział Nathan ze znużeniem. - Nie było w tym nawet najmniejszej winy ze strony Annabelle. Ojciec... po prostu ją wybrał.

Wpadł mu do głowy pewien pomysł i postanowił go zrealizować. Nie działał pod wpływem złości ani namiętności. Sam nie potrafię sobie tego wytłumaczyć.

- Lepiej będzie, jeśli teraz wyjdiesz, Nathan - powiedziała Kate spokojnie, podnosząc się z fotela. -

Zostaw nas na chwilę samych.

- Nie mogę, póki nie powiem wszystkiego.

- Nie życzę sobie, żebyś znajdował się w moim domu. - Głos Sama był niebezpiecznie niski. - Chcę, żebyś jak najszybciej opuścił moją wyspę.

- Nie wyjadę, dopóki nie będę pewien, że nic nie grozi Jo. Ponieważ człowiek, który zabił Susan Peters i Ginny Pendleton, chce zamordować Jo.

- Ginny. - By się nieco uspokoić, Kate złapała mocno ramię Sama.

- Jeśli chodzi o Ginny, nie dysponuję żadnym dowodem, ale wiem, że mam słuszość. Pójdę sobie, jeśli wcześniej wysłuchacie mnie do końca, jeśli pozwolicie mi wszystko powiedzieć.

- Pozwólcie mu skończyć. - Lexy pociągnęła nosem, jej głos był jednak zaskakująco zdecydowany. - Ginny nie odeszła. W głębi duszy przez cały czas doskonale o tym wiedziałam. Z nią było tak samo jak z mamą, prawda, Nathan? I z panią Peters.

Złożyła ręce na kolanach, żeby się uspokoić i odwróciła się do Jo.

- Tu, do Sanktuarium przysłano ci zdjęcia, które wykonane zostały na tej wyspie. Wszystko się powtarza.

- Ty, Nathan, jesteś za pan brat z aparatem fotograficznym. - Oczy Briana zamieniły się w niebieskie szparki.

Nathan poczuł się bardzo dotknięty, ponieważ słowa te padły z ust mężczyzny, którego zarówno w przeszłości, jak i obecnie uważał za przyjaciela.

- Masz prawo mi nie wierzyć, uważam jednak, że co najmniej kilka przyczyn przemawia za tym, żebyś mnie wysłuchał.

- Pozwól, Nathan, że ja spróbuję wszystko wyjaśnić. - Jo uniosła do ust wino, by zwilżyć gardło.

W swej opowieści nie pominęła niczego, stopniowo ujawniając nawet najdrobniejsze szczegóły, przedstawiając kolejne nasuwające się pytania i objaśniając kroki, które oboje z Nathanem postanowili podjąć, by znaleźć na nie odpowiedzi.

- Jego zmarły ojciec jest odpowiedzialny za zamordowanie naszej matki -

wtrącił Brian z goryczą. - A winę za resztę przypisujecie jego nie żyjącemu bratu. Co za wspaniały zbieg okoliczności.

- Nie wiemy, kto ponosi winę za następne zbrodnie. Ale nawet jeśli jest to jego brat, trudno winić o cokolwiek samego Nathana. - Jo podeszła do Briana. - Niedawno ktoś opowiedział mi wspaniałą

przypowiadkę o jabłku spadającym z jabłoni. Zgodnie z nią niektóre owoce są na tyle mocne, że mogą odtoczyć się na znaczną odległość i wcale nie przestają być zdrowe, inne natomiast tego nie potrafią.

- Nie chcę, żebyś wykorzystywała przeciwko mnie moje własne słowa -

powiedział ze złością Brian. - Jego ojciec zabił naszą matkę i w ten sposób zrujnował nam wszystkim życie. Teraz zginęła następna kobieta, być może nawet dwie.

Tymczasem ty spodziewasz się, że poklepiemy go po plecach i powiemy mu, że wszystko zostało wybaczone? A niech to wszyscy diabli.

Wyszedł z pokoju, zostawiając ich samych.

- Pójdę za nim. - Lexy zatrzymała się przed Nathanem, a jej zaczerwienione od płaczu oczy przez moment przyglądały mu się z ogromną uwagą. - Brian jest najstarszy z nas i być może kochał ją najbardziej, tak jak każdy chłopiec kocha swoją matkę. Mimo to jest w błędzie. Nie jesteś człowiekiem, któremu należałoby cokolwiek wybaczać. Tak samo jak my wszyscy, jesteś jedynie ofiarą.

Kiedy wybiegła, Kate powiedziała z pełnym zaskoczenia podziwem:

- Kto by się spodziewał, że Lexy jest tak rozsądną istotą? - Potem westchnęła. -

Potrzebujemy trochę czasu, Nathan. Istnieją rany, które trzeba leczyć we własnym gronie.

- Idę z tobą - zaczęła Jo, ale Nathan potrząsnął głową.

- Nie, zostań z rodziną. Wszyscy potrzebujemy nieco czasu. - Odwrócił się twarzą do Sama. - Gdyby chciał mi pan coś jeszcze powiedzieć...

- Wówczas na pewno cię znajdę. Nathan kiwnął głową i zostawił ich samych.

- Tatusiu...

- Nie mam ci w tej chwili nic do powiedzenia, Jo Ellen. Jesteś dorosłą kobietą, ale w tej chwili mieszkasz pod moim dachem. W związku z tym chciałbym, żebyś poszła do swojego pokoju i zostawiła mnie w spokoju.

- W porządku. Wiem, co czujesz i jak to boli. Potrzebujesz czasu, żeby się z tym wszystkim pogodzić. - Spojrzała mu prosto w oczy. - Ale jeśli po upływie tego czasu nie zmienisz swej postawy w stosunku do Nathana, będzie mi za ciebie wstyd.

Ponieważ nie można winić syna za postępek ojca.

Bez słowa przeszedł obok niej.

- Idź do swojego pokoju, Jo. - Kate położyła dłoń na jej ramieniu. - Zobaczę, co da się zrobić.

- Czy ty też go obwiniasz, Kate? Czy naprawdę sądzisz, że jest winien?

- Na razie sama nie wiem, co o tym sędzę, ani jak się czuję. Doskonale zdaję sobie sprawę, Jo, że ten chłopak bardzo cierpi, ale Samowi również nie jest lekko.

Uważam, że przede wszystkim muszę być lojalna w stosunku do niego. Idź już i nie zadawaj mi trudnych pytań, dopóki nie zdołam wszystkiego przemyśleć.

Kate odnalazła Sama na werandzie. Stał przy poręczy i spoglądał w niebo, na którym kłębiły się chmury, przysłaniając księżyc i gwiazdy. Nie włączając światła, podeszła cicho i stanęła obok niego.

- Znowu muszę ją oplakiwać. - Przesunął dłonią tam i z powrotem po poręczy.

- To straszne, że ponownie muszę ją oplakiwać.

- Masz rację, to straszne.

- Czy zdoła mnie pocieszyć fakt, że nigdy nie miała zamiaru rzucić ani mnie, ani dzieci? Że nie odeszła od nas i nie zapomniała? W jaki sposób wynagrodzę jej wszystkie te lata, wszystkie te noce, podczas których przeklinałem ją za jej egoizm, nieczułość i brak serca?

- To nie twoja wina, że źle o niej myślałeś, Sam. Wierzyłeś w wersję wydarzeń przedstawioną przez policję. Wierzenie w kłamstwo nie jest złem. Natomiast samo kłamstwo jest złe...

Napiął wszystkie mięśnie.

- Jeśli przyszłaś tutaj, żeby bronić przede mną tego chłopca, możesz od razu odwrócić się na pięcie i pójść z powrotem do domu.

- Wcale nie dlatego przyszłam, co wcale nie zmienia faktu, że tak samo jak ty miałeś prawo wierzyć w to, w co wierzyłeś, jeśli chodzi o Belle, Nathan miał prawo wierzyć w swego ojca. Teraz obaj przekonaliście się, że przez wszystkie te lata popełnialiście błąd, ale to właśnie on musi pogodzić się z myślą, że jego ojciec był

egoistą i człowiekiem pozbawionym serca.

- Powiedziałem, że możesz wrócić do domu.

- W takim razie dobrze, ty uparty, stary ośle. Tkwij sobie tutaj sam jak palec, pograżając się w rozpacz i najczarniejszych myślach. - Kiedy błyskawicznym ruchem chwycił ją za rękę, odwróciła się zaszokowana.

- Nie opuszczaj mnie - powiedział z ogromnym trudem. - Proszę.

- Czy kiedykolwiek zostawiłam cię samego? - odpowiedziała z westchnieniem.

- Sam, nie wiem, co mogę zrobić dla ciebie czy któregokolwiek z was. Boli mnie, gdy widzę, że ludzie, których kocham, zostali tak potwornie skrzywdzeni, a ja nie mam pojęcia, jak im pomóc.
- Dwadzieścia lat to długi czas. Gdy ją straciłem, byłem zupełnie innym człowiekiem.
- Kochałeś ją.
- Zawsze ją kochałem, nawet wówczas, gdy tak dużo miałem jej do zarzucenia.

Pamiętasz, Kate, jaka była pogodna?

- Zawsze zazdrościłam jej, że roztacza wokół siebie tak wspaniałą blask.
- Delikatne światło też ma swój urok. - Spojrzał na ich złączone dłonie, dlatego nie dostrzegł, że na jej twarzy pojawiło się zaskoczenie. - Ty zawsze potrafiłaś rozjaśnić każdy dzień - powiedział ostrożnie. - Annabelle na pewno byłaby ci wdzięczna za to, w jaki sposób matkowałaś jej dzieciom i pilnowałaś wszystkich spraw. Już dawno temu powinienem powiedzieć, jak bardzo jestem ci za to wdzięczny.
- Początkowo robiłam to dla niej, zostałam tu jednak ze względu na siebie.

Sam, sądzę, że Belle wcale nie chciałaby, żebyś ponownie ją oplakiwał. Nigdy nie zauważyłam, by rozdrapywała stare rany albo zbyt długo zachowywała do kogoś urazę. Z pewnością nie obwiniłaby dziesięcioletniego chłopca o to, co zrobił jego ojciec.

## **ROZDZIAŁ 29**

- Tutaj nie potrafię się zdecydować, Kate. Pamiętam, że kiedy Belle zniknęła, David Delaney szukał jej razem z nami. - Sam musiał na chwilę zamknąć oczy, ponieważ pod wpływem wściekłości gorzej widział. - Ten sukinsyn przemierzał całą wyspę razem ze mną. Jego żona zabrała dzieci i zajmowała się nimi przez cały dzień, żebyśmy nie musieli się o nie martwić. Byłem mu wdzięczny, Boże wybaczone. Byłem mu niezmiernie wdzięczny.
- Oszukał cię - powiedziała cicho. - Tak samo, jak oszukał własną rodzinę.
- Nie popełnił żadnego błędnego kroku. Tak bardzo chciałbym, dysponując obecną wiedzą, móc cofnąć się w czasie i kazać mu za wszystko zapłacić.
- Czy zamiast tego chcesz, by zapłacił jego syn?
- Nie wiem.

- Sam, a co będzie, jeśli oni mają rację? Jeśli ktoś rzeczywiście chce zrobić to samo, co zrobiono Annabelle. Musimy ją chronić i powinniśmy w tym celu wykorzystać wszelkie dostępne sposoby. Moim zdaniem Nathan Delaney stanął by na drodze pędzącego pociągu, byle zapewnić jej bezpieczeństwo.



- Tym razem sam wszystkiego dopilnuję. Tym razem jestem przygotowany.

Brzeg lasu w bezksiężycową noc stanowił doskonały punkt obserwacyjny, ale on skorzystał z nieprzeniknionej ciemności i podkraść się jeszcze bliżej.

Ogromną przyjemność sprawiło mu, że zdołał podejść prawie pod dom i tak wyraźnie słyszał słowa starszego pana. Niezmiernie się cieszył, iż cała sprawa wyszła na jaw. Wydaje im się, że wszystko wiedzą i rozumieją. Prawdopodobnie sądzą, że dzięki temu są całkiem bezpieczni.

Nawet nie przypuszczają, jak bardzo się mylą.

Poklepał rewolwer, który wcześniej wetknął za cholewkę buta. Gdyby tylko chciał, mógłby go teraz użyć i za jednym zamachem zlikwidować mężczyznę i kobietę stojących na werandzie. Mógłby wystrzelać ich jak kaczki. A wtedy obie kobiety znajdujące się w domu zostałyby same, ponieważ Brian w potwornym przypiływie gniewu wyjechał z Sanktuarium.

Mógłby mieć obie córki Annabelle, jedną po drugiej, lub obie na raz. Taki rozkoszny trójkąt małżeński.

Ale to oznaczałoby odejście od pierwotnego planu, który dotychczas doskonale mu służył. Dopóty dopóki się go trzymał, miał namacalny dowód, że stać go na zachowanie dyscypliny i że jest w stanie opracować plan, a potem konsekwentnie wprowadzić go w życie. Dlatego jeśli chce powielić wszystko, co ojciec zrobił z Annabelle, musi zdobyć się na jeszcze odrobinę cierpliwości.

To jednak wcale nie znaczy, że w tym czasie nie mógłby spowodować trochę zamieszania. Przestraszone króliki, pomyślał, łatwiej dają się złapać w sidła. Wycofał

się między drzewa i przez następną godzinę z prawdziwą przyjemnością wpatrywał w oświetlone okno Jo.

Kirby biegła wzdłuż plaży, ciesząc się samotnością. Wschód słońca zabarwił

niebo na wspaniałą, jaskrawoczerwony kolor. Jeśli stare porzekadło mówi prawdę, pomyślała, żeglarze powinni mieć się na baczności, sama jednak potrafiła jedynie zachwycać się pięknym porankiem, niesamowitym niebem i sunącymi z ogromną prędkością chmurami.

Może mimo wszystko rzeczywiście Carla zahaczy o wyspę, pomyślała, uderzając mocno stopami o twardo ubity piasek. To mogłoby być niezwykle ekscytujące przeżycie, które pozwoliłoby Brianowi oderwać się na chwilę od własnych problemów.

Niezmiernie żałowała, że nie wie, co mu powiedzieć, ani jak mu pomóc. Kiedy poprzedniego wieczoru wtargnął jak burza do jej domku, mogła jedynie wysłuchać tego, co ma do powiedzenia, tak samo jak wysłuchiwała Jo. Kiedy jednak próbowała go pocieszyć, tak jak pocieszała Jo, wcale nie chciał jej delikatnych, uspokajających słów.

W związku z tym ofiarowała mu coś zupełnie innego i pozwoliła, by w jej ramionach zapomniął o własnym nieszczęściu.

Niestety, nie zdołała go przekonać, by został i przespał się do świtu. Wyszedł od niej jeszcze nim słońce wyłoniło się zza horyzontu. Wcześniej jednak na chwilę przytulił ją do siebie. Dzięki temu wiedziała, że wrócił do Sanktuarium nieco spokojniejszy.

Teraz chciała się trochę przewietrzyć i pomyśleć. Jeśli mężczyzna, którego kocha, ma kłopoty i cierpi, ona musi martwić się i cierpieć razem z nim. Dlatego przygotowuje się, by zdecydowanie stanąć u jego boku i dopilnować, by przebrnął przez najgorsze. Miała również nadzieję, że zdoła przywrócić mu spokój ducha.

Nagle dostrzegła Nathana. Stał w miejscu, w którym huczące fale z ogromną siłą uderzały o brzeg. Zwolniła nieco kroku i przez chwilę w jej duszy toczyła się walka między lojalnością a rozsądkiem. Koniec końców górę wzięła wrodzona potrzeba niesienia pomocy i leczenia wszelkich ran. Kirby nigdy nie potrafiła przejść obojętnie obok człowieka cierpiącego.

- Piękny ranek. - Musiała podnieść głos, by przekrzyczeć łoskot fal i szum wiatru. Lekko sapiąc, zatrzymała się obok Nathana. - Powiedz mi, czy wakacje na Desire spełniają twoje oczekiwania?

Roześmiał się. Nie zdołał się powstrzymać.

- O tak. Jest to przygoda mojego życia.

- Potrzebujesz kawy. Jako lekarz powinnam ci powiedzieć, że kofeina nie zawsze jest najlepszym rozwiązaniem, wiem jednak, że czasami działa cuda.

- Czy to propozycja? - Tak.

- Jestem ci niezmiernie wdzięczny, Kirby, ale oboje wiemy, że obecnie jestem persona non grata. Brian na pewno nie byłby zbyt zadowolony, gdybyś wypić poranny kubek kawy w moim towarzystwie. Zresztą nie mogę mieć do niego o to pretensji.

- Stać mnie na to, by mieć własne zdanie, potrafię również samodzielnie wyciągać wnioski. To właśnie dzięki temu Brian tak za mną szaleje. - Położyła dłoń na ramieniu Nathana. Nie, nie potrafiła przejść obojętnie obok ludzkiego cierpienia.

Miała wrażenie, że nawet unoszące się wokół Nathana powietrze przesycone jest boleścią. - Chodź ze mną do domu. Potraktuj mnie tak, jakbym była tu na wyspie twoim lekarzem. Powiedz, co ci leży na sercu. - Uśmiechnęła się do niego. - Jeśli chcesz, mogę nawet wystawić ci rachunek za wizytę.

- Umowa stoi. - Wciągnął głęboko w płuca powietrze. - Chryste, rzeczywiście przydałaby mi się filiżanka kawy. I przyjacielskie ucho.

- Dysponuję i jednym, i drugim. Chodź. - Wsunęła dłoń pod jego ramię i odciągnęła go od brzegu. - Chyba Hathawayowie nie przyjęli zbyt miło twoich słów.

- Och, sam nie wiem, właściwie byli nawet dość łaskawi. Niech diabli wezmą gościnność południowców. Powiedziałem im, że mój ojciec zgwałcił i zamordował ich matkę, a oni nawet nie próbowali mnie zlinczować.

- Nathan. - Zatrzymała się przed schodami. - Twoje słowa wywołały ogromne zamieszanie i sprawiły im niewysłowiony ból. Ale gdy dasz tym ludziom dość czasu, by zdołali wszystko przemyśleć, na pewno nie będę cię o nic winić.

- Jo mnie nie obwinia. W chwili obecnej to właśnie jej grozi największe niebezpieczeństwo, ona jednak nie ma do mnie o nic żalu.

- Jo po prostu cię kocha.

- Może jeszcze się rozmyślić. Również Lexy mnie nie wini - powiedział

półgłosem. - Choć na jej policzkach wciąż jeszcze widać było ślady łez, spojrzała mi prosto w oczy i powiedziała, że nie jestem za nic odpowiedzialny.

- Lexy bez przerwy się zgrywa, przyjmuje głupie pozy i plecie potworne głupstwa, a robi to jak prawdziwy ekspert. Dzięki temu szybciej niż przeciętny człowiek jest w stanie odrzucić na bok pozory i trafić w samo sedno sprawy. - Kirby otworzyła drzwi i odwróciła się do niego. - Moim zdaniem, Nathan, nie jesteś odpowiedzialny ani za to, co wydarzyło się w przeszłości, ani za to, co dzieje się obecnie.

- W głębi duszy doskonale o tym wiem i już niemal zdołałem sam siebie o tym przekonać - a bardzo tego pragnąłem, ponieważ pragnąłem Jo. Problem polega na tym, Kirby, że to jeszcze nie koniec. Przynajmniej jeszcze jedna kobieta nie żyje, trudno więc uznać, że jest już po wszystkim.

Przytaknęła i przytrzymała otwarte drzwi.

- O tym również porozmawiamy.

Carla z ogromnym impetem wpadła na południowo - wschodnie wybrzeże Florydy, szybkim i gwałtownym pocałunkiem obdarowała Key Biscayne, a potem tanecznym krokiem ruszyła na północ. W swój niezwykle kapryśny sposób zatańczyła tango z Fort Landerdale, rozproszyła przyczepy kempingowe i turystów, przy okazji odbierając kilku osobom życie. Najwyraźniej jednak nie miała najmniejszego zamiaru zostać tam na dłużej.

Jej olbrzymie oko było bardzo chłodne, a oddech szybki i porywisty. Stopniowo nabierała sił i obecnie była znacznie gwałtowniejsza, niż w chwili swych narodzin na wodach Indii Zachodnich.

Jak pragnąca zemsty ładaczka wróciła na morze, po drodze ciężko uderzając piętami o wąską barierę wysepek, które znalazły się na jej drodze.

Lexy wpadła do pokoju, w którym Jo właśnie wygładzała narzutę rozłożoną na łóżku z drewna orzechowego. Gorące i niezwykle ostre promienie słońca wpadały przez otwarte drzwi balkonowe, podkreślając głębokie, świadczące o nieprzespanej nocy cienie, widoczne pod oczami Jo.

- Carla właśnie dotarła do St. Simons - powiedziała Lexy lekko zadyszana po biegu na drugie piętro.

- St. Simons? Myślałam, że odsuwa się na zachód.

- Najwyraźniej się rozmyśliła. Idzie na północ, Jo. Według ostatniego raportu, jeśli Carla utrzyma kurs i prędkość, jej czoło dotrze tutaj przed północą.

- Jaką ma siłę?

- Zdążyła się już dorobić kategorii trzeciej.

- To znaczy, że wiatr wieje z prędkością ponad stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Będziemy musieli wszystko dokładnie zabezpieczyć.

- Mamy zamiar ewakuować turystów, póki morze nie jest zbyt wzburzone i mogą po nim kursować promy. Kate chce, żebyś pomogła przy wymeldowywaniu gości. Ja wychodzę na zewnątrz z Giffem. Zabieramy się do zabijania wszystkiego deskami.

- W porządku, zaraz zejść. Miejmy nadzieję, że Carla jeszcze raz zmieni zdanie, skieruje się na morze, a nas zostawi w świętym spokoju.

- Tata siedzi przy radiu i zbiera najświeższe wiadomości, a Brian pojechał

sprawdzić, czy łódź ma odpowiedni zapas paliwa, na wypadek gdybyśmy musieli opuścić wyspę.

- Tata na pewno nie wyjedzie. Przetrzywa huragan tutaj, nawet gdyby musiał w tym celu przywiązać się do drzewa.

- Ale ty wyjedziesz. - Lexy podeszła bliżej. - Wcześniej przechodziłam obok twojego pokoju i widziałam pootwierane i starannie spakowane walizki.

- Więcej powodów przemawia za tym, żebym wyjechała.

- Mylisz się, Jo. Moim zdaniem powinnaś zostać, przynajmniej do czasu, aż wszyscy w jakiś sposób nie pogodzą się z nową sytuacją. Poza tym trzeba pogrzebać mamę.

- O Boże, Lexy. - Jo ukryła twarz w dłoniach, potem przez chwilę nie odrywała palców od oczu.

- Oczywiście, nie mówię o jej zwłokach. Musimy jednak postawić na cmentarzu jakiś znak i pożegnać ją. Darzyła nas prawdziwą miłością. Przez całe życie myślałam, że nas nie kochała i że być może to wszystko przeze mnie.

Kiedy głos Lexy załamał się, Jo opuściła dłonie.

- Skąd wziął ci się taki pomysł?

- Byłam najmłodsza. Zakładałam, że nie chciała już następnego dziecka, że po prostu nie chciała mnie mieć. W związku z tym większą część życia spędziłam, robiąc wszystko, żeby ludzie mnie kochali, żeby mnie chcieli. Z całych sił starałam się być taka, jaką, moim zdaniem, chcieli, żebym była. W związku z tym w zależności od potrzeby byłam głupia, albo bystra, bezradna lub sprytna. Zawsze również stawiałam sobie za punkt honoru, by być tą osobą, która odchodzi jako pierwsza.

Przeszła przez pokój i starannie zamknęła drzwi balkonowe.

- Robiłam mnóstwo okropnych rzeczy - ciągnęła. - Wcale nie jest wykluczone, że zrobię ich znacznie więcej, ale znajomość prawdy w jakiś sposób zmienia moje życie. Muszę się pożegnać z mamą. Cała rodzina powinna to zrobić.

- Wstyd mi, że o tym nie pomyślałam - mruknęła Jo. - Jeśli wyjadę, nim wszystko uda się zorganizować, wrócę, obiecuję. - Pochyliła się i zebrała pościel, którą wcześniej zdjęła z łóżka. - Na przekór wszystkiemu, tym razem cieszę się, że tu wróciłam. Cieszę się, że między nami wszystko się zmieniło.

- Ja także. - Lexy uśmiechnęła się porozumiewawczo. - Może w takim razie wybrałabyś kilka moich zdjęć, spośród tych, które ostatnio robiłaś, i wykonała jeszcze parę następnych. Mogłabym je wykorzystać, przygotowując swoje portfolio.

Dyrektorzy zajmujący się kompletowaniem obsady aktorskiej powinni być pod wrażeniem, jeśli zobaczą wspaniałe zdjęcia wykonane przez jednego z najbardziej znanych fotografów w kraju.

- Gdy już będziemy mieć z głowy Carlę, porobimy takie fotografie, że wszyscy nowojorscy dyrektorzy pospadają ze stołków.

- Naprawdę? Wspaniale. - Spoglądając na niebo, Lexy skrzywiła się. - Cholerny huragan. Dlaczego zawsze, ilekroć człowiek spodziewa się czegoś dobrego, musi zdarzyć się coś, co odsuwa przyjemność na plan dalszy? Mogłybyśmy zrobić to w Savannah. Na pewno udałoby się nam wynająć na kilka dni prawdziwe studio i...

- Lexy.

- W porządku. - Lexy machnęła ręką. - Ale zastanawianie się nad tym jest znacznie zabawniejsze niż myślenie o przybijaniu sklejki. Gdyby Giff uznał, że jestem całkowicie bezużyteczna, wówczas mogłabym szybko wrócić, przejrzeć szafę i wybrać odpowiednie ciuchy. Chcę mieć zdjęcia, na których będę wyglądać na istotę seksowną i kapryśną. Mogłybyśmy skorzystać z maszyny do wytwarzania wiatru...

- Lexy - powiedziała Jo ponownie, nie potrafiąc opanować śmiechu.

- Idę, już idę. Mam tę wspaniałą suknię wieczorową, którą udało mi się niedawno kupić. - Ruszyła w stronę drzwi. - Muszę tylko namówić Kate, żeby pozwoliła mi na chwilę założyć perły babci Pendleton.

Jo roześmiała się ponownie, słysząc dobiegający jeszcze z holu głos Lexy.

Pomyślała, że zbyt szybkie i zbyt znaczne zmiany nikomu nie wychodzą na dobre.

Zwinąwszy brudną pościel w ciasny tobołek, zniosła ją do zsypu. Przez otwarte drzwi widziała pakującą się parę, która przyjechała na tydzień z Toronto. Wyobrażała sobie, że większość pozostałych gości robi to samo.

Podejrzewała, że zazwyczaj przebiegające szybko i sprawnie wymeldowywanie gości, tym razem może być niezwykle gorączkowe.

Kiedy zeszła na dół, zauważyła, że jej przypuszczenia były słuszne. Przy frontowych drzwiach leżało mnóstwo bagaży. Kilka osób niespokojnie krążyło po salonie, co chwila podchodząc do okien i ze strachem spoglądając w niebo, zupełnie jakby lada moment miał nastąpić koniec świata.

Kate siedziała przy biurku. Nie mogła sobie poradzić z morzem papierków i tysiącami żądań wysuwanych przez wczasowiczów. Kiedy uniosła głowę i zauważyła Jo, uśmiechnęła się niewyraźnie.

- Proszę państwa, proszę się nie martwić. Wszystkich odstawimy bezpiecznie na stały ląd. Przez cały dzień dwa promy będą pływały tam i z powrotem, co godzinę jeden z nich będzie opuszczał wyspę. - Pod naporem setek pytań i żądań, uniosła rękę.

- Teraz mam zamiar zawieźć pierwszą grupę do portu, a sprawy związane z wymeldowywaniem przejmie ktoś inny.

Spojrzała na Jo przepaszająco.

- Państwo Littleton wraz z rodziną proszeni są o zajęcie miejsc w samochodzie.

Pojadą z nami jeszcze państwo Parkerowie i panna Houston. Niedługo wracam.

Proszę zachować cierpliwość, za chwilę zajmie się państwem moja siostrzenica.

Kate przecisnęła się przez otaczający ją tłum i złapała Jo za rękę.

- Wyjdźmy stąd na chwilę. Słowo honoru, można by pomyśleć, że lada chwila spadnie na wyspę bomba atomowa.

- Większość z tych ludzi prawdopodobnie nigdy wcześniej nie zetknęła się z huraganem.

- Dlatego cieszę się, że mogę im jakoś pomóc. Na litość boską, ta wyspa i wszystko, co się na niej znajduje, wytrzymało już niejednego huragan i z pewnością wytrzyma również następny.

Ponieważ Kate chciała porozmawiać z Jo na osobności, skorzystała z jedynej nadającego się do tego celu miejsca, to znaczy z damskiej toalety znajdującej się obok foyer. Mruknęła zadowolona i zamknęła drzwi na klucz.

Na zewnątrz Giff dźwignął sklejkę, którą chciał zabić pierwsze, znajdujące się we wnęce okno jadalni. Kucająca obok niego Lexy wprawnie i szybko wbiła gwóźdź w dolny róg. Przez cały czas nie przestawała trąkotać, ale Giff słyszał jedynie co trzecie słowo. Wiatr całkowicie zamarł, a światło zaczynało nabierać brzydkiej, żółtawej barwy.

Nadchodzi, pomyślał, i to znacznie szybciej, niż się spodziewano. Jego rodzina zdążyła już zabezpieczyć dom i najprawdopodobniej zdoła w nim wszystko przetrzymać. Oddelegował jednego

ze swych kuzynów i dwóch przyjaciół, żeby zaczęli zabijać deskami okna domków dla gości. Mieli zacząć od południowego wschodu i stopniowo przemieszczać się na północ. Brakowało rąk do pracy.

- Czy ktoś dzwonił do Nathana?

- Nie wiem. - Lexy wyjęła z torebki następny gwóźdź. - Ale tata i tak nie pozwoliłby mu pomagać.

- Pan Hathaway jest rozsądnym człowiekiem, Lexy. Na pewno zależy mu na tym, żeby wszystko zostało odpowiednio zabezpieczone. Poza tym miał całą noc na to, by się zastanowić.

- Nareszcie. Do jasnej cholery, przecież powinni wytrzymać dwie minuty.

Przepraszam, że zostawiam cię z taką potworną ilością ludzi.

- Nie przejmuj się. Mogę jeepem podrzucić do portu następną grupę.

- Nie - powiedziała Kate ostro, potem westchnęła i pochyliła się nad umywalką, żeby przemyć twarz zimną wodą. - Nie wychodź z domu, Jo Ellen, chyba że będzie z tobą któreś z nas. Nie chcę martwić się jeszcze o ciebie.

- Na litość boską. Przecież mogę zamknąć drzwi jeepa od wewnątrz.

- Nie, i nawet nie próbuj się ze mną kłócić. Nie mam na to czasu. Najbardziej pomożesz, będąc tutaj i starając się utrzymać spokój wśród pozo stałych gości. Muszę nadłożyć nieco drogi i zabrać niektórych ludzi z domków. Brian pojechał na kemping.

Niedługo będziemy mieli następną dużą grupę.

- W porządku Kate. Zrobię, co zechcesz.

- Twój ojciec zniósł radio do kuchni, dzięki temu jest w zasięgu głosu. -

Chwyła Jo za ramię. - Nie ryzykuj, rozumiesz mnie?

- Nie mam zamiaru. Chciałabym zadzwonić do Nathana.

- Już to zrobiłam. Nie podnosi słuchawki. Zanim przywiozę następną grupę, podjadę do niego. Ja również czułabym się lepiej, gdyby już tu był.

- Dziękuję.

- Nie dziękuj mi, złotko. Właśnie mam zamiar zostawić cię z najpotworniejszym pod słońcem bałaganem. - Kate odetchnęła głęboko, wyprostowała się i otworzyła drzwi.

Słyszac gwar głosów dochodzących z salonu, Jo skrzywiła się.

- Wracaj szybko - powiedziała i z niewyraźnym uśmiechem na ustach we szła prosto na linię ognia.
- Jest uparty jak sześć mułów, a razem z Brianem są jeszcze gorsi. Przecież to tak, jakby próbowali prawnuki tego drania Shermana winić za spalenie Atlanty.
- Wydaje mi się, że nie brak ludzi, którzy to robią. - Giff dźwignął następną płytę.
- Sądzę, że te osoby nie mają nawet za grosz rozumu. - Zacisnąwszy zęby, Lexy walnęła młotkiem w główkę gwoźdźca. - Czułabym się potwornie upokorzona, gdybym musiała przyznać, że Bóg wcale się nie wysilił, obdarowując nim mojego ojca i brata.

Na domiar złego obaj są chyba całkiem ślepi. Przecież nawet pozbawiona okularów osiemdziesięcioletnia staruszka byłaby w stanie zauważyć, jak bardzo ten człowiek kocha Jo Ellen. To grzech kazać tej dwójce odczuwać z tego powodu wyrzuty sumienia.

Wyprostowała się i zdmuchnęła włosy, które opadły jej na oczy. Potem, patrząc na Giffa, zmarszczyła brwi.

- Dlaczego tak szczerzysz do mnie zęby? Czy wysmarowałam się gdzieś na twarzy, a może jestem spocona?
- Jesteś najpiękniejszą istotą, jaką kiedykolwiek w życiu widziałem, Alexo Hathaway. W dodatku ciągle sprawiasz mi niespodzianki. Chociaż znam cię na wylot, i tak bez przerwy mnie zaskakujesz.
- No cóż, kochanie... - Przekrzywiła głowę i zatrzepotała rzęsami. - O to właśnie mi chodzi.

Giff wsunął rękę do kieszeni i trącił palcem znajdujące się w niej niewielkie pudełeczko.

- Chciałem zrobić to inaczej. Nie sądzą jednak, by kiedykolwiek udało mi się kochać ciebie jeszcze bardziej niż w tej sekundzie.

Wyciągnął pudełeczko z kieszeni, a kiedy kciukiem otworzył wieczko, zauważył, że oczy Lexy zrobiły się okrągłe ze zdumienia. Mały diament umieszczony na cieniutkiej, złotej obrączce odbił promienie słońca i zamigotał tysiącem iskier.

- Wyjdź za mnie za mąż, Alexo.

Poczuła, że serce rośnie jej z radości i głośno tłucze się w klatce piersiowej. W

jej oczach pojawiły się łzy, a blask rzucany przez diament całkowicie ją oślepił. Drżącą dłoń podniosła do ust.

- Och, jak mogłeś! Dlaczego wszystko zepsułeś? - Odwróciła się i uderzyła młotkiem o brzeg sklejki.
- Jak ci już powiedziałem - mruknął pod nosem - zawsze mnie zaskakujesz.

Chcesz, żebym z tym zaczekał i zrobił to przy blasku świec i księżycy?



- Nie, nie i nie. - Z delikatnym szlochem ponownie uderzyła młotkiem w sklejkę. - Zabierz to. Schowaj. Przecież doskonale wiesz, że nie mogę wyjść za ciebie za mąż.

Zaszurał niespokojnie nogami, a potem znieruchomiał.

- Po raz pierwszy słyszę coś takiego. Może spróbowałabyś mi to wyjaśnić?

Wściekła i zrozpaczona obróciła się do niego.

- Doskonale zdajesz sobie sprawę, że jeśli bardzo się uprzesz, w końcu się zgodzę. Wiesz, że ustąpię, ponieważ niezmiernie cię kocham. Jeśli to zrobię, będę musiała z wszystkiego zrezygnować. Zostanę na tej cholernej wyspie, nie wrócę do Nowego Jorku i nie spróbuję ponownie dostać się do teatru. W miarę upływu lat powoli zacznę cię nienawidzić i bez przerwy będę się zastanawiać, „co by było gdyby”.

Co by było gdyby. Uschnę tu z rozpacz, zastanawiając się, czy kiedykolwiek miałam szansę, by coś w życiu osiągnąć.

- Dlaczego zakładasz, że oczekuję od ciebie pożegnania się z marzeniami o Nowym Jorku i teatrze, że chcę, abyś zrezygnowała z wszystkiego, czego pragniesz?

Nie zniósłbym myśli, że wychodzisz za mąż za mężczyznę, który nie docenia twoich pragnień. Niezależnie od tego, Lexy, o czym marzysz, ja pragnę tego jeszcze bardziej niż ty.

Wytarła dłonią policzek.

- Nie rozumiem cię. Nie wiem, o czym mówisz.

- Mówię o tym, że ja również mam pewne plany i marzenia. Wcale nie mam zamiaru przez całe życie machać młotkiem na Desire.

Odrobinę poirytowany zdjął czapkę, otarł pot z czoła, a potem ponownie wsunął ją na głowę.

- Przecież w Nowym Jorku również buduje się domy, prawda? Tak samo jak na całym świecie, tam też zepsuły sprzęt wymaga naprawy.

Powoli opuściła ręce, przez cały czas patrząc mu prosto w oczy i żałując, że nie potrafi z nich czytać.

- Masz zamiar wybrać się do Nowego Jorku? Zamieszkałabyś w Nowym Jorku?

Ze względu na mnie?

- Nie, nie to miałem na myśli. - Zniecierpliwiony zamknął pudełeczko i wsunął

je z powrotem do kieszeni. - Gdybym zrobił coś takiego, skończyłoby się na tym, że miałbym do ciebie żal, a wówczas po jakimś czasie znaleźlibyśmy się w powrocie w punkcie wyjścia. Chcę tam pojechać dla nas obojga. Niestety, chociaż zdołałem odłożyć trochę pieniędzy, przez jakiś czas na

pewno będzie nam dość ciężko. Pewnie będę musiał się jeszcze trochę pouczyć, zanim Nathan pozwoli mi popracować w swojej firmie.

- Masz zamiar pracować u Nathana? Chcesz pracować w Nowym Jorku?

- Nawet bardzo. Poza tym pragnę zobaczyć cię na scenie, w świetle reflektorów.

- A co będzie, jeśli mi się nie uda?

- Jestem święcie przekonany, że ci się uda. - Na jego twarzy pojawił się uśmiech, a jeszcze przed chwilą zachmurzone, brązowe oczy nabrały złocistej barwy. -

Nigdy nie spotkałem nikogo, kto byłby w stanie odegrać tyle ról, co ty.

Uda ci się, Lexy. Wierzę w ciebie.

Śmiejąc się przez łzy rzuciła mu się na szyję.

- Och, Giff, jak to możliwe, że jesteś taki wspaniały? Jak to możliwe, że nie mogę sobie wyobrazić żadnego mężczyzny, który byłby dla mnie bardziej odpowiedni niż ty? - Odchyliła się do tyłu i ujęła w dłonie jego twarz. - Nikt nie byłby dla mnie bardziej odpowiedni.

- Pracowałem nad tym przez większość życia.

- Będziemy mieli mnóstwo czasu, naprawdę. Dopóki nie ukończysz szkoły albo ja nie dostanę się do teatru, będę pracować jako kelnerka. Niezależnie od tego, jak długo to potrwa. Och, pośpiesz się, załóż mi go. - Podskoczyła i wyciągnęła przed siebie rękę. - Nie mogę się już doczekać.

- Pewnego dnia kupię ci coś większego.

- Nie, nie zgadzam się. - Kiedy wsunął pierścionek na jej palec i pochylił głowę, by ją pocałować, pod wpływem emocji zadrżała. - Oczywiście, będziesz mógł kupić mi wszystkie świecidełka, jakie tylko wpadną ci w oko, ale dopiero wówczas, gdy będziemy już bardzo bogaci. Ponieważ w przyszłości chcę być dobra i bogata, Giff, i wcale nie wstydę się o tym mówić. Ale ten pierścionek... - Uniosła rękę i poruszyła nią delikatnie, żeby maleńki kamyczek zamrugnął i za tańczył ze światłem. - Ten pierścionek jest idealny.

Po dwóch godzinach Jo czuła, że ma piasek w oczach i potwornie boli ją głowa.

Kate dwukrotnie przyjeżdżała i wyjeżdżała, wożąc gości w obie strony, a po drodze zaglądając do poszczególnych domków. Brian przywiózł kilkunastu biwakowiczów, a potem wrócił na kemping, by sprawdzić, czy nie zostali tam jeszcze jacyś maruderzy.

O Nathanie wiedziała tylko tyle, że pomaga zabezpieczać deskami domki w pobliżu plaży.

Gdyby nie brać pod uwagę monotonnego stukania młotków, można by uznać, że w domu w końcu zapanowała cisza. Jo przypuszczała, że wkrótce Kate przywiezie ostatnich mieszkańców domków.

Okna wychodzące na południe i wschód były już zabite deskami, co sprawiało, że wewnątrz panował półmrok.

Kiedy otworzyła frontowe drzwi, do środka wpadł wiatr. Jego zimny poryw zderzył się z dusznym, gorącym powietrzem wiszącym w zamkniętym domu. Od południa zbliżały się sine, ciemne chmury. Jo zauważyła błyskawicę, która przecięła ponure niebo, nie usłyszała jednak grzmotu.

Doszła do wniosku, że Carla wciąż jeszcze jest wystarczająco daleko. Warto byłoby za chwilę sprawdzić, w jakim kierunku podąża. Na wszelki wypadek Jo postanowiła pozbierać wszystkie odbitki oraz negatywy i zamknąć je w stojącym w biurze Kate sejfie.

Ponieważ na razie nie miała ochoty na spotkanie z ojcem, ruszyła na piętro głównymi schodami, a potem zaglądała do wszystkich pokoi, by sprawdzić, czy opuszczający je w ogromnym pośpiechu goście nie zapomnieli czegoś ze sobą zabrać.

Podążając szybko w stronę skrzydła zajmowanego przez rodzinę, po drodze wyłączała wszystkie światła. Teraz wyraźniej było słychać stukanie młotkiem, i Jo stwierdziła, że ten dźwięk w jakiś sposób dodaje jej otuchy. Lada chwila cały dom będzie otulony, pomyślała. Nawet jeśli Carla uderzy w Desire, Sanktuarium wytrzyma, tak jak wytrzymało wcześniej.

Przechodząc obok biura Kate, Jo usłyszała dźwięk głosów. W tym samym momencie sklejka nasunęła się na okno i zasłoniła je. Albo Brian wrócił, albo ojciec wyszedł, żeby pomóc Giffowi, pomyślała Jo.

Gdy dotarła do ciemni, włączyła światła i uruchomiła radio.

„Huragan Carla przybrał na sile i obecnie ma już kategorię trzecią.

Przypuszczalnie o siódmej wieczorem dotrze do położonej niedaleko wybrzeży Georgii Little Desire. Wszyscy turyści znajdujący się na tej, będącej prywatną własnością, wysepce należącej do archipelagu Sea Islands zostali już ewakuowani, a stałym mieszkańcom poradzono, by tak szybko jak to możliwe wyjechali na stały ląd.

Meteorolodzy przewidują, że wiatr będzie wiał z prędkością niemal dwustu kilometrów na godzinę, a czoło huraganu uderzy w ten wąski skrawek lądu podczas przypływu”.

Jo straciła wcześniejszy spokój ducha i bezwiednie przeczesała palcami włosy.

Doskonale zdawała sobie sprawę, że gorzej już być nie może. Wiatr lub wysoka fala zniszczą chaty. Wzburzony ocean spustoszy plażę, a wichura pozrywa dachy i połamie nawet najmocniejsze drzewa.

Tymczasem szansa na opuszczenie wyspy maleje z minuty na minutę, pomyślała Jo, spoglądając na zegarek. Miała zamiar zabrać Nathana oraz Kirby i wywieźć ich wraz z całą rodziną na stały ląd, nawet gdyby trzeba było zdzielić ojca czymś ciężkim po głowie i zabrać go nieprzytomnego.

Jednym gwałtownym ruchem otworzyła szufladę. Może zostawić na łasce losu odbitki, ale za nic w świecie nie zaryzykuje stracenia negatywów. Jednak wyciągnięta po nie ręka zamarła w powietrzu.

Na wierzchu starannie ułożonych teczek leżał stos odbitek. Na widok twarzy matki, Jo poczuła, że kręci jej się w głowie, a jej skóra robi się wilgotna. To zdjęcie widziała wcześniej, w innej ciemni, w czasie, który teraz wydawał jej się tak odległy, jakby to było inne życie. Sięgając po odbitkę, poprzez potworny szum w uszach zdołała usłyszeć własny jęk.

Ta fotografia naprawdę istniała. Czowała między palcami jej śliski brzeg. Z

trudem łapiąc powietrze, odwróciła ją i przeczytała starannie napisany tytuł.

ŚMIERĆ ANIOŁA Z ogromnym trudem powstrzymując łzy, Jo spojrzała na następną odbitkę. Ogarnął ją straszliwy smutek. Poza była niemal identyczna, tak jakby fotograf starał się powielić wcześniejsze zdjęcia. Tym razem jednak była na nim Ginny, a jej zawsze tak żywa i przyjacielska twarz sprawiała wrażenie tępej i bezmyślnej, co podkreślały całkowicie pozbawione wyrazu oczy.

- Przepraszam - szepnęła Jo, przyciskając zdjęcie do serca. - Tak mi przykro.

Tak bardzo mi przykro.

Trzecia fotografia z pewnością przedstawiała Susan Peters.

Jo zamknęła oczy, starając się zapanować nad falą mdłości, a potem łagodnie odłożyła trzecią odbitkę na bok. W tym momencie ugięły się pod nią kolana.

Na ostatnim zdjęciu zobaczyła samą siebie. Była naga, miała zamknięte oczy i blade ciało. Z krzykiem upuściła fotografię na podłogę i odsunęła się do tyłu.

Po omacku dotarła do drzwi, a krążąca w jej organizmie adrenalina przynaglała ją do ucieczki. Mimo to oparła się o stół i włączyła radio. Całe pomieszczenie wypełniła głośna muzyka, która sprawiła, że Jo miała ochotę zacząć krzyczeć.

- Nie. - Zacisnęła pięści, wbiła paznokcie we wnętrze dłoni i odczekała chwilę, aż ból pozwoli jej zapanować nad przerażeniem. - Nie pozwolę, by to się stało. Nie mam zamiaru w to uwierzyć. Nie pozwolę, by stało się prawdą.

Kołysząc się i spokojnie licząc oddechy, odczekała chwilę, aż była całkowicie pewna, że nie zemdleje, a potem z ponurą i pełną determinacji miną ponownie wzięła do ręki ostatnią odbitkę.

Jej twarz, tak, to z pewnością była jej twarz. Zdjęcie wykonane zostało jeszcze zanim Lexy podcięła jej włosy, gdy wybierały się na ognisko czyli kilka tygodni temu.

Ognisko było w pierwszych dniach lata. Wzięła fotografię bliżej światła i zmusiła się, by przyjrzeć się jej obiektywnym wzrokiem fachowca.

Wystarczyło zaledwie kilka sekund, by Jo zauważyła, że chociaż twarz bez wątpienia należała do niej, to ciało na pewno nie. Piersi były zbyt pełne, a biodra trochę za okrągłe. Położyła obok zdjęcie Annabelle. Z przerażeniem stwierdziła, że jej twarz została doklejona do ciała matki. Tym oto sposobem obie połączone zostały w jedno, pomyślała.

Przecież tego właśnie pragnął przez cały czas.

Brian prowadził jeepa drogą przecinającą kemping. Kilka pól biwakowicze zostawili w potwornym nieładzie. Chociaż, biorąc pod uwagę zbliżający się huragan, Brian przypuszczał, że to i tak nie ma obecnie większego znaczenia. Już w tej chwili wiatr przedzierał się wśród drzew z nieprawdopodobną siłą. Gwałtowny podmuch wstrząsnął samochodem, zmuszając Briana do mocniejszego chwycenia kierownicy.

Doszedł do wniosku, że prawdopodobnie mają jeszcze mniej więcej godzinę na doprowadzenie do końca wszystkich przygotowań.

Zmusił się, by tego kontrolnego objazdu nie robić w pośpiechu. Potem chciał

zabrać Kirby i zamknąć ją bezpiecznie w Sanktuarium. Wolałby wysłać ją promem na stały ląd, wiedział jednak, że nie ma sensu wdawać się z nią w jakiegokolwiek dyskusje na ten temat. Jeśli choć jeden stały mieszkaniec postanowi przetrwać huragan na wyspie, Kirby zostanie, żeby nieść ludziom pomoc.

Sanktuarium stoi od ponad stu lat, pomyślał Brian. Przetrwa i teraz.

Uznał, że jest przynajmniej kilkanaście innych powodów do zmartwienia.

Niewątpliwie zostaną odcięci od stałego lądu. Radio pozwoli zachować łączność ze światem, ale w chwili, gdy Carla dotrze do wyspy, przestaną działać telefony, zabraknie prądu, nie będzie żadnego transportu. Już wcześniej zaopatrzył generator w paliwo, by zapewnić elektryczność, wiedział również, że Kate trzyma pokaźny zapas butelkowanej wody.

Nie zabraknie im jedzenia, mają schronienie, dysponują również kilkoma parami silnych rąk. Kiedy Carla zrobi swoje, najważniejsze będą właśnie silne ręce.

Przez cały czas myślał o podjętych środkach bezpieczeństwa, a w miarę, jak upewniał się, że na terenie kempingu nie widać już żadnych maruderów, coraz bardziej się uspokajał. Pragnął wierzyć, że nie ma idiotów próbujących ukryć się za drzewami, ani ciekawskich, którzy kręcą się w pobliżu plaży, myśląc, że huragan jest jeszcze jedną wakacyjną przygodą.

Kiedy na drodze tuż przed jeepem pojawiła się jakaś sylwetka, Brian zaklął

siarczyście i nacisnął hamulec.

- Jezu Chryste, czy pan zwariował!?! - Zdegustowany Brian gwałtownie zatrzymał samochód. - Niewiele brakowało, a byłbym pana rozjechał. Co za głupota stać na środku drogi, zwłaszcza że zbliża się huragan?

- Słyszałem o tym. - Uśmiechnął się od ucha do ucha. - Nie mógł przyjść w lepszym momencie.

- Rzeczywiście. - Brian wściekły o stratę każdej cennej sekundy wskazał palcem na jeepa. - Niech pan wsiada, może zdołam pana podrzucić na ostatni kurs promu, ale musimy się pospieszyć.

- Ani mi się śni. - Uśmiechając się przez cały czas, uniósł rękę, którą trzymał za plecami i wypalił z rewolweru.

Brian gwałtownie szarpnął się do tyłu, czując potworny ból, który eksplodował

w jego piersi. Przez chwilę chwiał się i robił wszystko, by zapanować nad potwornymi zawrotami głowy. Kiedy upadł, zdołał jeszcze zobaczyć oczy roześmianego przyjaciela z dzieciństwa.

- O jednego mniej. - Szturchnął butem bezwładne ciało Briana. - Jestem ci niezmiernie wdzięczny, stary druhu, że pozwoliłeś mi znacznie zwiększyć szanse.

Dziękuję również za pożyczenie jeepa.

Kiedy do niego wskakiwał, po raz ostatni spojrzął na Briana.

- Nie martw się. Dopilnuję, żeby wrócił do Sanktuarium.

W czasie, gdy Kirby zbierała swój zapas medykamentów, deszcz coraz mocniej zacinał w okna. Była bardzo opanowana i próbowała przewidzieć wszelkie ewentualne potrzeby. Gdyby została zmuszona do udzielenia komukolwiek pierwszej pomocy, najlepiej byłoby to zrobić w Sanktuarium. Powoli zaczynała liczyć się z możliwością, że jej domek nie przetrwa nocy.

Zdawała sobie sprawę, że większość mieszkańców wyspy jest zbyt uparta, by opuścić swoje domostwa. W związku z tym do rana będzie mnóstwo połamanych kości, wstrząsów mózgu, różnego rodzaju ran. Mocne porywy wiatru sprawiały, że dom drżał w posadach. Czując to, Kirby zacisnęła mocno zęby. Jest tutaj po to, by leczyć wszystkie rany.

Dźwignęła pudło i ruszyła z nim na zewnątrz, by załadować wszystko do samochodu. W tym momencie otworzyły się drzwi wejściowe. Dopiero po dłuższej chwili w postaci ubranej w żółty płaszcz nieprzemakalny z kapturem rozpoznała Giffa.

- Weź to. - Włożyła mu pudło w ręce. - Wynieś na zewnątrz, a ja przyniosę następne.

- Mam nadzieję, że pozabierałaś wszystko, co może ci być potrzebne. Pospiesz się. Ta suka nadchodzi.

- Niemal wszystko już spakowałam. - Nałożyła własny płaszcz nieprzemakalny.

- Gdzie jest Brian?

- Pojechał sprawdzić kemping. Jeszcze nie wrócił.

- Prawdę mówiąc, powinien - wypaliła niezadowolona. Wbiegła po resztę zapasów, a kiedy ponownie próbowała wyjść na werandę, mocny podmuch wepchnął

ją z powrotem do wnętrza domku. Wiatr gwizdał jej w uszach, gdy pochyliła się i z trudem próbowała posuwać się do przodu.

- Zabezpieczyłaś wszystko jak należy? - zapytał Giff, przekrzykując huczące fale. Wziął od niej pudło i wstawił je do jeepa.

- Na tyle, na ile było to możliwe. Rano pomógł mi Nathan. Czy wrócił już do domu?

- Nie. Jego również nie widziałem.

- Na litość boską. - Odgarnęła do tyłu już całkowicie mokre włosy. - Co oni, do diabła, robią? Jedziemy przez kemping, Giff.

- Nie mamy zbyt dużo czasu, Kirby.

- Jedziemy tamtędy. Być może Brian ma jakieś kłopoty. Wiatr mógł wywrócić kilka drzew. Jeśli nie było go w Sanktuarium, gdy wyjeżdżałeś, i nie minąłeś go po drodze do mnie, możliwe, że nadal tam jest. Nie pojedę do Sanktuarium, dopóki tego nie sprawdzę.

Otworzył drzwi jeepa i wepchnął ją do środka.

- W końcu to ty jesteś lekarzem - krzyknął.

- Ty sukinsynu! - Nathan uderzył dłonią o kierownicę. Załadował najważniejsze projekty i najcenniejszy sprzęt do jeepa, a teraz nie mógł go uruchomić. Ten cholerny samochód nie miał nawet na tyle przyzwoitości, by zakaszleć i prychnąć.

Nieprawdopodobnie wściekły wysiadł i syknął, gdy poczuł na twarzy bolesne ukłucia kropli deszczu pędzonych przez wzmagający się wiatr. Podniósł maskę i ponownie zaklął. Nie miał czasu udawać, że cokolwiek naprawia.

Z trzaskiem zamknął klapę silnika i, zostawiwszy cały swój sprzęt, ruszył w stronę rzeki. Musiał nadłożyć niemal pół kilometra, nim zdołał przebrnąć na drugi brzeg, a piesza wycieczka do Sanktuarium drogą prowadzącą przez las zapowiadała się bardzo nieciekawie.

Nathan z ogromnym trudem posuwał się do przodu, starając się pokonać popychające go do tyłu, żartobliwe porywy wiatru i próbując nie zwracać uwagi na złowieszcze skrzypienie wyginanych na wszystkie strony i torturowanych drzew.

Nagła błyskawica nadała niebu niesamowity, pomarańczowy kolor.

Kłujący w oczy wiatr sprawiał, że Nathan prawie nie widział, co ma przed sobą.

Dlatego nie zauważył człowieka, który nagle wyłonił się zza drzew, dopóki prawie na niego nie wszedł.

- Chryste, co pan tu, do diabła, robi? - Dopiero po dziesięciu długich sekundach zdołał rozpoznać bardzo zmienioną twarz. - Kyle. - Nie wiedział, czy jest bardziej przerażony czy zaszokowany. - Mój Boże, coś ty zrobił?

- Cześć, braciszku. - Zupełnie, jakby spotkali się na zalanej słońcem ulicy, Kyle wyciągnął rękę. A kiedy Nathan na nią spojrzał, Kyle uderzył go w skroń kolbą pistoletu.

- O dwóch mniej. - Tym razem odrzucił do tyłu głowę i roześmiał się na głos.

Carla znacznie zwiększyła jego szanse, a jej gwałtowność podnieciła go. - Chociaż mój brat jest cholernie wkurzającym facetem, trudno byłoby mi go zastrzelić z, jak to niektórzy określają, zimną krwią. - Kucnął i szepnął, jakby Nathan był w stanie go usłyszeć. - Wkrótce rzeka wystąpi z brzegów, a drzewa będą się łamały jak zapalki.

Niezależnie od tego, co się z tobą stanie, braciszku, będziemy po prostu musieli uznać to za zrządzenie losu.

Wyprostował się, zostawił leżącego na ziemi, przemoczonego przez deszcz, zalanego krwią brata, i ruszył po kobietę, która, jego zdaniem, należała do niego.

## **ROZDZIAŁ 30**

Deszcz pryskał na przednią szybę jeepa, niemal całkowicie unieruchamiając wycieraczki. Droga pod kołami zamieniała się w błoto, dlatego samochód z ogromnym trudem posuwał się do przodu.

- Jedziemy do Sanktuarium - powiedział Giff do Kirby. - Brian na pewno ma na tyle rozsądku, by przy takiej pogodzie siedzieć w domu, ja też.

- Zgoda, ale kieruj się tam zachodnią trasą. - Modliła się, zęby jedyną przyczyną niespokojnego łomotania serca i zimna przenikającego jej ciało aż do szpiku kości była burza. - Przecież on jechał właśnie nią. Dzięki temu będziemy mieli pewność.

- Szybciej dojechalibyśmy na miejsce drogą południową.

- Proszę.

Giff poddał się i skręcił w lewo.

- Jeśli zdołamy wrócić cali i zdrowi, Brian obedrze mnie ze skóry za to, że pozwoliłem ci być na zewnątrz o pięć minut dłużej niż to konieczne.

- Ale potrzebujemy jedynie pięciu dodatkowych minut, nie więcej. - Zbliżyła twarz do przedniej szyby, starając się przebić wzrokiem spływający po mej wodospad.

- Co to jest? Kilka metrów przed nami coś leży na poboczu drogi.

- Może coś spadło komuś z przyczepy kempingowej. Ludzie potwornie się szamotali, by jak najszybciej się stąd wyrwać, zanim.....

- Zatrzymaj się! - Z krzykiem sama chwyciła kierownicę, sprawiając, że samochód wpadł w poślizg... - Jezu Chryste, chcesz nas wpakować do rowu? - Hej. -



Chociaż próbował ją zatrzymać, Kirby już zdążyła wyskoczyć na ulewny deszcz. -

Cholerne baby. - Otworzył drzwi. - Kirby, wracaj tutaj! Ten wiatr jest w stanie porwać cię stąd prosto do Savannah... - Pomóż mi, na litość boską, Giff! To Brian! - Jej skostniałe z zimna ręce rozrywały już zakrwawioną koszulę. - Jest postrzelony.

- Gdzie oni mogą być? - Wiatr coraz mocniej uderzał o ściany, a Lexy niespokojnie krążyła po salonie. - Gdzie oni mogą być? Giff wyjechał niemal godzinę temu, a Brian dwie.

- Może gdzieś się schronili. - Kate skurczyła się na krześle i robiła wszystko, by nie ulec panice. - Może doszli do wniosku, że już nie zdołają tu wrócić i schronili się gdzie indziej.

- Giff powiedział, że wróci. Obiecał.

- Jeśli tak, to na pewno przyjedzie. - Kate starała się nie załamywać rąk. - W

takim razie dotrą tu lada chwila i z pewnością będą zmęczeni, mokrzy i przemarznięci.

Lexy, pomóż mi porozlewać kawę do termosów, zanim stracimy prąd.

- Jak możesz myśleć o kawie, kiedy... - Powstrzymała się i zacisnęła mocno powieki. - W porządku. Lepsze to niż stanie tutaj. Poza tym okna są zabite deskami i nawet nie można przez nie wyjrzeć.

- Powinnyśmy przygotować ciepłe jedzenie, gorącą kawę i suche ubrania. - Kate jednym tchem wyrecytowała niezbędne rzeczy, na wszelki wypadek wzięła latarkę i zabrała Lexy ze sobą.

Kiedy wyszły, Jo wstała. Ojciec stał po drugiej stronie pokoju odwrócony do niej plecami i przez cały czas patrzył w zabite deskami okno, zupełnie jakby był w stanie przebić wzrokiem grubą warstwę sklejki.

- Tatusiu, on tu był.

- Co takiego?

- Ten człowiek był w naszym domu. - Starła się mówić bardzo spokojnie, nawet wówczas gdy Sam się do niej odwrócił. - Nie chciałam mówić o tym przy Lexy i Kate. Obie są już wystarczająco przerażone. Miałam nadzieję, że zdążą na ostatni prom, ale skoro ciągle nie ma Briana...

Sam poczuł palenie w żołądku.

- Jesteś tego zupełnie pewna?

- Tak. Zostawił... wczoraj albo przedwczoraj musiał być w mojej ciemni. Nie potrafię dokładnie powiedzieć, kiedy.

- Nathan Delaney był w Sanktuarium.

- To nie Nathan.

Sam patrzył na nią twardo i spokojnie.

- Nie mam zamiaru podejmować ryzyka. Idź do kuchni i zostań tam razem z Kate i Lexy. Ja sprawdzę dom.

- Idę z tobą.

- Nie, zrób to, co ci mówię i idź do kuchni. I niech żadna z was nie rusza się stamtąd ani na krok bez dwóch pozostałych.

- Jemu chodzi tylko o mnie. Jeśli one będą ze mną, znajdą się jedynie w większym niebezpieczeństwie.

- Nikt w tym domu nie tknie żadnego członka mojej rodziny. - Ujął ją za ramię wiedząc, że jeśli zajdzie taka potrzeba, na siłę zaciągnie ją do kuchni. W tym momencie nagle otworzyły się frontowe drzwi i do wnętrza wpadł dziki wiatr oraz strugi deszczu.

- Na piętro, Giff, weź go na piętro. - Z ogromnym trudem łapiąc powietrze, Kirby szła obok Giffa, który uginał się pod ciężarem Briana, i ani na chwilę nie przestawała mocno uciskać krwawiącej rany. - Będą mi potrzebne materiały opatrunkowe z samochodu. Natychmiast - rozkazała podbiegającym do niej Samowi i Jo. - Przygotujcie prześcieradła, ręczniki i światło. Pospieszcie się. Już stracił bardzo dużo krwi.

Kate przebiegła przez hol.

- Boże, słodki Boże, co się stało?

- Jest postrzelony. - Kirby przez cały czas dotrzymywała kroku Giffowi, ani na chwilę nie odrywając wzroku od twarzy Brian. - Połącz się przez radio ze stałym lądem, zapytaj, jak szybko mogą przysłać helikopter. Musimy zawieźć go do szpitala, przydałaby się również policja. Pospieszcie się z tymi materiałami opatrunkowymi.

Straciłam już zbyt dużo czasu.

Nie wkładając nawet płaszcza przeciwdeszczowego, Sam wybiegł na zewnątrz.

Nim dotarł do jeepa, był zupełnie ślepy i głuchy z powodu szumiącej mu w uszach krwi oraz potwornego wycia wiatru. Gdy wyciągnął pierwsze pudło, zauważył, że tuż za nim stoi Jo, czekając na następne.

Wzięli ciężar na barki i z trudem przedarli się z powrotem do domu.

- Położyła go w Ogrodowym Apartamencie. To było najbliższe łóżko. - Lexy oparła się plecami o drzwi i tylko dzięki temu zdołała je zamknąć. - Nie mówi, czy jest z nim bardzo źle. Właściwie nic nie mówi. Kate zajęła się radiem.

Kiedy spiechli schodami w górę, Jo trzymała pudło tak mocno, że aż zbieła jej kostki.

Kirby zdjęła zabrudzony krwią płaszcz przeciwdeszczowy i odrzuciła go na bok.

Nie słyszała szumu deszczu ani zawodzenia wiatru. Teraz myślała jedynie o tym, by utrzymać Briana przy życiu.

- Potrzebuję więcej poduszek. Trzeba położyć go w takiej pozycji, by tułów i nogi znajdowały się wyżej niż głowa, musimy również nieco unieść krwawiący bok.

Brian jest w szoku. Potrzebuję więcej kocy. Kula przeszła na wylot. Znalazłam ranę wylotową.

Przycisnęła tampon do prawej łopatki. Jej pozbawiona rękawicy dłoń pokryta była krwią.

- Nie jestem w stanie określić, jakie odniósł obrażenia wewnętrzne. Ale przede wszystkim muszę powstrzymać krwawienie. Ma bardzo niskie ciśnienie i nitkowate tętno. Jaką Brian ma grupę krwi?

- A minus - powiedział Sam. - Tak samo jak ja.

- W takim razie spróbujemy przetoczyć mu trochę twojej. Potrzebuję kogoś, kto by się tym zajął. Powiem, co i w jaki sposób należy zrobić, sama nie dam sobie rady.

- Pomogę ci. - Kate podeszła bliżej. - Na razie nie możemy liczyć na helikopter.

Nie są w stanie przylecieć na Desire, ani nikogo stąd zabrać, dopóki Carla nie zostawi nas w spokoju. Wszystkie maszyny stoją na ziemi.

O Boże. Dlaczego nie została chirurgiem? Po raz pierwszy w życiu Kirby klęła na siebie, że nie posłuchała rad ojca. Rana wlotowa była mała i nietrudno było sobie z nią poradzić, ale wylatując wyszarpała w plecach Briana dużą jak pięść dziurę. Czując, że ogarnia ją panika, Kirby zamknęła oczy.

- W porządku. Musimy powstrzymać krwawienie. Giff, połóż rękę tutaj i mocno uciskaj. Jeśli tampon przemoknie, nie usuwaj go, tylko dołóż następny.

Drugą ręką naciskaj tętnicę w tym miejscu. Połóż palce płasko i nie ruszaj ich.

Kate, weź moją torbę. Znajdziesz w niej kawałek gumowej rurki. Będzie ci potrzebna, by zrobić opaskę uciskową.

Przygotowując strzykawkę, uspokoiła się. Wybrała zawód, który pozwalał jej ratować ludzkie życie, i na Boga, będzie je ratować. Przez dłuższą chwilę przyglądała się woskowej twarzy Briana.

Kiedy wbijała mu igłę pod skórę, w całym domu zapadła ciemność.

Nathan z całych sił starał się wydostać z czerwonej mgły, mimo to po chwili z powrotem się w nią osunął. Wiedział, że koniecznie musi się przez nią przedrzeć, ale ilekroć miał wrażenie, że jest już

bliski sukcesu, zaczął odczuwać potworny ból. Był

przemarznięty do szpiku kości, zupełnie jakby znalazł się w kadzi z lodowatą wodą.

Ponownie zebrał wszystkie siły i jednym gwałtownym podskokiem wyrwał się na powierzchnię.

Niespodziewanie znalazł się w mrocznym, gwałtownym koszmarze sennym.

Wiatr zawodził jak tysiące wypuszczonych na wolność demonów, a woda zalewała mu usta, uniemożliwiając zaczerpnięcie powietrza. Mimo zawrotów głowy, obrócił się na brzuch, po czym oparł na rękach i nogach. Woda z płynącej obok wezbranej rzeki sięgała mu po nadgarstki. Próbował stanąć, ale osunął się i stracił przytomność. Gdy upadając uderzył twarzą o zimną wodę, ponownie oprzytomniał.

Kyle. To był Kyle. Wrócił z zaświatów. Jego mokre włosy wyglądały na znacznie jaśniejsze niż dawniej, a zwykle blada twarz była niewiarygodnie ogorzała. Natomiast w oczach wyraźnie widać było szaleństwo.

- Jo Ellen - wykrztusił Nathan, kiedy, czołgając się na brzuchu, starał się oddalić od rzeki, która próbowała go porwać. Mamrotał te słowa jak modlitwę, wbijając palce w ociekającą wodą korę drzewa i z ogromnym trudem próbując podnieść się na nogi. A kiedy, połykając się co krok i walcząc z porywami wiatru, biegł

do Sanktuarium, krzyczał je na całe gardło.

- Nie pozwolę mu umrzeć - powiedziała Kirby rzeczowo, pracując przy świetle lampy naftowej. Była już całkowicie opanowana i z całych sił starała się odsunąć od siebie potworne obawy i wątpliwości. - Zostań ze mną, Brian.

- Przydałoby ci się więcej światła. - Giff pogłaskał Lexy po głowie. - Jeśli nie jestem wam tu potrzebny, zejdę na dół i spróbuję włączyć generator.

- Niezależnie od tego, kto to zrobił... - Lexy złapała go za rękę. - On może być wszędzie.

- Zostań tutaj. - Uniósł jej dłoń i pocałował. - Kirby może potrzebować pomocy.

- Podeszedł do łóżka, pochylił się, jakby chciał uważnie przyjrzeć się Brianowi, po czym spokojnie zapytał Sama: - Czy ma pan w domu jakiś rewolwer?

Sam ani na moment nie odrywał wzroku od rurki, którą jego krew spływała do żyły syna.

- Jest w moim pokoju, w najwyższej szafce. Na pewno zauważysz takie metalowe pudełko. Znajdziesz w nim trzydziestkę ósemkę i amunicję. - Na chwilę przesunął wzrok na Giffa, zupełnie jakby chciał go ocenić. - Mam nadzieję, że użyjesz jej tylko wtedy, gdy naprawdę będzie to konieczne.

Giff przytaknął, odwrócił się i z uśmiechem spojrzał na Lexy.

- Zaraz wracam.

- Czy jest tu gdzieś jeszcze jedna lampa albo więcej świeczek? - Kirby uniosła powiekę Briana. Pod wpływem szoku miał całkowicie rozszerzone źrenice. - Jeśli nie uda mi się zamknąć rany wylotowej, straci więcej krwi, niż zdołam mu podać.

Kate podbiegła z latarką i oświetliła postrzępione ciało.

- Nie pozwól mu umrzeć. - Z całych sił starała się opanować łzy. - Nie pozwól mojemu chłopcu umrzeć.

- Spróbujemy utrzymać go przy życiu.

- Nie stracimy go, Kate. - Sam wyciągnął rękę i ujął jej zaciśnięta w pięść dłoni.

- Giff może mieć trudności z generatorem - powiedziała cicho Jo, kładąc rękę na plecach Lexy. - Zejdę na dół i przyniosę więcej awaryjnych świateł.

- Pójdę z tobą.

- Nie, zostań. Kirby może potrzebować jeszcze jednej pary rąk. Tata nie jest w stanie jej pomóc, a Kate może już dłużej nie wytrzymać. Wrócę za chwilę. - Uścisnęła mocno ramię Lexy.

Wzięła latarkę i cicho wysunęła się z salonu. Musiała znaleźć sobie jakieś zajęcie, które pomogłoby jej opanować strach o Briana i Nathana. I o nich wszystkich.

A co, jeśli Nathan również został postrzelony? Może leży gdzieś i wykrwawia się na śmierć? W żaden sposób nie była w stanie temu zaradzić. Jak zdoła się z tym wszystkim pogodzić, jeśli jedynie będzie stała z boku i patrzyła?

Nathan na pewno gdzieś się schronił, zapewniała samą siebie, szybko schodząc schodami w dół. Znalazł sobie jakąś kryjówkę, a gdy minie najgorsze, Jo spróbuje go odnaleźć. Wówczas zabiorą Briana na stały ląd, do szpitala.

Gdy usłyszała odgłos rozbijanego szkła, zadrżała od stóp do głów. Wyobraziła sobie następną kulę i ciało porozrywane przez stal. Potem w oknie salonu zauważyła rozłupaną sklejkę i strugi deszczu wlewające się do środka w miejscu, gdzie potężna gałąź przebiła się przez osłonę.

Uniosła do góry lampion i oświetliła okno. Będzie musiała znaleźć Giffa. Gdy tylko zanieśie Kirby więcej światła, wezmą kilka desek i spróbują zabić okno od wewnątrz, zanim szkody staną się niemożliwe do naprawienia.

Kiedy się odwróciła, on stał tuż za nią.

- Jak to miło. - Kyle wysunął się z cienia. - Właśnie przyszedłem, żeby cię zabrać. Nie, nie krzycz. - Uniósł wyżej pistolet, żeby dobrze go zobaczyła. - Zabiję każdego, kto zejdzie na dół sprawdzić, co się dzieje. - Uśmiechnął się promiennie. -

Jak się miewa twój brat?

- Trzyma się. - Opuściła niżej lampion i wokół nich pociemniało. Tuż obok strugi deszczu wpadały do wnętrza przez rozłupane drewno i zalewały jej twarz. - Tyle czasu minęło, Kyle.

- Cóż znaczy dwadzieścia lat wobec wieczności? Poza tym można by powiedzieć, że od kilku miesięcy byłem w zasięgu ręki. Jak ci się podobały moje prace?

- Widać w nich... rękę fachowca.

- Suka - rzucił z wściekłością, a potem wzruszył ramionami. - Przyznaj szczerze, co sądzisz o ostatniej odbitce? Musisz przyznać, że nie brak mi inwencji twórczej i że doskonale poradziłem sobie z połączeniem starego z nowym. To jedno z moich najlepszych zdjęć.

- W najlepszym razie to tylko naśladownictwo. Gdzie jest Nathan, Kyle?

- Podejrzewam, że dokładnie tam, gdzie go zostawiłem. - Szybkim ruchem wyrzucił rękę do przodu i złapał Jo za włosy. - Przynajmniej raz nie będę zbierał

resztek po moim starszym bracie. Z mojego punktu widzenia on cię jedynie...

przygotowywał. We wszystkim jestem od niego znacznie lepszy. Zawsze tak było.

- Gdzie on jest?

- Może ci pokażę. Zrobimy sobie małą przejażdżkę.

- Przy takiej pogodzie? - Kiedy popychał ją w stronę drzwi, udawała, że się opiera. Za wszelką cenę chciała odciągnąć go jak najdalej od Sanktuarium. - Musisz być szalony, jeśli masz zamiar wychodzić na zewnątrz przy huraganie trzeciego stopnia.

- Droga, najdroższa Jo, jestem niezwykle mocnym człowiekiem. - Dotknął

wargami jej skroni. - Dysponuję ogromną siłą. Nie martw się, nie pozwolę, by cokolwiek ci się stało, ponieważ wszystko musi być doskonałe. Wszystko dokładnie zaplanowałem. Otwórz drzwi.

Błysnęło światło. Wykorzystując chwilę nieuwagi, z całych sił machnęła do tyłu latarką, celując w lędźwie, jednak trafiała go tylko w udo. Mimo to, poczuwszy niespodziewany ból, Kyle krzyknął i rozluźnił uchwyt. Jo wyrwała się do przodu, otworzyła drzwi wejściowe i wybiegła prosto w paszczę burzy.

- Jeśli chcesz mnie mieć, sukinsynu, musisz mnie złapać.

Kiedy wypadł przez drzwi, Jo zebrała wszystkie siły i zaczęła przedzierać się przez wicher, starając się odciągnąć go od Sanktuarium.

Natychmiast pochłonęła ich nieprzenikniona ciemność i ściana płynącej z nieba wody.

W niecałą minutę później Giff wyszedł z sutereny. Gdy poczuł dzikie porywy wiatru, skierował kroki do holu. Zauważył otwarte szeroko drzwi i wpadający przez nie ulewny deszcz. Z zimną krwią wyciągnął rewolwer, który wcześniej zatknął za pasek dżinsów, odbezpieczył kurek i ruszył przed siebie. Jego palec drżał na cynglu, gotów w każdej chwili go nacisnąć, gdy w drzwiach pojawił się Nathan.

- Jo Ellen. Gdzie jest Jo Ellen?

- Co ci się stało? — Wściekły na samego siebie, lecz bojący się zaryzykować Giff podszedł bliżej, przez cały czas trzymając rewolwer wymierzony w Nathana.

- Szedłem tu, gdy pojawił się mój brat... - Zachwiał się, a kiedy zaczął wszystko widzieć podwójnie, potarł dłonią otwartą ranę na skroni. - To był mój brat.

- Mówiłeś, że nie żyje.

- Żyje. - Potrząsając głową, by oprzytomnieć, Nathan skupił całą uwagę na rewolwerze. - On żyje - powtórzył. - Gdzie jest Jo?

- Nic jej nie grozi, jest bezpieczna i nic jej nie będzie. Natomiast Brian został postrzelony.

- O Boże, o mój Boże. Nie żyje?

- Kirby jest przy nim. Odsuń się od drzwi, Nathan. Zamknij je za sobą. Trzymaj ręce tak, żebym mógł je widzieć.

- Cholera jasna. - Urwał, gdy usłyszał krzyk. Krew uderzyła mu do głowy, boleśnie w niej pulsując. - To Jo. Jest na zewnątrz.

- Jeśli się ruszysz, będę musiał cię zastrzelić.

- On ma zamiar ją zabić. Nie pozwolę, żeby jej się coś stało. Nie dopuszczę do tego, żeby cała historia się powtórzyła. Na litość boską, Giff, pomóż mi ją znaleźć, nim on to zrobi.

Giff musiał dokonać błyskawicznego wyboru między instynktem a ostrożnością. Modląc się, by decyzja okazała się słuszna, wyciągnął w stronę Nathana kolbę pistoletu.

- Znajdziemy ją. To twój brat. Rób, co uważasz za konieczne.

Jo powstrzymała następny krzyk, chociaż o kilka centymetrów od jej stóp upadł konar gruby jak tors mężczyzny. Dookoła w nieprzeniknionej ciemności wszystko wirowało i ryczało, a wiatr rozrywał na strzępy każdą napotkaną przeszkodę.

Obok twarzy Jo przelatowały postrzępione kawały mchu. Liście palm grzechotały jak szable. Potykając się co krok, z ogromnym trudem pokonywała centymetr po centymetrze, metr po metrze,

tymczasem wiatr robił wszystko, by ją powstrzymać.

W końcu osunęła się na kolana i objęła rękami pień drzewa, bojąc się, że następny podmuch może ją porwać.

Wyprowadziła go w pole, a przynajmniej miała nadzieję, że udało jej się to zrobić, sama jednak się zgubiła. Las drżał, ulegając niepokohamowanej przemocy.

Krople deszczu wbijały się w jej ciało tysiącem igieł, raniąc ją jak noże. Teraz nie słyszała nawet własnego oddechu, ale musiał być chrapliwy i bardzo szybki, ponieważ czuła, że pali ją w płucach.

Musi wrócić, musi wrócić do domu, zanim on nie zrezygnuje z poszukiwań.

Jeśli on zawróci pierwszy, pozabija ich wszystkich. Tak jak z pewnością zabił Nathana.

Ze szlochem zaczęła się czołgać, wbijając palce w błoto, by podciągać ciało o następne centymetry.

W Sanktuarium Kirby zacisnęła rurkę, którą krew Sama płynęła do żyły Briana.

Nie chciała ryzykować przetaczania większej ilości, wiedziała, że na razie Sam musi trochę odpocząć.

- Samowi przydałoby się teraz trochę płynów i protein. Transfuzja na pewno nadwątlila jego siły. Mógłby być sok - zaczęła, ze znużeniem prostując plecy, a potem ponownie sprawdziła puls Briana. Kiedy jego palce dotknęły jej ręki, błyskawicznie przesunęła wzrok na jego twarz. Zauważyła, że delikatnie drżą mu powieki.

- Odzyskuje przytomność. Brian, otwórz oczy, Brian. Wróć do nas. Spróbuj się skoncentrować i otwórz oczy.

- Czy nic mu nie jest? Czy nic mu nie będzie? - Lexy podeszła bliżej, a jej ramię dotknęło ramienia Kirby.

- Teraz ma już nieco mocniejszy puls. Podaj mi aparat do mierzenia ciśnienia.

Brian, otwórz oczy. Właśnie tak. - Paliło ją w gardle, gdy obserwowała, jak Brian powoli unosi powieki i usiłuje skupić wzrok. - Spokojnie, powoli. Nie chcę, żebyś się ruszał. Spróbuj skupić całą uwagę na mojej twarzy. Słyszysz mnie?

- Tak. - Czuł potworny ból przeszywający klatkę piersiową. Jak przez mgłę słyszał, że ktoś szlocha, ale oczy Kirby były suche i spokojne.

- To dobrze. - Przez chwilę jej ręka odrobinę drżała, Kirby zdołała jednak się opanować na tyle, by zaświecić mu latarką w oczy. - Leż spokojnie, pozwól, że wszystko sprawdzę.

- Co się stało?



- Jesteś ranny, dziecinko. - Szlochając bezradnie, Kate ujęła jego dłoń i oparła na niej policzek. - Kirby zajęła się tobą.

- Kiepsko widzę - wydusił i niespokojnie obrócił głowę. Zobaczył bladą i wyczerpaną twarz ojca, a potem dostrzegł łączącą ich rurkę. - Boli jak jasna cholera -

powiedział i ze zdumieniem zauważył, że Sam ukrył twarz w dłoniach i zaszlochał. -

Co się tu, do diabła, dzieje? Co? - Słaby jak dziecko opadł do tyłu, gdy Kirby zdecydowanie przycisnęła go rękami do łóżka.

- Powiedziałam, leż spokojnie. Nie zgodzę się, żebyś zepsuł całą moją robotę.

Zaraz dam ci coś przeciwbólowego. Ciśnienie krwi rośnie. Stabilizuje się.

- Mógłbym dostać coś do picia? Czuję się, jakbym był... - Urwał, gdy przypomniał sobie, co się stało. Człowiek na drodze, błysk rewolweru, eksplozja w klatce piersiowej. - Postrzelony. On do mnie strzelił.

- Kirby i Giff znaleźli cię na poboczu - powiedziała Lexy, przysuwając się bliżej i sięgając po jego drugą rękę. - Przywieźli cię do domu. Uratowali ci życie.

- To był Kyle. Kyle Delaney. - Teraz ból pojawiał się falami, sprawiając, że Brian momentami nie był w stanie złapać tchu. - Poznałem go. Widziałem jego oczy.

Wcześniej miał okulary przeciwsłoneczne. On był... tego dnia, kiedy rozciąłem sobie rękę. To był właśnie Kyle. Był wtedy u ciebie.

- Ten artysta? - Kirby podeszła z przygotowaną wcześniej strzykawką. - Ten plażowicz?

- To Kyle Delaney. Był tutaj przez cały czas.

- Leż spokojnie. Przytrzymaj go, Lexy. Cholera jasna, Brian. - Przestraszona jego nagłą próbą poderwania się z łóżka, Kirby, nie siląc się na finezję, z pośpiechem wbiła mu igłę. - Cholera jasna, zaczniesz z powrotem krwawić. Pomóż mi, Kate, zrobi sobie krzywdę, zanim środek nasenny zacznie działać.

Kate przycisnęła dłoń do ramienia Briana i przerażonym wzrokiem rozejrzała się po pokoju.

- Gdzie jest Jo? Gdzie jest Jo Ellen?

Zgubiła się. Było bardzo zimno i ze wszystkich stron otaczała ją ciemność.

Zastanawiała się, czy wiatr rzeczywiście powoli zaczyna się uspokajać, czy po prostu przyzwyczaiła się do jego gwałtownych porywów i teraz już nie odczuwa ich tak bardzo jak poprzednio. Próbowwała sobie wyobrazić, że podrywa się na równe nogi i biegnie, bardzo chciała zmusić się do tego, była jednak zbyt słaba, zbyt zmęczona, by zdobyć się na coś więcej, niż czołganie się.

Całkowicie straciła orientację w terenie i obawiała się, że w końcu wpłźnie do rzeki i utonie w jej wezbranych falach. Ale nie zatrzyma się, nie może się zatrzymać, tak długo, jak długo istnieje szansa dotarcia do domu.

Jeśli ona zablądziła, on również mógł się zgubić. Następne drzewo zważyło się gdzieś za nią, upadając z tak ogromną siłą, że ziemia zadrżała. W pewnym momencie Jo miała wrażenie, że ktoś woła jej imię, ale wiatr niemal natychmiast porwał ten dźwięk w inną stronę. To on może mnie wołać, pomyślała i zaczęła dzwonić zębami.

Wołają, mając nadzieję, że sama wpakuje mu się w ręce i że będzie mógł zabić ją tak, jak inne. Tak, jak jego ojciec zabił Annabelle.

Czuła tak ogromne zmęczenie, że byłaby w stanie mu na to pozwolić. A jednocześnie jeszcze bardziej pragnęła jego śmierci.

Za matkę, pomyślała, podciągając się o następne trzydzieści centymetrów. Za Ginny, za Susan Peters. Zazgrzytała zębami i podsunęła się dalej. I za Nathana.

Gdy zobaczyła wąski strumień światła, skuliła się za drzewem. Po chwili zorientowała się, że nie jest to latarka ani latarka trzymana przez idącego człowieka, lecz równomierny, spokojny blask żarówki.

Przyciskając oblepione błotem dłonie do ust, by powstrzymać wrywające się z krtani łkanie, zdała sobie sprawę, że to Sanktuarium, a światło sący się przez rozbite okno salonu. Zebrała wszystkie siły i zmusiła się, by stanąć na nogach. Musiała oprzeć się o drzewo i poczekać, aż przestanie jej się kręcić w głowie. Skoncentrowała się jednak na świetle i zaczęła stawiać krok za krokiem. Kiedy dotarła na skraj lasu, zaczęła biec.

- Wiedziałem, że wrócisz. - Kyle stanął na ścieżce i przycisnął jej do gardła lufę rewolweru. - Wystarczająco długo cię obserwowałem, by poznać twój sposób myślenia.

Tym razem nie była w stanie powstrzymać łez.

- Dlaczego to robisz? Czy zbrodnia twego ojca nie wystarczy?

- Nigdy nie był w stanie mnie docenić. Uważał, że nie jestem tak dobry jak on, a już z całą pewnością, że daleko mi do Złotego Chłopca. Tymczasem ja potrzebowałem jedynie odpowiedniej inspiracji. - Uśmiechnął się, nie zważając, że deszcz strugami spływa po jego twarzy, a wiatr rozwiewa mu włosy na wszystkie strony. - Będziemy musieli trochę cię umyć. Nie szkodzi, nie będzie to wcale takie trudne. Na kempingu mam spore zapasy. W męskiej toalecie, pamiętasz?

- Tak, pamiętam.

- Uwielbiam psikusy. Przez całe życie płatałem je Nathanowi, a on nigdy się nie zorientował. Ojej, kiciuś uciekł? Ależ skąd, jedynie postanowił wykąpać się w rzece.

Tyle że w plastikowej torbie. Nathan, jak mogłeś być tak nieostrożny i przykryć swoją książką

dziurki słoika, w którym znajdowały się robaczki świętojańskie? - Kyle ze śmiechem potrząsnął głową. - Bardzo często moimi pomysłami doprowadzałem go do szaleństwa - potem bez przerwy się zastanawiał, jak to się, do diabła, stało.

Machnął rewolwerem.

- Jeep stoi na początku drogi. Lub raczej pozostałości po drodze. Musimy tam dojść.

- Nienawidziłeś go.

- Och, zdecydowanie. - Szturchnął ją delikatnie, żeby ruszyła do przodu. -

Ojciec zawsze go faworyzował. Koniec końców okazało się jednak, że mój ojciec wcale nie był tym człowiekiem, za którego wszyscy go uważali. Poznanie prawdy otworzyło mi oczy. Mały sekret Davida Delaney'a. Ojciec był dobry, ale ja go znacznie przerosłem. A ty jesteś moim arcydziełem, Jo Ellen, tak samo jak jego arcydziełem była Annabelle. Będą oskarżać o to Nathana. Jestem z tego niezmiernie zadowolony.

Jeśli nawet zdoła przeżyć, wówczas niewątpliwie go zamkną.

Potknęła się i wyprostowała. - On żyje?

- Być może. Zacznie wykrzykiwać głupoty o swoim zmarłym bracie. W końcu, wcześniej czy później, zajrzą do jego domku. Miałem trochę czasu i podrzuciłem tam kilka zdjęć. Wszystkie moje anioły. Bardzo żałuję, że nie będę w stanie dorzucić tam również twoich fotografii.

*Nathan prawdopodobnie żyje*, pomyślała. Miała zamiar zrobić wszystko, by również nie umrzeć. Odwróciła się i odrzuciła do tyłu ociekające wodą włosy. W tym momencie zdała sobie sprawę, że miała rację - nawałnica powoli słabła. Zdołała jakoś ją przetrwać. Na pewno poradzi sobie również i z nim.

- Cały problem polega na tym, Kyle, że twój ojciec był pierwszorzędnym fotografem. Być może czasami zbyt sztywno trzymał się tradycji i nie wszystkie jego prace były najwyższych lotów. Natomiast ty, w najlepszym razie, reprezentujesz trzecią ligę. Masz zasadnicze problemy z kompozycją i poważne luki w wykształceniu.

W dodatku nie potrafisz sobie radzić z oświetleniem.

Kiedy uniósł rękę, by ją uderzyć, była na to przygotowana. Pochyliła nisko głowę i staranowała go, celując pod uniesione ramię. Stracił równowagę na śliskim gruncie i osunął się na kolana. Złapała go za nadgarstek i wyciągnęła rękę w stronę rewolweru, on jednak drugą ręką podciął jej nogi i wywrócił na ziemię.

- Ty suko. Sądzisz, że spokojnie będę słuchał twoich obelg? Myślisz, że po wszystkich moich wysiłkach i przygotowaniach pozwolę ci teraz wszystko ze psuć?

Sięgnął ręką, by złapać ją za włosy, lecz poczuł między palcami jedynie krople deszczu, ponieważ Jo

odwróciła się i wymierzyła mu tęgiego kopniaka.

Nie zważając na wbijające się w jej dłonie muszle, cofnęła się jak krab do tyłu, szukając oparcia dla stóp.

Zobaczyła, że uniósł rewolwer.

- Kyle.

Kyle odwrócił się w prawo, równocześnie kierując lufę w tamtą stronę.

- Nathan. - Uśmiechnął się od ucha do ucha, a z rozciętej przez Jo Ellen wargi popłynęła strużka krwi. - No proszę, to mi się podoba. I tak tego nie użyjesz. -

Kiwnięciem głowy wskazał wymierzony w swoją stronę rewolwer. - Nie potrafiłbyś zabić. Nigdy nie umiałeś tego robić.

- Odłóż broń, Kyle. To już koniec zabawy.

- Jesteś w błędzie. Zaczął ją nasz ojciec, ale ja dokończę. - Powoli podniósł się na nogi. - Ja doprowadzę całą sprawę do końca, Nathan, w sposób, który jemu nigdy nawet nie przyszedłby do głowy. Teraz decydujący moment będzie chwilą mego tryumfu. Ojciec jedynie zasiał ziarno. Ja zbiorę plon.

Ani na moment nie przestając się uśmiechać, ostrożnie podszedł o krok do przodu.

- To ja zbiorę plon, Nathan. To będzie mój plon, nie jego. Pomyśl, jaki byłby dumny, że tak dużo osiągnąłem, nie tylko idąc w jego ślady, lecz znacznie udoskonalając jego pierwotny zamysł.

- Tak. - Mimo wywołanych przez zimno dreszczy, Nathan czuł, że pali go w żołądku. - Bez wątplenia prześcignąłeś go, Kyle.

- Już najwyższy czas, żebyś w końcu to przyznał. - Kyle uniósł głowę. - Mamy w tej chwili do czynienia z typową sytuacją bez wyjścia. Czy ty mnie zastrzelisz, czyja ciebie? - Roześmiał się niemiło, a Nathan miał wrażenie, że ten dźwięk huczy mu w uszach. - Ponieważ doskonale wiem, że jesteś tchórzem, znam już odpowiedź. Co byś powiedział, gdybym teraz zmienił zasady gry, tak jak to często robiłem w dzieciństwie? Gdybym postanowił ją zastrzelić jako pierwszą?

Kiedy skierował rewolwer w stronę Jo, Nathan nacisnął spust. Kyle gwałtownie drgnął, przycisnął dłoń do klatki piersiowej, a gdy na palcach zauważył krew, zaskoczony otworzył szeroko usta.

- Zabiłeś mnie. Zabiłeś mnie dla kobiety. Kiedy Kyle upadł, Nathan opuścił

rewolwer.

- Już wcześniej byłeś martwy - mruknął pod nosem. Podszedł do Jo i patrzył, jak podrywa się na równe nogi. Potem objął ją ramieniem. - On i tak był już martwy.

Slizgając się co krok, Giff nadszedł pełną dziur drogą. Gdy zobaczył leżącą na ziemi postać, jego oczy spoważniały. Po chwili uniósł wzrok na Nathana.

- Wejdźcie do domu. Musicie wejść do środka.

Nathan wziął Jo za rękę i, pokonując wyraźnie słabnący już huragan, oboje ruszyli w stronę Sanktuarium.

# EPILOG

Helikoptery są już w drodze. Jeden z nich wiezie policjantów. Zabiorą cię na stały ląd.

- Nie chcę iść do szpitala. - Kirby podeszła do łóżka i ponownie ujęła nadgarstek Briana, żeby sprawdzić jego puls.

- To bardzo niedobrze. Nie możesz kłócić się ze swoim lekarzem.

- Czy oni są w stanie zrobić coś więcej niż ty?

- Ja zdołałam jedynie z grubsza cię połatać. - Sprawdziła bandażę i z zadowoleniem stwierdziła, że nie widać na nich świeżej krwi. - Na pewno będziesz miał tam do dyspozycji kilka ładnych pielęgniarek i świetne lekarstwa, dzięki temu w ciągu kilku dni staniesz na nogi i będziesz mógł wrócić do domu.

Zastanawiał się przez chwilę.

- Czy te pielęgniarki naprawdę są takie ładne?

- Jestem pewna, że... - Głos jej się załamał i chociaż szybko się odwróciła, Brian zdążył zauważyć w jej oczach łzy.

- Daj spokój, ja tylko żartowałem. - Wyciągnął rękę, szukając jej dłoni. - Nawet na nie nie spojrzę.

- Przepraszam. Myślałam, że zdołam nad tym zapanować. - Odwróciła się z powrotem, uklękła i położyła głowę na brzegu łóżka. - Tak się bałam. Tak potwornie się bałam. Nieprawdopodobnie krwawiłeś, a twoje tętno zanikało mi pod palcami.

- Ale nie pozwoliłaś mi umrzeć. - Pogłaskał ją po włosach. - Przywróciłaś mnie do życia i przez cały czas przy mnie byłaś. A teraz popatrz, jak wyglądasz. - Szturchnął

ją, aż uniosła głowę. - W ogóle nie spałaś.

- Wyśpię się później. - Kilkakrotnie przycisnęła wargi do jego dłoni. - Teraz chyba byłabym w stanie za jednym zamachem przespać kilka dni.

- Może, gdybyś pociągnęła za odpowiednie sznurki, pozwolono by ci dzielić ze mną pokój szpitalny.

- Może.

- Potem mogłabyś wrócić tutaj i dzielić ze mną pokój w czasie, gdy będę wracał do zdrowia.

- Sądzę, że nie jest to wcale wykluczone.

- A gdy już wyzdrowieję, mogłabyś dzielić ze mną resztę życia. Starła dłonią łzę.

- Jeśli jest to propozycja, powinieneś paść przede mną na kolana.

- Ależ z ciebie agresywna kobieta.

- Masz rację. - Oparła policzek na jego dłoń. - Ponieważ jednak w jakiś sposób czuję się odpowiedzialna za to, że masz przed sobą jeszcze jakąś resztę życia, chyba rzeczywiście powinnam ją z tobą dzielić.

- Ogród jest całkowicie zniszczony. - Jo spojrzała na tonące w błocie połamane kwiaty. - Potrzeba będzie wielu tygodni, by wszystko uporządkować, uratować, co się da, a tam, gdzie jest to niemożliwe, zacząć wszystko od nowa.

- Czy to właśnie masz zamiar robić? - zapytał Nathan. - Ratować, co się da, a tam, gdzie to niemożliwe, zacząć wszystko od nowa?

Spojrzała na niego. Bandaż, którym Kirby owinęła mu głowę, śnieżną bielą odcinał się od skóry. Nathan miał podkrążone oczy i widać w nich było potworne zmęczenie.

Objęła się ramionami i powoli obróciła się w stronę ogrodu. Słońce świeciło jasno, a powietrze było oszałamiająco świeże. Widziała zniszczenia spowodowane przez huragan - powywracane drzewa, porozrzucone skorupy glinianej fontanny, pozbawioną dachu wędzarnię, patio usłane gałązkami, liśćmi i szkłem.

Na piętrze Giff i Lexy zdejmowali osłony ze sklejki i otwierali okna, żeby wpuścić do środka trochę światła. Na skraju lasu Jo zauważyła ojca i Kate, a po chwili z prawdziwym zdumieniem dostrzegła, że Sam ją obejmuje.

- Tak. Chciałabym zostać trochę dłużej i pomóc im doprowadzić tu wszystko do porządku. Na pewno już nigdy nie będzie dokładnie tak, jak było. Ale może być lepiej.

Uniosła dłoń do oczu, by osłonić je przed słońcem i móc uważniej przyjrzeć się Nathanowi.

- Brian chciał się z tobą widzieć.

- Byłem u niego, zanim tu wyszedłem. Doprowadziliśmy wszystko do porządku. Być może już nigdy nie będzie dokładnie tak jak było. - Uśmiechnął się łagodnie. - Ale może być lepiej.

- Rozmawiałeś również z moim ojcem.

- Tak. Jest niezmiernie szczęśliwy, że jego dzieciom nic już nie grozi. - Wsunął

ręce do kieszeni. Nie dotknął Jo od poprzedniego wieczoru, od momentu, kiedy Kate zabrała ją, by przygotować gorącą kąpiel, napoić herbatą z dodatkiem whisky i wpakować do łóżka. - Jego zdaniem wykazałem dużo odwagi, zabijając własnego brata.

- Wykazałaś dużo odwagi, ratując mi życie.

- To nie miało nic wspólnego z odwagą. - Odszedł od niej o kilka kroków. - Gdy pociągałem za cyngiel, naprawdę niczego nie czułem. Dla mnie on już wcześniej nie żył. Z ogromną ulgą położyłem temu wszystkiemu kres.

- Nie w mówisz mi, że to nie wymagało od ciebie ogromnej odwagi. Skrzywdził

cię, zarówno fizycznie, jak i psychicznie. A jednak przemogłeś się i ze względu na mnie poradziłeś sobie również z huraganem. Przewyciężyłeś coś, czego nikt nigdy nie powinien musieć przewyciężać i zrobiłeś coś, do czego nikt nigdy nie powinien być zmuszony. Kiedy pojawi się tu policja, powiem im, że jesteś bohaterem.

Położyła dłoń na jego ramieniu.

- Zawdzięczam ci nie tylko własne życie, lecz również życie członków mojej rodziny i pamięć o matce.

- Niemniej jednak David Delaney był moim ojcem, a Kyle bratem, - Kiedy Nathan na nią spojrzał, w jego oczach widać było ogromny smutek. - Nie jestem w stanie tego zmienić.

- Rzeczywiście. Ale teraz oni już odeszli. - Słyszac dobiegający z oddali warkot helikoptera, spojrzała w górę. Chciała jeszcze coś powiedzieć i załatwić pewne sprawy, zanim cała potworność wróci. Zanim dotrze tu policja i zacznie zadawać tysiące pytań.

- Powiedziałaś, że mnie kochasz.

- Kocham cię bardziej, niż kogokolwiek na świecie.

- Czy nie można by było uznać tego za fundament? Może zdaniem mężczyzna obdarzony twoim talentem na pewno byłby w stanie sprawdzić, co wymaga wyburzenia, co można odbudować, a co należy wzmocnić, by zdołało jeszcze trochę wytrzymać. Czy chcesz uratować, co się da, Nathan, a tam, gdzie to nie możliwe, zacząć wszystko od nowa?

- Tak. - Zrobił krok w jej stronę. - Bardziej niż czegokolwiek na świecie.

Spojrzała na niego i wyciągnęła rękę.

- Może zatem powinniśmy zacząć kłaść podwaliny pod resztę naszego życia?